NOWA FILOZOFIA.

Słusznie powiedział pewien myśliciel: należy poznać życie danego człowieka, aby wiedzieć, jakiej filozofii jest zwolennikiem. Cały ustrój psychiczny stanowi jedność tak ścisłą, że w jednym i tym samym osobniku poglądy filozoficzne i religijne nie mogą długo żyć w niezgodzie z zapatrywaniami i przekonaniami codziennego życia. Dowodem na to jest nasze życie rodzinne i towarzyskie, dzisiejsze walki społeczne, polityczne i religijne; dowodem na to jest szerzący się coraz bardziej i w sferze religijnej pozytywizm, naturalizm, i indywidualistyczny sceptycyzm. Umysłowość dzisiejszego społeczeństwa zwraca się coraz wyraźniej i natarczywiej od wzniosłych ideałów religijnych do potrzeb i wymagań praktycznych. Głośne hasło Nietzschego *die Umwertung aller Werte,* stosuje się dzisiaj także do odwiecznych, bezwzględnych prawd i zasad. Dzisiaj ludzie pytają się tylko, jaką korzyść nowa teorya, nowy wynalazek przynosi. Podobnie żąda się dzisiaj tylko praktycznego wykształcenia, praktycznych ludzi, praktycznych zawodów, praktycznych cnót, praktycznej pobożności i praktycznej filozofii.

Ameryka, ta ojczyzna praktyczności, ten żyzny grunt następujących niemal codzień po sobie wynalazków, stworzyła także po raz pierwszy filozofię praktyczną, filozofię iście amerykańską, głośną dzisiaj pod nazwą »pragmatyzmu«.

Już od dłuższego czasu myśliciele amerykańscy dążyli prawie nieświadomie do wytworzenia tej nowej filozofii. W styczniu 1878 roku ogłosił amerykański logik Ch. S. Pierce w czaso-

piśmie *Popular science monthly* pracę pod tytułem: *How to make our ideas clear,* ogłoszoną także w grudniu tegoż samego i w styczniu następnego roku po francusku w *Revue philosophique.* Pierce przedstawia tu już w głównych zarysach nową filozofię, atoli nie używa jeszcze nazwy »pragmatyzmu«. Lecz w ustnych rozmowach tegoż myśliciela z innym filozofem amerykańskim, Williamem Jamesem, wyraz ten już nieraz przychodzi. Dopiero od r. 1902 zjawia się nazwa pragmatyzmu i w pracach drukowanych nie tylko Pierce'a, ale i innych, jak np. J. Dewey'a *Studies in Logical Theory* (Chicago 1903) i F. C. S. Schillera *Humanism* (London 1903) i *Studies in Humanism* (London 1907). Roku 1898 miał Pierce odczyt o pragmatyzmie w Kole filozoficznem profesora Howisons'a na uniwersytecie kalifornijskim. Odtąd datuje się znajomość pragmatyzmu w Ameryce. William James miał następnie w listopadzie i grudniu 1906 r. w Bostonie, a w styczniu 1907 r. w Nowym Yorku cały cykl odczytów na ten sam temat. Odczyty te wyszły w druku w kwietniu 1907 r., a już w październiku tegoż samego roku podpisuje wiedeński filozof Wilhelm Jerusalem przedmowę do swego tłumaczenia tej książki. Zjawiają się niemal we wszystkich krajach prace, mające na celu albo propagandę albo też krytykę pragmatyzmu. Lalande ogłasza w zeszycie lutowym 1906 i styczniowym 1908 r. w *Revue philosophique* artykuły o pragmatyzmie. W tem samem piśmie rozprawia A. Schinz o antypragmatyzmie (wrzesień 1908 r.). W *Revue de Metaphysique et de Morale* (zeszyt styczniowy 1908 roku) ogłasza Emil Boutroux pracę *William James et l'expérience religieuse* i D. Parodi pracę *Le pragmatisme, d'après W. James et Schiller. The Journal of Philosophy Psychology and Scientific Methods* podaje w styczniu 1908 r. pracę Arthur'a O. Levejoy'a p. t.: *The thirteen Pragmatisms;* William James pisze sam w *Philosophical Review* (tom XVII, 1) o *The Pragmatist Account of Truth and its Misunderstanders;* a Editor rozprawia w *The Monist* (t. XVIII, n. 3) o *Pragmatism.* W Anglii przynosi Mind w styczniu 1908 r. (*New Series* nr. 65) artykuł o pragmatyzmie Jamesa pióra I. Ellis Mc. Taggart'a; M'Gilvary pisze w *The Hibbert Journal* (t. VI, n. 3) o *British Exponents of Pragma-*

tism. We Włoszech istnieje osobne czasopismo *Leonardo,* które redaktor Papini poświęca pragmatyzmowi, w *Il Rinnovamento* (1908, I) pisze Baldini o *La religiosità secondo il pragmatismo*, a w *La cultura filosofica* (wrzesień-grudzień 1907) Adolfo Levi także o pragmatyzmie religijnym. W Niemczech wychodzą prace Müller-Freienfelsa w *Philosophische Wochenschrift* (styczeń 1908: *William James und der Pragmatismus*), W. Jerusalema w *Deutsche Literaturzeitung* (25 styczeń 1908), Ludwika Stein'a w *Archiv für systematische Philosophie* (tom XIX, zeszyt 1 i 2), a C. Gutberleta w *Philosophisches Jahrbuch* (1908 r., zeszyt 4). Z małymi wyjątkami prace te zajmują stanowisko przychylne pragmatyzmowi.

I nie można się bynajmniej dziwić, że pragmatyzm znajduje w Europie tylu zwolenników. Pozytywizm, naturalizm, utylitaryzm, teorya ekonomii i najmniejszego wysiłku, o których to prądach mówiliśmy wyżej w pracy o agnostycyzmie [1], są żyznym gruntem, na którym się ta młoda roślina doskonale rozwinąć może. Pozytywizm dzisiejszy odrzucił wszelkie kryterya prawdy i dobra; wszędzie panuje skrajny relatywizm i sceptycyzm. A przecież trzeba żyć, działać, walczyć o byt i to o byt coraz lepszy. Jeżeli więc niema miary bezwzględnej i wiecznej dla naszych prac i myśli, miarą musi się stać korzyść praktyczna, biologiczna. I w tem właśnie tkwi istota pragmatyzmu; tu mamy klucz do rozwiązania zagadki, dlaczego umysły się dziś z takim zapałem do pragmatyzmu zwracają. Dzisiaj stosuje się już zasadę pragmatyzmu do teoryi poznania, do metafizyki, etyki, socyologii, religii. Zwłaszcza we Francyi, ale także w Anglii i we Włoszech usiłowano stworzyć nową, pragmatyczną filozofię religii i apologetykę.

Wobec tak szybkiego rozrostu filozofii pragmatycznej, wobec znaczenia, jakie dziś pragmatyzm ma nawet we filozofii religii i w teologii, należy nam dobrze zbadać sam podkład i wartość wewnętrzną filozofii pragmatycznej. Zobaczymy więc bliżej, czem jest pragmatyzm sam w sobie, jakie stanowisko zajmuje wobec problemu kryteryologicznego, czyli jaka jest jego teorya prawdy,

[1] Por. *Przegląd Powszechny*, t. 97 i 98 (1908).

i wreszcie jak się pragmatyzm zapatruje na zagadnienia metafizyczne, a zwłaszcza na problem istnienia Boga.

I. Charakterystyka pragmatyzmu.

Przed kilku laty urządził profesor William James, jak to sam opowiada, z całem towarzystwem wycieczkę w góry. Gdy pewnego razu wraca z samotnej przechadzki, zastaje towarzystwo swoje w poważnym sporze filozoficznym. Skombinowano sobie przypuszczenie tego rodzaju, że wiewiórka siedzi na jakiemś drzewie, kryjąc się za jego pniem, gdy wtem jakiś mężczyzna nadchodzi. Człowiek ten chce zobaczyć wiewiórkę i biegnie szybko na drugą stronę drzewa. Lecz z tą samą szybkością wiewiórka znika po przeciwnej stronie. Człowiek okrąża tak prędko, jak może, pień, lecz nigdy nie może spostrzedz wiewiórki, okrążającej z równą szybkością pień, na którym siedzi. Niema więc wątpliwości, że ten człowiek okrąża drzewo. Lecz inna kwestya się nasunęła: czy okrąża także wiewiórkę? Jedni twierdzili, że okrąża także wiewiórkę, inni zaprzeczali temu. Po obu stronach była równa ilość; obie więc strony zwróciły się do pana Jamesa, by się do nich przyłączył. Lecz pan James subtelną dystynkcyą cały spór zakończył. »Która partya ma słuszność, rzekł, zależy od tego, co panowie rozumiecie przez słowo »okrążać wiewiórkę«. Jeżeli okrążać znaczy tyle, co znajdować się raz po stronie północnej od wiewiórki, potem po stronie wschodniej, południowej i zachodniej, człowiek okrąża wiewiórkę, gdyż w rzeczy samej wszystkie te położenia kolejno po sobie zajmuje. Jeżeli jednak okrążać ma tyle znaczyć, co znajdować się raz p r z e d wiewiórką, potem po jej prawej stronie, potem za nią i t. d., w takim razie niema wątpliwości, że człowiek n i e okrąża wiewiórki, gdyż wskutek jej biegania około drzewa zawsze przed nią się znajduje«.

Wspomnianą anegdotkę sam profesor James przytacza jako prosty i jasny przykład na to, czem jest filozofia pragmatyczna. Pragmatyzm, powiada, j e s t t o m e t o d a, i to metoda służąca do załagodzenia sporów, któreby się inaczej nigdy nie kończyły. Historya filozofii poucza nas, że umysł ludzki ciągle odbywa ruch wahadłowy między dwoma biegunami. Czy świat jest w isto-

cie swojej czemś materyalnem, jak chcą materyaliści, czy też czemś duchowem, jak twierdzą spirytualiści i idealiści? Czy świat jest jakąś zamkniętą w sobie jednością według teoryi monistów lub mnogością rzeczy indywidualnych i odrębnych, jak uczy filozofia pluralistyczna? Czy ewolucya świata dąży do jakichś celów lub jest tylko koniecznym wynikiem przyczyn czysto mechanicznych? Czy panuje bezwzględne, żelazne fatum lub czy ma miejsce wolna wola? Czy ostateczną przyczyną i zasadą świata jest Bóg osobisty, duchowy, lub czy martwe, nierozumne atomy w odwiecznym biegu swoim utworzyły dzisiejszy wszechświat? Oto mamy niektóre zagadnienia, nad któremi ludzkość ciągle głowę sobie łamie i w których nigdy do rozstrzygającej odpowiedzi dojść nie może. Każda partya woła, że po jej stronie jest prawda, i każda partya ogląda się za jakimś rozjemcą.

Otóż pragmatyzm podejmuje się roli takiego rozjemcy. Subtelną dystynkcyą przyznaje każdej partyi prawdę, albo raczej śmiałym ruchem dyplomatycznym zwraca uwagę spierających się partyi w innym zgoła kierunku. Pragmatyzm nie pyta się, co samo w sobie jest prawdziwe, lecz jakie różnice praktyczne wynikają z prawdy lub fałszu jednej z dwóch możliwości. Jaka korzyść lub szkoda wynika praktycznie dla ludzkości, jeżeli świat jest monistycznie albo pluralistycznie zbudowany? Co przyjdzie nam z tego, jeżeli panuje Bóg nad nami, jeżeli mamy wolną wolę i cel ostateczny wytknięty; a co przyjdzie nam z przypuszczenia przeciwnego? Jeżeli nie można wykazać żadnej zgoła praktycznej różnicy, oba w teoryi wręcz przeciwne sobie sądy, znaczą praktycznie to samo i wszelki spór w tym względzie jest najzupełniej zbyteczny.

Weźmy inny przykład z dziedziny teoryi poznania. Każdy z nas wie, jak się w życiu codziennem na otaczający nas świat zapatrujemy i jak się nim dla celów naszych praktycznych posługujemy. Widzimy dokoła nas rozmaite »rzeczy«. Jedne są do siebie podobne i te nazywamy tymi samymi wyrazami; inne są mniej lub więcej różne. Rzeczy te mają rozmaite barwy, są różnej wielkości, z rozmaitej materyi, działają w rozmaity sposób na siebie i na nas. Lampa oświeca nam ciemny pokój, rozpalony

piec rozgrzewa go. Ciepło ognia udziela się wodzie, w której gotujemy jaja, a ciepło to możemy znowu zamienić w zimno, gdy wrzucimy do wody kawał lodu.

Takie proste pojęcia o rzeczywistości wystarczą dla codziennego życia naszego praktycznego. Lecz z biegiem wieków rozwija się inny sposób zapatrywania się na rzeczywistość, sposób bardziej naukowy. Nauki przyrodnicze twierdzą, że rzeczy nie są same w sobie barwne, lecz że barwa, ton, ciepło i t. d. jest czemś podmiotowem tylko. W świecie mamy tylko coś przestrzennego, rozciągłego, materyę. Dalej twierdzi nauka, że t. zw. rzeczy nie są właściwie rzeczami, lecz zbiorami drobnych, niedostrzegalnych cząsteczek, atomów, wirujących ciągle koło siebie, przyciągających i odpychających się według stałych praw matematycznych. Tak powstaje krytycyzm przyrodniczy. I jakkolwiek wydaje się być sprzecznym z tem, co zdrowy »rozum chłopski« uznaje, przecież stał się źródłem olbrzymich korzyści dla ludzkości. Galilei obdarzył nas dokładnymi zegarami i nauczył naszą artyleryę strzelać z wielką precyzyą. Chemicy obsypują nas nowemi lekarstwami i środkami farbiarskimi. Ampère i Faraday umożliwili koleje elektryczne i telegraf bez drutu. I tak pokazuje się, że te pojęcia mechanistyczne, te formułki i wzory matematyczne, które się tak sprzecznemi wydawały z rzeczywistością, przecież doprowadzają do dziwnie pięknych i korzystnych dla nas wynalazków. Z tych oderwanych, martwych pojęć i wzorów wyciągamy logiczne wnioski, które pod pewnymi warunkami muszą się urzeczywistnić. Uskuteczniamy te warunki, a oto wniosek czysto matematyczny staje niejako żywy przed naszemi oczami.

Lecz oto powstaje nowy typ myśli o świecie, krytycyzm filozoficzny. Kierunek ten zarzuca poprzedniemu, że jest niekonsekwentny i nielogiczny. Albowiem niektóre własności rzeczy przypisuje podmiotowi poznającemu, a inne, jak wielkość, figurę, przestrzenność im zostawia. Owszem krytycyzm filozoficzny udowadnia nawet, że sposób pojmowania rzeczy matematyczny i mechaniczny jest wprost niemożliwy. Locke, Berkeley, Hume, Kant, Hegel, Ostwald, Stallo, Mach i inni posuwają tę krytykę do ostateczności. I należy w tych poglądach podziwiać

pewną żelazną, nie uginającą się przed nikim i niczem konsekwencyą i jednolitość myśli.

Mamy więc trzy różne typy pojmowania świata. Każdy z nich walczy z innymi, odmawiając im prawa do bytu. Krytycyzm przyrodniczy zarzuca krytycyzmowi filozoficznemu, że nie doprowadził ani do jednego wynalazku praktycznego, a naiwny dogmatyzm maćkowego rozumu śmieje się z gołych abstrakcyi krytycyzmu przyrodniczego, który przy każdem spojrzeniu na słoneczny, ciepły, barwny świat gdzieś znika jak nocne mary przy pierwszych blaskach porannej zorzy. Lecz każdy z tych typów myślowych ma w pewnym zakresie swoje praktyczne znaczenie, swoje zalety. Kto potrafi rozstrzygnąć, który z nich jest prawdziwy? Gdyby naiwny pogląd na świat był prawdziwy, to po co nauki przyrodnicze usuwałyby z naszego świata właśnie to, co mu daje blask i życie, po co zamieniłyby go w świat punktów, ruchów i równań matematycznych? A jeżeli ten nowy sposób patrzenia się na świat, jeżeli atomy wirujące i eter są bardziej prawdziwe od pierwszego poglądu, toż dlaczego wywołują one wśród samychże nauk przyrodniczych tyle krytyki? Wciąż słyszymy od samych przyrodników, że nie należy brać dosłownie ich nauki, że ich teorye nie są rzeczywistością, lecz że sobie tylko wyobrażają, jak gdyby tak było. Pojęcia i wzory fizyczne są tylko symbolami rzeczywistości, monetą zdawkową, świadczącą nam dziwne usługi, lecz nie mającą żadnej pretensyi do wiernego oddania samej przedmiotowej rzeczywistości.

Jakie stanowisko więc zajmiemy wobec tak różnych zapatrywań? Nie jesteśmy zgoła w stanie rozstrzygnąć, gdzie jest prawda; nie możemy nawet powiedzieć, który pogląd jest bardziej prawdziwy. Jeżeli z filozofią tradycyjną określamy prawdę, jako równanie między naszemi pojęciami a rzeczami, jeżeli prawda niczem innem nie jest, jak prostem powtórzeniem w myśli świata wykończonego i danego, to zaiste nie możemy tu mówić o prawdziwem poznaniu, skoro te trzy tak różne a jednak w swoim zakresie zupełnie uzasadnione sposoby patrzenia się na rzeczywistość nie mogą być prostem powtórzeniem przedmiotowej rzeczywistości w naszej myśli. Jak owe dwie partye w przytoczonym

wyżej przykładzie się kłóciły, czy człowiek okrąża wiewiórkę lub nie: tak i filozofowie nigdy nie dojdą do rozstrzygnięcia kwestyi, który z tych trzech typów myślowych jest prawdziwy.

Należy zatem z innej strony przystąpić do rozwiązania tej zagadki. Należy powiedzieć, że żaden z tych trzech typów nie posiada bezwzględnej prawdy, że jednak każdy z nich ma w swoim zakresie wyśmienite zalety i niewątpliwą słuszność. Różnica a nawet częściowa sprzeczność między nimi wynika stąd, że wszystkie teorye i myśli nasze są tylko narzędziami służącemi do pewnych celów praktycznych, że są przystosowaniem myśli do faktów.

Oto przykład, jak należy rozumieć powyższe twierdzenie, że pragmatyzm chce być metodą.

Według filozofii pragmatycznej wszystkie przekonania nasze są w rzeczy samej regułami dla naszego działania. Ażeby zrozumieć znaczenie jakiejś myśli, powinniśmy tylko określić sposób działania, jaki ta myśl jest w stanie wywołać. Sposób działania zawiera dla nas całe znaczenie tej myśli. Konkretny fakt, leżący na dnie wszystkich naszych najsubtelniejszych nawet dystynkcyi jest ten: żadna z tych dystynkcyi nie jest tak subtelną, żeby na czem innem polegała, jak na rozróżnieniu mogącem wpłynąć na naszą działalność. Ażeby więc dojść do zupełnie jasnego zrozumienia, co myśli nasze o jakimś przedmiocie znaczyć mają, musimy się nad tem zastanowić, jakie praktyczne skutki ten przedmiot w sobie zawiera, jakich spostrzeżeń możemy się spodziewać i jakie reakcye mamy przygotować. Nasze wyobrażenie o tych skutkach, czy one będą bezpośrednie czy też pośrednie, utożsamia się wtedy dla nas z wyobrażeniem o przedmiocie samym, o ile to wyobrażenie ma wogóle znaczenie pozytywne.

To jest zasada pragmatyczna, wyrażona po raz pierwszy przez Karola Pierce'a we wspomnianej wyżej pracy: *How to make our ideas clear*. Lipski chemik Ostwald wyraża tę samą zasadę w nieco inny sposób: wszystkie rzeczywistości wywierają wpływ na nasze działanie, i ten wpływ stanowi właśnie ich znaczenie dla nas. Należy więc zawsze pytać: pod jakim względem świat byłby inny, gdyby ta lub owa alternatywa była prawdziwą?

Jeżeli nie mogę spostrzedz żadnej różnicy, alternatywa niema żadnego zgoła sensu.

Gdy zatem tę zasadę pragmatyczną stosujemy do różnych zagadnień, wiele sporów filozoficznych odpada od razu. Całe zadanie filozofii powinno więc na tem polegać, ażeby znaleźć różnicę wynikającą dla nas w pewnych momentach życia z tego, czy ta lub owa formułka światowa jest prawdziwą.

Filozof pragmatyczny nie widzi nigdy rozwiązania kwestyi w jakiemś słowie. Wielu myśli, że gdy doszli do określenia świata nazwami jak: »Bóg«, »materya«, »rozum«, »absolut«, »energia« i t. d., posiadają klucz do skarbów prawdy nieomylnej. Myśliciel pragmatyczny nie może się nigdy tem zadowolić; on dąży zawsze do wyrachowania bieżącego kursu takich papierów. Dla niego teorya nie jest rozwiązaniem kwestyi, lecz programem dalszej pracy, wskazówką, jakich środków imać się należy, ażeby istniejącą rzeczywistość módz zmienić. Wszystkie teorye są więc narzędziami pracy.

Młody pragmatysta włoski Papini określił bardzo trafnem porównaniem stosunek pragmatyzmu do innych systemów filozoficznych. Pragmatyzm ma wśród różnych poglądów takie znaczenie, jak korytarz w hotelu. Cały szereg pokojów wychodzi na ten korytarz. W jednym z tych pokojów pisze ktoś książkę ateistyczną; w następnym błaga inny na kolanach o siłę i ducha wiary; w trzecim bada chemik własności jakiegoś ciała. Tu siedzi profesor pogrążony w myślach o nowym systemie idealistycznej metafizyki, którym chce niebawem świat uszczęśliwić; tam znowu udowadnia inny niemożliwość wszelkiej metafizyki. Lecz korytarz jest wszystkim wspólny. Wszyscy muszą iść tym korytarzem, jeżeli się chcą dostać do swoich pokojów.

Już z tej analizy wynika także, że pragmatyzm w innem znaczeniu, niż zwykle, pojmuje »prawdę«. Według pragmatyzmu prawda nie jest statyczną, nie jest jakąś stałą, odwieczną własnością rzeczy lub myśli. Na podstawie doświadczenia tworzymy pojęcia, sądy i teorye, ażeby za ich pomocą módz działać, ażeby

módz panować nad rzeczywistością. Stąd wynika instrumentalna czyli genetyczna teorya prawdy.

Co ona znaczy?

II. Teorya genetyczna prawdy.

Wszystkie nasze pojęcia, sądy, teorye, o których mówimy, że są prawdziwe, są dlatego prawdziwe, że wyrażają przekonanie nasze o istnieniu pewnej »rzeczywistości«. Rzeczywistością zaś, powiada Taylor w swej książce *Elements of Metaphysics*, jest to, o czem nasze prawdy sprawę zdawać mają.

Z tego punktu widzenia »rzeczywistość« rozpada się na trzy główne działy.

Pierwszy dział stanowią wszystkie nasze wrażenia zmysłowe. Te wrażenia narzucają się nam; one przychodzą nie wiemy skąd. One nie są ani prawdziwe, ani fałszywe, one po prostu są.

Drugi dział rzeczywistości stanowią stosunki istniejące między naszemi wrażeniami. Z tych stosunków jedne, jak np. przestrzenne i czasowe, są zmienne; inne są niezmienne i istotne, wynikające ze samej natury ich przedmiotów.

Wreszcie trzeci dział rzeczywistości stanowią stare prawdy, dawne nasze przekonania, które każde nowe badanie uwzględnić musi.

Zastanówmy się nad tem, jakie stanowisko zajmuje umysł ludzki wobec tej potrójnej rzeczywistości. Jakkolwiek te składniki są mniej więcej ściśle określone, możemy przecież nimi do pewnego stopnia według własnej woli szafować. Nie zależy od nas, że mamy takie właśnie, a nie inne wrażenia, że dana rzeczywistość znajduje się w takich, a nie innych stosunkach, lecz od nas zależy, na które czynniki z nich zwracamy uwagę i na które w naszych rozumowaniach kładziemy nacisk. Zależnie od tego wyboru dochodzimy do innych prawd. Orzeczenia nasze o danej rzeczywistości zależą więc od każdorazowej perspektywy. Rzeczywistość sama jest niemą; rzeczywistość jest klientem, który swoją sprawę powierzył adwokatowi i teraz na sali sądowej tylko biernie słucha, co adwokat uważa za stosowne powiedzieć.

Taksamo mamy pewną swobodę w korzystaniu ze stosunków istniejących między naszemi wrażeniami. Możemy te stosunki ugrupować w szeregi i klasy, możemy z naszych przekonań zbudować całe systemy, jak logikę, geometryę, arytmetykę. W każdym z tych systemów forma i porządek całości jest dziełem ludzkiem.

Lecz wybierając tak wrażenia i ich stosunki, grupując je w rzeczy lub pojęcia ogólne opieramy się zawsze na dawnych naszych prawdach, stoimy na gruncie całego naszego życiowego dorobku. Każda godzina przynosi nam nowe wrażenia, nowe fakty czuć i stosunków, lecz łącząc je z dotychczasowem doświadczeniem przekształcamy je niejako, nadając im także formę ludzką. I tak pokazuje się, że niema żadnej rzeczywistości niezależnej od naszego myślenia. I dlatego nazywa pragmatysta Schiller naukę uczącą, że wszystkie nasze prawdy są wytworem ludzkim, »humanizmem (*humanism*)«. Ludzkie pobudki kierują naszemi pytaniami, ludzkie zadowolenie tkwi w naszych odpowiedziach, wszystkie nasze formuły wiąże ze sobą wstęga utkana z ludzkich nitek. Świat jest więc bezkształtną masą (ὕλη), jest tem, co my z niej robimy. Jakkolwiek poznanie nasze zawiera czynniki przedmiotowe i podmiotowe, to jest to jednak rzeczą zupełnie niemożliwą rozróżnić jedne od drugich.

Z tego wyciąga teraz pragmatyzm wniosek bardzo ważny. Jeżeli świat jest bezkształtnym chaosem, jeżeli porządek i ład doświadczenia naszego od nas zależy, to rozszerzamy w takim razie rzeczywistość, wzbogacamy ją, udoskonalamy ją. Zadaniem naszem nie jest więc w umyśle odzwierciedlić tylko daną rzeczywistość, jak to teorya statyczna prawdy twierdzi. Zadanie nasze jest o wiele wznioślejsze. Dotychczasowe doświadczenie i każde nowe doświadczenie powinno podniecić nasz umysł do takiego rozszerzenia rzeczywistości, któreby podwyższyło wartość wszechświata. Jesteśmy twórczymi tak w poznaniu jak i w działaniu.

Istotna różnica między racyonalizmem a pragmatyzmem polega więc na tem: dla racyonalizmu rzeczywistość jest od wieków cała i skończona, dla pragmatyzmu nie jest jeszcze ukoń-

czona, lecz rozwija się dalej i oczekuje swego wydoskonalenia od przyszłości.

Według filozofii pragmatycznej świat jest jeszcze czemś chaotycznem, anarchicznem; brak jej jeszcze tej wykończonej całości, jedności i harmonii. Taki świat nieuporządkowany robi na racyonalistę podobne wrażenie, jak wolność prasy na starego urzędnika rosyjskiej cenzury lub uproszczona ortografia na niemłodą już nauczycielkę. Lecz dla pragmatysty właśnie taki świat jest niezmiernej doniosłości, albowiem pobudza go skutecznie do pracy, do wytężania się.

Pragmatyzmowi nie chodzi zatem o to, czy jakieś pojęcie lub dany sąd jest wiernem odbiciem rzeczywistości przedmiotowej; widzieliśmy bowiem, że nie może nigdy tego dokładnie i pewno poznać; lecz chodzi mu przedewszystkiem a nawet wyłącznie o to, czy dane pojęcie, dany sąd lub dana teorya uzdalnia człowieka do wzbogacenia i udoskonalenia rzeczywistości. Prawda staje się więc, jeżeli oczekiwane wzbogacenie rzeczywiście w obliczonych warunkach następuje. Prawda pewnego pojęcia nie jest nieruchomą, osobną własnością tego pojęcia. Prawda jest dla tego pojęcia wydarzeniem. Pojęcie staje się prawdziwem, sprawdza się w wypadkach. Jego prawda jest w rzeczy samej wypadkiem, aktualnością.

Zrozumiemy teraz już dobrze, dlaczego pragmatyzm mówi o »genetycznej« lub »instrumentalnej« teoryi prawdy. Prawdę należy pojąć genetycznie, gdyż nie tkwi od wieków ani w rzeczach ani w sądach, lecz staje się przez to, że ją uznajemy, że z niej korzystamy, by wpłynąć czynnie na bieg wypadków. Prawdziwe wyobrażenia są zatem takie, które sobie przyswajamy, którym możemy nadać siłę i znaczenie, które sprawdzić, urzeczywistnić możemy. Wszystkie zaś wyobrażenia, przy których tego czynić nie możemy, są fałszywe.

A ponieważ takie wyobrażenia, które nas uzdalniają do czynu, do pracy, do wzbogacenia rzeczywistości, są niejako narzędziami tej pracy, dlatego mówi pragmatyzm o instrumentalnej teoryi prawdy. Kto posiada prawdziwe myśli, ten posiada zarazem nader cenne środki działania. Przypomnijmy sobie, do jak olbrzy-

mich, podziwienia godnych wyników doprowadziła teorya Kopernika, Newtona lub Keplera, lub do jakiego stopnia wzbogaciła się rzeczywistość teoryą Faradaya, Lorda Kelwina, Maxwella, Hertza, Roberta Mayera i innych! Prawdziwe myśli są niejako drogowskazami do kopalni złota, są przewodnikami na wysokie, na pozór nieprzystępne góry, z których roztacza się przed zdumionem okiem wspaniały widok. Prawda nie jest jakąś oderwaną istotą metafizyczną, lecz jest tylko słowem obejmującem wszystkie poszczególne, konkretne prawdy, które powstają w biegu doświadczenia, które się rozwijają podobnie jak zdrowie, bogactwo, siła ciała. Wszystkim tym poszczególnym prawdom jest tylko to wspólne, że każda z nich się opłaca, że doprowadza do wyniku dla nas dobrego i korzystnego. I właśnie ta korzyść, jaką nam nasze prawdziwe myśli przynoszą, jest jedyną pobudką do uznawania ich. Skoro tylko ta korzyść znika, myśl przestaje być prawdziwą, jest fałszywą. I o tyle myśl jest prawdziwa, o ile nam korzyść przynosi. Każda myśl, która prowadzi nas z jednej części naszego doświadczenia do drugiej, która rzeczy celowo łączy, każda myśl, która pracuje, upraszcza, oszczędza pracę, jest właśnie w tym zakresie i w tym stopniu prawdziwą, o ile tego wszystkiego dokazać jest wstanie. Gdyby prawdziwe myśli nic w sobie nie zawierały, coby było dobrem dla życia, albo gdyby znajomość tych prawdziwych myśli była wprost szkodliwą, a fałszywe myśli były nam jedynie korzystne, z pewnością nie nazywanoby prawdę Boską wzniosłą i szlachetną, nie uważanoby tego za obowiązek, by dążyć do prawdy.

Widzimy zatem, że ostateczne kryteryum prawdy według teoryi genetycznej jest korzyść, zysk, jaki nam dane poznanie przynosi. Pragmatyzm odwraca przyjęty stosunek między prawdą a dobrem. Nie dlatego rzecz lub poznanie jest czemś dobrem, że jest prawdziwem, lecz na odwrót dlatego i o tyle jest prawdziwem, że i o ile jest dobrem, dla nas korzystnem. W pragmatyzmie niema mowy o kryteryum przedmiotowem prawdy. Nie można się uciekać ani do oczywistości, ani do przedmiotowej zgody między naszem poznaniem a rzeczywistością. Każda prawda

ma wprawdzie czynniki przedmiotowe, lecz widzieliśmy, że według teoryi pragmatycznej nie możemy nigdy wyróżnić tych czynników przedmiotowych od podmiotowych. Jak w teoryi empiryokrytycznej Avenariusa introjekcya każde poznanie nasze przenika i przekształca, tak i w pragmatyzmie niema ani jednej rzeczywistości poznanej, któraby nie była zmienioną przymieszkami ludzkiemi.

Przypatrzmy się nieco bliżej teoryi genetycznej prawdy. Słyszeliśmy, że według filozofii pragmatycznej rzeczywistość składa się z trzech czynników: z wrażeń zmysłowych, ze stosunków, czy to wiecznie stałych czy też zmiennych między temi wrażeniami, i wreszcie z całego systemu dawnych prawd i przekonań, do jakich myśmy w ciągu życia sami doszli, albo któreśmy z dotychczasowej nauki i tradycyi czerpali. We wszystkich trzech czynnikach pragmatyzm widzi wpływy podmiotowe. Wszędzie, w każde poznanie wciska się człowiek ze swoją indywidualnością, ze swojemi skłonnościami, zamiarami, planami.

Co się dzieje, gdy człowiek spotyka się z nowym faktem, z nową prawdą? Taka nowa prawda zwraca w wysokim stopniu uwagę na siebie. Chcąc sobie przyswoić nową prawdę człowiek łączy ją z dawnemi. Lecz tu pokazuje się nieraz pewna sprzeczność między nowym nabytkiem a dawnymi zasobami wiedzy. Albo nowe poznanie budzi w nas pragnienia, których stare przekonania zaspokoić nie są w stanie. Powstaje zamęt w naszej duszy. Dążymy przeto z natury rzeczy do usunięcia tego niepokoju, i nie mogąc unieważnić nowego faktu lub nowej prawdy, zmieniamy powoli dawne nasze przekonania dopóty, dopóki nie są w zgodzie z nową prawdą. Ratujemy z dawnych skarbów tyle, ile możemy, gdyż w takich sprawach jesteśmy wszyscy bez wyjątku skrajnymi konserwatystami. Szukamy jakiejś idei pośredniej, mogącej połączyć nowy fakt z dawnemi przekonaniami. I tak przedstawia się nasz postęp intellektualny, jakby jakieś zadanie maximalne; chodzi nam zawsze o to, by sobie przyswoić nowe wiadomości przy najmniejszej zmianie dawnych, a przy maximum ich łączności. Nowa teorya jest zawsze o tyle prawdziwą, o ile

może zaspokoić nasze pragnienie połączenia nowych doświadczeń z dawnemi przekonaniami.

Z tego wynikałby więc zupełny relatywizm całego naszego poznania.

Nie ulega żadnej wątpliwości, że w tej analizie pragmatycznej tkwi dużo prawdy. Będąc dobrym psychologiem, William James mógł zwrócić uwagę na szczegóły psychologiczne, dotąd mniej może znane albo raczej mniej uwzględnione i zbadane. Lecz z drugiej strony niema też żadnej wątpliwości, że pragmatyzm czyli humanizm w tym subjektywizmie i relatywizmie za daleko się posuwa. Boć najpierw, jak zresztą sam James przyznaje, same czynniki wchodzące w całość naszego doświadczenia są przedmiotowe. Mogę wprawdzie między nimi te lub owe wybierać, mogę je w ten lub ów sposób uporządkować, lecz że mi właśnie te składniki są dostarczane, to już od mojej woli nie zależy. I tak samo stosunki między wrażeniami, rzeczami lub pojęciami, czy to będą zmienne stosunki przestrzenne i czasowe, czy też wieczne, niezmienne stosunki logiczne lub metafizyczne, bynajmniej od mojej woli nie zależą. Czy myślę o własnościach czasu i przestrzeni lub nie, to zależy oczywiście odemnie; lecz skoro myślę o tych własnościach, nie moją już jest rzeczą przypisać przestrzeni trzy wymiary lub nieskończoność. Tak samo mogę myśleć o tem, że dwa razy dwa jest cztery lub nie, mogę myśleć lub nie, że jakaś rzecz nie może w tym samym czasie i pod tym samym względem zarazem być i nie być; mogę myśleć lub nie, że każda rzecz, każde zjawisko, każda prawda domaga się dostatecznej racyi, ale jeżeli myślę o tych zasadach, uznanie lub nieuznanie ich nie zależy już od mojej woli.

Błąd, w jaki tu pragmatyzm popada, jest zbyt oczywisty. Z tego, że każde poznanie zawiera w sobie czynniki względne, subjektywne, pragmatyzm wnioskuje od razu, że niema zgoła czynników przedmiotowych i bezwzględnych, lub przynajmniej, że ich poznać nie możemy.

Nie potrzeba mieć głębokiego wykształcenia filozoficznego, by na pierwszy rzut oka rozwiązać trudności postawione przez Jamesa. James powiada, że pojmujemy rzeczywistość w ten lub

ów sposób odpowiedni naszym zamiarom, że rzeczywistość tej różnorodności pojmowania nie stawia żadnych przeszkód. Możemy naprzykład liczbę 27 pojąć jako trzecią potęgę liczby 3, albo jako iloczyn z 3 i 9, albo jako sumę z 26 i 1, albo jako różnicę z 100 i 73 i tak niemal bez końca. Możemy w szachownicy widzieć albo czarne pola na białem tle albo też białe pola na czarnem tle.

Pytajmy się pierwszego lepszego człowieka, czy te lub tym podobne przykłady udowadniają zupełną względność i subjektywność naszego poznania. Jeżeli choć trochę ma zdrowego rozsądku, powie, że to jest rzeczą zupełnie oczywistą, co James mówi, lecz że przecież właśnie te same przykłady są także dowodem na istnienie prawdy bezwzględnej, przedmiotowej, jakoteż na możliwość poznania tej prawdy. Albowiem we wszystkich sposobach pojmowania liczby 27 zawierają się bezwzględne zasady matematyczne i logiczne. Gdybyśmy na chwilę przypuścili, że zasada tożsamości nie jest bezwzględnie prawdziwą, nie moglibyśmy już uważać liczbę 27 raz jako trzecią potęgę liczby 3, a drugi raz jako iloczyn z 3 i 9. Ponieważ 9 jest tylko znowu 3 razy 3 lub 3 do drugiej potęgi, więc na podstawie zasady tożsamości 3 razy 9 jest także 3 razy 3 razy 3, albo 3 razy 3 do drugiej potęgi czyli 3 do potęgi trzeciej. Znieśmy zasadę tożsamości, powiedzmy, że ta zasada jako czysto względna i subjektywna nie może obowiązywać bezwzględnie, a możemy dojść do tego wyniku, że 3 do trzeciej potęgi da nam inną liczbę aniżeli 3 razy 9, lub że 27 w pierwszym wypadku ma inną zgoła wartość liczbową aniżeli w drugim.

Tu powie nam może p. James: przepraszam bardzo; takie wnioski nie zgadzają się z zasadami mojej filozofii. Gdybym bowiem choć na chwilę przypuścił, że zasada tożsamości nie jest bezwzględną, wieczną i konieczną, i gdybym do tego przypuszczenia stosował moją metodę pragmatyczną, przekonałbym się od razu o fałszywości podobnego założenia. Albowiem takiem założeniem nie mogę pracować, takie założenie nie jest środkiem do zabezpieczenia i tem mniej do udoskonalenia bytu. Zatem takie założenie jest fałszywe.

Lecz w tej odpowiedzi tkwi drugi błąd zasadniczy genetycznej teoryi prawdy. Pragmatyzm twierdzi, że każde pojęcie, każdy sąd, każda teorya jest prawdziwą, jeżeli stosowana do wypadków świata się urzeczywistnia. Więc korzyść lub dobroć biologiczna ma być kryteryum i normą prawdy. Owszem korzyść poznania stwarza dla nas zarazem przedmioty poznania.

Zarzucano pragmatyzmowi, że w takim razie wystarczyłoby zwrócić w jakiejś teoryi, w jakiem pragnieniu uwagę na korzyść stąd wynikającą, by pragnienie lub teorya stały się tem samem prawdziwemi.

Pragmatyści bronią się z całą energią przecież podobnemu tłumaczeniu. Nie o to chodzi, mówią, że ta teorya dla jednej lub drugiej jednostki jest korzystną ani też, że jest może w pewnym czasie korzystną, lecz należy zarazem uważać na to, czy ta teorya, o której prawdę chodzi, z całym dotychczasowym aparatem wiedzy i doświadczenia całej ludzkości się zgadza.

Lecz w takim razie upada już zasadnicze twierdzenie pragmatyzmu. W kryteryum wziętem do pomocy tkwią już zasady logiczne, zasada tożsamości i niesprzeczności, zasada racyi i t. d. Czy te zasady znowu są tylko prawdziwemi dlatego, że są korzystne? W takim razie obracałby się pragmatyzm w błędnem kółku.

Zresztą przypuśćmy na razie naukę pragmatyczną. Ponieważ zasady tożsamości, dostatecznego powodu i t. d. mają znaczenie powszechne, bezwzględne i konieczne, więc możnaby na podstawie genetycznej teoryi prawdy wnioskować, że stosowanie tych zasad przynosi w życiu zawsze i wszędzie i koniecznie korzyść.

Czy tak jest?

W olbrzymiej ilości wypadków rzecz się ma raczej przeciwnie. Czy to jest np. rzeczą korzystną, że małe uchybienie, nieostrożne słowo pociąga za sobą na podstawie zasady przyczynowości skutki nieraz straszne, wojny i mordy? Czy to jest rzeczą korzystną, że zasada tożsamości zmusza mnie dzisiaj siedzieć w pokoju i pracować, podczas gdy miłe słoneczko jesienne tak się natarczywie doprasza, bym wyszedł na świeże powietrze? Gdybym mógł usunąć zasady matematyczne, niejeden nie musiałby

ciężko pracować, by sobie zarabiać na nędzne utrzymanie; kilka groszy wystarczyłoby mu na całe życie, albo mógłby nawet bez wszystkiego żyć jak król.

Zapewne przykłady te wydają się przesadnymi. Przyznajemy. Lecz przytoczyliśmy je w tym celu, ażeby pokazać, do jakich niedorzeczności doprowadza instrumentalna teorya prawdy, jeżeli się ją konsekwentnie do wszystkiego stosuje.

James powiada, że nie nazwalibyśmy nigdy prawdy boską, gdyby nam nie przynosiła żadnej korzyści, lecz szkodę. Na pierwszy rzut oka takie twierdzenie jest uderzające. Lecz przy dokładniejszem zastanowieniu się widzimy, że to twierdzenie opiera się najpierw na niemożliwem założeniu, i że po drugie nawet nie zgadza się z faktami. Jak byt jest bytem, tak z metafizycznej natury swojej jest dobrym i dla siebie i przynajmniej częściowo dla innych bytów. Gdyby prawda nie przynosiła żadnej korzyści, nie byłaby wcale rzeczywistością, lecz czczą, gołą nicością. Gdyby prawda nie przynosiła korzyści, lecz tylko nieprawda, wynikałoby z tego tylko, że James nie byt, nie rzeczywistość, lecz co innego urojonego tylko nazywa prawdą. To trzeba bowiem pragmatyzmowi przyznać, że możemy nadużywać wyrazu prawdy i używać go tam, gdzie nie jest na miejscu. Lecz zmienić pojęcie prawdy, istotę prawdy: to nie jest w naszej mocy. Ponieważ zwłaszcza przy skomplikowanych teoryach, przy dalekich wnioskach z przesłanek choćby najbardziej oczywistych, oczywistość przedmiotowa nieraz jest bardzo słaba, a często nawet pewnemu tylko prawdopodobieństwu ustępować musi, więc łatwo zdarzyć się może, że uważamy coś za prawdę, co w rzeczy samej nią nie jest. Według pragmatyzmu pewna teorya np. kosmogoniczna lub fizyczna może przez jakiś czas być prawdziwą, choć się później pokazuje, że w rzeczy samej była błędną. Według nas taka teorya nie jest prawdziwą, lecz jej większe lub mniejsze prawdopodobieństwo, jej zgodność z faktami wywołuje w nas tylko pewną oczywistość subjektywną. Słabość naszego umysłu jest przyczyną, że nieraz ogłaszamy pewną teoryę za nieomylną, przedmiotową prawdę. Lecz nie winmy prawdy, jeżeli się później pokazuje, że tak nie było.

We filozofii pragmatycznej każde poznanie nasze jest zu-

pełnie podmiotowe i empiryczne. Nie możemy mieć pewnego poznania o czynnikach pozadoświadczalnych; nie możemy nigdy poznać bytu w sobie. Filozofia pragmatyczna wyklucza więc w samych założeniach swoich wszelką metafizykę. A jeżeli się gdzie skłania do teoryi i poglądów metafizycznych, stanowisko jej względem takich poglądów jest zgoła inne. I w pragmatyzmie można wprawdzie roztrząsać kwestyę istnienia Boga, jego istoty i własności, jego stosunku do świata, można roztrząsać kwestyę istnienia i wartości religii i wiary, lecz wszystkie te problemy przedstawiają się w innem niż zwykle oświetleniu.

III. Problem teologiczny w pragmatyzmie.

Nie potrzeba nam już szeroko rozwijać pragmatycznej teologii i filozofii religii. Teorya instrumentalna prawdy i wogóle poznania, zawierają w sobie, jak ziarno w sobie zawiera całą przyszłą roślinę. Jeżeli tylko takie poznanie jest prawdziwe, którem można działać, zapomocą którego można ulepszyć byt w przyszłości, jasną jest rzeczą, że kwestya istnienia Boga lub kwestya prawdziwości jakiejś religii zależy jedynie od tego, czy przypuszczenie istnienia Boga lub prawdziwości religii jest takiem poznaniem. Więc pragmatyzmowi wcale o to nie chodzi, czy rzeczywiście Bóg osobisty, bezwzględny, nieskończenie doskonały, stwórca świata, istnieje lub nie, czy mamy dowody na takie przedmiotowe istnienie lub nie. I również pragmatyzm wcale się o to nie troszczy, czy jedna z rozlicznych form religijnych, jakie istniały i jeszcze istnieją, jest prawdziwie objawioną przez Boga, obowiązującą i powszechną lub nie.

Jak w każdem poznaniu i wogóle każdem zjawisku psychicznem pragmatyzm tylko tego żąda, żeby było zgodne z resztą jaźni i żeby było zdolne pobudzić człowieka do czynu, do reakcyi biologicznie korzystnej: tak i do zjawisk religijnych przykłada wyłącznie tę miarę podmiotową i biologiczną. Zatem wiara jest czemś wyłącznie podmiotowem, nie przedmiotowem. A jeżeli wiara zawiera w sobie także czynniki przedmiotowe, to nie wpływają one zgoła na jej prawdziwość lub nieprawdziwość.

Więc wiara jest zjawiskiem psychicznem, opartem wyłącznie

na uczuciu i woli, mianowicie o ile ma człowieka pobudzić do czynu, opartem może jeszcze na jakiejś myśli, o ile wiara się zwykle łączy z poglądem na świat teistycznym lub panteistycznym, lecz nie jest opartą na przedmiotowem, pewnem, filozoficznie uzasadnionem poznaniu.

Więc dalej wiara jest wytworem czysto ludzkim, nie darem Bożym, jest objawem życiowym równorzędnym z innemi zjawiskami przyrodzonemi, nie czemś nadprzyrodzonem, Boskiem. Jak w rozwoju biologicznym zwierzę lub roślina to wszystko sobie przyswaja, co służyć może we walce o byt: tak i w człowieku religia i wiara w Boga jest tylko biologicznym objawem rozwijającego się życia. Prawdziwość religii zależy jedynie od tego, że dany osobnik wierzy w jej siłę twórczą w ciągu dalszego życia swego. Wiara jest pewnym jakby ideałem: póty ideał pobudza do czynu i roznieca zapał do pracy, póki istnieje to głębokie przekonanie o jego mocy.

Dla różnych osobników różne istnieją ideały. Ten pragnie dojść do wpływu i bogactwa, tamten chce odchylić zasłonę kryjącą odwieczne tajemnice świata, inny zaś widzi swój ideał w jednolitem wyrobieniu swego charakteru na wzór wielkich bohaterów cnoty i męczeństwa. Dla każdego ideał jest sprężyną życia, pracy i ofiar. W podobny sposób rozmaite religie mogą wywierać wpływ zbawienny na jednostki i całe narody. Tak więc dla różnych ludzi, narodów i czasów różne religie mogą być prawdziwe. I jak religijne wierzenia, tak samo ich tło, metafizyczny pogląd na świat, może być różne, a mimo to prawdziwe. Jest to więc ze stanowiska pragmatycznego usiłowaniem zupełnie zbytecznem i bezowocnem, chcieć jak dotąd rozumowaniem rozstrzygnąć odwieczny spór między teizmem, panteizmem i ateizmem. W zasadzie każdy z tych poglądów ma równe uprawnienie. Rozstrzygnięcie kwestyi, do którego z tych poglądów należy się przyłączyć, zależy jedynie i wyłącznie od tego, który z tych poglądów najbardziej odpowiada instrumentalnej teoryi prawdy.

Oto niektóre konsekwencye wynikające z pragmatycznej teoryi poznania. Już z tego wynika, że ani metafizyka, ani religia nie ma żadnej wartości przedmiotowej, naukowej.

Na pierwszy rzut oka mogłoby się wydawać, że nasze wnioski nie odpowiadają temu, czego pragmatyzm rzeczywiście uczy. James zaczyna zaraz pierwszy odczyt o pragmatyzmie znamiennemi słowy Chestertona: »Są ludzie, — i ja do nich należę — którzy za praktycznie najważniejszą rzecz u człowieka uważają jego pogląd na świat. Dla gospodyni mającej do czynienia z przyszłym lokatorem ważną jest rzeczą, że zna jego dochody, lecz ważniejszą dla niej rzeczą jest znajomość jego filozofii. Dla wodza walczącego z nieprzyjacielem ważną jest rzeczą, by znał jego siłę wojskową, lecz jeszcze ważniejszą, by znał filozofię nieprzyjaciela. Owszem, według mojego przekonania nie o to chodzi, czy pogląd na świat człowieka wywiera wpływ na jego otoczenie, lecz raczej o to, czy wogóle co innego prócz podglądu na świat taki wpływ wywiera«.

I później roztrząsając zagadnienie metafizyczne, czy świat prowadzi ostatecznie do jedności, czy też jest tylko sumą niezależnych od siebie czynników, powiada, że sam po długiem rozmyślaniu nad tem zagadnieniem doszedł do tego przekonania, że pomiędzy wszystkimi problemami filozoficznymi ten jest najbardziej centralny, właśnie dlatego, że jest tak brzemienny w skutkach swoich. »Chcę przez to powiedzieć — ciągnie James dalej — że jeżeli wiemy o pewnym człowieku, czy jest stanowczym monistą albo stanowczym pluralistą, my o jego innych zapatrywaniach więcej wiemy, jak gdybyśmy mu dali jakąkolwiek inną nazwę kończącą się na ista. Wiara w jedność i wiara w mnogość: oto podział zawierający w sobie największe bogactwo skutków«.

Stosując więc tę zasadę także do pragmatyzmu Jamesa pytamy się: jakie stanowisko zajmuje pragmatyzm wobec problemu monistycznego i pluralistycznego? Przekonamy się, że nasze wnioski wyciągnięte z pragmatycznych podstaw teoryopoznawczych zgadzają się z nauką samychże pragmatystów.

Otóż James powiada, że można świat z rozlicznych pobudek uważać za jedność. Swiat jest jednolitym przedmiotem naszego myślenia; znajduje się w nim pewnego rodzaju ciągłość, ciągłość zależąca często na wzajemnem oddziaływaniu lub na istnieniu

pewnych praw, obejmujących całe szeregi zjawisk; znajduje się w nim jedność przyczynowości, jedność gatunkowa, jedność celowa, jedność estetyczna i t. d. Lecz wszystkim tym rozważaniom można przeciwstawić inne, które z równą siłą pokazują, że świat nie jest jednością, lecz zbiorem rozlicznych, mniej lub więcej od siebie niezależnych jestestw. Owszem, gdyby się nasz rozum był w równej mierze interesował podziałami jak połączeniami, filozofia byłaby może z tym samym skutkiem głosiła niejedność świata.

Racyonalizm nie zadowolił się tem uznaniem jedności narzucającej się nam już przy najpowierzchowniejszem badaniu świata, lecz dążył zawsze i wszędzie do ustanowienia jedności bezwzględnej, metafizycznej. Do tego upragnionego celu doszedł dwiema drogami. Racyonalizm panteistyczny czyli monistyczny uważa cały świat empiryczny za bezwzględną, niepodzielną jedność; wszystkie pojedyncze rzeczy i wypadki są li tylko pozorami, sposobami objawiania się tego Absolutu na zewnątrz. Racyonalizm teistyczny zaś nie chce tej aż nadto widocznej różnorodności świata w jakimś bycie metafizycznym utożsamiać, lecz dochodzi do pojęcia bytu nadempirycznego, bytu odrębnego od świata, będącego bezwzględną przyczyną sprawczą i zarazem ostatecznym celem jego.

Lecz według pragmatyzmu ani pierwsze ani drugie rozwiązanie nie jest prawdziwe. Racyonalizm panteistyczny i monistyczny grzeszy tem, że lekceważy całe nasze doświadczenie, że stawia pragnienie na miejsce rzeczywistości, myśl oderwaną na miejsce konkretnego bytu. Racyonalizm zaś teistyczny grzeszy pomieszaniem porządku logicznego z porządkiem ontologicznym. Ponieważ myśl szuka wszędzie jedności przyczyny i jedności celu, dochodzi wkońcu do tego przekonania, że istnieje jakiś byt przedmiotowy, będący tą właśnie jednością przyczyny i celu.

Z metodologicznych i teoryopoznawczych zasad pragmatyzmu wynika bezpodstawność i bezcelowość podobnych konstrukcyi metafizycznych. Świat jest o tyle tylko jednością, o ile w nim zauważamy połączenie różnych jego części. Lecz świat nie jest także jednością dlatego, że znajdujemy w nim różne rzeczy i wy-

padki nie łączące się ze sobą. Zatem świat nie jest po prostu jednem uniwersum, ani też po prostu jednem multiwersum. Dlatego pragmatyzm pyta się zawsze: jakie różnice praktyczne wynikają z przypuszczenia monistycznego lub pluralistycznego? Taki sposób pytania nie naraża nas na gorączkowy niepokój i prowadzi nas zupełnie spokojnie w szeroką rzekę doświadczenia.

Filozofia teistyczna uważa swego Boga za monarchę złożonego z całego szeregu niezrozumiałych i nienaturalnych przymiotów. Według jej określenia »deus est ens, a se, extra et supra omne genus, necessarium, unum, infinite perfectum, simplex, immutabile, immensum, aeternum, intelligens« etc. Czy podobne określenia zawierają w sobie cośkolwiek pouczającego? W tak szumnej szacie przymiotników mniej znaczą jak nicość. Tylko pragmatyzm może w nie włożyć jakieś znaczenie pozytywne; żeby zaś to mógł uskutecznić, nie chce nic wiedzieć o stanowisku intellektualistycznem. »Bóg jest w swojem niebie«, powiada, »i tak wszystko na świecie jest w porządku. Oto prawdziwe jądro naszej teologii i do tego nie potrzebujemy określeń racyonalistycznych«.

Nie można zaprzeczyć, powiada pragmatyzm, że pojęcie Boga jako absolutnego monarchy jest wzniosłe, że takie pojęcie jest w stanie dostarczyć umysłom pociechy religijnej. Lecz ze stanowiska pragmatycznego należy zaznaczyć, że takie pojęcie oddala się od dotykalnej rzeczywistości, że jest zbyt oderwane, klasztorne.

O ile więc pojęcie Boga przynosi tę pociechę religijną, nie jest zupełnie niepłodne, ma pewną wartość, spełnia konkretną funkcyę. Prawdziwy pragmatysta uznaje więc bez wahania Absolut w tym zakresie, w którym tę funkcyę spełnia.

Jaką jest ta funkcya, którą pojęcie Absolutu spełnia? Odpowiedź Jamesa na to pytanie jest bardzo ciekawą i dla pragmatyzmu w wysokim stopniu znamienną. Według Jamesa wierzący w Boga mają to na myśli: Ponieważ w Absolucie zło doczesne jest już pokonane, więc możemy, kiedykolwiek chcemy, uważać doczesność za potencyonalną wieczność, możemy mieć ufność w dobry wynik na końcu, możemy bez grzechu porzucić naszą bojaźń i pozbyć się trapiących myśli o doczesnej odpowiedzial-

ności. Sądzą po prostu, że możemy sobie tu i owdzie pozwolić na »wakacye moralne«, że możemy spokojnie patrzeć na bieg świata w tem przekonaniu, iż koniec jego leży w lepszych rękach, niż nasze, i że to nas nic nie obchodzi.

Podobne zapatrywanie jest może na miejscu w metafizyce panteistycznej lub monistycznej, według której my wszyscy jesteśmy tylko cząstkami istoty absolutnej, cząstkami podległemi koniecznym prawom wszechświata, bez wolności, a więc i bez odpowiedzialności. W metafizyce panteistycznej można sobie nie tylko tu i owdzie pozwolić na moralne wakacye, ale wszędzie i zawsze. Bezczynność etyczna jest koniecznym wynikiem podstaw panteistycznych.

Lecz dziwną doprawdy jest rzeczą, jak James może poglądowi teistycznemu podobne zapatrywania przypisywać. Prawda, że przekonanie o nieskończonej mądrości i dobroci Bożej napełnia nas niezachwianą ufnością nawet wśród najprzykrzejszych doświadczeń, lecz ta ufność nie pozwala nam na to, by spokojnie założyć ręce i powiedzieć sobie: jakoś to będzie! Bóg nas nie opuści! Mamy zupełne prawo do tego, by porzucić przesadną bojaźń, lecz z tem prawem łączy się surowy obowiązek zrobienia z naszej strony wszystkiego, co tylko jest w naszej mocy. Jeżeli gdzie, to właśnie w poglądzie teistycznym o »wakacyach moralnych« niema mowy!

Zdaje się, że pragmatyczna filozofia tylko dlatego etyczny kwietyzm tak jaskrawemi barwami maluje, by mogła swoją teoryę jak najbardziej zalecić. Według pragmatyzmu nie Bóg zbawia człowieka, lecz człowiek zbawia sam siebie. Nie potrzeba do zbawienia nadprzyrodzonej łaski, ani też całopalnej, za wszystkie grzechy zadośćczyniącej ofiary Boga-człowieka, lecz wystarczą przyrodzone siły każdej jednostki. Każdy powinien pracować ile może, powinien łamać przeszkody, pokonywać trudności i w ten sposób urzeczywistnić warunki, wśród których lepszy byt będzie możliwy.

Wielu, albo może nawet każdy z nas nosi w swem sercu ideały, za które gotów żyć i pracować. Każdy taki ideał przyczynia się do zbawienia świata, skoro jest urzeczywistniony. Lecz

różne te ideały nie są czczemi, oderwanemi możliwościami. Są możliwościami żywemi, dobrze uzasadnionemi, albowiem my jesteśmy ich rękojmią i bronią, a skoro uzupełniające warunki się spełnią, ideały nasze staną się rzeczywistością. A czem są te uzupełniające możliwości? To jest najpierw taki skład rzeczy, który nam w pełni czasu daje nadzieję, to jest wyłom, w który wskoczyć możemy, to jest wreszcie nasz własny czyn.

Oto w krótkich zarysach etyka i soteryologia pragmatyzmu. Może będzie się niejeden wahał taki pogląd nazywać jeszcze religijnym; mniejsza o nazwę. James określa swoją naukę, stojącą w pośrodku między brutalnym naturalizmem z jednej a transcendentalnym absolutyzmem z drugiej strony, jako »pragmatystyczny albo meliorystyczny typ teizmu« i wyraża nadzieję, że może ten właśnie pośredniczący typ będzie tem, czego dziś wielu potrzebuje.

Czy taki religijno-etyczny pogląd na świat jest zupełnie dobry i bezwzględnie prawdziwy, tego James nie ośmiela się rozstrzygać, »albowiem nie wiemy jeszcze, która forma religii w biegu czasu najskuteczniej działać będzie«.

Nie ulega wątpliwości, iż pragmatyzm jest wybitną reakcyą przeciw wszelkiemu skrajnemu intellektualizmowi i racyonalistycznemu monizmowi. Cała filozofia europejska jest dzisiaj mniej lub więcej wyraźnie monistyczną. Wszelki monizm zaś jest w istocie swojej racyonalistyczny, choćby się przedstawił w szacie skrajnego nawet empiryzmu i pozytywizmu. Monizm z natury rzeczy podkopuje samodzielność indywidualną, niweczy znaczenie fizyczne i moralne osobistości, zamienia człowieka w kółko tej olbrzymiej maszyny, którą nazywamy światem.

Stąd to objawia się w całej filozofii europejskiej, pomimo gorączkowego ruchu przemysłowego i naukowego, pewna niezgoda z konkretnemi potrzebami naszego życia, pewien brak energii, brak wyższych i skutecznych pobudek do intenzywnej, wytrwałej pracy. Rudof Eucken odczuł te braki może najlepiej ze wszystkich spółczesnych myślicieli i dał im w dziełach swoich dobitny wyraz. Mniej świadomie przejawia się to przekonanie gdzieindziej. Dlatego dzisiaj to niezadowolenie z dotychczasowej filozofii, szu-

kanie nowych dróg i widnokręgów. Coraz więcej zwracają się umysły do filozofii woluntarystycznej i aktywistycznej.

Lecz i te usiłowania najnowsze, nawoływania Euckena Wundta, Fouillé'go i innych są bez większych owoców, gdyż nie mogą zerwać z zasadniczym błędem monizmu.

Otóż w tej właśnie chwili przychodzi do nas z poza oceanu nowa filozofia, młoda i pewna siebie, w kwiecie wieku, jakby silny powiew z dziewiczych lasów amerykańskich. W jednej chwili zrywa ze zgubnemi przesądami racyonalizmu, i śmiejąc się z bezcelowych dyskusyi oderwanych, pokazuje nam, że w nas samych jest siła do podwyższenia bytu. I widać, że ta nowa filozofia jest w stanie rozniecić zapał i zachęcić do czynu. Ale chociażby nawet całą Europę do siebie nawróciła: misya jej jest tylko tymczasowa. O ile dzisiaj sądzić możemy, pragmatyzm oczyści naszą filozofię z przestarzałych przesądów, wyswobodzi nasze umysły z ciężkich kajdanów transcendentalnego idealizmu, zrzuci nam z oczu bielmo najniedorzeczniejszych teoryi, byśmy się znowu zdrowo na świat patrzeć mogli. Lecz na tem skończy się jej zadanie, i to tem prędzej, im większy będzie może jej tryumf w najbliższej przyszłości.

Pragmatyzm można uważać za katalizator umysłowy, przyspieszający nową i trwalszą syntezę filozoficzną. Sam do takiej syntezy dojść nie może. Jest on do tego zbyt subjektywistyczny i względny. Jego siła jest zarazem najsłabszą jego stroną. Sam James wyraził to, aczkolwiek nieświadomie, porównując pragmatyzm z protestantyzmem. Jak protestantyzm porzucił powagę przedmiotową i oparł się na czynnikach subjektywistycznych, tak też pragmatyzm nie zna prawdy przedmiotowej; jedyną jej miarą jest człowiek i jego korzyść biologiczna. Lecz historya uczy nas, że subjektywizm i relatywizm może tylko burzyć, nie budować.

Fryderyk Klimke.

Z POGADANEK STAREGO PEDAGOGA.

I.

Gdyby Zygmuntowski Stańczyk żył pośród nas, nie lekarzy, ale pedagogów, spotykałby wszędzie, na każdym kroku i w każdem miejscu, a zwłaszcza krytyków szkoły, systemu nauczania, planu naukowego, a szczególniej: ostrych, bezwzględnych krytyków nauczycielstwa. Ci krytycy profesorów, to przeważnie mamy, ciocie lub babunie uczniów, których »profesorowie prześladują«.

Z tymi krytykami można się rozprawić wesoło.

Co oni mówią o szkole? Przedewszystkiem narzekają na »ogromne przeciążenie uczniów« i na »wymagania profesorów«. Oczywiście mowa tu o szkole średniej, czyli o gimnazyach i szkołach realnych. Czy też to »przeciążenie uczniów« i owe »wymagania profesorów« na prawdę tak zabójcze? Ot, cofnijmy się wstecz o jakie lat pięćdziesiąt kilka. Żyją jeszcze ludzie, co wówczas na ławie szkolnej siedzieli, a ci, co na cmentarzach już śpią »snem nieprzespanym«, żyją w pamięci, w historyi, w czci narodu. Wtedy były w gimnazyach też same przedmioty nauki, co i dziś, a jakoś nie narzekano na przeciążenie. Więc może wymagania były mniejsze? może uczono lepiej? Ha! przypomnijmy sobie owe czasy. Uczono w języku niemieckim, a więc trudność uczenia się była większa, nawet ogromna. Tej trudności dziś niema. Książki, dla Niemców ułożone, zawiłe i suche, nie nęciły młodzieży polskiej i trudniejsze były,

gorsze od dzisiejszych podręczników. A może owi profesorowie, z przed dziesiątków lat, uczyli lepiej, a dzisiejsi źle uczą?

Przypatrzmy się, jak to bywało. Profesor botaniki (Niemiec) otwierał książkę szkolną (Billa) i mówił: *Das Grossgedruckte, Seite 9 bis 12 werden sie auswendig erlernen, das Kleingedruckte werden sie nacherzählen.* Następnej lekcyi wezwał do katedry pięciu uczniów i kazał recytować, a sam patrzył w książkę. Biada temu uczniowi, który bodaj jedno zdanie przekręcił; dostawał dziewiątkę *(ganz ungenügend).* Okazów, modeli, wzorów nie widywało się nigdy, chyba, że który student narwał ziela i do szkoły przyniósł, to wtedy profesor coś tam o tem powiedział i z daleka, z katedry, owo ziele pokazał. A dziś nauczyciel wykłada, wyjaśnia, każdą roślinę okazuje w modelu lub w zielniku, zbliża się do każdego ucznia z modelem, by mu się każdy spokojnie, dokładnie przypatrzył. Wykład powtarza uczeń najlepszy, potem średni, a gdy już i najsłabszy powtórzył, kończy się lekcya.

Kiedyż więc łatwiej?

A jak z botaniką, tak i z każdym innym przedmiotem nauki.

Ułatwień dziś w szkole tyle, ile bywało dawniej utrudnień i wszelkie utyskiwania na »przeciążenie« bywają tylko chorobliwem przeczuleniem sentymentu dla młodzieży. Natomiast szkoła narzekaćby mogła i powinna: na »ociężałość« młodzieży w nauce. Ta ociężałość widoczna i niepokojąca, a pochodzi z dwóch przyczyn: z nawału młodzieży do szkół średnich i z rozpieszczenia dzieciaków.

Z początkiem szóstego dziesiątka, w ubiegłem stuleciu, było jedno gimnazyum (św. Anny) w Krakowie, potem aż w Tarnowie, w Sączu (sześcioklasowe), w Rzeszowie. Dziś na tej połaci kraju: pięć gimnazyów w Krakowie i dwie szkoły realne; gimnazya: w Podgórzu, Wadowicach, Bochni, N. Targu, Dębicy, Mielcu, Jaśle, przyczem w Tarnowie i w Rzeszowie przybyły drugie gimnazya, a w Tarnowie szkoła realna. Zamiast więc czterech szkół średnich, mamy dziś, po pięćdziesięciu latach, aż dziewiętnaście w tym małym skrawku kraju naszego.

Ale niedość policzyć ilość szkół; trzeba policzyć ilość uczniów. Gimnazyum (zwane liceum) św. Anny, liczyło około 300 uczniów

i kiedy w r. 1854 utworzono drugi oddział I klasy (paralelkę), zdumiewano się w całym Krakowie, że takie w liceum przepełnienie. Dziś już nikomu nie dziwne, że każda szkoła średnia bywa u nas podwójną, niekiedy potrójną, skoro liczy po dwie, trzy, niekiedy po cztery paralelki, i to prawie we wszystkich klasach.

Czy ludność wzrosła tak bardzo? Jużcić że nie i szkoły nie przepełniają się skutkiem przyrostu ludności, ale skutkiem podnoszącego się poziomu umysłowego w coraz szerszych kręgach społeczeństwa. Dawniej oddawali rodzice do gimnazyum tylko bardzo zdolnych synów, dziś oddają wszystkich. Dawniej zastępy uczniów składały się przeważnie z synów warstwy ukształconej, a więc takich, którym i dom i wychowanie i otoczenie naukę ułatwiały. Z warstw mniej ukształconych, z ludu, garnęli się do szkoły tylko tacy, co błyszczeli nadzwyczajnym talentem. To też dawniej uczeń słabych zdolności należał do wyjątków, dziś wybitne zdolności bywają wyjątkami w tej masie.

Ten obniżony i obniżający się poziom zdolności umysłowych u tej masy młodzieży, cisnącej się do szkół średnich, utrudnia jej naukę; ale nie szkoła, nie jej wymagania. Szkoła nie może, pod względem planu i metody, wahać się i naginać z roku na rok do uczniów, bo tym sposobem byłaby zawisła od stosunków lokalnych i od przypadkowego zbiegu okoliczności. Gdyby szkoła nie stosowała się do tego, ile i czego uczyć należy, ale oglądała się jedynie na to, jak słaby materyał uczyć można, to wyrosłaby z tego zabawka w naukę, a prawdziwa nauka rozwinąćby się nie mogła.

Słuszne też uwagi, wypowiadane na różnych zebraniach, ankietach, w dziennikach i pismach, szkołą się zajmujących, aby kierować młodzież do szkół przemysłowych, handlowych, rolniczych, rękodzielniczych, wydziałowych. Nawet względy na podniesienie w kraju oświaty i stosunków ekonomicznych gorąco za tem przemawiają. Przepełnienie gimnazyów i szkół realnych jest wprost chorobliwą gorączką pchania się na stanowiska urzędników, adwokatów, lekarzy, a pogardliwem odwracaniem się od przemysłu, handlu, roli, rękodzieła.

Przepełnienie szkół jest dla edukacyi narodowej szko-

dliwe, ale szkodliwsze może rozpieszczenie młodzieży przez szkołę i rodzinę.

Za owych dawnych czasów, których się oczywiście ani nie chwali, ani żałuje, trzeba było w szkole »normalnej« bębnić od razu »Komeniusz«: *Entweder der Kaiser, oder der König regiert das Land,* potem wnet *Deutsche Sprachlehre.* Kuło się, bębniło od 7 roku życia, od razu ostro, co sił starczyło i dzieciak się hartował, do natężania umysłu i pamięci przywykał, to też potem w gimnazyum nie było mu dziwne wyuczanie się czterdziestu wierszy Iliady z dnia na dzień (autentyczne), wyuczenie się *Der Taucher* Schillera za dwa dni, wszystkich wędrówek ludów, według książki Pütza, od poniedziałku do środy.

Że taki system nauki nie rozwijał umysłu prawidłowo, że go nawet ogłupiającym słusznie nazywano, to pewna, ale dzisiejszy za to, acz kształci umysł, nie rozwija woli, nie budzi energii, a nawet krzewi miękkość i bierność charakteru. Szkoła ludowa metodą poglądową niekiedy rozpieszcza, za wiele ułatwia zrozumienie rzeczy; możeby lepiej było, aby dziecko napotkało jakieś trudności w nauce i pokonywać je musiało wytężeniem myśli. Dzieciak wstępuje do szkoły średniej nie nawykły do natężenia umysłu, cokolwiek bierny.

W szkole średniej znowu, instrukcya za instrukcyą przypomina, żeby chłopiec wszystkiego w szkole się nauczył. Więc i tu ułatwia się pracę, leje naukę do głowy, byle się po nią chłopiec sam nie schylił. Młodzież zatraca jędrność woli, energię myśli, leniwieje i staje się podobną do owego leniucha z bajki, co mu to matka dała ugotowane jaje. Nie chciał go, bo było nie obłupane.

Dawniej musiał student sam jajo ugotować, nawet paliwa i garnka poszukać, no i pożywił się. Dziś mu ugotowane dają, a to mu za mało; czeka, aby mu je obłupać, a może i do ust włożyć pokrajane.

Za owych czasów, gdy panowały: *Sprachzeichen, Komeniusz* i tym podobne środki pedagogiczno-dydaktyczne, zamykano do szkolnej »kozy« uczniów, co odważyli się czytywać polskie książki, a co najmniej: dawano im złe noty z obyczajów; a jednak pochłaniało się owe polskie książki, chociaż nauka w języku

obcym i to: do »kucia« na pamięć zniewalająca, zabierała czasu może i trzy razy więcej, niż dzisiejsza. Na figle, zabawy także czasu starczyło. Pamiętam dobrze, jak dorwawszy się »Wernyhory« Czajkowskiego, w trzeciej klasie gimnazyalnej, przeczytałem całe dwa tomy przez noc, przy łojowej świecy, zniewolony co chwila ją »objaśniać« (czyli knot na niej obcinać), a mimo tego nie spałem w szkole, złej noty nie dostałem i zdrów byłem. Czytanie polskich książek było wtedy dla nas największą przyjemnością, niemal szczęściem i czytywało się po piętnaście tomów miesięcznie. Dziś dostają uczniowie książki z bibliotek szkolnych, a czytują je prawie leniwie, jakby z musu. Za owych czasów wiersz patryotyczny, powieść historyczna, historya narodu, zapalały młode serca, młode fantazye, budziły w duszy porywy szlachetne; dziś nie wywierają wrażenia.

Myśmy »Widzenie księdza Piotra«, »Proroctwo kapłana polskiego«, »Psalmy przyszłości« mieli za świętość narodową i wierzyli w poezyę mesyaniczną, jakby w dogmat patryotyzmu. Chłopak szesnastoletni, w klasie szóstej gimnazyalnej, modlił się przy rannym i wieczornym pacierzu, aby Bóg mu pozwolił zginąć za ojczyznę śmiercią męczeńską.

Była w tem egzaltacya, było rozkołysanie uczuć i wyobraźni, ale one uszlachetniały, podnosiły moralnie, trzymały porywy młodziana wysoko, ponad kałużami życia, chroniły młodość i młodzieńczość od wczesnego zmarnienia.

Dzisiejsza młodzież bez zapału do lektury uczciwej, poważnej, przeważnie głucha na dźwięk patryotycznej nuty, nie ma owej egzaltacyi, co dawna, z przed pół wieku. Chłodniejsza, może roztropniejsza, ale też i nie młoda. Inne ma upodobania, inne przyjemności, nie licujące ani z jej wiekiem, ani ze stanowiskiem studenta, urągające niekiedy nie tylko szkolnym przepisom, ale wprost godności młodzieńczej.

A dlaczego? Bo jej za dobrze, za łatwo w szkole, za pobłażliwie w domu; bo nie hartowała woli zwalczaniem trudów nauki. Nie marudzę ja wcale, jakby to może komu wydawać się mogło, ale ubolewam, że szkoła za miękka. Rozmiękczamy młodzież, krzewimy w niej »wygodnictwo« i zabijamy charakter

przyszłych pokoleń. Chłopak, przyzwyczajony do tego w szkole, że mu się nadmiernie ułatwia naukę, pragnie potem, gdy wyrośnie, ułatwień pracy zawodowej, ułatwień życia. Zamiast oglądać się na własne siły i na nich polegać, woli szukać protekcyi, żebrać względów, używać blagi, byle łatwo osiągnął to, co się dawniej trudem i zasługą osiągało.

Rozpieszczona młodzież w domu, w szkole; owiana, a może już i przesiąknięta materyalizmem, lubuje się w wygodach, dostatkach, w użyciu i nadużyciu tego, co ją nęci, co dogadza wygodnictwu. Dawniej zeszła się gromadka zamożnych, dostatnio uposażonych akademików u kolegi Bolka we Lwowie, na »Kręconych słupach«, albo w Krakowie u Staszka przy Sławkowskiej ulicy. Każdy miał w kieszeni kawałek kiełbasy lub sera i bułkę, zawinięte w papier, trochę »tureckiego« za sześć centów. Bolek czy Staszek dali samowar i bawili się koledzy doskonale, śpiewali narodowe pieśni, opowiadali sobie o przeczytanych książkach, niekiedy zwierzali się z tajemnic serca, wzdychającego uczciwie do jakiejś kuzynki lub przyjaciółki siostry. Wesoło tam było, jasno w duszy i świat roztaczał się przed oczyma świetlany, dobry, uroczy; kochało się ten świat Boży, kochało ludzi, bo kochało się Boga, kochało ideały narodowe. Dziś »panowie« akademicy odbywają komersy po knajpach, a wychodzą z nich upojeni nie marzeniami młodości, lecz piwem, czy wódką.

W teatrze za Pfeifra, za hr. Skorupki była poezya, była literatura, sztuka, myśl artystyczna i narodowa, gdy po dyplomie październikowym wolno jej było objawiać się, przemawiać. Do teatru szła młodzież akademicka z zamiłowania literatury. Słowacki, dramaty Szujskiego (dziś zamknięte w bibliotekach, bo ze sceny je spędzają »Czary walców« i »Wesołe wdówki«), Szekspir, Schiller, Fredro, więc młodzież akademicka w teatrze uzupełniała literackie wiadomości. A chodziła na parter. Nie było w starym teatrze krzeseł na parterze; trzeba było stać. I stało się przez kilka godzin. A to nie biedacy, nie. Synowie zamożnej szlachty, z tytułami książęcymi i hrabiowskimi, synowie bogatych przemysłowców i kupców, profesorów uniwersytetu, wysokich urzędników. Z nich wyrośli ministrowie (Chłędowski), marszałkowie

kraju (Stanisław hr. Badeni), namiestnicy, arcybiskupi (ś. p. Jerzy hr. Szembek). Dziś lada sztubak, z jednym złotym paskiem, musi pchać się do loży, a bodaj do fotelu, bo... wygodniś, niewieściuch, no i... panicz.

Szło się na bal. Kawałek szynki z bułką w kieszeń fraka, w czasie pauzy szklanka piwa — i to starczyło. Tańczyło się do upadłego i nie trzeba było zasilać się kosztowną kolacyą, wzmacniać koniakiem, ba! nawet szampanem, najczęściej za pożyczane pieniądze. Młodzieniec dawny dobił się stanowiska, upatrzył sobie towarzyszkę życia i żenił się, nie patrząc w szkatułę rodziców panienki. Nie posagu szukał, jeno uczciwości i zdrowia. Od dziecka przywykły walczyć z »Komeniuszem«, »Sprachlerami«, nie bał się walki choćby z niedostatkiem. »Dzieckiem w kolebce kto łeb urwał hydrze, młodzieńcem zdusi centaury«. Myśmy w kolebce mieli hydry »Sprachzeichenów«, »Komeniusza«, dusiliśmy centaury »Pützów«, »Bilów«, a sięgali do nieba, jeżeli nie po laury, to po ideały, które płynęły z miłości Boga i ojczyzny. Dziś młodzieniaszek ani hydry, ani centaura nie widział, więc i nie dusił ich, to też gdy zyskał stanowisko, nie po laury czy ideały do nieba sięga, jeno po worek ze złotem, którego szuka we fartuszku panny. Wygodniś! Po co to naprężać siły do pracy, skoro można mieć posag, kupony, a za to życie wygodne, śniadanka i kolacyjki w knajpce, szlafroczek jedwabny, pantofelki na nogach, no — i na głowie. Dobrze żyć, a mało pracować, wiele wygody a mało trudu, to przecież takie mądre po dzisiejszemu!

Dawna młodzież gwizdała przy nauce, aż się szyby trzęsły, a dzisiejsza stęka przy niej, chociaż nauka lżejsza i w ojczystym języku. Rozleniwiona, rozpieszczona, więc stęka, podobna do owego niedźwiedzia, co mruczał, gdy gałąź nań spadła, a cicho siedział, gdy kłodę ze łba zrzucał. Trzeba twardszej ręki w szkole. Niech uczy, wyjaśnia, kształci, ale niech też uczniowi daje coś do przełamania, pokonania, aby umiał łamać się z życiem i pokonywać siebie i przeciwności losu. Na kilka lat przed śmiercią poruszał to Szujski i napisał rzecz wielce mądrą, wielce prawdziwą; wytykał szkole, że za daleko posuwa się w ułatwieniach i pieszczotach

i przez to osłabia hart ducha, tak bardzo potrzebny, zwłaszcza nam Polakom, a przyczynia się do krzewienia »niezdarów«.

Nie narzekać na »przeciążenie w szkole«, ale raczej pragnąć należy, aby młodzież więcej miała zajęcia.

* * *

Stały cztery fiakry parokonne pod kościółkiem św. Wojciecha i to wystarczało miastu. Żony adwokatów, lekarzy, urzędników, chodziły co tydzień na Podgórze piechotą, bo tam były tańsze krupy, tańsza mąka; chodziły na Kazimierz po łokciowe towary, bo w śródmieściu nie było żadnych handli żydowskich, a chrześcijańskich niewiele. No, i zdrowie tym paniom służyło, w lecie do Zakopanego nie wyjeżdżały, bo o Zakopanem nikt wtedy nie słyszał; siedziały przez lato w Krakowie, zdrowe były, wesołe. Z dzieciakami chodzili rodzice co dnia przed wieczorem na Błonia, do ogrodu Strzeleckiego, obiegali Planty, a w niedziele i święta ciągnęły gromady intelligentnych rodzin pieszo na Sikornik, na Wolę, na Panieńskie Skały, albo wozami na Bielany. Dzieciak nawykł do chodzenia, do wycieczek. Dziś kilkaset dorożek, sieć tramwajowa — nogi ludziom niepotrzebne. Dzieciaki jeżdżą tramwajem z Rynku do Parku Jordana, młodzież akademicka bez dorożki nie obejdzie się w mieście.

To już tylko po części wina rodziny, wina wychowania, bo właściwym winowajcą jest materyalistyczny prąd cywilizacyi, silący się na to jedynie, aby u w y g o d n i ć życie, a nie dążący wcale do tego, aby je u d o s k o n a l i ć. Ale o tem, potem, a tymczasem o panu Józefie.

To mój kolega z ławy szkolnej i przyjaciel. W szkołach był biedny bardzo; żył z udzielania lekcyi, z posługiwania profesorom (jak to dawniej często się działo); znał głód i chłód, ale twardą miał duszę, rąbał się przez świat i wyrąbał. Dziś ma stanowisko wybitne, imię szanowane, majątek dostatni. Jakoś lat temu z dziesięć, przychodzi do mnie i prosi, bym mu wyszukał korepetytora dla synów.

— A cóż to? nie posyłasz ich do szkoły?

— Chodzą do gimnazyum, ale chcę im dać pomoc w nauce.

— A ty miewałeś korepetytorów? co?

— Byłem biedny.

— A dziś jesteś bogaty, dlatego właśnie, żeś był biedny, żeś się musiał dobijać własną siłą wszystkiego. Hartowała cię bieda, i zahartowała.

— Żal mi dzieci. Nabiedowałem się dosyć, niech one mają lepiej na świecie.

— To też im lepiej, bo mają całe buty, dostatnie pożywienie, nie potrzebują na chleb zarabiać i na tem powinien być koniec. A ponieważ mają i czasu więcej do nauki i byt lepszy, niż ty miałeś, więc tem więcej i tem lepiej uczyć się chłopcy powinni. Dając synom korepetytorów, psujesz ich, rozmiękczasz. Korepetytor tam jedynie potrzebny, gdzie chłopak niezdolny, tępy; korepetytor u zdolnego, to trucizna. Wykierujesz chłopaka na leniucha »panicza« i puści prędko to mienie, któreś zebrał ciężką pracą. Nie rozpieszczać młodzieży, nie rozmiękczać, bo to zbrodnia na przyszłości narodu popełniona.

Pan Józef wysłuchał, potakiwał, ale wziął korepetytora. Chłopaki w szkole nie uważają, sami głowy nie natężają, bo korepetytor przyjdzie i w głowę wleje, zadania powyrabia. Stają się umysłowo bierni, ospali, nieporadni, ale za to znają najlepsze bilardy, wszelakie kawiarnie.

Takich ojców setki, a tysiące takich, co od ust sobie ujmują, byle korepetytora opłacić. Ze słabości rodzicielskiej to płynie, ale i z demokracyi, dziwnie nieraz pojmowanej. Ponieważ syn właściciela majątku ziemskiego (»obszarnika«), albo syn bogatego przemysłowca (»kamienicznika«), chłopak nie bardzo zdolny, albo może tylko spieszczony, ma korepetytora, dlaczegóżby nie miał go mieć syn urzędnika (»biedaka«), syn adwokata, skromniejszego kupca, boć cóż lepszego ów »obszarnik«, czy »kamienicznik«?

Ot, i wyrastają chłopaki, co nie tylko centaura nie zduszą, ale nawet od muchy się nie ogonią.

Byłoby chorobliwym pesymizmem i krzywdzącą młodzież niesprawiedliwością, gdyby się nie uznało i nie przyznało, że i dziś bywają tacy, co idą śmiało i wytrwale przez grudy życia, co walczą o kęs chleba, zwalczają biedę, a co więcej: zwalczają

ponęty i pokusy, niszczące nicponiów, i zwycięsko stają u celu. Szczególniej młodzież włościańska dostarcza zastępu chłopaków prawdziwie dzielnych, ożywionych szlachetnym zapałem do pracy i życia. Bywają tacy, prawdziwie dzielni, nie gorsi, a może i lepsi i tęższi od tych, co byli pół wieku przed nimi, ale to wybrane tylko, małe gromadki, wśród tłumu »wygodnisiów«.

II.

Zabójczą plagą szkolnictwa jest rozpolitykowanie młodzieży i wyrastająca z niego pajdokracya. W szkołach ruskich przybrało to rozmiary istotnie potworne, w polskich, na szczęście ma do tej chwili zabarwienie łagodne. Polityka wciska się do szkoły i ogarnia studenta z dołu i z boku i z góry. Widuje studencik tłumy niedorostków, ciągnących szeregami za czerwonym sztandarem, więc mu się zdaje, że to krzywda byłaby dla niego, gdyby i on »nie brał udziału« w polityce, skoro niedorostki z kramów i warstatów politykują. Ale wiatr z tej strony wieje do głowy studenckiej nie bardzo silnie, więc nie wyrządziłby szkody. Natomiast »uświadamiacze« czynią wiele złego. Agitacya wali falą spienioną w słuchaczy uniwersytetów i politechniki, a stąd rozpływa się po szkołach średnich i tam powstają zatoki agitacyjnego prądu. Dzieciak naczyta się pism i pisemek, broszur i broszurek, dostarczanych przez »uświadamiaczy« i nie rozumiejąc z tego nic prawie, przyswaja sobie utarte hasła agitacyjne, namiętne, a płytkie wykrzykniki, bujne frazesy i już z niego polityk, reformator społeczeństwa. Oczywiście, że przepisy szkolne są dlań teraz barbarzyńskiem tyrańskwem, nauka obskurantyzmem, religia przesądem, profesorowie krzewicielami serwilizmu. W czasie wykładu profesora uśmiecha się ironicznie, lekceważąco, boć to »brednie, co belfer plecie«, »staroświecka metoda ogłupiania«, a szkoła jest sobie takie nieznośne *malum necessarium*, które przebyć trzeba, aby świadectwo maturyczne uzyskać.

Ile to pychy, zarozumiałości, zepsucia moralnego, zatraty wrodzonych zdolności pomiędzy taką »uświadomioną« młodzieżą! Wszystko to wnet marnieje i w szkole i potem w życiu. Był czas, że stronnictwo socyalistyczne szturmem zdobyło szkoły

średnie, ustanawiając dla nich »uświadamiaczy«. Dlaczego? Oto dlatego, że »skoro młodzież ma kiedyś, po zajęciu stanowisk obywatelskich, brać udział w życiu politycznem, to już zawczasu do tego nawykać powinna, zawczasu powinna się »uświadamiać«.

Nic słuszniejszego nad to, aby się młodzież »uświadamiała«, ale tak, jak prosta logika wskazuje. Niech się młodzież uświadamia, że jest młodą, głupią, niedoświadczoną; że powinna uczyć się, pracować, kształcić, aby kiedyś, gdy będzie miała i rozum i wykształcenie i doświadczenie, mogła zajmować się sprawami społecznemi. Ale »uświadamiacze« kierowali się jakąś nie prostą logiką i truli dzieciaków najgłupszymi sofizmatami, odwodzili od miłości Boga i ojczyzny, strząsali z młodej duszy kwiecie uroczych marzeń, pętali szlachetne poloty, a napawali serce szumowiną namiętnej nienawiści do wszystkiego co jest i co było na ojczystej ziemi.

Zebrawszy się na odwagę, udałem się pewnego razu do jednego z najwybitniejszych członków »partyi« i tak zacząłem:

— Pan zna wieś i gospodarstwo?

— Znam.

— Koń do tego przeznaczony, aby go zaprzęgać do pługa i bron, do wozu, czy powozu, albo brać pod siodło, nieprawdaż?

— Oczywiście.

— A kiedyż się konia zaczyna zaprzęgać, lub siodłać?

— Gdy wyrośnie; zwykle po czterech latach.

— Ej, to może źle; czy nie byłoby lepiej »uświadomić« konia zawczasu i gdy jest źrebięciem kilkomiesięcznem, już mu zakładać siodło i chomąta i sprzęgać go razem z dorosłym koniem, aby się zawczasu źrebię przyzwyczaiło do swego »powołania«?

— Pan żartuje.

— Nie panie, mówię, seryo. Kto dziatwę do polityki wciąga i zaprawia, ten konsekwentnie musi się zgodzić na sprzęganie źrebiąt z wyrosłymi końmi.

— Takie źrebię musiałoby zmarnieć i końby z niego nie wyrósł.

— Prawda, ale i to prawda, że dzieciak rozpolitykowany zmarnieje i człowiek z niego nie wyrośnie.

Przyznać muszę, że argument podobał się i przemówił do przekonania, poczem rozmawialiśmy z godzinę nie bez pożytku, bo istotnie od owego czasu nie spostrzegało się fermentu socyalistycznego w szkole średniej. Ba! szczęście moje, że natrafiłem na człowieka rozumnego i uczciwego.

Dmą też wiatry politykomanii z góry chłopcu na czuprynę, a nie tylko z boku. Rozgorączkowany wyborami ojczulek, często gęsto niebacznie pomstuje, przy dzieciach, na przeciwników politycznych. Chłopiec nasłucha się obelg, a bodaj zjadliwych uwag o »stańczykach«, »klerykałach« lub odwrotnie o »demagogach«, »warchołach«; dowiaduje się, iż są »demokraci narodowi«, »demokraci skoncentrowani«, »demokraci niezawiśli« i t. d. Chaos ma w głowie, zapala się zapałem wyborczym ojczulka i w tym zapale płonie i spopiela się znaczny zapas energii dzieciaka, energii do nauki mu potrzebnej. Gorsze to jeszcze, gdy chłopak słyszy w domu, że ten profesor to »stańczyk«, tamten »klerykał«, ów »skoncentrowany«, inny »nieskoncentrowany demokrata«. W miarę sympatyi ojca do tego, lub owego stronnictwa, otacza chłopiec sympatyą profesora, o którym słyszał od ojca, że do jego stronnictwa należy; na innych patrzy podejrzliwie, nawet niechętnie.

Rozpolitykowanie pcha młodzież zawcześnie do tworzenia dziennikarstwa, pełnego arogancyi, często nawet kłamliwego, oszczerczego. Krążyły po szkołach średnich, a może jeszcze i krążą liczne egzemplarze takich pisemek, we Lwowie wydawanych. Roiło się tam od zniewag miotanych na szkołę i nauczycielstwo; huczały tam gromy, miotane na system szkolny, który ogłupia; brzmiały głośne krytyki wszystkiego i wszystkich i nawoływania, aby młodzież domagała się zmian i przeobrażeń, choćby przez »strejki«.

Trzeba się istotnie zdumiewać, że nie czyni się u nas różnicy między »wolnością« a »swawolą« druku. »Wolność« druku, to cenna zdobycz konstytucyjnych czasów, i tej strzedz należy, ale »swawola« zawsze i wszędzie jest nadużyciem wolności, zaś każde nadużycie jest zdrożne i przez prawo i władzę powściągane i tępione być powinno.

III.

Projektuje się nowe szkoły, pisze się coraz więcej o szkole angielskiej nowego typu, zakłada się i u nas podobną; zarząd oświaty zdąża już coraz chyżej ku reformie szkolnictwa. Szczęść Boże! Czy z tych planów, usiłowań i zarządzeń wyrosną szkoły z greką, czy bez greki, z takim lub owakim planem naukowym, będzie to dla edukacyi narodowej sprawą mniejszej wagi, byleby szkoła stała się zakładem prawdziwie wychowawczym, byleby czynnik pedagogiczny na wskróś ją przenikał. Tego pragnąć, tego wyczekiwać potrzeba.

Przedewszystkiem pragnąć należy, aby się zmieniła dotychczasowa biurokratyczna praktyka szkolna, aby się nie powtórzyły owe katalogi klasowe, jeżące się rubrykami, które nauczyciel co dnia wypełniać musiał. Były one natrętną, a bezduszną formalistyką, wprost demoralizującą młodych, początkujących nauczycieli. Obowiązek wpisywania cenzur co dnia w tę księgę, (rozłożoną w poczekalni, jakby jakieś album pamiątkowe, lub książka meldunkowa w hotelu), naginał młodego nauczyciela do formalistycznego traktowania zawodu. Że je wreszcie usunięto, dobrze się stało, ale biurokratyzmu, formalistyki pozostało jeszcze nie mało, mimo ostatnich zarządzeń, zmieniających normy egzaminów dojrzałości, mimo wielu pożytecznych, orzeźwiających ducha szkoły, okólników władz szkolnych.

Niech szkoła średnia przestanie być drabiną, po której spina się młodzież do złotego kołnierza, lub wogóle do stołu jadalnego. Niech student nie idzie do szkoły po to, aby ze szczebla na szczebel, z klasy do klasy przełaził byle jako, ot, aby uzyskać świadectwo dojrzałości, jeno, aby ze szkoły wyszedł »człowiekiem«.

Niech szkoła nie poprzestaje na tem, aby w mózg ucznia wkładać, jak w szufladki, te i owe przedmioty nauki, ale niech tego ucznia wychowa, urobi w »człowieka«. Niech nie poprzestaje na obdarzeniu ucznia takim, lub owakim zapasem wiadomości, ale niech w nim rozwinie hart ducha, zapał do pracy, poczucie obowiązku, dzielność charakteru, siłę woli. Niech szkoła nowa oprze się o dobre tradycye owej »szkoły kadetów«, z której wy-

rósł Kościuszko, o tradycye »Liceum krzemienieckiego«. Niech uposaży młodzież w to, co od nauki cenniejsze i ważniejsze: w uczciwość i siłę woli, w charakter. Niech pamięta i o tem, że »najwyższy rozum i cnota«. Dola narodów nie zależy od wielkich uczonych, ale od wielkich charakterów.

Nie być jej fabryką urzędników, lekarzy, adwokatów, inżynierów, jeno kolebką ducha!

Dziś, gdy »Czar walca« i podobne mu cyrkowe błazeństwa, spędzają ze sceny teatralnej poezyę dramatyczną i muzykę prawdziwą, gdy knajpa stłumiła towarzyskie stosunki rodzinne, gdy wszystko etycznie karleje dokoła, potrzeba nowych kolebek ducha.

Chełpimy się rozkwitem cywilizacyi, wskazujemy z wyniosłością na zdumiewające wynalazki, na wydarcie przyrodzie jej sił i poddanie ich woli człowieka. Istotnie, wszystko to zdumiewa, a i dogadza, ale ludzkości nie udoskonaliło. Wszystko wymyśla się dla wygody materyalnej, dla ciała. W pogoni za wygodą życia, za środkami dogadzania zachceniom i urojonym potrzebom życia, popychamy się, roztrącamy, rozbijamy pięściami wzajemnie i coraz mniej spokoju, coraz mniej zadowolenia, coraz mniej jasnej pogody w duszy, bo coraz więcej lekceważenia, czy zaniedbania tego, co dla ducha potrzebne.

Takie cywilizacye bywały w historyi zgubą narodów, nie siłą. Padła Hellada u stóp Rzymu, gdy brakło w niej cnoty; runął Rzym ze szczytów materyalnej cywilizacyi, gdy »augur śmiał się z augura«, gdy z wiary uczynił przesąd, a z bogów bawidło. Na dzisiejsze Hellady, na dzisiejsze Rzymy nie barbarzyńcy rzucą młot zniszczenia, ale je rozsadzi własne barbarzyństwo rozkiełzanych namiętności i na gruzach tej uwielbianej cywilizacyi materyalnej, zasiędzie »człowiek zwierzę«.

Cywilizacya! Rozbój w imię »racyi stanu«, dokonany przez rząd chrześcijański, na własności moralnej i materyalnej obywateli; przez rząd państwa, które się przechwala, że wyrosło z »bojaźni Bożej«. Bandytyzm, wyrastający z »ideałów wolności i sprawiedliwości«. Nienawiść i terror, głoszone i wykonywane z ... »miłości ludu roboczego«. Toga senatorska, zawieszana w parlamentach, na ramionach arlekinów. Deptanie praw Boskich i ludzkich w imię

chwały Bożej i praw narodowych; dla chwały cerkwi, deptanie katolicyzmu, dla wielkości narodu rosyjskiego, zagłada Polsce.

Cywilizacya! Patryotyzmem nazywa się zamordowanie człowieka, co narodowi mordercy nie tylko sprawiedliwość wymierzał, ale i sprzyjał. Matki uczą synów mordować niewinnych!

Kłamstwo, oszczerstwo, bezczelność, rozbójnicze, wandalskie napady na instytucye naukowe, kaleczenie pałką i nożem bezbronnych, to .... obrona praw narodowych.

Cywilizacya! Profesor urąga z katedry temu, czego uczy i uczyć się upiera, znieważa uczucia religijne, sieje zgorszenie i wyrasta na ... bohatera, z którym rząd paktuje ze strachu przed ... studentami.

Miotanie obelg, znieważanie ludzi, wdzieranie się w zacisze życia rodzinnego, oddawanie pióra dziennikarskiego na licytacyę temu, kto więcej zapłaci, to spełnianie posłannictwa w publicystyce.

Epoka fałszywego złota, fałszywych brylantów, sztucznego srebra, sztucznych pokarmów, epoka surogatów materyalnych i moralnych!

Cywilizacya! Siła przed prawem u rządów i ludzi. Ten dzielny i budzi uznanie, kto umie zręcznie wskoczyć na dominujące stanowisko, lub na nie zakraść się niespostrzeżenie. Uczciwość, szlachetność, zdążające drogą prostą, to niezdarstwo litości godne. Przesądem dziś, czy naiwnością, że dobro ducha ważniejsze niż dobro ciała, że prostota życia bardziej uszczęśliwia, więcej daje spokoju i zadowolenia, niż zanurzanie się w zbytku.

Religia ścigana szyderstwem, sumienie nazwano słabością ducha, sprawiedliwość zastąpiono paragrafami prawa, które nie sprawiedliwości ma bronić, ale pojęcie sprawiedliwości tworzy, wedle zachceń prawodawcy.

Taki rozpęd wzięła ta materyalistyczna cywilizacya, nie mająca innego ideału, prócz wygody ciała. Faryzeim i obłuda w poezyi, jałowizna w sztuce, pokrywana dziwactwem i rozczochraniem formy; cynizm lub pijaństwo myśli w filozofii. A wszędzie anemia duchowa!

No, nie ogólne to jeszcze, nie zatruło ludzkości śmiertelnie, ale jest, ale rośnie i zatruwa ją zwolna. Więc od podwalin, od

szkoły trzeba rozpocząć budowę nowych dróg życia, jasnych, oświetlonych wiarą w Boga, miłością bliźniego, ideałami, które zawsze dawały w dziejach zdrowie narodom i szczęście. A na te drogi niech wychodzą ze szkół zastępy zbrojne w stal silnej woli, w cnotę, w hart ducha, w poczucie obowiązku, w miłość pracy, a natchnione miłością Boga i ludzkości!

Przed pół wiekiem modliła się młodzież, aby za ojczyznę umrzeć mogła. Modliła się tak podniecona egzaltacyą poezyi mesyanicznej. Niech dzisiejsza nauczy się modlić, aby dla ojczyzny żyć umiała.

Czesław Pieniążek.

POD KOPUŁĄ ŚW. PIOTRA.

I.

Symbolika kształtów i oświetleń.

Gdy przez wspaniały portyk wejdziemy do środka bazyliki watykańskiej i ogólnym rzutem oka ogarniemy roztaczający się przed nami cały jakby świat bezcennych marmurów i mozaik, to, obok nadzwyczajnej harmonii w układzie i ustosunkowaniu wzajemnem tych skarbów sztuki, podziwiać będziemy musieli niezwykłą jasność i żywość ich oświetleń.

W innych kościołach brak światła nieraz dotkliwie daje nam się odczuć, gdy chcemy dokładnie rozpatrzyć zawarte w nich piękne rzeźby i obrazy, musimy starannie zważać na porę dnia, w której najlepiej widzieć je można. U św. Piotra troska ta zupełnie zbyteczna. Przez cały Boży dzień, od świtu aż do zmierzchu, wszystko tam jak najwyraźniej jest widzialne, doskonale oświetlone, ani najdrobniejszy szczegół nawet nie ginie tu dla oka, nie kryje się w cieniu. W żadnej chyba budowli na świecie niema więcej światła, wspanialszych, dłuższych smug świetlistych, wpadających przez wysokie, podniebne okna, cudniejszej gry promieni słonecznych na piękniejszych powierzchniach. Słońce krąży dokoła kościoła, o każdej porze dnia z innej strony rzuca moc światła do jego wnętrza, a zawsze w całej pełni i świetności swych blasków promiennych.

Ta obfitość światła nam ludziom północy, nawykłym do mi-

stycznych zmierzchów naszych świątyń romańskich i gotyckich, zrazu dziwną, niepokojącą się wydaje. Niektórzy widzą w niej coś jakby niechrześcijańskiego, nieomal pogańskiego. Zda się im ona sprzeczną z religijnym nastrojem duszy chrześcijańskiej, która tu na ziemi ma jakoby zawsze żyć w nieprzeniknionym, świętym mroku tajemnic Bożych i tylko w jasnych płomykach świec i lamp, otaczających na ołtarzu najgłębszą, najświętszą tajemnicę wiary, uprzytomnia sobie symbolicznie wiekuistą pozaziemską światłość, w Bożych przybytkach przyświecającą wybranym.

Czy jednak chrześcijaństwo w samych jest tylko cieniach i zmierzchach tajemniczych, w samych nastrojach i tęsknotach mistycznych? Czy niema w nim myśli jasnej, wyraźnej, ściśle określonej dążności, mającej się realizować w pełnem świetle naszego bytu ziemskiego?

Tę drugą, niemniej od pierwszej istotną jego stronę, przyswoiły sobie głównie i rozwinęły południowe ludy latyńskie, które, dzięki wpływom otaczającej ich przyrody i odziedziczonej po przeszłości kultury, jaśniej niż jakiekolwiek inne umiały myśleć i wyraźniej wiedziały czego chcieć, do czego dążyć mają. Spadkobiercy klasycznej Hellady i Romy imperyalistycznej, potomkowie twórców Partenonu i prawodawców kodeksu rzymskiego przez samą swą naturę powołani byli do jak najjaśniejszego, jak najbardziej wyrazistego ujęcia, ukształtowania i realizowania idei chrześcijańskiej. Nie dziw, że na ziemi latyńskiej powstała i wyrobiła się wysnuta z tej idei organizacya Kościoła powszechnego, że tam najwyraziste przybrała kształty wykwitająca z niej sztuka, najjaśniej i najzupełniej wypowiedziała się ujmująca ją w system racyonalny filozofia chrześcijańska.

Nie chcę przez to powiedzieć, aby ludom latyńskim zbywało na odczuciu mistycznej strony chrześcijaństwa. Gdzież ją odczuto silniej i głębiej, niż w ojczyźnie Danta i św. Franciszka z Asyżu. Ale jakże ona tam niepodobna do mglisto-ciemnego mistycyzmu z pod chmurnych niebios północy, jak wyraźne ma kształty, jakie jasne barwy. Wspomnijmy słynne »Kwiatki« *(Fioretti)* franciszkańskie, takiemi świetlistemi legendami osnuwające wdzięczną

postać »ubożuchnego« *(il poverello)*. Albo weźmy »Boską komedyę«. Nawet wśród najgłębszych mroków otchłani wszystko tam jak najdokładniej widzimy w jaskrawych oświetleniach ogni piekielnych, a nawet na promienistych wyżynach rajskich ukazują się tam symbole myślowe, odcinające się wyraźnie na tle oślepiających blasków ekstazy mistycznej. A cóż rzec o przedziwnym całokształcie tej olbrzymiej, na niebo i ziemię rozciągającej się wizyi poetyckiej!

Ogrom i ogarnięcie: — oto jej znamiona, stanowiące wedle Norwida istotę sztuki i życia dawnych Rzymian: bezmierny ogrom treści w doskonałem ogarnięciu jej przez formę. Czyż w tych znamionach nie zjawia nam się zarówno wszechświatowe imperyum rzymskie, jak i wznoszący się na jego gruzach wszechświatowy Kościół rzymsko-katolicki? Czyż nie potrzeba było wyrobionego w wiekowym rozwoju historycznym geniuszu latyńskiego, aby nieskończoną ideę chrześcijańską zawrzeć w ten jednolity, skończony całokształt organizacyi kościelnej?

Tenże sam geniusz latyński mógł się jedynie zdobyć na doskonale wyraźne i jasne odtworzenie istotnej treści owej idei we wspaniałych całokształtach filozofii, poezyi i sztuki plastycznej: w »Summie teologicznej« św. Tomasza, w »Boskiej komedyi« Dantego i w watykańskim grobowcu św. Piotra.

Zrozumiałem, jak sądzę, okaże nam się teraz, dlaczego ten ostatni, dlaczego ta naczelna, pomnikowa świątynia katolicyzmu staje przed nami w pełnem świetle blasków słonecznych? — dlaczego wszystko tam musi być jasne, wyraźne, jak najdokładniej oczom wiernych uwidocznione?

Zdala od płonącego na wzgórzu watykańskiem centralnego ogniska wszechświatowej organizacyi katolickiej mogą oni pogrążać się w mistycznych mrokach i zmierzchach świątyń gotyckich, lecz tu u samego źródła, w samym środku tej organizacyi muszą jasno widzieć wszystkie jej symbole, jak najdokładniej uprzytomniać sobie wszystkie zasadnicze jej podstawy i czynniki.

Północny gotyk wyrasta jakby wprost z łona surowej północnej przyrody olbrzymimi pniami wiekowych sosien i jodeł, złączonymi u podniebnych swych szczytów ostrołukami gałęzi-

stych sklepień — istny las skamieniały, o ciemnem i mrocznem wnętrzu, niewyraźnie oświetlonem wpadającymi z góry przez kolorowe okna promieniami słonecznymi, niby przez gęstą na różne barwy łamiącą je sieć igliwia sosnowego. We wnętrznych zmierzchach owych lasów z kamienia, cała jakby flora i fauna kamienna rozkwita rzezanemi kunsztownemi postaciami dziwacznych, niekiedy poczwarnych tworów, o których niegdyś przed wiekami śniła może wśród mroków leśnych fantazya półdzikich przodków artysty. Wszystkie główne motywy gotyku kościelnego, to wrażenia surowej przyrody północnej, uwiecznione w pomnikowych kształtach symbolów wyrażających dążenia ku nadprzyrodzonym dziedzinom duszy chrześcijańskiej, to utrwalony na wieki wyraz zewnętrzny tego, co najbardziej bezpośrednie, ale też najtrudniejsze do ujęcia i określenia w mistyczno-religijnych jej nastrojach.

Jakże odmienny jest charakter zasadniczy bazylik rzymskich. Życie południa, światło południa gra w nich całą pełnią swych zjawów i promieni. Nie przyroda puszcz leśnych, a kultura rojnych ognisk bytu ludzkiego dała im początek. Sama już nazwa i postać ogólna zbliża je do świata starożytnego. Bazyliki u Rzymian były to wielkie, przestrone, posągami zazwyczaj ozdobione hale dla zebrań publicznych, narad i targów. Skoro po ustaniu prześladowań, chrześcijanie pierwszych wieków mogli publicznie odprawiać swe obrzędy religijne, zbierali się zapewne w owych dawnych bazylikach i na wzór ich nowe poczęli sobie budować. Uświęcone praktykami kultu miejsca tych zebrań stały się niejako widomemi wyobrażeniami braterskiej w nich łączności wyznawców Chrystusa, określanej pierwotnie grecką nazwę *ekklesia*, która w różnych swych przeobrażeniach — u nas jako k o ś c i ó ł — przeszła następnie do wszystkich języków świata chrześcijańskiego.

W pierwotnem ognisku i w stolicy chrześcijaństwa, w Rzymie, kościoły świątynie zachowały tę pierwotną tradycyjną postać bazylik aż do epoki najpełniejszego rozkwitu Kościoła-społeczeństwa. Nie dziw, że ten w dobie swego przekwitu, zdobnego wszystkimi czarami sztuki renesansowej, zapragnął uwidocznić na wieczne czasy pełnię swej władzy wszechświatowej w godnym jej olbrzymim pomniku, który wzniesiony na symbolicznej opoce

grobu apostolskiego w odwiecznej formie bazylikowej łączącej teraźniejszość z najdawniejszą przeszłością na całą najdalszą nawet przyszłość doskonale piękną i wyrazistą mową sztuki plastycznej głosić miał światu potęgę, wielkość i chwałę chrześcijańskiej społeczności kościelnej, zjednoczonej pod władzą Namiestnika Chrystusowego.

To co wieki, poczytywane w historyi za średnie stworzyły w rzeczywistości, kulminacyjny, szczytowy wiek odrodzenia wyraził w sztuce, w najwspanialszym pomniku sztuki chrześcijańsko-katolickiej. W ciągu całego średniowiecza, gdy geniusz germańskiej północy wśród zamętu walk i starć dziejowych wyrzucał z siebie nowe żywioły, bogate w treść, silne samorzutną energią, ale chaotyczne lub niejasne w formie — południowy geniusz latyński, wierny przekazanemu przez przeszłość posłannictwu swemu, organizował je w olbrzymie instytucye społeczne i religijne, kształtował w wielkie syntezy sztuki i wiedzy chrześcijańskiej.

Nigdy on nie zatracił w sobie sił i uzdolnień twórczych minionej klasycznej swej doby. Niedarmo papież używa starorzymskiego tytułu *Pontifex Maximus;* niedarmo św. Tomasz oparł swą filozofię na Arystotelesie, a Dante obrał sobie Wirgiliusza za przewodnika w swej wędrówce po krańcach ducha. Organizacyjne, porządkujące moce wielowiekowej przeszłości kulturalnej obecne są we wszystkich dziełach i tworach nowożytnej chrześcijańskiej kultury świata latyńskiego.

Nigdzie ich obecność nie uprzytomnia, nie uwidocznia nam się wyraźniej, jak pod kopułą św. Piotra. Przemawiają one tam do nas i cudowną harmonią form architektonicznych i pełną znaczenia ich treścią, tak jasno wypowiadającą się w przedziwnem oświetleniu lejących się zewsząd blasków słonecznych.

W katedrze gotyckiej stłumionym ciemnym głosem wprost z wrażeń wydobytym mówi dusza ludzka o wewnętrznych swych tajemnicach mistycznych — w bazylice watykańskiej potężną wymową dwakroć tysiącoletniej kultury, słowem wiary chrześcijańskiej prześwietloną, głosi odwieczną swą dążność do zrealizowania w świecie zewnętrznym odwiecznych swych marzeń o jakiejś wielkiej, powszechnej jedności religijno-humanitarnej.

Przedziwnie wyraźna jest ta wymowa marmurów i mozaik. Nic w niej niedomówionego, nic tajemniczego, zacienionego zmierzchem mistycznym. Myśl chrześcijańsko-katolicka dopowiedziana tu jest do końca, do ostatecznych swych konsekwencyi w zakresie bytu ziemskiego, pojętego jako droga do pozaziemskiej wieczności.

Jasno, jak na dłoni, ukazano ci tu prawowierny katoliku na czem masz oprzeć swą wiarę, skąd oczekiwać oświetlającej ją nieomylnej nauki, gdzie szukać niewzruszonego autorytetu poręczającego ją świętością swego urzędu. Wśród tej promieniejącej na świat cały jasności logicznej, zatęsknisz może czasem do zmierzchów mistycznych, pozwalających ci wejrzeć głębiej do wnętrza własnej duszy, szerzej roztoczyć skrzydła marzeń, wyżej wznieść porywy samorzutnej intuicyi religijnej; — pamiętaj jednak, że nie chodzi tylko o to, abyś ty i każdy z was poosóbno mógł wzniośle marzyć, czuć i myśleć, lecz o to przedewszystkiem, abyście wszyscy razem zdołali wzniośle żyć, a przynajmniej, choć cokolwiek wznieść się ponad codzienne poziomy.

Owóż jeśli jest kto, co może rzucić zbiorowości ludzkiej na drogi takiego życia przewodnie hasło-słowo, to jest nim niewątpliwie ten, co pod kopułą św. Piotra tak jasno i wyraźnie głosi je wiekom marmurową wymową grobowców, pomników, symbolów. Wiemy, że to słowo z nadziemskich spłynęło źródeł i w oceanie wieczności ujście swe znajduje, ale czyż doczesną swą realizacyę i doczesny swój wyraz tu na ziemi nie musi osiągać w przyrodzonych warunkach ziemskiego bytu ludzkości? — Jednym z tych warunków była i jest organizacyjno-twórcza zdolność plemienia latyńskiego, która już za czasów pogańskich ujawniła się w dziejach powszechnej monarchii rzymskiej, a w zakresie rozwoju religijno-chrześcijańskiego stała się nieodzownym czynnikiem realnej, historycznie wyrobionej organizacyi Kościoła rzymsko-katolickiego.

Ostatecznie przyznać trzeba, że w zakresie polityczno-społecznego życia ludzkości imperyum rzymskie — pomimo wszystkich swych występków i zbrodni — było aż do dnia dzisiejszego jedyną wiekową potęgą, ożywioną poczuciem wszechświatowej misyi cywilizacyjnej, jako *pax romana* przez starożytnych określanej. Od chwili jego upadku mamy tylko ułudne marzenia o takiej

misyi (np. święte cesarstwo rzymsko-germańskie), lub faktyczne jej zaprzeczenia w państwach nowożytnych z ich obecnym kanibalizmem plemiennym i nacyonalistycznym. I tylko w zakresie społeczno-religijnego życia cywilizowanej Europy dziś jak przed wiekami w nierównie wyższem, do głębi dusz ludzkich sięgającem znaczeniu rozlega się starodawne hasło: *pax romana.*

Wszelka potęga społeczna, osiągająca pełnię swego rozwoju, wypowiedzieć się musi w pomnikowych dziełach sztuki. Te, które pozostawiła nam zalana przez potop historyi potęga starorzymska, do dziś dnia podziwiamy w kolosalnych ruinach nad brzegami Tybru — główny z tych, którymi przemawia do nas święta moc Rzymu chrześcijańskiego, w całym blasku swej nietkniętej przez wieki świeżości, głosi nam zawsze ideę pełniącego się w dziejach posłannictwa wieków.

II.

Kopuła i nakryty nią grobowiec apostoła.

Przed kościołem św. Piotra rozciąga się przestrońny, półokrągły plac z dwu stron otoczony dwoma ramionami wspaniałej kolumnady Berniniego.

Kościół roztwiera i wyciąga swe ramiona na spotkanie przybywającej doń ludzkości, jakby ją chciał ogarnąć, przytulić do swego łona.

Taka idea tkwiła w pomyśle konstrukcyjnym artysty i z przedziwną wyrazistością uplastyczniona została w jego arcydziele budowniczem. Ongi, gdy papież z wysoko wzniesionego balkonu świątyni, wobec placu napełnionego pielgrzymami, przybyłymi ze wszystkich stron świata, udzielał swoje słynne błogosławieństwo *urbi et orbi,* idea ta uwidoczniała się jeszcze wyraźniej. Wiadomo, że od czasu zaboru Rzymu żaden z papieży nie przekroczył granic terytoryum watykańskiego; tylko w jego obrębie wierni otrzymać mogą uroczyste błogosławieństwo Namiestnika Chrystusowego; ale Kościół zawsze wyciąga do świata swoje ramiona, zawsze wzywa go ku sobie tym wspaniałym gestem architektonicznym swej naczelnej świątyni, jednym z najwymowniejszych

i najwspanialszych gestów, jakie kiedykolwiek w sztuce uwiecznione zostały.

Kreśląc pomysł owych ramion kolumnowych bazyliki Piotrowej, wyobrażał sobie zawsze Bernini jej kopułę jako głowę, a całą budowlę jako tułów olbrzymiego ciała ludzkiego — wyobrażenie bardzo naturalne, nasuwane bezpośrednio przez zewnętrzny widok świątyni, a jak wymowne przytem! Głowa śmiało i wysoko wznosi się ku niebu, gdy ciało szeroko rozpostarte jest na ziemi i potężnie ugruntowane na olbrzymiej granitowej podstawie.

Majestatyczna kopuła św. Piotra, arcydzieło Michała Anioła, jednego z najbardziej szczytowych duchów ludzkości, niezrównana jest, przy ogromie swym jedyna pono na świecie w tem swojem wyniosłem, podniebnem wzniesieniu, w swej cudnie wysmukłej, polotnej, jakby nieziemskiej lekkości.

Jak odmiennie przedstawia się przepiękna też w swoim rodzaju kopuła konstantynopolskiej bazyliki św. Zofii, raczej przestrzennem rozpostarciem aniżeli górnym polotem przemawiająca do naszych oczu. Czyż nie uderza tu różnica charakterystyczna w ujęciu idei chrześcijańskiej przez Wschód grecko-bizantyński i Zachód latyńsko-romański? Czyż nie uwidocznia się wyższy lot religijnej myśli zachodniej? W strzelistych wieżach gotyckich leci ona ku niebiosom, jakby od ziemi zupełnie oderwać się chciała — w harmonijnie zaokrąglonej kopule watykańskiej również do niebios śmiało podąża, ale i nad ziemią się rozpościera jakby całe życie ziemskie skupić chciała dokoła świętego apostolskiego grobowca, ponad którym wznosi się w majestacie podniebnej swej chwały, jako czci ludzkiej wyraz najwyższy przez geniusz sztuki ku niebu rzuconej.

Cześć grobów, odwieczne prawo moralnego życia ludzkości, zasadniczy czynnik ciągłości jego nieprzerwanej, uprzytomnia się nam tutaj w tej naczelnej stołecznej świątyni chrześcijaństwa w całej pełni swego głęboko symbolicznego znaczenia.

Tu es Petrus et super hanc petram aedificabo ecclesiam meam et tibi dabo claves regni coelorum.

Te słowa tekstu świętego w olbrzymich mozaikowych lite-

rach widnieją wysoko ponad grobowcem apostolskim na wspaniałym fryzie okalającym wnętrze podstawowej części kopuły.

Piotr-opoka, symbol niewzruszonej trwałości Kościoła, Piotr symboliczny klucznik królestwa niebieskiego, żyje tu we czci wiernych od wieków ze wszystkich stron świata przybywających, z hołdem do watykańskiego jego grobowca.

Nieopodal od niego widzimy starożytną bardzo (z V pono wieku) spiżową statuę księcia apostołów w uroczystej, hieratycznej postawie na marmurowym tronie z ręką do błogosławieństwa wzniesioną, z jedną stopą startą częściowo ustami całujących ją pielgrzymów.

Jakież olbrzymie i nieprzeliczone fale czci ludzkiej przepłynęły w ciągu wieków, poprzez marmurowe przestwory świątyni i w kornym hołdzie uderzyły o wznoszącą się wśród niej opokę piotrową. Szumne i gwarne fale oceanu ludzkości napływały wciąż do tej mistycznej zatoki kultu, unosząc z niej choćby po kilka kropel, po kilka tchnień ducha, poświęcającego je na wyższe i czystsze życie. Jak ta spiżowa stopa posągu starta została przez niezliczone dotknięcia ust ludzkich, tak twardsze nieraz od spiżu ludzkie serca, nie mogły nieuledz tu ciągłemu oddziaływaniu ogładzającej je wciąż, ścierającej ostre ich kanty mocy duchowej.

Ta moc, to uosobiona w postaci najpierwszego z apostołów, uprzytomniana nam w kulcie grób jego otaczajacym, niezmienna, odwieczna moc tradycyi powszechnego Kościoła.

Litera zabija, duch ożywia rzekł drugi wielki apostoł-nauczyciel, św. Paweł. Najświętsza nawet litera martwą się staje i martwotę szerzyć będzie dokoła w duszach ludzkich, jeśli nie spłynie w nie żywemi falami przez słowo i czyn stwierdzonej z pokolenia w pokolenie poprzez stulecia idącej miłości i czci Bożej. Że te fale martwieją też aż nadto często w bezdusznej formalistyce i praktykach bigockich, tego nikt nie zdoła zaprzeczyć, że jednak bez nich, bez trwałej, ciągłej, nieprzerywalnej, w ten lub ów sposób zorganizowanej tradycyi religijnej, niemożliwy jest wszechstronny, stale utrzymujący się rozwój życia re-

ligijnego: — to niewątpliwą jest prawdą w historyi wielokrotnie stwierdzoną.

W świecie chrześcijańskim Kościół katolicki ze swem rzymskiem na wyżynie watykańskiej ogniskiem, jest najdoskonalszym takiej tradycyi wcieleniem, najzupełniejszą jej realizacyą, a grobowiec apostolski wraz z otaczającą go wspaniałą świątynią, najjaśniejszem, najbardziej konkretnem uprzedmiotowieniem jej przed oczami ludzkiemi w pomnikowem, wiecznotrwałem dziele sztuki religijnej.

W głównym, najwidoczniejszym punkcie bazyliki w przecięciu dwu wielkich jej naw, mieści się ta główna podstawowa jej świętość, to symboliczne wyobrażenie zasadniczej idei katolicyzmu. Jest to centralny punkt całej tej sfery pamiątek i symbolów religijnych i wszystkie wprost lub pośrednio do niego się odnoszą, w nim niejako ogniskują się ideowo.

U samego wejścia do świątyni wzrok nasz pada na widniejący w oddali wspaniały, pozłocisty baldachim wsparty na czterech potężnych, dziwnie skręconych filarach [1], wzniesiony w r. 1633 przez Berniniego z polecenia Urbana VIII. Pod baldachimem ołtarz, zwany papieskim, ponieważ papież tylko mszę przy nim może odprawiać, pod ołtarzem: grób św. Piotra, znajdujący się nieco poniżej dzisiejszej na poziomie dawnej konstancieńskiej bazyliki, na którym rozciągają się dzisiaj tak zwane »groty święte« czyli krypty watykańskie.

Grób, noszący też znamienną nazwę konfesyi *(confessione)*, jako symboliczne miejsce wyznania wiary katolickiej, otoczony jest 89 płonącemi wciąż lampami, wyrobionemi ozdobnie z pozłacanego bronzu. Prowadzą doń w dół podwójne schody marmurowe, otaczają go przedziwne dzieła sztuki z najróżniejszych epok, począwszy od starożytnych mozaik, pochodzących jeszcze z pier-

[1] Ta osobliwa ich forma poczytywana była dawniej za dziwactwo gustu siedemnastowiecznego. Nowsze badania udowodniły, że jest ona naśladownictwem filarów z pierwotnej bazyliki konstancieńskiej, z których jeden przechowuje się w pierwszej z prawej strony kaplicy *(Capella della Pietà)* i przez tradycyę poczytywany jest błędnie za pozostałość świątyni jerozolimskiej.

wotnej kaplicy papieża Anakleta, aż do klęczącej w modlitewnej postawie przed grobem apostoła marmurowej statuy Piusa VI, dłuta Canovy (z r. 1822). Konstrukcya krypty grobowej jest dziełem Maderny, wykonanem za Pawła V, drzwi bronzowe, zamykające niszę, w której umieszczony jest starożytny sarkofag apostoła, pochodzą z dawnej bazyliki. Całość tworami i ozdobami artystycznemi różnych czasów i różnych stylów mówi nam o czci otaczającej w ciągu wieków święty grobowiec, żądnej go upiększyć najcenniejszemi dziełami sztuki, mającemi wyrażać poczucie niezmiernej jego wartości duchowej dla całego chrześcijaństwa.

Niektórzy ze zwiedzających kryptę czują się niemile dotknięci nagromadzonym tu materyalnem bogactwem marmuru, złota, alabastru, drogich kamieni, pomnieć jednak trzeba, że dopóki ludzie do tych bogactw wielką, często największą w życiu przywiązywać będą wagę dopóty w nich wyraz swej czci uprzedmiotowiać będą, jak owi trzej królowie z Ewangelii składający u stóp Dzieciątka Bożego mirę, kadzidło i złoto. Jeśli człowiek ofiaruje Bóstwu to, co ma najcenniejszego, czyż tym samym nie wznosi się ponad siebie, ponad powszedni swój poziom do wyższej sfery, stanowiącej istotną dziedzinę jego życia religijnego? Zdarzają się choć rzadko bardzo ludzie, dla których największą cenę ma wewnętrzny skarb duszy, nie zewnętrzny zasób bogactw materyalnych, ci słusznie w darach duchowych widzą istotę czci Bożej; — są inni, nierównie liczniejsi, za dni naszych szczególnie liczni, co sami na wskróś zmateryalizowani, właśnie dlatego, że materyę nad wszystko cenią, w sferze religijnej i we wszelkiej wyższej sferze bytu tylko duchem szafować gotowi, duchem, który u nich, wedle trafnego określenia Norwida znaczy to samo, co próżnia, próżne miejsce na ducha. Tacy zawsze oburzać się będą na materyalne ofiary Bóstwu składane, jak Judasz, co się gorszył, widząc Magdalenę wylewającą drogocenny olejek na strudzone stopy Chrystusa i jak Judasz też wszelkie najbardziej czczone pozornie Bóstwo swoje za trzydzieści srebrników zawsze sprzedać będą gotowi.

Tam, gdzie cześć Boża wynika samorzutnie ze zbiorowego jestestwa mas ludzkich, pełnią serdecznej, szczerej wiary — tam nigdy nie obejdzie się ona bez materyalnych oznak i przedmio-

tów, a te zależne od ogólnego stopnia kultury pojawiają się w formie bądź z gruba obrobionej, prostackiej i bezdusznej, bądź też pełnej wyrazu duchowego, artystycznie wykończonej i pięknej.

To, co pod kopułą św. Piotra przekazała nam religijna sztuka latyńska z doby najliczniejszego swego rozkwitu, nie sięga wprawdzie szczytowych punktów natchnienia duchowego, do jakich wznosili się sztukmistrze chrześcijańscy z czasów wyższego entuzyazmu i bardziej uduchowionej wiary, zbyt przyziemnem nieraz zda się pulsować życiem, zbyt mało nam mówi o górnych wzlotach, o niebiańskich zachwytach duszy — ale jak jasno, dobitnie przemawia o podstawowych zasadach, na których wspiera się cała budowla chrześcijańsko-katolickiej jej prawowierności, w jak doskonałem zrównoważeniu materyi i kształtu, treści i formy uwidocznia je naszym oczom.

Rozejrzymy się oto po postaciach, otaczających apostolski grobowiec.

W czterech ogromnych filarach, które otaczają konfesyę i stanowią główne oparcie kopuły, znajdują się półokrągłe nisze z olbrzymiemi postaciami św. Longina (roboty Berniniego) św. Heleny (Bolgi'ego) św. Weroniki (Mochi'ego) i św. Andrzeja (Duquesnoy'a). Ponad temi postaciami umieszczone są balkony z odpowiedniemi zagłębieniami w murze, czyli tak zwane *loggie*, gdzie się przechowują złączone w tradycyi chrześcijańskiej z osobami wspomnianych świętych najbardziej czczone relikwie bazyliki watykańskiej: włócznia, którą przebito bok Chrystusa, drzewa krzyża świętego, chusta Weroniki z Chrystusowem obliczem i głowa św. Andrzeja. Relikwie te w drogocennych pomieszczone szkatułach, podczas świąt uroczystych okazywane bywają zgromadzonemu w bazylice ludowi:

Oto najprostsze, najbardziej bezpośrednio do zmysłów przemawiające przedmioty czci religijnej: mogilne prochy księcia apostołów, materyalne pozostałości zbawczej ofiary Chrystusowej — święte przedmioty odwiecznego kultu, swą bezpośrednią łącznością z życiem realnem Zbawiciela i jego apostołów, poruszające do głębi, wznoszące aż do wyżyn cudu dusze najnaiwniejszych

nawet prostaczków, niezdolnych odczuć i uprzytomnić sobie wyobrażeń religijnych w idealnych tworach sztuki.

Materyalnemu charakterowi tych bezcennych dla duszy wierzącej skarbów wiary, odpowiada materyalne bogactwo błyszczącej od złota i drogich kamieni ich oprawy. Artystyczne jej opracowanie zrazu drugorzędne ma znaczenie, stopniowo dopiero, wraz z postępem kultury coraz większą w sztuce religijnej osiąga przewagę. Artyzm w formie wyrażenia uczuć wiary bierze górę nad surowym jej materyałem i grubo materyalną oznaką czci przez nią wzbudzonej. Obraz święty przestaje być li-tylko cudem wiary, staje się zarazem cudem sztuki, a niekiedy cudem sztuki wyłącznie, gdy duch religijny z życia uleci, a pozostawi po sobie li-tylko formy piękne, w których się niegdyś objawiał.

Wśród skarbów twórczości artystyczno-religijnej, pod kopułą św. Piotra nagromadzonych, spotykamy różne momenty tego rozwoju, — przeważnie wszakże widzimy tu moment jego kulminacyjny: równowagę między cudem wiary i cudem sztuki, między bogatą treścią uczuć religijnych, a piękną i wyrazistą formą ich wyrazu artystycznego. Ta równowaga nie tyle jeszcze ujawnia się tu w dziełach poszczególnych, pochodzących nieraz z mniej szczęśliwych epok sztuki religijnej, ile w ogólnym układzie całości tego panteonu katolickiego, w pełnym wyrazu i harmonii ustosunkowaniu wszystkich składowych jego części.

Patrzmy oto na układ bezpośredniego otoczenia grobowca apostolskiego. Z czterech stron cztery wspomniane wyżej kolosalne postaci świętych z wyobrażeniami relikwii, przechowanych w naturze tuż ponad nimi: św. Helena z krzyżem, św. Weronika z chustą, św. Longin z włócznią, św. Andrzej z narzędziami swego męczeństwa — postaci przemawiające dobitnym realizmem swych plastycznych, dotykalnych kształtów, swych olbrzymich rozmiarów i owych materyalnych pamiątek religijnych, co z nimi się łączą.

Ponad tymi tak blizkimi w swoim charakterze realistycznym i w swojem umieszczeniu, tuż ponad naszym poziomem, wyobrażeniami i przedmiotami wiary coraz wyżej i wyżej na różnych kondygnacyach kopuły, aż do szczytowego jej plafonu, widnieją

w coraz większej idealizacyi oddalenia, w coraz wspanialszej gloryi barw i blasków mozaikowych niezliczone postaci, symbole i alegorye wyrażające jakby lot duszy ku wyżynom, promienne wizye jej rajskich zachwytów, mistyczne jej obcowanie ze świętymi, niebiańskimi duchami.

Naprzód ponad zdobnymi w płaskorzeźby loggiami Berniniego olbrzymie, mozaikowe postaci czterech Ewangelistów (roboty d'Arpina); dalej powyżej fryzu z napisem głoszącym chwałę Piotra, opoki Kościoła w czterech kondygnacyach i szesnastu promienistych przedziałach unoszą się świetlane blaskami słonecznymi przepojone wyobrażenia Chrystusa, Matki Boskiej i Apostołów Proroków — wreszcie na zawrotnej wyżynie zaokrąglenia szczytowego, zaledwie dostrzegalna oku widza, unosi się postać Boga Ojca w majestacie chwały najwyższej królująca ponad całym obszarem tej wspaniałej świątyni, wzniesionej ku czci i na świadectwo, pełniącego się w powszechnym apostolskim Kościele władztwa Bożego na ziemi.

Zewnętrznym swym kształtem i wzniesieniem, kopuła bazyliki wyraża dążność ku niebu, rozciągającej się ponad ziemią idei chrześcijańsko-katolickiej, we wspaniałem wielokształtnem i wielobarwnem bogactwie, zdobiących jej wnętrze rzeźb i mozaik, uprzytomnia nam niejako mistyczne pod firmamentem kościoła wznoszenie się dusz ludzkich od najpierwotniejszych nizinnych pobudzeń życia religijnego, aż do najgórniejszych jego wzlotów.

Widzimy tedy, że i w tej świątyni na wskroś przeniknięte świadomą siebie, jasną, przejrzystą myślą kościelno-katolicką nie brak mistycznych wrażeń i nastrojów. Jakże ma ich braknąć tam, gdzie tchnienie prawego ducha chrześcijańskiego przewiewa wieścią nieziemską, których ani oko ludzkie nie widziało, ani ucho nie słyszało, ani serce ludzkie objąć nie zdoła? Atoli powiew mistyczny unosi się tu, nie w cieniu i zmierzchu ostrołukowych sklepień gotyckich, lecz w pełnem świetle tej słonecznej, blaskami odrodzenia klasycznego tem żywiej prześwietlonej bazyliki latyńskiej, w której płonie centralne ognisko katolicyzmu i na świat cały promieniuje słowem i czynem nauczającej i rozstrzygającej powagi kościelnej.

Dusza w mistycznym swym locie nie może tu bujać swobodnie w mglistych, niekiedy obłędnych przestworach natchnień i marzeń religijnych; promieniami z ogniska prawowierności katolickiej wynikającymi, ma zakreślony wyraźnie zakres i kierunek lotu. W tej centralnej swej świątyni katolicyzm nie tylko głębokim symbolizmem swej tradycyi porusza religijne uczucia wiernych, lecz przemawia też do ich myśli religijnej przedziwnie wyrazistymi symbolami swej nauki, stwierdzonej nieomylną powagą zwierzchniego urzędu apostolskiego.

(Dok. nast.).

Walery Gostomski.

PROŚBA O NIERUCHOMĄ WIELKANOC.

(Ciąg dalszy).

3. Tablice wielkanocne.

Inną jeszcze myśl dr. I. S. wprowadził, zdolną paczyć sąd o nicejskim wyroku. Zgodę Kościołów co do Wielkanocy, którą Żydom przypisał dr. I. S. nie Aleksandryjczykom w dwu stuleciach pierwszych, znowu nie Aleksandryjczykom przypisał od trzeciego stulecia, tylko wielkanocnym tabelom. I zaraz tę myśl o wielkanocnych tabelach tu trzeba zestawić ze świadectwem dziejów, aby ściśle określić treść sporu przednicejskiego o Wielkanoc, roztrzygniętego uchwałą soboru.

Otóż dr. I. S. tak pisze o tablicach wielkanocnych, jakby sam nigdy własnymi oczyma nie śledził słońca i księżyca na niebie, jakby nie wiedział, ile wiedzy doświadczalnej badacze przez wieki muszą zbierać, nim przedstawią obroty ciał niebieskich w jakiejś tabeli przydatnej na dłuższy czas do użytku. Wszak do dziś jeszcze astronomia ciągle bada niektóre szczegóły zagadkowe w nieprawidłowym biegu księżyca, do dziś spostrzega zmiany w rocznym obiegu tarczy słonecznej: jeszcze żadna akademia nie wydaje np. spisu zaćmień bezwzględnie pewnego na wieki; czuwają nad niebem obserwatorya, aby służyć potrzebom społeczeństwa i wydawać zupełnie pewne almanachy co roku. Bez tej spostrzegawczej wiedzy nieboznawców, ciągle czujnych, almanachy ich niedługo używałyby powagi wobec urzędowych władz.

czy to kościelnych, czy świeckich. Wszak wydawcy rubrycelli kościelnych mają tablice wielkanocne bardzo poprawne po brewiarzach i mszałach: przecie nie korzystają z tablic, nad którymi nie widzą ciągłej opieki czujnych nieboznawców, tylko wypisują dnie świąt, a niektórzy także zmiany księżyca wypisują z kalendarzy opartych o coroczny almanach astronomiczny; do źródeł sięgają po żywe świadectwo znawców, a nie poprzestają na dorobku wiedzy dawnej albo niepewnej. To też oczywiście tablice z trzeciego stulecia bez nieboznawców nie wystarczyłyby Kościołowi do żadnej sprawy poważniejszej, a już najmniej tablice bez ludzi uczonych utrzymałyby przy zgodnej niedzieli Wielkanocnej wszystkie Kościoły, z wyjątkiem odłamu antyocheńskiego.

Nadto różnice pomiędzy kalendarzami różnych narodów zupełnie wykluczają jakibądź powszechny użytek tablic, opartych na państwowym kalendarzu rzymskim. Wszak jedną z tych tablic zostawił nam Anatol pod nazwą kanonu aleksandryjskiego i tę tablicę przyjmują do dziś Wschód i Zachód za podstawę swoich wykazów Wielkanocy corocznie; a naocznie wiemy, że kalendarz juliański stosuje tę tablicę sprzecznie z niebem i często wyznacza Wielkanoc odmiennie, niż gregoryański kalendarz. Dopóki Wschód nie daje się powodować nieboznawcom i nauce ich spostrzegawczej, póty przez swój kalendarz wyklucza spólny z Zachodem użytek jednej tablicy. Jakżeż Kościoły w trzeciem stuleciu miały używać choćby kanonu aleksandryjskiego zgodnie, kiedy różniły się między sobą kalendarzami nie równie więcej, niż dziś Wschód ze Zachodem? I rok, i miesiąc, i doba co innego przedstawiały w Rzymie, co innego w Atenach albo nad Nilem, znowu co innego na Wschodzie i tu jeszcze z różnemi zmianami w przeróżnych narodach. Między juliańskim kalendarzem a gregoryańskim różnica o dzień rośnie co sto lat albo dwieście; w trzeciem stuleciu różnice między kalendarzami rosły albo malały najrozmaiciej co lat czasem kilka. Jedni liczyli rok od marca, drudzy od września, ale co cztery lata od innego dnia miesiąca; jedni liczyli dnie od zachodu, drudzy od wschodu słońca, inni od północy; co kilka lat nikt bez zawodowców nie rozeznałby się z kalenda-

rzem obcym i nie znalazłby w nim dnia, na którym umieściłby dzień Wielkanocy przeniesiony z innego kalendarza.

Tak układ różnych kalendarzy przeszkadzał do spólnego użytku tablic w trzeciem stuleciu. A nadto i w trzeciem stuleciu i w następnych, narody, zarówno jak tablice błądziły co do równonocni i pełni, nawet w jednym i tym samym kalendarzu juliańskim.

Mianowicie co do równonocni, nikt prócz znawców najbystrzejszych i rzadkich, nie zdawał sprawy ze zjawiska, że wiosenne dnie dłuższe od nocy nastają coraz prędzej przed dwudziestym piątym marca, na który to dzień Juliusz Cezar w swoim kalendarzu równonocnię wpisał, — już mylnie: powtórzył za Hipparchem dzień, w którym rzeczywiście Hipparch znalazł równonocnię, ale za Cezara już dwudziesty czwarty dzień marca był równy nocy, w stuleciu Chrystusowem dzień dwudziesty trzeci marca, za Ptolomeusza dwudziesty drugi, za Anatola dwudziesty pierwszy, za soboru nicejskiego dwudziesty, za Dyonizego Szczupłego dziewiętnasty i t. d.

Otóż nieświadomi tego zjawiska kalendografowie i twórcy tablic nie ruszali równonocni z miejsca mimo biegu wieków, aż pod wpływem wielkiej powagi niektórzy przeskakiwali od razu kilka dni i znowu na stulecia tkwili w dniu już zastarzałym. Stąd w trzeciem stuleciu różne tablice podają równonocnię na dwudziesty piąty albo drugi dzień marca, a właściwy na owo stulecie dzień dwudziesty pierwszy znajduje wiarę jeszcze w tablicach z szóstego i siódmego stulecia; i jeszcze w tych dwu stuleciach widnieją ślady równonocni z dwudziestego piątego marca.

Takie pojęcia o równonocni kazały poprawiać, a właściwie psuć tablicę, która podawała wielkanocne niektóre przed dwudziestym piątym marca, albo pełnie z przed tegoż dnia: wbrew niebu takie pełnie uchodziły u niektórych kalendografów za zimowe. Inni podobnie wyrzucali wielkanocne i pełnie z przed dwudziestego drugiego marca.

Również co do pełni niejeden twórca tablicy miał swój pogląd odmienny. W Egipcie i innych krajach o niebie czystem, widać nowy sierp księżyca już w dobę po konjunkcyi; w krajach

o niebie mglistem dostrzegamy księżyc po nowiu trzeciego dnia albo później. Stąd po różnych tablicach spostrzegamy pełnię zapisywaną na dzień czternasty po nowiu dostrzegalnym, na dzień piętnasty, a nawet szesnasty [1].

Tablice tak niezgodne co do równonocni i pełni, jakżeż chrześcijanom w różnych częściach świata zgodnie wykazywały Wielkanoc? A zgoda panowała powszechna, prócz rozterki z Przedświętowcami: widocznie Kościół z poważną pochodnią wiedzy aleksandryjskiej niósł wskazówki zrozumiałe wszędzie, a nie używał urzędownie różnych tabliczek, które zdradzają w swoich twórcach samouctwo dość powierzchowne.

Jednak dr. I. S. nawet w samym Rzymie dostrzega albo Żydów ze wskazówkami paschalnymi, albo jakąś tablicę.

Oparty na powadze Kruscha i de Rossego, przyznaje dr. I. S. [2], że Rzym do r. 269-go nie wyznaczał Wielkanocy wedle żadnej ze znanych tablic: stąd wnosi, nie że Rzym korzystał ze słynnego rozkwitu nauk w Egipcie, ale że rządził się podług Żydów.

Następnie dr. I. S. twierdzi, że Rzym po r. 269-ym aż do roku 312-go używał urzędowo tablicy Augustalisa, obliczonej na lata od 213-go do 312; po tej tablicy miał drugiej używać od roku 312-go, zwanej *Romana Supputatio.*

Skąd dr. I. S. wie, że Rzym używał urzędowo Augustalisa? Stąd, że Augustalis kończy tablicę z rokiem 312-m, a od tego roku znalazł się w archiwum papieskiem spis Wielkanocy rzeczywiście obchodzonych od roku 312-go do 342-go; czyli Augustalis znalazł dalszy ciąg (?) w wykazie świąt urzędowym (?): więc i sam służył do urzędowego użytku [3].

Ale przyznaje dr. I. S., że Augustalis ułożył swoją tablicę na innej zasadzie, niż którą widać w ciągu Wielkanocy rzeczywiście obchodzonych: ułożył inaczej następstwo księżycowych lat zwykłych i przestępnych, niż je wykaz papieski przedstawia.

Zatem czytelnik widzi w Augustalisie i wykazie papieskim dwa pomniki piśmienne, w istocie swojej niezależne jeden od dru-

[1] *Osterfestber.* str. 64.
[2] *Osterfestfr.* str. 17.
[3] *Osterfestfr.* str. 15, 16.

giego a styczne ze sobą w tym jednym szczególe, że jeden na końcu a drugi na początku podaje Wielkanoc na ten sam rok 312-y.

Nadto czytelnik dowiaduje się, że ów papieski wykaz doszedł do nas w piśmie z roku 354-go, więc wymienił Wielkanoce już przeszłe od roku 312-go do 342-go, a nie doszedł do nas w postaci urzędowej jako zapowiedź Wielkanocy wyznaczonej z góry na lata przyszłe. Rocznikarz noryzejski przekazał nam ten urywek, wydobyty z archiwum.

Zatem czytelnik widzi związek zupełnie powierzchowny między Augustalisem a archiwalnym urywkiem, przechowanym u rocznikarza: związek tym zaczęty i skończony, że oba pisma podają na jeden rok dzień Wielkanocy; nie widzi czytelnik żadnej urzędowej zapowiedzi niedziel wielkanocnych, którąby mógł nawiązywać do Augustalisa jako dalszy ciąg: więc Augustalisowi nie przyzna urzędowej w Rzymie powagi.

Po Augustalisie miał Rzym używać tablicy innej od r. 312-go, zwanej *Romana Supputatio*. Rzeczywiście istnieją dwa odpisy powyższą nazwą oznaczone: jeden właśnie kronikarza noryzejskiego z roku 354-go zawiera wykaz papieski od roku 312-go do 342-go, następnie bez podanego źródła wykaz wielkanocy już przeszłych od 343-go do 354-go, wkońcu wykaz pełen błędów po rok 411-y. Żeby Rzym miał rządzić się podobnym utworem, tego nikt nie przypuści ani sam dr. I. S. nie przytacza dowodu. Również bez dowodu przytacza drugi, odmienny odpis Supputacyi, i zdaje tylko sprawę z jego układu.

Czytelnik nie widzi, żeby Rzym opierał się o Żydów albo o tablice, zamiast korzystać z czujnej nauki egipskiej przed soborem nicejskim.

Jak w rzymskich tablicach, tak w innych dzieje oświaty nie przedstawiają nic naukowo pomyślanego albo godnego służyć urzędowo do użytku Kościoła. Bardzo szczegółowy dziejopis chronologii albo kalendografii wymienia te domorosłe poglądy na ruchy ciał niebieskich, ale nie zapisuje całych stronnic wykazem pomyłek albo różnic każdej tablicy od innych: zdaje sprawę w paru słowach, która tablica na jakiej opiera się błędnej zasadzie i rzutem

oka obejmuje długi rząd wyników, sprzecznych z biegiem księżyca i tarczy słonecznej.

W czem innem, a nie w sprawie wielkanocnej, daje się zauważyć rzeczywista cena tych tablic. Twórcy ich, w jakiekolwiekby dziwne prawo nie ujęli słońca i księżyca, przecie tak ustawiali dnie pełni i równonocni na swoje czasy, że te ich daty cofnięte w tył do czasów Chrystusa, na dzień śmierci Jego wyznaczały zbieg pełni i równonocni w piątek, a na trzeci dzień niedzielę zmartwychwstania: czyli tablice przedstawiały jakby w obrazie naocznym związek między zasadniczymi wypadkami chrześcijaństwa a obchodem ich w Wielki Piątek i na Wielkanoc. Tak służyły dla nabożeństwa. Nadto składały świadectwo podaniu jeszcze wtenczas żywemu, że Pan cierpiał na pełni podczas równonocni w piątek; a świadectwo to dostarcza cennej wskazówki dla chronologii, pomimo astronomicznych błędów w układzie tablic.

Na tę cenę tablic właściwą a dla chronologów bardzo poważną, dr. I. S. nie zwraca uwagi, a zapełnia w swoich rozprawach sto kilkadziesiąt stronic drobnego druku opisem najmarniejszych różnic między tablicami, o których powadze urzędowej nie wątpi.

Zastanowił tu i tam dr. I. S. uwagę, że nie mogły Kościoły zgodnie obchodzić Wielkanocy według tablic, najsprzeczniejszych ze sobą. Ale z uwagi tej własnej nie wnosi, że bez tablic obchodziły się Kościoły; nie zważa na świadectwo Sozomena [1], że prócz Przedświętowców i Czternastodniowców wszystkie inne Kościoły święcą Wielkanoc, jak Egipcyanie i Rzym; nie zważa, co znaczą okólniki co roku wysyłane z Rzymu z zapowiedzią Wielkanocy; pisze o tej Wielkanocy zgodnie obchodzonej na całym Zachodzie, w Aleksandryi i w przeważnej części Wschodu [2], ale nie nadmienia słowem o nieboznawcach, tylko o zgodzie wynikłej z tablic niezgodnych.

Wszystkie jednak wymienione braki tablic tylko tak daleko sięgają, jak rozstrój kalendarza żydowskiego przed Hillelem:

---

[1] Migne, P. gr. t. 67, str. 1472.

[2] *Osterfestfr.* str. 50.

mylnie wyznaczają wiele poszczególnych pełni i równonocni, ale wyrażają najoczywiściej zasadę twórców swoich poprawną. Tylko połowę tej poprawnej zasady wywiódł dr. I. S. z długiego mozołu nad tablicami [1], mianowicie, że wszędzie przeziera z tablic prawidło o obchodzie Wielkanocy po równonocni. Drugą połowę zasady dr. I. S. przemilcza, mianowicie, że wszędzie przeziera z tablic prawidło o związku Wielkanocy z pełnią: więc o obchodzie Wielkanocy ruchomej.

4. Przeciwnicy przed soborem nicejskim.

W mowie o Żydach i Przedświętowcach przypisał im dr. I. S. zasadę, żeby obchodzić święta bez względu na równonocnię. Z wywodu o tablicach zasadę im tę przypisał dr. I. S., żeby z Wielkanocą oglądać się na równonocnię. Z przeciwieństwa między obiema zasadami wysnuł dr. I. S. wynik, że na Niceę czekała Wielkanoc względem równonocni, a wzgląd ten nie wymaga święta ruchomego.

Jednak uważny czytelnik dostrzegł, że do Nicei szli inni zapaśnicy, nie przeciwnicy równonocni albo jej zwolennicy; w sporze o dobór pełni wiosennej szli do Nicei stronnicy prostodusznego zwyczaju i zwolennicy prawdy zbadanej w świetle nauki. Na Niceę oczekiwało chrześcijaństwo z potrzebą nierównie donioślejszą, niż spór o dzień obrzędowy. W tym sporze uchwytną postać przybrała na tle wieków jedna z walk żywotnych między zachowawczą przesadą obrońców zwyczaju, a rozwiniętym naukowo duchem chrześcijaństwa. Judeofile trwają przy zewnętrznym pozorze zwyczaju uświęconego wiekami; za Aleksandryą opartą o Rzym, Kościoły zatrzymują z tego zwyczaju samo jądro bez zapleśniałej łupiny. Łupinę stanowi wzgląd na Zydów przy wyborze pełni wiosennej, przechowywany w Antyochii z pokolenia na pokolenie. Zachowawcze zmysły cenią ten wzgląd zarówno jak wszelki obrzęd przy obchodzie Wielkanocy. Rozwinięty duch znajduje kamień obrazy we względzie, który przestał odpowiadać prawdzie

[1] *Osterfestfr.* str. 27.

naukowej. Zachowawczy zmysł przywiązał się do zwyczaju wygodnego, przy nim mniej waży sobie rozstrój kalendarza u Żydów; rozwinięty duch tak do prawdy dąży, że na rozstrój się zżyma i miłośnikom starego zwyczaju wykłada, jak zwyczaj ich, już sprzeczny z prawem przyrody, nie odpowiada wyznawcom prawdy. Antyochia do obrony swojej stosuje słowa rzekomo apostolskie, chyba przez oczywisty anachronizm. Inne Kościoły jeden po drugim zdają sobie sprawę ze wskazówek wiedzy zawodowej, spokojnie uznają potrzebę zmiany w przestarzałym zwyczaju, bez przewrotu i jakby nieznacznie wszystkie przechodzą na stronę nieboznawców. Przesada zachowawcza obstaje przy pełni żydowskiej, aż do zatraty w niej pierwotnego przepisu Mojżeszowego. Duch chrześcijański za pełnią astronomiczną walczy i w Nicei za powagą nauki wystąpi, ledwo załatwi sprawę aryańską. Nie tyle pełnia w tym sporze dla świata znaczy, ile wynik rozprawy, od której zależy, czy każdy zwyczaj starodawny ma przemagać nad prawem rozumu, czy też potrzeba naukowa w Kościele przemoże.

Tak sobór przedstawia widownię doniosłych zapasów, których potrzebowała oświata chrześcijańska, aby przeciwników przekonać, że obowiązkiem prawda jest zawsze, czy w księdze objawionej wyczytana, czy w księdze przyrody.

Z braku uwagi na wiele szczegółów, powyżej wytkniętych, dr. I. S. nie zdołał wszystkiego dostrzedz w uchwale nicejskiej, o czem świadczą dziejopisowie, których zgromadził w liczbie dotąd niewidywanej.

5. Świadectwa o uchwale nicejskiej.

Uchwała soboru nie doszła do nas w wątku dosłownym: dlatego dr. I. S. zebrał tylu świadków, których słowami wyjaśnia nam wyrok nicejski.

Jeden z ojców nicejskich, Atanazy [1], nieraz o soborze w pismach wspomina [2], że ojcowie mieli załatwić dwie sprawy

[1] Sokrates. Migne, P. gr. t. 67, str. 60.
[2] Migne, P. gr. t. 26, str. 687, 1032.

główne: aryańską i wielkanocną, bo chrześcijanie w Syryi i Cylicyi i Mezopotamii odstąpili od pozostałych i podług Żydów świętowali: w tym czasie, co Żydzi. Ale ustąpili; i Sobór jak we wierze, tak co do święta zjednoczył chrześcijan.

Drugi uczestnik soboru, Euzebiusz, cezarejski biskup, świadczy [1], że prócz aryanizmu, druga sprawa zajęła ojców w Nicei, mianowicie różnica poglądów na święta, bo jedni mówili, że trzeba zachować zwyczaj podług Żydów, drudzy, że wypada ściśle przestrzegać święta w porze właściwej. Otóż w ciągu obrad, biskupi dopuszczali nawet Konstantyna cesarza do głosu w chwilach, kiedy zapał mowców mącił tok rozpraw. Konstantyn wzywał do spokoju i pozyskał wszystkich. Biskupi z prowincyi Wschodu ustąpili przed kilkakroć liczniejszem gronem biskupów z Północy, Zachodu i Południa: przestali bronić starego obyczaju. Ale spór długo trwał [2].

Sokrates podaje [3], że prócz Czternastodniowców, także inni Judeofile naruszyli powszechną zgodę, bo przed soborem nicejskim obchodzili Wielkanoc po tej pełni, którą Żydzi uważali za pierwszą wiosenną, choć była ona jeszcze nieraz zimową, i wtedy ci chrześcijanie wyprzedzali cały Kościół Wielkanocą swoją o miesiąc: stąd dostali nazwę Przedświętowców. Prócz tych Judeofilów w prowincyi państwa zwanej Wschodem, wszystkie pozostałe Kościoły, aż po krańce Zachodu zachowują Wielkanoc, jak przodkowie podali, zawsze po pełni wiosennej. Sobór rozterkę załagodził bez nowych ustaw, tylko po wyroku co do wiary uchwalił, żeby wszyscy równocześnie obchodzili Wielkanoc.

Sozomen dodaje [4], co Theophanet powtarza [5], że Konstantyn przed Soborem wyprawiał biskupa Hoziosa na Wschód do chrześcijan, którzy starym zwyczajem według Żydów obchodzili święto

---

[1] Migne, P. gr, t. 20, str. 1058, t. 24, str. 693—706.

[2] Dobitnie Euzebiusz wyraził istotę sporu słowami: τῶν μὲν ἐπεσθαι δεῖν τῇ Ἰουδαίων συνηθείᾳ φασκόντων, τῶν δὲ προσήκειν τὴν ἀκριβῆ τοῦ καιροῦ παραφυλάττειν ὥραν μηδὲ πλανομένοις ἕπεσθαι, str. 1058. Widzimy z jednej strony władzę zwyczaju, z drugiej potęgę nauki.

[3] Migne, P. gr. t. 67, str. 629.

[4] Migne. P. gr. t. 67, str. 909, 924.

[5] *Osterfestfr.* str. 35.

i wyodrębniali się od zwyczaju powszechnie zaprowadzonego Tych miał Hozios na drogę sprowadzić właściwą, ale pracował bez skutku. Okazała się potrzeba Soboru.

Epifani potwierdza te szczegóły [1], a nadto o samej uchwale nicejskiej wyraża się dobitnymi słowami [2], mianowicie, że w Nicei zewsząd zebrani, ściśle sprawę badali i roztrzygnęli, żeby w zgodzie odbywało się święto, jak przystoi wedle ścisłych obliczeń: κατὰ το πρέπον τῆς ψήφου.

Tu dr. I. S. dodaje uwagę, na którą trudno zgodzić się wobec całego toku słów zarówno Epifaniego jak poprzednio przytoczonych pisarzy. Tok tych świadectw przedstawia, że przeciw staremu zwyczajowi stanęła w Nicei pełnia ściśle obliczana i że Sobór swoim wyrokiem stanął po stronie ścisłego obliczenia. Ale dr. I. S. nie widzi, że Sobór uchwala według Epifaniego Wielkanoc po pełni astronomicznej zamiast żydowskiej, tylko dostrzega przepis, żeby Wielkanoc wypadała po równonocni bez wzmianki o pełni [3].

Po przeprowadzonem dziele zgody, Ojcowie nicejscy wysłali list do Kościołów w patryarchacie aleksandryjskim [4], dla których donoszą »radośną nowinę, że dzięki modlitwom ich, wszyscy bracia wschodni, dotąd zależni od Żydów, odtąd obchodzić będą Wielkanoc z Rzymianami, z nami i wszystkimi, którzy od dawien z nami trzymają«.

Czytelnik powyższych wyrazów mimowolnie uważa: w niewiele słów ile tu myśli ujętych!

Aleksandrya uznana godną listu od Soboru... krzewicielka ruchu naukowego, przez pracę i modlitwę przyspiesza zwycięstwo oświaty nad nałogowym zwyczajem... nie dopiero z ust swoich biskupów, aż wrócą, ma usłyszeć o zwycięstwie... zasłużyła, że spieszy się Kościół do niej pisemnie z radośną nowiną.

I w pochodzie zwycięzców wymieniony na miejscu naczelnem przewódca wszystkich Kościołów w umiejętnym obchodzie Wiel-

[1] Migne, P. gr. t. 42, str. 217, 220, 350.
[2] Tamże, str. 356.
[3] *Osterfestfr.* str. 60.
[4] Sokrates. Migne, P. gr. t. 67, str. 60—62.

kanocy: Rzym. Po nim sami siebie stawiają w gromadnym zastępie Ojcowie Soboru; za sobą widzą wszystkie Kościoły, od dawna zjednoczone hasłem aleksandryjskiej nauki.

A przejednani dla tego hasła, odciągnięci od Żydów, znajdują w liście miejsce i wzmiankę nie pogardliwą, jakby zwyciężeni za wozem tryumfalnej dumy, ale jak bracia i uczestnicy szczęścia ze spólnych odtąd obchodów Zmartwychwstania.

Tak doniosła o swojem zwycięstwie oświata chrześcijańska.

Również Konstanty uważał za wskazane poprzeć głos nauki głosem świeckiej powagi i wystosował do Przedświętowców, nieobecnych na Soborze, okólnik [1], w którym donosi, że Sobór uznał za stosowne odstąpić od zwyczaju Żydów i po wszystkie czasy utrwalić porządek, który lepiej odpowiada prawdzie i którego trzymaliśmy się od samego dnia Męki Chrystusowej... Wszak Żydzi ani w tej mierze nie oglądają się na prawdę, bo świętują przed końcem roku tegoż w zimie, przy którego początku na wiosnę już raz świętowali, zatem dwa razy w jednym roku świętują, a za to w innym roku opuszczają święto... A z drugiej strony porządek to najstosowniejszy, którego przestrzegają wszystkie Kościoły, tak na Zachodzie, jak na Południu i Północy i także niektóre na Wschodzie: zatem wszyscy uznali za właściwe, żebyście także uznali i przyjęli co do Wielkanocy porządek, zgodnie przestrzegany w Rzymie, w Afryce, w całych Włoszech, w Egipcie, Hiszpanii, Galii, Brytanii, Libii, w całej Grecyi i w prowincyach Azyi, Pontu i Cylicyi: do tego doprowadzi was uwaga, że pod każdym względem odpowiada, żeby wszyscy zgodnie tego chcieli, czego, jak okazuje się, wymaga ścisłe obliczenie.

Rocznik Wielkanocny dodaje szczegół o tym okólniku, nie spotykany nigdzie indziej dotychczas [2], jakoby Konstantyn przestrzegał, że Przedświętowcom upartym klątwa zagraża.

Nie tak dokładnie, ale w prostych słowach złożył świadectwo cenne o uchwale nicejskiej biskup Acesius [3]; zagadnięty przez Konstantyna, czy przyjmuje ze Soboru nicejskiego skład wiary

[1] Migne, P. gr. t. 67, str. 629.
[2] Migne, P. gr. t. 92, str. 84.
[3] *Osterfestfr.* str. 68, przypis 42.

i prawidło wielkanocne, odpowiedział: wszak o cesarzu, nic Sobór nicejski nie postanowił nowego, ale już od apostolskich czasów tak wierzono i tak trzymano się czasu Wielkanocy.

Prócz greckich świadectw przytacza dr. I. S. także syryjskie i arabskie, że trzy części świata obchodziły Wielkanoc zgodnie i bez sporu z Rzymianami i Aleksandryjczykami, a czwarta, — Wschód, — przedstawiała widok rozterek i zamętu: tedy podobało się soborowi, żeby bracia na Wschodzie obchodzili Wielkanoc, jak obchodzą Rzymianie i Aleksandryjczycy i tak samo wszyscy inni.

Po soborze Jan Złotousty w Antyochii znalazł jeszcze Przedświętowców i ganił[1], iż świętują według Żydów, a nie według szczerych i uczonych obrońców prawdy, którzy podołali najtrudniejszym rozprawom, tem bardziej umieli lepiej, niż Żydzi, oznaczyć pełnię wielkanocną. Tym trzystu biskupom wypada wierzyć, a nie udawać, że ktoś od nich lepiej zna porę właściwą.

Również sobór prowincyonalny w Antyochii występuje przeciw niedobitkom Przedświętowców i wyznacza kary kościelne dla nieposłusznych Ojcom nicejskim a upartych przy własnym rozumie w obchodzie świąt podług Żydów.

Na podstawie antyocheńskiego soboru, ósmy kanon zwany apostolskim wyznacza karę degradacyi na duchownego za upór przy Żydach co do Wielkanocy przed równonocnią. Z tych słów kanonu dr. I. S. widzi jasno[2], że Żydzi ze zasady świętowali przed równonocnią, choć zdarzało się im świętować czasem w porę, czasem nie w porę za świadectwem Epifaniego. Czytelnik wcale nie widzi, jakby kanon ów jasno dowodził, że Żydzi ze zasady wyprzedzali równonocnię: widzi prawdę przeciwną jasno dowiedzioną przez dzieje Hillela.

Pisarz, który zebrał powyższe kanony, ułożył podobno także dzieło, zwane Konstytucyami apostolskiemi, które upominają[3], żeby bracia obchodzili Wielkanoc dokładnie i starannie po równo-

---

[1] Migne, P. gr. t. 48, str. 861 - 872.
[2] *Osterfestfr.* str. 62, str. 71.
[3] Migne, P. gr. t. 1, str. 895.

nocni, a nie według Żydów, bo ci błędnie obliczają, choć mniemają, że wyznaczają czas właściwy; a bracia niech czekają na równonocnię 22-go marca, aby z nieuctwa nie obchodzić Wielkanocy dwa razy w jednym roku.

Dr. I. S. przywodzi te słowa a nie uważa w nich wyraźnego świadectwa, jak Żydzi z Przedświętowcami nie dla zasady, ale z nieuctwa błądzili co do czasu właściwego i w jednym roku dwa razy obchodzili Wielkanoc. Konstytucye wymagają pełni zgodnej z prawdą naukową [1].

Tyle razy przez kilkadziesiąt lat po soborze wzmianka o jego uchwale wraca u kościelnych pisarzy, bo Przedświętowcy nie wszyscy poszli za swoimi biskupami, kiedy ci z Nicei wrócili zgodzeni z pełnią astronomiczną. Uparci znaleźli nowych stronników w Mezopotamii pod przewództwem Audiosa a we Frygii Nowacyanów. Skutkiem przeciągniętej walki przeciw Judeofilom, przybywało nam świadectw o wyroku nicejskim. Całą treść jego krótko według przytoczonych świadectw wyrazić można słowami, że sobór zaprowadził w całym Kościele Wielkanoc po pełni astronomicznie pierwszej na wiosnę bez względu na święta żydowskie.

Tę treść wyroku potwierdza obowiązek, Aleksandryjczykom nałożony przez Ojców nicejskich. »Stoi już na pewno prawda dziejowa, że nicejscy Ojcowie Kościołowi aleksandryjskiemu polecili oznaczać dzień Wielkanocy i uwiadamiać o nim Rzym«, — przyznaje dr. I. S. [2]; również przyznaje i za niepodległy sporom uważa wypadek [3], że aleksandryjski patryarcha udzielał tej zapowiedzi Rzymowi, że Rzym uznawał obowiązek powierzony Aleksandryjczykom i otrzymaną od nich zapowiedź rozsyłał po Kościołach. Wątpić o tem nie pozwalają świadectwa Atanazego [4], Ambrożego [5], Leona Wielkiego [6], nadto wielu pisarzy późniejszych.

---

[1] *Osterfestfr.* str. 63.
[2] *Osterfestfr.* str. 124, 125.
[3] *Osterfestfr.* str. 123, 139.
[4] Migne, P. gr. t. 26, str. 1355.
[5] Migne, P. l. t. 16, str. 1629.
[6] Migne, P. l. t. 54, str. 1055, 1101.

Kościoły otrzymywały od Rzymu aleksandryjską zapowiedź w okólnem piśmie, zwanem *formata* [1].

Z powyższej osnowy świadectw dr. I. S. wyprowadza wnioski przeróżne, ale zwłaszcza swojemu brakowi pojęć astronomicznych musi przypisać, że nie przekona czytelnika, który samodzielnie osądzi jego rozprawy. Czytelnik ten ledwo przy kilku wnioskach powie to samo, co dr. I. S., ale tu już zastrzeże się przeciw dwuznacznikom jego, a istotnie odbiegnie od niego we wszystkiem, co ma nicejską uchwałę dostosowywać do Wielkanocy nieruchomej.

6. Bezpośrednie wnioski o treści uchwały i jej powadze.

Najprzód wypadają wnioski dodatnie o treści uchwały nicejskiej.

Po pierwsze [2]: Sobór zastał w prowincyi zwanej Wschodem i umyślił usunąć odrębny zwyczaj wielkanocny.

Powtóre [3]: Sobór nie Czternastodniowców tam zastał z odrębnym zwyczajem, tylko Przedświętowców, którzy według Żydów świętowali, to znaczy, — dodaje dr. I. S., — zarówno ze Żydami obliczali pełnię na nowej zasadzie i nie brali równonocni pod uwagę.

Czytelnik świadomy dziejów Hillela zastrzega się, że Żydzi według starozakonnej zasady wyglądali pełni pierwszej z wiosną, ale nieumiejętnie dozierali słońca w znaku równonocnym: więc za Żydami także Przedświętowcy z nieuctwa uchybiali przeciw zasadzie, ale tę przechowywali zgodnie z wszystkimi Kościołami.

Po trzecie [4]: Sobór osiągnął wynik pomyślny co do Wielkanocy, bo biskupi wschodni odstąpili od swojej praktyki. Czytelnik wyjaśni: odstąpili od swoich względów na pełnię żydowską, a przystali na astronomiczną. Sobór tedy osiągnął w sprawie wielka-

---

[1] Migne, P. l. t. 20, str. 517; t. 54, str. 1101, 1102; t. 62, str. 50; t. 69, str. 15.

[2] *Osterfestfr.* str. 60.

[3] *Osterfestfr.* str. 60, 61.

[4] *Osterfestfr.* str. 61.

nocnej wynik doniosłej wagi dla oświaty chrześcijańskiej: przyniósł prawdzie naukowej zwycięstwo nad zwyczajowym przesądem.

Następują wnioski ujemne o powadze uchwały nicejskiej.

Po pierwsze[1]: Sobór nie wydał szczególnego kanonu względem Wielkanocy, tylko sankcyonował praktykę zachowywaną aż do owego czasu w przeważnej liczbie Kościołów, a Kościoły do owego czasu niezgodne z tą praktyką odtąd ją przyjęły. Nazwa tedy Kanonu, udzielana uchwale nicejskiej, znaczy tyle, co »ogólna reguła«, »kościelne rozporządzenie«, »kościelna praktyka«, a nie stanowi właściwego »kanonu« w naszem pojęciu zwyczajnem.

Czytelnik, aby ściśle wyrazić prawdę, powie, że sobór zaprowadził powszechnie to, co znalazł w Kościele prawie całym poważane jako prawidło apostolskie, mianowicie niedzielę wielkanocną zgodnie z niebem obchodzoną po pierwszej pełni wiosennej. Otóż tę zgodę z niebem co do pełni wielkanocnej zaprowadził sobór tam, gdzie zastał zgodę ze Żydami. Ale i tam już zastał, — a nie dopiero zaprowadzał, — Wielkanoc związaną z pierwszą pełnią w zasadzie wiosenną. Więc jeżeli, — jak dr. I. S. mówi, — sobór sankcyonował, co zastał, tedy sankcyonował po pierwsze: prawidło powszechnie wówczas przyjęte jako apostolskie, że Wielkanoc przypada na niedzielę po pierwszej pełni zasadniczo wiosennej; powtóre sobór sankcyonował wzgląd na naukową prawdę: na rzeczywistą zgodę nieba z ową pełnią w zasadzie wiosenną. Prócz dwojga, co sankcyonował, sobór jeszcze coś zaprowadził, czego nie zastał: mianowicie sankcyonowaną dla innych Kościołów zgodę pełni z niebem zaprowadził u Przedświętowców zamiast zgody ze Żydami. Choćby tedy kanonem nie trzeba nazywać uchwały, mocą której sobór sankcyonował to dwoje, co zastał, przecie główne dzieło soboru na czem innem polegało, niż na sankcyi praktyk już napotkanych: uchwalił dla Przedświętowców wzgląd im obcy na prawdę naukową i zgodę z niebem.

W tej tu mierze tak sobór postąpił przy uchwale wielkanocnej, jak wogóle sobory postępują przy uchwałach, uznanych za kanony. Wobec nowej potrzeby Kościoła, sobory starą zasadę

[1] *Osterfestfr.* str. 88.

na nowo określają przeciw nowinkarzom, a nie słyszą, że tylko sankcyonują dawną praktykę, więc nie wydają kanonicznej uchwały, tylko kościelne rozporządzenie. Inaczej chyba powiemy, że sobór watykański nie wydał kanonu o nieomylności papieskiej albo poznalności Boga rozumem, bo sankcyonował tylko stare prawdy, więc ogłosił tylko rozporządzenie czy praktykę dla wyrazownictwa kościelnego.

Tak samo uchwała nicejska dotyczy prawidła dawnego. Związek starozakonnej paschy z pełnią sięga Mojżesza a związek tejże paschy z Wielkim Tygodniem i Wielkanocą nie dopiero z Nicei wyszedł, ale już wszedł do Nicei jako prawidło apostolskie. Wszystkie, prócz Przedświętowców, Kościoły rozumiały, że związek ów ma zachodzić między Wielkanocą a pełnią prawdziwie wiosenną według nieboznawców: Przedświętowcom wystarczała pełnia niekoniecznie astronomiczna. Wobec takiej potrzeby sobór orzeka, że Wielkanoc zależy od pełni astronomicznej, a nie którą jakiś nieuk poczyta za wiosenną. Nie wydał wyroku kanonicznego, nieodwołalnego, — sądzi dr. I. S., — więc mógłby odwołać i orzec, że Wielkanoc zależy od pełni nie astronomicznej, tylko jakiejbądź, choćby nieruchomej.

Ależ dlaczego to dr. I. S. wywodzi? Wszak i zupełnie kanoniczny przepis prawa od Kościoła zależy, a ustawodawca swojej ustawie nie podlega; i gdzie kanon nie w dogmat wkracza, ani w prawa moralne, a przypisuje prawo liturgiczne, tam ustawodawca Kościół nieraz zmieniał ustawę kanoniczną, upraszczał, zawieszał albo znosił według potrzeby. Kiedy zobaczy przedłożoną potrzebę Wielkanocy stałej, wtedy osądzi sam, jak ma użyć władzy, otrzymanej na pożytek, nie na szkodę niczyją.

W drugim wniosku dr. I. S. wyraźniej już okazuje, dokąd dąży, bo wywodzi:

Powtóre[1]: Przekroczylibyśmy zakres myśli i zamiarów soboru, gdybyśmy taką wyrokowi jego przyznali powagę, jaką w nim Ojcowie soboru antyocheńskiego i spółcześni im upatry-

[1] *Osterfestfr.* str. 91.

wali, którzy wątpili prawie, czy zasługiwałby na imię chrześcijańskie, kto śmiałby przekroczyć ów wyrok soboru.

Czytelnik przyzna oczywiście, że przekroczylibyśmy zakres uchwały nicejskiej, gdybyśmy własną powagą orzekali, że według Soboru ani Apostołowie nie mogli zaprowadzić Wielkanocy stałej, ani Mojżesz nie mógł Paschy dla Żydów ustanowić w stały dzień po równonocni według kalendarza egipskiego. Ale Mojżesz ustanowił święto dla Żydów wedle ich kalendarza, nie według egipskiego, słonecznego podobnie jak nasz: więc Pascha starozakonna zależy od księżyca, a nie tylko od równonocni, jak nasze święta nieruchome. Stąd Apostołowie obchodzili według żydowskiego kalendarza i przedtem Paschę starozakonną i potem niedzielę Zmartwychwstania. I pewno Apostołowie nie znali się tyle na astronomii, chronologii i kalendografii, żeby zdołali niedzielę wielkanocną ze swojego kalendarza żydowskiego poprzenosić na wszystkie kalendarze różnych krajów, gdzie pracowali, i powyznaczać na tę niedzielę stałe miejsca w kalendarzach juliańskim, egipskim, etyopskim, (abisyńskim do dziś zachowanym), ateńskim i t. d. I zwyczaj apostolski przeszedł na ich następców: chrześcijanie w sprawach świeckich liczyli dnie według miejscowych kalendarzy, a w obchodach kościelnych zwyczajem apostolskim liczyli niedzielę wielkanocną według wskazówek księżyca.

Ten szczątek żydowskiego kalendarza od pierwszych chrześcijan doszedł do nas podobnie, jak inny jeszcze: przy pacierzach kapłańskich, doba nie zaczyna się od północy, jak doba w kalendarzu pospolitym, ale już przed wieczorem, jak w kalendarzu żydowskim.

O takich pytaniach kalendograficznych nie orzekał nic Sobór ani o zmianach zasadniczych. Zastał ten sam szczątek żydowskiego kalendarza, który i do nas doszedł ze świętami ruchomymi od siedmdziesiętnicy po Boże Ciało. Dziś misyonarzom chrześcijańskim w Chinach, Indyach czy między Murzynami nie przechodzi przez myśl przyjmować ich kalendarze i na nie przenosić dnie gregoryańskie. Tak Ojcom nicejskim nie przechodziło to przez myśl: przenosić szczątek kalendarza żydowskiego na kalendarze jeszcze za ich czasów różne w ich ojczystych krajach. Co zastali,

to zostawili określone po mojżeszowemu, dniem pełni po równonocni wiosennej i odwiedli Przedświętowców od nieumiejętnego doboru owej pełni na sposób żydowski.

O szczegółach powyższych wiedzieć nam dziś nietrudno z dziejów chronografii i jasno widzieć apostolski początek prawidła Wielkanocy, opartego o żydowski kalendarz. Ale dziejów chronografii, dziś nam dostępnych, nie znają od wieków wszyscy i nie mają pisemnego pomnika z apostolskich czasów, któryby zrozumiale każdemu podał wyraźne prawidło wielkanocne. Dopiero na Soborze nicejskim to prawidło wystąpiło pierwszy raz, jako urzędowo uznane przez Kościół i w swojej treści naukowej uroczyście obronione przed nieuctwem Przedświętowców. Gdzie nabyło powagi urzędowej, stamtąd przybrało nazwę nicejskiego wyroku.

I nie po to Sobór zostawiał się za naukową prawdą wielkanocnego prawidła, aby pozwolić komubądź stosować je swobodnie i bezkarnie na własny sposób. Więc antyocheński Sobór nie przekroczył myśli i zamiaru Ojców nicejskich, kiedy na widok oporu Przedświętowców, zapowiedział kary za przestępstwo wyroku nicejskiego.

Słowem, czytelnik inaczej niż dr. I. S. oceni powagę uchwały nicejskiej, mianowicie przyzna, że Sobór zobowiązał Przedświętowców, żeby obchodzili Wielkanoc w niedzielę po pełni rzeczywiście pierwszej na wiosnę.

(Dok. n.)

Ks. K. Czaykowski.

STAROCHRZEŚCIJAŃSKIE PIELGRZYMKI [1].

Zwyczaj odprawiania pielgrzymek do miejsc, szczególniej człowiekowi drogich, nie jest wynalazkiem chrześcijaństwa. Odprawiano pielgrzymki wszędzie i zawsze. Pielgrzymki, to jeden z tych zwyczajów, które jak cień nigdy człowieka nie opuszczają, ale tkwią w jego naturze, pojawiają się wszędzie, gdziekolwiek człowiek istnieje. Nie stłumił ich żaden stopień kultury. Znamy pielgrzymki narodów dzikich, znamy je także wśród narodów wysokiej kultury.

Tak np. [2] miejscem takich pielgrzymek u Greków była w Delfach świątynia Apollina, w Libii sławna świątynia Jowisza Ammona, u którego błagał pomocy sam Aleksander W. z całem wojskiem. Mieli swe pielgrzymkowe miejsca Persowie, Indyanie, Chińczycy i t. d. U Rzymian, jeszcze w czasach początków chrześcijaństwa, podążały liczne rzesze w rocznicę bitwy nad Aquae Sextiae do St. Victoire około Aix w Provence. U starych Germanów miała miejsce w dniu 1 maja powszechna pielgrzymka do świętego drzewa [3].

Chrześcijaństwo przyswoiło sobie także zwyczaj odprawiania pielgrzymek, tylko, że odprawiało je z żywszą wiarą i z większą

---

[1] Ustęp wyjęty z większej pracy o kulcie relikwii.

[2] Cfr. Binterim: *Denkwürdigkeiten der kath. Kirche,* IV, 1, str. 612 sqq.; I. Sepp: *Heidentum und dessen Bedeutung für das Christentum,* t. II, str. 357. Regensburg 1853.

[3] Sepp: l. c. t. I, str. 255.

pewnością uproszenia sobie łask i błogosławieństwa na świętych miejscach.

Już w pierwszych wiekach Kościoła istniała wcale pokaźna liczba miejsc pielgrzymkowych, do których ściągały [wiernych zewsząd groby świętych. Nie mamy zamiaru podawać dokładnego ich spisu, bo niemal każdy grób męczennika był świętością, czczoną przez całą, nawet dalszą sąsiednią okolicę; wymienimy tylko ważniejsze miejsca, które już wtedy zażywały niemal powszechnej sławy.

W Hiszpanii słynął z licznych pielgrzymek grób św. Emeteryusza i Chelidona MM. w Calagurris nad rzeką Ebro [1]. W Gallii, w Tours miejscem pielgrzymkowem był grób św. Marcina. Miał zwyczaj zwiedzać tę świętość corocznie, lub nawet częściej, historyk Sulpicyusz Sewerus († około 420) [2]. Od wieku IV Tours nabiera coraz rozgłośniejszej sławy. O grobie św. Feliksa w Noli mówiliśmy już wyżej. Afryka posiadała w Kartaginie grób św. Cypryana, którego cześć już wtedy była nadzwyczaj rozpowszechniona. Między innymi widzimy u grobu św. Cypryana pod koniec IV w. pielgrzyma z Gallii, Postumiana, wielkiego przyjaciela Sulpicyusza Sewera [3].

Na Wschodzie miejscem częstych pielgrzymek było Sebaste w Armenii z sławnym grobem św. 40 męczenników [4]. W Seleucyi zwiedzano bardzo często grób św. Tekli, której kult niezmiernie szybko, zapewne dzięki pielgrzymkom, rozpowszechnił się i na Zachodzie. Modlił się u jej grobu także św. Grzegorz Naz. [5]. Szczególniejszy skarb miała Edessa w grobie św. Tomasza apost. Ciało jego przeniesiono tu z Indyi. Św. Efrem († 373), który odprawił do tego grobu pielgrzymkę [6], opisał w pięknych wierszach

---

[1] Prudentius: *Peristeph.* I, v. 7 sqq., Migne, Patr. lat. 60, 278; P. B. Gams: *Kirchengeschichte von Spanien,* t. I, 294. Regensburg 1862.

[2] Paulin Nol.: *Ep. 17, n. 4,* M. P. l. 61, 236.

[3] Sulpicius Severus: *Dialogus I, c. 3,* M. P. l. 20, 186.

[4] Gregor. Nyss., *Or. II in XL mart.,* Migne, Patr. graec. 46, 755.

[5] Gregor. Naz.: *Carmen de vita sua* v. 547 sq., M. P. gr. 37, 1067.

[6] Gregor. Nyss.: *De vita s. Ephrem,* M. P. gr. 46, 834.

nadzwyczajne łaski, jakich doznawali tu wierni [1]. Była tu także sławna Sylwia z południowej Gallii, która nam zostawiła niezmiernie cenny, niedawno znaleziony, opis swej pielgrzymki do Ziemi św., odprawionej w r. 385—388. Sylwia zaręcza, że niema człowieka z pośród licznych zastępów wiernych, zdążających do Jerozolimy, któryby nie pragnął w Edessie, przy grobie św. Tomasza się pomodlić [2]. Wreszcie zdążamy kolejno do Palestyny, do Jerozolimy. Po drodze zatrzymuje nas jeszcze grób św. Jana Chrzciciela w Sebaste w Samaryi. Pielgrzymowano tu wiele, bo miejsce nie było zbyt odległe od Jerozolimy, a postać św. Jana Chrzciciela tak była przecież związaną z dziejami ewangelii. Była tu między innymi, znana z życia św. Hieronima, Paula, znakomitego rodu rzymianka [3].

Jerozolima! — Ileż to miasto posiada czaru jeszcze dziś, ile go posiadało w wiekach średnich! A cóż powiedzieć o pierwszych stuleciach chrześcijaństwa, tak blizkich chwili odegrania się Bożej tragedyi, kiedy jeszcze niemal nie zamarło echo ostatnich słów Chrystusowych na krzyżu. Choćby nam historya nie pozostawiła była żadnych śladów pielgrzymek do miejsc, życiem i śmiercią Boga-człowieka uświęconych, to nie przypuścilibyśmy nigdy, iż o tych miejscach zapomniało pierwotne chrześcijaństwo. Mamy atoli bardzo liczne i bardzo wczesne dowody pielgrzymek do Ziemi św.; zbytecznem jest też dodawać, że imiona osób, tam pielgrzymujących, przechowane w świadectwach pisanych, są tylko małą cząstką tych rzesz, które w Jerozolimie i innych miejscach świętych drogie pamiątki chrześcijaństwa zwiedzały.

Jak liczne już w początkach chrześcijaństwa musiały być pielgrzymki do Ziemi św., wnosić można z tego, że Rzymianie, chcąc im przeszkodzić, wystawili już około czasów Adryana posąg Jowisza na miejscu grobu Chrystusa, a statuę Wenery na

---

[1] Cfr. N. Nilles S. J.: *Kalendarium manuale utriusque ecclesiae*, t. I, str. 297.

[2] *S. Silviae peregrinatio* c. 17, *Corpus scriptorum eccl. lat.* 39, 60.

[3] Hieronim.: *Ep. 108, n. 13,* M. P. l. 22, 889; cfr. ep. 46, n. 12, M. 22, 491.

miejscu ukrzyżowania [1]. Wyliczmy przynajmniej kilka nazwisk. Już w II w. zwiedza miejsca święte biskup z Azyi, Meliton; nieco później przybywa tu Aleksander, biskup Kapadocyi, jakoteż następca jego, Firmilian. Z szczególniejszym zapałem zwiedza i opisuje pamiątki palestyńskie sławny Juliusz Afrykańczyk z Nikopolis, w początkach III wieku [2]. Ogląda także ślady pobytu Jezusa, uczniów jego i proroków współczesny Juliuszowi Origenes [3]. Podobnych nazwisk znała starożytność chrześcijańska o wiele więcej; znał ich wiele św. Hieronim z pośród biskupów, męczenników i wybitnych w nauce kościelnej mężów. O czasach bezpośrednio przed Konstantynem zapisał historyk Euzebiusz, że można było spotykać na miejscach świętych ludzi z całego świata [4].

Od czasów Konstantyna W., a zwłaszcza po znalezieniu cennej relikwii krzyża św. wchodzą pielgrzymki palestyńskie w okres największej świetności. Listę pobożnych pątników otwiera matka cesarza, św Helena, która z największą pobożnością zwiedzała wszystkie miejsca, uświęcone życiem Zbawiciela [5]. Za nią wysyłają do Palestyny swych pielgrzymów wszystkie kraje ówczesnego chrześcijańskiego świata. Z Italii pielgrzymują w drugiej połowie IV w.: Paula z córką i wielu innemi niewiastami [6], historyk Rufin z Melanią [7]. Z Gallii odbyła pielgrzymkę do Jerozolimy i innych miejsc Palestyny wzmiankowana wyżej Sylwia, która nam zostawiła nader cenny opis swej podróży. Slad pielgrzymek z Germanii wyczytujemy na jednym z grobów, kryjącym zwłoki zmarłej w Jerozolimie pątniczki.

Μνῆμα διάφε-
ρον Θέκλα Μαρού-
λφου Γερμανικῆ.

---

[1] Hieronim.: *Ep. 58, n. 3,* M. P. l. 22, 581.
[2] Duchesne: *Histoire ancienne de l'eglise,* t. II, str. 78. Paryż 1907.
[3] Origenes: *Comment. in Ioannem* VI, 24. M. P. gr. 14, 270.
[4] *Demonstrat. evangel.* VI, 18. M. P. gr. 22, 458.
[5] Euseb.: *De vita Constantini* III, 42. M. P. gr. 20, 1102.
[6] Hieronim.: *Ep. 108, n. 9.*
[7] Hieronim.: *Ep. 4, n. 2,* M. P. l. 22, 336.

»Grobowiec Tekli z Germanii, córki Marulfa« [1]. Z Małej Azyi był między innymi w Jerozolimie św. Bazyli [2], z Persyi Milles, biskup [3].

Przytoczyliśmy tu tylko wybitniejsze, zapisane w historyi nazwiska, lecz nie trzeba myśleć, że na nich zamyka się lista pielgrzymów palestyńskich. Inne, więcej ogólne świadectwa, dają nam więcej dokładne wyobrażenie o wielkiej ich liczbie. Naoczny świadek, św. Cyryl jerozolimski mówi o licznych tłumach, zwiedzających miasta święte [4]. Św. Hieronim, także świadek naoczny, stwierdza, że przybywają do Jerozolimy ludzie z całego świata, że pełnem jest miasto obcokrajowców [5]. Widać tu przybyszów z Gallii, z Brytanii, Armenii, Persyi, Indyi, Etyopii, Egiptu, Pontu, Kapadocyi, Syryi, Mezopotamii [6]. Owszem, wskutek nadzwyczajnej powszechności pielgrzymek palestyńskich, wyradza się już w IV w. błędny przesąd, że odwiedzanie Jerozolimy i innych miejsc, pobytem Chrystusa uświęconych, jest niezbędnym warunkiem prawdziwej pobożności. Tak np. św. Grzegorz Nyss. zmuszony był w publicznem kazaniu przekonywać swych wiernych, że ze wszystkich krajów jest równie blizko do nieba jak z Jerozolimy, że można być wielce pobożnym, nie zwiedziwszy wcale Jerozolimy [7]. Podobnie uspokaja św. Hieronim św. Paulina z Noli, by nie myślał, że nie dostaje czegoś jego wierze dlatego, że nie był w Jerozolimie, albowiem nie pobyt w Jerozolimie zasługuje na pochwałę, lecz święte życie na tem miejscu [8].

Powiedźmy teraz okiem za krokami pobożnych pielgrzymów. Zwiedzali wszystko, cokolwiek przypominało życie Zbawiciela.

---

[1] Germer-Durand: *Epigraphie chrétienne de Jerusalem, Revue biblique,* 1892, I, str. 562.

[2] Basil.: *Ep. 223, n. 2,* M. P. gr. 32, 823.

[3] Ruinart: *Acta martyrum sincera,* str. 590. Ratysbona 1859.

[4] *Cateches.,* XVII, n. 10. M. P. gr. 33, 987.

[5] *Ep. 58, n. 4,* M. P., l. 22, 582.

[6] *Ep. 46,* M. P. l. 22, 489.

[7] *Oratio de his, qui Ierosolyma adeunt.,* M. P. gr. 46, 1009. Mylnie niektórzy sądzą na podstawie tej mowy, że św. Grzegorz był zasadniczo przeciwny pielgrzymkom.

[8] *Ep. 58 ad Paulinum* n. 2. 4. M. P. l. 22, 580. 582.

W Bethleem zwiedzali stajenkę, w której Chrystus na świat przyszedł [1]; oglądali miejsce, na którem, według tradycyi, miał się odbyć chrzest P. Jezusa [2]; modlili się w grocie, w której i Chrystus modlił się przed męką [3]; oglądali słup, przy którym miało się odbyć ubiczowanie, całowali i ronili łzy przy grobie Zbawcy [4]; szli na miejsce, z którego P. Jezus wstąpił do nieba, zabierali sobie na pamiątkę ziemię, uświęconą stopami wstępującego do nieba Chrystusa [5]. Z szczególniejszem nabożeństwem uczestniczono w adoracyi i całowaniu relikwii krzyża św. O tym szczególe mieliśmy do niedawna bardzo skąpe wiadomości. Wspominał już o całowaniu relikwii krzyża św. Hieronim św. [6] i inny autor, znany pod nazwą Hieronima greckiego [7], ale dopiero znaleziony opis pielgrzymki Sylwii daje nam dokładny obraz tej wzruszającej sceny. Jest to wprawdzie opis jednego z zwyczajów wielkotygodniowych, ale prawdopodobnie niektóre szczegóły miały miejsce i w innym czasie. Na górze Kalwaryi ustawiano tron dla biskupa; przed nim stał stół, na którym składano srebrną, pozłacaną skrzyneczkę z relikwią krzyża św. Następnie otwierał biskup skrzyneczkę a ująwszy w swe ręce relikwie św., podawał je do ucałowania wiernym, którzy, pojedynczo, z głębokim pokłonem do św. relikwii przystępowali. Po rogach stołu stało dwu dyakonów, którzy, jak tłumaczy Sylwia, mieli strzedz, by ktoś w ustach jakiej cząstki drzewa krzyża nie zabrał, jak się to dawniej miało zdarzać [8].

Drugiem miejscem, które również uważano za wspólną własność całego chrześcijaństwa — to Rzym ze swymi grobami. I Rzym przyciągał do siebie wiernych ze wszystkich krańców świata, bo

---

[1] Origenes: *Contra Celsum* I, 51; Euseb.: *Demonstr. evang.*, VII, 2. M. P. gr. 22, 539. 547.

[2] Origenes: *Comment. in Ioan.*, VI, 24. M. P. gr. 14, 270.

[3] Euseb.: *Demonstr. evang.* VI, 18. M. P. gr. 22, 458.

[4] Hieronim: *Ep. 108, n. 9.* M. P. l. 22, 883 sqq.

[5] Euseb.: *Demonstr. evang.*, VI, 18; Sulpicius Severus: *Hist. sacr.* II, 33. M. P. l. 20, 148.

[6] *Ep. 46, n. 12.* M. P. l. 22, 491.

[7] Hieronim. graecus: *De cruce.* M. P. gr. 40, 866.

[8] *Peregrinatio Silviae,* c. 37, *Corp. script. eccl. lat.*, 39, 88.

»miasto to, jakby jakie wielkie i potężne ciało posiada dwoje, płonących światłem oczu, mianowicie ciała tych świętych (Piotra i Pawła). Nie tak jaśnieje niebo, kiedy słońce promieńmi świeci, jak gród Rzymian, posiadający te dwie pochodnie, które cały świat oświecają« [1].

Już poznaliśmy kilka nazwisk pielgrzymów rzymskich. Byli to w III w. św. Maryusz z małżonką swą Martą i dziećmi z Persyi, św. Maurus z Afryki. W IV w. pielgrzymki rzymskie są już zjawiskiem codziennem. Corocznie przybywał do grobów apostolskich św. Paulin z Noli, z Hiszpanii przybył do Rzymu Prudencyusz [2], z Gallii w r. 399 dyakon biskupa z Rouen, Wiktrycyusza, Paschazyusz [3]. Św. Chryzostom również pragnął niezmiernie widzieć grób św. Piotra i Pawła, ale słabe zdrowie nie pozwalało mu puścić się w tak daleką podróż [4]. Wogóle pielgrzymki biskupów do grobów apostolskich już w IV w. są tak zwyczajne, że już w V i VI w. stają się prawie ich obowiązkiem. Już w 402 r. zapisał św. Hieronim, że na grobach św. Piotra i Pawła odprawiają msze św. biskupi całego świata (*Con. Vig.* 8). Odprawianiem mszy św. na grobach apostolskich stwierdzali oni swą prawowierność i łączność z Rzymem. Stąd to św. Optatus, biskup w Milevi, w Afryce, tem także między innemi udowadniał herezyarchom Donatystom ich nieprawowierność, że ich Makrobiusz, bawiący w Rzymie, nie odprawiał nigdy mszy św. na grobach św. Piotra i Pawła [5].

W ślad za duchowieństwem podążał do Rzymu i lud wierny. Grób watykański był otoczony czcią całego świata [6]. Przez wszystkie miasta przeciągali pielgrzymi rzymscy. Najoczywistszy tego dowód posiadamy w napisie, jaki przy wejściu do bazyliki św. Piotra w Spoleto (około r. 419) umieścił biskup Achilleusz. Napis powiadamiał wszystkich, którzy *via Flaminia* podążali do grobu św. Piotra, że i spoletańska bazylika jest siedzibą księcia aposto-

---

[1] Chrysost.: *Hom. 32 in ep. ad Rom.* n. 2. M. P. gr. 60, 678.
[2] *Peristephan.*, IX, v. 3. M. P. l. 60, 433.
[3] Paulin. Nol.: *Ep. 18, n. 1.* M. P. l. 61, 237.
[4] *Hom. 32 in ep. ad Rom.* n. 3. 4. M. P. gr. 60, 678 sqq.
[5] *De schismate Donat.*, l. II. M. P. l. 11, 951 sqq.
[6] Hieronim.: *De viris illustr.* c. 1. M. P. l. 23, 639.

łów, ponieważ posiada relikwie jego oków [1]. Wprawdzie to napis z początku V w., ale rzuca wiele światła i na pielgrzymki z wieku IV. Wielu z tych pielgrzymów z czasów Teodozyusza I (379—95), nie powróciło już nigdy do domu. Zarządcy piekarni miejskiej wabili ich podstępnie do gospody po chleb a następnie wtrącali ich potajemnie do piwnic i zmuszali do pracy. Szczęściem, rzecz wyszła na jaw, Teodozyusz przestępców ukarał śmiercią a zabudowania zburzyć kazał [2].

Oprócz grobów apostolskich zwiedzali pątnicy także inne groby rzymskich męczenników, zwłaszcza groby w katakumbach. Zapisał to o sobie Prudencyusz [3] i św. Paulin z Noli. Ten ostatni poświęcał każde przedpołudnie swego dziesięciodniowego pobytu w Rzymie w r. 399 na zwiedzanie grobów męczeńskich i modlitwę przy nich [4]. Napływ pielgrzymów do katakumb, zwłaszcza po edykcie medyolańskim (r. 312), był tak wielki, że wnet musiano w nich rozpocząć roboty restauracyjne, by wiernym ułatwić zwiedzanie podziemnych cmentarzy i modlitwę przy grobach męczenników. Niezapomniane zasługi położył w tej pracy papież Damazy. Porozszerzał krużganki podziemne, ozdobił kaplice męczenników marmurem, grobowce świętych wyposażył w starannie wykonane napisy z krótką wiadomością o życiu i śmierci męczennika [5]. Odtąd, mimo że już istniały w Rzymie świątynie na powierzchni ziemi, katakumby nie przestały przez długi czas być miejscem gorących modlitw chrześcijan. Pobożność wiernych przy grobie św. Hipolita, jaką nam opisał Prudencyusz [6], może nam dać wyobrażenie o czci, jaką wierni otaczali i inne krypty.

Ale pielgrzymowi rzymskiemu nie wystarczyło pomodlić się przy grobie męczennika, on chciał się polecić wiecznej pamięci świętego, on chciał, by święty roztaczał nad nim swą opiekę nawet wtedy, kiedy już opuści grób jego i powróci do swego

---

[1] Grisar S. J.: *Gesch. Roms und der Päpste,* t. I, str. 172.
[2] Socrates: *Hist. eccl.* v, 18. M. P. gr. 67, 611.
[3] *Peristephan.* XI, v. 1 sqq. M. P. l. 60, 530 sqq.
[4] *Ep. 17, n. 2.* M. P. l. 61, 235.
[5] Kraus: *Roma sott.,* str. 105 sq.
[6] *Peristeph.* XI, v. 153 sqq.

miasta, swej ojczyzny. Stąd nieraz zapisywał swe nazwisko na grobie męczennika. Czytamy wiele takich nazwisk na grobach w krypcie św. Kaliksta. Na płycie grobowca św. Korneliusza podpisali się: *Tufilatus* (Theofilactus), *Petrs* (Petrus), *Atrianus Leo*, *Gregori* (Gregorius) [1].

Obraz św. Korneliusza, zdobiący grób tego papieża również jest zapisany cały nazwiskami, między któremi znajduje się wiele nazwisk księży [2].

Ten sam zwyczaj istniał i poza Rzymem.

W innych napisach polecał pobożny pielgrzym, oprócz siebie, także krewnych i blizkich swoich. Oto np.:

MARCIANVM SUCCESSVM SEVERVM
SPIRITA SANCTA IN MENTE HAVE-
TE ET OMNES FRATRES NOSTROS

Dusze święte, pomnijcie na Marcyana Sukcessa Sewera i wszystkich braci jego.

Inny modli się o szczęśliwy powrót do domu:

PETITE SPIRITA SANCTA VT VERE-
CVNDVS CVM SVIS BENE NAVIGET

Módlcie się, dusze święte, by Werekundus ze swymi szczęśliwą miał podróż.

Inny na kilku miejscach w krypcie papieskiej zapisuje nazwisko Sofronii (matki może swej lub małżonki). Przed wejściem do krypty napisał: *Sofronia, vibas cum tuis* (Sofronio, żyj ze swoimi); znów u samego wnijścia: *Sofronia, vives in Domino* (Sofronio, żyj w Panu); na głównym ołtarzu kapliczki, już większemi głoskami wyrył: *Sofronia dulcis, semper vives Deo* (droga Sofronio, ty na wieki będziesz żyła w Bogu); wreszcie raz jeszcze na tem samem miejscu: *Sofronia, vivas* (Sofronio, ty będziesz żyła) [3]. Jakże przepiękna skala uczuć od najprostszego wspomnienia przed Bogiem wewnątrz cmentarzy męczenników aż do nie-

---

[1] Martigny: *Diction. des antiquités chrét.* str. 625 sq.
[2] Martigny: l. c. str. 336.
[3] Kraus: *Roma sott.* str. 149 sq.

zachwianej nadziei, że Sofronia nigdy nie wypadnie z opieki Boga, że ona na wieki żyć będzie.

Znów np. obraz wskrzeszenia Łazarza, znajdujący się w jednej z kaplic katakumby św. Pryscylli, przywodzi pielgrzymom na pamięć nazwiska ich krewnych i znajomych zmarłych, więc i ich polecają miłosierdziu Bożemu:

☧ FELIX VIVAT = Feliks niech żyje w Chrystusie.

MARTIVS ☧ = Marcyusz w Chrystusie.

MARce iaNVARI VIVAS = Żyj Marku January [1].

Widzimy, jak pielgrzymki były już przed V w. potężnie rozwiniętą formą kultu relikwii św. W wiekach średnich przybiorą one bardziej jeszcze na wspaniałości, ale jednak i w tym okresie są one wybitnym wyrazem wielkiej czci wiernych dla relikwii św.

W rozwoju i historyi kultu świętych mają pielgrzymki bardzo doniosłe znaczenie. Podczas gdy w samych początkach chrześcijaństwa kwitnął przedewszystkiem kult lokalnych świętych, to pielgrzymki roznosiły chwałę świętego po całym świecie tak, że wkrótce męczennik odbierał cześć nie tylko na miejscu swego grobu, ale wszędzie. W ten sposób upowszechniał się kult świętych. Wskutek tego mnożyły się po całym świecie kaplice i kościoły, poświęcone obcym świętym.

Ks. K. Feliś.

---

[1] Wilpert: *Ein Cyclus christolog. Gemälde*, str. 49 sq..

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

Marcin Bielski. Studyum literackie. *Chrzanowski Ignacy.* Warszawa 1906. 8-ka, str. 280.

Profesor Brückner scharakteryzował w swej »Historyi literatury« (I, 145) Marcina Bielskiego w następujący sposób: »Bielski nie był historykiem z zawodu, pisarz to średniowieczny, moralista, satyryk, dydaktyk, i prócz kroniki tylko na tem polu pracował, ale zawsze po polsku i tem na wielką wdzięczność zasłużył, chociaż mu to niepamięcią oddano, wysuwając Reja na plan pierwszy. Prawdzic ten, nie tknięty od humanizmu, pokazał w swoich wierszach, satyrach, allegoryach, jakiemi drogami samorodna, domorosła poezya polska kroczyć mogła bez podpór i ozdóbek humanistycznych, fałszujących styl polski«. Uznawszy ten sąd o Bielskim za najlepszy z dotychczasowych, nie zbijając przeciwnego zdania d-ra Sinki ani też się z tem zdaniem godząc, za cel swego dzieła bierze p. Ig. Chrzanowski to, żeby powyższe myśli swego berlińskiego mistrza udokumentować szczegółowym rozbiorem działalności pisarskiej Bielskiego. Sam to skromnie i szczerze zeznaje w ostatnich wierszach swego dzieła. »Uzasadnić szczegółowiej sąd profesora Brücknera i wogóle przyczynić się do ustalenia sądu o Bielskim; połączyć w jedną całość szczupłe dane biograficzne; zbadać szczegółowo żywoty filozofów, kronikę polską, satyry i komedyę; ułatwić przyszłym badaczom studya nad »Kroniką świata« i »Sprawą rycerską«; scharakteryzować indywidualność i zasługi Bielskiego; wreszcie z uwagi, że pisma jego są mało znane, przytoczyć z nich dłuższe wyjątki: oto zadanie niniejszej książki«.

Rozdział pierwszy książki p. Chrzanowskiego daje przegląd życia Marcina Bielskiego i ustala chronologię dzieł. Nowych szczegółów poza tem, co wykryli Sobieszczański, Pawiński, Wisłocki i Tyszyński, nie przytacza, ale znane już sprawdza i krytycznie oświetla, skutkiem czego pewna ilość hypotez uzyskuje powagę pewników. Bielski nie kształcił się za granicą, uważać go można za samouka. Długo przebywał na dworze Piotra Kmity i tam się wypolerował w nauce, zaprawił w rycerskiem rzemiośle, oraz nabył skłonności do nowinek religijnych. Pobyt w Krakowie oddziałał na Bielskiego w dwóch kierunkach: utrwalił się Bielski w swych sympatyach dla protestantyzmu i dokładniej zaznajomił z prądem humanistycznym, aczkolwiek się nim nie przejął. Umysłowy obraz Krakowa ówczesnego, osnuty prawie wyłącznie na wzmiankach Bielskiego, wypadł skąpo. Zamiast przytoczeń anegdot o skarbie w konwi miedzianej lub o wyjedzeniu czosnku w ziemi krakowskiej przez posłów moskiewskich, można było podać o ówczesnej stolicy na podstawie znanych źródeł więcej interesujących rysów, które nie raziłyby w obszernej monografii. Opierając się na słowach »Jeszcze od swoich młodych lat pisał wszem polskie rzeczy rad«, domyśla się p. Chrzanowski, że może jest autorem pierwszej drukowanej powieści polskiej, t. j. »Fortuny i cnoty różność, w historyi o niektórym młodzieńcu ukazana« (1524), ale dowodu na to brak, domyśla się też, że może tłumaczył »Nowy Testament Polskim językiem wyłożony« (1556), wydany u Mikołaja Scharfenbergera, może pisał »Komentarz albo wykład na proroctwo Hozeasza proroka«, w roku 1559 w Brześciu Litewskim drukowany — i tu jednak stanowczych dowodów na razie niema. Bielski był wówczas od dawna żonatym i osiadłym w Białej ziemianinem. Utrzymuje p. Chrzanowski (str. 18), że fortunę miał bardzo skromną: obejmowała nie więcej, jak łanów dziesięć, ale widać, że i na tej przestrzeni gospodarował zabiegliwie, skoro majątek powiększa i zaokrągla. Najważniejsze dzieła powstały w Białej — przedtem wydał bowiem tylko »Żywoty filozofów«.

W dalszym ciągu swej monografii poddaje p. Chrzanowski rozbiorowi główne utwory Bielskiego, poświęcając osobne rozdziały każdemu z nich. Poczyna od »Żywotów«. Chrzanowski rozstrzyga stanowczo i dowodzi niezbicie całym szeregiem umiejętnie wybranych i zręcznie zestawionych ustępów z dzieł: Gwaltera Burleya »O życiu i obyczajach filozofów i poetów starożytnych«, Konacza »Żiwotowce a mrávnaa Naučeńÿ Mudrtzuo przyrozených a mužuo cztnostÿ oswÿetzených krátcze wybranÿ« oraz Bielskiego »Żywoty«, spór między Wi-

słockim, Sobieszczańskim i Tyszyńskim o to, czy Bielski korzystał z Dyogenesa z Laerty, czy tłumaczył z Burley'a, czy był zależny od wzorów czeskich. Okazuje się, że dzieło Burley'a, używające rozgłosu w swoim czasie, przełożył na język czeski i wydał w r. 1514 w Pradze Konacz, Bielski zaś przełożył na język polski książkę Konacza z czeskiego. Celem przekładu Bielskiego było nie tylko »rozmnożenie języka polskiego«, lecz i przypuszczalny wpływ treści na ziomków. Pogańscy poeci i filozofowie mieli dać przykład, jak się kierować w życiu moralnem »prawem przyrodzonem« — nie objawionem. Nauka niech się stanie środkiem, wiodącym do cnoty. »Żywoty« Bielskiego— to pierwsza u nas polska księga »świecka, poważna i ogólno-kształcąca« (36).

Bardzo ważnem dziełem Marcina Bielskiego jest »Kronika świata i kronika polska«. To też gruntownemu krytycznemu rozbiorowi tego dzieła poświęca Chrzanowski lwią część swej monografii od str. 55 do str. 174.

Bielski wymienia sam szereg źródeł, na których oparł swą »Kronikę«. Pan Chrzanowski zbadał je i doszedł do wniosku, że ilość ich należy z jednej strony znacznie obciąć, odrzucając i Strabona i Beroza i Orozyusza, a może nawet Ksenofonta i Prokopa, oraz wielu innych historyków, zwłaszcza greckich, ale z drugiej strony znacznie powiększyć, dorzucając Schedla, Münstera, Jowiusza, Grynaeusa i wielu innych, których czytał na pewno, ale których jakoś nie wymienił (64).

Porównawcza analiza wykazuje, że dwie pierwsze księgi wziął głównie z dzieła humanisty Jana Nauklera, że materyał do księgi »O ustanowieniu Kościoła i rzeczypospolitej« zaczerpnął z Jana Slejdana, że historyę Turków opracował na podstawie »Kosmografii« Sebastyana Münstera, węgierską zaś na podstawie Michała Ricyusza, czeską na podstawie kroniki Hajka, moskiewską streścił z Zygmunta Herbersteina, ostatnią o nowym świecie wziął z Szymona Grynaeusa. A zbadawszy, co przejął od obcych, rozdział piąty poświęca Chrzanowski sprawozdaniu z tych wiadomości własnych Bielskiego, jakie się w Kronice jego znalazły. Stwierdza dalej, że jakkolwiek jest to kompilacya, lecz na ogół sumienna, aczkolwiek w duchu zapatrywań średniowiecznych częstokroć za gruntowniejsze i potrzebniejsze części dziejów uważał Bielski anegdoty, podania, różnego rodzaju dziwy i osobliwości i oddawał im pierwszeństwo nad wypadkami ściśle historycznymi i rzeczami ważnemi. »Kronika świata« ma zatem charakter anegdotyczny w wyższym stopniu, niż kroniki łacińskie i czeskie. Oprócz tego od-

znacza się ona tendencyą dydaktyczną, ma bowiem uczyć religijności, cnoty, ducha rycerskiego i gruntownej znajomości rycerskiego rzemiosła, ma nakłaniać współobywateli do zgody i do poszanowania praw, które stanowią podstawę całości państwa. Stosownie więc do tych tez moralizujących jedne partye historyi skraca, inne rozdłuża, o ile służą za illustracye tezom. Od kronik włosko- i niemiecko-łacińskich odróżnia się dzieło Bielskiego dość wyraźną niechęcią względem katolickiego Kościoła a tendencyą protestancką. I to jest właśnie jedyny rys nieśredniowieczny.

Rozdział czwarty poświęca p. Chrzanowski zbadaniu Kroniki polskiej i dochodzi do wniosku, że pierwsza część — do r. 1506 — jest głównie streszczeniem Miechowity, druga (1506—1516) — streszczeniem Decyusza, trzecia (1517—1536) powstała z notatek Wapowskiego i własnych, czwarta wreszcie (1536—1548) opracowana na podstawie własnych badań, powieści ludzkiej i autopsyi. Najbardziej szczegółowe są dwie pierwsze. I tu obszerne uwzględnienie mają anegdoty, i tu pierwiastek dydaktyczny się ukazuje, choć w mniejszej mierze, ale za to pierwiastek osobisty uwydatnia się częściej i śmielej. Krzyżaków np. nie cierpi, do Litwinów nie ma szczególniejszego pociągu, patryotyczne uczucia niekiedy wyraża, do Kościoła katolickiego zaznacza niechęć niedwuznacznie. Znaczenia źródłą dziejowego Kronice polskiej p. Chrzanowski stanowczo odmawia, jednakże przyznaje, że jest pierwszą, znaną nam dzisiaj, drukowaną w języku ojczystym historyą polską, napisaną zwłaszcza przez człowieka świeckiego. Wprawdzie »Sprawa rycerska« jest końcowem dziełem Bielskiego, »żegnaniem ze światem« i p. Chrzanowski zajmuje się nią z tego względu na końcu swej monografii. Ponieważ atoli sam on nie łączy genetycznie dzieł z życiem swego pisarza i nie rozpatruje ich na tle rozwoju duchowego, przeto nie będzie wielkim grzechem, jeśli na tem miejscu zdam sprawę z rezultatu dociekań nad »Sprawą rycerską«. I tu pierwszem pytaniem, jakimi posiłkował się Bielski źródłami. Sam rycerzem nie był. Wymienia je w dedykacyi. Jakkolwiek istniały już i polskie dzieła w tej materyi: Stanisława Łaskiego, Jakóba Przyłuskiego (VI księga »Statutów«), Modrzewskiego (III księga »O naprawie Rzeczypospolitej«), Jana Tarnowskiego, to jednak Bielski głównie opiera się na księgach obcych autorów. W części pierwszej i drugiej wykłada zasady sztuki wojskowej u Rzymian, w trzeciej — u Greków, w czwartej o fortelach wojowników starożytności, w piątej opisuje sprawy rycerskie Turków, część szóstą poświęca machinom oblężniczym i przechodzi do

nowej sztuki rycerskiej, o której traktuje i ósma. Praktycznych wskazówek udziela też tylko w dwóch końcowych księgach. Całość zaś jest raczej historyczną kompilacyą, mającą i cel moralny: aby Polacy bez względu na pokój ćwiczyli się w rzemiośle rycerskiem i myśleli o wojnie w obronie ojczyzny i całego chrześcijaństwa.

Ale Marcin Bielski był i poetą, autorem pierwszego w literaturze naszej moralitetu p. t. »Komedya Justyna i Konstancyi«, oraz »Satyr«.

Komedya maluje walkę afektów dusznych z afektami cielesnymi, a rzecz rozgrywa się w trzech sprawach. W pierwszej główną postacią jest sędziwy ojciec, allegorycznemi zaś postaciami Starość, Mądrość, Niemoc, Pokusa i Anioł. Każda z tych postaci wypowiada sentencye, wypływające z jej charakteru i zastosowane do życia ludzkiego. W drugiej sprawie główną postacią jest Justyn, allegorycznemi zaś Świat, Praca, Młodość, Karność, Wenera, Wstyd, Bachus, Mierność, Sors, Sprawiedliwość, Pycha i Pokora, Pomsta, Cierpliwość i Krotofila. W trzeciej sprawie główną postacią Konstancya, allegoryczne zaś: Posłuszność, Wierność, Nadzieja, Pociecha i Radość. Komedya ma wprawdzie liczne wzory w obcej literaturze, ale jest oryginalną. Domyśla się p. Chrzanowski, że może Bielski, jak ów sędziwy ojciec, przebywał ciężką chorobę i przed śmiercią błogosławił własnym dzieciom na drogę życia, pragnąc, aby córka, której w rzeczywistości było na imię Konstancya, nie sprzeniewierzyła się imieniu »Stałość«, a syn Joachim był Justynem t. j. sprawiedliwym. Uważa też utwór ten za pierwszy silniejszy wyraz indywidualizmu w poezyi polskiej XVI w. Zdaje też sobie należytą sprawę z ułomności dzieła pod względem artystycznym.

Satyry trzy zostały po Bielskim, wydane dopiero przez syna w kilka lat po śmierci autora, a choć czas ich powstania nie da się ściśle oznaczyć, to jednak pierwsza mogła powstać w ostatnich miesiącach r. 1566, druga co najwcześniej w drugiej połowie r. 1569, trzecia przed końcem tegoż roku. Pierwsza ma tytuł »Sen majowy« i jest allegoryą, której myślą przewodnią potrzeba zbrojnej koalicyi narodów chrześcijańskich przeciw Turkom. Allegorya ta o tendencyi politycznej w szczegółowych pomysłach czerpie wątek ze źródeł zarówno humanistycznej literatury obcej jak własnej, lecz łączy je w sposób udatny — a we fragmentach nawet artystyczny, w czem przewyższa »Komedyę«.

Druga satyra p. t. »Rozmowa baranów«, jest wybitnie obyczajową i przez to dla historyka obyczajowości polskiej nader ciekawą

i cenną. Trzecia »Sejm niewieści« ma formę dyalogu między niewiastami, które radzą o naprawie rzeczypospolitej. Rozróżnić w niej trzeba trzy motywy: projekt naprawy, winę w nieumiejętnym rządzie mężczyzn i chęć rządzenia u kobiet. Pomysł i niektóre szczegóły wziął Bielski od Erazma Roterdamczyka, lecz uzupełnił je i zastosował do Polski.

Satyry Bielskiego dają nadzwyczaj ciemne malowidło Polski XVI wieku. Pod względem politycznym, brak zgody wewnątrz, a napór zewnętrznych chciwych nieprzyjaciół.

Litwin nierad unijej, Prus egzekucyjej,
Ale naszym Polakom pilniej defenzyjej,
Moskwa za uchem trąbi, a Szwed w bęben tłucze,
Radby nam wziął od zamków snadź inflanckich klucze.
Tatar od nas chce dani, sukna i kożuchów,
Nie dadzą li, strzeżyż się, jak innych złych duchów.
Wołoszyn tego pilen, jakoby nas zdradził,
A niżowy zaś Kozak radby z Turki zwadził.

Podobnie jak inni pisarze polityczni i poeci XVI wieku narzeka i Bielski na przewlekłość obrad sejmowych, na gadatliwość posłów i niedoświadczenie ich, na kłótnie religijne i jałowość uchwał, na prawa niesprawiedliwe i nadużycia urzędników, osobliwie zaś na prywaty szlachty i obojętność jej względem ojczyzny. Wydatne miejsce w satyrach zajmuje pierwiastek mieszczański. Zdzierstwa kupców przekraczają wszelkie granice. W krakowskich sukiennicach okropna drożyzna, zwłaszcza na sukna cudzoziemskie, które tak chętnie kupują nieroztropni Polacy; w szynkach podobnież jak i w piekarniach, a tymczasem mieszczanie i kupcy żyją nad stan i gorsząco. Satyry Bielskiego nie dotykają stanu duchownego i niewiele dają materyału do ujemnej charakterystyki rycerstwa. Wogóle świadczą one, że Bielski był dobrym synem ojczyzny i pragnął naprawy jej wad i niedoskonałości. Był człowiekiem skromnym, a miał silne i szlachetne pragnienie służby dla dobra publicznego. Jako pisarz górował nad Rejem dbałością o poprawność składni, lecz nie dorównywał mu w bogactwie słownictwa. Stylem pisał jędrnym, zwięzłym, prostym i poprawnym. Porównanie z Rejem dowodzi, że o ile Bielski rozwijał się i postępował, o tyle Rej cofał się i kostniał. W literaturze nie posiada tak wielkiego, jak Rej, znaczenia. Niemniej przeto jeden z pierwszych zaczął pisać po polsku, wydał pierwszą historyę polską i pierwszą powszechną. Dawał społeczeństwu dobre rady i wskazywał błędy.

Tak się przedstawia w sprawozdaniu bogata treść monografii p. Chrzanowskiego o Marcinie Bielskim. Nie traktuje ona dzieł na tle duchowego rozwoju pisarza, lecz załatwiwszy się z życiem jego w pierwszym rozdziale, w dalszych zajmuje się rozbiorem dzieł w porządku chronologicznym, o ile się go dało przypuszczalnie lub niewątpliwie ustanowić. Układ taki nie jest oczywiście najlepszym, gdyż po pierwsze rozdziela człowieka i jego duchową produkcyę t. j. dwie treści, które się ze sobą organicznie splatają, powtóre zaś częściom monografii nie dostarcza kitu, wewnętrznie je spajającego. Monografia ma postać kilku luźnych rozpraw o poszczególnych utworach Bielskiego, a każda rozprawa stanowi tak dalece samoistną całość, że mogłaby egzystować oddzielnie. Winy tego układu nie przypisuję p. Chrzanowskiemu. Wyniknął on z nader szczupłych wiadomości biograficznych o Marcinie Bielskim, które nie dostarczyły materyału do roztoczenia wizerunku umysłowego postaci łącznie z rozbiorem dzieł w takim rozległym obrazie, jak np. w monografii Romana Plenkiewicza o Janie Kochanowskim. Rozumiejąc tę trudność i wynikły z niej brak, nie mogę pojąć, dlaczego p. Chrzanowski, tak gruntownie obeznany z wiekiem XVI naszej kultury, zrzekł się obszerniejszego malowidła tła historycznego, zamknąwszy postać pisarza w szczupłe stosunkowo ramy dzieł, z poza których nie często rozglądał się po szerszym widnokręgu narodowego życia. Muszę to sobie tłumaczyć wrodzonemi lub przez metodę naukową przyswojonemi właściwościami krytycyzmu tego badacza. Pan Chrzanowski lubi i ceni analizę. Jako analityk — jest on niewątpliwie pierwszorzędną siłą krytyczną: spokojny, względnie przedmiotowy, oględny, obdarzony dobrą pamięcią i zmysłem obserwacyjnym, ścisły i gruntowny. Niezwykły dar ten popiera się u niego dwoma przymiotami: jednym nabytym, drugim wrodzonym. Nabytym przymiotem jest — duża erudycya. Pan Chrzanowski nie tylko źródłowo zna Bielskiego i wszystko, co u nas o Bielskim napisano, ale też zna źródłowo pokrewną spółczesną Bielskiemu obcą literaturę. Idąc za wskazaniami historyka, a czasami nawet czyniąc odkrycia w dziedzinie prac pomocniczych utajonych przez historyka, dociera w sposób bystry i umiejętny do dna jego pracy i bez zawodu odsłania w dziełach to, co kompilacyą, uzyskując równocześnie możność oznaczenia wyników własnej jego wytwórczości. Wspomaga w tem monografistę drugi przymiot wrodzony: dar trafnego odgadywania analogii, zwłaszcza w zakresie myśli. Kiedy np. p. Chrzanowski rozbiera satyry i zastanawia się nad szeregiem wad czy to politycznych,

czy obyczajowych, to analogie z innych spółczesnych satyryków pogłębiają i uzasadniają treść, rozsuwają widnokrąg i urozmaicają obraz, jaki się w pamięci czytelnika zarysowywa. Kiedy przytoczy w rozbiorze »Justyna i Konstancyi« dwuwiersz o wierności małżeńskiej, przypomina sobie podobne przepisy autora »Nauk duchownych dla Odrowążówny« albo autora fałszywie przypisywanej Seklucyanowi »Oeconomii«. Dzieła Kochanowskiego, Orzechowskiego, Reja, Modrzewskiego, Tarnowskiego, Przyłuskiego, mowy, przechowane w Dyaryuszach sejmowych dostarczają mu kopalni dla porównań i analogii. Niekiedy erudycya p. Chrzanowskiego naraża go nawet na niesłusznie może powstające w umyśle czytelnika podejrzenie, że się chciał popisać. Oto np. na początku rozdziału VII, przy omawianiu »Sprawy rycerskiej« taki ustęp: »Charakter bardziej praktyczny posiadają dwa dzieła, będące najwspanialszą ozdobą literatury strategicznej XVI wieku: Machiavelli'ego *I sette libri dell'arte della guerra* (1521 r.) i nieogłoszone drukiem pismo księcia pruskiego Alberta (1552 r.), dedykowane Zygmuntowi Augustowi i z jego rozkazu przełożone przez Macieja Strubicza z języka niemieckiego na polski p. t. »Księgi o rycerskich rzeczach a sprawach wojennych, z pilnością zebrane, a porządkiem dobrym spisane«; lecz i przekład nie ukazał się w druku, to też, jak się zdaje, nie znano go u nas zupełnie« (244). Wiadomość o tem dziele wziął badacz z *Maxa Jähnsa Geschichte der Kriegswissenschaften...* München 1889. Nasuwa się pytanie: skoro u nas nie znano pisma księcia Alberta, to czy znał je autor »Sprawy rycerskiej« Bielski? Jeżeli zaś i on nie znał, to w jakim celu p. Chrzanowski mówi o tem piśmie w swej monografii o Bielskim? Jednakże sam fakt niejednokrotnego — zwłaszcza w bibliograficznych wstępach do rozbiorów — powoływania dzieł z pracami Bielskiego w luźnym pozostających związku nie osłabia w niczem tego pewnika, że rozbiory w monografii p. Chrzanowskiego są gruntowne. Więcej wątpliwości nastręcza z góry, od prof. Brücknera przyjęta teza, której udowodnienia podjął się wielbiciel bez zastrzeżeń berlińskiego uczonego. Prof. Brückner mianował Bielskiego »pisarzem średniowiecznym, nietkniętym od humanizmu«. Powtarza ten sąd wiele razy w książce p. Chrzanowski, powtarza go i na końcu w syntezie, ale niestety cała monografia wydaje mi się nieustannym bez mała dowodem przeciwnego zdania prof. Sinki, zaliczającego historyka do humanistów. Jużci wątpliwości nie ulega, że u ludzi, których urodzenie, wiek dziecinny i młodzieńczy sięgał w okres naszego schyłku średniowiecza (Rej ur. w 1505, Bielski w 1495),

którzy część życia spędzili, ocierając się jeszcze wciąż o starszą generacyę z przekonaniami, wiedzą, wierzeniami średniowiecznemi, którzy nareszcie, jak Rej lub Bielski, zagranicą się nie kształcili, że u takich ludzi, na pograniczu dwóch prądów wyrosłych znajdą się ślady wyobrażeń i zasad prądu dawnego. Ale stąd jeszcze zgoła nie wynika, żeby Bielski był »nietkniętym od humanizmu«.

W latach, kiedy mógł się uczyć w akademii krakowskiej (1510—1515) nauki humanistyczne stały tam wcale wysoko, wykładali Garcias Quadres, były rektor uniwersytetu bolońskiego, Piotr Royzyusz, uczony prawnik hiszpański, Rudolf Agricola młodszy, Paweł z Krosna, wszyscy wybitni humaniści. Nie przekonywa gołosłowne twierdzenie, jakoby nie wiele z akademii wyniósł korzyści, gdyż sama pochopność do tworzenia dzieł, rozległa wiedza i niezłomna wytrwałość w naukowej pracy może być uważana za znakomitą korzyść akademickich studyów. Później jako dworzanin marszałka i wojewody krakowskiego Kmity stykał się z humanistami, bywał gościem słynnego żupnika Seweryna Bonara, »pożeracza ksiąg«, jak go nazywał świat humanistów, miał u niego niemałe zachowanie, chwali go też bardzo i sam się tem trochę chwali:

Bijcie czołem wszystkim społu:
Mieli mię tam w cześć u stołu.

Czyżby to nie dowodziło, że go w tem świetnem gronie humanistów uważano za swego?

Nieraz p. Chrzanowski niezbicie dowodzi, jak to wbrew wszelkim maskom Bielski niedwuznacznie sprzyjał nowinkom reformacyjnym; omawiając satyry dziwi się nawet niepomiernie lękliwości satyryka, zastrzegającego się:

Tuby był plac co mówić o duchownym stanie,
Których pierwsza powaga dzisia chodzi tanie...
Ale iż to nie naszej rzecz tak wielka głowy,
Dajwa pokój, bożych sług nie tykajwa słowy.

Jeśli atoli przyjmiemy za rzecz stanowczo stwierdzoną — jak jest w istocie — skłonność i przychylność Bielskiego dla nowinek protestanckich, to pamiętajmy, że między reformacyą a humanizmem istniał przyczynowy, organiczny związek, jak to świetnie wykazał Szujski w swem niezrównanem dziele »Humanizm a reformacya«. I toby była dalsza wskazówka ostrzegająca przed aksiomatem: nietknięty od humanizmu. Nie koniec wszakże na tem. Oto — jak p. Chrzanowski wywodzi — w XVI wieku największy rozgłos w Europie zdobyły dzieła

historyczne: Marka Antoniusa, Cocciusa Sabellika, znakomitego humanisty, i dzieła Pawła Jowiusza (Giovio), wszechświatowej sławy humanisty, i dzieło Jana Slejdana, humanisty, i dzieło Jana Nauklera, humanisty, i dzieło Szymona Grynaeusa, humanisty, i dzieło Erazma z Roterdamu (»Sejmik czyli rada kobiet«), humanisty, i dzieło Machiavellego, humanisty — a Bielski od nich wszystkich zależny, na nich się wzorujący, ich naśladujący, czasem nawet niewolniczo tłumaczący okazuje się »nietkniętym od humanizmu«! Znał on język łaciński, pisał nawet przedmowy łacińskie (przecież domysł, że mógł je za ojca syn napisać, nie wytrzymuje krytyki), znał autorów rzymskich i neolatynistów, wymienia pierwszych wielu, między innymi Plauta i Terencyusza, na wzór humanistów uwielbiał świat starożytny, widział przed sobą wciąż ideał tego świata, niczem niezaćmiony, nawet czasem porównując wiek swój z owym ideałem za czarno nań spoglądał, miał na sposób humanistów pełne usta morałów i prawideł stoickich — i pomimo wszystkiego byłżeby »nietknięty od humanizmu«? No, tego się stanowczo nie udało udowodnić p. Chrzanowskiemu. Jednakże powtórzę: wina tu nie monografisty, lecz wina przyjęcia za aksiomat tezy prof. Brücknera.

Drugim takim ryzykownym sądem berlińskiego uczonego, aprobowanym przez p. Chrzanowskiego, jest, jakoby u nas w XVI wieku pomiędzy literaturą a życiem panował rozbrat zupełny [1]. Prawda, z wielu doniosłymi postulatami pisarzy politycznych życie obeszło się, jak się obchodzi ściana z grochem; jednak znowu część racyi tego zaniedbania tłumaczyć trzeba z jednej strony wygórowanym ideałem polityków uczonych, którzy w blaskach widzieli ustrój państwowy Platona czy Cycerona, z drugiej zaś strony płynące spienionym strumieniem życie młodego społeczeństwa, które mogło z zachwytem spoglądać w te blaski, lecz nie było zdolne ich urzeczywistnić. Inna rzecz chęć, inna czyn. Że na chęciach nie zbywało, dowodzi gruntownie p. Chrzanowski licznymi zestawieniami ustępów z literatury i z dyaryuszów sejmowych [2] t. j. zgodnością opinii u tych, którzy wskazywali teoryę i u tych, którzy — żeby się tak wyrazić — robili życie. Oczywiste świadectwo, zaprzeczające twierdzeniu, jakoby między literaturą a życiem rozbrat istniał zupełny. Nie dziwi też zgoła narzekanie poetów na obyczajowe zepsucie swego czasu, a chwalenie przeszłości. Pan Chrzanowski ostro

[1] Brückner: »Mikołaj Rej« str. 228.

[2] Ob. str. 219, 224, 225 i in.

i nielitościwie drwi z tego objawu. A przecież nie tylko u Bielskiego, Kochanowskiego lub Klonowicza w XVI w., ale u Potockiego w XVII w., u Krasickiego i Naruszewicza w XVIII w. spotyka się to samo. Tu nie idzie o »bezkrytyczną apoteozę przeszłości, w której niema ani źdźbła sensu« (str. 217), lecz raczej o niezatracenie dobrych pierwiastków rasy na rzecz nowatorskich nalotów. A jeśli Asnyk, którym się p. Chrzanowski zastawia — pisał, że »przeżytych kształtów żaden cud nie wróci do istnienia«, to tenże Asnyk w wołaniu »Do młodych« zaklinał:

Ale nie burzcie przeszłości ołtarzy!
Na nich się jeszcze ogień święty żarzy
I miłość ludzka stoi tam na straży
I wy winniście im cześć!

Nakoniec parę słów o stylu dzieła o Marcinie Bielskim. Pan Chrzanowski, jako uczony i jako pisarz, znany mi od dawna. Umiem cenić niepospolite zalety jego prac naukowych o Figlikach i Zwierzyńcu Reja, o Skardze i literaturze do końca XVIII wieku. A jednak dziwiła mię i raziła jedna właściwość stylistyczna monografii o Bielskim, mianowicie żartobliwy i ironiczny ton, z jakim wyraża się o błędach, wyłowionych u dawnych autorów. Drwi sobie po prostu i niemiłosiernie z różnych naiwnych mniemań, a często i wiedzy swego klienta. Nie podaję przykładów; dość przeczytać czy pierwszą kartę pracy, czy streszczenie kroniki, aby się o tem przekonać. Myślę, że ton taki nie licuje ani z końcowem zapewnieniem o zwycięskiej miłości ku »ukochanej literaturze zygmuntowskiej«, ani z powagą naukowego dociekania, jest zaś i z tego powodu mniej właściwy, żeć to podobno wszelka uczoność — rzecz względna i niejedno, co dziś uchodzi za pewnik w dziedzinie wiedzy, może się za lat dwieście okazać tylko liczmanem.

Wszystkie powyższe uwagi atoli nie zaważą wiele na szali, jeśli się obejmie całość monografii p. Chrzanowskiego i rozważy jej rezultaty. Określa ona bardzo dokładnie, wyczerpująco i prawie definitywnie stanowisko Bielskiego w naszej literaturze, wnika głęboko w osnowy jego literackich działań, analizuje je porównawczo w sposób bystry, umiejętny i ścisły, słowem dodaje do historyografii nowe ogniwo tego pokroju, jakiego były monografie np. Finkla o Kromerze albo Semkowicza o Długoszu.

Antoni Mazanowski.

Andrzej Samuel i Jan Seklucyan. *Ks. dr. I. Warmiński.* Z polecenia Tow. Przyjaciół Nauk. Poznań 1906. Str. 550, 4-ka.

Dzieł poważnych przez Wielkopolan napisanych mamy sporo; dzieła naukowe poważne, napisane w Wielkopolsce, obecnie są rzadkością; a już prawdziwie białym krukiem jest dzieło historyczne o stosunkach wielkopolskich, z tyle interesujących czasów nowinek religijnych, z takim nakładem pracy, z taką ścisłością metodyczną napisane, tak wielkiej objętości, jak dzieło w nagłówku wymienione. Nie dziw, że książka ta odznaczona została, jako najlepsza praca w r. 1906 najwyższą nagrodą Akademii Umiejętności i przyznać musimy, że rzadko werdykt najwyższego naszego areopagu był tak bardzo uzasadniony i tak przez ogół uznany, jak werdykt zeszłoroczny wyszczególniający dzieło jednego z najcichszych, najmniej pretensyonalnych pracowników w dziedzinie kościelno-literacko-historycznej.

Ale zamiast panegirycznych komunałów, chciejmy zapoznać się z treścią ciekawego dzieła uczonego profesora Seminaryum duchownego w Poznaniu. Zajmuje się ks. Warmiński pierwszymi apostołami protestantyzmu nie tylko w Wielkopolsce ale w Polsce, pierwszymi polskimi teologami i pisarzami kościelno-religijnymi, którzy zapoczątkowali nie tylko olbrzymią literaturę polemiczno-religijną, ale wogóle literaturę złotego wieku; czyż więc dziwić się, że temat to bardzo interesujący, który już niejednego z naszych i obcych pisarzy zajął, ale przy niedokładnych studyach, sprowadził na manowce błędu i fałszu. Szczególnie o Janie Seklucyanie niemieccy czy polscy literaci napisali mnóstwo rzeczy nieprawdziwych. Niemiecka historyografia między innemi głosi, jakoby już r. 1525 Jan Seklucyan i jego przyjaciel mnich Samuel głosili nową ewangelię. Więcej fantazyi wymyślił Łukaszewicz na podstawie jakiegoś falsyfikatu Zygmunta Starego. Wyczytał w nim jakiegoś »Jana z Brombergu« i zidentyfikował go z naszym Seklucyanem rzekomo z Brombergu. Ale nasza Bydgoszcz w XVI wieku nigdy Brombergą się nie zwała, lecz Bidgosthią. Seklucyan pochodzi albo z Siekluki w Galicyi albo z Siekluk wielkopolskich, był introligatorem, księgarzem, być może, że był czas krótki w klasztorze i stał się apostatą. W Lipsku uzyskał r. 1536 bakalaureat sztuk wyzwolonych, został później pisarzem przy cle królewskiem w Poznaniu i tutaj jako żarliwy zwolennik nowinek wplątał się w głośny proces o herezyę ex-mnicha Samuela w r. 1541.

Autor rozpoczyna swą pracę o patryarchach protestantyzmu w Wielkopolsce dramatycznym procesem w Poznaniu właśnie owego

Dominikanina Samuela o herezyę. Praca jego dzieli się na dwie części: »Część pierwszą o wiele krótszą i, zdaniem autora, mniej ważną, bo opisującą przeważnie poznańskie zatargi Samuela i Seklucyana z władzą duchowną i świecką, drukował ks. dr. Warmiński już w poznańskim *Przeglądzie kościelnym*. Część ta jednak ukazuje się tu dość znacznie przerobiona i uzupełniona«. »Natomiast zupełnie nowa jest część druga, opisująca dzieła i wydawnictwa Seklucyanowe. Jest ona wiele obszerniejszą a także i donioślejszą, gdyż uwydatnia oddziaływanie Seklucyana zapomocą rozszerzanych druków na kraj cały przez lat 20 niemal, wtedy właśnie, gdy w Polsce pożar reformacyjny na dobre rozgorzał, umysły były jeszcze najwrażliwsze, a drukowane słowo, gorąco przez nie pożądane, jeżeli nie jedynie, to przeważnie od Seklucyana je dochodziło. Przytem podaje ona rozliczne pierwociny druków polskich, albo wcale nieznanych albo przynajmniej bardzo niewiele znanych, z pośród których dużo, jak np. »Tłumaczenie Nowego Testamentu« i złączona z nim głośna »Ortografia polska« aż po dziś swą aktualność zachowały«. Tak ocenia dwie części pracy swej sam autor. Naszem zdaniem pierwsza część pod względem historycznym dzięki obfitości pierwszorzędnego materyału źródłowego i pod względem artystycznym, dzięki swej dramatyczności, daleko większą ma wartość, od części drugiej, aczkolwiek ta pod względem zdobyczy naukowo-literackich jest obfitsza. Pierwszą część czyta się po prostu, jak powieść, drga w niej życie i prawda. Stosunki poznańskie występują w niej z dziwną plastycznością.

Czyż bowiem nie ciekawe są owe zabiegi w obsadzie urzędu kaznodziei w kollegiacie farnej św. Maryi Magdaleny, gdzie interesa miejskie krzyżują się z zamiarami biskupa, gdzie biskup za sprawą wielkopolskiego wielmoży Ostroroga, mimo przywileju królewskiego przeprowadza swą wolę i wybiera na kaznodzieję przeciw herezyi apostoła herezyi w osobie Dominikanina, Andrzeja Samuela. Jak charakterystyczny dalej jest ów proces proboszcza kollegiaty, Jakóba Wedelskiego z Obornik przeciw Samuelowi o herezyę. Proboszcz, ksiądz starej daty z mieszczańskiej rodziny, ma zatargi z kapitułą i biskupem o kanonię poznańską, daną mu przez króla, a zaprzeczaną mu dlatego przez biskupa i kapitułę, że nie jest szlachcicem. Proboszcz zwycięża, ale ma inne zatargi: dzięki łasce królewskiej kumuluje beneficya kościelne jedno po drugiem, procesuje się z podwładnem duchowieństwem i t. d. Nie dziw, że w procesie ze Samuelem sprawę przegrywa, acz-

kolwiek ma racyę. Biskup nie chciał się skompromitować swoim protegowanym, więc Samuela uwolniono od zarzutu herezyi, a jednak za pieniądze biskupie w tym samym roku udaje się przeniewierczy mnich do Wittenbergi, by tu uczyć się teologii protestanckiej. Tutaj żeni się z córką zamożnego patrycyusza, składa doktorat i wchodzi w związki z Albrechtem pruskim, ex-zakonnikiem i protektorem protestantyzmu w Polsce. Kompromitacya biskupa Branickiego była wielka, nie dziw, że zajmuje się gorliwie ściganiem towarzyszy Samuela, zwłaszcza Seklucyana. Wytoczono im proces. Seklucyan tak samo, jak Samuel i Jan Łaski kłamie jak najęty, wypiera się zarzutów mu uczynionych, wkońcu ucieka. Gdy mu za sprawą wszechpotężnej rodziny Górków, jenerałstarostów wielkopolskich i kasztelanów poznańskich, kazano w sposób bardzo łagodny odwołać błędy heretyckie, Seklucyan mimo obietnicy danej nie stawia się i zasądzony jako heretyk i banita ucieka do Albrechta. Nie czuje się jednak tu swojsko, nie miał odpowiedniego wykształcenia. Chce wrócić do kraju. Czyni starania u króla polskiego w sprawie powrotu do Polski, nie otrzymawszy jednak posłuchania, pisze w ukryciu w Polsce swe głośne »Wyznanie wiary chrześcijańskiej« r. 1544, pierwszą polską syntezę nowych wierzeń i przekonań religijnych. Wyznanie to miało być odpowiedzią na dane mu w sądzie poznańskim pytania, w rzeczywistości jest to przedstawienie systematyczne nowej nauki, opartej na Lutrze i Melanchtonie, ale przetrawionej przez polski umysł, pełnej swojskich rysów. Dość wspomnieć, że pogląd jego o Pannie Maryi jest całkiem katolicki, podczas gdy w nauce co do czyśca, odpustu, czci obrazów, zakonów jest zupełnie nowatorski. Dla dziejów polskiego nowowierstwa jest dziełko to, pisane w języku polskim, ogromnej doniosłości, stało się ono bowiem dla naszych nowowierców jakoby wspólnym sztandarem i fundamentem, na którym późniejsi reformatorzy budują swe konfesye, a z drugiej strony stało się ono głównym kamieniem obrazy, przeciw któremu zwracają się ataki obozu katolickiego. Tem samem Seklucyan stał się jednym z głównych siewców nowatorstwa, który przygotował grunt pod bujny rozrost chwastu innowierczego za Zygmunta Augusta. Mgła legend oplotła jego postać, uczyniła zeń księdza, apostatę, z tem wszystkiem to nie ulega wątpliwości, że był głównym i pierwszym na wielką skalę krzewicielem protestantyzmu w Polsce.

Wprawdzie losy Samuela łączą się w Poznaniu z losami Seklucyana, jeden oddziaływa na drugiego w kierunku nowatorskim, ale czy splecenie ich biografii w ten sposób, jak to autor uczynił, jest

szczęśliwe, wątpić należy. Daleko lepiej można było dwie te biografie przedstawić osobno, wszak tylko podwójny proces o herezyę w Poznaniu łączy tych nowatorów na chwilę ze sobą, wskutek tego rzecz o Samuelu przerywa w dalszym ciągu bez związku przyczynowego rzecz o Seklucyanie i na odwrót.

Losy ex-mnicha Samuela w Prusiech burzliwe, niespokojne i tragiczne, niemal są dla dziejów reformacyi w Polsce bez znaczenia prawie, w przeciwieństwie do działalności ruchliwego Seklucyana, który mimo, że został predykantem i proboszczem kościoła św. Mikołaja na Steindammie w Królewcu przez lat coś 20, swemi wydawnictwami potężnie oddziałał na nowatorstwo w Polsce. Działalność ta Seklucyana była przedmiotem długich, a często mozolnych studyów autora. Około 20 dzieł naliczył autor złączonych z nazwiskiem Seklucyana. Wszystkie poddał gruntownej rewizyi, co było rzeczą tem trudniejszą, o ile z rozbieranych i omawianych publikacyi Seklucyanowych 14 jest stanowczymi unikatami, rozproszonymi po różnych bibliotekach publicznych, jak niemniej zbiorach prywatnych. Autor zatem łamał pierwsze lody, miał przed sobą kwestye prawie nietknięte, a jeżeli były poruszane to przeważnie bałamutnie. Mimo to autor słusznie unika pustej polemiki z różnemi bałamuceniami czy urojeniami, rozumiejąc, że wiele więcej jest wartem i skutecznem jasne i dokładne przedstawienie prawdy, poparte silnymi dowodami czy dokumentami; tylko wyjątkowo wdaje się w polemikę tam, gdzie zachodziła obawa, by głośne nazwiska, popierające mylne pojmowanie, nie olśniły czytelnika swym urokiem i powagą. Ze skromnością szlachetną prawdziwego miłośnika prawdy oświadcza autor, iż wobec braku badań uprzednich na polu prawie nieznanem, nie będzie się dziwił, jeżeli mu krytyka wytknie niejedną pomyłkę. Sprawdzenie też badań autora i rektyfikowanie ewentualnych w nich pomyłek, nie może być zadaniem niniejszej recenzyi, na to potrzeba specyalnych, najspecyalniejszych badań niejednego fachowego znawcy piśmiennictwa XVI wieku. Mniemamy jednak, że wyniki autora na długie lata staną się trwałym dobytkiem naszej wiedzy literackiej o XVI wieku. A są one nie tylko ciekawe, ale dla autorskiej sławy i literackiej wartości Seklucyana wprost fatalne. Na 20 dzieł Seklucyanowi przypisanych, własnością jego literacką jest zaledwie kilka i to najsłabszych. Mały i Większy Katechizm, kilkanaście króciutkich kazań, co najwyżej 5 pieśni, dwa czy trzy nieco obszerniejsze utwory wierszowane i kilka luźnych wierszyków, umieszczonych ówczesnym zwyczajem na początku lub końcu swych lub obcych druków – oto

wszystko zgoła, czem się Seklucyan, jako autor, poszczycić może. Wspomniane wyżej »Wyznanie wiary«, aczkolwiek posiada pojedyńcze ustępy, pisane jedynie przez Seklucyana i tchnie jego duchem, a po szczególe sposobem jego zapatrywania się na rzeczy, a nawet jego językiem i stylem, to przecie nosi na sobie widocznie piętno obcej ręki, obcego pióra w niemałej mierze, bo nie tylko w poprawnej, a Seklucyanowi niezwykłej pisowni, ale i w sposobie mówienia, a także i zręcznem pojmowaniu rzeczy, ich ugrupowaniu i przedstawieniu. Stąd trudno oznaczyć zupełnie ściśle, co w tym ciekawym utworze górą: czy własna praca Seklucyana czy też owa obca pomoc. Zaś wszystkie inne wyliczone i opisane przez autora druki, przeważające niezmiernie nie już tylko liczbą i zewnętrzną objętością, ale, co ważniejsza, o wiele doniosłością i wewnętrzną wartością literacką, są stanowczo własnością innych zupełnie autorów, a nie płodami ducha i pióra Seklucyanowego. Obcą własnością są »Pieśni duchowne« i »Pieśni chrześcijańskie«; obcą »Ekonomia«, *Historia causae desertae* tudzież »Kupiec«, »Narzekanie Corony Polskiei« i »Rozprawa księdza z popem«; obcą królewiecki przekład polski »Nowego Testamentu« i złączona z nim głośna i cenna »Ortografia polska«, obcą także »Postylla«; obcą wreszcie »Rycerstwo chrześcijańskie«, »Przygotowanie kú śmierci«, »Practyka o Mssy«, »Modlitwy nabożne« i »Dzień sądny«.

Najważniejszą zasługą autora było wykrycie właściwych autorów tych dzieł. Już prof. Brückner i dr. Celichowski wykazali, że między innymi autorem »Kupca« jest Rej, a tylko wydawcą Seklucyan. Za Rejowski utwór poczytano także »Narzekanie Corony Polskiei«, chociaż niesłusznie; Seklucyana dziełem ono nie jest, gdy on Polską się nigdy nie zajmował, rysy polskie u niego są rysami ciemnymi, ujemnymi, uwidoczniającymi gorycz, pesymizm, nie miłość ojczyzny. Rejowem dziełem ma być wedle d-ra Celichowskiego »Rozmowa księdza z popem«, choć temu prof. Brückner przeczy, wedle ks. Warmińskiego autorem jej jest młody, utalentowany St. Murzynowski, z tem wszystkiem stwierdza nasz autor, iż Seklucyan, by dać czeskiemu drukarzowi w Królewcu Augezdeckiemu zatrudnienie, nawiązał z Rejem stosunki i otrzymał od niego niejeden utwór do publikacyi, niejeden utwór, który zaginął, ale może się znaleźć jeszcze przy skrupulatnych poszukiwaniach. Najważniejszem jednak z przypisywanych Seklucyanowi dzieł było tłumaczenie Pisma św. Rękopiśmienne polskie tłumaczenia Biblii istniały wprawdzie przed Seklucyanem, ale były bardzo rzadkie. Ks. Albrecht pragnął Pismo św. uczynić główną częścią nabożeństwa,

dał inicyatywę Seklucyanowi do wydania pierwszego polskiego przekładu Biblii między r. 1551—53, który mimo świadectwa samego Seklucyana i współczesnych mu Stanisława ze Lwowa, Marcina Bielskiego i Wujka nie jest dziełem Seklucyana lecz przedwcześnie zgasłego, nader utalentowanego Stanisława Murzynowskiego lub Suszyckiego herbu Ogończyk. Ojciec jego Jan, obarczony liczną rodziną, szukał protekcyi u ks. Albrechta, który też kosztem własnym utalentowanego nader Polaka kształcił w Królewcu, Wittenberdze, wysłał do Włoch i przysposabiał na profesora w królewieckim uniwersytecie Albertynie. Ten to Murzynowski jest autorem zarazem umieszczonej we wstępie do tłumaczenia polskiego t. z. Biblii Seklucyanowskiej »Ortografii«, która przyjęta przez pisarzy XVI wieku, po dziś dzień zachowała swą aktualność. Nie dziw więc, że wobec tej niepospolitej postaci autor żal czuje ku Janowi Suszyckiemu *alias* Murzynowskiemu, iż gwoli marnego grosza dopomógł tak niepospolitemu talentowi zmarnieć dla narodu i Kościoła. Stanisław bowiem umarł nagle r. 1553, a z nim poszła główna podpora działalności wydawniczej Seklucyana do grobu. Nieznani nam autorowie kazań dostarczyli Seklucyanowi r. 1556 znowu głównego materyału do głośnej swego czasu »Postylli polskiej«, t. j. cyklu całorocznego kazań, w którym zaledwie dziesiąta część i to najlichszych, najnudniejszych kazań jest dziełem Seklucyanowem. Ostatnie wyżej wymienione wydawnictwa Seklucyanowe są znowu tłumaczeniami lub przeróbkami Wojciecha z Nowego Miasta, nauczyciela przy szkole toruńskiej, którego nakłonił do przesiedlenia się do Królewca i do pracy literackiej. Seklucyan zatem umiał wybornie wyzyskać czas i położenie, umiał wyszukać odpowiednich lndzi, siły umysłowe rzutkie, młode, pełne zapału, umiał chodzić około polskich i niemieckich panów. Był Seklucyan niepospolitym nakładcą, wydawcą i księgarzem, propagatorem zręcznym nowej wiary, pisarzem jednak był tylko miernym; aczkolwiek bowiem nie brakło mu sprytu i zdolności, nie posiadał gruntownego wykształcenia, zajęty zbytnio nowinkami i agitacyą nie miał czasu zdobyć wszechstronnej wiedzy; wyrabiał się wprawdzie, nie stanął jednak nigdy nawet na wyżynie średnich pisarzy złotej doby naszego piśmiennictwa. Przeżuwa tylko obce rzeczy, jest ciasny, fanatyczny. Płody obcego ducha okrasza swojskimi rysami polskimi. Język jego jest marny, jest rzeczywiście »prostakiem«, jak sam o sobie mówi w przedmowie do »Rycerstwa chrześcijańskiego«.

Po rok 1555 jednak jako pierwszy pisarz luterski w Polsce miał wziętość i znaczenie, później nowe sekty, jak kalwińska i aryań-

ska, tak wzięły górę, że Seklucyan stracił znaczenie u swoich i przestał być groźnym dla katolików. Później, gdy zapomniano o tem, pomieszano Seklucyana nakładcę z Seklucyanem pisarzem, wskutek czego wyrósł na niepospolitą siłę literacką. Nie umiano tylko sobie wytłumaczyć nierówności w jego rzekomych dziełach; słabe autentyczne dzieła Seklucyana tłumaczono sobie wpływem Królewca, gdzie rzekomo sobie skaził swój język. Dopiero ks. Warmińskiemu udało się Seklucyana z piedestału wielkości moralnej czy literackiej usunąć i przyznać mu tę niewielką wartość, na jaką zasłużył.

Dr. K. Krotoski.

Wybór poezyi. *Cypryan Norwid.* Zebrał i objaśnieniami zaopatrzył Roman Zrębowicz. Lwów 1908. Nakładem księgarni polskiej B. Połonieckiego.

»Syn minie pismo, lecz ty spomnisz wnuku« mówi Norwid w jednym ze swoich wierszy, jakby w przeczuciu, że dopiero w dwadzieścia pięć lat po jego zgonie w ostatniej nędzy, w jednym ze szpitali paryskich, społeczeństwo polskie zwróci uwagę na jego utwory, pozna się na ich wartości, oceni je sprawiedliwie... a nawet może i przeceni. Bo że Cypryan Norwid jest wybitnym talentem zaprzeczyć się nie da, ale czy jest geniuszem, (jak tego pragnie najmłodsza krytyka), którego miejsce obok Adama, Zygmunta i Juliusza, to, ze względu na zapowiedziane dopiero przez Miriama wydanie zbiorowe pism Norwida, za wczesne, a nawet, o ile sądzić można z tego, co dla ogółu czytelników jest już z rzeczy Norwida dostępne, po opublikowaniu reszty pism jego... za śmiałe. Przyczyną zaś tego mego przypuszczenia jest to, że aczkolwiek, w znanych mi utworach Norwida, znajdujemy dużo myśli niepowszednich, dużo teoretycznej wiedzy estetycznej, dużo przenikliwości, a nawet przeczuć, które dopiero teraz się realizują, mimo to znajdziemy i dużo dziwactw dziecinnych, (zamiłowanie w kabalistyce, wyprowadzenie pewnych prawd z kształtu liter), których nie chcą widzieć tylko ci, którzy sobie tak z góry postanowili.

Drugim powodem mego przypuszczenia jest to, że Norwid nie jest niepoślednim władcą słowa jak Mickiewicz, Krasiński i Słowacki. Bardzo wiele utworów jego, (nawet najdrobniejszych), nosi na sobie znamiona borykania się ze słowem, w którem to mocowaniu się słowo artyście nie jest podległem. Norwid nie umie ujarzmić materyału poezyi, to jest słowa dla swych celów artystycznych, na co słusznie zwracali mu uwagę współcześni, i co w lwiej części było powodem jego nie-

popularności. A geniusz, zdaniem mem, musi u m i e ć wyrazić to, co c h c e. U Norwida tego niema, i to jest powodem dziwnej zawiłości jego stylu, dziwnej nieraz niedołężności we władaniu własnym, ojczystym językiem, dziwnej dysharmonnii w używaniu rymu czy rytmu, dziwnego tworzenia słów dziwacznych np. »cało-kwit« (cało-kwitnienie?) i t. d.

Te uwagi nasunęły mi się z powodu ukazania się właśnie wyboru poezyi Norwida, wydanego przez p. Zrębowieza. Pragnąłbym szczerze, abym się mylił, któryż bowiem Polak nie chciałby, aby Polsce przybył jeszcze jeden geniusz więcej. Może wydanie zbiorowe pism Norwida usunie moje wątpliwości.

W każdym razie wdzięcznym należy być p. Zrębowiczowi za wydanie wyboru poezyi, który w miniaturze daje nam obraz rodzaju i jakości twórczości Norwida. Ułożenie chronologiczne utworów w tomiku, czyni go tembardziej przejrzystym i zajmującym.

Adam Stodor.

Trzy aramejskie papyrusowe dokumenty z Elefantiny, przełożył i objaśnił *ks. dr. Franciszek Gołba.* Kraków 1908 (12, in 4).

Kraina tajemniczych sfinksów nie przestaje być kopalnią coraz to nowych niespodzianek dla uczonych. By już nie wspominać o licznych wykopaliskach, które rzuciły obfite snopy światła na historyę, cywilizacyę i wierzenia starych mieszkańców z nad Nilu a wzbogaciły w pierwszym rzędzie samą egiptologię, — przyniosły ostatnie lat dziesiątki wielką ilość papyrusów i ostraków greckich, koptyjskich i aramejskich, z których wiele sięga czasów Chrystusa, a niektóre przenoszą nas nawet w epokę przed Chrystusem.

Papyrusy aramejskie z Asuanu i z Elefantyny, miejscowości wysuniętych tuż na ostatnie południowe krańce Egiptu, wzbudziły ogólne zainteresowanie pomiędzy uczonymi, gdyż pochodzą z kolonii żydowskiej, z V wieku przed Chrystusem, a zarazem wielką przedstawiają wartość pod względem archeologicznym, religijno-historycznym i filologicznym. Już samo istnienie kolonii żydowskiej niedaleko zwrotnika Raka w VI i V wieku przed Chrystusem, — kolonii, która posiadała bogatą świątynię i kapłanów — jest istotnie wypadkiem niemałego znaczenia dla historyi ludu izraelskiego pod panowaniem perskiem. Istnienie zaś aramejskich papyrusów w tej gminie obudziło usprawiedliwioną nadzieję, że jej mieszkańcy musieli także posiadać papyrusowe zwoje Pisma św. To też zapanował między uczonymi wszystkich

odcieni ruch niemały; nawet rządy wyznaczyły pieniężne sumy na pokrycie kosztów podjąć się mających wykopalisk. Bo nużby się powiodło zdobyć choćby jeden tylko egzemplarz Biblii hebrajskiej lub aramejskiej z owych czasów! Byłby to wypadek epokowego znaczenia, w dziejach filologii i krytyki wypadek, który mógłby uroczyście stwierdzić lub w czambuł potępić wszystkie lub niektóre przypuszczenia filologów-krytyków, wszystkie ich poprawki tekstu i coraz to więcej popularne *Quellentheorien* — wypadek wreszcie, który mógłby niezbicie udowodnić, jakie księgi Pisma św. Żydzi owych czasów posiadali.

Na razie jednak nic jeszcze nie słychać o odnalezieniu Biblii, a Ottonowi Rubensohn powiodło się w r. 1907 znaleźć zwój papyrusów, z którego trzy dokumenty odcyfrował i wydał prof. berliński Edward Sachau (1907) a nad resztą dalej pracuje. O tych trzech biednych papyrusach powstała jednak już cała literatura, bo pierwszorzędni uczeni (jak np. Nöldeke, Barth, Lidzbarski, Cooke, Gunkel, Driver, Fraenkel, Lagrange, Hoffmann, Lévi, Peters, Margoliouth, Müller, Smend i t. d.) poświęcili im mniej lub więcej dokładne studya.

U nas — o ile mi wiadomo — było dotychczas o tem wszystkiem głucho.

To też z wielkiem uznaniem i radością należy powitać fakt, że polski uczony ks. dr. Fr. Gołba, podjął się trudu i dał nam pierwszą polską publikacyę owych elefantyjskich trzech papyrusów. Pomijając wszystkie dyskusye ogólniejszej natury, czcigodny autor stara się stronę filologiczną »przedstawić najwypuklej w oświeceniu historyczno-archeologicznem«. Za podstawę bierze oczywiście tekst i tłumaczenie, ogłoszone przez Sachaua, ale uwzględnia przytem prace i poprawki Nöldekego, Bartha i Fraenkela. Po krótkim (dla wielu naszych czytelników za krótkim) wstępie podaje tekst aramejski, polskie tłumaczenie i objaśnienia. Następnie rozbiera filologicznie stosunek narzecza owych papyrusów do innych narzeczy aramejskich. Ta część pracy jest w wielkiej części samodzielną, powiedziałbym, prawie pierwszą, gdyż żaden z uczonych, którzy zabierali głos w tej sprawie, nie podjął się tej żmudnej roboty w takim zakresie i rozmiarach, czekając najprawdopodobniej na ogłoszenie wszystkich papyrusów, by porównawcze studyum oprzeć na szerszej podstawie. Mały słowniczek mniej znanych wyrażeń zamyka całą broszurę.

Już to krótkie sprawozdanie może dać pojęcie o aktualności i doniosłości pracy ks. d-ra Gołby, uważanej sama w sobie. Ale i z punktu filologii semickiej zasługuje ona na uznanie. Nasi nieliczni

jeszcze semitolodzy mogą się z niej niejednego nauczyć i do podobnych prac zachęcić.

Przy uważnem czytaniu tego poważnego studyum, natrafiłem na usterki i przeoczenia, które z obowiązku notuję, zaznaczając zarazem, że wartości samej pracy ks. d-ra Gołby one wiele nie obniżają, ba w każdej gruntowniejszej pracy są nader trudne do uniknienia.

Str. 1. Autor — zapewne z nieuwagi — twierdzi, że Sachau zamieścił »2 tablice (facsimile) przedstawiające tekst oryginalny«. W rzeczywistości znaną jest dotychczas tylko jedna tego rodzaju tablica.

W tekscie aramejskim (Dok. I, w. 1) opuszczono wyraz כהניא po słowie וכנותה; w przekładzie jednak oddano poprawnie: towarzysze kapłani. Wyrażenie ישאל .... שלם (I, 1, 2) tłumaczy autor trafnie (za Barthem): »użyczyć pokoju«. Na poparcie tego znaczenia mógłbym także przytoczyć analogiczne wyrażenie asyryjskie *šaâlu šulmu*. Pomimo to uważałbym chętnie wiersz I, 1 za całość logiczną dla siebie, za adres i tytuł listu i tłumaczyłbym jak następuje:

»Do pana naszego Bagohi'ego, namiestnika Judei.

Słudzy twoi, Jedonjâh i towarzysze jego, kapłani z twierdzy Jeb [przesyłają ci] pozdrowienie«. (Por. tytulatury listów asyryjskich, semickich a nawet rzymskich).

W powyższem przypuszczeniu wiersz I, 1 i wyraz שלם nie łączyłby się z wierszem I, 2; słowo ישאל (II. 2) stanowiłoby t. zw. *constructio praegnans* równoznaczną z ישאל שלם, którego domyśleć się łatwo z tytułu listu (ks. I. 1).

Str. 2. Możeby było lepiej I. 16 i konsekwentnie II. 14 przetłumaczyć za Nöldekiem (*ZfA* 1908, p. 200): »Jahû... dał nam wiadomość o tym Wajdrangu: »psy obgryzały (szarpały) więzy nóg jego, a wszystkie skarby, które zebrał (קנה), przepadły«.

Str. 3. Mimo, że oceniam w zupełności rzeczową trudność, podniesioną przez autora, tłumaczyłbym jednak כנכרין (I. 28) nie przez *kanakar* ale przez *talenty* (כִּכָּרִין).

I. 29. Czyby nie lepiej było namiestnikowi Samaryi przywrócić jego wokalizacyę babilońską? więc סנאבלט czytać *Sîn-uballiṭ* zamiast *Sanballaṭ* (*Neh.* 2. 10, 19; 3,33; 4,1; 6,1—3, 12, 14; 13,28) lub Sanballat jak przyjmuje autor opierając się na LXX? — Sinuballiṭ (=bożek Sin dał życie) było dość pospolitą nazwą u Babilończyków owych czasów. (Por. British muzeum $\frac{81}{2.4}$95).

Str. 6. Nieuwadze przypisuję twierdzenie autora, że Barth wyraz

קימו przełożył »pozostawili«. Podobnież tłumaczy to autor. Tymczasem Barth (*ZfA* XXI [1908] p. 192) pyta się tylko z przekąsem, czyżby wyrażenie קימו należało tłumaczyć: »pozostawili«? Nie odpowiadając nawet *directe* na to pytanie, poprawia קימו na קְיָסִין — i tłumaczy »die hölzernen Türe und die metallenen Augeln dieser Türen ..... verbrannten sie im Feuer«. Jeszcze szczęśliwszem wydaje mi się zdanie Nöldekego, który nie poprawiając tekstu tłumaczy: »Die Türe hoben się aus (= sustulerunt)«.

Kto wie z jakiemi trudnościami u nas trzeba walczyć gdy chodzi o druk niepolskiej treści, ten nie poczyta za złe autorowi dość wielkiej ilości błędów drukarskich. Wyliczam tylko te, co utrudniają nieco zrozumienie treści, lub same się nie poprawiają przy czytaniu.

Str. 1, zamiast עבדין ma być עַבְדִיךְ; zamiast Chermont-Ganneau winno być Clermont-Ganneau; str. 2: dwakroć zam. Tamuz winno być Tammuz; str. 3: zamiast מ(ן) ma być: מ(נ); str. 4: zam. został ma być zastał; zam. Jehô hânâna winno być: Jehôhânâna; zam. ויֹשאל ma być וְיוֹאָשׁ; zam. 1 Som winno być: 1 Sam.; str. 5 zam. Delitsch ma być: Delitzsch; zam. bozysz ma być bożyszcz, zam. vagu winno być vayu; str. 6 zam. אחי ma być: אח', str. 7 zam. כבר ן ma być כִּכָּרִין: str. 8 zam. Ma' lula winno być: Ma'lûla; zam. Syry ma być: Syryi; str. 9 zam. אגחנח ma być: אנחנה; str. 12 zamiast ἐπαρχος ma być: ἔπαρχος, a zamiast στραγος ma być στρατηγος.

Może błędom drukarskim a może też nieuwadze autora należy przypisać pewien brak konsekwentnej transkrypcyi wyrazów wschodnich. Np. Jahu (str. 1), Jahû (3), Jâhu (5), Jâhû (2, 4); Aršâm (str. 2), Arsâm (6, 7), Arsam (7); Bagôhî (str. 4), Bagohi (1, 2); Delajah (3), Delâjah (7), Delâjâh (4, 7); Anânia (4) i Anânîa (6) obok Anani (6) Anânî (6), Daryusz (2) obok Dariusz (7) i t. d.

Styl w przekładzie, jak na pracę naukową, wogóle poprawny; tylko z nieuwagi położono dwakroć (str. 3 i 4) akkusat. po przeczeniu: »nie pozwolono *ją* odbudować«.

Jak każdy nieuprzedzony czytelnik spostrzedz musi, są to jednak tylko drobnostki, czasem tak małe, że możnaby przejść nad niemi do porządku dziennego. Wartości pracy one nie odbierają; wspomniałem zaś o nich jedynie dlatego, by moich wyrazów szczerego uznania wypowiedzianych na początku, nie poczytano za przesadę lub pobłażliwość.

Ks. Władysław Szczepański.

Z piśmiennictw obcych.

Z literatury muzycznej niemieckiej.

»Handbuch der Musikgeschichte« von Hugo Riemann. Zweiter Band, Erster Teil; Lipsk 1907, Breitkopf & Härtel, VIII, 510. 8°. — »Hasse und die Brüder Graun als Symphoniker« von Carl Mennicke; Lipsk 1906, Breitkopf & H., IV, 568. 8°. — »Beiträge zur Geschichte der Oper um die Wende des XVIII und XIX Jahrhundertes, I Band: Simon Mayr« von Ludwig Schiedermair; Lipsk 1907, Breitkopf & H., 264. 8°. — »Die Entwicklung des Klavierkonzerts bis Mozart« von Hugo Daffner; Lipsk 1906, Breitkopf & H., XII, 102. 8°.

Nie czekając, aż niedawno poczęte badania nad średniowieczną muzyką, za którą uważamy muzykę aż do reformy florentyńskiej, przybiorą bardziej wyraźny obraz, odważył się Riemann na napisanie podręcznika historyi muzyki. Zbyt wiele zajęłoby miejsca wyjaśnienie, dlaczego czyn Riemanna jest bardzo śmiałym, o wiele śmielszym niż jego »Historya teoryi muzyki« licząca zaledwie lat 10, a już wymagająca jaknajgruntowniejszych i najliczniejszych poprawek. Każdy, kto ma pojęcie o tym oceanie niewyzyskanego materyału, jakim jest historya muzyki między XIII a XVII wiekiem, musi nawet przed przeczytaniem dzieła Riemanna zadać sobie pytanie, czy sumienny historyk muzyki, odważyłby się na napisanie podręcznika do dziejów średniowiecznej muzyki. Riemann jest bez wątpienia najwybitniejszym teoretykiem nowszych czasów i jako taki stoi znacznie wyżej, niż jako historyk. Głównie z teoretycznej strony zajmował się muzyką średniowieczną, której też nie badał nigdy u samych źródeł, lecz zadawalniał się wydanymi pomnikami średniowiecznej muzyki, czyli inaczej mówiąc ograniczył się do tego, co wydano; a pomimo, że wydano wiele (Commer, ks. Moskwy, Proske, Maldeghem, Eitner, Haberl, różne *Denkmäler,* Chrysander i t. d.), to jednak nie wydano tyle, aby można mieć dokładne pojęcie o rozwoju muzyki, aż do czasów Palestriny. Czy dziś znajdą się tacy, którzy mogliby powiedzieć: znam Palestrinę, t. j. 33 tomy jego dzieł? A gdzież studya nad resztą wielkich mistrzów? Chcąc poznać całokształt twórczości takiego Josquina, Moutona, Willaerta, Moralesa, Cypryana de Rore i tę nieskończoną mnogość wielkich mistrzów, choćby współczesnych Palestrinie, trzebaby podróżować po całej Europie i przepisywać z rękopisów i unikatów drukowanych ich niewydane kompozycye i prowadzić nad niemi studya oddzielne, badać materyały archiwalne, aby módz coś o nich powie-

dzieć. Że tego Riemann nie czyni, o tem wiemy; że tego czynić nie może również jest nam wiadomem. Ale wiemy także, iż nawet tak wybitny uczony, jak R., musi dyletantyzować z tą chwilą, gdy stanie na obcym sobie terenie. Nikt nie jest tak dalece naiwnym, aby mógł przypuścić, że Riemann zna np. taksamo szczegółowo XIII i XIV w., jak ci, którzy na poznanie tej epoki obrócili kilkanaście lat ciężkiej pracy (np. J. Wolf lub Fr. Ludwig, a choćby Wooldridge), streszczającej się w wyszukiwaniu rozrzuconych i nieznanych źródeł, przepisywaniu ich na nowożytną nutacyę ze skomplikowanego menzuralnego pisma i t. d.; nikt nie powie, że Riemann zna tak dobrze Orlanda di Lasso i Palestrinę, jak Haberl, Sandberger lub Kroyer, lub że poznał wszystkie źródła, jakie wydano, choćby z epoki Palestriny — trzeba bowiem zdobyć się w tym celu na wyłączne studya nad XVI wiekiem i zapomnieć o wszystkiem, co jest poza tem. My zaś znając mniej więcej wszystko co Riemann dotąd napisał (a napisał więcej niż należało — niema bowiem roku, aby R. nie wydał conajmniej dwóch książek i kilkunastu mniejszych prac), musimy kategorycznie stwierdzić, że mimo olbrzymich zasług tego wielkiego uczonego, wiele jego usiłowań schodzi na marne z powodu jego *Vielschreiberei*, z powodu rozbijania swych sił na atomy, na mnóstwo problemów, kwestyi, zagadnień; stąd wojuje Riemann bardzo często hipotezami, toczy ustawiczne polemiki, choć coprawda produktywne, a często zbyt śmiało bagatelizuje nawet wielkie naukowe czyny innych uczonych. Daje się to uczuć nawet tam, gdzie stawianie hipotez dla hipotez i polemizowanie jest conajmniej nie na miejscu. To jest powodem, że w omawianym przez nas podręczniku, obok wielu wartościowych ustępów, znajdziemy zbyteczne polemiki, na które dość miejsca np. w *Zeitschrift der I. M. G.*, jedynem naukowem czasopiśmie muzycznem, że dalej rozkład materyału urąga wszelkiej proporcyi, że wiele niesłychanie ważnych kwestyi jest zbytych pobieżnie, że w wielu miejscach materyał rozciąga się lub dysproporcyonalnie się skraca, że z powodu braku głębszej znajomości dzieł mistrzów z XV i XVI wieku zamiast z obrazem rozwoju muzyki w tych czasach spotykamy się z chronologią nazwisk, życiorysów i dzieł aż na 80 stronach, co sprawia, że z górą $^1/_6$ część książki nie jest ani pozytywna ani produktywna co do wartości, że wreszcie autor nie daje jasnego poglądu na r o z w ó j muzyki od r. 1300—1600, lecz tylko fragmentarycznie zadość czyni swemu zadaniu — bez wątpienia ciężkiemu, a nawet niemożliwemu do wykonania już obecnie.

Gdyby ktoś chciał poznać historyę muzyki np. w XV i XVI wieku, to podręcznik Riemanna nie zaspokoiłby tego pragnienia. Kto chciałby dowiedzieć się na czem polega wielkość Palestriny lub Orlanda, albo nawet Josquina, Gabrielego i t. d., ten dowiedziałby się z podręcznika Riemanna niesłychanie mało. Jest to rzecz zadziwiająca, jak Riemann na 500 stronach stara się zmieścić materyał, który urósł od czasów Ambrosa chyba conajmniej dwukrotnie z powodu specyalnych studyów. Najwięcej miejsca — jak już powiedzieliśmy — zajmują polemiki i hipotezy, wśród których wiele zdań brzmi aforystycznie. Niesłychanie dorywczo i bezładnie jest opracowany np. rozdział o motecie i mszy przed Okeghemem (str. 130—194). Pominąwszy już taki passus jak np.: »Pomiędzy niemieckimi mistrzami z drugiej (!) połowy XVI wieku tworzy H. Isaak (zmarł w r. 1517) pod wpływem Okeghema«, musimy skonstatować brak wszelkiej logiki w kostrukcyi tego rozdziału. Zaczyna go R. dygresyami o Agricoli, Isaaku, Stoltzerze, Fincku, Adamie z Fildy i cytatami z ich kompozycyi; ci mistrze tworzyli w duchu Okeghema — nam tymczasem dotychczas R. nie powiedział kim był Okeghem i co przed nim było. Nagle czyni zwrot do poprzedników Okeghema, t. j. do Danstaple'a, Dufaya, Beneta, wreszcie znów zaczepia o Verbeneta i wskazuje na wpływ Okeghema w dziełach Stoltzera, Agricoli, Hofhaimera, o Okeghemie zaś zamierza mówić dopiero o 30 stron później. W istocie trudno wiedzieć dla kogo Riemann przeznaczył ten podręcznik, w którym n i e m a historyi muzyki. Przy niegłębokim nawet namyśle dojdzie każdy do przekonania, że logika genezy historycznej wymaga, aby pierwej mówić o tym, który jest ojcem pewnego kierunku, aniżeli o jego uczniach. Riemann swego postępowania niczem nie uzasadni. W poprzednim rozdziale pod tytułem *Das paraphrasierte Kirchenlied* wspomina już o zasługach Okeghema w wytworzeniu imitowanego kontrapunktu, wspomina też o uczniach tegoż, Compère i Busnois, ale wśród tego *mixtum compositum* wraca do Brasarta i Touronta. Nic jeszcze nie powiedział nam o Hobrechcie i współczesnych mu, a już pędzi do frottoli i madrygału (str. 200) oraz hiszpańskich kompozytorów z »Cencionero« oraz o instrumentach muzycznych z końca XV wieku. Zdawaćby się mogło, że po rozdziałach o instrumentalnej nutacyi i instrumentach nastąpi np. rozdział o muzyce na lutni, ale Riemann już przedtem dał »orkiestrowy utwór« (!!??) z XV wieku, obecnie zaś czyni zwrot do Okeghema. Trudno nad tym mistrzem się rozwodzić z braku wydanych kompozycyi, możnaby jednak coś niecoś o Hobrechcie, Caronie i innych

współczesnych kompozytorach napisać; Riemann pędzi jednakże do Josquina, Ghiselina i Moutona; stwierdza wprawdzie na str. 225, że i Okeghem nie dał wszystkim możliwości imitacyjnej polifonii, ale nie uważa sobie za zadanie dać nam obraz ewolucyi, jaka się odbyła w łonie rówieśników i następców Okeghema. Jakże bogatym jest Ambros (III) w tego rodzaju badania. Wierzymy, że przeprowadzenie wyczerpujących studyów nad tak niesłychanie trudnym przedmiotem zajęłoby lata, ale czyż koniecznie należy innemi słowami wyrazić to, co już Ambros powiedział. Należy jednak z szczególnym naciskiem podnieść, że Riemann usiłuje z powodzeniem przedstawić nam rozwój kanonicznej faktury u starych Niderlandczyków i decydujący o jakości formy stosunek tekstu do muzyki w stylu imitacyjnym. Cennem jest załączanie przykładów (np. 36 głosowy kanon Josquina-Okegheme [?]), ale zważyć należy, że ponieważ równą połowę książki zajmują opisy nazwisk i przykłady, przeto wykluczonem jest nakreślenie na 250 stronach rozwoju muzyki od r. 1400—1600.

W rozdz. p. t. *Die Liedformen um 1500*, przypada znaczna część badań frottoli, w czem Riemann posługuje się rozprawą R. Schwartza; nie chcę dłużej zatrzymywać się nad tem, gdyż wkrótce wyjdzie rozprawa Gaëtana Cesari o rozwoju frottoli, willaneli i madrygału, obfitująca w epizody mniej dla Schwartza i Riemanna przyjemne, a będąca dowodem, że należy rzecz badać u źródła, aby o niej sądzić. W rozdziale o »nowym madrygale« polemizuje Riemann z Kroyerem w sprawie chromatyki. Zanim prof. Kroyer da wyczerpującą odpowiedź na tę epizodyczną część podręcznika, wypada mi tylko skonstatować, że takich modulacyi jak od g-moll do as-dur, w następstwie zaś do ges-dur i e-moll wiele XVI w. nie znał. Riemann słucha harmonicznie a akcydentalia pojmuje w dzisiejszy sposób; zamiast trzymać się tego co nakazywała ówczesna teorya o t. zw. »modi«, zamiast rozumieć chromatyzm każdego głosu z osobna, Riemann przez słuchanie harmoniczne i dowolne umieszczanie akcydencyi w pojedynczym głosie, moduluje tak, jak nie modulowano nigdy przed Bachem. Po madrygale następuje od razu skok do »stylu palestrinowskiego«. Znowu luki w historycznej genezie! Nie dowiadujemy się w tym rozdziale nic nowego poza tem, co już dawno napisano. Najlepsze są stosunkowo rozdziały o pierwszych formach instrumentalnych, ale i im daleko do doskonałości. Na ogół więc jest to książka bardzo słaba, jakkolwiek tu i ówdzie bystrość wielkiego uczonego święci tryumfy (np. w rozdz. o formach pieśni w XIV i XV wieku, o udziale instrumentalnej muzyki

w tychże, w czem jednak hipotezom często brak silnych argumentów). Nie ulega wątpliwości, że w historyi muzyki w. XVII i XVIII będzie Riemann pewniejszy siebie. Czy jednak podoła historyi opery weneckiej i neapolitańskiej, tak mało znanych dotychczas? Widzimy jak niebezpiecznie jest dziś pisać podręcznik obszerny do historyi muzyki, choć się jest Riemann'em.

Ze szkoły tego uczonego wyszedł młody historyk Karol Mennicke. W swej pracy bada symfonie (uwerturę) z przed czasów szkoły mannheimskiej i czyni to z precyzyą godną wszelkiej, niczem niezamąconej pochwały. Podnieść należy, że przy tej sposobności daje nam rozwój form spotykanych u Hassego i obydwu Graunów, rzuca poglądy na całą epokę, na stosunek teoryi do praktyki i wzbudza szczery respekt z powodu imponującego oczytania w teoretyczno-historycznej literaturze. Rozwój orkiestry i frazowania z pocz. XVIII w. jest nakreślony z sumiennością. Obraz nakreślony przez Mennickego zyskałby na zaokrągleniu, gdyby z okazyi frazowania i instrumentacyi przynajmniej na kilku stronach dał autor pogląd na kwestyę dyrygowania w XVII i XVIII w. Zadanie to będzie spełnione w niedługim czasie przez kogo innego. Pomimo to autor popełnia błąd swego nauczyciela Riemanna. Mianowicie w rozdziałach p. t. »Rozwój stylu instrumentalnego« i »Uwertura i dramat« czujemy małą znajomość źródeł muzyki praktycznej, zwłaszcza stosunku muzyki niemieckiej do wenecko-neapolitańskiej. Mennicke ograniczając się do tego, co o tych formach piszą ówcześni teoretycy, polemizuje ze szkołą Kretzschmara zupełnie nieproduktywnie. Hipotezami nic się nie buduje; a szkole Riemanna daleko jest do znajomości włoskiej muzyki, tak jak to widzimy w szkołach Kretzschmara i Sandbergera. Mennicke reasumuje zresztą poglądy Riemanna już dawniej w drobnych pracach wypowiedziane. Poza tem książka Mennickego jest bardzo interesująca. Młody autor zapala się do swego przedmiotu w takim stopniu, że przesadza w hymnach na cześć Graunów i Hassego. Kompozycye tych muzyków nigdy nie ożyją, choć historycznie są ciekawe, zwłaszcza J. G. Grauna. Są zanadto często bezmyślnie rzucone na papier, zanadto suche i bezduszne w porównaniu z dziełami poprzedników Haydna, t. j. Stanitza, Fascha, Filtza, Richtera, Cannabicha i innych mannheimskich kompozytorów; a przecież i tych rzadko nawet w Niemczech można usłyszeć. Są znacznie słabsze a nawet bezwartościowe w porównaniu z ówczesnymi Neapolitańczykami. Dzieło Mennickego jest wzorem sumienności historycznej pracy. Podziwiać należy wytrwałość autora w poznaniu sen-

nych dzieł Graunów i Hassego. Korekta w przykładach muzycznych zdałaby się w większym stopniu.

Taka sama, jeśli nie większa sumienność cechuje znakomitą rozprawę d-ra Schiedermaira, docenta umiej. muz. na uniwersytecie marburskim, o Szymonie Mairze. Jest to pierwsze dzieło o nowszej operze z końca XVIII i pocz. XIX wieku; dotychczas niemal zawsze ograniczano się do opery XVII w. Nawet Mennicke nie miał odwagi poznania kilkuset oper Graunów i Hassego. Simon Mair, niemiecko-włoski kompozytor, którego »Lodoiskę« grywano za naszych pradziadków w Warszawie, podobnie jak »Ginewrę ze Szkocyi«, był Mozartianem, a znaczenie jego polega na barwnej instrumentacyi i wprowadzeniu nowych wówczas instrumentów (rożek angielski i tuba) do orkiestry. Nie jest to żadna epokowa osobistość; a znając parę kompozycyi innych »operatorów« współczesnych, jak Weigla, Wintera i innych »boskich filistrów«, nie trudno domyśleć się, że wszyscy oni jednacy; ale nauka nie zna domysłów, choćby najsłuszniejszych, i każe Schiedermairowi zbadać szczegółowo kilkadziesiąt oper, równie sennych jak Graun i Hasse, jak nasz Elsner, Stefani, Dobrzyński i t. d. tak wielce podobni do Maira i jego *consorts*. Nas interesuje jego »Lodoiska« ze względu na temat, zaczerpnięty ze stosunków polsko-... tatarskich. Nazwiska i imiona takie, jak: Boleslao, Lodoiska, Lowiński, Rodoski, Sigeski są jedyną ostoją polskości. Gdyż nawet ulubiony swego czasu polonez g-dur jest nie tylko niesłychanie banalny (zwłaszcza w drugiej części), ale także prócz rytmiki zupełnie w melodyi swej niepolski. Przypomnieć można, że Cherubini i Kreutzer też zajmowali się tym tematem. Wolno nam chyba przypuścić, że tej opery p. Rajchmann nie »odświeży« na sławetnej scenie warszawskiej, gdzie »patryotyzm« źle pojęty każe dyrekcyi odnawiać nie wartościowe utwory sceniczne, lecz te, na których »patryotyzm« da się złapać małokrytyczna publiczność. O Mozarcie! I ty, Beethovenie! I wy, cierpliwi młodzi kompozytorowie polskich oper!

Bardzo interesującą pracą jest »Historya koncertu fortepianowego aż do Mozarta«, skreślona przez H. Daffnera, ucznia Sendbergera i Kroyera. Autor zna wybornie swój przedmiot, niezawsze wdzięczny. Szczegółowo zastanawia się nad tem, co w ogólnych tylko zarysach znajdziemy w »Historyi instrumentalnego koncertu« Scheringa. Na początku stara się autor udowodnić, że słowo »concert« pochodzi od »conserto« nie od »concerto« (concertare), wbrew temu co sądzi Schering, t. j. że koncert oznacza współdziałanie, nie zaś współ-

zawodnictwo. Zdaniem mojem i Daffner i Schering mają racyę, gdyż faktura koncertów od Gabrielego i Viadeny począwszy dozwala nam zastosować do siebie raz wyrażenie »conserere«, drugi raz »concertare«. Że nawet w XVIII w. zdawano sobie sprawę z tego, dowodzi cytat, który przypadkowo znalazłem w *Gründliche Erklärung der Tonordnung* von Joseph Riepel (Frankfurt i Lipsk 1757), a który nieznany jest ani Scheringowi ani Daffnerowi. Oto ten teoretyk pisze (§ III, str. 97): »Concert hat seinen Namen von concertare, welches sonst miteinander streiten heisst, auch sich miteinander verstehen, oder ein Ding miteinander abtreschen«. Czy filologiczne wywody Daffnera są racyonalne, tego nie jestem w stanie na razie określić. Mamy jednak dowody, że »concertare« ma dwojakie znaczenie. Mniej szczegółowo są zbadani poprzednicy Mozarta w Wiedniu, oraz w Anglii i Francyi. A wartoby zwłaszcza francuski koncert poznać, gdyż niejedno mniemanie o następcach Bacha zmieniłoby się gruntownie. Nie zgodzę się nigdy na przypuszczenie Daffnera, że po Bachu w koncertach fortepianowych solowy instrument był instrumentem generałbasowym. Z ducha bowiem praktyki ówczesnej wynika, że w orkiestrze akompaniującej, prócz solowego cembalo, znajdowało się drugie cembalo, t. j. generałbasowe. Te uwagi jednakże nie odejmują bynajmniej wartości rozprawie młodego, obdarzonego bystrością historyka muzyki.

Adolf Chybiński.

Wissenschaftliches Arbeiten. *Leopold Fonck S. J.* Beiträge zur Methodik des akademischen Studiums. Innsbruck 1908. (XIV, 340).

Z radością witamy powyższe dzieło z dwojakiego powodu. Po pierwsze otwiera ono szereg publikacyi objętych tytułem: *Veröffentlichungen des biblisch-patristischen Seminars zu Innsbruck* i jako takie jest miłą nowością na naszych teologicznych fakultetach, które pod tym względem stały nieco w tyle za swemi świeckiemi siostrzycami. Wiadomo, że dobrze prowadzone »seminarya« uniwersyteckie są naukowemi ogniskami, są *(sit venia verbo)* kuźniami, z których niejedno już poważne dzieło wyszło na światło dzienne. To też znamiennemu faktowi, że i teologiczne seminarya uniwersyteckie poczynają mieć swe organa, tylko przyklasnąć można. Wszak *fabricando fabri fimus.* Aby zaś dać dobry przykład swym młodym współpracownikom, kierownik biblijno-patrystycznego seminaryum w Innsbrucku, ks. prof. dr. Leo-

pold Fonck S. J. ogłasza dzieło, którego tytuł już znany z nagłówka, jako pierwszy numer der »Veröffentlichungen«.

Wissenschaftliches Arbeiten jest nie tylko przyczynkiem do metodyki akademickiego studyum, ale powiedzieć można, wybornym jej podręcznikiem, w którym młody adept wiedzy akademickiej prawie wszystko znaleźć może, co tylko odnosi się, czy to do teoryi czy do praktyki naukowego badania. Już ta sama okoliczność, że powyższe dzieło zawdzięcza swą genezę praktycznym ćwiczeniom współpracowników innsbruckiego seminaryum biblijnego i niejednokrotnie poruszanym i dyskutowanym kwestyom, jest poniekąd gwarancyą jego praktyczności. Krótki rzut oka na treść dzieła potwierdza w całości powyższe przypuszczenie.

Dzieło składa się z dwóch części. Pierwsza: *Die Schule des wissenschaftlichen Arbeitens* (pg. 3—100), daje naprzód krótki rzut oka na historyę i genezę seminaryów uniwersyteckich w wiekach średnich i w wieku XIX; następnie omawia cel i znaczenie ćwiczeń seminaryjnych, ich urządzenia i środki pomocnicze, ich ćwiczenia ustne i pisemne; jako to: zdawania sprawy, recenzya, wypracowania naukowo-popularne, a wreszcie prace ściśle naukowe. Jak się należy zabrać do rzeczy, jak pracować i jak wykończyć naukowe dzieło, o tem rozprawia II część dzieła (pg. 101—307) p. t.: *Die Methode des wissenschaftlichen Arbeitens,* która w 18 rozdziałach porusza i szeroko a dokładnie omawia wszystkie przygotowania i składniki naukowego dzieła. Z kolei więc autor przechodzi, rozwija i objaśnia wybór tematu, zbieranie materyałów, źródeł, ich studyum i lekturę i tak zwane »Collectanea«. Następnie rozprawia o opanowaniu materyału, jego zużytkowaniu i podziale. Tu zaś, rozumie się, nie pomija niczego, co służyć może do należytego zrozumienia źródeł i ich oceny. Rozwijając zasady naukowego ugrupowania i przedstawienia zebranych materyałów mówi o stylu, sposobie pisania, przyjętych skróceniach i cytacyach. W ostatniej wreszcie rozprawie, poświęconej publikacyi gotowej już do druku pracy, znajdzie początkujący pisarz prawie wszystko, o czem wiedzieć i co uczynić powinien, by jego dzieło odpowiedzieć mogło słusznym wymaganiom czytelników. Nawet takie kwestye, napozór podrzędne, jak wybór nakładcy, honoraryum, kontrakt, korekta, zewnętrzna technika i tytuł dzieła, nie zostały pominięte. Niejeden młody jeszcze pisarz, wdzięczny będzie za nie autorowi, bo one ochronią go od niemiłych zawodów, rozlicznych przykrości i nieporozumień.

Pytania metodologicznej natury, poruszone przez autora, odnoszą

się wprawdzie w pierwszym rzędzie, do studyów patrystycznych i biblijnych; mniej zaś mają na oku nauki wyłącznie doświadczalne, lub czysto spekulatywne. Ale bez trudności można będzie podane zasady zastosować i do pozytywnej teologii, do filozofii, historyi i prawa.

Obszerna literatura, podawana zawsze na początku każdego rozdziału, pozwala czytelnikowi, zapuścić się w razie potrzeby w studya jeszcze dokładniejsze nad danym przedmiotem. Prócz tego rozdział XIII podaje w 385 numerach ogólną bibliografię dzieł podstawowych, encyklopedyi, anonimów i pseudonimów, czasopism i wydawnictw, naukowych towarzystw i akademii.

Biorąc to wszystko pod uwagę, zdaje mi się, że powyższe dzieło ks. prof. Foncka, będzie w stanie słuchaczom uniwesytetu oddać wielkie usługi, oszczędzić im wiele czasu i błędów faktycznych, a zarazem zaznajomić ich w łatwy i przystępny sposób z naukowemi wymaganiami obecnych czasów, z metodą gruntownego, a samodzielnego studyum, które naturalnym biegiem rzeczy kończyć się zwykło... wydaniem książki. Z tego względu książka ks. Foncka może i niemałe usługi oddać początkującym pisarzom.

Ks. Władysław Szczepański.

Störungen im Seelenleben. Von *Julius Bessmer S. J.* 2 verm. u. verb. Auflage. Str. XVI. 228. Freiburg 1907. Herder.

Die Grundlagen der Seelenstörungen. Von demselben Verfasser. Str. VIII. 192. Freiburg, Herder.

O. Bessmerowi T. J. zawdzięczamy w tych dziełach katolicką psychopatologię, która godnie może stanąć obok dzieł zawodowych psychiatrów. Książki O. Bessmera nie są oryginalne pod względem faktów psychopatologicznych, gdyż te zestawione, zostały z najcelniejszych dzieł fachowców; ale już samo ugrupowanie ich świadczy o zupełnem opanowaniu materyału przez autora. Bessmer traktuje zboczenia w czynności duszy ze stanowiska filozoficznego i to na tle filozofii scholastycznej, gdyż ta jego zdaniem, wyłącznie zdoła wyjaśnić wszystkie objawy patologiczne w życiu duszy. Już w dziełku pierwszem występuje ten filozoficzny charakter rozprawy, jakkolwiek dopiero druga część o podstawach zboczeń w życiu duszy κατ' ἐξοχήν zajmuje się głębszemi zagadnieniami filozoficznemi, które się nastręczają w zakresie psychopatologii.

Zadanie, które autor sobie zakreślił, nie było łatwe. Chciał on się zwrócić w swoich studyach do szerszych warstw duszpasterzy

i wychowawców, którzy mają wprawdzie chęć obznajomienia się z wynikami badań psychiatrycznych, ale nie są odpowiednio przygotowani do studyowania dzieł neuro- i psychopatologicznych. Musiał zatem ominąć wyrażenia techniczne, dla ogółu wykształconych niezrozumiałe i ująć naukowe kwestye w sposób bardziej popularny.

Trzeba przyznać, że wywiązał się znakomicie ze swego zadania: świadczą o tem głosy krytyki dość powszechnie. Bardzo nawet pochlebnie wyraził się o dziełach O. Bessmera autor psychologii hysteryi, W. Hellpach, jeden z najbardziej postępowych przedstawicieli nowoczesnej psychopatologii.

Praca O. Bessmera jest dla filozofii scholastycznej cenna, bo dowodzi, że można uznać wszystkie wyniki psychiatrycznych badań nie naruszając istotnych zasad *philosophiae perennis.* Owszem dzieło O. Bessmera oparte na filozofii arystotelesowsko-temistycznej nosi na sobie cechy jednolicie przeprowadzonego systemu, podczas gdy ze stanowiska monizmu i determinizmu napróżno szukalibyśmy zadowalającego wyjaśnienia zjawisk patologicznych.

Dla moralisty przedewszystkiem są ważne rozdziały o wyobrażeniach i popędach przymusowych, o osłabianiu uczuć moralnych, o przeszkodach wolności woli.

Wśród przyczyn obłędu częstokroć napotykamy na wykroczenia alkoholiczne i seksualne.

Księża i pedagogowie niech pilnie korzystają z tej gruntownej, pilnej pracy ks. Bessmera.

Ks. Ernest Matzel.

The years that the locust hath caten by *Annie E. Holdsworth.* I vol. (Tauch. Ed.).

Książka nie nowa, mało kto u nas wszakże ją poznał, więc czytając ją, ma się wrażenie odkrycia zakopanego skarbu. Nawet ten, kto smutnych utworów nie lubi, przeczyta ją od początku do końca i zamknie z uczuciem podniosłem badacza, któremu się udało ciemne zagadnienie rozwikłać. Prawda wyłożona w istocie nie jest nową: czytamy ją w każdym katechizmie i na każdej stronie Ewangelii. Co innego jednak widzieć rzecz w słowach, a co innego w życiu i czynie. *The years that the locust hath caten* — Lata, które zjadła szarańcza, a choćby nie lata, to miesiące, to dnie daremnej pracy, daremnego cierpienia, zapomnianych ofiar i poświęceń, — któż ich nie zaznał, nie wypłakał w goryczy zranionego serca. Komu z nas po

mnogich życia zawodach stojącemu przed nowym wysiłkiem kusiciel nie rzucił w twarz rozpaczliwego słowa: Nie warto! Większość dzieł ludzkich w zarodzie przepada, w połowie się łamie więc po co pracować! Niestałość lub śmierć dzieli serca ludzkie — więc po co miłować! Ciężar natury ludzkiej ściąga w dół, na niziny grzechu — więc po co się wznosić! Po co ustawicznym wysiłkiem podwajać trud życia, które jest samo przez się boleścią?

Autorka opowieści o latach przez szarańczę życia pożartych usiłowała dać na te pytania odpowiedź. Jest to »ballada jakich wiele«, historya pięknej, zamożnej, pełnej życia dziewczyny, która opuściła wszystko, by iść za marzyciela-egoistę. W tym człowieku żyje tylko mózg, a dusza, serce, zdolność do pracy — wszystko śpi. On jest istotnie tą szarańczą pożerającą życie Pryscylli. Zagłębiony w dziele o »Nowej Religii«, w którem nigdy poza wstęp nie wyszedł, porywający w obłoki lub poruszający do łez słuchaczy urokiem wzniosłej wymowy, wyzyskuje bezlitośnie siły żony, która go żywi pracą literacką, a przytem spełnia czynności kucharki, praczki i sługi. Tknięty paraliżem nerwowym, lubuje się w swoim histerycznym stanie i daje umrzeć jedynemu dziecku raczej, niżby wysiłkiem woli zdradził się, że może chorobę zwyciężyć. W tym samym domu mieszka malarz, który sobie na ścianie wymalował seryę aniołów niosących lilie; obraz ten wrył się w wyobraźnię Pryscylli. Niestety wrył się w nią i artysta, który ją samą od pierwszej chwili pokochał; wierna jednak i stała odpycha pokusę, zamilcza boleść i dalej jak niewolnica służy mężowi, odnosząc w zamian ustawiczne wyrzuty i drwiny. Życie jej czarne jak noc — dokoła wszakże rozsiewa promienie. W ubogiej dzielnicy błogosławieństwa sypią się na jej biedną głowę. Sama nie wie ile łez otarła, w jak wiele mieszkań wprowadziła czystość, zgodę i zdrowie. Wśród swoich cierpień słyszy wielki głos bólu dobywający się z tysięcy serc, radaby wszystkie przygarnąć i wszystkie ukoić. Dawniej, w słonecznych dniach przed ślubem napisała powieść, której nie zrozumiała znaczenia. Napisała ją w niewinności swojej, a powieść miała powodzenie skandalu. Następnie — bo była moralną — nie chcieli przyjąć wydawcy więc kreśliła drobne nowelki do podrzędnych pism — byle żyć, a raczej byle męża wyżywić. Wkońcu dopiero gdy już młode jej ciało więdniało pod zbytniem brzemieniem, postanowiła raz jeszcze ulżyć sercu, odsłonić światu tajniki uczucia i bólu, tragedye nieszczęścia lub złości kryjące się pod łachmanem przedmieści. Może

ludzie zaradzą złemu, może pomogą... Pisała po nocach ostatkiem sił. Jeśli wydawca książkę przyjmie, będzie mogła wydostać się z miasta, na powietrze, na słońce, na grób swego dzieciątka. Czekała przez kilka dni, a po kilku dniach poczta zwróciła jej rękopism z ukłonami wydawcy. To był ostatni cios. Osłupiała, siedziała długo mierząc myślą otchłań nicości, w którą wpadły wszystkie jej wysiłki, jej cierpienia, jej prace, znoje umysłu, ciała i serca, jej bohaterska cierpliwość, bohaterska wesołość, bohaterskie milczenie. Jej dziecko nieochrzczone leżało pod ziemią, jej dzieło — owoc ostatecznego napięcia sił wracało odepchnięte, wzgardzone... Nie było już po co żyć — wszystko pochłonęła jakaś zawistna moc. Oczy jej, w których już łez nie stało, wlepiały się w wierzchnią kartę rękopisu i ręka machinalnie chwyciwszy za pióro nakreśliła na niej wyrazy: Lata, które pożarła szarańcza. Była to jednak dziwnie dzielna dusza, dzielna do końca. Po chwili już nowa jasność przebiegła źrenice, a pióro inny tytuł kreśliło: »Oddam ci lata które szarańcza pożarła«.

Następnie wstała, wyższa duchem ponad wszelkie przypadłości ziemskie i po raz pierwszy od dawna pocałowawszy męża wyszła, aby zaczerpnąć powietrza. W godzinę później posłaniec przyniół list od wydawcy pełen pochwał i proszący tylko o zmianę tytułu i trochę mniej smutny obrót w ostatnim rozdziale. Posłaniec jednak nie zastał w domu Pryscylli; daremnie czekano do nocy. Wieść o jej zniknięciu rozbiegła się wraz wśród ubogich mieszkańców ulicy tak, iż młody malarz, wracający późnym wieczorem, znalazł w mieszkaniu Dunstana gromadę ludzi zaniepokojonych i bezradnych. Zorganizował szybko obławę i sam puścił się na poszukiwanie. Nad ranem w istocie odnalazł ją konającą w szpitalu, dokąd ją po ciężkiem upadnięciu na ulicy bezprzytomną wniesiono. Obecnie zdało się, że go poznaje, dozorczyni mniemała, że majaczy, ale on bieg jej myśli rozumiał. Mówiła z uśmiechem o swych przecierpianych latach twierdząc, że ich szarańcza nie zjadła, lecz że je aniołowie ukryci pod postacią Zawodów, Bólu i Śmierci, jako lilie białe do nieba unieśli... Za trumną Pryscylli szedł mąż tonący w łzach skruchy, szło drobne grono przyjaciół, a za niem ciągnął długi korowód ubogich, cała niemal ludność przedmieścia. Jakieś dziecko spytało: Jaką to królewnę chowają?

Nie podobna bez głębokiego wzruszenia przeczytać tej książki. Zaprawdę więcej by nam takich potrzeba dla podniesienia ducha wśród coraz bardziej miażdżących duszę ciężarów żywota. Autorka snać zna

je dobrze, skoro w smutnym zawodzie Pryscylli ukazała nam — nie pojedyńcze wielkie nieszczęścia wzbudzające u ludzi szacunek i współczucie, ale długi ciąg niepowodzeń, których boleść pomnażać zwykło towarzyszące im lekżeważenie ludzkie. Ten ostatni zresztą nie wyklucza nagłych gromów i jest od nich trudniejszym do zniesienia w spokoju. Szczęśliwy komu, jak Pryscylli, zaświeci choć w ostatniej chwili promień Boskiej pociechy!

T. Wodzicka.

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

Forma zaręczyn i małżeństwa w prawie kościelnem katolickiem z uwzględnieniem prawa cywilnego austryackiego. Napisał *ks. Jan Roth T. J.*, prof. prawa kośc. Kraków 1908. Apostolstwo Modlitwy. 8-ka, str. IV, 124.

Wobec zmienionego prawodawstwa kościelnego odnośnie do zawarcia zaręczyn i małżeństwa, wyłoniła się potrzeba komentarza, któryby przystępnie i gruntownie objaśniał doniosłość i treść nowej ustawy, będącej na prawdę »wielkim aktem kulturalnym Piusa X«. Wydali już u nas takie komentarze Opieliński i Lechert, ale zbyt się spieszyli, skutkiem czego późniejsze orzeczenia św. Kongregacyi soboru z dnia 1 lutego i 28 marca nie mogły już być uwzględnione. Opieliński wydał swój komentarz w styczniu 1908 r. Podał tekst łaciński dekretu *Ne temere* i umieścił w bieżących uwagach odpowiednie wyjaśnienia. Lechert nie obdarzył nas pracą samodzielną, lecz przełożył na język polski tekst dekretu, i wydał przekład razem z tekstem łacińskim. Następnie powtarza poszczególne ustępy polskiego tłumaczenia, załączając po nich objaśnienia dekretu przez ks. kard. Gennari'ego. Pozostało więc jeszcze po tych komentarzach miejsce dla rozprawy rzeczowej, którąby nie ograniczała się tylko do uwag i odnośników, ale wyłuszczała w sposób naukowy treść i tendencyę nowego prawodawstwa.

Ks. Roth podjął się tej pracy, wymagającej gruntownego studyum nie tylko najnowszej literatury o dekrecie *Ne temere,* ale i dawniejszego prawodawstwa kościelnego. Uwzględnił więc dawne prawo i historyczny jego rozwój i przez to bez kwestyi pogłębił zrozumienie nowego dekretu. Nadto komentarz ks. Rotha ma dla nas aktualniejsze znaczenie, niż broszury Opielińskiego i Lecherta: albowiem zestawia nowe prawo kościelne z prawem cywilnem austryackiem, oraz wyjaśnia stosunek wschodniego Kościoła do ustawy *Ne temere.* Szczególnie zasługuje tu na uznanie ustęp o rytualno-mieszanych małżeństwach między łacinnikami i Rusinami, raz dlatego, że autor miał przed oczyma przypadki praktyczne, np. wychodźtwo, następnie zaś dla tej okoliczności, iż pierwszy w tej kwestyi podał gruntowne wyjaśnienie.

Komentarz ten powinien być w posiadaniu każdego proboszcza i dusz-

pasterza, zwłaszcza, że dekret *Ne temere* domaga się, aby w parafialnych kościołach tłumaczono na kazaniach nowe ustawy. Historyczne przedstawienie rzeczy jest niezbędnie potrzebne, by dać ludowi prawdziwe pojęcie o doniosłości nowego prawa.

W dodatku umieścił autor formularze umów zaręczynowych, oraz dekrety i orzeczenia Stolicy św. Konstytucya *Provida*, normująca formę zawierania małżeństw w Niemczech również została przedrukowana w dodatku. Autor unika wedle możności terminologii makaronicznej, która w książkach prawnych tak bardzo jeszcze jest obfitą i starannie usiłował ją spolszczyć. Cała rozprawa napisana jest zrozumiale, jasno, i nawet zajmująco.

Ks. E. M.

Biblioteczka Uniwersytetów Ludowych. Nr. 63—96. Warszawa—Kraków. G. Gebethner i Sp. 1908.

»Biblioteczka uniwersytetów Ludowych«, dzięki rozmaitości tematów, piękności wydania a prawdopodobnie także i przystępnej cenie (10—50 h.) rozwija się coraz więcej. Leżące przed nami zeszyty przynoszą w prozie utwory Sewera, Dygasińskiego, Sieroszewskiego, Kaczkowskiego, Prusa, Konopnickiej, z Tańskich Hoffmanowej, Czernedy, Kraszewskiego, Wilczyńskiego, Chodźki; w poezyi i dramacie: Lenartowicza, Syrokomli, Asnyka, Korzeniowskiego. Cały ten zbiorek nasuwa jednak pewną uwagę. Objaśnienia wyrażeń skądinąd bardzo prostych, każą się domyślać, że wydawcy przeznaczyli »Biblioteczkę« dla szerokich, a więc nieintelligentnych sfer; wątpimy jednak, czy tym właśnie sferom przypadną do gustu takie nowelki czy obrazki, jak np. »Kulisi« lub »Bokser« Sieroszewskiego. Same też objaśnienia nie są bez zarzutu. Jedne są niepotrzebne, boć każdy chyba wie, co to znaczy *torf, ostrężyna, żur* i t. d.; inne niewystarczające, bo cóż powie niewykształconemu czytelnikowi takie np. objaśnienie: cedr = rodzaj drzewa szpilkowego, alabaster = drogi kamień białej barwy, kurki = gwiazdozbiór Plejad, podstoli = tytuł i urząd w dawnej Polsce, kasztelan = wysoki urzędnik w dawnej Polsce, krajczy = urząd staropolski i t. d. Niektóre objaśnienia są nadto fałszywe lub bałamutne. Jeżeli objaśnienia mają coś wyjaśniać, powinny być dokładne i zrozumiałe. *Ks. W. W.*

Biblioteczka Młodzieży Szkolnej. Zeszyt 1—80. Warszawa—Kraków. G. Gebethner i Sp. 1908.

Dla ogółu czytelników będzie ta »Biblioteczka młodzieży szkolnej« prawdziwą a miłą niespodzianką, gdyż nie każdy prawdopodobnie wie, jak cenne i wartościowe rzeczy dla młodzieży posiada literatura polska. Dowie się o tem z załączonego zbiorku. Zawiera on rzeczy oryginalne i tłumaczone, zwykle w przekładzie wyborowym. Świadczy o tem, choćby fakt, że znajdują się w »Biblioteczce« i tłumaczenia Konopnickiej. Zbiorek przeznaczony jest i dla małych dzieci i dla dorastających i dla dorosłych; według tego też rozłożona materya. Wartość jego stawiamy wysoko; kształci on wielostronnie umysł, kształci i serce. Wszystko, co młode serca zająć i na nie wpłynąć może, znajduje w »Biblioteczce« swój wyraz. Jedno mamy tylko życzenie, to mianowicie, żeby, ponieważ »Biblioteczka« przeznaczona jest dla młodzieży polskiej, a więc katolickiej, wydawcy więcej, jak dotychczas, uwzględniali pierwiastek religijny w wychowaniu

Ks. W. W.

O wychowaniu i jego stosunku do innych spraw życia. Przez *G. Spaldinga*, katol. biskupa Peorii. Za upoważnieniem autora z angielskiego oryginału przełożyła S. T. P.

Nie jest to systematyczny traktat o wychowaniu, lecz tylko szereg myśli na temat wychowania i wykształcenia ujęty w formę 7 prelekcyi.

Z powodu obfitości myśli w nich zawartych, a braku systematycznego ich ugrupowania niepodobna choćby pokrótce pokusić się o podanie ich treści. Zasadniczą myślą jest, że wychowanie jest to rozumne współdziałanie człowieka z Bogiem w sprawie posunięcia naprzód rozwoju ludzkości, działanie życia w jego absolutnem rozumieniu na życie jednostek czy społeczeństw, by je podnosić na wyższy i coraz wyższy stopień doskonałości. Mówiąc o wykształceniu daje autor ponad niem wyższość wychowaniu w rozumieniu powyżej podanem. Wykształcenie obok dania wiedzy ściśle fachowej ma cel wychowawczy; wiadomości należy szukać takich, czytać książki tego rodzaju, by one działały uszlachetniająco, rozszerzały horyzont myśli, zrozumienie myśli i uczuć otaczającego społeczeństwa. W wychowaniu religia ma mieć wpływ decydujący. Dziełko kończy się apelem do katolickiego społeczeństwa Stanów Zjednoczonych, by wspólnemi siłami założyć ognisko wiedzy, owianej duchem Bożym, katolicki uniwersytet.

Dr. A. B.

O tłumaczeniu Nowego Testamentu przez ks. Jakóba Wujka. Napisał *ks. Julian Gołąb*. Warszawa 1906. Nakładem redakcyi *Przeglądu Katolickiego*. 8-ka. Str. 78.

Z wielką pilnością zestawił autor wiadomości odnoszące się do przekładu Nowego Testamentu przez ks. Jakóba Wujka T. J. Dowiadujemy się o genezie przekładu, o metodzie tłumaczenia i edycyach przy tem uwzględnionych. Właściwie posiadamy trzy przekłady Nowego Testamentu przez ks. Wujka. Ostatnie zostało zredagowane przez pięciu OO. Jezuitów, którzy pod niejednym względem poprawili tekst pierwotny. Jednakże autor wogólności przyznaje pierwszej edycyi samego Wujka pierwszeństwo, gdyż w niej ks. Wujek mniej niewolniczo trzymał się słów Wulgaty, oddając przez to niejednokrotnie myśl Pisma św. jaśniej i wierniej.

Dotąd, jak zaznacza autor na końcu, nie posiadamy jeszcze dokładnej znajomości niektórych pytań, które się nastręczają z powodu przekładu Pisma św. przez ks. Wujka.

Ks. E. M.

Byron, życie i dzieła. *Dr. Józef Flach.* Brody. Nakładem księgarni Feliksa Westa. 1908.

W przedmowie zawiadamia autor czytelnika, że książka jego powstała z wykładów publicznych i że dlatego ma cechę p o p u l a r n o-n a u k o w ą. Popularność ta była istotnie potrzebną, bo zwięzłej książki o Byronie nie było, ale żal zbiera, że autor napisał rzecz cokolwiek po reportersku, po dziennikarsku, chociaż forma staranniejsza, nie byłaby książce popularności ujęła. Żal tem większy, gdy sobie przypomnimy wiele innych prac autora, w których widziało się więcej cierpliwości, spokoju i formy literackiej. Jeżeli o to pokłócić się można z drem Flachem, to za treść samą za wyborne rysy charakterystyczne, za dokładne oświetlenie i poety i dzieł jego, podziękować mu trzeba. Znajomość literatury europejskiej wcale głęboka i szeroka; roz-

kład materyału zręczny, dla czytelnika ponętny. Uznając, że oświetlenie »poety« w tej książce wyborne, nie można powstrzymać się od uwagi, że »człowieka« usiłuje autor może cokolwiek za wiele, za pobłażliwie rozgrzeszać. Niekiedy doznaje się wrażenia, jakoby nie tylko grzesznika, ale i grzechy usprawiedliwiał. Jest to wrażenie tylko, a więc upierać się przy tem nie myślę. *cz. p.*

Господу помолимся. Молитвенникъ для русскихъ католиковъ. Составили С. Л. и І. У. С.-Петербургъ 1908. 12-ka, str. 252.

Już od dawna dotkliwie dał się uczuć brak książeczki do nabożeństwa, ułożonej dla katolików-Rosyan w języku rosyjskim. Prawosławny Rosyanin, powracający na łono Kościoła katolickiego, dotąd nie mógł się posługiwać modlitewnikiem w języku ojczystym, któryby zawierał najważniejsze prawdy wiary i modlitwy, dostrojone do obecnych potrzeb jego duszy. Można było przewidzieć, że wydanie rosyjskiej książeczki do nabożeństwa spotka się z pewnem niedowierzaniem i przesądem. Tak się też stało, ale bez podstawy. Kwestya teoretyczna, że każdemu katolikowi należy dać możność modlenia się w języku ojczystym jest jasna, a co się tyczy prawowierności katolickiej, to rzut oka na treść usuwa wszelką wątpliwość. Na początku zaraz spotykamy się ze skróceniem dziełka O. Gagarina, Jezuity, »Сокровище Христианина«, »Skarb chrześcijanina«, wydanego r. 1855 w Paryżu i powtórnie 1907 r. w Krakowie. W dalszym ciągu znajdujemy przeważnie oficyalne modlitwy liturgiczne, używane w Kościele przy Mszy św. i przy sprawowaniu Sakramentów świętych, tudzież litanie potwierdzone przez Kościół dla publicznego użytku. Tylko w litaniach do Wszystkich Świętych umieścił autor patronów narodowych polskich i rosyjskich, jak św. Stanisława, Józafata, Kazimierza, Włodzimierza oraz św. Jadwigę, Olgę i Eufrozynę, z wyraźną jednak uwagą, że wezwania tych Świętych przeznaczone są tylko dla prywatnego kultu, gdyż brak ich w litaniach rzymskich. Wykroczenią przeciw katolickim zasadom żaden rozsądny teolog w tem upatrywać nie będzie.

E. M.

Ks. Antoni Węgrzynowicz, jako kaznodzieja maryologiczny. Szkic homiletyczny. *Ks. dr. A. Jougan.* Poznań 1906.

Ks. Antoni Węgrzynowicz, Reformat (1650—1721) pozostawił 6 zbiorów obszernych kazań zarówno polskich, jak i łacińskich.

Treść ściśle maryologiczną ma zbiór p. n. »Melodya św. Kazimierza«, *Alphabetum Immaculatae Conceptionis B. Virginis Mariae* i *Syllabus Marianus*, choć i inne zbiory, jak »Gody Baranka Apokaliptycznego« i »Kazania niedzielne« pośrednio dotykają tego tematu.

Autor zbiera i podaje dzieła, z których korzystał ks. Węgrzynowicz, omawia genezę tytułów zbiorów, rozdziela wedle tematów i rozbiera poszczególne kazania, ich treść i układ.

Poznajemy tedy z przytoczonej pracy postać kaznodziei, dotąd nieznanego. Kaznodzieja ten nie liczy się do pierwszorzędnych w naszem piśmiennictwie, lecz zasługi jego jako pisarza są olbrzymie. Zbiory jego kazań, jako podręczniki stanowią nieoceniony materyał przez swą bogatą treść, zebranie ogromnej ilości cennych bardzo materyałów maryologicznych. *W.*

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Z okazyi jubileuszu Piusa X.

Nie czas jeszcze dzisiaj pisać o znaczeniu Piusa X dla Kościoła i świata. W chwili jednak, w której Ojciec św. cicho i spokojnie obchodzi jubileusz pięćdziesięciu lat kapłaństwa, nie od rzeczy będzie rzucić krótki przynajmniej rzut oka na jego działalność. Działalność ta jest działalnością wybitnie apostolską i sprawdza słowa, które po wyborze pisał o nowym papieżu kardynał koloński, Fischer, w swym liście pasterskim: »Wybrany jest widocznie mężem Opatrzności, kapłanem według serca Bożego, pełnym roztropnej gorliwości, łagodności i umiarkowania a przedewszystkiem pokornym«.

Jak Pius X tę działalność pojmuje, pokazał to w encyklice z 4 października 1903 r. »Boże drogi i cele będą naszemi drogami i celami. A gdyby ktoś od nas domagał się programu, któryby streszczał w sobie nasze najbardziej wewnętrzne dążności, usłyszy zawsze jedno i to samo: odnowić wszystko w Chrystusie«. To odnowienie polega według dalszych słów encykliki na tem, aby »po miastach i wioskach chowano wiernie przykazania Boże, szanowano to, co jest świętem, przyjmowano często Sakramenty i w życie wprowadzano to wszystko, co tworzy prawdziwego chrześcijanina«.

Żeby ten program przeprowadzić, zwrócił papież swoją uwagę na tych, którzy są podstawą tego odrodzenia, na młodzież. Zachęca do starania się o nią, do zawiązywania stowarzyszeń młodzieży katolickiej, aby tym sposobem usunąć ich z pod wpływu tych, którzy »korzystają z ich niedoświadczenia, schlebiają ich namiętnościom, nadużywają ich zdolności, aby skazić ich obyczaje a w duszach ich zasiać zgubne ziarno niewiary i obojętności«.

Zrozumiał również Pius X, jak ważnym pierwiastkiem do przeprowadzenia jego programu, jest świątobliwy i w duchu Chrystusowym wychowany kler: »Żeby Chrystus znowu panował w świecie, pisał 5 maja 1904 r., jest niezbędnem nienaganne zachowanie się kleru, który swoim przykładem, słowem i nauką powinien przyświecać wiernym«. Z tego poglądu wypłynęły też te różne przepisy, których celem było wychować kler święty i światły, a choć te przepisy odnosiły się często bezpośrednio tylko do Włoch, były one jednak wskazówką i dla innych krajów.

To samo zapatrywanie zrodziło również owe rozporządzenia, które miały za zadanie zreformować i urządzenia dworu papieskiego i dyscyplinę kościelną, i zapobiedz na przyszłość jakimkolwiek nadużyciom, pojawiającym się po kościołach. »W kościele nic takiego dziać się nie powinno, coby przeszkadzało lub choćby tylko osłabiało pobożność i skupienie wiernych, nic coby się słusznie mogło niepodobać i zgorszyć, nic coby z powagą i świętością służby Bożej się nie zgadzało, coby świątyni i majestatu Bożego było niegodnem«.

Pius X sięgnął jednak jeszcze dalej. Spostrzegł niebezpieczeństwo zagrażające Kościołowi od różnych prądów liberalnych, które nie mając z nauką nic wspólnego, przybierały się mimo to w pozory nauki, nurtowały w szeregach katolickich i zarażały kler; zwrócił więc na te zgubne zapatrywania uwagę całego świata, wydając 3 lipca 1907 r. nowy *Syllabus*, potępiający 65 błędów, odnoszących się przeważnie do studyów nad Pismem św. i 8 września tegoż roku encyklikę przeciwko modernistom. Jak bardzo te dwa dokumenty były na czasie i jak dobrze zrozumiały sytuacyę, świadkiem i dowodem wrażenie, jakie one wywołały. I niesłusznie zarzucono Piusowi X, że tamował i krępował wiedzę;

jego przemówienie, wygłoszone 20 kwietnia 1904 r. do członków historycznego instytutu w Rzymie, jego przepisy wydane dla seminaryów a odnoszące się przedewszystkiem do badania i poznania Pisma św., jasno wskazują na to, że nie chodziło mu bynajmniej o krępowanie nauki, ale o oczyszczenie jej od fałszu i błędu.

W smutnych czasach objął Pius X kierownictwo nawą Kościoła. Apostazya Francyi zadała bolesną ranę jego szlachetnemu sercu, ale już dzisiaj po pięciu latach rządów spostrzega on zbawienne owoce swej pracy i swych starań. Duch katolicki budzi się dziś więcej, jak dawniej i zaczyna się powolne, ale stałe odnowienie w Chrystusie.

I to jest najpiękniejszy podarek, jaki chrześcijaństwo swemu Ojcu i Wodzowi w dzień jego jubileuszu składa, a choć ten jubileusz odbywa się bez zwykłej w takich razach okazałości, to jednak z milionów serc płyną do nieba gorące modlitwy o błogosławieństwo dla usiłowań papieża i o ostateczny tryumf Kościoła, a w chórze tych modlitw nie braknie z pewnością i błagań z polskiej ziemi.

Z ostatnich kongresów

O ostatnim kongresie eucharystycznym w Londynie informował wielki odłam naszej prasy społeczeństwo tak dokładnie i szczegółowo, że nie potrzebujemy się tu chyba rozwodzić nad jego przebiegiem; wystarczy ograniczyć się do kilku ogólniejszych uwag.

Niesłychana ilość uczestników i to tak najwyższych dostojników Kościoła i kleru, jak i wiernych, rekrutujących się z najrozmaitszych sfer, musiała wywołać i wywołała zdumienie nie tylko w szeregach katolickich, ale i anglikańskich; organizacya tak olbrzymiego zebrania była pod każdym prawie względem wzorowa; usposobienie poważnej prasy i szerokich sfer angielskich nie pozostawiało w obecnych warunkach, z wyjątkiem kilku dysonansów, wiele do życzenia; niektóre chwile kongresu, jak np. rzewna procesya 20.000 dzieci lub imponujące zgromadzenia w *Albert-Hall*, pozostaną wszystkim na długo w pamięci.

Dwa momenty uwydatniały się w zachowaniu się olbrzymich

na kongres zgromadzonych tłumów i w przemówieniach mowców. Pierwszym była radość i wdzięczność z powodu politycznej i religijnej wolności, jaka jest udziałem katolików w Anglii. Mimo istniejących jeszcze i formalnie nie zniesionych barbarzyńskich praw, które byt swój zawdzięczają fanatycznej nietolerancyi ubiegłych lat, a których ostrze zwraca się wyłącznie przeciwko katolikom, nikt dzisiaj o stosowaniu tych praw i przepisów nie myśli. To też ufny w tolerancyę rządu angielskiego, mógł Pius X odważyć się na ten śmiały krok i po setkach lat wysłać po raz pierwszy znowu swego legata na angielską ziemię — fakt, który zdumieniem napełnił świat cały. I nie można nawet powiedzieć, że zakaz odbycia uroczystej procesyi z Najświętszym Sakramentem, wydany przez premiera Asquitha, staje w sprzeczności z naszem twierdzeniem. Zakaz ten świadczy tylko o małoduszności angielskiego premiera, spowodowanej nierozumną agitacyą nieznacznej garstki fanatyków, a stanowisko, jakie wobec zakazu zajęła prasa londyńska i sama ludność miasta, dało katolikom pełną satysfakcyę. *Times* np. twierdzi, że nigdy jeszcze premier angielski nie odgrywał tak smutnej roli, jak w tym właśnie wypadku; *Daily Telegraph* jest zdania, że rząd uczynił najgorszą rzecz, jaką uczynić mógł i to w możliwie najgorszej formie; *Standard* radzi katolikom na drodze ustawodawstwa pracować nad zniesieniem przestarzałych praw i jest przekonanym, że te usiłowania osiągną skutek; *Daily News* nazywa Asquitha pedantycznym prawnikiem, »zamiast żeby był sprawiedliwym i samodzielnym człowiekiem«, i sądzi, że gdyby parlament był zebranym, podobny zakaz nie byłby możliwym. Podobnie wyraziły się inne pisma, jak *Daily Chronicle*, *Morning Leader* i t. d. Ludność zaś anglikańska przyjęła procesyę oklaskami i z uszanowaniem schylała głowę, gdy legat papieski z wysokiego balkonu katedry udzielał błogosławieństwa.

Drugim momentem kongresu, który wywołał niemniejsze wrażenie, była jasno zamanifestowana stałość przekonań katolickich i miłość Kościoła, połączona ze spokojem i uszanowaniem obcego wyznania. W tym olbrzymim tłumie nietrudno było o jakieś słowo lub jakiś krok, nacechowany niechęcią do angli-

kanizmu; siła tłumu nie zawsze jest siostrą rozwagi. Mimo to przebiegiem kongresu nie mógł się czuć dotkniętym, choćby i najzagorzalszy fanatyk. Kongresowi nadano charakter ściśle religijny; polityki i polemiki na nim nie uprawiano. Tematem przemówień był Najświętszy Sakrament w swem teologicznem, praktycznem i historycznem znaczeniu. Żeby nie urazić Anglików pominięto kwestyę, która na podobnych zebraniach i zgromadzeniach wysuwa się zwykle na pierwszy plan: kwestyę świeckiej władzy papieża a chociaż zaznaczono ścisłą łączność ze Stolicą Apostolską, uczyniono to jednak w sposób, który nikogo nie mógł obrazić. Trzeba było wprawdzie dotknąć bolesnej rany, czyli angielskiej przysięgi koronacyjnej, która mszę św. nazywa bałwochwalstwem i zabobonem, ale i tu zachowano zupełną objektywność i bezwzględny spokój. A w czasie całego kongresu nie padło ani jedno słowo, któreby uraziło anglikanizm, wyraziło się o nim pogardliwie lub lekceważąco. Jedna tylko nuta brzmiała zawsze: poznajcie nas bliżej a wasze uprzedzenia same się rozwieją.

Małej garstce roznamiętnionych agitatorów protestanckich w Londynie nie było to na rękę a jeszcze mniej podobał się im fakt, który zadał kłam tak często przez innowierców szerzonemu twierdzeniu, że katolik nie może być dobrym synem swej ojczyzny. Miłość kraju, uszanowanie, przywiązanie i wdzięczność dla monarchy widoczne były na każdym kroku i jak zaznacza *Kölnische Volkszeitung* (n. 794) »nigdy jeszcze nie brzmiała po ulicach Londynu i jego salach tak często pieśń: *God bless our Pope* (Boże, błogosław papieża), zawsze jednak kończyło się każde zgromadzenie dawnym zwyczajem pieśnią: *God save our King*«.

Kongres londyński, dziewiętnasty z rzędu, był wielką manifestacyą katolicką, rozchwiał z pewnością niejedno uprzedzenie, niejedną duszę utwierdził w wierze a ufać wolno, że i niejedną dla wiary pozyskał.

Niecodziennem też zjawiskiem był czwarty kongres katolików czeskich, zwołany na 30 sierpnia do Pragi. Miał on charakter kongresu słowiańskiego a zgromadził 170 katolickich związków i organizacyi i do 15 tysięcy uczestników, biorących pilny udział

tak w nabożeństwach, jak i posiedzeniach i obradach. Poruszono dużo ważnych kwestyi, między innemi kwestyę organizacyi katolickich, katolickiej prasy i katolickiego życia. Nie pominięto też kwestyi robotniczej i długo zajmowano się rozpatrywaniem stanowiska katolików do narodowości, uchwalając rezolucyę żądającą, aby katolicy brali udział w życiu socyalnem, kulturalnem i narodowem, o ileby ten udział nie stanął w sprzeczności z zasadami wiary i aby czynem zaznaczali, że pojmują sumiennie i rzeczowo zadanie pracy narodowej. Wzruszającą chwilą kongresu było powitanie 900 Słowaków, tych męczenników szowinizmu węgierskiego. Gdyby oni chcieli dziś kongres powitać, mówił dr. Kolisek, musieliby chyba użyć powitania gladyatorów: *Salve! Morituri te salutant!* Słowa te przyjęto burzą oklasków i uchwalono zwrócić się do zwołanego na wrzesień do Pesztu kongresu katolików węgierskich z prośbą, aby zajął się losem prześladowanych dla wiary i narodowości Słowaków.

Inne za to, bardzo smutne wrażenie, wywołał kongres niemieckich katolików w Rumburgu, w Czechach. Zgromadził on stosunkowo wielką ilość uczestników, bo przeszło sześć tysięcy a między nimi, rzecz istotnie pocieszająca, dużo związków katolickich studentów z wyższych zakładów naukowych. Mowy, wygłoszone na ogólnych zebraniach, dotykały punktów ważnych i zasadniczych dla rozbudzenia ducha religijnego w niemieckiej części Czech. I pod tym względem kongres odpowiedział w zupełności swemu zadaniu.

Poza tem jednak niktby nie przypuścił, że odbył się on w państwie cywilizowanem; przeciwnie można było sądzić, że azyatyckie czy afrykańskie stepy wyrzuciły swoje dzikie hordy, aby udowodnić, że istotnie olbrzymimi krokami wracamy do barbarzyństwa. Zwykłym szermierzom wolności i postępu, socyalistom i ich wiernym sprzymierzeńcom, niemieckim radykałom narodowym i zwolennikom »wolnej myśli«, kongres się nie podobał; żeby go więc, jeżeli już nie uniemożliwić, to przynajmniej utrudnić, użyli zwykłych, w tym wypadku zawsze stosowanych środków, a więc krzyków, bójek, rzucania kamieniami, błotem i gnojem,

plwania. Nawet policya i żandarmerya, która w Rumburgu dziwnie pojednawcze wobec demonstrantów zajęła stanowisko, prawdopodobnie ze względu na sympatyzujący z nimi magistrat, widziała się kilka razy zmuszoną odeprzeć szablami, rewolwerami i najeżonymi bagnetami rozjuszony tłum i to dopiero utrzymało jako tako w karbach te szumowiny, które oplwały kapłanów, rozdzierały suknie kobietom, znęcały się nad dziećmi i młodzieżą a rykiem swoim robiły wrażenie, że to nie ludzie, ale stada.

Może zresztą i dobrze się tak stało. Socyaliści i cały obóz »postępowy« wykazali raz jeszcze, do czego zdążają i jak sobie wolność i postęp tłumaczą a katolicy znowu poznali, czego się mogą spodziewać po tych, którzy z człowieka zatrzymali chyba jeszcze tylko postać — i tej nauki z pewnością tak prędko nie zapomną.

Jak całkiem inaczej odbijało od zachowania się tych niesfornych tłumów zachowanie się uczestników pierwszego wiecu polskich katolików Śląska austryackiego, jaki się odbył szóstego września w Cieszynie. W trudnych został on zwołany warunkach i można się było lękać o jego przebieg. Katolicy polscy na starym Śląsku piastowskim muszą walczyć na dwa fronty. W walce z Niemcami mają po swojej stronie społeczeństwo, w walce z własnymi braćmi po narodowości ale nie po wierze, walce smutnej, lecz nieuniknionej, jeżeli chcą trwać przy Kościele i wierze Ojców, mają przeciw sobie wielką część społeczeństwa i pewien odłam prasy, które informowane tendencyjnie i stronniczo, nie chcą zrozumieć, że olbrzymia większość nie może pozwolić na to, aby ją terroryzowała olbrzymia mniejszość, która sobie tylko przypisuje monopol miłości kraju i pracy dla jego dobra, choć o tej miłości i o tej pracy dużoby powiedzieć się dało. Mimo tych trudności wiec się udał a olbrzymia ilość uczestników — gazety obliczają ich liczbę na 20 tysięcy — najlepiej wykazała, że katolicka ludność polska zrozumiała swoje zadanie i uznała ważność skupiania swych sił; ta ilość była też prawdopodobnie przyczyną, że niesforne elementy, tak bohatersko walczące ze studentami i kobietami, nie wyszły obecnie ze swoich nor.

Wiec zrozumiał duszę polską i umiał do niej przemówić:

»W imię Ukrzyżowanego, w imię Wzgardzonego i Sponiewieranego, witajcie nam...

Witajcie nam, Wy bracia od pługa i Wy od młota... Witaj nam Ludu śląski, Ludu roboczy... W imię Tego, którego kochasz i miłujesz, w imię naszego Zbawcy, witaj nam...

Witajcie nam, Wy blizcy i dalecy, którzyście po to przyszli, by pokazać, żeście prawdziwymi katolikami, żeście dobrymi Polakami... że kochacie tę biedną naszą krainę śląską, deptaną, poniewieraną i krwią rodaków zbroczoną... Witajcie nam podwójnie, bo przyszliście upomnieć się o przynależne nam prawa, bo przyszliście zawołać naszemu wrogowi: Jesteśmy... Nie damy się batożyć i poniewierać... Nie damy się katować i zabijać!...

Witajcie szeregi dzielnych, nieustraszonych katolików, witajcie kochane Ślązaczki, witajcie matki, żony, niewiasty, dziewoje, witajcie wszyscy, którzyście przybyli, by zestrzelić w jedno ognisko serca i duchy dla obrony naszych dóbr najdroższych, naszej wiary, naszych praw obywatelskich, naszego pięknego języka, naszych zwyczajów i obyczajów!

A więc w imię Zbawcy i Matki Jego, Królowej naszej kochanej Polski, witajcie nam!...«

Wiec połączył też psychologicznie chwilę religijną i polityczną z chwilą praktyczną życia i za to należy się prawdziwa wdzięczność »Związkowi śląskich katolików«, który po dwudziestu pięciu latach, latach pracy i znoju, nienawiści i oszczerstwa, dokonał takiego dzieła i patrzał na swój tryumf.

Świadkiem nie kongresu ani wiecu, ale wielkiej a swojskiej uroczystości religijnej, był także Kraków w pierwszych dniach drugiej połowy września. Otucha i nadzieja wstępowały w serce, gdy się widziało nie tylko kościół OO. Franciszkanów, którym Kraków to święto zawdzięczał, ale i przyległe kościołowi place i ulice przemienione w jedną wielką świątynię, rozmodloną i rozbrzmiewającą śpiewami. Otucha i nadzieja — bo chyba jeszcze nie tak źle u nas, gdy tryumf Królowej Polski potrafił ściągnąć tylu Jej wiernych czcicieli, choć przykra rzecz, jak pewne sfery od tej uroczystości trzymały się zdala. Życzyćby sobie należało, aby

pamięć tej pięknej chwili, w której naród, upoważniony do tego przez Rzym, włożył w swym smutku i w swej niedoli złotą koronę na głowę »Smętnej Dobrodziejki« nie prędko uleciała, a przedewszystkiem przyczyniła się do odnowienia ducha i utwierdzenia we wierze.

Ze świata agitacyi protestanckiej

Nowym dowodem — nie wiedzieć — naiwności, obłudy czy megalomanii, jest dalszy ciąg usiłowań sprotestantyzowania Polaków w Prusach, o którem wspominaliśmy już w poprzedzającym zeszycie *Przeglądu*. Na 30 sierpnia zwołał »Komitet dla misyi wśród Polaków« zgromadzenie »religijne polskie« w Berlinie, na którem według słów zaproszenia miano »zwiastować Polakom w ich języku ojczystym ewangelię«.

»Nie wszystkim, pisze odezwa, jest znanem, że w dawnem Królestwie Polskiem przed mniej więcej czterystu laty stały dla ewangelii otworem wszystkie drzwi i że ewangelia znalazła tam gorących zwolenników. Wpływ zalewających Polskę Jezuitów zniszczył jednak siłą i obłudą szlachetny siew prawd Bożych. Bohaterskich ewangelickich wyznawców wypędzano z kraju, więziono, męczono. Od owego czasu przyjął naród polski z małymi wyjątkami na nowo rzymski katolicyzm i trwa w nim ślepo i fanatycznie. Zgubny wpływ licznego i silnego duchowieństwa utrzymuje ten tak religijnie usposobiony naród w niewoli rzymskiej i zamyka mu drogę do światła i życia, do prawdziwej wolności. A dzieci Boże w Niemczech, które pomiędzy wszystkiemi szczepami ojczyzny apostołują i za morza do pogan swych posłów ślą, zapomniały o trzech do czterech milionach Polaków, żyjących wśród nich i sądziły, że praca misyjna nad nimi byłaby za trudną, lub może nawet daremną. Teraz jednak uznał Pan nas, wierzących ochrzczonych chrześcijan za godnych do rozpoczęcia misyjnego dzieła wśród tego narodu. W bracie Janie Petraszu dał nam pierwszego misyonarza Polaków dla Niemiec. Od dwóch lat nie ustaje on w pracy rzucania Bożego posiewu, cierpi prześladowania i nieprzyjaźni, równocześnie jednak widzi, jak tu i tam Polacy zaczynają na seryo o prawdzie myśleć i jej poszukiwać. Mimo piekielnej nienawiści i silnego oporu duchowieństwa otwie-

rają się drzwi i serca dla słów ewangelii; pisma w polskim języku są gorliwie czytane — z różnych stron słychać głosy: przyjdź i ratuj nas! Czy ten głos ma przebrzmieć bez echa? Któżby nie chciał się modlić, pracować i przyczynić do tego, aby temu biednemu, w ciemnościach pogrążonemu narodowi, przynieść jasne światło ewangelii?... Pan i Bóg nasz niech błogosławi naszej pracy wśród Polaków i niech dużo z nich uratuje dla swojej chwały«.

Jak dotychczas niebo nie bardzo błogosławi szlachetnym usiłowaniom. Na zgromadzeniu berlińskiem znalazła się mała tylko liczba Polaków, których tam ściągnęła raczej ciekawość i ta okoliczność, że miało się ono wbrew nowej ustawie odbyć w języku polskim, a przemówienia Petrasza i innych »braci«, kaleczących niemiłosiernie język i fałszujących teksty Pisma św. i ich zastosowanie, wywarły nienajlepsze wrażenie. Mimo tego praca ewangelizacyjna nie ustaje i przenosi się nawet między polskich robotników w nadreńskie prowincye. Tam rozdają protestanccy agitatorzy całemi masami różne książki i broszury, jak »Droga do Jezusa i Nowe Narodzenie«, »Serce człowiecze« i inne. Broszury te, pisane niemożliwym językiem, nie będą dla intelligentnych chyba niebezpiecznemi, na warstwy nieoświecone mogą jednak wywrzeć pewne wrażenie.

I agitacya nie kończy się tylko na Polakach; rozciąga się ona nawet na Włochów. Zawiązały się w Prusach dwa stowarzyszenia mające na celu nawracanie Włochów do »nieskażonej ewangelii«: pierwsze to »Ewangelicki związek miłości dla Włochów w Niemczech«, drugie »Związek dla szerzenia ewangelii«. Rozdzielają one illustrowane wydania Pisma św. w języku włoskim i ludowe pisma i rozprawy, urządzają nabożeństwa i zgromadzenia, wygłaszają odczyty, jak np. *Il prete, la Donna e il confessionale secondo Padre Chiniqui*, gdzie paszkwile apostaty drugi ksiądz-apostata, Stocker, wydobywając z niego z lubością brudne i lubieżne karty, niewybrednym swoim słuchaczom za prawdę podawał, rzucając przytem karczemne obelgi na Kościół, którego niegdyś był synem.

To dziwna broń, świadcząca conajwięcej o tem, że ci, którzy chcą innych prowadzić do światła i prawdy, sami leżą w kłamstwie i brodzą w ciemnościach. Takie pierwiastki mogą tylko oczyścić powietrze, szkody nie wyrządzą.

Ks. Wiktor Wiecki.

Z wydawnictw teologicznych.

Weidenauer Studien, herausgegeben von den Professoren des f.-b. Priesterseminars in Weidenau. II Band, Wien, 1908. S. 466.

Drugi rocznik wydawnictwa profesorów seminaryum w Widnawie na Śląsku austryackim mieści kilka cennych prac z rozmaitych gałęzi wiedzy teologicznej.

Na pierwszem miejscu znajdujemy pracę dr. J. Nikla »O nowych źródłach do najstarszej historyi diaspory żydowskiej« (str. 3—42). Autor referuje o odkrytych w najnowszych czasach źródłach do dziejów żydowskich na obczyźnie, mianowicie w Assyryi, w Babilonii i Egipcie. Niedostateczne dane biblijne o losach izraelskich plemion, uprowadzonych do niewoli assyryjskiej, uzupełniają znalezione klinowe tablice kontraktowe w liczbie 17, znajdujące się w królewskiem muzeum berlińskiem. Z nich można wywnioskować, że uprowadzeni Izraelici osiedleni zostali głównie w miastach Kannu i Kar-Au (miasto Boga Jahve); zajmowali się handlem i w Kar-Au posiadali nawet swoją własną świątynię. W podobnyż sposób wyświetlają dzieje babilońskiej diaspory tablice kontraktowe, odnalezione w pobliżu Nippur. Wystawiają nam one Żydów, jako trudniących się rolnictwem, hodowlą bydła i handlem. Do dziejów diaspory egipskiej przyczynek stanowi 10 papyrusów, znalezionych w r. 1904 w Assuan, i 3 papyrusy, odkryte 1907 r. w Elefantinie. Pierwsze w języku aramajskim stanowią opis procesu majątkowego w pewnej rodzinie żydowskiej w Górnym Egipcie, rzucający niemało światła na stosunki rodzinne, majątkowe i prawne kolonii żydowskiej. Drugie: sprawozdanie z procesu o zburzoną świątynię, wskazuje, że Żydzi posiadali w Egipcie na kilka stuleci przed Chrystusem swoje świątynie z kultem uorganizowanym, ofiarami, kapłaństwem i t. d.

Następna praca: »Pochodzenie narodu Izraelskiego« przez dr. K. Miketta (str. 43—81). Rozpatruje krytycznie rozmaite nowsze sy-

stemy racyonalistów dla wytłumaczenia powstania narodu żydowskiego, wykazując, że wszystkie te systemy są dowolne i pełne sprzeczności z pewnemi danemi ksiąg świętych. Głównie omówione są hypotezy Wincklera, Jeremiasa, Stade'go, E. Meyera.

Ks. A. Bukowski umieścił pracę p. t. »Idea zadosyćuczynienia w rosyjskiej prawosławnej teologii« (83—132). Zaznajamia z nauką cerkwi i teologii rosyjskiej o odkupieniu, dokonanem przez Chrystusa. Dowiadujemy się z tej pracy, że źródła uznane przez Cerkiew za księgi symboliczne, zgadzają się pod tym względem z nauką katolicką. Nie odstępują od niej i starsi teologowie. Dopiero w najnowszych czasach starano się stworzyć niezależną od Zachodu teologię, lecz usiłowania te jednych przywiodły do racyonalizmu, inni zaś teologowie, nagderawszy się dowoli na teologię katolicką, którą z protestanckich źródeł poznawali, wkońcu sami przychodzą do pojęć, pod któremi teolog łaciński podpisać się może. Ks. B. poznał z pierwszej ręki teologów rosyjskich, doskonale ujął ich myśl, i wykazując im drobniejsze usterki, zwłaszcza ignorancyę katolickich źródeł, stara się ocenić teorye rosyjskich teologów w łagodnem świetle i pogodzić z systemem katolickim. Owszem wykazuje, że pewne narzekania rosyjskich pisarzy winny być wzięte pod uwagę i uwzględnione przez teologów katolickich.

Dr. L. Stampfl pisze o »Źródle obowiązku celibatu duchowieństwa w Kościele łacińskim« (133—184). Mianowicie odpiera zdanie, według którego bezpośrednią zasadą tego obowiązku ma być ślub czystości składany przez przyjmujących święcenia wyższe. Dr. S. analizuje przemowę biskupią do kandydatów na subdyakonat, oraz teksty prawa kanonicznego i inne argumenty, przytaczane przez zwolenników teoryi ślubu, wykazując, że znikąd nie widać, aby Kościół nakazywał taki ślub, lub też przyjęcie święceń wyższych za ślub uważał. Pozostaje więc, według dr. S., że obowiązek celibatu wypływa jedynie z prawa kościelnego.

Następna rozprawa dr. Buchwalda traktuje o »Sakramentarzu św. Leona i stosunku jego do obydwóch innych rzymskich sakramentarzy« (185—251). Autor opisuje szczegółowo jedyny rękopis tego sakramentarza znajdujący się w Weronie i wydany po raz pierwszy w r. 1735 przez Bianchini'ego. Następnie przy pomocy danych wewnętrznych stara się określić czas i okoliczności, w jakich powstały pojedyńcze msze i modlitwy, dopomogły do tego głównie aluzye do stosunków politycznych, wojen, wewnętrznych niezgód w Kościele,

błędnych nauk i t. d. W rezultacie stawia autor twierdzenie, że t. zw. »sakramentarz papieża Leona« zawiera msze i modlitwy z okresu od r. 370—550, a zatem w całości swej dziełem św. Leona nie jest, zakończonym jednak został przed Grzegorzem I. Przeznaczenie tego sakramentarza pozostało po dawnemu ciemnem; dr. B. stawia hypotezę, że przedstawiał on zbiór rzymskich mszy, uczyniony dla któregoś z kościołów gallikańskich, może przez św. Grzegorza Turońskiego dla jego Kościoła.

»Godność i znaczenie kazania« przez prof. Jos. Fischera (253—315). Oparta na Piśmie św., dziełach Ojców i orzeczeniach nauczającego Kościoła, jak również na naturze rzeczy, ocena godności urzędu kaznodziejskiego w Kościele i znaczenie jego dla wiary i moralności chrześcijan. Autor tej homiletycznej, pięknie opracowanej rozprawy, miał na celu zachęcić kaznodziejów do przejęcia się swym urzędem i do godnego sprawowania go.

Prof. F. Schubert w pracy p. t. »Pewna starochrześcijańska instrukcya pastoralna« (317—350) analizuje znany list św. Hieronima do Nepocyana, czyniąc często zastosowania do naszych czasów.

Z historyi kościelnej znajdujemy pracę katechety R. Tomanka, »Stosunki wewnętrzno-kościelne Noricum według życiorysu Seweryna przez Eugippiusza« (351—418). Mianowicie na tle politycznych stosunków tej rzymskiej prowincyi nad Dunajem opisuje Tomanek, na podstawie życiorysu mnicha Seweryna, całe wewnętrzne życie Kościoła w Noricum w V wieku, naukę jego dogmatyczną, obyczaje chrześcijan, organizacyę kościelną, życie zakonne, liturgię i sakramenta, działalność Kościoła społeczną i filantropijną i t. d. Z tego ciekawego i zupełnie wiarogodnego dokumentu daje się odtworzyć całokształt stosunków kościelnych, jak również udowodnić prawowierność i katolickość ówczesnej nauki i instytucyi.

Ostatnia praca S. Grunera zajmuje się kwestyą »literackiej zależności II listu do Tessalończyków od I listu do tychże« (419—464). Zwycięsko broni autentyczności II listu do Tessalończyków przeciwko krytykom racyonalistycznym, zwłaszcza Wrede'mu, odmawiającym tej autentyczności na podstawie zbyt wielkiej zależności literackiej drugiego listu od pierwszego. Według tych krytyków list drugi ma być falsyfikatem podszywającym się pod styl i myśli Pawłowe, aby przemycić pod jego firmą jakoby obce mu idee eschatologiczne. G. wykazuje, że Wrede zbyt przesadził podkreślając podobieństwo obydwóch listów i to, co one mają w sobie wspólnego, łatwo mogło wyjść

z pod pióra tegoż autora do tychże samych adresatów, a zatem, że nic nie zmusza uciekać się do hypotezy, że list drugi jest falsyfikatem lub też plagiatem, albo brulionem tylko pierwszego.

Z tego chociaż pobieżnego przeglądu treści *Weidenauer Studien* widzimy, że profesorowie seminaryum w Widnawie poważnie pracują we wszystkich niemal dziedzinach wiedzy teologicznej i rzetelne nauce oddają usługi.

Ks. J. Urban.

Z ruchu słowiańskiego.

Slavorum litterae theologicae, conspectus periodicus, Pragae Bohemorum, I, 190, quater per annum, pretio 6 cor.

Na ostatniej konferencyi słowiańskiej w Pradze radzono i nad założeniem czasopisma, poświęconego przeglądowi piśmiennictwa wszystkich narodowości słowiańskich. Przyjemnie stwierdzić, że teolodzy słowiańscy (mianowicie czescy) już na cztery lata przed praską konferencyą na podobną myśl wpadli i pierwsi ją w swojej dziedzinie zrealizowali, powołując do życia kwartalnik, poświęcony przeglądowi piśmiennictwa teologicznego u wszystkich ludów słowiańskich. Przedsięwzięcie to tem bardziej zasługuje na uznanie, że pod względem wyznaniowym słowiańszczyzna rozpada się na dwa główne Kościoły i teologia w każdym z nich kroczy swoją drogą; założyciele jednak kwartalnika *Slavorum litterae theologicae* przezwyciężyli tę trudność i do swego przeglądu wciągnęli piśmiennictwo obu wyznań.

W tej chwili posiadamy już całe trzy tomy omawianego kwartalnika. Przegląd piśmiennictwa grupuje się w nich podług poszczególnych narodowości w porządku alfabetycznym. Czytelnik może tym sposobem łacno ocenić stan piśmiennictwa kościelnego w każdym z krajów słowiańskich i porównać pod tym względem jedną narodowość z drugą.

Przeglądając rocznik *Litterarum*, spostrzegamy, że pierwsze między narodami słowiańskimi miejsce pod tym względem piśmiennictwa teologicznego, tak co do ilości, jak i co do jakości, należy się Rosyi. Wszystkie inne narodowości słowiańskie, razem wzięte, zaledwie dorównywują ilości produkcyi prac teologicznych jednemu piśmiennictwu rosyjskiemu. Z działu rosyjskiego dowiadujemy się o istnieniu w Rosyi kilkunastu poważnych objętością i treścią peryodycznych wydawnictw

cerkiewnych i o pokaźnej liczbie wydawanych tamże rokrocznie książek, podręczników, monografii z rozmaitych gałęzi wiedzy teologicznej. Zapoznajemy się z nazwiskami tamtejszych uczonych: Głubakowskiego, Gołubińskiego, Sokołowa, Bielajewa, Lebiediewa, Popowa i całej plejady innych profesorów wyższych uczelni teologicznych. Cała prawie literatura teologiczna i kościelna w Rosyi — to dzieło nie duchowieństwa, które bardzo słaby procent wśród uczonych i profesorów reprezentuje, lecz — właściwie uczonych świeckich, zajmujących katedry w akademiach duchownych i niektórych profesorów uniwersytetów rosyjskich. Zatem panują tam stosunki o wiele różniące się od naszych, katolickich, gdzie cały obowiązek rozwoju piśmiennictwa teologicznego na barki duchowieństwa spada. Co do treści prac teologicznych rosyjskich, to na podstawie przeglądu *Litterarum* skonstatować można prawie zupełny brak prac systematycznych i całkowitych z zakresu właściwej teologii dogmatycznej i filozofii, za to obfituje piśmiennictwo rosyjskie w poważne prace egzegetyczne, historyczne, patrystyczne. Pierwsze wieki Kościoła — oto ulubiony teren dociekań pisarzy rosyjskich. W tych pracach znajdziemy niejeden cenny przyczynek do ogólnej skarbnicy teologicznej; co jednak niemile w nich razi czytelnika katolickiego, to prawie zupełne zapoznawanie źródeł katolickich; dowierzanie raczej protestanckim, a następnie chwiejność i niezdecydowanie, kiedy chodzi o skonstruowanie jakiegoś syntetycznego sądu. Zdradza to brak wyobrażenia t e o l o g i c z n e g o i stałych przekonań u pisarzy rosyjskich, przy całej ich erudycyi patrystycznej lub historycznej. W każdym bądź razie piśmiennictwo rosyjskie kościelne przedstawia zbyt poważny czynnik w ogólnym rozwoju wiedzy teologicznej, by je można było bezkarnie ignorować nawet na Zachodzie. I stąd wielka zasługa *Litterarum*, że uczonym europejskim, przedewszystkiem zaś katolickim teologom, służy za wiernego i doświadczonego przewodnika w ten kraj dopiero co dla nich odkrywający się. Fachowe też czasopisma zachodnie z uznaniem i wdzięcznością powitały nowe wydawnictwo.

Piśmiennictwo teologiczne u innych narodowości słowiańskich wschodniego wyznania prawie nie istnieje, i sprawozdania z literatury serbskiej i bułgarskiej ograniczają się do zanotowania kilku anemicznych pisemek i w nich kilku pobieżnych artykułów. Niema w tych krajach ani wyższych szkół teologicznych, ani wybitnych uczonych. Jeśli dodamy nawiasem, że i w greckim kościele piśmiennictwo teologiczne jakościowo i ilościowo słabo się przedstawia, to wypadnie

w rezultacie, że dziś, pragnąc się zapoznać z teologią wschodniego Kościoła, należy przedewszystkiem zwrócić uwagę na prace rosyjskie.

Katolickie narody słowiańskie także nie mogą się poszczycić zbyt wielkim plonem na niwie samodzielnych prac teologicznych. Pochodzi to stąd, że my uczestnicząc ściśle w życiu religijnem dalszego Zachodu, zadawalniamy się gotowemi pracami uczonych francuskich i niemieckich i łacińskimi podręcznikami, podczas gdy taka np. Rosya musi wystarczać sama sobie. Między katolickimi Słowianami prym co do ilości prac teologicznych dzierżą Czechy, po nich Polska, podczas gdy inne kraje prawie nic nie przynoszą. W Czechach pierwsze miejsce należy się pracom biblijnym, i z tej dziedziny *Litterae,* mogły przytoczyć dość pokaźny katalog kilkuset książek, broszur i artykułów za jedno pięciolecie. Poczem następują prace z zakresu popularnej apologetyki. W Polsce, przeciwnie, prace egzegetyczne ustępują na plan ostatni, podczas gdy prace z historyi kościelnej wysuwają się na czoło naszej twórczości i utwory ks. biskupa Likowskiego, dr. Abrahama, księży Szcześniaka i Załęskiego i niemało pomniejszych prac, oto nasz dorobek z ostatnich czasów. Z innych dziedzin omówiono prace ks. Nowowiejskiego (liturgisty), ks. arcybiskupa Bilczewskiego, zmarłego ks. M. Morawskiego, p. Zukowskiego, Gabryla i wielu innych pisarzy. W każdym razie konstatujemy ze smutkiem, że nie możemy się wykazać takim dorobkiem teologicznym, ani zająć wśród narodowości słowiańskich takiego miejsca, jakieby nam się należało ze względu na naszą liczebność i zaszczytną przeszłość naszej kultury katolickiej. Wystawa naszego dorobku wobec Europy we wszechsłowiańskiem czasopiśmie powinna dodać bodźca młodym siłom do intenzywniejszej i samodzielnej pracy na zapuszczonej u nas niwie teologicznej.

W redagowaniu *Litterarum* biorą udział teolodzy różnych krajów. Działy polski, czeski, chorwacki, słowieński posiadają własnych referentów. Byłoby do życzenia, aby wszyscy autorowie czy nakładcy polscy posyłali odnośne utwory do oceny albo wprost do Redakcyi, albo referentowi działu polskiego. Upoważnieni jesteśmy do oświadczenia, że Redakcya z wdzięcznością przyjmie i gotowe recenzye i autoreferaty polskich teologów. Nieprzyjemnie razi polskiego czytelnika i to, że czytając na okładce *Litterarum* tytuły kilkudziesięciu czasopism teologicznych, niemieckich, francuskich, rozmaitych słowiańskich, nawet kilku greckich, przysyłanych Redakcyi w zamian za *Litterae*, nie spotyka się ani jednego z polskich wydawnictw kościelnych,

któreby nadsyłano pod tymi warunkami. Czy to tylko przypadek, czy też jakaś obojętność względem dobrej sprawy?

Oprócz głównej części bibliograficznej, *Litterae* coraz bardziej rozszerzają dział drugi, poświęcony roztrząsaniu ze stanowiska katolickiego kwestyi teologicznych, stanowiących przedmiot sporów między teologami obydwóch wyznań. Szczęśliwa to myśl i wiele pożytku teologii przynieść może, ale ośmielamy się zwrócić na tem miejscu uwagę Redakcyi, że dotychczasowy sposób traktowania spornych kwestyi, wydaje się nam zbyt suchym i zbyt scholastycznym, co może zrazić niejednego teologa wschodniego, nieprzywykłego do takiej metody.

Życzymy sympatycznemu wydawnictwu jaknajszerszego przyjęcia i poparcia w naszem polskiem społeczeństwie. Zwłaszcza nasze seminarya duchowne, wobec potrzeby uwzględniania w nich teologii rosyjskiej, winnyby zapoznawać uczącą się młodzież z tem wydawnictwem, a także poprzeć je i wzbogacać pracami swoich profesorów.

Ks. X. T. J.

Z Warszawy.

(Kwiecień — wrzesień 1908 r.).

Powódź odczytów. Prelegent mankietnicki. Uniwersytet dla wszystkich. Gorszenie młodzieży. Pornografia. Powieści kryminalne. Wystąpienie władzy. Literatura teatralna. Dobre serce Warszawy. Żebracy. Złodzieje. Bandyci. Wódka. Związek katolicki.

Posypały się w poście i w miesiącach wiosennych na Warszawę odczyty, niby wielka gromada krzykliwego ptactwa. Rozgadani w ostatnich trzech latach wiecownicy, trybunowie ludu i nie-ludu i przeróżni reformatorowie ludzkości, mali, średni, wielcy, powstrzymani w rozpędzie wywrotowym przez reakcyę polityczną, musieli sobie poszukać innego upustu dla swojej wezbranej elokwencyi.

Zabrzęczały więc wszystkie sale warszawskie odczytami »bardzo mądrymi«. Bardzo mądrymi, bo rewolucya wyedukowała ogromnie Warszawę, rozbudziła w niej zamiłowanie do socyologii i filozofii.

Głównie panny stały się u nas filozofkami. One to wypełniały sale po brzegi i słuchały z niewieścią cierpliwością wykładów, których prawdopodobnie niewiele z nich rozumiało. Bo do wniknięcia w treść odczytów filozoficznych potrzeba koniecznie przygotowania fachowego w tym kierunku.

Na tle tych socyologicznych i filozoficznych odczytów odcinały się wyraźną plamą polemiczne dysputy, broniące »Dziejów grzechu« Stefana Żeromskiego, których nie cała krytyka chciała nazwać arcydziełem. Jacy wstecznicy, jacy zacofańcy! Przecież to ciężki grzech nie pokłonić się »jedynemu u nas przedstawicielowi, wyobrazicielowi współczesnego, nowego człowieka«!... Taką godność nadało autorowi »Dziejów grzechu« najmłodsze pokolenie.

Trudno walczyć z modnymi prądami chwili. Takie fermenty społeczne, filozoficzne i artystyczne muszą się wyburzyć, wytrawić i strawić same w sobie. Nie przekona ich żadna, choćby najlogiczniejsza argumentacya.

Nawet t. zw. maryawici (lud nazywa ich »mankietnikami« albo »kozłowitami«) znaleźli swojego prelegenta w osobie p. W. Wojciechowskiego, sławiącego z trybuny »świętą« Kozłowską, która »przyszła założyć religię dla ludu«.

Kim jest ta »mateczka« Kozłowska, która narobiła nam tyle biedy? Na pytanie to mogę odpowiedzieć, bo mam w domu praczkę, która zna ową Kozłowską od dziecka.

Według opowiadania mojej praczki, jest Kozłowska córką jakiegoś gajowego, zabitego w r. 1863.

Po śmierci ojca mieszkała przy matce, która była gospodynią jakiegoś rosyjskiego oficera. Mieszkała czas dłuższy w warszawskiej cytadeli, gdzie ów oficer urzędował. Po przeniesieniu pana matki Kozłowskiej do Petersburga, zostawszy bez chleba, na bruku, dzisiejsza »mateczka«, dziewczyna od urodzenia brzydka, zeszpecona bielmem na oku, była jakiś czas kelnerką w jednym z teatrzyków na Nowym Świecie, »potem chodziła z komedyantami« (wyrażenie praczki), czyli z kuglarzami, od których nauczyła się prawdopodobnie różnych sztuczek, następnie weszła w stosunki z księżmi w Nowem Mieście i odtąd zaczyna się jej karyera »świątobliwa«. Jakich sztuk użyła, aby gromadkę naiwnych księży przekonać o swojej misyi, to dotąd tajemnica.

W każdym razie dała dowód wielkiego sprytu, niezwykłej, wężowej przebiegłości, że jej się ta szczególna sztuka udała, a uwiedzeni przez nią księża dali znów dowód niesłychanej naiwności, czyli po prostu głupoty.

Pomogła jej niewątpliwie ambicya kilku księży, którzy, żądni »jeneralstwa«, przewodzenia, a nie mogąc się na zwykłej drodze dorwać do buławy, posłużyli się do tego celu jej »cudami«.

Kobieta z gminu, bez urody, brzydka, bez wychowania, bez żadnej kultury, staje się bogatą panią, co więcej, »świętą za życia«. Na krześle wnoszą ją księża do kaplicy, w pantofel ją całują, okadzają ją wonnościami. Lampki elektryczne błyskają dokoła niej (mają to być gwiazdy), lampka elektryczna świeci na jej sercu...

Nadzwyczajna karyera!

I taka bezecna szopka obałamuca ludzi. Okropnie głupim musi być człowiek-dewot, kiedy go takie sztuki kuglarskie przekonywają.

Warszawa zowie się »Syreną«, a każda *donna è mobile*, tem więcej zaś donna-syrena.

Warszawa ulega bezkrytycznie wszelkim modom, jak zresztą każde wielkie miasto. I Paryż traci głowę dla mody. Ale mody zmieniają się z każdą porą roku.

Furya odczytowa przejdzie, jak przeszło i zgasło w grodzie syrenim w ostatnich latach tyle innych entuzyazmów, zapałów i zachwytów.

Dzieckiem pieszczonem naszej »Syreny» był jeszcze zeszłego roku »Uniwersytet dla wszystkich«. Tłumnie rzucili się do tej uczelni różni głodni wiedzy — kobiet całe roje. A oto skarżył się tego roku w miesiącach letnich zarząd »Uniwersytetu« na puste sale, na zniechęcenie słuchaczów do wykładów.

Rezultat naturalny.

Tym wszystkim dyletantom, pijanym entuzyazmem chwili, zdawało się niewątpliwie, iż wystarczy posłuchać kilku, kilkunastu wykładów, by zgłębić, poznać do gruntu jakiś przedmiot. A pani wiedza to taka tyranka, że przykuwa swoich adeptów na całe lata, na życie nawet całe do ławy, do krzesła, do biurka, do laboratoryum, rozkazując im bezustannie: ucz się, pracuj, nie zrażaj się! Prawdziwy uczony uczy się ciągle, do śmierci, a im głębiej zstępuje do nieprzebranych kopalni wiedzy, tem więcej zbliża się do świadomości, że wie niewiele.

Tłumy dyletantów, tłoczące się z początku do sal Uniwersytetu dla wszystkich w nadziei nauczenia się w krótkim czasie Bóg wie czego, zmiarkowawszy, że praca naukowa wygląda inaczej, jak ją sobie przedstawiali, zrazili się do niej. »Sprzykrzyła się« im nauka, jak się zarząd skarżył.

Nie widzę powodu do lamentów z tego powodu, nauka bowiem dyletancka, powierzchowna, dorywcza nie przynosi nikomu pożytku, ani uczącemu się, ani społeczeństwu. Oddać się wyższej wiedzy powinni się tylko ci, którzy mogą jej poświęcić dużo czasu i którzy

lubią naukę, znajdują w pracy naukowej, opłacającej się rzadko materyalnie, zadowolenie i radość. Kto się uczy albo tylko dla chleba, albo dlatego, że tak nakazuje moda chwili, zawodzi się srodze. Pierwszy powiększa tylko szeregi niezadowolonego z życia proletaryatu intelligentnego, rozczarowanego w swoich nadziejach, złorzeczącego nauce, co mu nie dała upragnionego, pożądanego dobrobytu; drugi staje się rezonującym o wszystkiem, a nic porządnie nie umiejącym dyletantem, który wtrąca się do wszystkich spraw, wytwarzając wszędzie zamieszanie. Z jednego typu i z drugiego nie ma nauka żadnego pożytku.

Tych zresztą mądrości, których uczą z katedr i trybun prelegenckich różni reformatorowie, mianowani przez anarchię rewolucyjną mędrcami, niema czego żałować. Uczą oni prawie wszyscy »przewartościowania wartości«, czyli wywrócenia na nice całej przeszłości, nie tylko jej błędów i złudzeń, lecz także jej spuścizny dodatniej. Boć każda epoka, błądząc, łudząc się, rozczarowując, szukając dróg prawdy, zostawia po sobie jakieś plusy, które powinny przejść do trwałej skarbnicy doświadczeń ludzkich, których nie wolno cisnąć pomiędzy śpleśniałe rupiecie. Rzym stworzył cnotę obywatelską, *virtutem romanam*, wieki średnie stworzyły honor, wysokie poczucie godności ludzkiej, czasy nowsze patryotyzm, pominąwszy już biały kwiat kultury chrześcijańskiej, etykę. I uczucia religijne, wszystkich czasów kwiat najwonniejszy, należą do tych świętości człowieka, których nie wolno dotykać lekkomyślnym wywrotowcom.

A właśnie te skarby ludzkości, zdobyte w bólu i w walce straszliwej usiłuje obalić warszawska mądrość rewolucyjna, stawiając na ich miejsce doktryny materyalistyczne i nienawiść głodnych do sytych.

Wsłuchując się w tę nieustającą ani na chwilę wrzawę wywrotową, doznaje się wrażenia, jak gdyby wszystkie rozdźwięki i zgrzyty życia, wszystkie skowyty rozpętanych z oków religii, prawa i tradycyi pożądliwości ciała, spadły na Warszawę. A cały ten rejwach atakuje przedewszystkiem, systematycznie młodzież, męzką i żeńską. Są na pensyach żeńskich profesorowie, popularyzujący w sposób dogmatyczny hipotezę Darwina o pochodzeniu człowieka i wszystkie doktryny materyalistyczne, zohydzający rozmyślnie, świadomie Kościół rzymsko-katolicki, są, którzy trudnią się rozmyślnie zaciekłą propagandą płaskiej bezwyznaniowości i t. zw. pełni życia czyli wolnej miłości. Dzieje się to ciągle mimo straszliwej, krwawej lekcyi rewolucyi.

Ze wszystkich stron atakują przewrotność, nierozum agitatorów i chciwość handlarska naszych dzieci. »Osobiści wrogowie Boga«,

zwący się wolnymi myślicielami i bezwyznaniowi pedagogowie burząc w ich sercu religię, nieuczciwi księgarze brukają ich dusze.

Powodzenie opowiadań Sherlocka Holmesa płoszy sen z powiek różnych fabrykantów brudnej bibuły. Wynajęli oni sobie trzeciorzędnych skrybów i każą im sklejać »straszliwe« powieścidła, im straszliwsze, tem lepsze. Wszystkie wystawowe okna mniejszych księgarni i wszystkie kramiki ulicznych przekupniów przelewają się literaturą »senzacyjną«. Nasi skrybowie prześcigują się w malowaniu najwyszukańszych, najwyuzdańszych zbrodni i brudów pornograficznych.

Brud ten wsiąka powoli w naszą młodzież. Widzieliśmy w trzech latach rewolucyjnych chłopców czternastoletnich, perorujących na trybunach przeciw rodzicom, biorących udział w krwawych zamachach politycznych i rozbojach bandyckich, a obecnie skarżą się lekarze, że choroby sekretne grasują pomiędzy młodzieżą szkół średnich.

Nadeszła chwila, kiedy trzeba pomyśleć poważnie o oczyszczeniu młodzieży z tych brudów. Obowiązkiem to rodziny i szkoły, do których dziecko należy. Niechże się rodzina i szkoła pospieszą, aby ich ktoś inny nie ubiegł w tem szlachetnem zadaniu. Bo oto czytamy (we wrześniu) następujący komunikat:

»Pod przewodnictwem gubernatora warszawskiego, barona Korfa, odbyła się specyalna narada do opracowania środków umoralnienia młodzieży, uczęszczającej do szkół średnich zarówno rządowych, jak i prywatnych w gubernii warszawskiej.

W naradzie tej wzięły udział następujące osoby: naczelnik warszawskiej dyrekcyi naukowej, dyrektor gimnazyum pułtuskiego, dyrektor żeńskiego progimnazyum w Łowiczu, inspektor szkół ludowych IV okręgu, dyrektorowie szkół prywatnych we Włocławku, Kutnie i Skierniewicach, naczelnik kancelaryi gubernatora, oficer żandarmeryi przy gubernatorze, członek urzędu do spraw włościańskich, policmajster Włocławka i wszyscy naczelnicy powiatów.

Dla umoralnienia młodzieży narada uchwaliła środki następujące: Ustanowić dozór nad noszeniem przez uczniów uniformu, według przepisanego wzoru. Czuwać, aby uwolnieni ze szkół uczniowie nie nosili uniformu, co do czego przełożeni powinni zawiadamiać policyę. Wszycy uczniowie powinni mieć bilety, które muszą okazywać policyi. Zabronić palenia tytoniu w miejscach publicznych i na ulicach oraz noszenia lasek. Nie pozwalać uczniom spacerować po ulicach grupami więcej, niż po 3-ch. Ograniczyć spacery po mieście, według uznania władz szkolnych. Zabronić uczniom uczęszczać na wyścigi, regaty i różnego

rodzaju widowiska sportowe. Zabronić bywania w barach, kabaretach i kawiarniach z bilardami. Zezwolić na bywanie w restauracyach I i II rzędu tylko z rodzicami i to w wypadkach wyjątkowych. Zabronić bywania na dworcach kolejowych bez osobnego piśmiennego pozwolenia władzy szkolnej. Uczęszczać do teatrów, cyrków i na koncerty wolno tylko za pozwoleniem władzy szkolnej. Zwiedzanie illuzyonów dozwala się tylko w ustanowione godziny. Bywanie w domach rozpusty jest bezwarunkowo zabronione. Uczęszczanie na różnego rodzaju prelekcye, odczyty — dozwala się tylko z wiedzą władzy szkolnej, to samo co do klubów i resurs. Pożądane jest oddać do użytku młodzieży szkolnej oddzielne ślizgawki pod kontrolą władz szkolnych. Uczniowie, posiadający w miastach blizkich krewnych, mogą zamieszkiwać na stancyach za pozwoleniem władz szkolnych pod warunkiem prawomyślności politycznej właścicieli stancyi. Zabronić uczniom uczęszczać do publicznych bibliotek i czytelń.

Powyższe postanowienia będą zakomunikowane wszystkim zakładom naukowym i policyi w celu należytego ich przestrzegania i wykonania«.

Pewnej części naszych »postępowych« pedagogów, którzy wszczepiali w latach rewolucyjnych w gołowąsych chłopców »uczucia wolnościowe«, nie będzie się to »ograniczenie indywidualności« oczywiście podobało. Zapominają oni, że wszystkie społeczeństwa cywilizowane, cywilizowańsze, »postępowsze« od nas, nadzorują zachowanie się młodzieży szkolnej. Nigdzie nie wolno »uczniakom« odgrywać roli osób dorosłych: palić publicznie tytoniu, odwiedzać kawiarni, szynków, domów publicznych, chodzić do teatru, na widowiska, na odczyty bez pozwolenia rodziców albo władzy szkolnej. Pominąwszy owo chodzenie młodzieży najwyżej trójkami i ową prawomyślność polityczną osób, utrzymujących internaty i t. zw. stancye (pomysł czysto policyjny), niema w komunikacie zjazdu różnych przedstawicieli władzy nic takiego, coby zasługiwało na potępienie.

Ale jest w nim policzek, wymierzony rodzinie i szkole. Bo jakżeż spełniały rodzina i szkoła swój obowiązek względem dzieci, kiedy im władza polityczna i policyjna, do których kompetencyi umoralnianie młodzieży właściwie nie należy, muszą ten obowiązek przypominać? Dotkliwy to policzek. Niechże więc teraz rodzina i szkoła czynią, co jest ich powinnością. Pierwsze płomienie wolnościowe przygasły, zostało po nich mnóstwo popiołu rozczarowań — ludzie wracają powoli do rozumu, spokojniejąc — czas wrócić do uporządkowania wielu pojęć,

które ogólna anarchia zwirowała. Wszakże chełpi się nowoczesna sztuka wychowawcza, że »posiada wszystkie środki, potrzebne do wychowania zdrowych moralnie i fizycznie pokoleń«. Niechże więc pokaże, że to twierdzenie nie jest czczą przechwałką.

Niechże nauczy młodzież przedewszystkiem bojaźni Bożej. Starą tę, jak ludzkość, receptę, nazwą postępowi pedagogowie wstecznictwem, ale bywają wskazania, których najdłuższy przeciąg czasu nie zmoże, które nie przestaną być nigdy nowemi. I miłość i głód trącą myszką lat tysięcy, a mimo to są zawsze młode i świeże.

Człowiek jest kreaturą zbyt słabą, ułomną, ograniczoną, by mógł być sobie sam drogowskazem, kierownikiem. Ilekroć powierza się własnym instynktom i pożądliwościom, nieograniczonym przez religię i prawo, ilekroć chce być mądrzejszym od Boga, staje się albo potworem albo ślepym głupcem. Wie o tem historya.

Mówi pycha rozumu: wystarcza wiedza i filozofia... Ale wiedza jest dotąd jeszcze w wielu razach analfabetą a systemy filozoficzne zmieniają się z każdem pokoleniem. Co dziś było prawdą, staje się jutro przesądem.

Jedyna bojaźń Boża trwa bez zmiany — zmieniają się tylko jej formy — jedynie ona posiada moc powstrzymania drapieżności, drzemiącej w każdym człowieku, bo ona jedna daje oprócz nakazów pociechę i ukojenie.

Widzę, jak się nasi wolnomyśliciele uśmiechają urągliwie. Niech im to będzie na zdrowie. »Tęższe« głowy buntownicze od naszych dyletantów wolnomyślicielskich zna historya, a te tęgie głowy schylały się wkońcu kornie przed tajemnicą świata i przyznawały się do swojej niemocy. Słynny lekarz francuski XVIII stulecia, Tronchin, który był przy śmierci Woltera, złego ducha nowych czasów, mówił: Nie życzę nikomu umierać w tak straszliwej trwodze, w jakiej konał ten bluźnierca.

A potem niech pedagogowie pomyślą o przywróceniu powagi rodzicielskiej. Sami na tem skorzystają. Przywróciwszy »respekt« dla starszych, nie będą tak poniewierani przez samowolę »uczniaków«, jak są obecnie. Nie nauczyciel dziś rozkazuje w szkole jeno uczeń. Zawód nauczycielski nie był nigdy rozkoszą, a od pewnego czasu bywa u nas dość często nieznośnym ciężarem, bólem.

Wkońcu... Niechby pedagogowie wskazywali swoim uczniom literaturę właściwą. Bo cóż młodzież czerpie z współczesnych powieści i nowel? Brud cieknie strugami z tej literatury »pięknej«, same zgrzyty

i rozdźwięki życia wpadają do jej wrażliwej duszy, cynizm grubego, szynkownianego pesymizmu sączy się w jej serce. Głównie teatr współczesny uwziął się na to, aby obrzydzić ludziom uczciwość rodziny i t. p. »przesądy«. Trójkąt małżeński, wiarołomstwo, cynizm zblazowanych *viveur'ów*, beznadziejny pesymizm katorgi i gorzałki (bez gorzałki niema sztuki rosyjskiej), — oto tematy, jakie teatry warszawskie popularyzują na swoich scenach. Bezustanna apoteoza grzechu i płaczliwej niemocy rozbitków życiowych... Nawet osławiony opryszek i rzezimieszek francuski, Arsaniusz Lupen, doczekał się na scenie warszawskiej tryumfu w walce z Sherlokiem Holmesem.

Toniemy od lat kilku w takiej ogromnej kałuży wszelakiego brudu, iż dziw, że nie zatraciliśmy jeszcze wszystkich pojęć etycznych. Mamy w sobie widocznie jeszcze duży zapas uczciwości i dobroci z czasów dawniejszych, kiedy te wszystkie ataki na naszą rodzinę, na nasz honor, na naszą uczciwość nie zdołały nas zgorszyć.

Broni Warszawę jedna zaleta, dziś zwana powszechnie wadą — dobre serce.

Warszawa ma dobre serce. Wiedzą o tem zakłady dobroczynne, wiedzą ochrony, szkoły, szkółki i żebracy, wiedzą wszyscy ubodzy i wydziedziczeni. Krocie wydaje corocznie »Syrena« na swoich biedaków. Gdy słonko wiosenne dobrze przygrzeje, wysyła ona tłumy dzieci na letnie mieszkanie, do małych miasteczek, do wiosek, do lasów, na pola. Cały ten drobiazg trzeba przyodziać, zaopatrzyć na drogę w różne drobiazgi, oddać go pod opiekę ochroniarek. O wszystkiem tem pamiętają starsze »Kolonie letnie« i młodsze »Niedole dziecięce« i »Towarzystwo opieki nad dziećmi«.

Nie można dosyć nadziękować tym, którzy się zajmują opieką nad ubogiemi dziećmi. Kwiat to serca, wszystko zaś, co serce stwarza, może być niepraktyczne, ale jest zawsze ładne.

Cześć Warszawie za jej dobre serce...

Dobre serce wyzyskuje zwykle zła lub próżniacza przebiegłość. Sztukę tę potrafią wybornie żebracy, których cały legion włóczy się jeszcze ciągle po ulicach Warszawy, a których dziewięć dziesiąte wyciągają rękę nie z nędzy, ale ze wstrętu do pracy. Daje się żebrakowi kilkanaście groszy i widzicie, jak rusza natychmiast do monopolu (rządowy sklep wódki) i wychodzi z niego wkrótce z buteleczką. Dużo takiej kanalii wytworzyła rewolucya.

Mimo iż się policya i sądy wojenne zabrały tego roku bardzo ostro do oczyszczenia kraju z robactwa zbrodni, nie ustają dotąd

jeszcze kradzieże i rozboje bandyckie. Warszawa roi się ciągle od zuchwałych złodziejów. Codziennie wślizguje się do mieszkań prywatnych jakiś łotrzyk i chwyta, co się da schwycić. Ten przychodzi niby z kwitem od kupca, ów z jakimś sprawunkiem, trzeci opowiada się krawcem, szewcem, naprawiaczem dzwonków elektrycznych i t. d. Wszyscy dzwonią zuchwale do drzwi, a gdy służba otworzy, chwytają ją za gardło.

I bandytyzm nie ustał jeszcze na prowincyi mimo pracującej bezustannie szubienicy. Ale są to już resztki puścizny po rewolucyi. Katorga i szubienica przerzedziły szeregi czeladzi piekła.

Dużą rolę w demoralizacyi ludu odgrywa oczywiście wódka, której całe jezioro wypijają małe miasta i wieś. Rachunek sklepów monopolowych w gubernii lubelskiej wykazuje, iż w miesiącu styczniu r. b. sprzedały one wódki za 322.535 rb. Powiat lubelski wypił gorzałki w jednym miesiącu za 66.000 rb., powiat biłgorajski za 30.000, powiat hrubieszowski za 17.000, powiat zamojski za 41.000 i t. d. Przodem idą te powiaty, w których gospodarują robotnicy fabryczni, towarzysze. Gawędzi się naturalnie lepiej o polityce przy kieliszku, pomstuje się głośniej na burżujów, gdy się z czupryny kurzy.

Takie cyfry, jak gubernia lubelska, wykazują niewątpliwie także inne gubernie, a okręgi robotnicze daleko większe. Miliony rubli zabiera corocznie naszemu robotnikowi i ludowi gorzałka, a w gorzałce czai się zawsze dyabeł grzechu, *in aqua vita rabies.*

Z tym dyabłem, który podszczuwa lud do grzechu, a bardzo często do zbrodni, walczy skutecznie Związek katolicki, *la bête noire* nasamprzód narodowej demokracyi, a obecnie »kultury«, czyli warszawskiego bezwyznaniowego postępu. Czytając polemikę postępowców ze Związkiem katolickim, zdawałoby się, że Zw. kat. jest nowem stronnictwem politycznem. Niech na ten zarzut odpowie następujący obrazek wzięty z życia.

Niedziela, po sumie, na wsi.

W dużej izbie na ławach siedzą chłopi i kilka kobiet. Przy stole zajęli miejsca: proboszcz, właściciel majątku, urzędnik kolei żelaznej i trzech chłopów.

Ci na ławach, to członkowie Związku katolickiego, ci przy stole, to zarząd.

Proboszcz odmawia modlitwę, następnie załatwia prezes porządek dzienny.

Po pierwsze: chłopi z jakiejś kolonii proszą o zapomogę, o wsparcie dla swoich ubogich dzieci. Dyskusya za i przeciw. Większość głosów przyznaje ową zapomogę.

Po drugie: jakiś teść i jakiś zięć kłócą się z sobą ku zgorszeniu wsi, ku szkodzie rodziny. Kłócą się naturalnie o pieniądze, o alimenta, jak zwykle wiejscy teściowie i zięciowie. Takie spory bywają gratką dla żydów i pokątnych doradców. Szczują oni na siebie przeciwników, pchają ich do sądów — sprawa wlecze się długo, rujnuje obie strony materyalnie, a bardzo często podnieca w nich najbrutalniejsze namiętności. Zbrodnią, jak wiadomo kończą się niejednokrotnie takie rodzinne spory chłopskie.

Nie chce tego Związek katolicki, którego celem jest podniesienie swoich członków do wyżyn etycznych. Przeto wzywa poważnionych, teścia i zięcia, przemawia do ich serca, duszy, sumienia, przypomina im obowiązki chrześcijanina, katolika, i — zięć obejmuje teścia za kolana, przeprasza, obiecuje poprawę.

Po trzecie: któryś z członków spalił się. Trzeba biedakom pieniędzy. Związek uchwala jednogłośnie dostarczyć gorzelcowi zboża na zasiew, drzewa na chałupę, słomy na pokrycie dachu.

Oto »niebezpieczna dla kultury« działalność Związku, jak głoszą jego przeciwnicy. Szkodliwem dla kultury ma być umoralnianie ludu, którego duszę dziewiczą atakują ze wszystkich stron doktryny eksperymentalne, szkodliwemi dla kultury mają być dzieła dobroci, miłosierdzia i zgody.

Nie o to oczywiście idzie »kulturze«. Idzie jej o to, że Związek katolicki nie uznaje bożyszcza naszych najnowszych oświeceńców, lichych przekładów encyklopedystów francuskich, wszechwładnego, jedynie nieomylnego »rozumu«.

A panom czynnym, zawodowym politykom idzie o to, iż obawiają się wpływu Związku katolickiego na politykę.

Na pierwszą obawę niema sposobu. Nikt nie przekonał nigdy fanatyków bezwyznaniowości. Przekonywa ich tylko życie, szkoła zaś życia potrzebuje do wszystkiego dłuższego czasu.

Na obawę drugą jest sposób bardzo prosty: niech się panowie politycy nie przeciwstawiają w kraju katolickim katolicyzmowi, a będą spali spokojnie na oba uszy. Nikt im w drogę nie wejdzie, bo co innego polityka, a co innego działalność społeczno-religijna. Obie mogą iść obok siebie równolegle, zgodnie.

Związek katolicki rozwija się bardzo pomyślnie, posiada już w kraju przeszło 300 związków parafialnych. Dyecezya płocka i sejneńska są już zorganizowane, dyecezye sandomierska, kielecka i kujawsko-kaliska w połowie. Z chwilą, gdy trzecia dyecezya będzie gotowa, co nastąpi wkrótce, odbędzie się walne zebranie delegatów z całego kraju w celu wyboru stałego komitetu centralnego na miejsce tymczasowego organizacyjnego. W skład zarządu obecnego centralnego komitetu wchodzą pp.: Juliusz hr. Ostrowski, Stefan Godlewski, Konstanty Kossakowski, Jan Jeleński (kooptowany), Teodor Jeske-Choiński i ks. prałat Szcześniak, jako delegat arcybiskupi. Zygmunt hr. Wielopolski, Michał hr. Sobański, Władysław Koziakiewicz, ks. prałat Skarzyński, pp. Czechowski, Sieradzki i Rytel są najczynniejszymi członkami centralnego komitetu. Wszyscy ci komitetowi, zostający w Związku od początku jego istnienia, ustąpią z chwilą zorganizowania się trzeciej dyecezyi innym pracownikom, wybranym przez delegatów dyecezyalnych.

Teodor Jeske-Choiński.

Druk ukończono 3 października 1908 r.

ANATOL FRANCE W SPRAWIE JOANNY D'ARC.

Do najbardziej dziwnych postaci historycznych należy bez wątpienia Joanna d'Arc, Dziewica Orleańska, jak ją powszechnie we Francyi a potém w innych krajach nazywano. Jej wystąpienie na widownię historyczną było tak niezwykłe, czyny, których dokonała tak niespodziane, że współcześni nie mogli w nich upatrywać czynników czysto ludzkich, naturalnych — ale przypisywali je już to interwencyi Bożej, jak to czynili stronnicy Delfina, bądź sprawie złego ducha, jak to rozgłaszali Anglicy i partya burgundzka.

Już po odsieczy Orleanu imię Joanny było na wszystkich ustach, po koronacyi Karola w Reims coraz nowe dziwy o Joannie opowiadano. Dziewica Orleańska stawała się postacią niemal fantastyczną i jako postać legendarna przeszłaby może do historyi, gdyby nie ostatnie wypadki jej życia, jej więzienie, a zwłaszcza proces w Rouen, który wraz z późniejszym procesem rehabilitacyjnym dostarczył tak wiele materyału do jej życiorysu, zwłaszcza do historyi jej życia wewnętrznego, że postać jej można odtworzyć z taką dokładnością, jak rzadko którą postać historyczną.

Mimo to przez długie czasy, bo aż do połowy zeszłego wieku — postać Joanny występuje w historyi dość mglisto, otoczona aureolą bohaterstwa i świętości, w którą wierzyli Francuzi[1] (z bardzo ma-

[1] F. H. Dunand: *La Sainteté de Jeanne d'Arc et l'histoire* w *Études* z lipca, sierpnia i września 1908.

łymi wyjątkami) — wierzyli także inni, zwłaszcza Niemcy, kruszący nieraz kopię w obronie Joanny przeciw samymże Francuzom [1].

Dopiero od połowy XIX wieku zaczynają się na wielką skalę badania także nad wewnętrzną stroną życia Joanny i powstają liczne, nieraz bardzo obszerne, prace historyczne o Dziewicy Orleańskiej.

Okazyą tego ruchu historycznego było ogłoszenie drukiem aktów obu procesów, z inicyatywy Towarzystwa historycznego francuskiego *(Société de l'histoire de France)*. Wydawnictwa podjął się uczony paleograf Jul. Quicherat. Od roku 1840—49 ogłosił 5 tomów pod tytułem *Procès de condamnation et de réhabilitation de Jeanne d'Arc*, dzieło bardzo cenne, niezbędne dla każdego badacza historyi Joanny, mimo pewnych braków w wydawnictwie [2].

Od ogłoszenia tych dokumentów prace historyczne nad życiem Joanny postępują bardzo raźno i to w dwu rozbieżnych kierunkach. Historycy wierzący widzą w dokumentach nowe dane na stwierdzenie tradycyjnej świętości Dziewicy Orleańskiej, historycy niewierzący pracują nad »przemienieniem« dotychczasowej historycznej Joanny. Polemika, jaka się wywiązała między dwoma przeciwnymi obozami przyczyniła się do głębszego poznania i dokładniejszej analizy źródeł odnoszących się do życia Joanny d'Arc, dostarczyła katolickim pisarzom nowych dowodów historycznych na stwierdzenie cnót i świętości Dziewicy Orleańskiej, a tem samem ułatwiła zabiegi w Rzymie o beatyfikacyę Joanny.

Na podstawie dawnego kultu Joanny zwłaszcza w Orleanie, gdzie co roku 8 maja obchodzono pamiątkę odsieczy, na podstawie tradycyi o jej świętości, tradycyi podtrzymywanej od połowy XV wieku przez rozmaitych kronikarzy, teologów, kaznodziejów

[1] M. George Goyau: *Jeanne d'Arc devant l'opinion allemande*. Paris 1907.

[2] J. Ayroles w *La vraie Jeanne d'Arc*, tom I. Paris 1890. Wytyka wydawnictwu opuszczenie niektórych dokumentów bardzo ważnych a zamieszczenie dokumentów bez znaczenia, wydawcy zaś fałszywy sąd o znaczeniu pamiętników (X—XI) i błędy przy przepisaniu rękopisów (tom II, str. 501—506).

i historyków, sprawę beatyfikacyi Joanny poruszył w r. 1869 biskup orleański Dupanloup. Z okazyi uroczystości majowej, na którą zaprosił 3 arcybiskupów i 9 biskupów, zwrócił się do Piusa IX z prośbą, by polecił Kongregacyi Obrzędów zbadać sprawę Joanny d'Arc i wydać oświadczenie, że Dziewica Orleańska w heroicznym stopniu posiadała cnoty chrześcijańskie i dlatego zasługuje, żeby ją policzono między błogosławionych.

O to samo prosił następca jego w roku 1886 imieniem biskupów całego prawie świata chrześcijańskiego.

Wskutek tych zabiegów po przedwstępnych procesach biskupich, przeprowadzonych w kilku dyecezyach francuskich, wyznaczył Leon XIII 27 lutego 1894 komisyę dla sprawy Joanny d'Arc, przez co Dziewica Orleańska uznaną została jako *Venerabilis*, a proces apostolski w jej sprawie rozpoczęty.

Po dziesięciu latach rozmaitych badań przeprowadzonych w trzech dyecezyach francuskich, po formalnem uznaniu ich ważności przez Rotę rzymską, po dyskussyach o heroiczności cnót Joanny w Kongregacyi Obrzędów (zarzutów dostarczały akta obu procesów, z których ułożono 26 stron in folio objekcyi) w grudniu 1899, w marcu 1903 i w obecności papieża w listopadzie tegoż roku, zakończyła się pierwsza część procesu 6 stycznia 1904 r., dekretem Piusa X o heroiczności cnót Dziewicy Orleańskiej, przyrównanej pod względem męstwa do Debory, Jaheli, Judyty [1], a przyświecającej tak chrześcijaństwu, jak gwiazda przewodnia trzem królom, w których uroczystość dekret został ogłoszony.

Pozostało badanie zewnętrznej sankcyi tej świętości, t. j. badanie cudów, które obecnie jest na ukończeniu, a jak zapewniają z dobrego źródła, pomyślnie zostanie rozwiązane.

Po rozstrzygnięciu ostatniego pytania *An... tuto procedi possit ad solemnem Venerabilis S. D. beatificationem?* przyczem

[1] *Acta Sanctae Sedis*, tom XXXVI, str. 429—32. Papież orzekł: »Ita constare de virtutibus theologalibus Fide, Spe, Caritate in Deum et in proximum, ac de cardinalibus Prudentia, Iustitia, Fortitudine, Temperantia earumque adnexis Ven. Servae Dei Ioannae d'Arc in gradu heroico, in casu ad effectum de quo agitur, ut procedi possit ad ulteriora, hoc est ad quattuor miraculorum discussionem«

głównie idzie o względy natury zewnętrznej (między innemi także o względy polityczne) spodziewać się można dekretu pozwalającego uważać i czcić Joannę d'Arc jako błogosławioną.

Jeżeli już ogłoszenie drukiem procesów z Rouen przyczyniło się do wzrostu literatury historycznej o Joannie, to zabiegi katolików o jej beatyfikacyę musiały tem bardziej zainteresować opinię francuską. Odtąd sprawa Dziewicy Orleańskiej stała się dla wielu jeżeli nie wprost kamieniem obrazy, to przynajmniej rzeczą wielce kłopotliwą, zwłaszcza, że sprawa świętości Joanny łączy się u niej z posłannictwem jej względem Królestwa Francuskiego.

Najgłówniejszym faktom z życia Joanny nie można zaprzeczyć, i o to się nie spierano, za to mnożyły się próby takiego ich oświetlenia, żeby wszystko co katoliccy pisarze uważają w jej historyi za czynniki nadprzyrodzone, sprowadzić do poziomu rzeczy wprawdzie niezwykłych i wyjątkowych, ale czysto naturalnych. Próbował już tego sam wydawca aktów procesu Quicherat w *Aperçus nouveaux sur l'hist. de Jeanne d'Arc*, próbował Michelet, Henri Martin, Luce i inni mniej więcej tą samą metodą t. j. wykazywaniem w Joannie jakiegoś wyższego stanu psychicznego, jakiejś intuicyi, entuzyazmu, twórczej genialności, która z prostej dziewczyny wiejskiej urobiła bohaterkę narodową [1]. Znaczenia historycznego Joanny dla Francyi długo nie obniżano, w ostatnim dopiero czasie pojawiła się próba i w tym kierunku.

Podjął się tego niewdzięcznego zadania Anatol France, w dwutomowem dziele *Vie de Jeanne d'Arc* [2].

Już to, że powieściopisarz zabrał się do pracy historycznej i wybrał sobie za temat Joannę d'Arc, było pewną sensacyą, większą sensacyę wywołało oczywiście samo dzieło i portret Joanny w niem skreślony. Wielbiciele France'a pospieszyli z komplemen-

[1] *Si poésie veut dire création, c'est là sans doute la poésie suprême*, tak streścił Michelet swoje zapatrywanie na zjawiska psychiczne w życiu Joanny.

[2] Tom pierwszy po długiej przedmowie (83 str.) opowiada historyę Joanny do koronacyi delfina włącznie (str. 553), tom drugi dalsze jej dzieje do procesu rehabilitacyjnego, str. 483. Przy końcu zamieszczone cztery dodatki

tami nie pozbawionymi pewnej żenady i zaambarasowania, z kół katolickich i nacyonalistycznych podniosły się głosy oburzenia. Zaambarasowanie wielbicieli France'a pochodziło stąd, że zamiast dzieła historycznego otrzymali coś w rodzaju powieści historycznej, ludzie przeciwnego obozu oburzali się, że z bardzo szerokiego tła wyszedł obraz, który na karykaturę Joanny wygląda. Nie poznają w nim Dziewicy Orleańskiej, ale jakąś inną Joannę; nie bohaterkę narodową ale jakąś głupkowatą histeryczkę; nie świętą, ale poczciwą ograniczoną istotę, która pod wpływem hallucynacyi prawi niestworzone rzeczy i staje się bierną, smutną igraszką w rękach kleru i partyi trzymającej z Delfinem, wyzyskującej niektóre chwalebne porywy serca dziewiętnastoletniej wieśniaczki z Domrémy, żeby nią pokierować dla swoich celów.

Z gruntowniejszą krytyką tego oryginalnego dzieła wystąpił kanonik F. H. Dunand w pracy *La vie de Jeanne d'Arc de M. Anatole France et les documents*, Paris 1908. »Uczony kanonik« — jak go A. France w swej przedmowie nazywa — zajmuje się już od dwudziestu lat źródłami do historyi Joanny. W latach 1898—99 wydał 3 tomy p. t.: *L'histoire complète de l'heroine*. Później wydał *Études d'histoire et de critique sur Jeanne d'Arc*, za co otrzymał w 1904 r. uznanie Akademii francuskiej.

W krytyce dzieła A. France'a nie wdaje się kanonik Dunand w szczegóły, wytyka mu tylko trzy zasadnicze błędy, mianowicie że przedstawia Joannę jako osobę ulegającą stałej hallucynacyi, jako przecenianą bohaterkę, wreszcie jako heretyczkę, krzywo przysiężną, wracającą do dawnych grzechów. Metodę krytyczną A. France'a nazywa »krytyką niezależną«, w której jest coś z krytyki na sposób francuski, więcej na sposób amerykański, wiele bujnej fantazyi, swego widzi mi się, bardzo wiele śmiałości, słowem metodą literacką *à coups de pistolet*. W szczegółach wytyka mu i udowadnia, że dokumentów świadczących za Joanną nie uwzględniał, że opierał się tylko na aktach procesu potępiającego, a i te w razie potrzeby przekręcał, że opierał się także na źródłach fałszywych, że wreszcie dla wykazania, iż Joanna w ostatniej chwili przed śmiercią zaprzeczyła wszystkiemu, czego

przedtem broniła, nie wahał się stworzyć fałszywego dokumentu i nadużyć dobrej wiary swych czytelników [1].

Ważną i charakterystyczną dla oceny dzieła A. France'a jest długa przedmowa do pierwszego tomu. Początek jej robi wrażenie, że dzieło będzie istotnie historycznem, chociaż jednostronnem, bo w wyliczaniu opracowań, na których się jego życiorys Joanny ma opierać niema wskazówek, że przestudyował także głośniejsze dzieła katolickich pisarzy. Są wprawdzie później wzmianki o nich i w samej przedmowie i w odsyłaczach samego dzieła, ale podane w takim tonie, że trudno przypuścić, żeby je na seryo traktował.

Pisarzom katolickim wogóle zarzuca [2], że »świętość« Joanny inaczej pojmują, jak ją pojmować należy; podrwiwa sobie z tych, którzy Dziewicę Orleańską uważają za cudowną patronkę Francyi, za patronkę oficerów i wzór dla wychowanków szkoły *Saint-Cyr*. Najobszerniejsze dzieło o Joannie d'Arc J. Ayroles'a *La vraie Jeanne d'Arc* w pięciu grubych tomach (1890—1902 r.), dosyć chaotyczne w ugrupowaniu materyału, uważa za próbę Jezuity przerobienia Joanny d'Arc na ultramontankę. Czy korzystał z dzieła Dominikanów Belona i Balme'a *Jean Brèhal, grand inquisiteur de France, et la réhabilitation de Jeanne d'Arc* wydanem 1893 r. na to prócz odsyłacza przy krótkiej ocenie procesu rehabilitacyi niema dowodu.

Podobnie jak opracowania, ocenia także źródła współczesne kronikarskie. Kronik współczesnych o Joannie d'Arc jest około 50. Nie brak w nich szczegółów, świadczących o zbytniej i naiwnej łatwowierności pisarzy, ale nie podobna przypuścić, żeby wszyscy zmówili się i chcieli tylko zmyślać. Mimo to A. France wszystkim opowiadaniom kronikarskim, jeśli noszą tylko jakieś zabarwienie »hagiograficzne« odmawia z góry prawdopodobieństwa [3], natomiast urozmaica nieraz opowiadanie szczegółami z kronik

[1] Dunand, l. c. str. 145
[2] *Préface* XXXVIII.
[3] *Préface* V.

skandalicznych, jak gdyby ich autorzy mieli monopol pisania prawdy.

Inną właściwością metody krytycznej A. France'a, to stosowanie swego widzi mi się tam, gdzie źródła lub zdania historyków nie są mu na rękę. Tem widzi mi się np. chce nadać autentyczność urzędową aktowi *l'information posthume* uważanemu przez krytyków między innymi także przez Quicherata za zwykły pamflet; na tej samej podstawie nie wierzy, wbrew zdaniu przyjętemu przez wielu historyków, w intrygi na dworze Delfina przeciw Joannie [1], nie wyobraża sobie, żeby Joanna mogła mieć jakieś zdolności strategiczne i drwi z fachowców wojskowych, którzy o tem na seryo pisali rozprawy [2].

Na podstawie tylko swego widzi mi się stawia także różne hypotezy i to w rzeczach zbyt ważnych, żeby w nie gołosłownie uwierzyć. Tak np. punktem wyjścia do wytłumaczenia dlaczego Joanna zgłosiła się ze swą misyą do Delfina jest przypuszczenie, że wskutek wpływów, których niepodobna bliżej oznaczyć, powstała w niej myśl przywrócenia Delfinowi jego dziedzictwa, że ma racyę do wierzenia, iż pomysł pochodu do Reims nie został jej podsunięty z Francyi [3].

Nie na innej podstawie stawia też zasadniczą dla całej historyi Joanny hypotezę o jej trwałym hallucynacyjnym stanie. Przypuszczenia podobne nieraz może bardzo interesujące z punktu widzenia powieściopisarskiego, tracą jednak interes w historyi i wyglądają na kpiny z czytelnika, jeśli się ich dokumentami nie ma zamiaru udowodnić.

A. France zabierając się do pracy historycznej nie przestał być powieściopisarzem. Talentem powieściopisarskim posługuje się przedewszystkiem w urobieniu odpowiedniego nastroju w czytelniku. Taki cel nastrojowy ma prawie cała przedmowa i prawie połowa właściwego historycznego opowiadania. Należą tu rozmaite

[1] Tamże LII.
[2] Tamże XXXVII.
[3] Tamże XLIV.

opowiadania, różne refleksye, niemające żadnego związku z historyą Joanny d'Arc — albo co najwięcej związek bardzo daleki Odczuwa to sam autor, ale utrzymuje przy końcu przedmowy, że chciał odmalować ducha, obyczaje i wierzenia XV wieku, chciał żeby czytelnik wżył się w te czasy i lepiej zrozumiał ówczesnych ludzi. Pomijając kwestyę, czy tego rodzaju zamiar nie przewyższał sił autora, i czy mu wypadało podobne tematy poruszać, należy zaznaczyć, że ton, w jakim całe dzieło jest trzymane, inne temu podmalowaniu tła każe wyznaczyć cele. Z wyjątkiem kilku stron pierwszego rozdziału o dziecięctwie Joanny d'Arc cała narracya utrzymana jest w tonie sceptyczno-ironicznym, przetkana drwinami z przedmiotów wiary i praktyk chrześcijańskich. Zestawienie w jednym rzędzie naiwnych lub mylnych wierzeń z rzeczami wiary, praktyk religijnych, uznanych przez Kościół, z grubymi przesądami i zabobonami, świętych, czczonych przez Kościół, z chorymi maniakami lub oszustami, nie pozwala chyba wątpić, że w tem wszystkiem inny był cel, aniżeli sama chęć wprowadzenia czytelnika w życie XV wieku. Ośmieszając instytucye kościelne, godził w to, co było źródłem siły Dziewicy Orleańskiej, a ją samą stara się poniżyć, żeby nie przyznać tej żywotności, którą Kościół zawsze, a zwłaszcza w czasach silnej wiary, wykazywał.

* * *

Dla oceny poglądów A. France'a na sprawę Joanny d'Arc trzeba po krótce uprzytomnić sobie wypadki historyczne, wśród których Joanna występuje i najważniejsze wypadki z jej życia, jak je ogół historyków przedstawia.

Czasy, w których Joanna d'Arc występuje na widownię historyczną, były dla Francyi bardzo ciężkie i opłakane.

Kraj wyniszczony klęskami, jakie nań spadły w początkach wojny stuletniej, nie dźwignął się jeszcze z upadku, gdy przyszło do nowej wojny domowej, wywołanej antagonizmem najbliższych krewnych obłąkanego Karola VI, jego rodzonym bratem Ludwikiem, ks. orleańskim a bratem stryjecznym Janem Bez Trwogi, ks. burgundzkim, spierającymi się o regencyę.

Bogaty ks. burgundzki miał przewagę w północnej Francyi, popierali go mieszczanie a zwłaszcza mieszczaństwo paryskie; ks. orleański miał przewagę we Francyi południowej i środkowej, a opierał się głównie na rycerstwie i szlachcie. Wogóle przewaga była z początku po jego stronie, dopiero gdy padł ofiarą skrytobójczego mordu (1407), którego sprawcą był ks. burgundzki, partya burgundzka bierze górę. Odtąd wojna domowa t. zw. Armaniaków (stronnictwa orleańskiego) ze stronnictwem burgundzkiem przybiera formy największego zdziczenia, a zaciekłość walczących obok ucisku, jakiego doznaje ludność, wyzyskiwana przez dworaków przewrotnej królowej Izabelli, wywołuje powstania i zaburzenia zwłaszcza w Paryżu, niewiele różniące się od późniejszych zaburzeń w czasie terroru wielkiej rewolucyi. W r. 1413 przychodzi do buntu ludności rzemieślniczej w Paryżu pod dowództwem oprawcy Caboche'a, a po chwilowem jego zażegnaniu, do nowej rzezi w r. 1418, gdy rozwścieklony motłoch, podburzany przez Burgundczyków, około 10.000 Armaniaków w Paryżu wymordował.

Z rozdarcia wewnętrznego Francyi korzysta Anglia, wznawia wojnę wielkiem zwycięstwem r. 1415 pod Azincourt, i zabiera Normandyę, bo książę burgundzki z nienawiści do partyi orleańskiej nie chce wystąpić przeciw wspólnemu wrogowi. Dopiero gdy i jemu zaczyna zagrażać przewaga angielska, myśli o pojednaniu, ale ginie, zamordowany zdradziecko w obecności Delfina.

Ten akt osobistej zemsty sprowadza na Francyę nowe katastrofy. Nowy książę burgundzki, Filip Dobry, syn zamordowanego, zawiera przymierze z królem angielskim, a żona Karola VI, królowa Izabella godzi się na traktat w Troyes r. 1420, który usuwa Delfina (późniejszego Karola VII) od korony i oddaje regencyę królowi angielskiemu. W dwa lata później, po śmierci Karola VI i króla angielskiego Henryka V, zaczyna się panowanie angielskie półrocznego Henryka VI nad Anglią i Francyą.

Bratobójcze walki nie tylko przyprawiły Francyę o utratę samoistności politycznej, ale wyniszczyły ogromnie kraj, a północną jego część zamieniły prawie w ruinę.

Od Loary po Sekwanę, od Sekwany po Sommę znaczna część ziemi leżała odłogiem, bo zabrakło ludzi do jej uprawy:

tylko w okolicach miast i większych zamków mieszkali jeszcze ludzie, ale niepewni mienia i życia. Nędza i zarazy dziesiątkowały zrozpaczoną ludność. Sam Paryż był bardzo wyludniony a mnóstwo domów stało pustką. Nocami, jak notuje jeden z kronikarzy r. 1423, zachodziły do stolicy wilki, których po kilka każdej nocy ubijano.

W Rouen, zajętem przez Anglików r. 1419, w ciągu kilkumiesięcznej obrony, umarło z głodu około 50.000 ludzi, rowy były pełne trupów, a pozostali przy życiu, prosili Boga, żeby ich od rozpaczy obronił.

Traktat w Troyes nie uspokoił Francyi. Panowania angielskiego nie chcieli uznać stronnicy Delfina, wojna trwała więc dalej i dalej pustoszyła kraj.

Delfin, którego własna matka wyparła się, opuszczony przez większość poddanych, trzymał się jeszcze na niewielkiem terytoryum na południe od Orleanu, twierdzy nad Loarą, powstrzymującej dalszy pochód Anglików i złączonych z nimi Burgundczyków. Zdany na łaskę nielicznych stronników, otoczony niesfornymi dworakami, trwoniącymi niewielkie dochody z wiernych jeszcze prowincyi, nie długo mógł się utrzymać przy resztkach władzy.

Z początkiem r. 1429 wysłali Anglicy znaczniejsze siły nad Mozę, gdzie jeszcze kilka miejscowości się trzymało; 12 lutego stali się panami twierdzy Rouvray, a w tym samym czasie z główną pozycyą strategiczną Orleanem (oblężonym już od października 1428 r.) było tak źle, że gubernator miasta i arcybiskup-kanclerz musieli je opuścić i przenieśli się do króla do Chinon.

Wobec tylu niepowodzeń Delfin trapiony wątpliwościami czy go Bóg nie karze utratą korony za grzechy matki, namyśla się, gdzie szukać schronienia, czy w Delfinacie, czy w Kastylii, czy w Szkocyi; w Rochelli czynią już nawet przygotowania do wyjazdu, gdy wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu świta mu nadzieja ratunku.

Jak u nas w Polsce w opłakanych czasach potopu za Jana Kazimierza, gdy go cały kraj opuścił i uznał nad sobą szwedzkiego króla, rozeszła się nieprawdopodobna wieść, że przeor Kordecki broni się i nie chce poddać swego klasztoru Szwedom, tak

wówczas we Francyi rozniosła się pogłoska, że Pan Bóg zsyła Delfinowi pomoc.

Czwartego marca 1429 r. otrzymał wiadomość, że z Szampanii przybyła w orszaku kilku ludzi, wysłanym przez Baudricourta, dowódcę twierdzy Vaucouleurs, młoda dziewczyna, Joanna d'Arc, że pragnie do niego być dopuszczoną, bo ma mu ważne rzeczy oznajmić i obiecuje mu pomódz do odzyskania kraju.

Wiadomość, po ludzku, wyglądała na kpiny, to też nie dziw, że Delfin nie chciał z początku Joanny przyjąć. Ostatecznie dwa dni później pozwolił na posłuchanie.

Przyjęcie odbyło się we wielkiej sali zamkowej. Joanna poznała króla między dworzanami, a chcąc mu dać dowód, że jest powołaną od Boga, prosiła o prywatne posłuchanie, na którem wyjawiła mu rzeczy tak tajemne, że, wedle własnych jego zeznań, nikt, prócz niego, nie mógł o nich wiedzieć.

Żeby także jego otoczenie: dworzanie, duchowni, wojskowi mogli uwierzyć w posłannictwo Joanny, a nie brali jej za zwykłą awanturnicę, jakie nieraz w niespokojnych zwłaszcza czasach występują, wysłał ją Delfin do Poitiers, gdzie komisya duchowna miała ją wybadać i wydać orzeczenie o jej posłannictwie. Komisya duchowna pod przewodnictwem arcybiskupa z Reims, kanclerza Francyi, Reinolda de Chartres i generalnego inkwizytora dla Francyi południowej, Piotra Turelure, złożona z wielu dygnitarzy duchownych i różnych doktorów z zakonu św. Benedykta, Dominika, Franciszka, przeprowadziła pierwsze badania w sprawie wizyi, na jakie się Joanna powoływała. Badania trwały trzy tygodnie, a polegały na wywiadach w miejscu rodzinnem Joanny, na częstych jej przesłuchiwaniach i na bacznem śledzeniu zachowania się samejże Joanny.

Rezultatem tych badań było orzeczenie komisyi, że król nie tylko może zawierzyć Joannie ale powinien to uczynić, jeśli nie chce sprzeciwić się Duchowi św. i okazać się niegodnym łaski Bożej[1]. Wskutek tego król zdecydował się 22 marca postawić Joannę na czele swego wojska, a ci co mieli walczyć pod jej

[1] Ayroles: *La vraie Jeanne d'Arc*, tom I, str. 1—19.

sztandarem nie bez obawy zapewne czekali, czy spełni się to, co Joanna przepowiadała królowi i duchownym w Poitiers, czy uwolni Orlean od oblężenia i poprowadzi Delfina na koronacyę w Reims.

To samo pytanie musieli sobie zadawać ci ze stronników Delfina, którzy mu dobrze życzyli, a słusznie obawiać się mogli, że w razie zawodu Delfin nie tylko na zawsze się ośmieszy, ale i sprawa jego, po tak ryzykownym kroku, ostatecznie pogrzebaną zostanie.

Po badaniach przeprowadzonych przez komisyę w Poitiers miano pewne dane, żeby nie podejrzywać uczciwości Joanny, ale czy ona sama nie była w błędzie, powołując się na widzenia i głosy, które jej kazały iść na pomoc królowi? Świadków tych wizyi oczywiście nie było, a to, co o nich wiedziano, wiedziano tylko z zeznań Joanny.

Mówiła, że wizye te zaczęły się w 13 roku jej życia, że pierwszy raz usłyszała głos w ogrodzie ojcowskim, że z początku bała się ale później się uspokoiła, bo poznała, że to głosy dobre. Czuła się po każdej wizyi bardzo wzmocnioną na duchu, a gdy święci, których widziała, oddalali się, płakała i chciałaby, żeby ją zabrali ze sobą.

Mówiła, że z początku nie widziała żadnych postaci, tylko jasność w tych miejscach, skąd głos dochodził. Później pokazywał się jej święty Michał w otoczeniu aniołów, często widywała także św. Katarzynę i św. Małgorzatę.

Mówiła, że mogła rozpoznać osoby tak wyraźnie, jak tych, co jej pytania zadawali; także głosy były zupełnie wyraźne, miłe i piękne. W rzeczywistość widzeń wierzyła tak silnie, jak wierzyła w to, że Chrystus Pan cierpiał za zbawienie ludzi.

Widzenia miewała w różnych miejscach, na polu, w domu, w drodze, we więzieniu; widzenia powtarzały się także w różnych czasach.

Głosy pouczały ją, żeby się dobrze prowadziła, żeby chodziła często do kościoła; św. Katarzyna i Małgorzata zachęcały ją do częstych spowiedzi. Od św. Michała słyszała, że Bóg lituje się bardzo nad Francyą. Słyszała często, że ma pójść z pomocą królowi, a gdy się skarżyła, że jest biedną dziewczyną nie znającą

się na wojnie, nie umiejącą nawet dosiąść konia, głosy uspokajały ją, że Bóg jej dopomoże. Od czasu oblężenia słyszała, że ona właśnie ma Orlean oswobodzić, później otrzymywała wskazówki, jak się ma dostać do króla i rozporządzenie, żeby udała się o pomoc do dowódcy w Vaucouleurs. O widzeniach nie mówiła nikomu, ani rodzicom, dopiero gdy jej kazano pójść do Vaucouleurs, poprosiła swego wuja, żeby ją tam zaprowadził. Robert de Baudricourt, dowódca miejscowy, wyśmiał ją, jak obłąkaną i odesłał z niczem.

Joanna wróciła do rodziców, ale równocześnie i wiadomość o jej widzeniach zaczęła się rozchodzić po okolicy. Po pewnym czasie wybiera się po raz drugi do Vaucouleurs, ale i tym razem nie znalazła wiary u Baudricourta. Niezrażona niepowodzeniem, nie wraca już do swoich. Pozostaje na miejscu i powtarza ludziom, że P. Bóg chce, żeby poszła na pomoc królowi i że musi się do niego dostać, choćby jej przyszło iść na klęczkach, bo nikt inny nie odzyska królestwa francuskiego.

Dopiero pod koniec lutego 1429 r. Baudricourt ustąpił i dał jej kilku zaprzysiężonych zbrojnych ludzi, którzy ją do Chinon zawiedli.

Tak się pokrótce, wedle zeznań Joanny, przedstawia sprawa jej widzeń i ich najbliższe następstwa. —

Zdania teologów obu procesów w Rouen co do wizyi Joanny były o tyle zgodne, że uważano je za sprawę nadnaturalną; teolodzy procesu potępiającego utrzymywali, że Joanna dała się omamić złemu duchowi, teolodzy procesu rehabilitacyjnego uważali je za takie wizye, jakie miewali prorocy i święci.

Jak się zapatruje na te wizye i jak je tłumaczy A. France?

Nie uznaje w nich oczywiście żadnego czynnika nadprzyrodzonego, nie podobają mu się także rozmaite przypuszczenia wolnomyślnych pisarzy, którzy je tłumaczyli jakimś wyższym stanem psychicznym i umysłowym Joanny[1], bo by to prowadziło do śmiesznych konsekwencyi, np. do przypuszczenia, że Joanna posiadała także wyższe zdolności strategiczne, podczas gdy, wedle

[1] *Préface,* XXXVII.

jego zdania, zdolności umysłowe Joanny były bardzo niewielkie, a w szczególności pamięć miała tak lichą, że po upływie roku o ważnych wypadkach z własnego życia pozostawały jej tylko mętne wspomnienia.

Najbardziej podobało mu się przypuszczenie Brièra de Boismont, który w r. 1861 próbował wizye Joanny wytłumaczyć jako objaw hallucynacyi. Chwycił się więc tego pomysłu. Postanowił poddać rewizyi obydwa procesy w Rouen i to w sposób stosowany przy dzisiejszych procesach: postanowił oddać sprawę Joanny orzeczeniu psychiatry. Zwrócił się w tym celu do doktora Jerzego Dumasa z zapytaniem, czy ta gałąź nauki medycznej, która takie gwałtowne poczyniła postępy, posiada także dostateczne dane do dyagnozy retrospektywnej.

Zagadnięty psychiatra z pewnem zakłopotaniem daje odpowiedź. Tłumaczy A. France'owi, że na podstawie kwestyonaryusza i odpowiedzi Joanny w Rouen, trudno stawiać dyagnozę retrospektywną, zwłaszcza, że inkwizytorzy i inni sędziowie nie pytali jej o choroby nerwowe. Opinię w tej sprawie można wydać chyba tylko z wielkiemi zastrzeżeniami.

Wyczytawszy w protokołach pierwszego procesu w Rouen, że Joanna usłyszała po raz pierwszy głosy z prawej strony, utrzymuje na tej podstawie, że można przypuścić u Joanny w 13 roku jej życia hallucynacye jednoboczne wzroku i słuchu, które wedle innego doktora występują często przy histeryi.

Przekonywującego dowodu na to dostarczyłyby oględziny Joanny na torturach, ale Joanny na tortury nie brano, bo tylko trzech assesorów za tą próbą głosowało.

Odpowiedź Joanny, pytanej raz o wizye, że było to w dniu postu, naprowadza go na domysł, iż jej hallucynacye należały chyba do kategoryi tych, jakie miała św. Teresa.

Inne szczegóły, które wyszły na jaw w czasie procesu, uważa za bardzo interesujące, ale nie prowadzące do pewnych wniosków. Tak np. subjektywna pewność i objektywna wyrazistość widzeń Joanny przypomina mu bardzo hallucynacye pochodzące z zatrucia alkoholem...

Synteza tych spostrzeżeń dyktuje mu prawdziwie pytyjską

odpowiedź, że — jeżeli pewne objawy w życiu Joanny kazałyby ją policzyć między histeryczki, to inne nie pozwalałyby na to. W każdym razie — jak mówi — nie była to klasyczna histerya, bo Joanna wobec głosów zachowuje pewną samodzielność i nie zawsze ich słucha, a nadto święci nie zawsze sami się jej pokazują, często dopiero na prośbę do P. Boga, żeby ich zesłał.

Odpowiedź Dumasa zakończona słowami »pełnego uszanowania podziwu«, nie zbiła z tropu A. France'a. Wierzy on, że wszystkie wizye Joanny były hallucynacyą i każe w to wierzyć swoim czytelnikom.

Jakie przytacza na to dowody?

Żadnych, chyba że za dowód miałaby wystarczyć jego opinia a raczej fantazya.

Objawy hallucynacyi są tego rodzaju, że należy ją uważać za obłęd, przynajmniej przejściowy, za sen na jawie.

Wrażenia, wyobrażenia, idee u osoby nawiedzonej hallucynacyą nie wykazują związku; a brak w nich węzła logicznego taki sam, jak w zboczeniach umysłowych. Są to objawy patologiczne, niedobrowolne, nieracyonalne. Ukryć ich długo nie można, zwłaszcza, że napady hallucynacyi, jak napady epilepsyi przychodzą niespodzianie, w różnych czasach i okolicznościach.

Osoby ulegające często hallucynacyom, to osoby chorowite, nienormalne, podczas gdy u osób zdrowych hallucynacya może wystąpić chyba sporadycznie.

Gdyby Joanna ulegała napadom hallucynacyi, musiałby je ktoś zauważyć, a w relacyach o jej życiu znalazłyby się szczegóły świadczące o jej stanie hallucynacyjnym, zwłaszcza gdyby to był stan trwały, jak chce A. France. Tymczasem, mimo bardzo nawet drobiazgowych badań nad jej życiem, przeprowadzonych wprzód w Poitiers a później w czasie pierwszego procesu w Rouen, nie wyszły na jaw żadne konkretne fakta, któreby mogły dostarczyć dowodu na jej stan hallucynacyjny. Ci, którzy ją znali czy to w Domrémy, czy na dworze królewskim, czy w czasie wypraw wojennych, przedstawiają Joannę jako osobę silną, dobrze zbudowaną, zdrową, znoszącą trudy obozowe (chorowała dopiero jakiś czas we więzieniu wskutek nieludzkiego obchodzenia się z nią).

Ci, którzy ją znali w Domrémy i przed trzynastym i po trzynastym roku nie widzieli w niej nic anormalnego, uważali ją za dobrą, prostą, łagodną dziewczynę — lepszą tylko od jej rówieśnic. Nie za hallucynacyę, ale za wielką pobożność mieli to, że Joanna codziennie była w kościele na mszy (dom jej rodziców był bardzo blizko kościoła), że nawiedzała także blizkie kapliczki w polu i składała wieńce z kwiatów pod statuą M. Boskiej.

To, że klękała na głos dzwonu, by zmówić Anioł Pański, nie było wcale jakimś magicznym wpływem na chorą osobę, ale zwykłą praktyką pobożnych chrześcijan, praktyką nawet w XX w.

Joanna w Domrémy była zupełnie normalną (brała nawet udział w wiejskich zabawach), a że była pobożniejsza i tkliwsze miała serce, dlatego litowała się nad ubogimi, odwiedzała chorych we wsi i starała się pocieszyć strapionych, czego bardziej płoche jej rówieśniczki nie robiły. Była normalną fizycznie i umysłowo także od czasu widzeń; nikt we wsi o nich nie wiedział, nie wyłączając jej rodziców, którym zresztą zawsze była posłuszną, z wyjątkiem sprawy wyjścia za mąż (ślubowała czystość zachęcona do tego przez wizye św. Katarzyny i Małgorzaty) i opuszczenia bez ich wiedzy Domrémy.

Niezwykłem było postępowanie Joanny dopiero po wystąpieniu jej na szerszą widownię: ale świadomość celu, do którego dążyła, konsekwencya w jej czynach i słowach, roztropność w kierowaniu akcyą wojenną obok praktyk pierwotnej pobożności, wykluczają zupełnie możliwość podkładu hallucynacyjnego.

Jeżeli kiedy, to podczas kilkumiesięcznego więzienia mogłyby i powinny były wyjść na jaw anormalności hallucynacyjne, jeżeliby im Joanna ulegała, tymczasem wrogowie jej w ciągu tego czasu nic w niej nie zauważyli, coby można wziąć za hallucynacyę, a przecież gdyby byli spostrzegli jakieś anormalności w jej stanie umysłowym nie trzymaliby tego w sekrecie, owszem rozgłosiliby, że Joanna jest opętaną, zamiast szukać dowodów, żeby wykazać, iż jest heretyczką. Wobec braku źródeł do stwierdzenia hallucynacyi Joanny, nie mógł też A. France przytoczyć żadnych dowodów na poparcie swej opinii, zadowolnił się obwieszczeniem, że Joanna była w trwałym stanie hallucynacyi i to zapewne

w bardzo ostrem jej stadyum, skoro nawet prawdy od fałszu przeważnie nie mogła odróżnić.

O pokrewnych wizyom przepowiedniach Joanny pisze przy końcu pierwszego tomu. Uważa je, podobnie jak wzmianki o jasnowidzeniach, za wybryk fantazyi różnych kronikarzy, za twór legendarny i naśladownictwo rozmaitych »historyjek« z żywotów świętych. Mówi tak nie tylko o przepowiedniach na dalszą metę: o poddaniu się Paryża przed upływem siedmiu lat, o ustąpieniu Anglików z Francyi, o pokoju z ks. burgundzkim, ale i przepowiednie odsieczy Orleanu lub koronacyi w Reims, które według Quicherata lub Henri-Martina wychodzą poza obręb ludzkich władz umysłowych, traktuje lekko. Zapowiedź Joanny w czasie walk pod Orleanem, że wróci ranna po zdobyciu fortu, nazywa prostą kombinacyą, ponieważ mogła się dobrowolnie wystawić na pociski, ale zapomina wytłumaczyć, jak w bitwie można się narażać na pociski niebezpieczne a uniknąć ran śmiertelnych.

Bujna fantazya powieściopisarza podsuwa mu takie wytłumaczenie genezy »posłannictwa« Dziewicy Orleańskiej. »Wskutek wpływów, których — jak powiada — niepodobna dokładnie oznaczyć zrodziła się w niej myśl, żeby przywrócić Delfinowi jego dziedzictwo«. Ta myśl wydała się jej tak piękną i wzniosłą, że w naiwnej prostocie wzięła ją za myśl poddaną przez aniołów i świętych. Tej myśli oddała całe życie, a przez to zostawiła nieśmiertelny przykład poświęcenia. »Jej szaleństwo stało się mędrszem od mądrości, bo było szaleństwem męczeństwa« [1].

Z tego szlachetnego obłędu korzystają stronnicy Delfina, zapewne księża, z którymi się widywała. Jakiś ksiądz musiał jej podsunąć myśl, żeby poszła królowi na pomoc (sama Joanna od siebie nie mogłaby użyć wyrażenia: Prawdziwym królem Francyi jest Chrystus a Karol otrzymuje od niego królestwo *en commende*).

Ponieważ stan sprawy Delfina był tak rozpaczliwy, że każda pomoc skądkolwiekby się nastręczała, była pożądana, partya Delfina postanowiła posłużyć się rzekomą jej misyą.

---

[1] *Préface*, LXV.

Przypuszcza, że wieść o wizyach Joanny musiała tak podziałać na stronnictwo Delfina, jak podziałałaby na Gambetę wiadomość o wynalezieniu nadzwyczajnej udoskonalonej armaty. Nie licząc się z tem, że wprowadzenie ulepszonych dział w najgorszym razie Francuzom zaszkodzić nie mogło, podczas gdy postawienie na czele armii Delfina nawet idealnej, ale chorej umysłowo osoby, mogło go nie tylko w najwyższym stopniu skompromitować, ale i narazić na utratę resztki władzy, A. France tem przypuszczeniem próbuje wytłumaczyć niesłychane zjawisko historyczne oddania całej armii i powierzenia losów Francyi wiejskiej dziewczynie z Domrémy.

* * *

Jak się Joanna wywiązała ze swego zadania?

Do Anglików, oblegających Orlean, wysłała wezwanie, żeby od oblężenia odstąpili, bo taka jest wola Boża.

Z wojska, którem miała dowodzić, starała się usunąć wszelkie zgorszenia, kazała powydalać złe kobiety, zakazała łupiestwa i bluźnierstw, kazała przystępować do św. Sakramentów.

Po niezbędnych przygotowaniach, przy odgłosie hymnu *Veni Creator Spiritus* ruszyła armia w pochód z Blois 27 kwietnia.

Na jej czele obok sztandaru z napisem »Jezus Marya« i dwoma aniołami trzymającymi lilię jechała Joanna w zbroi, otoczona wodzami. Wodzowie ci nie bardzo byli skłonni do wypełniania jej wskazówek. Zamiast poprowadzić wojsko prawym brzegiem Loiry, stary wódz Gaucourt poprowadził je lewym brzegiem z zamiarem przeprawy na brzeg północny dopiero o milę przed Orleanem.

Rachuby zawiodły. Przeciwny wiatr zatrzymał flotylę rzeczną, przeznaczoną do przeprawy wojska. Wodzowie musieli wysłuchać wymówki: »Chcieliście mię oszukać, oszukaliście się sami. Rady króla niebios lepsze są niż wasze«. Armię trzeba było wysłać z powrotem do Blois, tylko Joanna z 200 zbrojnymi i transportem żywności przeprawiła się przez Loirę i weszła do Orleanu 30 kwietnia, witana jak zbawczyni z nieba zesłana.

Cztery dni później wyszła z procesyą naprzeciw nadcho-

dzącej armii z Blois i wprowadziła ją do miasta w obliczu nieprzyjaciela. Tego samego jeszcze dnia zdobyto fort Saint-Loup. Dzień następny w święto Wniebowstąpienia odpoczywano; 6 maja jenerałowie bez wiedzy Joanny uchwalili atak na fort Tourelles. W ataku wzięła i Joanna udział, uratowała wojsko od rozsypki na jaką naraziły je rozkazy wodzów, ale fortu nie zdobyła. Zapowiedziała jego zdobycie nazajutrz, wbrew uchwale wodzów, którzy postanowili czekać na nowe posiłki. »Rady Boże się spełnią, nie rady ludzi«.

Gaucourt wydał odpowiednie rozkazy, żeby do ataku nie dopuścić. Sam obsadził bramę, którą mogłaby wyprawa ruszyć. Mimo to Joanna rankiem 7 maja opuściła miasto zapowiedziawszy, że wróci wieczorem po zdobyciu fortu i że wróci ranna.

Złajała Gaucourt'a, który jej nie chciał puścić, pociągnęła za sobą wojsko i poprowadziła do szturmu na Tourelles.

Po trzygodzinnej ciężkiej walce, gdy przystawiała drabinę do muru została ranną tak, że ją musiano unieść z placu boju. Rana była dosyć ciężka, ale Joanna posilona przez nowe widzenie wydobyła sama strzałę z ciała, potem się wyspowiadała i wróciła na plac boju, gdy już miano dać znak do odwrotu.

Żołnierze na widok Joanny poszli do ataku ze zdwojonem męstwem i przy pomocy mieszczan zdobyli fort.

Nazajutrz 8 maja Anglicy opuścili resztę fortów i zwinęli oblężenie trwające już siedem miesięcy.

Przy odgłosie dzwonów obchodził Orlean spełnienie się pierwszego przyrzeczenia Joanny. Pozostało drugie, koronacya w Reims. Zadanie nie łatwe do przeprowadzenia, bo wszystkie miasta po drodze były w rękach Anglików i Burgundczyków; dlatego też Rada królewska oświadczała się raczej za wojną w Normandyi.

Po przeszło miesięcznej zwłoce król zdecydował się ostatecznie na plany Joanny i wysłał ją 10 czerwca z wojskiem ks. d'Alençon na zdobywanie dalszych fortów nad Loirą. W ciągu czterech dni od 14—18 czerwca zdobyła Jargeau, Beaugency i pobiła Anglików pod Patay. Na Anglików padł popłoch.

Bedford musiał wydać rozporządzenia, żeby strzeżono portów nad Kanałem i nie przepuszczono do Anglii zbiegów.

Talbot uważał sprawę angielską za straconą.

Delfin jednakże ociągał się pod wpływem doradców. Dopiero gdy Joanna 27 czerwca opuściła obóz i poszła sama naprzód, dwa dni potem ruszył i król. Pochód ku Reims, który uważano za niemożliwy, okazał się łatwym. Wszystkie po drodze miasta otwierały bramy przed Dziewicą Orleańską. Dopiero pod Troyes napotkano większą przeszkodę. Bez artyleryi i żywności przez 5 dni obozowała pod murami armia Delfina. Rada królewska oświadczyła się już za odwrotem. Przeszkodziła temu Joanna zapowiedzią, że miasto nazajutrz się podda. Miasto poddało się 11 lipca; droga do Reims stała otworem.

Szesnastego lipca wszedł król do Reims, 17 otrzymał namaszczenie królewskie. Podczas uroczystości stała obok z chorągwią w ręce Dziewica Orleańska, później padła mu do nóg i uczciła jako prawdziwego króla, do którego cały kraj ma wrócić.

W ten sposób spełniła i drugie swoje zadanie, dostarczyła niedowierzającym nowego dowodu, że nie w swojem imieniu ofiarowała pomoc królowi. Sława jej jaśniała wtedy pełnym blaskiem; obrazy jej czczono, jak obrazy świętych, król obsypywał ją łaskami, z których korzystała w interesie rozmaitych biedaków, a sama została nadal taką prostą i pobożną, jaką była na początku wyprawy wojennej. Chętnie — jak mówiła — wróciłaby do domu pomagać rodzicom, ale tego nie mogła uczynić, bo swej misyi nie uważała za skończoną.

Po Reims najważniejszą sprawą miało być odzyskanie Paryża. Wobec upadku na duchu po stronie angielskiej sprawa zajęcia Paryża nie zdawała się przedstawiać wielkich trudności, zwłaszcza, że okoliczne miasta oświadczały się z posłuszeństwem królowi. Król się jednak nie spieszył. Próbował układów z księciem Burgundzkim, tracił czas pozwalając Anglikom ochłonąć z popłochu.

Joanna nie mogąc się doczekać decyzyi królewskiej pociągnęła za sobą księcia d'Alençon i kilku innych wodzów.

Przy końcu sierpnia zajęła bez trudności Saint-Denis, skąd nagliła króla, żeby przybywał. Po dwu tygodniach król wreszcie nadciągnął. Zaczęły się ataki na fortyfikacye otaczające Paryż.

Powodzeń większych nie było, bo wodzowie w chwilach stanowczych nie tylko nie poparli Joanny, mimo że zaczęła się dezercya z Paryża, (9 września książe Montmorency z kilkudziesięciu panami przeszedł na stronę króla), ale jej nawet przeszkadzali, np. 8 września sprowadzono ją przemocą z zajętych już pozycyi, podobnie 9 września, gdy wojsko w najlepszem usposobieniu szło do ataku odwołał je rozkaz królewski do Saint-Denis. Po nieudanej próbie nowego ataku 10 września Rada królęwska uchwaliła odstąpić od oblężenia Paryża.

Wojsko, a z niem i Joanna ustąpiła ku Loirze, skazana na kilkomiesięczną bezczynność.

Dopiero na wiosnę 1430 r. wybrała się na własną rękę z ochotnikami w okolice położone na północ od Paryża, chociaż głosy ostrzegały ją, że wpadnie w ręce nieprzyjaciół.

Była w Crespy, gdy z blizko leżącego Compiègne zawezwano ją na pomoc.

Przybyła tam 23 maja. Wieczorem poprowadziła wycieczkę na nieprzyjaciela, ale wycieczka się nie udała. Wojsko w popłochu uciekało do miasta, ścigane przez Anglików i Burgundczyków. Gdy dowódzca załogi kazał zamknąć bramy i podnieść most, Joanna zapędziwszy się za daleko została otoczona i dostała się do niewoli.

Na tem skończył się okres wojenny w jej życiu. —

Jak go ocenia Anatol France? jaki udział przypisuje Joannie w historyi uwolnienia Francyi?

Powiada, że w tem dziele przypada jej cząstka najpiękniejsza, mianowicie cząstka ofiary i poświęcenia. Dała przykład bardzo wielkiej odwagi i miłego bohaterstwa [1]. Wszystko inne w tym »naiwnym cudzie XV wieku« to sprawa ciemnoty, uporu, automatyzmu i stałej hallucynacyi. Chce wierzyć, że Joanna jak opowiadali współcześni, trzymała się na koniu i robiła bronią jak rzadko kto inny; ale żeby wykazywała jakiś spryt w zbieraniu i kierowaniu armią, tego nie może przypuścić i podrwiwa sobie

[1] *Préface.* LI.

z wojskowych, którzy próbowali wykazać jej zręczność strategiczną [1].

Ponieważ była ignorantką w rzemiośle wojennem, musieli nią inni kierować, co było rzeczą nie łatwą, bo Joanna była »świętą«, a święci kierować sobą nie dadzą [2]. Znała jedną tylko taktykę, przeszkadzać ludziom w bluźnierstwach. Ciągła modlitwa i ekstazy przeszkadzały jej śledzić ruchy nieprzyjaciela, a pochód na Reims był błędem strategicznym, bo opóźnił tylko dzieło uwolnienia Francyi i przeszkodził odzyskaniu Normandyi.

Że przed wystąpieniem Joanny d'Arc nie tylko o odzyskaniu Normandyi partya Delfina nie mogła myśleć, ale że nawet nie była w stanie dać odsieczy Orleanowi, o tem A. France zapomina. Nie zdaje sobie także sprawy z ważności koronacyi w Reims, która była widomą sankcyą, że Karol jest prawowitym królem Francyi; a przedewszystkiem nie widzi tego, co było w wystąpieniu Dziewicy Orleańskiej najdonioślejszem: że przez zwycięstwa podniosła upadłego ducha francuskiego, a przez to przygotowała ostateczne wyzwolenie kraju, mimo, że sama wskutek bierności Karola VII i zachowania się wodzów nie mogła tego dokonać.

(Dok. nast.)

Ks. Józef Sas.

---

[1] Tamże XLVI. Między innymi uczynił to jenerał M. Dragomirow w rozprawie *Les Étapes de Jeanne d'Arc. Revue des deux Mondes.* T. 147. Chwali Joannę, że zawsze szła prosto do celu, że unikała straty czasu i każdą czynność strategiczną chciała konsekwentnie przeprowadzić do końca. Specyalnie podnosi zalety planu walki po prawym brzegu Loary przy odsieczy Orleanu, pochód na Reims i przypuszcza, że Paryż byłby wzięty, gdyby słuchano Joanny.

[2] Tamże XLIV.

PRAGMATYZM I MODERNIZM.

W ostatnim artykule p. t. »Nowa filozofia«[1] poznaliśmy nowy kierunek filozoficzny, rozpoczynający się w Ameryce i znajdujący silny odgłos w całej niemal Europie. W tym samym niemal czasie widzimy również w Europie, zwłaszcza we Francyi, zarodki nowej filozofii i opierającej się na niej teologii. I dziwna doprawdy rzecz, że pragmatyzm amerykański ma dużo punktów stycznych z modernistyczną filozofią i teologią francuską. Nie mogłem dojść do pewnych i jasnych dowodów, czy ruch apologetyczny we Francyi powstał zupełnie niezależnie od ruchu pragmatycznego w Ameryce; pokrewieństwo atoli obu kierunków tak bije w oczy, że go zaprzeczyć nie można. Spotkamy niżej u modernistów te same myśli, co w pragmatyzmie i niemal w tej samej wypowiedziane formie. W ostatnich latach powołują się też moderniści francuscy wyraźnie na głównego przedstawiciela pragmatyzmu, William'a Jamesa. Zdaje się, że oba te kierunki są tylko uświadomieniem myśli i dążności leżących na dnie naszego czasu; albowiem z literatury ostatniego pół wieku możnaby bardzo liczne przytoczyć przykłady, w których się ta sama dążność do aktywizmu przejawia, acz niedość jasno i systematycznie.

Pokrewieństwo między pragmatyzmem a modernizmem pokazuje się tak w punkcie wyjścia, jak w celu, do którego dąży, i wreszcie w całej metodzie naukowej. Punktem wyjścia filozo-

[1] *Przegląd Powszechny*, zeszyt październikowy, str. 1—26.

ficznym jest w obu razach nowe pojęcie prawdy; cel obydwu kierunków jest przedewszystkiem, a można nawet powiedzieć wyłącznie, praktyczny; metoda badania jest tu i tam nie logiczna, ale psychologiczna, nie intellektualistyczna, ale woluntarystyczna. Te trzy punkty styczne należy bliżej określić i uzasadnić.

Widzieliśmy w zacytowanej na wstępie pracy, na czem polega instrumentalna czyli genetyczna teorya prawdy, jaką pragmatyzm głosi. Żeby lepiej zrozumieć znaczenie tego nowego pojęcia prawdy, wypadnie nam choć krótko przedstawić dotychczasowe zapatrywania na teoryopoznawczą i metafizyczną istotę prawdy. Zapatrywania te są różne tak ze względu na pochodzenie, jak na naturę i wreszcie na wartość prawdy.

Ze względu na p o c h o d z e n i e należy rozróżnić transcendentne czyli przestępne i immanentne czyli wsobne pojęcie prawdy. Przestępne pojęcie prawdy oznacza zgodność między jakimś bytem przedmiotowym a naszem poznaniem, *adaequatio inter intellectum et rem*, jak mówią scholastycy. Prawda nazywa się przestępną dlatego, że podmiot sądu o prawdzie jest zawsze czemś dla tego aktu poznania przestępnem, o ile bierzemy pod uwagę psychologiczną, nie logiczną naturę tegoż aktu. Teorya zaś immanentna prawdy twierdzi, że takie pojęcie prawdy jest niemożebne, gdyż nie możemy nigdy dojść do poznania zgodności między jakimś bytem w sobie i naszem poznaniem, lecz że należy prawdę określić jako zgodność czysto wsobną między różnymi aktami poznania. Gdy np. twierdzę: ten papier jest biały, nie znaczy to, że rzecz w sobie oznaczona słowem »papier« jest biała, lecz że ogół wrażeń podmiotowych, ujętych razem słowem »papier« zawiera w sobie między innemi wrażeniami także wrażenie koloru białego. Pojęcie przestępne prawdy opiera się zatem na uznaniu rzeczywistości przedmiotowej i na możności jej poznania; pojęcie wsobne prawdy wyrasta z gruntu czuć i wrażeń li tylko subjektywnych. Pierwszego pojęcia prawdy broni realizm, drugie przyjmuje wszelkiego rodzaju idealizm i immanentyzm. Prawdziwe poznanie w tem drugiem znaczeniu nie jest nigdy wiernem odbiciem przedmiotowej rzeczywistości, lecz tylko jej symbolem; stąd prawda immanentna jest zawsze symboliczna. Prawda prze-

stępna jest dla immanentyzmu co najwyżej upragnionym, lecz nigdy niedoścignym ideałem, do którego się tylko asymptotycznie zbliżyć możemy.

Jeżeli zaś bierzemy pod uwagę n a t u r ę prawdy, należy rozróżnić pojęcie statyczne i dynamiczne prawdy. Podział ten łączy się ściśle z poprzednim. Gdy bowiem mam prawdziwe poznanie w tem znaczeniu, że w moim akcie myślenia odbija się przedmiotowa natura i własność rzeczy poznanej, prawda jest czemś stałem, niezmiennem, i dlatego nazywa się statyczną. W takim razie prawda jest czemś późniejszem od rzeczy, zależnem od niej, nie może więc wpływać na rzecz, nie może jej zmienić. Prawda w tem znaczeniu jest czysto bierną. Przeciwnie, jeżeli rzeczywistość jest, choćby po części tylko, wytworem naszego poznania, jeżeli prawda jest immanentnym aktem psychicznym, objawem biologicznym, wtedy zawiera w sobie zawsze czynnik dynamiczny. Wtedy prawda dąży tak samo jak całość funkcyi życiowych do rozwoju, do wydoskonalenia jednostki i rodzaju; wtedy jest czynnikiem bardzo wybitnym nawet w walce o byt. W ten sposób pojęta prawda nie jest (przynajmniej nie zawsze), późniejszą od rzeczywistości, lecz wcześniejszą; prawda wpływa na rzeczywistość i zmienia ją. Prawda nie jest czemś oderwanem, lecz konkretnem, nie jest czemś metafizycznem tylko albo logicznem, lecz jest bytem fizycznym, psychologicznym.

Z obu tych podziałów wynika nowy, jeżeli uwzględnimy w a r t o ś ć prawdy, mianowicie podział na prawdę absolutną i względną. Terminologia ta nie potrzebuje dłuższego tłumaczenia. Tylko tyle nadmienić należy, że prawda pojęta immanentnie, dynamicznie i względnie, jest zawsze zdolna do e w o l u c y i. Wtedy bowiem poznanie jest objawem życiowym i jako takie podlega z jednej strony wpływom zewnętrznym otoczenia, środowiska, z drugiej zaś strony sam ten objaw wpływa na swe otoczenie i zmienia je, jak już wspomniałem. Stąd proces poznania prawdy, który według wyrażenia M a c h a jest: *Anpassung der Gedanken an die Tatsachen und aneinander*, proces ten, powiadam, musi się wciąż odnawiać, wciąż odbywać. Pokonywanie różnych trudności, odkrywanie nowych stosunków, nowych stron rzeczywistości em-

pirycznej, wydoskonala coraz bardziej naszą czynność poznawczą i tem samem naszą prawdę. Stąd zaś wynika, że każdy stan wiedzy w danej epoce jest tylko względny, jednym tylko szczeblem w drabinie powszechnej ewolucyi. Prawda bezwzględna, niezmienna i wieczna jest z tego punktu widzenia niedorzecznością, biologicznie i psychologicznie niemożliwą. A gdyby była możliwą, byłaby zgubną dla ludzkości, sprowadziłaby bowiem stagnacyę intellektualną, wytworzyłaby petrefakty umysłowe, krępowałaby nasze najszlachetniejsze władze, to co człowiekowi daje tak olbrzymią wyższość nad zwierzęciem, mianowicie naszą zdolność do ustawicznego postępu naprzód.

To są trzy główne kategorye prawdy, znane już dawniej w historyi filozofii. Nie mogę się tu wdawać w krytyczną analizę tych poglądów; w pracy o agnostycyzmie znajdzie czytelnik ich ocenę. Możnaby zresztą wykazać, że w każdej kategoryi jest ziarno prawdy, lecz że jest pokryte grubemi warstwami jednostronnych abstrakcyi i dowolnych hipotez.

W najnowszej fazie myśli ludzkiej stworzono, jak wspomniałem, nowe pojęcie prawdy, od dotychczasowych odmienne, choć mające z niem niektóre pokrewne rysy. To nowe pojęcie wynika z nowego sposobu zapatrywania na z a d a n i e prawdy [1]. Dotąd zwracano niemal wyłącznie uwagę na to, że nasze poznanie i prawda tego poznania ma zadanie przedewszystkiem teoretyczne, spekulatywne. Prawda dla prawdy, nauka dla nauki: oto dotychczasowe hasło miłośników nauki i filozofii.

Przeciwko temu spekulatywnemu pojęciu prawdy powstaje filozofia pragmatyczna i modernistyczna i potępia je jako sprzeczne z całem naszem dotychczasowem doświadczeniem, sprzeczne z naszą naturą biologiczną, sprzeczne z naszym ustrojem psychicznym, sprzeczne wreszcie z naszemi zadaniami społecznemi i kulturalnemi.

---

[1] Łatwo się można przekonać, że pragmatyczny sposób pojmowania prawdy łączy się ściśle z pojęciem immanentnem, dynamicznem i względnem prawdy, o których była właśnie mowa. Dowody na to daje także artykuł ks. R o s t w o r o w s k i e g o: »Dwie filozofie«. *Przegląd Powszechny*, t. 97, str. 321 i nast.

Poznaliśmy wyżej teoryę genetyczną czyli instrumentalną prawdy, jaką głosi pragmatyzm. Należy teraz wykazać, że modernizm, zwłaszcza nowa szkoła apologetyczna we Francyi, na tych samych przesłankach teoryopoznawczych się opiera. Tylko w wynikach pokazuje się pewna różnica, wypływająca z katolickiego stanowiska tych apologetów. Podobnie jak James twierdzi o religii i o poglądzie teistycznym na świat wogóle, że jest prawdziwy, ponieważ jest w najwyższym stopniu zdolny pobudzać ludzkość do czynu, do wydoskonalenia moralnego i kulturalnego, tak i apologeci francuscy twierdzą, że katolicka religia jest prawdziwą, ponieważ ze wszystkich form religijnych ona jest najbardziej zdolną do urzeczywistnienia tych ideałów. Co się jednak tyczy teoryi prawdy, wystarczy rzucić okiem na książki i artykuły takich myślicieli, jak Loisy, Bergson, Le Roy, Wilbois, Laberthonnière i t. d.

Le Roy i inni twierdzą, że przestępne pojęcie prawdy, o którem wyżej była mowa, jest niemożebne. Jeżeli prawda ma polegać na zgodności naszego poznania z rzeczą w sobie, to nie mamy żadnego zgoła środka, by się przekonać o tej zgodności. Nie możemy bowiem żadnym sposobem dotrzeć do rzeczy istniejącej poza naszą myślą. Prawda naszego poznania nie zależy od jakiegoś bytu zewnętrznego, ona jest w zupełności w nas i z nas; my ją sprawiamy, uskuteczniamy. Prawda nie jest sprawą biernej kontemplacyi, lecz naszej czynności. Niema nigdy prawdy ukończonej, *vérité faite*. Prawda, mówi Le Roy, nie ma nic w sobie statycznego. Prawda nie jest rzeczą, lecz życiem, nie jest terminem, kresem, lecz wiarą. Co się w niej znajduje stałego, to jest przedewszystkiem pewna oryentacya, stały kierunek ewolucyi. Prawda nie urzeczywistnia się w żadnym określonym momencie, ona nie spoczywa wyłącznie w żadnej formie myśli. Prawda jest życiem ducha, jest szeregiem jego doświadczeń. Prawda jest duchem samym, objawiającym się na różnych stopniach swej ewolucyi w różnej formie.

Jedynem kryteryum prawdy jest zatem życie, jest skutek. Oczywistość można przypisać tylko temu, co się okazuje zdolnem do życia, do trwania. Nic nie jest w sobie oczywistem, lecz wszystko

może się takowem stać. Każda teorya jest schematem, symbolem, który nazywamy prawdziwym, jeżeli spełnia swoje zadanie. Ażeby się przekonać o prawdzie jakiejś myśli, należy nią pracować, trzeba ją widzieć czynną. *La pensée-action* jest początkiem wszystkiego. Ona opiera się wyłącznie na sobie samej, nie każe nic przypuszczać. Działalność *(l'action)* wystarcza sama sobie i tłumaczy wszystko. Niema nic przed nią, gdyż wszystko istnieje tylko przez nią. Ona jest *position de soi*, pozycyą, urzeczywistnieniem samej siebie. I dlatego ona jest bezwzględną wolnością, bezwzględnym punktem wyjścia, pierwszym początkiem. Dlatego w każdej prawdzie tkwi pierwiastek wolności [1]. Dzieła Schella są przesiąknięte tymi samymi poglądami.

Prawda jest więc zadowoleniem umysłu wobec swego dzieła; prawda jest przedmiotem życia wewnętrznego, przedmiotem, w który wierzymy, którym się żywimy, którym pracujemy i który kochamy.

Podobieństwo w pojmowaniu problemu kryteryologicznego pociąga za sobą z natury rzeczy podobieństwo problemu metodologicznego. I tu mamy drugi punkt styczny między pragmatyzmem a modernizmem. Widzieliśmy, że pragmatyzm nie jest tyle systemem, ile raczej metodą filozoficzną. I modernizm także jest głównie metodą. Modernizm bowiem twierdzi, że intellektualistyczną drogą rozumowania syllogistycznego nie można dojść do poznania Boga i porządku metafizycznego, że należy kroczyć inną zupełnie drogą. Ollé Laprune ogłasza hasło, że nie mamy się poddawać miękkiemu, słabemu fideizmowi, korząc nasz rozum przed objawionymi dogmatami, lecz że mamy wyznawać intellektualną męskość czynu. Blondel pisze apologetykę czynu życiowego. Prawdy dowodzi się według niego jedynie czynem. Zasadą Blondela jest: nie poznanie jest centrem życia, lecz akcya, wola, duchowe zadanie życia. Chrześcijaństwo nie przyszło na świat, by nam przynieść poznanie, lecz życie, odrodzenie, spól-

[1] Pragmatyczna teorya prawdy, której zwolennikiem jest Le Roy, rzuca też nowe światło na jego sposób dojścia do idei Boga, przedstawiony w pracy ks. Rudnickiego: »Z problemów modernizmu. Idea Boga w teoryi Le Roy'a«. *Przegląd Powszechny*, t. 98.

ność z Bogiem. Dlatego odważmy się na śmiały skok w ofiarowane nam królestwo Boże. *Credere aude!* Jedynie z akcyi, z czynu można udowodnić byt. Byt jest to tyle, co wola i życie. Ostatniem słowem wszystkiego jest dobro.

Oto jądro psychologiczno-woluntarystycznej metody w modernistycznej apologetyce francuskiej.

Widzieliśmy, że według pragmatyzmu wszystkie pojęcia nasze i teorye są tylko narzędziami, służącemi do pewnych celów praktycznych, że są przystosowaniem myśli do faktów. Teorya nie jest rozwiązaniem kwestyi, lecz programem dalszej pracy.

U modernistów francuskich spotykamy się z temi samemi myślami. Zadaniem nauki nie jest, według nich, zestawić inwentarz dokładny danej rzeczywistości, lecz dać schemat możliwych doświadczeń. Wnioski, do jakich nauki dochodzą, nie są prawdziwe w zwyczajnem tego słowa znaczeniu. Lecz one są skuteczne. Nasze symbole naukowe są narzędziami pozwalającemi nam dotrzeć do rzeczy, chociaż nie doprowadzają nas do widzenia jej. Filozofia więc, a także filozofia religii, jest czynnością *par excellence*, jest najwyższą inwencyą, świadomą swych dróg, dochodzącą do utworzenia i ustalenia rzeczywistości.

Nauka nie daje nam obrazu rzeczywistości. Nauka zużytkowuje tylko dane naszego doświadczenia, które jednak byt rzeczywisty paczą. Nauka określa wprawdzie i ogranicza dokładniej te dane empiryczne, lecz tym sposobem oddala się jeszcze bardziej od rzeczywistości przedmiotowej. Rzeczywistość jest zbyt bogata, zbyt zawiła, zbyt ruchliwa, ażeby się mogła mieścić w ciasnych i szczupłych schematach naukowych [1]. W miejsce danej rzeczywistości wchodzi konstrukcya naukowa mniej lub więcej dowolna. Lecz formuły naukowe dają nam możność pracy nad rzeczywistością; za ich pomocą możemy wniknąć w rzeczywistość, żyć w niej, przejąć nią nasze myśli, i wreszcie dojść do niedającej się naukowo określić intuicyi. Formuły naukowe są więc receptami postępowania, ślepemi wprawdzie, sztucznemi, nielogicznemi,

[1] Porównaj podobne poglądy u Macha w naszej pracy o agnostycyzmie. *Przegląd Powszechny*, t. 97, str. 249.

tymczasowemi, lecz receptami prowadzącemi do upragnionego celu, skutecznemi.

Jednem słowem: nie należy pojmować nauki intellektualistycznie jako wytwór spekulacyi, lecz pragmatycznie jako metodę działania. Pierwszą drogą dochodzimy conajwyżej do sceptycyzmu, drugą docieramy do samej głębi rzeczywistości. Prawdy naukowej nie można pisać w traktatach; ten tylko zna ją, kto ją praktykuje, kto tworzy.

Jak nauka i filozofia intellektualistyczna, tak i religia i teologia intellektualistyczna musi ustąpić pragmatycznej i to z tych samych racyi. Tak samo jak poznajemy rzeczywistość, tak też dochodzimy i do poznania Boga, nie zapomocą pojęć i rozumowań, lecz zapomocą doświadczenia i czynu. »Nie wzniesiemy się do tej tajemniczej istoty inaczej, powiada Le Roy, jak zapomocą czynności wsobnej, zapomocą doświadczenia wewnętrznego, zapomocą skutecznych dążeń miłości. Serce nasze odczuwa Boga, ono się zwraca doń i idzie do niego, jako do niezgłębionej, żywej granicy myśli, czynu i miłości«.

Teraz więc możemy już jasno poznać, jaki jest cel, do którego modernizm dąży, i że tu zachodzi t r z e c i e wielkie podobieństwo między modernizmem a pragmatyzmem. Cel jest jednoznacznie u obu określony, skoro mamy dany punkt wyjścia i kierunek drogi. Celem pragmatyzmu jest z jednej strony wyrugowanie sporów filozoficznych czysto rozumowych, nie wywierających żadnego wpływu na nasze życie praktyczne, z drugiej strony pobudzenie do czynów, do kulturalnego rozwoju życiowego. I modernizm również dąży negatywnie, do usunięcia dotychczasowej metody intellektualistycznej; pozytywnie, do woluntaryzmu, aktywizmu, do immanencyi życiowej. Stąd się tłumaczy ta wielka antypatya, jaką modernizm żywi względem filozofii opierającej się na dedukcyi i indukcyi syllogistycznej, a zwłaszcza względem filozofii scholastycznej. I jak woluntarystyczna psychologia wyrasta z wiary w powszechną ewolucyę i do tej powszechnej ewolucyi doprowadza, tak samo i modernizm jest najściślej połączony z teoryą powszechnej, bezwzględnej ewolucyi.

Ten związek między modernizmem a ewolucyonizmem po-

kazuje się najdobitniej w zapatrywaniach modernistów na dogmaty wiary katolickiej.

Dogmaty religijne mają według modernistów to samo znaczenie, co teorye i hipotezy naukowe. Jak teorye naukowe nie są i nie mogą być dokładnymi obrazami przedmiotowej rzeczywistości, tak i dogmaty nie mogą nas pouczyć o metafizycznym, Bożym porządku rzeczy. Jak teorye naukowe, tak i dogmaty religijne są li tylko narzędziami pracy, symbolami rzeczywistości, środkami dojścia do bezpośredniej intuicyi. Powinniśmy szanować dogmaty, pisze Le Roy, lecz dogmaty są same w sobie martwe; należy je ożywić intuicyą, której one są tylko narzędziami. Również Wilbois, Loisy, Laberthonnière i inni twierdzą, że dogmaty mają zupełnie tę samą naturę co teorye naukowe. Dogmat wyraża swój przedmiot w symbolach czynu *(en symboles d'action)*, zastępuje ten przedmiot reakcyą życiową, jaką w nas wywołuje. O ile więc dogmaty są brzemienne w skutki, o tyle są także prawdziwe.

Jasną jest rzeczą, że na podstawie takich poglądów nie można mówić o bezwzględnych, nienaruszalnych dogmatach wiary. Jak każde poznanie, każda formuła naukowa, tak i dogmaty podlegają powszechnemu prawu ewolucyi. Lecz nie w znaczeniu katolickiem, t. j. że dogmaty z biegiem czasu bardziej się rozwijają i wyraźniej określają to, co już przedtem w sobie jakoby w jądrze zawierały, ale w tem znaczeniu, że mogą się kiedyś okazać fałszywymi. Alfred Loisy, George Tyrell, E. Le Roy, Wilfrid Ward, Laberthonnière, Maurycy Blondel i mnodzy inni głoszą wyraźnie teoryę ewolucyonistyczną i relatywistyczną dogmatów wiary.

Wystarczy dla przykładu nieco dokładniej przedstawić zapatrywania Loisyego na istotę dogmatu. Według niego wiara i wiedza tworzą dwa odrębne, niezależne od siebie światy. Wiedza jest poznaniem zjawisk podpadających pod nasze poznanie zmysłowe; wiara zaś nie jest właściwie wcale poznaniem, lecz dążeniem do niezmiennego, Boskiego pierwiastka, będącego podścieliskiem wszystkich zmian i wydarzeń.

Lecz chociaż wiara nie jest poznaniem, przecież człowiek chce niepoznawalną i niezmienną prawdę ująć w symbole, by

tak przynajmniej na swój ludzki sposób mógł zrozumieć to, co jest Boskie. Takimi symbolami są właśnie zdania o Bogu i o rzeczach odnoszących się do Boga. Takie zdania nie są nigdy bezwzględnie prawdziwe; albowiem umysł skończony nie może nigdy sobie przedstawić bytu nieskończonego tak, jaki on jest w sobie, lecz tylko tak, jak go sam pojmuje. A zatem takie zdania mają tylko w z g l ę d n ą prawdę. A że stan intellektualny tak jednostki jak i całej ludzkości się zmienia, więc i te symbole się zmieniają. I tak może się nawet zdarzyć, że zdania wprost ze sobą sprzeczne muszą być uważane za prawdziwe; jedno będzie prawdziwe dla przeszłości, drugie dla teraźniejszości. Lecz ich prawdziwość jest oczywiście tylko względna.

Nadzwyczajne religijne wydarzenie czy to w historyi czy to w pojedyńczej duszy ludzkiej nazywa się o b j a w i e n i e m Bożem. Lecz takie objawienie nie jest nadprzyrodzone, gdyż dzieje się w zupełności na podstawie naturalnych praw psychologicznych i historycznych; można je nazwać nadprzyrodzonem tylko w znaczeniu mniej ścisłem, o ile jest niezwykłe, nadzwyczajne.

Otóż Chrystus miał takie objawienie. Objawienie to nie było sumą twierdzeń, które miał od Boga, lecz był to popęd wewnętrzny, by ogłosić królestwo Boże i przygotować ludzi na przyjście tegoż królestwa. Uczniowie Chrystusa utworzyli gminę religijną, która się powoli zorganizowała i swoje religijne przekonania i religijne życie do rozszerzającego się według czasu i miejsca widnokręgu dostosowywała. Tak powstał Kościół ze swoją hierarchią, sakramentami, dogmatami. Chrystus tego wszystkiego ani nie przewidział ani też nie chciał. Jeżeli my pomimo to nazywamy Chrystusa założycielem tego Kościoła, czynimy to dlatego tylko, że Chrystus właśnie dał początek temu rozwojowi religijnemu jeszcze dzisiaj nie zakończonemu.

Dogmaty czyli prawdy wiary nie są zatem nauką objawioną przez Boga w ten sposób, jakoby sam Bóg za ich niezmienną prawdę ręczył. One są tylko wyrazem każdorazowej świadomości ogólnej w Kościele. Kościół musiał z natury rzeczy nad tem czuwać, by nie każdy głosił swoje odrębne zapatrywania religijne, i dlatego określił, które symbole religijne mają znaczenie. Na tem

właśnie polega czynność kościelnej władzy nauczania, a owocem tej czynności są dogmatyczne określenia. Te dogmaty nie mają żadnego znaczenia naukowego, lecz tylko znaczenie religijne. One są symbolem, w którym się odbija każdorazowe pojmowanie niepojętego, Boskiego pierwiastka. Wraz z postępem czasu i rozwojem ludzkości zmieniają się także symbole wiary. Niezmiennem pozostaje tylko to, co wszystkim zmiennym w sobie symbolom jest wspólne, istotne. Tą istotą jest tylko przedmiotowa prawda Boża, nie zaś podmiotowa prawda w religijnem poznaniu Kościoła i w dogmatach jako wyrazach tego poznania.

Może jeszcze wyraźniej niż Loisy powołuje się Wilfrid Ward na teoryę powszechnej ewolucyi, której podlegają i dogmaty religijne. Dotychczasowe pojmowanie statyczne określeń dogmatycznych musi ustąpić pojmowaniu dynamicznemu; jedynie teorya ewolucyi myśli jest w stanie załagodzić walczące ze sobą przeciwieństwa.

Nie zatrzymujemy się dłużej nad tym punktem; przytoczone przykłady dostatecznie wykazują pokrewieństwo między pragmatyzmem i modernizmem.

Fryderyk Klimke.

POD KOPUŁĄ ŚW. PIOTRA.

(Dokończenie).

III.

Katedra i konfesya, nagrobki i pomniki papieskie.

Jeśli od głównego wejścia do bazyliki watykańskiej ogarniemy okiem cały ogromny jej przestwór, to na przeciwległym krańcu, w absydzie, wysoko poza konfesyą, ujrzymy świecące z oddali w aureoli blasków słonecznych przeźrocze na szkle wyobrażenie gołębia z rozpostartemi skrzydłami — symbol Ducha Św., rozjaśniającego swem światłem nadprzyrodzonem religijną i moralną naukę Kościoła. Szeroko na cały wszechświatowy jego przestwór rozchodzą się promienie tego światła, sięgają do najdalszych jego krańców, gdziekolwiek istnieje i działa pasterski nauczający jego urząd, głównie wszakże skupiają się w centralnem ognisku życia katolickiego, najpełniejszym blaskiem jaśnieją ponad katedrą piotrową, najwyższym nauczającym w Kościele urzędem rybaka apostolskiego dusz ludzkich łowcy i pasterza.

W przedziwnie jasnej, wyrazistej symbolice uprzytomnia się nam pod sklepieniem bazyliki watykańskiej ta zasadnicza idea katolicka.

Bezpośrednio pod wyobrażeniem Ducha Swiętego w uroczystej i wymownej, choć niezbyt pięknej wspaniałości, wznosi się katedra księcia apostołów. Główna jej część zakryta przed oczami widza w odpowiedniej oprawie ma być autentycznym po św. Piotrze

zabytkiem. Jest to z drzewa wyrobione, kością słoniową zdobne, starożytne wielce krzesło, podarowane jakoby apostołowi przez goszczącego go w Rzymie senatora Pudencyusza. Archeologowie poczytują tę tradycyę za zupełnie bezpodstawną, ale nie zdołali określić czasu pochodzenia tego zabytku. To pewna, że ulegał on wielokrotnym przeróbkom: Rossi mniema, że tylko szkielet drewniany pochodzić może z czasów pierwotnych, ozdoby zaś znacznie są późniejsze. Z naszego punktu widzenia sprawa to drugorzędna — dość nam wiedzieć, że ów tron piotrowy od wieków był symbolem najwyższego nauczycielskiego w Kościele urzędu.

Pierwotnie znajdował się on w kaplicy Chrztu św., później zamknięty w ozdobnej pokrywie bronzowej roboty Berniniego przeniesiony został w r. 1656 na obecne swe miejsce w głębi absydu i tu ustawiony na podstawie, którą tworzą olbrzymie bronzowe figury (przez Berniniego również wykonane) czterech najstarszych doktorów Kościoła: świętych, Augustyna, Ambrożego, Anastazego i Jana Chryzostoma, niby filary mądrości kościelnej, podtrzymujących tron jej apostolski.

Całość dzieła, podobnie jak baldachim przez tegoż artystę ponad konfesyą zbudowany, typowy twór baroku o bogatych ozdobnych, ale wymuszonych i niespokojnych kształtach, wypowiada jednak jasno i dobitnie ideę w niej uprzedmiotowioną, a stanowiącą niejako uzupełnienie tej, co do nas z grobowca apostolskiego przemawia. Tam wyznanie wiary kościelnej w kulcie prochów i relikwii świętych w odprawianej nad nimi sakramentalnej ofierze — tu głos nauki kościelnej uprzytomniający się nam niejako w widomym symbolu jej urzędu apostolskiego, w postaciach naczelnych jej mistrzów, w świetlistej ponad nią aureoli Ducha Świętego.

Dokoła tych dwóch głównych ognisk bazyliki, dwóch na wieki utrwalonych w niej, monumentalnych symbolów wiary i nauki Kościoła, olbrzymim wieńcem marmurów ciągną się grobowce zwierzchnich jego władców. Jest to jakby zamknięta w sobie linia najwyższej jego powagi ogarniającej niewzruszoną, nieprzerywalną mocą namiestnictwa Chrystusowego wszelkie wyznawane w tym obrębie dogmaty, głoszone w nim idee i zasady.

Wszelako konfesya pierwszeństwo ma przed katedrą. Wyznanie wiary wobec grobu tego, co przez wiarę stał się księciem apostołów i opoką Kościoła (Mat. 16, 15—17) poprzedzać musi poznanie i zrozumienie nauki, wiarę tę *ex cathedra* z mocy autorytetu apostolskiego wyjaśniającej. Wszakże to zasadnicza prawda religijnego życia w Chrystusie. Bez uznania jej można być dyletantem chrześcijaństwa — nigdy istotnym, szczerym chrześcijaninem. Nie dziw tedy, że w tej stołecznej świata chrześcijańskiego świątyni punktem centralnym, podstawowym, jest grobowiec apostoła najpierwszego wyznawcy i rzecznika chrześcijańskiej wiary.

Wyżej zaznaczyłem, że całą bazylikę watykańską można poniekąd uważać za olbrzymi grobowiec św. Piotra. Wszystkie jej pomniki i zabytki, wszystkie przepychy budowlane, rzeźbiarskie, mozaikowe, to uzupełnienia i ozdoby tego kolosalnego grobowca, mające go upiększać, uświetniać i unaoczniać wiernym wcieloną w nim wszechświatową ideę religijną. Groby papieskie wyobrażają historyczną stronę tej idei: nieprzerywalność w dziejach tradycyi kościelnej przez Chrystusa za pośrednictwem Piotra św. chrześcijaństwu przekazanej.

Dwoma kondygnacyami otaczają te groby konfesyę. Jedna z nich, główna, ciągnie się wzdłuż murów kościelnych szeregiem wspaniałych pomników, druga ukryta w cieniach grot świętych, czyli dolnego, podziemnego kościoła, mniej jest dostępna oczom zwiedzających. Do niedawna nagromadzone tu pomniki i zabytki można było widzieć li tylko w niewyraźnem oświetleniu świeczek woskowych, z któremi obchodziło się podziemia bazyliki — obecnie jawią się nam one w pełnem świetle elektrycznem, swą nowoczesnością tak dziwnie odbijającem od poważnych świętych mroków, jakie tu odwiecznie panują.

Podobnie jak większość zawartych w bazylice watykańskiej dzieł sztuki, i jej pomniki papieskie pochodzą przeważnie z epoki odrodzenia i czasów późniejszych, niebrak tu wszakże zabytków dawniejszych, a nawet najstarszych epok naszej ery: są pozostałości pierwotnej bazyliki konstancieńskiej, są też rzeczy przeniesione z innych starodawnych, dziś już nie istniejących kościołów. Znajdują się one głównie w kryptach czyli w grotach świętych,

w starych ciągnących się pod główną nawą kościoła i w nowych okalających szerokim kręgiem konfesyę. W jednych i w drugich mnóstwo drogocennych pomników i zabytków: grobowce papieży, prałatów, a nawet książąt świeckich, przeważnie z dawniejszych przedodrodzeniowych epok, niekiedy wszakże i z nowszych czasów (np. z w. XVIII nagrobki Inocentego XIII, Benedykta XVIII, Piusa VI[1]); fragmenty starodawnych zniszczonych już nagrobków, posągi, płaskorzeźby, mozaiki odwieczne, bądź w całości przechowane, bądź też w ułomkach z różnych miejsc tu nagromadzone.

Wśród nagrobków papieskich wznoszących się w górnym kościele, rozróżnić można artystyczne typy czterech głównie epok: wczesnego i pełnego odrodzenia, baroku i nowoczesnego pseudoklasycyzmu. Do pierwszej epoki należą dwa piękne dzieła Antoniego Polajnolo: nagrobki Sykstusa IV w kaplicy Przenajświętszego Sakramentu i Inocentego VIII na początku lewej nawy. Pierwszy z nich (wykończony 1493 r.) szczególnie niezrównany wzór monumentalnej siły, powagi, godności ze wspaniałą leżącą postacią papieża o rysach wyrazistych, pełnych charakteru, wykonanych z realistyczną dokładnością, a jednak przenikniętych niezmiernie szlachetnym idealizmem z mnóstwem pięknych szczegółów ornamentacyjnych, w których podziwiać trzeba doskonałe wykończenie artystyczne obok wiernej w mnóstwie postaci alegorycznych, charakterystyki jednego z najgorliwszych pracowników kultury na tronie papieskim.

W głębi absydu po obu stronach barokowej katedry apostolskiej Berniniego, wznoszą się dwa nagrobki papieskie, podobne kształtem i układem zewnętrznym, różne bardzo stylem i charakterem artystycznym, świadczącym o pochodzeniu ich z dwóch odmiennych epok sztuki. Po lewej ręce widzimy nagrobek Pawła III wykonany przez Wilhelma della Porta, pod bezpośrednim pono wpływem czy kierunkiem Michała Anioła, poważne, tonem szlachetnej prostoty i godności przeniknięte dzieło renesansowe. Siedząca figura papieża wyobraża idealną postać mędrca-kapłana,

[1] Niedawno Pius X podczas jednego z uroczystych przyjęć kardynałów wyraził życzenie, aby jego zwłoki pochowane były w grotach świętych.

który z wysokości swej stolicy pontyfikalnej ku nizinom życia się nachyla z wymownym myśli i błogosławieństwa pełnym gestem ręki i głowy. U stóp pomnika dwie alegoryczne figury niewieście: piękna o bujnych młodzieńczych kształtach sprawiedliwość i poważna z surowem obliczem matrona przezorność — obie w pozach naturalnie swobodnych, a przytem doskonale symetrycznych, wzorowanych widocznie na figurach alegorycznych z pomników wzniesionych przez Michała Anioła, w grobowej kaplicy Medyceuszów we Florencyi.

Jakże inaczej przedstawia się drugi po przeciwnej stronie absydu umieszczony nagrobek Urbana VIII — jedno z najpiękniejszych dzieł Berniniego, w całej swej okazałości barokowej bardzo wyraziste, wymowne postawą i gestem, uderzające jednak więcej szeroko roztoczystą malowniczością aniżeli skupioną w sobie siłą i powagą monumentalną.

Odtąd przez ciąg dwóch stuleci prawie za czasów wszechwładztwa baroku wznoszono pod kopułą św. Piotra nie tyle grobowce-pomniki, co grobowce-obrazy. Twórcy ich nie poprzestawali na monumentalnym uprzedmiotowieniu majestatu śmierci doczesnej, jako przejścia do wiekuistej nieśmiertelności lub posągowo uroczystego w danej postaci dziejowej gestu życia, jako wyrazu wiekuiście niezmiennej prawdy życiowej. Za czasów rozmiłowanych w okazałych produkcyach dworskiej pompy i wspaniałości, pełni chęci popisu ze swym wirtuozowstwem artystycznem, usiłowali oni unaoczniać widzom w grobowych pomnikach naczelnych zwierzchników Kościoła, całe sceny z ich życia w uroczystych momentach władczej ich potęgi i majestatu pontyfikalnego. Takim sposobem powstały liczne pomniki papieskie z XVII i XVIII wieku, na których widzimy stojące zazwyczaj w malowniczych, efektownych pozach postaci nie tyle Ojców świętych, co władców duchownych świata chrześcijańskiego, majestatycznym gestem udzielających błogosławieństwa apostolskiego, zgromadzonym podczas jakiejś uroczystości kościelnej tłumom wiernych. U stóp pomników postaci alegoryczne o żywych, wyrazistych, często wymuszonych ruchach, tu i owdzie pulchne amorkowate aniołki, lub krańcowe ich przeciwieństwo kościotrup śmierci, wy-

chylający się z kunsztownie, a nie gustownie naśladowanych w marmurze draperyi; na podstawie płaskorzeźby przedstawiające w ogromnem natłoczeniu figur pamiętne chwile z życia i dziejów, lub wybitne postaci z otoczenia zmarłych papieży. Całość malownicza, ornamentacyjna, świadcząca o wielkiej biegłości artysty, niekiedy nawet wyrazista bardzo, ale w wyrazie przeważnie na zewnątrz zwrócona, w układzie i ugrupowaniu figur obliczona na popis zewnętrzny, w ich postawach i gestach często raczej teatralna aniżeli monumentalna — wierne zresztą w tem wszystkiem wyobrażenie życia danej epoki, jak w innych swych sferach, i w sferze kościelno-religijnej bardzo powierzchownego, pustego w popisowej teatralności rozmiłowanego wielce.

Odmienny bardzo widok przedstawia wykonany przez Canovę nagrobek Klemensa XIII. To już sam schyłek XVIII wieku (pomnik ukończony w r. 1795), nowy kierunek w sztuce, odpowiadający nowym prądom życia. Zwrot do zapoznawanej przez czas tak długi spokojnej monumentalnej powagi, więcej prostoty w formie i w układzie zewnętrznym, bardziej skupiony w sobie i pogłębiony wewnętrznie wyraz głównych postaci. Jest w tem dużo sztuczności, dużo niewolniczego naśladownictwa jednostronnie, pseudoklasycznie pojętych wzorów starożytnych, ale jest też wiele z ducha czasu, tak odmiennego od minionej co tylko epoki dworactwa i dworsko-arystokratycznej pozy. Po wielkich wstrząśnieniach dziejowych uprościło się życie europejskie w swych formach, pogłębiło się i spoważniało w swej treści duchowej, przedewszystkiem w religijnych jej objawach, w kościelno-katolickim jej zakresie.

Wszystkie te nowe znamiona życia i sztuki, tak z dodatniej jak i ujemnej swej strony odzwierciedlają się w pięknem dziele Canovy. Na bardzo prostym, o szlachetnych formach sarkofagu, klęcząca postać papieża w ogromnem, pełnem ducha skupieniu modlitwy. Ani śladu pontyfikalnej pompy, roztaczanej przed oczami tłumów. Namiestnik Chrystusowy w kornej postawie, z pochyloną głową, z wyrazem troski i bólu na szlachetnem obliczu, modli się do Boskiego Mistrza w ciszy i samotności swej duszy. Przed nim tyara papieska, na nim obrzędowe szaty kapłańskie.

To nie pyszny władca Kościoła w majestacie jego potęgi i chwały — to najwyższy jego kapłan schylony w modlitwowej chrześcijańskiej rezygnacyi pod brzemieniem najcięższych jego cierpień — jakby symboliczna figura w trudzie i bólu skupionego religijnie Kościoła naszych czasów.

U stóp pomnika dwa wspaniałe lwy, symbole mocy niezłomnej — na podstawie z jednej strony alegoryczna postać wiary w zakonnych szatach, z krzyżem ogromnym, z promieniami dokoła głowy o dość wymuszonej sztucznie uroczystej minie i postawie — z drugiej strony rozparty na zgaszonej pochodni życia, pięknie wyrzeźbiony, ale nazbyt apolinowski, nazbyt klasyczno-grecki geniusz śmierci.

Inne pomniki papieży z doby nowoczesnej, z wieku XIX (Leona XII, Piusa VII i Piusa VIII) bądź trzymane są w stylu naśladowczego klasycyzmu, bądź odznaczają się tak znamiennym dla sztuki naszych czasów bezstylowych eklektyzmem artystycznym. Każda epoka upamiętniona została w tym watykańskim panteonie katolicyzmu, charakteryzującymi ją w ten lub ów sposób pomnikami życia kościelnego, każda przemawia nimi mniej lub więcej pod względem artystycznym szczęśliwie o znamienitych tego życia postaciach, o powołanych na urząd święty kapłańskich jego wodzach i sprawcach. Począwszy od uroczyście hieratycznej, początkami swymi wprost ze sztuką starożytną graniczącej statui księcia apostołów, aż do wyobrażonych na nowożytnych pomnikach następców jego najbliższych nam w czasie — mamy tu długi szereg postaci papieskich, z których każda wyobraża jakiś moment pamiętny w życiu i rozwoju Kościoła, stanowi jedno ogniwo długiego w ciągu wielu wieków poprzez serce chrześcijańskiej ludzkości ciągnącego się łańcucha dziejów.

IV.

Papiestwo i katolicyzm w murach św. Piotra.

Nie wszyscy papieże mają swe pomniki u św. Piotra[1], ale papiestwo w swym całokształcie dziejowym, w swem górującem

[1] Nagrobki papieskie znajdują się w wielu innych kościołach rzym-

wśród świata chrześcijańskiego znaczeniu ma tam pomnik tak jednolity, skończony w sobie i pełen wyrazu, jakiego nie posiada żadna inna instytucya na świecie.

Widzieliśmy nagrobki papieskie, otaczające olbrzymim, przez dzieje uwitym wieńcem marmurów grobowiec apostoła, łączące się z nim w przepotężną i przewspaniałą całość tego mauzoleum wszechświatowego, wzniesionego na watykańskiem wzgórzu ponad najszacowniejszą relikwią katolicyzmu. Od tej relikwii biorą oni swe religijne uświęcenie, podobnie jak spoczywający pod nimi następcy księcia apostołów w prostej linii od niego, drogą nieprzerwanej tradycyi kościelnej i przez apostolskie rąk nałożenie brali uświęcenie swego najwyższego w Kościele kapłaństwa, swego pasterskiego ponad duszami ludzkiemi urzędu.

W niektórych z tych nagrobków niewiele dostrzegliśmy prawdziwie religijnego charakteru: wyglądają one bardziej na wystawę dość poziomej pompy światowej, aniżeli na pomniki wyższego religijnego życia. Epoka historyczna za pośrednictwem swego stylu artystycznego wycisnęła na nich znamienne swe piętno — pusta, małoduszna epoka rozmiłowana w powabach powierzchni, obca pięknościom głębi, biegła raczej w zdobieniu aniżeli w tworzeniu, raczej nadmiarem gustu przeczulonego aniżeli skarbami myśli i serca bogata. To, co wiemy o niej z dziejów, mówią nam też watykańskie jej pomniki. Jeden więcej dowód nieposzlakowanej ich szczerości.

Płynące na fali dziejowej papiestwo przez różne jej prądy porywane bywało, różnym jej zboczeniom zdało się ulegać, istotny jednak swój kierunek otrzymywało zawsze od prądu wewnętrznego swego życia, który od grobu apostoła za sprawą Tego, co śmiercią śmierć zwyciężył, wciąż nowemi, odżywczemi falami do łona Kościoła Powszechnego napływa. Stąd dwoisty charakter

skich: Klemensa XII i Leona XII (tego ostatniego odsłonięty w roku bieżącym) u św. Jana Laterańskiego, Pawła V i Klemensa VIII u św. Maryi Większej (S. Maria Maggiore), Piusa IX u św. Wawrzyńca za murami (S. Lorenza fuori della mura), Juliusza II (właściwie fragment słynnego dzieła Michała Anioła ze znamienitą figurą Mojżesza), Leona X u św. Maryi na Kapitolu (S. Maria in Ara Coeli).

w naczelnym jego pomniku historycznym, w bazylice watykańskiej tak dobitnie się przejawiający.

Od wieków zarzucano mu nadmierną ustępczość lub zgoła skłonność dla względów i wymagań światowych. Wszakże nawet bałwochwalstwa i pogaństwa nieraz się w nim dopatrywano. Już do epoki pierwszych tryumfów Kościoła za Konstantyna W. zarzuty te stosowano. A na późniejsze jego czasy jakże często spadały one istnym gradem najzłośliwszych obelg. Dość wspomnieć epokę odrodzenia, kiedy to reformatorowie protestanccy z Lutrem na czele, zgorszeni okropnie panującym naówczas w Rzymie kultem starożytności klasyczno-pogańskiej, nie mieli dość gwałtownych słów potępienia dla »nowożytnego Babilonu«, dla »stolicy nierządu i bałwochwalstwa papieskiego«.

Trzeba sobie zaiste wyobrazić zdziczałego brata Marcina, gdy w interesach zakonu ze swej przez pół barbarzyńskiej północy germańskiej przybył do Rzymu płonącego pełnym blaskiem kultury renesansowej. Zrozumiałem się okaże rozpaczliwe jego oburzenie na to przedziwne zmartwychwstanie bogów helleńskich w całej krainie ich piękności marmurowej, entuzyastycznie pozdrawianych przez wytwornych prałatów rzymskich z Namiestnikiem Chrystusowym na czele! A jednak coby się stało z całą naszą cywilizacyą nowożytną, gdyby to oburzenie Lutra ogarnęło całe chrześcijaństwo i wyznaczyło przyszłe drogi jego rozwoju duchowego? Jakbyśmy dziś wyglądali bez odrodzeniowego dla pogańsko-helleńskich zabytków entuzyazmu stolicy chrześcijańskiej? Zapytajmy o to tych choćby, co największą są chlubą północno-protestanckiej kultury, na przykład obu genialnych helleńczyków germańskich: Goethego i Nietzschego.

Minęły wieki — i oto dzisiaj przybyły z dalekiej północy wędrowiec odczuwa jakby coś z oburzenia Lutra gdy w watykańskiej stołecznej świątyni chrześcijaństwa wzrok jego padnie na różne światowe lub zgoła pogańskie przedmioty. Na samym wstępie do bazyliki, na głównych spiżowych jej drzwiach ujrzy wykute jeszcze w pierwszej połowie XV wieku, za papieża Eugeniusza IV, przez Filareta płaskorzeźby, wyobrażające różne sceny historyczne i religijne w otoczeniu motywów z mitologii kla-

syczno-pogańskiej, między którymi zdarzają się i takie, jak np. Leda z łabędziem. A we wnętrzu bazyliki wieleż odgłosów klasycznego pogaństwa! Naprzód w ogólnem wrażeniu poczytywanej przez wielu za antychrześcijańską, jasnej, skończonej w sobie harmonii, która kazała Tainowi podziwiać, nie bez złośliwej ironii, tę najpiękniejszą w chrześcijaństwie świątynię pogańską; a następnie w mnóstwie szczegółów dziwnie niekiedy uderzających nieprzywykłe oko.

Oto np. na znamienitym pomniku Pawła III nie bez zdziwienia pewnego oglądamy allegoryę sprawiedliwości, wyobrażaną przez uroczo-zmysłową, o bujnych kształtach postać kobiecą. Zdziwienie nasze wzrasta wszakże jeszcze, gdy się dowiadujemy, że ta obecnie do połowy przynajmniej odziana postać, pierwotnie zupełnie była naga i uchodziła powszechnie za wierny portret pięknej Julii Farnese, synowicy zmarłego papieża, a ongi pono kochanki Aleksandra VI. To mniemanie dzisiaj uznane zostało za bezpodstawne, ale sam fakt umieszczenia na honorowem miejscu świątyni wyobrażenia nagiej hetery, jakże dziwnym a nawet gorszącym wydać się nam może. Dopiero w wieku XVIII okryto tę postać — nie bez znacznej ujmy dla artystycznego jej charakteru obecną bronzową draperyą.

Wiek XVIII nagości zupełnej w sztuce mniej używał, ale pięknie odziane figury jego rzeźb i obrazów więcej pono miewały czasem powabu zmysłowego, aniżeli najbardziej obnażone marmury z epoki poprzedzającej. Niejedną taką figurę widzieć można na barokowych pomnikach bazyliki watykańskiej; niejedna allegoryczna postać niewieścia w zalotnej pozie roztacza na nagrobkach papieskich powaby swego ciała, przezierające poprzez kunsztownie w marmurze wypracowane draperye i zasłony. A owe wdzięczne aniołki do amorków zupełnie podobne, owe niezliczone drobiazgowo wykończone ozdoby architektoniczne i rzeźbiarskie, czyniące niejeden sarkofag marmurowy czemś w rodzaju wyolbrzymionego cacka czy pieścidełka salonowego. Wszystko to bardzo świecki, światowy ma wygląd i dziwnie odbija od powagi miejsca świętego, od majestatu religijnych pamiątek, zabytków

i symbolów w centralnej świątyni świata chrześcijańskiego nagromadzonych.

Jest w tem pewna analogia do płochego nieraz bardzo zachowania się publiczności w kościołach rzymskich podczas najsolenniejszych nawet nabożeństw. W czasie uroczystości wielkotygodniowych słyszeć można u św. Piotra w doskonałych chóralnych pieniach najcudniejszą muzykę religijną starych mistrzów włoskich na tle najniesforniejszej wrzawy, jaką czynią snujące się wciąż po kościołach tłumy, rozbawionych, rozhukanych, rozgadanych gromad ludzkich. Niewidzialny chór w nadziemsko-pięknych harmoniach Palestriny opiewa, wysławia, opłakuje nadziemską ofiarę Golgoty a na kościele gwar i szum jakiegoś olbrzymiego rautu światowego, pełnego ziemskich aż nadto ziemskich odgłosów.

Do powiększenia tej wrzawy niemało przyczyniają się oczywiście obcy przybysze, turyści, których nigdy nie brak w żadnym z rzymskich kościołów; głównymi jednak jej sprawcami są niewątpliwie rodowici Rzymianie. Przybysze, przeważnie ludzie wysoce kulturalni, żądni widzieć i usłyszeć wszystko, co jest do widzenia i do słyszenia, choćby dlatego w większości swej gotowi są zachować spokój, aby nie stracić jednego z oczekiwanych wrażeń, jakiego może im dostarczyć śpiew słynnych na świat cały chórów watykańskich — ludzie miejscowi, »dla których wrażenie to nie jest nowością, z natury rzeczy mniej o nie dbają, zajęci przeważnie zwyczajowem zwiedzaniem grobów, co przy żywym temperamencie Włochów bez szumu i gwaru obejść się nie może.

Kto miał sposobność towarzyszyć uroczystości wielkopiątkowej w jakim protestanckim niemieckim kościele łatwo dostrzeże zupełnie odrębny jej ton i nastrój. Jakże istotnie odmienny jest ten nieruchomy, niezmącony spokój zapełniających wszystkie ławki kościelne pobożnych, bądź śpiewających chórem przepisane psalmy, bądź zasłuchanych w wykonywane artystycznie arcydzieło muzyki religijnej. Jest to czasem prawdziwie doskonały koncert duchowny, czasem doskonała duchowna nuda, bijąca od przeraźliwie monotonnych pieśni świętych ze świętą iście cierpliwością odśpiewywanych.

Może ten nastrój religijny wydawać się komuś więcej poważnym ale czy więcej ma zdolności przenikania i ogarniania życia ludzkiego we wszelkich jego objawach?

Oto jest pytanie rozstrzygające o trwałym wpływie i znaczeniu danej formy kultu religijnego.

Wszelka religia o tyle tylko zdolna jest trwale i powszechnie duszami ludzkiemi owładnąć, o ile w jedności swych zasad ogarnia możliwie najszerszy zakres zjawisk i stosunków życiowych, o ile przemawia do ludzi nie tylko całą powagą życia, często surową i groźną, lecz także całą jego radością i uciechą choćby mniej w pewnych razach poważną, byle nie sprzeczną z naczelnemi zasadami wiary.

Czyż trzeba dowodzić, że w świecie chrześcijańskim taką religią może być li tylko katolicyzm, że on tylko posiada przedziwny dar przy zachowaniu swej doktrynalnej i dogmatycznej jedności przystosowania się do wszelkich możliwych przejawów ludzkiego życia, ogarnięcia sobą najróżnorodniejszych potrzeb ludzkiej duszy, od najpoważniejszych i najgłębszych, aż do najbardziej zewnętrznych, — od straszliwej grozy religijnej myśli Pascala aż do serdecznej uciechy chłopka polskiego, radującego się nowonarodzonej dziecinie Boskiej swemi naiwnemi kolendami.

Czyż można sobie wyobrazić w jakiemkolwiem innem wyznaniu chrześcijańskiem taką olbrzymią skalę życia religijnego, ogarniającą takie krańcowe jego przeciwieństwa?

Nie gorszmy się tedy tak dalece niesforną wrzawą, jaką słyszymy wśród czcigodnych murów, otaczających grobowiec apostoła podczas świętych obrzędów i modłów odprawianych na pamiątkę ofiarnej śmierci Zbawiciela. Jest to jedno z przeciwieństw, nieodłącznych od życia, obecnych zawsze we wszystkich realnych jego przejawach, — przeciwieństw między powagą a płochością, górnym wzlotem myśli i uczuć a poziomem pełzaniem upodobań, skłonności, przyzwyczajeń. Czy kiedykolwiek zostaną one mniej lub więcej zupełnie sharmonizowane na jakichś wyżynach ducha?

Jest to zagadnienie, dokoła którego skupiają się wszystkie

wiary i wszystkie zwątpienia ludzkości, wszystkie promienie jej wielkich ognisk religijnych, naukowych, filozoficznych.

To pewna, że nie zostanie ono rozwiązane tam, gdzie będą usunięte wszystkie niższe jego współczynniki, a pozostanie tylko jakaś abstrakcya życiowa, daleka od konkretnej rzeczywistości.

Czy nie rodzajem takiej abstrakcyi jest sztywna pastorska powaga kultu protestanckiego i pozbawionych wszelkich ozdób protestanckich świątyń?

Protestantyzm, usuwając ze swego kultu wszystko to, co poczytuje za świeckie lub zgoła pogańskie naleciałości w katolicyzmie, zadanie sobie znakomicie upraszcza, ale czy nie czyni je przez to na zawsze niemożliwem do rozwiązania? Czyż katolicyzm już przez to samo nie jest zdolniejszym rozwiązać je w duchu istotnej prawdy życia, iż w swych wierzeniach i praktykach więcej zawiera treści życiowej? Dość przeczytać to, co pisze o obrzędach katolickich bezstronny chyba w tym względzie sędzia — Goethe w swym pamiętniku *Dichtung und Wahrheit.*

Mimochodem tylko potrącam tu o te pytania, nasunięte mi przez przeciwieństwa wrażeń, jakich każdy zapewne w mniejszym lub większym stopniu doznawał wobec niektórych aż nadto świeckich dzieł sztuki pod kopułą św. Piotra napotykanych. Czy nie zachodzi tu pewna analogia, rzucająca wiele światła na przepotężną, wiecznotrwałą wymowę skupionych w stołecznej świata katolickiego świątyni pomników i zabytków?

V.

Harmonia sztuki i harmonia idei.

Katolicyzm po wszystkie czasy pozwalał sztuce wysławiać Boga i rzeczy Boskie w mowie stylizowanej odpowiednio do jej charakteru w danej epoce, a zatem i do charakteru wypowiadającego się w niej życia. Nie dziw, że w centralnej swej na Watykanie świątnicy dopuścił do głosu style z czasów najbujniejszgo rozwoju nowożytnej plastyki artystycznej, chociaż nie były to

czasy największego pogłębienia ducha religijnego ani sztuki religijnej. Stąd pod kopułą św. Piotra owe arcytwory baroku, krzykliwie, wymowne, przejaskrawione w tonie i nastroju, o wyrazie raczej uzewnętrznionym teatralnie, aniżeli monumentalnie ku wnętrzu skupionym, lub owe figury i ornamentacye renesansowe o przedziwnej harmonii kształtu i wyrazu, osiągniętej jednak przez zbyt bezwzględne ograniczenie, niejako zatopienie treści duchowej w uzmysławiającej ją pięknej formie artystycznej.

Widzieliśmy wszakże, że pomimo tego wygórowania strony formalnej czy to w błyskotliwości czy w plastyce zmysłowej, idea religijno-kościelna w bazylice watykańskiej uprzedmiotowiona została z wielką jasnością i siłą wyrazu. Wynika to z niezrównanie logicznej harmonii w układzie całości i w ustosunkowaniu wszystkich składowych jej części. Tu i owdzie odezwie się w niej wprawdzie motyw zbyt krzykliwy, ale wyraża zawsze dobitnie to, co ma wyrażać, a nadmiar jego tonu rozpływa się w potężnym akordzie całokształtu architektonicznego.

Czasami znów motyw nadto światowy uderzy nas rozdźwiękiem wśród tych marmurowych harmonii wiary, zgłuszy go jednak wnet w sercu wierzącego chrześcijanina poważny, uroczysty akord hymnu religijnego mistycznemi falami płynącego poprzez wieki od grobu apostoła, od otaczających go świętych pamiątek i relikwii, od wznoszących się ponad nim mozaikowych wizyi niebiańskich.

Pamiętać przytem trzeba, że bazylika watykańska, odpowiednio do swego centralnego i stołecznego w świecie chrześcijańskim znaczenia, jest przedewszystkiem symbolem jego jedności, jakby symbolicznem uprzedmiotowieniem skupionych w środkowym punkcie organizacyi kościelno-katolickiej, a na cały okrąg ziemski rozprzestrzeniających się duchowych mocy chrześcijaństwa. Jako centralny, naczelny jego pomnik musi ona tedy unaoczniać nam głównie ideę zjednoczenia – zjednoczenia w wierze, tradycyi, nauce, organizacyi, hierarchii — w tem wszystkiem, co stanowi istotną treść, nieodzowny warunek bytu i rozwoju Kościoła Powszechnego.

W nastroju i wyrazie zewnętrznym innych znamienitych świątyń chrześcijaństwa uwydatniają się różne motywy jego życia religijnego: wzlot duszy ku niebiosom, spływające na nią ze sfer podniebnych światłem złociste blaski, otaczający ją mistyczny pomrok tajemnic Bożych, uczucia jej w ciszy skupione lub uzewnętrznione w rozgłośnych modłach i hymnach. U św. Piotra nie brak też podobnych wrażeń i nastrojów duchowych, na pierwszy plan występuje tu jednak wrażenie jedności i powszechności — symbolicznie wyrażona dążność skupienia, ześrodkowania wszystkich promieni życia religijno-chrześcijańskiego w kościelnem katolickiem ognisku wiary, nauki, kultu.

Widzieliśmy z jaką przedziwną jasnością i wyrazistością uwydatniony jest ten przewodni motyw świętej budowli w jej całokształcie i wszystkich szczegółach, w jej pomnikach i zabytkach, ozdobach i pamiątkach, a głównie w owem monumentalnem przez nią uwiecznieniu najwyższego w Kościele urzędu i pasterstwa apostolskiego. Jednocząca jego moc unaocznia się nam tutaj w całej niezmiernej rozciągłości swych wpływów i działań, począwszy od mistycznych głębin posłannictwa nadprzyrodzonego światłem tradycyi kościelnej promieniującego wciąż z grobu księcia apostołów aż do najbardziej zewnętrznych na powierzchni życia przejawów władzy i potęgi, jak je zaznaczyliśmy w monarszej okazałości i pompie wielu nowszych nagrobków papieskich.

Cały katolicyzm skupia się pomiędzy tymi krańcami, katolicyzm głębi i powierzchni z dwustronnem swem obliczem, duchownem i świeckiem, ze swą nieśmiertelną ideą powszechności religijnej, skupiającą w sobie najistotniejszą treść ducha chrześcijańskiego, ze swem zmiennem dążeniem do świeckiej potęgi, przybierającem niekiedy (za rządów jakiegoś Aleksandra VI) nieomal antychrześcijański charakter.

Bazylika watykańska gromadzi i skupia te przeciwieństwa w niezmiernych swych przestworach, jednoczy je w przedziwnej harmonii swych potężnych, monumentalnych kształtów; — w majestacie swego ogromu i swej piękności zjawia się nam niby wiekuisty, artystycznie uplastyczniony postulat przyszłego zjednoczenia ludzkości w duchu obietnic i zwiastowań Chrystusowych.

Olbrzymie rozmiary tej największej na świecie świątyni uprzytomniają nam symbolicznie rozciągłość niezmierną najszerszej, najbardziej wszechświatowej idei religijnej, przez nią wyobrażanej — a wiekuiste idei tej w życiu ludzkości znaczenie unaocznione nam jest niejako w samej już wiecznotrwałej mocy materyału, z którego wzniesiony został ów naczelny w kościele powszechnym jej pomnik.

Kamień i metal wyłącznie tu panują; marmury, bronzy i mozaiki rozmieszczone są na ścianach i ołtarzach, pną się po sklepieniach i kopułach. Niema u św. Piotra ani jednego obrazu olejnego [1]. Na ołtarzach kopie mozaikowe znakomitych mistrzów włoskiego malarstwa. Nie bez słuszności gorszą się tem nieraz znawcy sztuki. Istotnie, miękki, soczysty pędzel malarzy renesansowych traci wiele w tej transpozycyi na twardy i suchy materyał kamienny; ale pomnikowa jednolitość świątyni tem lepiej zostaje utrzymana: nigdzie płótno ni drzewo nie zwiększają twardej kamiennej mocy jej kształtów i powierzchni.

Wrażenie jednolitości, zjednoczenia, całokształtnej harmonii wszędzie nas ogarnia i przenika w bazylice watykańskiej. Do spotęgowania go niemało się przyczynia nadzwyczajny umiar artystyczny w jej ozdobach i upiększeniach, tym godniejszy podziwu, że połączony z roztaczającem się tu dokoła niezmiernem bogactwem zdobniczem. Można powiedzieć, że niema tu ani jednego szczegółu, drobiazgu lub zakątka, któryby nie był artystycznie opracowany, nie dostarczał nam estetycznych wrażeń.

Cały olbrzymi przestwór budowli, to jeden nieprzerwany szereg dzieł sztuki, zdumiewających zarazem szerokiem rozpostarciem i doskonałem we wszystkich, najmniejszych nawet swych częściach wykończeniem. A jednak nigdzie nadmiaru, nigdzie przeładowania zdobniczego. Owszem, ogólny wygląd wnętrza świątyni na pierwszy rzut oka czyni raczej wrażenie pustego przestworu,

[1] Tylko w przyległych do bazyliki salach zakrystyi, kapituły i skarbca znajdują się nieliczne, ale niezmiernie cenne obrazy na płótnie. Między nimi najcenniejsze w sali kapituły małe obrazki Giotta i przeniesione na płótno fragmenty fresków Melozza da Forli, zdobiących niegdyś ściany kościoła św. Apostołów.

co, w połączeniu z doskonałą harmonią jej proporcyi, sprawia, że nie wydaje się ona zrazu tak wielką jak jest istotnie.

Jako wytwór najwyższej kultury artystycznej nie olśniewa ona nigdy grubymi, jaskrawymi efektami, nie przytłacza przepychem, ani rozprasza uwagi widza natłoczeniem ozdób — działa harmonią całości i bogactwem przepięknych, a znakomicie do niej ustosunkowanych szczegółów — nadewszystko zaś przemawia jasną, wyrazistą plastyką idei tak w zasadniczej jej treści jako też w przeróżnych jej odcieniach, wynikach, zastosowaniach. Nie znaleźć u św. Piotra ani jednego dzieła sztuki, ani jednej, choćby najmniejszej ozdoby architektonicznej bez wyrazu, bez znaczenia logicznego w układzie artystycznym całości w potężnej wymowie jej kształtów i symbolów.

Wszystkie one głoszą jedność, wielkość i chwałę kościoła powszechnego w pomnikach wzniesionych na cześć najwyższej hierarchii kościelnej, a uprzytomniających nam jej posłannictwo mistyczne, jej potęgę zewnętrzną, jej władczą nauczającą powagę. Kościół jako społeczeństwo wiernych wyobrażany jest przez ten olbrzymi marmurowy przestwór świątyni, roztwierający się szeroko przed napływającemi dziś wciąż rzeszami pielgrzymów, wyciągający do nich ramiona swej potężnej kolumnady zewnętrznej. W swej ogromnej rozciągłości przestrzennej unaocznia on nam również tę ideę jedności i powszechności, która pod kopułą św. Piotra tak wszechwładnie panuje, tak przemożnie narzuca się naszej myśli i wyobraźni.

W przeciwieństwie do ogółu wielkich świątyń katolickich nie posiada bazylika watykańska wielu oddzielnych, zamkniętych kaplic. Większość ich to tylko otwarte odnogi boczne, olbrzymiego obszaru kościelnego, który na wszystkie strony swobodnie się rozprzestrzenia wszędzie jednaki, wszędzie zarówno dostępny dla gromadzących się na nim rzesz ludzkich. Dwie tylko znaczniejszych rozmiarów kaplice oddzielone są dla potrzeb kultu: jedna (kaplica chóru — *capella del coro* albo *dei canonici*) przeznaczona dla uroczystych nabożeństw w niedzielę i święta [1], druga

[1] Przypominam, że przed głównym ołtarzem umieszczonym ponad grobem św. Piotra sam papież może tylko mszę odprawiać.

(capella del Sagramento) poświęcona czci Przenajświętszego Sakramentu, który przechowuje się tam we wspaniałem bronzowem cymboryum, wyrzeźbionem przez Berniniego na wzór jednego z arcydzieł renesansowej sztuki słynnego *tempietto* Bramanta [1].

VI.

Najwyższa idea chrześcijańska w najdoskonalszem dziele sztuki.

Przy samem wejściu do kościoła po prawej stronie, na wprost kaplicy Chrztu świętego, znajduje się maleńka kapliczka, zawierająca najcenniejsze w całej bazylice arcydzieło sztuki rzeźbiarskiej, słynną marmurową grupę miłosierdzia — Pietá — Michała Anioła.

Ten genialny twór młodzieńczych lat artysty (wykonany w 24 roku jego życia) łączy najcudniejszą harmonię kształtów i układu z przedziwnie wyrazistem, wiekuistą mocą natchnienia i entuzyazmu potężnem, uprzedmiotowieniem boskości w człowieczeństwie idei chrześcijańskiej w uczuciu szczero-ludzkiem. Najświętsza Panna podtrzymuje na swem łonie martwe ciało Boskiego swego Syna, wpatrzona w nie z wyrazem miłości i bólu. Całość nadludzko spokojna, beznamiętna, a jak po ludzku wymowna, z jaką skupioną mocą przemawiająca do naszej duszy, jak majestatyczna w swej cudownej prostocie, jak nadnaturalnie wzniosła w swym niezrównanym naturaliźmie artystycznym. Ciało Chrystusa wyrzeźbione jest z nieposzlakowaną wiernością prawdziwej natury, a suknia Najświętszej Panny, wraz z prześcieradłem, na którem spoczywają zwłoki, tworzy wspaniałą o bujnych fałdach draperyę, której wykonanie w marmurze zachwyca oko bogactwem kształtów, kunsztownością układu.

Nie wiedzieć co więcej podziwiać: czy doskonałe odczucie

[1] Jest to niewielka kapliczka o klasycznie pięknych kształtach i proporcyach, wznosząca się na dziedzińcu wewnętrznym kościoła *S. Pietro in Montorio* na miejscu, gdzie wedle podania św. Piotr został ukrzyżowany.

i oddanie natury, czy pomysłowość artystyczną kompozycyi, tak prostej, a przytem tak monumentalnie potężnej, w ogólnym swym zarysie i we wszystkich szczegółach tak jasnej, harmonijnej, skończenie pięknej. Linie i płaszczyzny w niesłychanej zawiłości jakby przypadkowego przelotnego w przyrodzie zjawiska układają się tu w przedziwnie sympatyczny całokształt utrwalonego na wieki w swej doskonałości i mocy dzieła sztuki.

Wszystko to jednak tylko powierzchnia genialnego natchnienia, tylko znak zewnętrzny bezdennie głębokiej myśli twórczej, tylko zewnętrzny wyraz przenikającej utwór Buonarotiego mocy duchowej, najwyższej mocy chrześcijańskiego uczucia religijnego.

Nieczęsto, jak nieczęsto, można nawet rzec jak wyjątkowo osiąga ono w sztuce zupełny samorzutny wyraz swej istoty wewnętrznej, bo i w duszy ludzkiej nieczęsto rozkwita żywą jej pełnią. Michał Anioł, uczeń i wielbiciel Savonaroli, najpotężniejszy duch odrodzenia i najwyższej mocy artysta tej epoki, odczuł, przyswoił sobie ideę chrześcijańską w całej pełni jej życia, jej treści istotnej i wyraził ją artystycznie z tytaniczną iście siłą geniuszu twórczego przy zastosowaniu wszelkich przebogatych środków sztuki współczesnej, którymi tak potężnie i wszechstronnie zdołał zawładnąć. Nigdy jednak całkowicie wypowiedzieć się nie zdołał i pozostawił przeważnie tylko kolosalne fragmenty dzieł zamierzonych, fragmenty, nad którymi zdumiewają się wieki, w których jakiś duch nieomal nadczłowieczy zmaga się z potęgami materyi, chce przeniknąć je sobą, przeduchowić aż po najskrytszy, materyalny ich rdzeń.

Jedno tylko pozostało po wielkim artyście, młodzieńcze, doskonale wykończone dzieło rzeźbiarskie: podziwiana tu przez nas Pietà z bazyliki watykańskiej. Nie miejsce tu rozwodzić się nad znaczeniem i stanowiskiem tego dzieła w rozwoju twórczości mistrza. Dość powiedzieć, że stanowi ono niejako jej punkt wyjścia, naczelny jej postulat ujęty w najprostszą najłatwiejszą przeto do wypowiedzenia formułę. Jest to zarazem naczelny artykuł wiary chrześcijańskiej: uczłowieczony Syn Boży umęczon dla grzechów rodzaju ludzkiego.

Różnymi czasy w różny sposób sztuka wyrażała jego treść

religijną. Składowe jego pierwiastki: bóstwo, człowieczeństwo, męka i grzech przez nią odkupiony w rozmaitej mierze uwydatniane bywały w dziełach artystów. Zdarzały się też liczne, bardzo liczne dzieła, w których wszystkie one nie w rzeczywistości żywego odczucia lecz w abstrakcyi martwej formułki uzewnętrzniane były.

Są ludzie, którzy dlatego tylko mówią, że posiadają organy mowne, nie dlatego aby mieli coś do powiedzenia. Są artyści, którzy dlatego tylko tworzą, że posiadają materyalne środki i warunki twórczości, choć zupełnie pozbawieni są jej ducha.

P i e t à Michała Anioła to najkrańcowsze takich tworów przeciwieństwo. Potężny indywidualny duch na wskroś ją przenika i wypowiada w niej zasadniczy postulat swej wiary najdzielniejszymi środkami sztuki, na jakie tylko mógł się zdobyć jeden z naczelnych jej geniuszów. Z wymienionych wyżej pierwiastków tej wiary na plan pierwszy występuje tu przebóstwione w osobie Zbawcy świata człowieczeństwo, uświęcone przez Bóstwo ciało ludzkie.

Patrzcie na to wykute w marmurze ciało Chrystusowe. To nie ogólnikowy schemat nagiej postaci ludzkiej, jaki nieraz widzimy na wyobrażeniach Męki Pańskiej, ani szpetny obciągnięty skórą kościotrup Ukrzyżowanego, w którym pomimo czci religijnej dla wcielonego słowa, chrześcijański artysta wyrażał nieraz ascetyczną swą wzgardę dla cielesnej strony człowieczeństwa. Michał Anioł żywił zawsze entuzyastyczną miłość dla kształtów ciała ludzkiego i wyraził ją we wszystkich swych dziełach począwszy od owej nagiej figury Chrystusa z grupy Miłosierdzia. Dość przyjrzeć się bacznie tej rzeźbie, aby odczuć głębokie umiłowanie, z jakiem artysta wykuwał wszystkie jej części: każdy muskuł, każde ścięgno, każdą żyłkę, wszelkie przeguby, załamania i wygięcia bezwładnie na kolanach Matki zwisłych zwłok Boskiego Syna.

Któżby jednak ośmielił się tu mówić o samem tylko zamiłowaniu artystycznego technika do mozolnie wypracowanego dzieła sztuki? Nie jest to zaiste dzieło bezdusznych pracownianych mozołów, ani wirtuozowskich popisów. Wszakże duch promieniuje

tu z każdego uderzenia dłuta rzeźbiarskiego, z każdego rysu i zagięcia marmuru; technika jest tu tylko środkiem materyalnym, którym posługuje się natchnienie artysty; wiemy z późniejszych dzieł jego, jak bezmiernie potężne natchnienie przewyższające wszelkie najdzielniejsze środki techniczne jakimi nigdy ani przedtem ani po tem żaden artysta w równej mierze nie zdołał owładnąć.

Przenika ono już całą wzniosłą swą mocą to najpierwsze dzieło Buonarotiego, to marmurowe ciało umęczonego Boga-człowieka przemawiające takim ogromem czci i miłości wielkiego artysty i wielkiego chrześcijanina. Artysta ukochał bosko piękny kształt ciała ludzkiego, chrześcijanin uczcił, uwielbił w nim nie ambryozieński czar używania olimpijskiego, lecz nadziemską moc i wielkość ofiary krzyżowej, prawżoru wszelkich ofiar, jakiemi wzrastała i doskonaliła się chrześcijańska ludzkość uświęceniem uświęcenia wszelkich jej dążeń do wybawienia się z przemocy grubych zwierzęcych instynktów bytu.

A przyjrzyjcie się schylonemu miłośnie nad ciałem Boskiego Męczennika obliczu ziemskiej jego Matki. Nie jest to ciemne hieratyczne oblicze Matki Bożej, wyrażające raczej zbiorową, często martwo stężałą wiarę ludu aniżeli żywe indywidualne natchnienie artysty — nie jest to też jasna twarz Madonny, w której ideał uroku niewieściego góruje ponad zrodzonym na gruncie wiary ideałem macierzyństwa Bożego. W grupie Miłosierdzia widzimy oblicze kobiece o rysach regularnych, ale dość surowych, o czole wysokiem, wykluczającem miękki powab wdzięku niewieściego, o wyrazie współczującej miłości, skupionym w kierunku spojrzenia i w geście głowy na martwem ciele Chrystusa. Jest to twarz wysoce indywidualna, nie dająca się podciągnąć pod żaden z uświęconych ani konwencyonalnych typów bolejącej nad śmiercią Syna Matki Bożej — wyrażająca bezpośrednio i samorzutnie uczucie artysty, wzbudzone przez ideę zbawczej ofiary Chrystusowej. Całość grupy wyobraża opromieniony aureolą boskości tragiczny majestat śmierci ofiarnej, odbijający się całą potęgą wyższego duchowego życia na wyrazistym w ideale kobiecej macierzystej miłości skupionem obliczu wszechludzkiego współczucia. Jest to jakby streszczony na wieki w marmurze zasadniczy rys odwiecznej trage-

dyi ludzkiego życia uświęconej i przebóstwionej niejako przez chrześcijańską ideę odkupienia i zbawienia.

Jakież jest znaczenie tak pojętego arcydzieła Michała Anioła dla tej stołecznej świątyni chrześcijáństwa, której ono jest największą ozdobą i chwałą artystyczną?

Bazylika watykańska stanowi, jak wiemy, najdoskonalsze zbiorowe, twórczą pracą wielu rąk i głów ludzkich w ciągu wieków dokonane uprzedmiotowienie idei powszechnego Kościoła chrześcijańskiego. Idea ta zawsze żyła i rozwijała się w chrześcijaństwie, ale doskonały zespół czy swój wyraz w pomnikowem dziele sztuki wtedy dopiero mogła osiągnąć, kiedy sztuka przez odrodzenie klasycznych swych wzorów odpowiednie po temu zdobyła środki. Takim sposobem powstała ta przedziwna, jedyna w swoim rodzaju wszechświatowa świątynia, będąca niejako uplastycznionym w sztuce postulatem najwyższej syntezy między dążącym w nieskończoność duchem chrześcijańskim a jednolitym, skończonym w sobie, dokoła Piotrowego grobowca skupionym, wzniesioną ku niebiosom kopułą jego nakrytem ciałem powszechnego apostolskiego Kościoła. Duch, co się staje ciałem, ucieleśniony w życiu całego człowieczeństwa, ideał religijny, czyż nie jest to ostateczny, najwyższy cel chrześcijaństwa?

Aby on został osiągnięty, czy wystarcza wszechświatowa organizacya, widomy cielesny kształt Kościoła Powszechnego?

Każdy chrześcijanin katolik, po chrześcijańsku czuć i myśleć zdolny, wie, że tego nie dosyć – że trzeba jeszcze jakiejś istotniejszej, bardziej wewnętrznej, w indywidualnych duszach i sercach ludzkich dokonywającej się realizacyi ideału chrześcijańskiego.

Tej potrzeby, tej dążności artystycznym wyrazem jest cała genialna twórczość Buonarotiego, której watykańska *Pietà* jest początkiem i punktem wyjścia. Jak bazylika św. Piotra jest zbiorowym w dobie najwyższego rozkwitu sztuki nowożytnej pod pieczęcią naczelnego w Kościele urzędu dokonanem uplastycznieniem wszechchrześcijańskiego ideału powszechności — podobnie *Pietà* Michała Anioła jest geniuszu pieczęcią, stwierdzonym wy-

razem plastycznym indywidualnych uczuć ludzkich, któremi jedynie ideał ten żyć i w życiu urzeczywistniać się może.

Niejeden wierzący lub sceptyczny pielgrzym, wstępujący obecnie w progi wspaniałej świątyni watykańskiej, pod wrażeniem jej ogromu, bogactwa i piękności niezrównanej, myśli przedewszystkiem, czasami wyłącznie, o tej olbrzymiej zorganizowanej potędze, która ją wzniosła, o tej wysokiej kulturze, która ją umożliwiła. Są katolicy wierzący w Kościół, jako w instytucyę o przemożnej, niezwyciężonej mocy zewnętrznej; są sceptycy religijni, co w Kościół wcale nie wierzą, szanują go wszakże, jako jedną z największych potęg świata przez dzieje stworzonych.

Jedni i drudzy czciciele potęgi przed wejściem do bazyliki, przechodząc przez plac św. Piotra, niechby wejrzeli bacznie na wznoszący się w samem jego środku pomiędzy dwoma wspaniałymi wodotryskami olbrzymi egipski obelisk. Przywieziony on został do Rzymu za Kaliguli ze starożytnego Heliopolis i umieszczony wśród watykańskiego cyrku, gdzie lała się krew męczenników chrześcijańskich. W r. 1586 papież Sykstus V kazał go ustawić na obecnem jego miejscu. Stoi on tu u wstępu do naczelnej świątyni chrześcijaństwa, jako pomnik dwóch potęg wszechświatowych, dwóch wielkich, zamarłych już dziś cywilizacyi — pomnik minionej chwały, świadectwo znikomości największych nawet materyalnych mocy ziemskich. Na podstawie obelisku widnieje napis: *Christus regnat, Christus imperat* — stwierdzenie najwyższej na ziemi, niezwyciężalnej, nieśmiertelnej Mocy Ducha Chrystusowego.

Jeśli teraz podumawszy nad tym stosunkiem wiecznie czynnych sił świata, myślący pielgrzym wejdzie w podwoje bazyliki Piotrowej, gdzież znajdzie w niej najzupełniejszy, najbardziej do serca i duszy przemawiający wyraz Bożej Siły na ziemi?

Czy w owej kolosalnej budowli świętej, ku niebiosom wznoszącej przecudną kopułę? — Czy w napełniających ją ozdobach, marmurach, bronzach, alabastrach? — Czy w grobowcu apostoła, unaoczniającym nam nieprzerwalność tradycyi kościelnej duszy, żywiącej społeczeństwa katolickiego? Czy w nagrobkach papieskich, wyobrażających dziejową tej tradycyi ciągłość?...

Zapewne, wszystko to są przejawy religijnego w Chrystusie

życia wielkiej zbiorowości ludzkiej, we wszystkiem tem wypowiedziała ona różnymi sposoby swój katolicki ideał powszechności religijnej — powszechnego w wierze Chrystusowej braterstwa. Ale, pamiętajmy, wypowiedziała, tylko nie zrealizowała.

Bazylika watykańska w swym monumentalnym ogromie i majestacie, to pomnik nie dokonanej lecz upragnionej jedności chrześcijaństwa, to nie aksyomat lecz postulat artystyczny idei chrześcijańsko-katolickiej, wyraz nie tego co się spełniło, lecz tego co się pełni, a przynajmniej pełnić się powinno w świecie chrześcijańskim.

A istotny warunek jej pełnienia się i jej realizacyi?

Jednym z najdoskonalszych, wprost z duszy nowożytnego człowieka-chrześcijanina odbiciem tego warunku w sztuce jest watykańska *Pietà* Michała Anioła. To człowiecze, bosko-piękne ciało umęczonego dla grzechów świata Chrystusa, a nad nim współczujące bólem niezmiernym oblicze ziemskiej jego Matki, przedstawicielki ludzkości całej, co tu na ziemi z siebie go wydała — oto prototyp i obraz wierny życiotwórczej idei religijnej, indywidualnej siły duchowej, przez którą chrześcijaństwo pełni się w ludzkości.

Wielki artysta, który tak przedziwny dał jej wyraz w swym nieśmiertelnym marmurze, odczuwał ją niewątpliwie w całej pełni życia i prawdy — odczuwały ją różnymi czasy wszystkie wielkie duchy ludzkości w każdym czynie duchowego bohaterstwa, w każdej męczeńskiej dlań ofierze i w każdem szczero-ludzkiem, z głębi duszy wynikającem dlań współczuciu.

Kiedyż przeniknie ona serca tłumów, kiedyż stanie się ona duchowem dziedzictwem człowieczeństwa?

Wtedy dopiero nie tylko na pomnikach wieków, nie tylko we wzniosłym majestacie chrześcijańskich świątyń, obrzędów, instytucyi, lecz w żywej i życiotwórczej prawdzie dusz chrześcijańskich ognistemi głoskami wiary i miłości zajaśnieje wieczne hasło ducha: *Christus regnat, Christus imperat.*

Walery Gostomski.

PROŚBA O NIERUCHOMĄ WIELKANOC.

(Dokończenie).

7. Ostateczne wnioski.

Kończy dr. I. S. wnioskami ujemnymi o treści uchwały nicejskiej.

Po pierwsze [1]: Ani jednego jedynego świadectwa dziejowego nie znajdujemy za tem, jakoby sobór ustanowił i przypisał dziewiętnastoletni okres zmian księżyca [2]. Mniemać tak zaczęły dopiero wieki, w biegu swoim przekonane o tem, że Aleksandryjczycy wybornie obliczają Wielkanoc.

Wniosek ten mierzy grzecznie i pod obsłonkami, ale wprost i wyraźnie w zasady kalendarza kościelnego, zamieszczone w rubrykach brewiarza pod nagłówkiem *De anno et eius partibus*, zwłaszcza w rozdziałach: *De cyclo decemnovennali Aurei numeri* i *De Epactis et Novilunüs;* nadto wniosek ten godzi w początkowe pojęcia astronomiczne i naukowo nie da się utrzymać w swojej myśli niedopowiedzianej otwarcie.

O jakimże dr. I. S. mówi dziewiętnastoletnim okresie zmian księżyca?

---

[1] *Osterfestfr.* str. 110.

[2] Kanon aleksandryjski biskupa Anatola, wspomniany wyżej (*Przegl. Powsz.* t. C, str. 59).

I na niebie odbywa się zjawisko, które nazwać można dziewiętnastoletnim okresem zmian księżyca, i na ziemi po wielu wiekach pracy spostrzegawczej nieboznawców, biskup Anatol zestawił tablicę, w której liczbami przybliżonemi podaje prawo owego zjawiska.

Kto sprawdzić chce dokładnie, jak na niebie odbywa się ten okres dziewiętnastoletni zmian księżyca, temu wystarczy przeglądnąć Almanachy astronomiczne z dłuższego przeciągu lat a znajdzie najściślej podane chwile równonocni wiosennej i następnej pełni; przekona się, że co dziewiętnaście lat liczby wracają po sobie, w porządku zupełnie prawidłowym, z nieznaczną różnicą między jednem dziewiętnastoleciem a drugiem. Ledwo po stu albo dwustu latach dziewiętnastolecia późniejsze różnią się od poprzednich o jeden dzień, ale znowu następują po sobie prawidłowo.

Kto chce poznać to zjawisko w liczbach przybliżonych, temu wystarczy przypomnieć, że rok przeciętnie liczy między dwiema równonocniami wiosennemi 365·24... dni, a księżyc obiega ziemię przeciętnie w ciągu 29·53... dni. Zatem okres lat dziewiętnastu liczy

$$19 \times 365.24... = 6939{\cdot}56... \text{ dni},$$

a okres dwustu trzydziestu pięciu obiegów księżyca około ziemi liczy

$$235 \times 29{\cdot}53 = 6939{\cdot}55... \text{ dni};$$

czyli po dziewiętnastu latach skończonych księżyc prawie równocześnie kończy dwieście trzydzieści pięć obrotów i znajduje się względem słońca ledwo nie w tem samem miejscu na niebie, gdzie był przed dziewiętnastu latami.

Otóż w ciągu każdych dziewiętnastu lat najbliższe pełnie po równonocni co roku następują innego dnia, ale nie bez porządku, tylko według prawa ścisłego, które ma w nauce wzory dokładne, a tutaj da się uwidocznić liczbami przybliżonemi w sposób np. następny na dziewiętnastolecie obecne od roku 1894-go do

1912-go i na początek 19-stolecia następnego od roku 1913-go: Pełnia pierwsza na wiosnę roku 1894-go wypadła w samą równonocnię dnia 21-go marca.

Od tej równonocni do następnej w roku 1895-ym upłynęło 365·24... dni. Księżyc użył części tego czasu, mianowicie dni 354·36... na obrotów (po 29·53... dni) około ziemi dwanaście, a pozostałej nadwyżki, dni 10·88..., czyli w całkowitej liczbie: jedenastu dni użył na początek nowego obrotu, w porządku trzynastego, więc w tym obrocie zaczętym potrzebował od dnia równonocni do pełni jeszcze dni 18·65..., w liczbie całkowitej: ośmnastu dni: zatem wiosenna pełnia pierwsza wypadła dnia 21+19=40-go marca czyli 9-go kwietnia.

Od równonocni z roku 1895-go do następnej w roku 1896-ym upłynęło 365·24... a wraz z przeszłoroczną nadwyżką upłynęło od ostatniej pełni wiosennej do równonocni 376·12... dni. Księżyc użył części tego czasu, mianowicie dni 354·36... na obrotów około ziemi dwanaście,— wszystkich odbył od równonocni z roku 1894-go dwadzieścia cztery, — a pozostałej nadwyżki, dni 21·76..., czyli w całkowitej liczbie: dwudziestu dwu dni użył na początek nowego obrotu, i w tym obrocie potrzebował od dnia równonocni do pełni jeszcze dni 7·77..., w liczbie całkowitej: siedmiu dni: zatem wiosenna pełnia pierwsza wypadła dnia 21 + 8 = 29-go marca.

I dalej tak samo sprawę uwidoczni załączona tablica.

Od poprzedniej równonocni do równonocni w roku	1894	1895	1896	1897	1898	1899	1900	1901
Upłynęło 365·24... dni, a z przeszłoroczną nadwyżką upłynęło od ostatniej pełni wielkanocnej dni	383.89...	365.24...	376.12..	387.00...	368.35...	379.23...	390.11...	371.46...
Księżyc użył części tego czasu, mianowicie dni	383.89...	354.36...	354.36...	383.89...	354.36...	354.36..	383.89...	354.36...
Na obrotów (po 29·53... dni) naokoło ziemi	13	12	12	13	12	12	13	12
I odbył wszystkich obrotów od początku 19-stolecia	0	12	24	37	49	61	74	86
A pozostałej nadwyżki dni	0	10·88...	21·76...	3·11....	13·99...	24·87...	6·22...	17 10..
Czyli w liczbach całkowitych	0	11	22	3	14	25	6	17
Użył na początek następnego obrotu, w którym potrzebował od dnia równonocni do pełni jeszcze dni	0	18.65...	7·77...	26·42...	15.54...	4·66..	23·31...	12·43...
Czyli w liczbach całkowitych	0	18	7	26	15	4	23	12
Zatem wiosenna pełnia pierwsza wypadła dnia	21+0 =21/3	21+19 =40/3 =9/4	21+8 =29/3	21+27 =48/3 =17/4	21+16 =37/3 =6/4	21+5 =26/3	21+24 =45/3 =14/4	21+13 =34/3 =3/4

1902	1903	1904	1905	1906	1907	1908	1909	1910	1911	1912	1913	1914	1915
382·34...	393·22...	374·57..	385·45...	366·80...	377·68...	388.56...	369·91...	380·79...	391·67...	373·02...	383·90..	365·25...	376·13...
354·36...	383·89...	354·36...	383·89...	354·36...	354·36...	383·89...	354·36...	354·36...	383·89...	354·36..	383·89...	354·36..	354·36...
12	13	12	13	12	12	13	12	12	13	12	13	12	12
98	111	123	136	148	160	173	185	197	210	222	235	12	24
27·98...	9·33...	20·21...	1·56...	12·44...	23·32...	4·67...	15·55...	26·43...	7·78...	18 66...	0·01...	10·89...	21·77...
28	9	20	1	12	23	4	15	26	7	18	0	11	22
1.55...	20·20...	9·32..	27·97...	17·09...	6·21...	24 86...	13·98...	3·10...	21·75..	10·87...	0	18·64...	7·76...
1	20	9	28	17	6	25	14	3	22	11	0	18	7
21+2 =23/3	21+21 =42/3 =11/4	21+10 =31/3	21+28 =49/3 =18/4	21+18 =39/3 =8/4	21+7 =28/3	21+26 =47/3 =16/4	21+15 =36/3 =5/4	21+4 =25/3	21+23 =44/3 =13/4	21+12 =33/3 =2/4	21+0 =21/3	21+19 =40/3 =9/4	21+8 =29/3

Czytelnik w najniższym rzędzie liczb widzi dziewiętnaście pełni, które jak w przedstawionem dziewiętnastoleciu po sobie następują, tak powtarzały się w poprzednich i wrócą się w następnych: drobne zmiany, choć z biegiem lat zachodzą w tym rzędzie pełni, przecie nie naruszają w niczem jego porządku i istotnego układu: daty pełni równomiernie maleją z wiekami, ale każda przewyższa następną o 10·88... dni, albo, — jeżeli już sama za mała, — tedy ją następna przewyższa o 18·65... dni. Im dalej w ubiegłe wieki wracamy, tem znajdujemy każdą z tych dat większą, póki która nie przekracza dnia dwudziestego dziewiątego od równonocni, bo wtedy oznacza już drugą pełnię wiosenną: więc tylko nadwyżka nad 29·53... dni oznacza pełnię właściwą. Na tej podstawie znajdujemy w stuleciu trzeciem każdą z tych dat większą o dziewiątkę, niż dziś po siedmnastu stuleciach.

I właśnie, w tej to postaci zastosowanej do stulecia trzeciego, wyszedł ów spis pełni na dziewiętnastolecie z pod pióra Aleksandryjczyka: Anatola; następnie pod nazwą Kanonu aleksandryjskiego wszedł do ksiąg liturgicznych i dziś, w postaci nie każdemu widocznej od razu, znajduje się w brewiarzu, jako zasadnicza część tak zwanej *Tabula Paschalis antiqua;* nadto dostosowany już do astronomii, stanowi tenże kanon podstawę tak zwanej *Tabula Paschalis nova* i kryje się, wyrażony nowszym sposobem, w *Tabella temporaria festorum mobilium.* Całą też treść wymienionej rubryki *De anno et eius partibus* nie stanowi nic innego, jak właśnie zasada dziewiętnastolecia, powyżej opisana i uwidoczniona tablicą.

Czytelnik tedy spostrzega w kanonie Anatola co innego, niż utwór wyobraźni, dowolnie wysnuty z domysłów; widzi odbite jakby w obrazie z liczb przybliżonych zjawisko przyrody, poznaje prawo zbiegu pełni z równonocnią przystępnie podane, znajduje zrozumiałą wskazówkę, jak można poprawnie obchodzić Wielkanoc zgodnie z uchwałą nicejską.

Dr. I. S. nic tego nie dostrzegł, choć opisem wszelakich tablic wielkanocnych zapełnił swoje rozprawy po brzegi. A inne tablice przedstawiają ledwo w mglistem pojęciu prawo obiegu księżyca i następstwo zmian jego, powrotnych z biegiem lat. Ale

obejmują owe prawo ledwo w zawiązku, w okresie zbyt krótkim lat ośmiu albo jedenastu, po których widzą datę pełni zbliżoną do pierwotnej, ale jeszcze nierówną; ze złomków prawa przyrody usiłują złożyć wątek jego dostateczny, aby zapowiadać Wielkanoc na kilkadziesiąt lat.

W tych wysiłkach, nieboznawcy i chronolodzy widzą tylko pierwsze kroki stawiane po omacku. Dopiero w dziewiętnastoletnim okresie Anatola spostrzedz mogą zmiany księżyca zgodnie z niebem ujęte w prawo istotne; widzieć zdołają w kanonie aleksandryjskim nie zabawkę ochotnika, ale utwór godny miejsca między urzędowemi wskazówkami Kościoła dla doboru pełni świątecznej.

O tym dorobku nauki aleksandryjskiej mógł dr. I. S. wiedzieć nierównie dokładniej, niż umiał wnieść z przestarzałych domysłów Bucheriusa. Mógł już stąd w Anatolu ocenić siłę poważną, iż ledwie powierzchownie z nim się poznał, już znajduje przeszkodę w nim ciągłą dla siebie po drodze do powziętego sądu o uchwale nicejskiej. Walczy z Anatolem wytrwale w obu rozprawach: *Osterfestfrage* stronice 3, 9, 10, 19, 20—23, 26, 44, 50, 105, 133; *Osterfestberechnung* stronice 31, 69—71. Umysł nie zaprzątnięty zamiarem z góry wytyczonym, zastanowiłby się, czy do prawdy dąży, kiedy w drodze nie przewodnikiem i doradcą, ale ustawiczną i utrapioną zawadą znajduje męża, cenionego jako filar nauki przez całą kalendografię chrześcijańską od słów Euzebiusza i Hieronima do obszernych prac na nim opartych Teofila Aleksandryjskiego i Cyrylla, Dyonizego, Jana Damascena, Bedy i późniejszych Bizantczyków.

I świecka nauka zabrała w ostatnich latach głos na pochwałę Anatola Laodycejskiego. Mógł dr. I. S. wiedzieć przynajmniej z biuletynów, wydawanych w kilku językach, że krakowska Akademia Umiejętności wydała pracę, którą prof. dr. Fr. Karliński poświęcił kanonowi aleksandryjskiemu: wykrył głęboką naukę w jego szczątkach, rozsypanych w gruzy przez nieudolnych przepisywaczy; umiał odrobić opaczną robotę takich wydawców niedomyślnych, jak Bucherius; wyświetlił całą zagadkę, wynikłą z pomyłek, odtworzył pierwotną postać kanonu, wykazał w nim jądro wielkanocnych tabel i indykcyonów na Zachodzie i Wscho-

dzie, obmyślił wzory matematyczne, aby nawet bez zawodowej wprawy w astronomii i kalendografii wyczytywać w kanonie zmiany księżyca i chronologiczne daty dziejowe.

Mimo to wszystko dr. I. S. orzeka [1], że ani kanonu odtworzyć nie można ze szczątków bez wątku, ani nie zdobyłyby na nim dzieje oświaty nic pożytecznego, bo Anatol przejął tylko pomysł Metona Ateńczyka. Chyba dr. I. S. zrzekł się własnego sądu o astronomicznej sprawie, którą przedstawia po myśli Kruscha, bo inaczej nie pisałby, że kanon nie da w sobie wykryć wątku uchwytnego i że zawiera tylko pomysł Metona: któż tedy wyczytał tę treść pisma nieczytelnego? I jak można przypuścić, że pomysł Metona o tak zwanej Złotej Liczbie już na kilka wieków przed Chrystusem Panem wyświetlił prawidło Wielkanocy chrześcijańskiej, już na pierwszy rzut oka widoczne w kanonie aleksandryjskim. Tyle ma wspólnego Anatol z Metonem, że każdy oparł swoje wnioski na dobrze pojętem prawie, według którego zmiany księżyca wracają po sobie co dziewiętnaście lat. I Montgolfier ma to wspólnego z Archimedesem, że na prawie jego o równowadze w cieczach oparł wynalazek balonów; ale nie można powiedzieć, że Montgolfier nic nie znaczy w dziejach oświaty, bo przejął tylko pomysł Archimedesa.

Gdyby dr. I. S. zdołał umiejętnie ocenić w kanonie dziewiętnastoletnim objaw nieboznawstwa chrześcijańskiego, widziałby z profesorem Karlińskim, jak poważnie Kościół na aleksandryjskiej uczelni pielęgnował wiedzę w stuleciach już pierwszych, jak w dziełach Ojców tamtejszych składał zasoby nauki bogate i cenne dla dziejów oświaty, jak świadomie działał i kiedy pozwalał prostemu narodowi oglądać się na święta żydowskie, obchodzone jeszcze poprawnie, i kiedy wobec zamąconego w nich ładu, żądał Wielkanocy zgodnej z niebem za wskazówkami uczonych badaczy własnych. Wobec takich powag zawodowych przestałby dr. I. S. tyle liczyć się z tablicami domorosłych kalendografów a dziełem Anatola pomiatać; nie przeczyłby nakoniec, że na mocy uchwały nicejskiej Kościół obchodził Wielkanoc wedle kanonu aleksandryj-

[1] *Osterfestfr.* str. 21.

skiego, jak wedle niego do dziś obchodzi ją na Wschodzie i na Zachodzie. Zaprzeczyć tego nie można, chyba że się sprawy nie rozumie.

Bo wprost i imiennie nie potrzebował sobór chrześcijaństwu przypisywać kanonu aleksandryjskiego: wystarczyło przypisać Wielkanoc zgodnie z niebem a inną odrzucić: tem samem obowiązywała chrześcijan ta właśnie pełnia, którą kanon wyznaczał, a inna nie odpowiadałaby niebu: okazałaby się albo jeszcze zimową, jak u Żydów ówczesnych, albo wiosenną wprawdzie, ale już drugą, jak u chrześcijan dziś związanych kalendarzem juliańskim. Również niedziela obowiązywała chrześcijan nie inna, tylko ta właśnie, którą kanon wyznaczał, bo ta następowała zaraz po pełni, a inna okazałaby się albo wcześniejszą, albo dopiero drugą po pełni, — jak i to bywa w juliańskim kalendarzu.

Oczywiście mogło chrześcijaństwo nie posiadać kanonu aleksandryjskiego a przynajmniej z niego nie korzystać i bez niego do dziś dnia tak obchodzić Wielkanoc, jak poprawnie obchodziło ją po soborze, kiedy co roku dowiadywało się o jej dniu właściwym ze zapowiedzi nieboznawców przez rzymską formatę. Do dziś mógłby Rzym co roku dowiadywać się od nieboznawców z ich almanachów o dokładnej chwili równonocni i najbliższej pełni: formatami mógłby uwiadamiać o następnej niedzieli wielkanocnej świat chrześcijański. Mógłby się zachować ten pierwotny zwyczaj ponicejski. Ale w czwartem stuleciu wystarczał ten zwyczaj, przy braku środków wygodniejszych. Dziś rozsyłka gońców rzymskich po świecie z formatą na każdy rok, nie odpowiadałaby potrzebom.

Nadto, jak dziś umysł astronomów nie poprzestaje na zjawisku, ale bada jego prawo i określa je wzorem liczbowym tak i Aleksandryjczycy nie wytrzymali, żeby tylko co roku zauważyć zjawisko a nie ująć jego przebiegu w prawo liczebne. Prócz wzorów wielkanocnych Gaussa i Karlińskiego, ściśle matematycznych, także inne powstają tablice naukowe, zebrane starannie w Chronologii Idelera i Lerscha. Tak też w stuleciu ponicejskiem żądza nauki opracowywała coraz dokładniej dzieło Anatola i po kilku stuleciach zaczęła niepokoić się, kiedy kanon, ułożony w ra-

mach nauki ptolomejskiej, przestał poprawnie wyznaczać pierwsze pełnie wiosenne. Zbadała wkońcu nauka sprawę i astronomicznie wykończyła tablice Grzegorza XIII-go.

I w sam czas następcy Anatola w Aleksandryi wykończyli jego dzieło należycie, aby mogło zastąpić coroczne zapowiedzi i formaty wielkanocne. Carogród, zazdrosny o naukową sławę Aleksandryi, ściągał dokoła dworu cesarskiego przednie siły umysłowe. Blask ogniska egipskiej nauki gasł. Wyroki jej traciły powagę właśnie w dobie, kiedy niepotrzebne już formaty znalazły zastępstwo w opracowanych indykcyonach greckich i cyklusach łacińskich.

Jakżeż tedy, jeżeli nie podług kanonu dziewiętnastoletniego, miał Kościół obchodzić Wielkanoc, aby zachować uchwałę nicejską? Wszak sobór przeciw przedświętowcom uchwalił wprost i imiennie zgodę pełni świątecznej z niebem: więc choć nie przepisał wprost i imiennie kanonu dziewiętnastoletniego, przecie ubocznie i przez nieodzowne następstwo wniosków przypisał jakąś drogę naukową do pełni prawdziwie pierwszej na wiosnę. A oprócz corocznych wskazówek uczeni nieboznawcy ówcześni nie dostawali nic równie poprawnego, jak kanon dziewiętnastoletni. Układali w nim rzędy liczb rozmaicie: okrągło i czworograniasto, wzdłuż i wszerz, tędy i owędy; ale na te wszystkie sposoby przestawiali tylko jedyne prawo przyrody z jego ludzkim wyrazem u Anatola. Tak samo uczeni dzisiejsi tylko temu prawu Anatola dają wyraz we wzorach liczbowych.

Więc jak można uważać za bezpodstawne, za nie oparte na żadnem świadectwie dziejowem, głosy całej kalendografii chrześcijańskiej, która powagę kanonu dziewiętnastoletniego przypisuje soborowi nicejskiemu—? Choć dr. I. S. odpowiada inaczej, czytelnik odpowie, że sobór przepisał Wielkanoc zgodną z prawem księżyca w przyrodzie: tem samem przepisał Wielkanoc według kanonu, który wyraża owo prawo przyrody.

Następuje drugi wniosek ujemny o treści nicejskiego wyroku: Powtóre[1]: Bezpodstawnie prawie wszyscy dotąd pisarze

[1] *Osterfestfr.* rozdział 10-ty cały.

przypuszczają, jakoby sobór nie tylko nakazał zgodnie obchodzić Wielkanoc, ale nadto ustanowił prawidło, według którego odtąd trzeba obliczać dzień wielkanocny, mianowicie jakoby przepisał niedzielę po pełni pierwszej od równonocni. Bez gruntu buduje, kto przypuszcza, że sobór ustanowił to potrójne prawidło.

Czytelnik od razu widzi dwuznacznik: nie dopiero sobór zaprowadził to prawidło, ale zastał ten szczątek kalendarza żydowskiego, przekazany nam przez Apostołów. Sobór wprost i imiennie uchwalił zgodę z niebem co do owej pełni pierwszej od równonocni, a odrzucił zgodę z Żydami. Ale tem samem uroczyście i urzędownie po raz pierwszy ustanowił to jako obowiązek już uznany i niewątpliwy, co zastał od pierwszych czasów: to potrójne prawidło, że Wielkanoc wypada po pierwsze: na wiosnę, czyli po równonocni; po drugie: po tygodniu, w którym na pełnię Żydzi świętują; po trzecie: w niedzielę.

Otóż prawie wszyscy dotąd pisarze nie to twierdzą, jakoby sobór dopiero ułożył i po raz pierwszy wprowadził w Kościół owo potrójne prawidło, ale podają nieprzerwanym ciągiem świadectwa aż do spółczesnych soborowi, i powtarzają, że w Nicei uroczystą uchwałę uzyskało owo prawidło, niewątpliwie już zachowane przed soborem w całym Kościele, z wyjątkiem Przedświętowców.

Otóż razić musi sposób, w jaki sprawę porusza dr. I. S.: na to, że sobór nie wniósł owego prawidła do Kościoła, na to nalega z całym naciskiem; na to, że sobór uchwalił po raz pierwszy uroczyście prawidło, wniesione jeszcze z żydowskiego kalendarza pierwszych chrześcijan, na to nie zwraca uwagi ani półsłówkiem. Swojemu tedy czytelnikowi, nie oczytanemu w dziejach kalendografii, nasuwa najwyraźniej wniosek, że owo prawidło nie ma za sobą powagi soboru, i że prawie wszyscy mylą się, którzy o sobór opierają prawidło wielkanocy, a tak je opierają jednomyślnie o sobór chrześcijanie wszelkiego obrzędu i wyznania, choć nie poprawnie zachowują w juliańskim kalendarzu. Nie boi się ich wszystkich przeciw sobie znaleźć dr. I. S., jak nie boi się między przeciwnikami swojego poglądu wymieniać papieża Grzegorza XIII w Bulli *Inter Gravissima* i Benedykta XIV w dziele *De Festis*.

W tej to ukrytej myśli dr. I. S. odmawia powagi soborowej najprzód kanonowi aleksandryjskiemu, a następnie przyjętemu powszechnie prawidłu Wielkanocy. Ale z tą myślą nie utrzyma się naukowo i sam bez gruntu buduje swój wniosek. A przytoczył sam w liczbie dostatecznej dziejowe świadectwa, aby zdać rzeczowo sprawę z dziejowych podstaw powszechnego głosu o wyroku nicejskim.

Dr. I. S. przechodzi do ostatniego wniosku [1]. Nicejscy ojcowie uwzględnili wprawę, której Egipcyanie nabyli od wieków w nieboznawstwie, i ze względu na tę wprawę zgodzili się, żeby każdorazowy biskup aleksandryjski obliczał dzień Wielkanocy i co roku uwiadamiał o nim stolicę apostolską, dla wysyłki tej zapowiedzi do dalszych Kościołów. Ale rzymscy biskupi nie przyznawali mocy bezwzględnie obowiązującej owym zapowiedziom wielkanocnym Aleksandryjczyków, aż ledwo po paru wiekach mogli dać się przekonać do wielkanocnej tablicy Cyryla aleksandryjskiego, którą ustalił Dyonizy Szczupły.

Tu już dr. I. S. nie dobiéra wyrazów pochlebnych dla Rzymu. Czyż Rzym okazał się kiedy tak prostodusznie nieukiem, aby trzeba zapewniać, że odróżniał moc bezwzględnie obowiązującą prawd objawionych od powagi prawd przyrodniczych — ? Czyż trzeba przypominać, że Rzym nie tak czytał list Aleksandryi z zapowiedzią Wiekanocy, jakby spoglądał na pismo proroka czy nowego apostoła — ? Wszak to oczywiste, że Rzym nie potrzebował Aleksandryjczykom przypisywać powagi bezwzględnie nieomylnej i natchnionej z nieba. Ani dziś nikt Greenwich'owi czy innemu obserwatoryum nie potrzebuje przypisywać ducha prorockiego czy jakichbądź szczególnych mocy, bezwzględnie obowiązujących. Bez myśli o bezwzględnej nieomylności i nadziemskiej powadze, wszędzie dziś na świecie uznajemy powagę zawodowych znawców; i wtedy właśnie uznajemy powagę astronoma, kiedy zwracamy się do niego z prośbą, aby wyłożył nam jeszcze raz zjawisko, którego tak nie zrozumieliśmy, jak je raz już wyłożył.

[1] *Osterfestfr.* str. 145.

Tak samo Rzym nie natchnioną jakąś albo bezwzględnie nieomylną powagę przyznawał Aleksandryi, kiedy korzystał z nauki jej i chęci do usług, upoważniony przez sobór do tego stosunku między matką, czcigodną stanowiskiem, a córką, sławioną z nauki. Rzym z całym światem uznawał naukową powagę Aleksandryi i tę właśnie uznawał, a nie podkopywał, kiedy papieże zgłaszali się do patryarchów tamtejszych, aby znawcy egipscy jeszcze raz wyłożyli wynik obliczeń wielkanocnych, które inaczej wypadły komuś śród Rzymian. Do Iberów, Celtów, Brytów czy Numidów nie zgłaszał się ze Rzymu żaden biskup ze swoimi wnioskami o Wielkanocy, chociaż widywał różnice między swoim wynikiem obliczeń a hiszpańskim, francuskim, angielskim czy afrykańskim. O te różnice Rzym nie dbał więcej, niż o wszelkie pomyłki ludzkie: wysłał do owych narodów list z wymówką i sprawę miał załatwioną. A o zgodę swoich obliczeń z egipskiemi dbał poważnie. Może być i prawdą, co dr. I. S. utrzymuje, że parę razy Rzym przy swojej Wielkanocy obstawał tak stanowczo, aż Aleksandrya od swojej odstąpiła dla czci winnej Rzymowi. Przecie szło w tych wypadkach o miejscowe w Rzymie przeszkody do obchodu świąt wielkanocnych, a nie o żaden pogląd zasadniczo różny w Rzymie od aleksandryjskiego, nie o odmienny wykład uchwały nicejskiej i sprzeczne poglądy na powagę aleksandryjskiej zapowiedzi.

Taki wypadek miał zajść w 333-m roku i w 349-m. Raz i drugi Rzym nie obchodził podobno Wielkanocy podług Aleksandryi dnia 23-go kwietnia, ale raz 15-go kwietnia, a drugi raz 26-go marca, i to dnia 21-go od nowiu, zatem wyraźnie przed pełnią wiosenną, bo pełnia 19-go marca poprzedzała równonocnię. Dr. I. S. widzi w tem dowód [1], że nie Rzym ustąpił Aleksandryi tylko Aleksandrya Rzymowi, więc Rzym nie uznawał mocy bezwzględnie obowiązującej w zapowiedzi egipskiej. Tymczasem sam przytacza wymowne słowa Prospera Akwitańskiego [2], że w roku 444-m Rzym obchodził Wielkanoc dopiero 23-go kwietnia, a nie uchybił w niczem,

[1] *Osterfestberechn.* str 3, 5—6.
[2] *Osterfestberechn.* str. 14.

bo w Wielki Piątek 21-go kwietnia nie urządzał igrzysk w cyrku na pamiątkę rocznicy założenia. Z tych słów Prospera Ideler, Alt, Guericke, Ebrart, Wenclowski i inni rozwiązali zagadkę, czemu rzymskie Supputacye nie wymieniają Wielkanocy później, niż 21-go kwietnia. Wszak przy każdej Wielkanocy późniejszej, pamiątkowe igrzyska owe w Cyrku zbiegłyby się z którymś z czterech ostatnich dni Wielkiego Tygodnia i przeszkadzałyby przy obchodach Męki Pańskiej. Krusch tej odpowiedzi nie rozumie, a za nim dr. I. S., choć nie luter, powtarza, że tylko we Wielki Piątek przeszkadzałyby igrzyska. Czytelnik jednak rozumie, że póki nikt nie myślał czy nie mógł przenieść igrzysk, póty składniej było przenieść Wielkanoc na niedzielę swobodną. Dla czci należnej Rzymowi można było uwzględnić potrzebę wyjątku od wielkanocnego prawidła.

Bezsprzecznie także, coraz liczniejsze tablice nowe przyczyniły pisaniny między Kościołami; jak odpowiadały potrzebie umysłów, jak zapowiadały wygodniejszy później zwyczaj, niż rozsyłka gońców z formatami, tak zaciekawiały czytelników śród warstw zupełnie nie obeznanych z niebem i wywoływały śród nich spory. I spory te, prowadzone bardzo nieumiejętnie a gorąco, nieraz oparły się o Rzym i wymagały między nim a Aleksandryą niejednej wymiany listów i wielkanocnej rozprawy. Tych rozpraw zebrał dr. I. S. nieprzejrzaną liczbę, aby wyciągnąć z nich wniosek wręcz przeciwny, niż do którego oczywiście prowadzą wszystkie te spory. Wszystkie bez wyjątku dotyczą pytań o to, która kalendarska pełnia albo równonocnia rzeczywiście odpowiada niebu, która niedziela istotnie następuje po pełni pierwszej od równonocni, na który dzień wymaga Wielkanocy niewzruszona zasada nicejska zgodnie z niebem. Wspomniany poprzednio zamęt śród kalendarzy wyjaśnia źródło podobnych pytań i sporów, toczonych nie o zasadę i prawidło nicejskie, tylko o sposób, jak je zachować najwierniej. Ilekolwiek w tej mierze listów doszło do nas z opisem rozprawy dokładnym, każdy przedstawia przeciwników zgodnych w trosce o uchwałę soboru[1]. Paschazyn uspokaja papieża o »tra-

[1] *Osterfestberechn.* str. 13, 20, 25, 36 i t. d.

dycyjnej granicy«; Leon I żąda wskazówek od »obeznanych z matematyką i prawidłem«; Proter wykłada sprawę według przepisów, przechowanych w Aleksandryi, »matce starannych prac przekazanych, aby oznaczyć Wielkanoc«; Dyonizy Szczupły odpiera zarzut uznaną »powagą Cyryla aleksandryjskiego a właściwie ojców nicejskich« i t. d. Nikt nie napomyka nigdy o żadnym zawiązku rozterki co do zasad. Do wprost przeciwnego wniosku prowadzą te rozprawy, niż do którego doszedł dr. I. S., kiedy w nich upatrzył świadectwo, że żadnego prawidła co do Wielkanocy Kościół w Nicei nie uchwalił, ani po soborze nie przestrzegał, ani w listach tych nie uznawał, przez które Rzym z Aleksandryą się znosił, ale nie czuł się zobowiązanym jej odpowiedziami!

Zamyka tedy dr. I. S. wywody słowami: »Ledwo po latach dwustu z górą mogli biskupi rzymscy dać się spowodować, żeby przyjęli kanon aleksandryjski; inne Kościoły jeszcze później; aż dopiero po latach blizko pięciuset zdołała się urzeczywistnić przednicejska myśl o jednej Wielkanocy w Chrześcijaństwie«.

Oczywiście... Gdyby Głowa Kościoła przez dwa wieki, i dłużej, dawała przykład niezgody z prawdą naukową i ledwo po wiekach mogła dać się do niej nawrócić: wtedy inne Kościoły przez pół tysiąca lat i dłużej nie urzeczywistniłyby myśli nicejskiej o Wielkanocy... Za głową idą członki...

Ale... według świadectwa dziejów... członki wszystkie poszły za hasłem soboru... zwolennicy pełni astronomicznej przyciągnęli do siebie zwolenników pełni żydowskiej...

Więc nawet bez wyraźnych świadectw dziejowych byłoby oczywistem, iż przed członkami poszła Głowa Kościoła za hasłem pełni, którą samo niebo wskazuje, a nie żadne pomiary czy liczby dowolne...

Tem mniej można mówić przeciw Rzymowi, im wyraźniej świadectwa okazują ustawicznie Rzym, oparty o Aleksandryę, na czele powszechnego pochodu Kościołów do obchodu Wielkanocy, zgodnego z prawem przyrody.

A wszelkie późniejsze rozprawy i rozterki dotyczą tylko pytania, jak trzeba wykonać uchwałę nicejską, nie pytania o jej moc i powagę.

Więc dr. I. S. nie rozumie sam świadectw dziejowych, któremi chce dowieść wniosku wprost sprzecznego z prawdą, przez te świadectwa dowiedzioną.

Że sobór nie uchwalił Wielkanocy, zależnej od pełni, tego dowieść chce dr. I. S., a przywodzi świadków, którzy wręcz przeciwnie mówią, że sobór uchwalił Wielkanoc na niedzielę po pierwszej pełni istotnie wiosennej, którą za taką nauka uzna i przyzna.

Że sobór nie przeszkadza zmienić Wielkanocy ruchomej na nieruchomą, tego chce dowieść dr. I. S., a ze soboru dowodzi związku między Wielkanocą a pełnią, wiecznie ruchomą: więc chce Wielkanocy nieruchomej przy pełni ruchomej.

Czy Rzym odwiąże pełnię od Wielkanocy, aby tę unieruchomić, — o tem będą wiedzieli tam, gdzie związują i rozwiązują, a tu o tem prorokować: daremnie.

Tu po wymienionych brakach, zwłaszcza astronomicznych, którymi dr. I. S. umniejszył cenę swojej pracy, godzi się przynajmniej krótko przyznać jej cenę jeszcze wysoką.

Dla czytelnika, obeznanego z kalendografią, włożył dr. I. S. w swoje rozprawy pracę bardzo pożyteczną: rozsnuł treść wielkanocnej uchwały nicejskiej tak dokładnie, jak jeszcze nikt przed nim nie wyzyskał źródeł i nie dostarczył bogatej osnowy do sądów dla dziejopisa.

A choćby kto sam wątku nie znalazł w bogatej osnowie, którą pracowicie zebrał i rozłożył, przecie innym drogę ogromnie ułatwił: więc tem przysłużył się prawdzie do jej zwycięstwa.

Ks. K. Czaykowski.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

Z niwy poetycznej: Liryka.

1. »Z zeszytu autorki«. Lwów 1907, str. 90.—2. Leszczyński Edward: »Płomień ofiarny«. Poezye. Kraków 1907, str. 208.—3. Łada Zygmunt: »Powrót«. Kraków 1908, str. 65. — 4. Wolski Wacław: »Powieść tajemna«. Kraków 1908, str. 166. — 5. Rostworowski H. K.: »Pro memoria«. Kraków 1907, str. 100, — 6. Liliana: »Płomienie«. Warszawa 1905, str. 43. — 7. Rostworowski Wojciech: »Psalmy dnia dzisiejszego«. Lwów 1908, str. 58. — 8. Huskowski Jan: »Po drodze«. Lwów 1907, str. 122.—9. Niemyska Anna: »Romans«. Kraków 1907, str. 32. — 10. Lubecki Kazimierz: »Sonety wschodnie«. Kraków 1907, str. 23. — 11. Tenże: »Sonety rzymskie«. Kraków, str. 63. — 12. Tenże: »Sonety polskie«. Kraków, str. 23.—13. Ułaszówna Zofia: »Poezye«. Kraków 1908, str. 112. — 14. Morstin Ludwik Hieronim: »Psalm ziemi«. Kraków 1908, str. 22.—15. Kasprowicz Jan: »Ballada o słoneczniku i inne nowe poezye«. Lwów 1908, str. 206.

I.

U nas, tak jak zresztą w literaturze każdego żyjącego narodu, co pewien czas powraca na porządek dzienny pytanie, czem ma być poezya, jakie są jej źródła, jakie środki, za pomocą których spełnia swe zadania? Bywają chwile, że poezya uważa się za powołaną zlewać się ściśle z dążeniami zbiorowej duszy, że nawet przeczuwa jej przyszłość i staje się wieszczą. Bywają inne chwile, kiedy biorąc lot górny zawisa nad pochodem ludzkości na ziemi i usiłuje przejrzeć tajniki wszechstworzenia, albo zanurza się w głębiny twórczej jednostkowej duszy i snuje szereg ułudnych marzeń. Stąd wynika, że jakkolwiek

istota poezyi nie jest zmienną, to jednak i źródła jej i środki i cele ulegają modyfikacyom, zależnym od specyalnych warunków miejsca i czasu, a nawet od właściwości twórczych danego talentu. W rzeczy samej odmiennie określa zadania poezyi Brodziński w rozprawie »O klasyczności i romantyczności«, a Mickiewicz w artykule »O poezyi romantycznej«, inaczej pojmuje zakres swego powołania Zaleski w »Śpiewie poety«, a Słowacki »Poeta i natchnienie«, inaczej Przybyszewski w »Confiteor«, a Wyspiański w »Wyzwoleniu«. Myśl, którą tu stwierdzam, nie jest nową; są to rzeczy w krytyce i literaturze powszechnie znane. Chodzi mi jednak o to, że krytyczne rozpatrywanie rozmaitych dystynkcyi w retrospektywnym poglądzie na źródła, środki i cele poezyi byłoby dla młodych poetów pełne doświadczalnej wartości, dawałoby im nieraz możność skontrolowania własnych natchnień, ułatwiłoby nieraz szukanie dróg, wspomagałoby uświadomienie się w sobie, a nareszcie ustrzegłoby od błąkania się po manowcach różnych wpływów.

Osobliwie wielką poezyą XIX wieku gardzić nie należy. Gruntowne a szczegółowe rozpoznawanie jej prądów, naukowa analiza jej twórczych zjawisk, poufałe zaprzyjaźnienie się nie tylko z drobiazgami formy tej wielkiej poezyi, ale i z głosami krytyki o niej, — ma zawsze jeszcze dla młodej generacyi poetów znakomite znaczenie pedagogiczne. Należy raz wziąć rozbrat z lekkomyślnym paradoksem, że talent nie potrzebuje wykształcenia fachowego. Trud i mozół dla szczerego talentu są tem, czem jest drzewo dla ognia. Gruntowne wykształcenie udziela pomysłom prawdziwego poety rozległych horyzontów, uczuciom jego prostoty, szczerości i prawdy, formie jego wytworności i rozmaitości. Brakiem wykształcenia u poetów dzieje się to, że wiekuiste źródła poezyi zdają się wysychać, symbole martwieć a forma drętwieje i blask utraca. Do tego rodzaju poetów zwraca się Zenon Przesmycki z chłostą ostrego bicza w Glossie listopadowej »Chimery« (r. 1902) p. t. »Rozstrojowcy i zamętowcy«.

Dokoła nielicznej garstki twórców — mówi on — tłoczy się pstra ciżba. Przodem idą ludzie o dużych talentach; za nimi tabor ciurów, arlekinów, strojnych w cudze piórka, snobów, kabotynów, grafomanów, poławiających nastroje, jak śledzie ciągnące ławą, tudzież erotomanów. »Tworzy się« bez wytchnienia. »Nowa sztuka« staje się przedmiotem handlu. W pościgu za jednodniowym rozgłosem kleci się mozolnie rozmaite jasełka i misterye, wystawia się dramaty niemal nudniejsze od »Kajetana Oruga« i wydaje się pospiesznie »zbiorki«, »tomiki«, »serye«. Jedni czerpią ze Słowackiego, inni u mistyków średniowiecznych, u ro-

mantyków niemieckich... W purpurę cudzej chwały przyobleka się własną pustkę i małość. Dawniej wyczuwano wszędzie *odeur de la femme,* obecnie unosi się *odeur de l'éternité.* Sprośne fauny poufalą się z nieskończonością, baraniogłowe satyry stają na straży św. Graala. Surowy ten, pełen gniewu, nawet złości i oburzenia głos da się usprawiedliwić dwoma względami: pietyzmem dla sztuki i widokiem strumienia wody, zalewającej w postaci niezliczonej ilości tomów i tomików ideał prawdziwego piękna. Widok bardzo smutny. Za powołanych uważa się wielu, ale wybranych bywa mało. Niema tu naturalnie mowy o geniuszu. Geniusz — »to Chimborasso pod równikiem, który ze swej podstawy, spalonej żarem słońca, dźwiga się po przez wszystkie klimaty i strefy ziemi i opasuje swe wysokie, różnobarwne stoki roślinnością wszystkich szerokości«. Mowa tu o talentach, podobnych do willi pośród nowoczesnego parku, przyozdobionego wdzięcznie fontannami i posążkami, gdzie po promenadach i tarasach przechadzają się i wypoczywają dobrze wychowani panowie i damy.

Sporo w tem oczywiście sztuczności, nie sztuki, a jednak i ci wybrani, których talentami zowiemy, pamiętaćby powinni o tem, że są kapłanami sztuki. Znalezienie obrazu dla myśli, łatwe dobranie rymu — nie stanowi poety.

Istotę poezyi — powiada pięknie Emerson Ralph [1] — stanowi nie rytm, lecz treść, która rytm stwarza, myśl tak namiętna i żywotna, że posiada, podobnie jak dusza rośliny lub zwierzęcia, własną architekturę i wzbogaca przyrodę nowem zjawiskiem. Myśl i forma mogą być sobie nawet równe w istnieniu, lecz w powstawaniu myśl wyprzedza formę. Ale — wysnuwa dalej tenże — poza energią posiadanej umysłowości świadomej ma człowiek inną władzę. Poza siłą, ukrytą w nim jako w osobniku, jest jeszcze siła powszechna, którą może pozyskać, jeżeli otworzy bramy swej istoty i pozwoli prądom niebiańskim przepływać swobodnie przez swą duchowość. Wówczas porwany zostanie w życie wszechświata, mowa jego stanie się gromem, myśl jego — prawem, a słowa jego będą wszędzie równie zrozumiałe, jak rośliny i zwierzęta. Przyroda zatem staje się jednem z wielkich źródeł prawdziwej poezyi. Tylko darów jej nie można wyłudzić za pomocą sztucznych podniet, za pomocą opium, wina lub haszyszu. Szczytne wizye jawią się jeno czystym i prostym duszom w czystych i szlachetnych ciałach. To, czem nas darzą narkotyki, nie jest natchnieniem.

[1] W studyum p. t. »Poeta«. (Chimera 1902, z. 15, str. 406.

Milton mawiał, że poeta, który ma opiewać Boga, winien pić wodę z drewnianego naczynia. Duch, który wystarcza cichym sercom, który przemawia do nich z każdej kępy zeschłej trawy, z każdego pnia sosny, z każdego napół zagrzebanego kamienia, widniejącego w bladem słońcu marcowem, ten duch objawia się — bezdomnym i głodnym, i pełnym prostoty. Lecz gdy przesycisz swój mózg wrzawą, modami i pożądliwościami, gdy podniecisz swe znużone zmysły winem i haszyszem, wtedy nie dojrzysz promieniowania mądrości w pustynnej samotni jodłowych borów.

Ale już z powyższych słów wynika, że jeśli przyroda dla poety staje się niewyczerpaną krynicą natchnień, jeżeli symbole, za pomocą których poeta skrystalizowane w duchu swym myśli odtwarza, powinny być jasne, proste i łatwe do przełożenia na synonimy, będące w powszechnem użyciu, jeżeli poeta powinien nieustannie kształcić i doskonalić w sobie te władze, za pomocą których danem mu jest odgadywanie darów natury, to wydaje się rzeczą pewną, że uczucie, jako jedna z tych władz, a mianowicie siła jego oraz istota zależą od warunków kraju i klimatu. Człowiek — dowcipnie mówi Mickiewicz — nie jest wytworem gruntu, ale ustawicznie szukał gruntu *(du sol)* i klimatu, odpowiadającego jego naturze. Zarówno wyobraźnia ludów północnych, jak ich uczucia odmienne są od wyobraźni i uczuć południowców. Inną jest wesoła i hulaszcza piosnka Gaskończyka, inną jednostajna i głęboka w tonacyi nuta Skandynawa, inną na szerokim stepie mlekiem dum i mleczem kwiecia sycona »dumka-płaczka« Ukraińca. Nasza szczególniej poezya nierozdzielnie i na wieki spoiła się nastrojami, uczuciem, barwą, tonem z przyrodą naszego kraju i klimatu. Ale i naodwrót. Nigdzie trudniej, jak w naszej poezyi — znaleźć nie można tych rzekomo głębokich biadań na filozoficzne tematy — ogólno-ludzkie. Zostawmy to Niemcom. Myśmy własnych systemów filozoficznych nie wyrobili i poezya nasza niechętnie zanurzała się w głębie istnienia. Przeklął Mickiewicz mędrców, nie nauką pragnął rządzić — »prędko gnije« — lecz uczuciem. W swym »Pielgrzymie« — mądrość wieku nazwał wielką wodą. Sam niepospolicie ukształcony, w poezyi cenił prostotę i jasność, czego dowodem »Pan Tadeusz«. Na obcą rzucony ziemię — o ojczystej wciąż marzył i do niej wracał myślą, nie zanurzając się w odmęty mglistych dociekań lub urojonych bólów.

Zaprawdę — dla młodej poezyi naszej zbawienną byłoby nauką wciąż i nieustannie studyować wielki wiek XIX. Nastręczyły mi się

te uwagi same przez się, gdym odczytywał szereg tomików, wskazanych w nagłówku.

Są to niemal wyłącznie tomiki liryczne, a sama ich ilość, będąca drobną cząstką corocznej produkcyi świadczyłaby o bujnym popędzie tworzenia u naszych najmłodszych poetów. Sam atoli popęd tworzenia nie znamionuje jeszcze rozkwitu poezyi w nowym jej prądzie.

Właściwością liryki jest, że odsłania wyraźniej, niż epika lub dramat duszę poety, bo za jej pośrednictwem wypowiada poeta własne uczucie i myśli, uczucia — mam nadzieję — wyższego rzędu, szczere i głębokie, myśli zajmujące, może niepospolite. Biorę tom liryków do ręki w oczekiwaniu rozkoszy estetycznej, jaką zwykła budzić misterna, nowa, artystycznym rozmysłem dla treści wynaleziona forma. Przypominam sobie, z jaką to starannością cyzelował swoje »Sonety Krymskie« Mickiewicz, ile inwencyi okazał w swych dumkach, szumkach i pyłkach Zaleski, jak nadzwyczajnie dbał i chlubił się formą swego wiersza Słowacki, jaką elegancyą i wytwornością lśniły liryczne poezye Asnyka lub Faleńskiego, jakiem mistrzowstwem — nie bez trudu zdobytem — celują hymny Kasprowicza; — i powiadam sobie: po tych wszystkich wzorach niepodobna, aby formę lirycznej poezyi lekce sobie ważono. Jeżeli zatem treści nie znajdę, porwie mię ten tom i zachwyci przynajmniej formą. Znajdę w nim piękne obrazy, nowe próby budowy stroficznej, dźwięczną rytmikę, kunsztowne kombinacye rymów, bogate a rodzime słownictwo. Artysta oto zastawił mi ucztę: moją rzeczą nasycać się i wielbić go. Zobaczmy.

Książka z »Z zeszytu autorki«, która chciała pozostać nieznaną i nie podpisała się. Może i lepiej. Tytuł bezpretensyonalny i możnaby rzec, że ratuje sytuacyę. Do zeszytu wciąga się rozmaite notatki — dorywczo, luźnie, bezładnie — w pierwszym rzucie myśli, bez stylistycznego obrobienia. Ale stąd nie wynika, żeby zeszyt wart był publikacyi, chyba żeby to były notatki pierwszorzędnego talentu i niepospolitego umysłu. W tym atoli wypadku są to urywkowe, bez tytułów wierszyki, słabe próby ujęcia w poetyczne kształty fragmentów wrażeń, czasem nastrojów. W każdym urywku ból na różne tony. Znajdą się pozory tęsknot i bolów wszechludzkich, ale w istocie harfa na minorowy ton nastrojona, smętne wygrywa żaliki. Ani wicher halny, ani sącząca się z gór siklawa, ani Zmarzły Staw — nie odkryły tej duszy swych tajemnic. Dziwaczny końcowy poemat — prozą przeplatany — p. t. »Sam śnił: już piękności jest królestwo dobre«. Sam za

przewodem Piękności idzie w kraj, »gdzie się cud wszechrozgrzeszeń staje«. Już zaszedł, lecz wspomniał, że jest sam i chciał »kraj pusty zaludnić głosem«, ale tłum,

co niegdyś szedł falą
mnie topić, w jakieś łożysko precz spłynął
odległe i był. Więc biedne, żebracze
wyciągnąłem dłonie i płaczem zdławion

biegł prosić tłumu, by mu być dał społem, ale padł i śnił swój sen. Śniła mu się miłość zmysłowa — lecz kobietę odtrącił; śniła mu się ziemia jałowa i kobieta brzemienna. dźwigająca dla tej ziemi wodę, śnił mu się wieszcz i mocarz, i grzesznik skruszony, i dwaj bracia, i ludzie idący w ogród ze śpiewem. Oni to pociągnęli go do kraju. Mglisty, bałamutny sen. Przypuszczam, że autorka potrafiłaby dać mu podłoże prawdy, ale i wówczas nie ceniłbym snu tego wyżej, jak na to zasługuje. Cały ten zeszyt wydaje mi się materyałem poetycznym, rzuconym do notatnika w chwilach, gdy się go zbiera, jak się zbiera kwiatek po kwiatku bezładnie do bukietu, który trzeba ułożyć. Ogrodnik przy układaniu zestraja barwy, kształty, wonie, odrzuca zbędne gałązki i listki, niedorodne kwiatki: tu wszystko spiętrzyło się pogmatwanie i weszło w książkę bez braku. Co wart np. taki drobiazg:

O gwiazdo moja,
coś z firmamentu strącona spadła,
Kiedyś spadała,
że jedna ludzka twarz na ziemi zbladła,
tyś nie wiedziała (str. 47).

Co wart drugi, jeszcze mniejszy drobiazg, również bez tytułu:

Już zcichły dzwony...
I tylko echo po polach, po lesie
się niesie. (!)
Już zcichły dzwony...
I że ich serca jeszcze są w rozchwiewie (!)
nikt nie wie (str. 53).

Ze względu na treść i na formę oba te drobiazgi jednego są warte: kosza.

Kosza też warte takie rymy, jak o c z y — ł ą c z y (19), c h y ż y — n i ż y (51), takie wyrażenia, jak c i s ł y s i ę (11, 30) lub o w i j w ę ż o w a (78) i t. p.

Podobnie jak autorka »Zeszytu« szuka i p. Edward Leszczyński natchnień w wizyach własnej imaginacyi. Ku końcowi książki p.t.

»Płomień ofiarny« w »Modlitwie« choć raz przed skonaniem chce poeta z »panią nienazwaną« rozmawiać o swej dla życia niechęci. »Płomieniem i krzykiem« błaga, aby zasłoniła jego lutnię rękami swojemi przed życiem. Na czele we wierszu »Płomień ofiarny« uważa się za wielkiego samotnika, który ojczyznę zgubił śród gwiazd, a teraz błądzi bez celu po otchłaniach bytu. Sam sobie tworzy świat: nad otchłanią cyklopowy bóg, morze żądz, miasta dygocą sercami dzwonów, lecz jego serce samotne. Ale ponieważ myśl poety nie jest tak przenikliwą i dalekowidzącą, aby się horyzonty wszechświata przed nią rozwarły, ani serce nie uderza taką pełnią swego tętna, aby do współczucia zniewoliło przyrodę i ludzi, ani wyobraźnia nie tak jasną i lotną, aby wizye lśniły wszystkimi kolorami tęczy, przeto ofiarny płomień podobny do iskierki, napoły zasutej popiołem i żużlami wygasłego ogniska. Zarówno senne obrazy, snujące się przed wyobraźnią poety bez ładu w wieczornej chwili, gdy »paląc papieros patrzy w dymu arabeski«, jak bardzo zaiste mistyczny ogród, gdzie radby pozostać »tajemnicą zamknięty dookolnie«, jak i owa sadzawka, pełna czarów dla dzieci, jak ballady o motywach wyszukanych nie bez mozołu, w koncepcyi zbyt zagadkowe, w szczegółowem wykonaniu mało plastyczne i bezbarwne, — wszystko to rozpierzcha się i znika — nie mając dość mocy, aby oczarować i uwięzić na dłużej uwagę czytelnika. Zajmą chyba drobne wierszyki owiane tęsknotą za przeszłością, wiekiem dziecinnym, wspomnieniami miłosnych uniesień, ale i tu jak rażący dysonans dźwięczy nieustanne odpędzanie »mary życia«

To, za czem tęskni serdecznie,
Obce jest kształtom i życiu,
To z dali nęci go wiecznie
W zmierzchowych linii spowiciu. (114)

Poeta pragnie jeno melodyi cichych, dawnych, zapomnianych, wciąż »od brzegów życia łódź odtrąca nogą«. Mści się owa niechęć na poezyi p. Leszczyńskiego w dwojaki sposób bez litości. Po pierwsze zacieśnia widnokrąg jego twórczych pomysłów; powtóre każe mu podsłuchiwać większych odeń twórców i czyni go naśladowcą.

Poemat »Ahaswer» ma swój pierwowzór w »Judaszu« Kasprowicza, »Mistyczny ogród« podobny do »Mistycznej łąki« lub »Zaczarowanego lasu« Tetmajera, »Boży pątnicy« znajdą swych pierworodnych braci u Staffa, »Mur graniczny« między poznaniem ludzkiem a wiecznością od czasu »Drogi nad przepaścią« Mickiewicza, wiele, wiele razy nęcił poetów. Po cóż powtarzać, co inni lepiej wyśpiewali?

Poezye »Płomienia ofiarnego« i we formie dowodzą nieraz nieszczęśliwego poszukiwania oryginalności. Błogosławne ramiona, błędny życia omam, proszalny pacierz, opiłość woni marzycielskich, rażą — jako nowotwory brzydkie a sztuczne.

Ilekroć atoli poeta zechce się pozbyć koturnów rzekomej wzniosłości, z którą mu tak nieswojsko, potrafi utworzyć piękny wierszyk, jak np. »Kiedy nadejdzie godzina przedzgonna«. Niestety, zbyt cięży na nim piętno symbolicznych ciemni z okresu Młodej Polski, co sprawia, że dość rzadko zdobywa się na jaśniejsze wzloty. Ale się jednak zdobywa, gdy tymczasem p. Z. Łada, autor zbiorku p. t. »Powrót«, dosiadłszy dekadenckiego pegaza z nieokiełznanym rozpędem uniósł się w sfery niedostępne dla myśli śmiertelnika. My — woła — »podskalnej fali kurczowe podrygi«, my, »rzesza potępieńców — po omacku szukamy światła; pełni zawodów i niewiary, pierś okrywszy kolczugą przesytu — wstępujem w otchłań wolnego bezczucia«. Aby jednak czytelnik nie przeraził się rezultatem tej niebezpiecznej wyprawy, poprzedził wiadomość o niej poeta utworem »Powrót«. Duch powraca — jak się zdaje — z osobowego bytu do Nirwany, a może przeciwnie. Dalekie światła pustyni, dzwony wesela i smutku, szelest mgły (!), gwiazdy i góry mówią mu o chwili modlitwy, woli i majaczeń, o chwili żądzy i umiłowań, o chwili nędzy i pychy. Duch wraca nad brzegi mórz, nad niwę bujną, nad perć wysoką. Po drodze na brzegu morza spotyka zniszczone popiersie. Następnie widzi rumowisko światów. Skamieniałe pola, łuny pożarów, spienione fale, lód, ogniste płachty, powalone pnie — wszystko utrudnia drogę tłumu, gnanego strachem. Na cmentarzysku sabat trupi. Słychać pieśń »dusz, co gdzieś pomarły«. A duch wciąż zdąża (poeta pisze: zdarza). Wiedzie go gwiazda... w nicość. Kończy pieśń:

Ptaki białe siadły nad mą wodą,
Ptaki białe na słońcu igrają,
Ptaki białe spadły na me pola
I mój zasiew przed wschodem zbierają.

Pomimo zamętu myśli, braku logiki, pomimo cudacznych wizyi, jakoby z ram majaczeń Przybyszewskiego wyjętych, pomimo potwornych dziwolągów wyobraźni, można stwierdzić, że poeta jest epigonem zbankrutowanego dekadentyzmu, a poezya jego przeżytkiem z najgorszych chwil Młodej Polski, opóźnionym pokurczem większego tchu talentów, zwłaszcza Tetmajera co do treści, Kasprowicza co do formy. Hymny Kasprowicza porodziły poroniony płód p. Łady. Ale hymny,

wyrażając z potężnem wniknieniem wszechludzkie uczucia, są pod względem myśli przedziwnie wyraźne, logiczne, proste. Wiem o co Kasprowiczowi chodzi w »Salve Regina«, w »Św. Franciszku z Assyżu«, w »Pieśni wieczornej«, w »Dies irae« czy »Święty Boże, święty mocny«. Tu zaś — jakby się wyraził Miriam — »laurowo a ciemno«. Oto dla próbki początek hymnu »Modlitwa« do szatana i do Boga:

Ognistą rzeką rozpłonęło słońce
Na skalnym zrębie stanąwszy.
Żarem złota i spiżów stopionych i stygnących
Czerwienieją góry.
Gorą jak fosforyzujące potwory i gasną;
A przez te cielska ogromne
Pełznące w rzece purpury i złota
Przelewa się powódź powietrznych oparów z szmaragdu i seledynu.
Świat cały taje, dyszy i drży,
W tej rzece słonecznych pożarów.
Głazy się mienią roztopem szkarłatu,
Zda się, wnet pękną i zleją żary i lawę w niziny.
A na przełęczy ciemnosinego barchatu
Szatan, nietoperzowe rozpostarłszy skrzydła
Kroplami płacze krwawemi,
Od których dymy i mgły
Wloką się sennie po ziemi.

Wstęp barwny — ani słowa. Właściwie zaś słów tu więcej, niż potrzeba, same słowa, słowa, słowa. »Roztęczona grota«, »oplot wężowy ognistych kolisk«, »drzemiące nenufary«, »rdzawa szata czerwonego śniegu« — i wciąż takie szumne, niby wielkie, w istocie bez konkretnej treści na podobieństwo białego puchu rośliny, znanej dzieciom pod nazwą mniszek.

W szumie słów i doborze barw z p. Ładą skutecznie współzawodniczy »Powieść tajemna« p. Wacława Wolskiego. U nas na szczęście z mody już wyszły osobliwe tytuły. Na skinienie p. Wolskiego — całą rzeszą wracają jeszcze raz jak szereg mar wybladłych: »Czarny sezam«, »Ikar astralny«, »Zwierciadło szatana«, »Kąpiel srebrna«, »Balet lunatyczny«, »Sen sfinksa«, »Na błękitnem słońcu«, »Loo-Toroo«, »Tytanodęby«, »Dyabelski karuzel«. Tłum sonetów, ujętych w cykle: »Powieść tajemna«, »Baśń lat dziecinnych«, »Mistica«, »Złote sezamy duszy«. Powstają z martwych szumne dedykacye np. Wyznawca księżyca magowi gwiazd Tadeuszowi Micińskiemu. Wszystko to już dawno przebrzmiało — i oto na skinienie »wyznawcy księżyca«.

Ihr naht euch wieder, schwankende Gestalten.

Sonety p. Wolskiego uważam za mistrzowski wybór i zestawienie słów, mających ukrywać jakąś czarodziejską tajemnicę ducha, słów niezwykłych, nieużywanych w obiegu naszej mowy, słów, które mają oznaczać coś, a nie oznaczają nic ziemskiego. Wyznawca księżyca zaczerpnął je zapewne z księżycowej mowy i dostosował do księżycowych warunków istnienia duchowego. Sfinksy, sezamy, pylony, koboldy, Eblisy tajnej pomroki, pył kosmiczny, abyssy Sfinksa, upiory psalmisty, mahatmy Ogrojca, ołowiany kult Jędzy, fauny szatanów, potworne połozy, włochate goryle, słowem cała menażerya dziecinnych straszaków nocnych przewija się przed zdumionemi oczami rozbawionego czytelnika. Czarne płomienie, zielone złoto, czarne kryształy, szkarłatnie-złote latarnie, złote karły, zielono-złote biedra, zielone szpony, chińskich księżyców tęcze, czarne sfinksowe katedry, ogniste kryształy, czarna mgła, krwawe zwierciadła, spiżowe okowy ciemnej chuci wieczności, srebrny ił, hydry wyżerające ślepia, opiekielnione tytaniczne ręce, wieczne somnambule i tym podobne przysmaki mają nam zaprawić tę poetyczną biesiadę. Nieskończony szereg tych barwnych hallucynacyi, którym nadano formę sonetu opisowego — bez uczucia, bez myśli i bez nastroju nuży i zniechęca do poezyi. Pomiędzy określeniami najwyższej miary, jak bezbrzeżny, potępieńczy, tytaniczny, bezdenny, widmowy, marzenny a tchnieniem uczucia i myśli twórczego ducha poety istnieje dysonans, który da się oznaczyć wyrazem: pustka. Wizye są wytworami zimnego rachunku bez współudziału dyonizyjskiego entuzyazmu i wbrew celowi swemu są też pomimo gorących barw, dyamentów, szmaragdów i rubinów nudne, jak obłoki długotrwałej szarugi. Cykl sonetów tatrzańskich grzeszy głównie tem, że w nim Tatr niema. I jakże mogą być Tatry, kiedy poeta, pisząc o Kościeliskiej Dolinie, myśli o kastalskiem powietrzu, o malstromie, o Gorgonie, o Libanie, pisząc o drodze do Kuźnic — myśli o »orgii szakala« i o haszyszu, pisząc o Toporowej cyrli, myśli o potworach Böcklina, nad Morskiem Okiem marzy o sezamie Golkondy i pajęczym powiewie Eola... Wielki duch naszych granitowych spiętrzonych gór zakrył też gniewnie swe oblicze przed ślepem spojrzeniem poety — i z pewnością drobny sonet Tetmajera »W Białem« lub cztery sonety Kasprowicza »Krzak dzikiej róży« w »Ciemno smreczynach« daleko więcej i piękniej odgadują duszę Tatr, niż trzydzieści sonetów p. Wolskiego. »Powieść tajemną« kończy rapsod I. wielkiego poematu epicznego p. t. »Grunwald«. Maluje w nim poeta oktawą jeden moment przed bitwą:

przyjęcie mieczów krzyżackich przez Jagiełłę. Za wzór dla swej oktawy wziął nie Aryosta, ani Tassa, nie Piotra Kochanowskiego ani »Beniowskiego«, lecz barok połowy XVII wieku. Szermuje więc gęsto czarownicami, dyabłami, Belzebubem, królem Dżumą, grafinią Kostuchą, każe knutom żmij całować Krzyżaków... w ucho, słowa Chrystusa »Chodźcie do mnie, a ja was ochłodzę« kombinuje z nieprzyzwoitością (str. 158), wymyśla Niemcom ordynarnie i co się zmieści, stara się podrobić rzekomo naiwny ton epopei, ale bez powodzenia. Oto próba tego nowomodnego baroku:

»Cisawy« w piasku grzebie drobną nóżką,
Ogniem przeźrocze rozdymając chrapy...
Piszczy do boju pacholę Fediuszko,
Jak młode lwiątko do krwawej agapy!
Stuli pysk Ulrych, jak pies, co pod łóżko
Kopnięty skomląc uciekł, liżąc łapy.
Wali, jak młotem, Daniłka serduszko
Mężne i o tym giermku przypomina,
Co, choć był sobie taką małą muszką.
Uwolnił z oków swego Hospodyna...
I skonał szczęsny z odrąbaną nóżką...
Złocistym nimbem jaśniała twarz sina
Wiernego panu chłopca-męczennika,
Co później w niebie przed Bogiem utyka...

Od poetów Naruszewicza i Woronicza przejął też niefortunne zbitki przymiotnikowe, któremi szpikuje i tak nielekką swą oktawę. Co moment więc spotyka się: srebrzystokolory, czarnodzioby, krwożerczy, czarnokrzyży, płomiennokolory, złotostropy, krwaworuny, purpurowowiecy, purpurowosiny, płomiennowężowy, ciemnokrwawy, płomiennokędziory, zmierzchłosłowiański i t. p.

Słowem plon poetyczny »Powieści tajemnej« nie bogaty. Parę pięknych drobiazgów, jak »Do chłopa śląskiego«, że »dłoń jego czarna grób Polski odkopie i wskrzesi zmarłą« lub »Psalm pojednania« nie uratują plonu, zwłaszcza że i poeta sam zapewne nie wielce je sobie waży i wróżbę taką znajdzie się u nas w poezyi dawnej niejednokrotnie, choćby w Ujejskiego »Aniele Pańskim« lub »Błoniach medyckich«. Kapitalna zaś część »Powieści tajemnej« wzbogaca w literaturze naszej dział symboliki martwej i może służyć za wykwit poezyi o znaczeniu »tajemnem« nawet dla magów gwiazd i wyznawców księżyca.

Do tegoż działu należy tom »Pro memoria« p. H. K. Rostwo-

rowskiego. Młody poeta wyznaje, że »raz pierwszy dostrzegł płomień swojej myśli«, a świeci ten płomień ponurym, mętnym połyskiem utyskiwań i żalów. »Pierś jego pieśni utoczona z próżni, słucha westchnień, których nie odgadnie słuch »Bytu, krążący ponad miernotą«. Pieści swą pieśń, jak »starcy, co młodości swojej młodość dłużni, zgrzybiałymi palcami zgrzybiałe tęsknoty otulają w zjełczałej rozpusty płaszcz złoty«. Jest taki chory, jak »niemowlę, co z przyszłością gwarzy, taki chory, jak nadzieja schylona nad trumną, co patrzy w przeszłość swoją«. Trapi go lęk częsty; wie, że ma talent, ale w kościele jego pragnień głucho; ma górne serce, ale czoło chyli w poniżeniu.

> Jednego nie dostałem — spowiada się. Tej przedziwnej Chęci,
> co jako prostaczkowie prostactwem przejęci,
> patrzą w nieogarnięcie swojego pragnienia —
> tej Chęci, co bezsilność w zagadnienie zmienia
> i kłamem zagadnienia w kłam wiary uderza
> i wiecznie obumarła i wieczyście świeża
> staje wobec spełnionej rozpaczy pogodna.

Czego właściwie poeta chce, do czego tęskni, na co się żali, co zamierza światu obwieścić, do jakich kresów dąży? Jeżeli kto wyrozumie, wart konia z rzędem. Mnie się zdaje, że poeta sam siebie nie rozumie. Przeczytałem sumiennie rozmyślania na cmentarzu i rozmyślania w mieszkaniu i poemat o sprzętach domowych i całą książkę. Mogę zapewnić, że nigdy nie znalazłby sobie lepszego zastosowania pewnik Mickiewicza: »Gdzie niema jasno uświadomionej myśli czy uczucia — tam niema poezyi«. Owa »troska sprzętów«, ów lęk powoi, księżyca, fali, owo rzucanie się w ramiona wiośnie skutkiem »osłupienia«, owe porównania wymęczone a sztywne, owe sztuczki rymów (fala trud obala, od myśli zawiśli) — to ani uczucie, ani bezdenna głębia pomysłowości, ani filozofia, ani psychologia — lecz nonsens. Dwie są formalne przyczyny tej poetycznej konfuzyi, za jaką uważam »Pro memoria«. Po pierwsze młody poeta dla wysłowienia myśli potrzebuje za wielu wyrazów, rozmiłowywa się w dźwiękach, nie bacząc czy są one właściwe, czy zamiast odsłaniać nie maskują myśli. Stąd natłok, zamęt słów, porównań i obrazów, a całość okrywa się nieprzeniknioną powłoką mgły. Podobne to do zjawiska w górach, kiedy gęsty welon obłoków przesłoni ostre i wyraźne kontury żlebów i domysł przeczuwa, że tam się kryją zarysy skalne, ale ich poza welonem dojrzeć nie może. Powtóre u p. Rostworowskiego w stylu poe-

tycznym zachodzi nie częste zjawisko, że porównania gaszą myśli. Są zbyt rozwlekłe, zbyt zawiłe i skutkiem tego wyłącznie absorbując uwagę czytelnika — o d w o d z ą go od myśli. Oto dla przykładu trzy bezpośrednio po sobie następujące strofy:

I uśmiechem witało nas cierpienie nasze,
pogodne jako nędzą stoczone poddasze,
gdy klątwa i zawiłość niemocy ucieka,
by nie zajrzeć w kołyskę nowego człowieka.
I uśmiechem witała nas młodości gwara,
ta spłoszona goryczą piastunka prastara,
co wraca, skoro żądzę zmoże duch poddańczy
i jak żądzę niańczyła, wyzwolenie niańczy.
I uśmiechem witało nas uczucie nasze,
bezdomne, jako z gniazda wyrzucone ptaszę,
co tęskniąc za potęgą lotu, lot skrzydlaty
przeszywa i tęsknotą biegnie poza światy.

Trzy obrazowo wyrażone myśli gruntownie i radykalnie zagmatwane porównaniami! Tenże p. Rostworowski właśnie wydał poemat »Ante lucis ortum«. Nie znam jeszcze tego dzieła. Jakże byłbym rad, gdyby tytuł brzmiał: »Post lucis ortum«, gdyż na prawdę promień światła dla »Pro memoria« zbawiennieby się nadał.

Poznawszy kilka najnowszych dzieł poezyi, których głównym wątkiem miał być według słów Miriama *odeur de l'éternité*, możemy stwierdzić w nich dwa braki: brak należytego przygotowania się duszy uczuciowego, umysłowego i artystycznego do głębokich wniknień w Ducha świata i brak szczerych, silnych, prawdziwych i gorących natchnień. Każda niezupełnie przeciętna jednostka ludzka, usiłująca drogą mistycznej kontemplacyi wyzwolić się z więzów materyalnej powłoki, miewa chwile wewnętrznego podniesienia, rozradowania i jakgdyby rozbłyski Bóstwa odczuwa w sobie, ale stąd daleka jeszcze droga do wieszczego apostolstwa prawd ogólnych i Prawdy najwyższej. Na to, ażeby się pierś ludzka napełniła potężnem wezbraniem niedoli lub szczęścia świata, potrzeba te niedole i tęsknoty poznać i zrozumieć długą nauką nad losami świata, długiem rozpamiętywaniem śród bezsennych nocnych dumań, długą męką nad wyrobieniem w sobie wyższego dostojeństwa, jak to zresztą czynili wszyscy wielcy od Eschila do Danta. Kiedy nasz Mickiewicz w improwizacyi, analizując swoją pieśń, zapewniał, że śpiewy jego przewiewają tonie rodu ludzkiego, że jęczą żalem, ryczą burzą a wieki im głucho wtórują, to dodawał, że każdy dźwięk

ma w uchu, w oku, że słyszy lot tej potężnej melodyi wieków po jej świstach. Czyż to nie znaczy, że oprócz przygotowania się potrzeba mieć dar jasnowidzenia, że potrzeba nadto umieć w sobie te władze ducha, które psychologia nazywa wyobraźnią i uczuciem, tak rozpłomienić, żeby na dłuższy moment przenieść się w stan natchnienia. Wiem, że powtarzając ten wyraz, nie jestem ścisły. Nauka estetyki psychologicznej dotąd nie zdobyła się na definicyę tego stanu. Ale poeci go znają. Parę przykładów nie zawadzi. Brodziński mówi [1]. Usposobienie, przy którem praca idzie ochoczo, wyobrażenia obficie się nasuwają i rzecz prawie się sama z siebie rozwija tak, jakoby obca jakowa siła nami władała — nazywamy natchnieniem. Starożytni przypisywali je bóstwu. W takim stanie tworzone dzieło nosi cechę żywości i światła; wszystko w niem silne, naturalne, łatwe i na swojem miejscu. Kiedy Michał Anioł ciosał swego Mojżesza, oczy mu dziko płonęły; silną ręką bił młotem, a okruchy daleko pryskały. Zdawało się, że za każdym ciosem marmur w kawałki się rozsypie. Wyobraźnia widziała w złomie posąg. Śmiało odrąbywał zbyteczne części pewny, że nic od posągu nie odłamie.

Ale jeszcze silniej w myśl słów Nietschego o stanie egzaltacyi dyonizyjskiej maluje natchnienie Tetmajer w swem »Zatraceniu«. »Nagle dziwne uczucie ogarnęło Rdzawicza. Szalone jakieś wezbranie rozdęło mu piersi. Podniósł ręce do góry. Potężna fala żywiołu twórczego przeniknęła mu żyły. Z podniesionych do góry rąk, z rozprężonych palców [2] poczęły wylatywać ognie, błyski, światła, jak fosforyzacya. Cała pracownia napełniła się rozlatującemi się, rozpryskującemi ogromnemi iskrami. Jak wybuchy wulkanu waliły z głowy Rdzawicza fale żywiołu twórczego. Wzbierały, wzdymały się, piętrzyły i wybuchały na zewnątrz. Marmurowe pieśni, mówiące obrazy, słowa o kolorach i dźwiękach muzycznych utworzyły naokoło niego chaos i wir«. Teraz proszę te dwa obrazki zestawić, porównać, uzupełnić jeden drugim, przystosować do poznanych powyżej utworów i orzec, czy one są w istocie płodem tego boskiego uniesienia. Zimne, wymuszone, wypracowane, w treści mętne i zawiłe, we formie często niepoprawne, — mogą się nazwać robotami wierszowanemi, nie zaś dziełami twórczego natchnienia. Są kuszeniem się o najwyższe loty, ale równocześnie są

[1] »Pisma« IV, 127. »O czuciu«.

[2] Przypominam, że Rdzawicz — to genialny rzeźbiarz.

szeregiem Ikarowych upadków. Możnaby śmiało do tych poetów zawołać z Kasprowiczem:

Skrzydła Ikarów, posklejane woskiem,
Rzućcie od siebie, a natomiast silną
Antejów stopę postawcie na ziemi.

II.

Z nadobłocznych bujań zstępując na ziemię, spotykamy się w najnowszej liryce najczęściej ze struną miłości indywidualnej. Przez wieki ograna, ale zawsze nowa dostarczać będzie wciąż motywów, zmieniających się stosownie do form, w jakie się chwilowo wyraz zewnętrzny tego uczucia przyobleka. Wiek XVI naszej poezyi traktował miłość lekko a rubasznie, co się stwierdza fraszkami i epigramatami licznych poetów. We wieku XVII pod powłoką wyszukanej galanteryi Naborowskiego i Morstina odczuwa się żar zmysłowych uniesień i żądło intrygi; wiek XVIII maskował idylliczną szminką wcale nie idealną rozwiązłość; romantyzm wynalazł dla miłosnej żądzy brzmienia prawdziwe i silne, ale więcej zajmował się cierpieniem, płynącem z nieukojenia jej, niż dosytem rozkoszy. Ku chlubie wielkiej poezyi okresu trzech wieszczów należy atoli dodać, że w obrazowaniu miłosnego dosytu nie lubowała się, przenosząc nadeń stany idealnego uczucia w stadyum powstawania. Dowodem »W Szwajcaryi« Słowackiego. Pierwsza miłość, która zwykła duszę ludzką napełniać światłem i jasnością, która żyje w słońcu wśród rojeń i ułud, czystą i anielską rozkoszą, która owe t. zw. bezpośrednie uczucie, choćby nawet szczere i serdeczne, uważa po prostu za profanacyę swojej świętości, której wystarcza obecność ukochanej istoty, świadomość jej blizkości, bytu i wzajemnej adoracyi, że ta pierwsza miłość dla poety może się stać motywem ponętnym, aczkolwiek trudnym. Jeżeli się narodziny i rozwój jej umieści na tle cudownej przyrody i odczuwa przedziwny zestrój rozkwitającego uczucia z przyrodą, to motyw staje się godnym Słowackiego. W nim właśnie wówczas (lipiec, sierpień, wrzesień 1835 r.) obudziło się zachwycające uczucie nadziei i słodkiej melancholii. On właśnie wówczas »uważał harmonię, która wszystko łączy i nalewa jednym kolorem. Postrzegł, że sztuka powinna naśladować tę dziwną jedność wszystkiego. Zastanawiał się długo nad drzewami, kwiatami, szmerem, różnymi dźwiękami natury, widział ją z blizka błę-

kitną albo chmurną« [1]. Nie dziw, że stworzył arcydzieło, któremu nie dorównały ani »Sielanka młodości« Gaszyńskiego, ani »Romans wiosenny« Konopnickiej, ani »Qui amant« Tetmajera. Ale w ostatniej dobie miłość i jej obrazy znowu zmieniły postać. Szatan Przybyszewskiego »bez kresu rozpuścił cugle instynktów, aby się tarzały w nurtach płciowości«. A ponieważ zapewniał, że to jest właśnie jedyne i niewyczerpane źródło sztuki, przeto popłynęły z niej strumienie natchnień. Na czele szedł K. Tetmajer. Niema śród młodych drugiego poety, któryby z taką szczerością i wyrafinowaną ekspresyą obrazów odmalował buduarowe tajemnice, wonie alkowy, dawno nie wietrzonej. Wszakże w »Hymnie miłości« zapewnia, że miłość jest »najsilniejszem dobrem«, »zbawczynią ludzkości«, »wieczystą, pierwotną, najwyższą z sił«, »życiem życia«, »królową wszechistnień ziemskich«. Komentarzem do zdefiniowania tej miłości mogą być liryki: »Narodziny Afrodyty«, »Leda«, »Zacisza«, »Lubię kiedy kobieta«. W tych utworach tyle szału, że musiały one znaleźć odzew — i znalazły go u kobiet. Śladem Tetmajera poszła Zawistowska, której erotyki mogłyby współzawodniczyć z malowidłami Mackarta lub wschodniego gorąca kolorytem, owianemi scenami miłosnej żądzy 1001 nocy. Po Zawistowskiej lutnię odziedziczyła Liliana i w »Płomieniach« snuje pasma w dziwaczne skręty plątanego szału. Omdlone ciało, oczy obłędne od żaru, sprężone ramiona, dreszcze żądzy, słowem cała dekoracya zmysłów stroi hymny Liliany. Nie jest to ani haszysz, ani morfina, ani żadna ze sztucznych podniet lubieżności. Przyznaję chętnie, że w poezyach »Róże«, »Ust moich szukasz«, »Chciałabym stać się wizyą pieszczoty«, »Pragnę ciebie«, »Przyjdź«, »Szał«, »Nieraz«, »Nim się do snu«, »Wizya« nierównie więcej jest gorącego instynktu, niż zmysłowej rozpusty. Ośmielę się jednak uczynić dwie uwagi. Największy urok miłości stanowi wstydliwość. Gdzie się zaczyna bezwstyd, tam pryska wdzięk i czar, a pozostaje zupełnie zwierzęcy szał, towarzyszący zaspokajaniu chuci. I niemała mądrość tkwi w urządzeniu natury, ograniczającem płeć żeńską do roli biernej. Ilekroć bywa inaczej — objawy najczęściej przybierają charakter chorobliwy. I stąd u Liliany głównym drugim tonem jest gorycz, skarga, smutek, że w sobie ma piekielną pożogę, której nie może przytłumić, że ją porzucił, że zapomnieć niepodobna.

---

[1] »Listy« I, 374.

Gdy chmura wspomnień do piersi mej wpłynie,
To jako upiór ją szarpie i pali —
I jako żmija me serce owinie,
Aż póki strugą krwi się nie pożali,
I póty życia ofierze nie wróci,
Aż skamieniałą i omdloną rzuci.

Ta druga struna »Płomieni« jęczy nawet głośniej, niźli pierwsza — zmysłowa, co uważam za prawdziwe i naturalne. Pomimo tego utrzymuję, że pieśń, wielbiąca z uniesieniem biodra, jest obniżeniem dostojeństwa i uczucia i poezyi, choćby nawet — jak to miało miejsce u Zawistowskiej i ma miejsce u Liliany — wszystkie blaski talentu i niezrównanej formy poetycznej towarzyszyły i wspomagały te uniesienia. Takie pieśni są w stanie podniecić, nawet rozdrażnić instynkt, ale nigdy nie napełnią duszy czystą i wzniosłą rozkoszą. Nie nadaremnie pisał niepospolity poeta XVI wieku Szarzyński:

Miłość jest własny bieg bycia naszego,
Ale z żywiołów utworzone ciało,
To chwaląc, co zna początku równego,
Zawodzi duszę, której wszystko mało,
Gdy Ciebie, wielkiej i żywej Piękności
Samej nie widzi, celu swej miłości.

Nie olśniewa pokrewna wątkiem książeczka p. Anny Niemyskiej p. t. »Romans«, stanowi jednak w każdym razie w erotycznej poezyi kobiecej ostatniej doby moment ocknienia wobec pochłaniającej wszystko zmysłowości. »Romans« wyraża cierpienie wrażliwej duszy na rozdrożu żądzy cielesnej i pobożnych porywów. Żyła ona w »powszednich cnót gmachu«. Spotkała męża, który był »silny jak stal, nagły w ruchu« i zapalił pożar. Po »Pieśni zespolenia« — a dodajmy i pieśni rozłąki idzie pięć nocy pokuty. Pierwszej nocy słyszy głos słowa: kobieto, wstań. Tam naród głodny ofiar czeka, a w tobie ciało goreje żądzą. Ona jednak radaby za życie »silnego jak stal« męża oddać własne życie, nawet więcej: duszę swą chce skazać na wiek »mąk niezmiernych«. Słowo znika, a w sercu jej — powiew grobowej zgnilizny. Drugiej nocy tęskno jej za Chrystusem, lecz nie chce cierpieć, niech miłość Chrystusa innych przyciąga. Bóg ją upomina, ona zaś »nie chce Boga, chce ludzi«. Skoro w niej gaśnie miłość jednego człowieka, oto już świta ciekawość »drugiego ciała«. Tak walczy w niej Bóg i chuć przez dwie następne noce pokuty, aż ukazuje się widmo jego. Wierzył, że zginąć trzeba, wierzył w pracę, w czystość, siał czyny,

zapał, żył dla nędznych i bezdomnych, uczył, kochał, strzegł. (28). I ona też będzie dla nich pracowała. W dzień Narodzin Betleemskich w jej sercu także rodzi się Bóg. Tak to wśród pokutnych nocy wizya Chrystusa wraca wciąż z nową siłą i wzywa duszę do powstania. Poemacik p. Niemyskiej mieści w sobie niejedną myśl zajmującą, wypowiedzianą bez mglistych welonów. Możnaby chyba pragnąć gładszego wiersza i wytworniejszych rymów.

(Dok. nast.).

Antoni Mazanowski.

Z piśmiennictw obcych.

Le général Maurice comte de Hauké, souvenir posthume, esquissé par *Louise de Hauké.* Varsovie, 1907. Str. 195.

Książka sympatyczna, uczciwa. Autorka dotrzymuje przyrzeczenia, uczynionego w pierwszym wierszu przedmowy *je n'ai en qu'un seul but: la vérité.* Przysługą też dla historyków prawdziwą i rodowód Hauków i historya hr. Maurycego, a zwłaszcza zbiór dokumentów i korespondecyi z czasów porozbiorowych, aż do wybuchu powstania listopadowego. Flamandzka rodzina, Van-der-Haacken, pojawia się w Niemczech z końcem XVII w., gdzie nagina rodowe nazwisko do niemieckiej wymowy i zmienia je na: von Haucké, a w r. 1782 przybywa do Polski Fryderyk von Haucké i obejmuje stanowisko profesora w naszej sławnej szkole kadetów. Po ostatnim rozbiorze pozostaje w przybranej ojczyźnie i zajmuje się wychowywaniem młodzieży. On też zaczął się pisać pisownią polską t. j. Hauke. Jego to synem był Maurycy, żołnierz Kościuszkowski, oficer legionów, przyjaciel Dąbrowskiego, dzielny, sławą okryty jenerał z czasów Księstwa Warszawskiego, bohaterski obrońca Zamościa w r. 1813, minister wojny za Królestwa Kongresowego, w r. 1829 obdarzony tytułem hrabiowskim, a wreszcie ofiara rozkiełzania rozgorączkowanego tłumu, który go zabił 29 listopada w dniu wybuchu powstania.

Godziło się podać żywot człowieka, co ojczyźnie służył uczciwie, co pojmował obowiązek przykładnie, a na swem stanowisku dzieł znakomitych dokonał wiele. Godziło się uczcić pamięć człowieka, skrzywdzonego przez gorączkę zaślepienia, a jeszcze bardziej może przez pomnik Mikołajowski.

Maurycy hr. Hauke miał trzech braci: Ludwika, Krystyna i Józefa; wszyscy żyli w Polsce, służyli jej pracą i wiedzą. Autorka tego dzieła jest córką Ludwika, redaktorką »Wieczorów rodzinnych« w Warszawie, a synem hr. Józefa był jenerał wojsk rosyjskich, także Józef, jeden z najdzielniejszych wodzów powstania styczniowego Bosak, poległy w wojnie francusko-niemieckiej, pod Dijon 21 stycznia 1871 r.

Dzieci Bosaka pozostały na obczyźnie, przeważnie we Francyi, jakby już przeznaczeniem było rodziny wcielać się wciąż w coraz inne narody.

Z trzech córek hr. Maurycego, wyszła najmłodsza Julia za mąż za księcia Heskiego, brata cesarzowej rosyjskiej (żony Aleksandra II) i otrzymała dla siebie i dzieci tytuł księżnej Battenberg. Jej synem był Aleksander książę Bułgarski. Battenbergowie spokrewnili się też z dworem angielskim.

Pomiędzy wieloma przytoczonymi dokumentami, listami, raportami wojskowymi, jest nie mało rzeczy cennych, nieznanych, a godnych pamięci, jak oto raporty jenerała Maurycego donoszące naczelnym wodzom francuskim, że legiony polskie, za Francyę krew przelewające, giną prawie z głodu, gdy wojsku francuskiemu nie brakowało niczego. Dnia 23 maja 1807 skarży się Hauke w raporcie: *Les Malades polonais, en nombre de 500, n'ont reçu pour toute subsistance aujourd'hui que trente pains et point de viande du tout.* (Pięciuset chorych Polaków otrzymało dziś na całe pożywienie trzydzieści bochenków chleba, a mięsa wcale nie).

A jednak był entuzyazm dla Napoleona!

Cz. Pienążek.

Les fiançailles et le mariage. Discipline actuelle. Décret »Ne temere« (2 août 1907) et récentes décisions du Saint-Siège, par le *P. L. Choupin.* Paris 1908, Beauchesne 16, str. 165.

Die Verlobungs- u. Eheschliessungsform nach dem Dekrete »Ne temere«, von *dr. M. Leitner.* 5 Aufl., Regensburg 1908, Manz 8, str. 80.

Zmiany, jakim uległo dotychczasowe prawo kościelne skutkiem dekretu *Ne temere* z 2 sierpnia 1907 roku, wywołały, jak to zresztą łatwo można było przewidzieć, w krótkim stosunkowo czasie cały szereg rozpraw i broszurek. W języku łacińskim objaśnili wspomniany dekret pomiędzy innymi Alberti, Arendt T. J., Ojetti T. J., Vermeersch T. J., w języku włoskim Gennari, Trenta, po francusku Besson, Bondinhon, Gonthier T. J., Lillet, po

angielsku napisali komentarze Cronin, Devine, Slater T. J., po niemiecku Haring, Heiner, Knecht, Schmöger, a w polskim języku posiadamy komentarze Opielińskiego, Rotha T. J. i przekład książki Gennari'ego, sporządzony przez ks. Lecherta.

Komentarze Chopina i Leitnera należą bez wątpienia do lepszych w tym rodzaju. Jasno, z wielką ścisłością i precyzyą objaśniają pojedyńcze postanowienia nowej ustawy, uwzględniając przytem nie tylko ostatnie orzeczenia św. Kongr. Soboru odnośnie do niektórych punktów ustawy, które spowodowały pewne wątpliwości i kontrowersye jeszcze przed wejściem jej w życie, lecz także najnowszą literaturę, o ile im była dostępna. Szczegółową krytykę wyżej wymienionych komentarzy uważam za zbyteczną, gdyż w głównych i ważniejszych kwestyach, wyłaniających się przy rozbiorze nowej ustawy, Choupin i Leitner zgadzają się z ogółem komentatorów. Zaznaczam tylko, że Choupin bardzo trafnie i przekonywująco przemawia (str. 7—15) za nieobowiązkowością moralną tajnych zaręczyn. Zdanie to zdaje się z każdym dniem zyskiwać sobie będzie coraz to nowych zwolenników. Także Leitner przystąpił w swojem 5 wyd. do tego zdania. Pomijając pewne braki mniejszej wagi, jakie znaleźć można w książce Choupina, podnoszę to tylko, że pomiędzy wywodami tegoż autora na str. 69 a zdaniem wyłuszczonem na str. 66 zachodzi pewna niekonsekwencya. Zresztą obie wyżej wymienione broszury dla wielkiej ich praktyczności gorąco polecić można wszystkim, którym zależy na gruntownem zaznajomieniu się z nową ustawą kościelną o formie zaręczyn i małżeństwa.

Ks. J. Roth.

De sacramento Extremae Unctionis tractatus dogmaticus. Auctore *Josepho Kern S. J.* p. o. profesor theol. in Uniw. Oenipontana. Ratisbonae, Frid. Pustet 1907. (XVI, 396, str. 8.

Zmarły przedwcześnie i wkrótce po wydaniu swego dzieła o sakramencie »Ostatniego Namaszczenia« ksiądz Józef Kern, T. J., profesor uniwersytetu Insbruckiego, oddał przez tę poważną i gruntowną monografię o tak zbawiennym, a przytem tak mało zrozumianym sakramencie nauce i duchowieństwu wielką usługę. Już od 1905 roku ogłaszał autor po czasopismach ustępy, odnoszące się do tego tematu, — widać, że od dłuższego czasu pracował nad swoją książką, owocem długoletnich, sumiennych badań.

W pięciu częściach wykazuje O. Kern katolicką naukę o Sakra-

mencie chorych; udowadnia najpierw na podstawie tradycyi i Pisma św., że Namaszczenie chorych jest prawdziwym w ścisłem słowa znaczeniu, sakramentem; w następnych zaś działach zastanawia się nad celem, istotą i skutkami tego sakramentu, roztrząsa, kto może go udzielać i komu udzielić go trzeba; na końcu rozpatruje kwestyę, czy w tej samej chorobie można udzielić tego sakramentu, dalej, czy do zbawienia jest potrzebny i czy może odżyć, skoro usuniętą została przeszkoda, nie pozwalająca przedtem na skuteczność łaski sakramentalnej.

Taka to jest treść monografii O. Kerna. Atoli wartość dzieła ocenimy dopiero należycie, jeśli zwrócimy uwagę na cenne wyniki teologicznych badań autora. Zaraz na wstępie uderza nas zapowiedź tych ważnych rezultatów, które na pierwszy rzut oka wydają się być innowacyą w kwestyi teologicznej, najmniej podatnej dla dalszego dogmatycznego rozwoju; wszak nauka o sakramentach św., będących w ciągłem używaniu Kościoła, najbardziej już ustaliła się na Soborze Trydenckim.

»Jak doświadczenie nas uczy, powiada O. Kern, nie tylko laicy, ale i księża wielce się dziwią, kiedy słyszą, że Chrystus Pan dał Kościołowi sakrament konających w tym celu, aby wierni za jego pomocą po śmierci od kar czyścowych zachowani, natychmiast byli przeniesieni do niebieskiej ojczyzny«. Owszem przyznaje sam O. Kern, że nie mało zdumiewał się, kiedy zgłębiając dzieła wielkich doktorów XIII wieku dowiedział się o pełnem pociechy zadaniu namaszczenia chorych, polegającem na przygotowaniu dusz do bezpośredniego osiągnięcia chwały wiekuistej.

Jakkolwiek to zapatrywanie ma dla nas pozory nowości, to jednak już z tych słów autora możemy poznać, że właściwie nie idzie tu o nowość, ale o naukę najsławniejszych doktorów scholastycznych w okresie rozkwitu teologicznej wiedzy.

Bardzo sumiennie opracował autor rozdział o skutkach Namaszczenia chorych, a zwłaszcza o przywróceniu zdrowia przez działanie Sakramentu. Główne zadanie Ostatniego Namaszczenia pokłada w pokrzepieniu duchowem chorego i umocnieniu go wobec niebezpieczeństw duchowej niemocy, która bywa następstwem ciężkiej choroby fizycznej. To pokrzepienie duszy wywiera zbawienny wpływ na ciało, i powoduje polepszenie stanu fizycznego, a nieraz wyzdrowienie zupełne, o ile to ostatnie przyczyni się do zupełnego zdrowia duszy. Zapatrywanie to najbardziej jest uzasadnione, zwłaszcza dlatego, że daje jednolity pogląd na skutki sakramentalne, podczas gdy w innych teoryach

niema tej harmonii między skutkiem pierwszorzędnym a skutkami drugorzędnymi.

Nowem wyda się może i to twierdzenie O. Kerna, że poważne dowody przemawiają za powtórnem, ważnem udzielaniem Sakramentu w tej samej chorobie i w tem samem nawet niebezpieczeństwie życia. Dowody jego wytrzymują krytykę. Znawca historycznych źródeł liturgicznych, Franciszek Dölger, powiada, że dalsze badania wyświetlą bardziej jeszcze i potwierdzą to zapatrywanie.

Słusznie także podnosi O. Kern konieczność i ciężki obowiązek przyjęcia tego sakramentu przy zbliżającej się śmierci.

Ograniczam się do tych głównych rezultatów pracy O. Kerna, nadmieniając tylko, że ich ujęcie i uzasadnienie jest naprawdę wspaniałym owocem kilkuletnich i gruntownych studyów. O. Kern przytacza kilka tekstów, dotąd powszechnie nieznanych w traktatach teologicznych i z zadziwiającą nieraz bystrością przeprowadza egzegezę patrystycznych dokumentów.

Uznając wartość dzieła pod wielu względami, wspomniany jego recenzent w *Theologische Revue* VI, 552, Fr. Dölger powiada, że O. Kern przystąpił do swego dzieła bez odnośnych studyów przygotowawczych, wchodzących w zakres historyi religii, dogmatów i liturgii. Nie można mu zaprzeczyć, ale należy zwrócić uwagę na to, że O. Kern nie miał zamiaru podać historyczno-dogmatycznego studyum o św. chorych Namaszczeniu, lecz traktat dogmatyczny. Zapewne i dogmatyczne studyum powinnoby niejedną rzecz z historyi liturgii, dogmatów i religii uwzględnić, zwłaszcza w kwestyi materyi i formy Sakramentu Ostatniego Namaszczenia, ale te braki nie mogą nas uprawnić do ujemnego sądu o pracowitej monografii O. Kerna. Autor oddał wielką zasługę nauce, a także i przez to, że obficie czerpał ze skarbów teologii wschodniej.

Ks. Ernest Matzel.

Zwölf aus der Steiermark. *Rudolf Hans Bartsch.* Leipzig. Verlag von L. Starkman. 1908.

Jest to powieść, która miała niezwykłe powodzenie w Austryi. Tego lata przebywając w różnych austryackich miejscowościach, miałam sposobność ciągle słyszeć zachwyty nad powieścią Bartscha z różnych ust i od różnych ludzi. Mężczyźni prawie więcej ją chwalili, niż kobiety. Przeczytawszy tę książkę, którą literacka krytyka austryacka szeroko w ciągu zimy i wiosny omawiała, pytam się i ja z kolei:

dlaczego właściwie to opowiadanie (nie powieść!) zostawia odrębne głębsze wrażenie w umyśle czytelnika? Czemu wybija się ten utwór Bartscha osobnym charakterystycznym rysem wśród całej zagłuszającej produkcyi powieściowej? Myślę, że składają się na to różne powody. Czuje się, że autor nie jest literatem z zawodu lub dziennikarzem, polującym za senzacyą. Podobno p. Bartsch jest urzędnikiem w ministerstwie wojny, dość, że powieściopisarz nie wziął góry nad człowiekiem współżyjącym i współpracującym ze społeczeństwem i środowiskiem, w którem żyje. Przypuszczać też można, że świeża, bujna wrażliwość osobista daje ten akcent silnej prawdy psychologicznym wizerunkom. Śliczne opisy natury styryjskiej, umiłowanie piękności Grazu, opromienia wdziękiem poezyi całą książkę. A wreszcie bardzo silnie wysunięte kwestye narodowe i polityczne dopełniają to, że cały utwór nosi piętno bardzo nowoczesne, *modern*, a tego jest spragniona intelligentna większość literackich znawców.

Zwölf aus der Steiermark — to historya studentów z uniwersytetu w Grazu i kilku ich rówieśników. Ciekawemby było wiedzieć, czy p. Bartsch czytał *Les Desarmés* Barrès'a i czy wogóle silniej odczuł wrażenie tej niezwykłej książki. Jest to monografia całej grupy młodych ludzi, którzy opuścili swoją prowincyę dla Paryża, zagłuszyli swoją osobistą i wyrobioną środowiskiem rodzinnem »duszę«, by przyjąć wszystko niszczący wpływ kosmopolitycznej kultury. Zagłuszenie tego typu wrodzonego skrzywiło życie tych młodych: stali się wykorzenionymi; już wyrwani z gleby ojczystej zostali a nigdzie nie wrośli i nie wyrośli tem samem. Kilka lat minęło od tej powieści Barrèsa tak bardzo wysoko stawiającej indywidualizm jednostki i charakter odrębnej prowincyi, ale czas utrwalił jej znaczenie i pojęcie *desarmés* — wykorzenienia wprowadził jako nowy nabytek do kulturalnego skarbca nowoczesnych określeń.

Otóż z tą książką Barrès'a, ma pewne podobieństwo historya styryjskich studentów; pokrewieństwo pewnych poglądów często wypływa nie z wpływu doznanego, nie z naśladownictwa ale z tej samej atmosfery. Nic nie zdradza, by p. Bartsch jakimkolwiek sposobem od Barrèsa coś przejął: a jednak to postawienie wysokie hasła wierności względem samego siebie i postawienie punktu ciężkości w samym sobie dla osiągnięcia spokoju i równowagi dziwnie się zbliża do indywidualizmu wielbionego przez Barrèsa.

Powieść zaczyna się ciekawie: w malowniczej gospodzie, na przedmieściu ślicznego Grazu, zebrało się czterech młodych ludzi, każdy

z tych studentów ma inne usposobienie, ale w każdym jest siła i pęd życia, w każdym silnie dźwięczy nuta młodości i wesela. Najsympatyczniejszy z nich to młody filozof Kantilener: wszędzie, gdzie się znalazł, pragnął dawać radość i szczęście współbraciom: przechodząc koło ubogich domków przedmieścia przemyśliwał, w jaki sposób wnieść promień wesela do tych izb mrocznych. Była w nim taka obfitość miłości, że nie mogła się zmieścić jedynie w nim samym — i w śpiewie ptaków, w promieniach słońca czuł porywającą siłę tych błogosławieństw, którą Mistrz miłości głosił w kazaniu na górze — i chciał też ją nieść tym smutnym i przygnębionym, których pełno na świecie. Trzej inni to byli: Wigram, poważny, pełen tragicznych przemyśliwań nad zagadką świata; Helbig, nadzwyczaj kulturalny i przeniknięty wpływem całej nowoczesnej literatury i całego otoczenia; wreszcie, pusta głowa, O'Brien, lekkoduch, śmiejący się wiecznie do życia, pełnego przygód szalonych. Między tymi czterema kolegami powstaje pomysł: zawiązanie kółka dla spożytkowania pięknych godzin życia. Myśl ta, żartobliwie podniesiona, podoba się im: Raduj się bracie! — *Haire!* — po grecku — ma być ich godłem. Młodość i radość prędko przemija i jakby piasek przez rozwarte palce przesypują się piękne chwile, które się wyzyskać nie umie!... Śpiew i muzyka, przyroda i jej cudne obrazy i zrozumienie całej pięknej wartości godzin szczęśliwych, to są ich elementa: przeciwstawiają radość życia i wegetacyjnemu zamyśleniu innych, którzy nie umieją patrzeć i nie umieją odczuwać; biorą z wdzięcznością wszystkie objawy przemijające tego życia przyrody, które wciąż cudami swemi nas otacza. Nawet w szarych godzinach deszczu mówią sobie, że jednak niebo chmurne jest zawsze jaśniejsze od najjaśniejszego krajobrazu.

Uprawiając w sobie świadomą radość życia, chcą się wyzwolić od ucisku, pod którym jęczą inni pochyleni nad taczką życia, wyglądający zawsze czegoś lepszego. Umieć zrozumieć i ocenić jasną chwilę, to znaczy podwójnie ją odczuwać. Tym sposobem drogą radości wewnętrznej zdobywają siłę, która im da narzędzie do lepszego użycia zdolności. Atmosfera lżejsza i słoneczna utrzyma w zdrowiu ich młode dusze.

Takie są wewnętrzne zarysy tego nieokreślonego statutami związku — a jak kryształ zaczynający się osadzać w roztworze soli, przyciąga inne pokrewne cząstki, tak i do tych czterech przyłączają się inni młodzi, podobnie stęsknieni za umiejętną wiedzą szczęścia. To tłumaczy tytuł książki: *Zwölf aus Steiermark*, bo wśród tego kółka

są różnorodne elementa, które mają głównie jeden rys pokrewny wspólnej ojczyzny. Styrya i Graz — to śliczne, poetyczne i mądre miasto u stóp alpejskiej przyrody położone, stanowi tło dziwnie poetyczne. Silna miłość przenika tych młodych dla śnieżystych gór i szumiących lasów i dalekich horyzontów i ukwieconych górskich polan. Tutaj też rozwija się pomyślnie dziwaczna teorya d-ra Urbacha, który tylko siłami przyrody chce leczyć osłabłą ludzkość a życionośną rozkoszą zabić krwiożercze w niej instynkta.

Ale związek tych dwunastu na tak bardzo nieokreślonych oparty podstawach byłby może się szybko rozpadł, gdyby nie miał oparcia o piękną panią Elsę, żonę profesora uniwersytetu, która będąc sama wytworem przesubtelizowanej estetycznie kultury, szuka instynktownie czegoś nowego. Dla niej ci młodzi studenci tak odmienni od zbytkownych światowców przedstawiają niewyczerpany urok nastroju całkiem nowego. Stała się ich muzą i kapłanką a przybierając pełną wdzięku prostotę wobec nich, czuła się jakby odświeżoną nową siłą młodości. Oni wielbili ją szczerze jako wyższą istotę i nie śmieli nawet myślą widzieć w niej kobietę, którą można kochać jak każdą inną, poprzestawali na gorącej i trwożnej czci idealnej. Kantilener zwłaszcza czuł się uniesionym w inne sfery, ilekroć przebywał w atmosferze czaru, jaki roztaczała pani Elza i przez ten kult dla niej chronił się od zwykłych upadków... Innych jego kolegów poniosły zmysły za daleko: pogańska radość życia, zasadzająca się na radości zmysłów, poplątała te młode dusze: Helbig, O'Brien stali się pastwą takich niszczących pozorów namiętności — jeden zginął moralnie, drugi stracił całą tęgość i siłę wewnętrzną i wobec braku zdrowia nie znalazł innego wyjścia, jak śmierć. Wigram gdzieindziej miał punkt ciężkości dla swych marzeń: były to polityczne, daleko sięgające plany. Z całą zuchwałością niewątpiącej młodości złożył w cesarzu Wilhelmie II nadzieje odrodzenia świata. Blask frazesów biorąc za objaw rzeczywistych myśli, widział w nim tego władcę, który Niemcy zjednoczy i świat przemieni. Czy p. Bartsch chciał w Wigramie odtworzyć tych Austryaków-wszechniemców, którzy, uniesieni złudzeniami, wyciągają stęsknione ramiona do Prus? Takby się zdawało. Bo gdy Wigram spieszy do Berlina na to tylko, by naocznie przekonać się o brutalnej i aroganckiej bucie Prus nowożytnych, to się czuje całą siłę druzgocącą kontrastu, jaki istnieje między tamtymi Niemcami a kulturą cywilizowaną i subtelną Południowych Niemiec, Bawaryi i Austryi zwłaszcza. Patryotyzm obywatela austryackiego przebija z tych kart: jest on przede-

wszystkiem pełen tolerancyi, pełen zrozumienia dla potrzeb i dążeń innych narodowości współżyjących w Austryi.

Stosunek do Słowian, to jedna z kwestyi, które w południowej Austryi dominują — przedstawicielem takiego południowego Słowianina jest Semijaritsch; wyrósł on i wychował się na niemieckiej nauce i kulturze, ciągle zachowując świadomość swej odrębności szczepowej, ciągle w duszy bolejąc, czemu Niemcy mają swą muzykę, swe arcydzieła, a Słowianie, pierwotni posiadacze tej ziemi, tak ubodzy w dorobki duchowe! Ten smutek zazdrosny stale żre mu serce, jakby sęp jaki, a równocześnie ciągnie go nieprzeparcie ta kultura, na której się wychował. Ale przychodzi moment, gdzie zwycięży Słowianin — dzieje się to w czasie zaburzeń, jakie wywołuje konflikt niemiecko-słowiański w Grazu, gdy na wieść o czesko-niemieckich sporach, dzika, zawistna buta niemiecka wywołała niepokoje poważne. Dwa narody stają sobie oko w oko: Słowianin naprzeciw Germanina, nienawiść rasowa rozdziela przepaścią te szczepy od dawna zrosłe z sobą, Słowianin wychowany przez Niemców budzi się do czynu i Semijaritsch pogardza łatwem życiem, by w trudzie i walce pracować w Lublanie, na słowiańskiej ziemi.

Oprócz Słowianina, jeszcze inny, na pół już do Niemiec należący cudzoziemiec, wynosi z tych dni walki świadomość swej narodowości, obudzonej przez nienawiść rasową. To Żyd, Bohnstok, muzyk genialny, namiętnie przywiązany dotąd do idei niemieckiej; słyszy słowo hańbiące, słyszy pogardliwy wyrzut, że jest Żydem. To budzi w nim syonistę i wypala aż do dna wszelką dla Niemiec sympatyę... Zdawałoby się, że p. Bartsch chce podkreślić, iż tylko zgodne, pełne tolerancyi współżycie różnych szczepów daje Austryi możność utrzymania silnej spoistości.

Ale cóż się dzieje z resztą członków tego Związku radości życia? Rozpadł się on, jak się rozpada każdy nastrój chwilowo ludzi łączący. Każdy jednak z tych dwunastu jakieś piętno nosi na sobie z tych dni wspólnego starania o stworzenie sobie i dla siebie atmosfery wesela. Ale ten, który brał najgłębiej rzeczy, Kantilener, największą próbę przeszedł, gdy z poza siebie wyszedłszy, nie w ogóle ludzkości, ale na jednej kobiecie oparł cel swój. Pani Elza uległa paroksyzmowi własnych rozbudzonych zmysłów, Kantilener zaś złożył jej w ofierze całego siebie. Ta chwila miłości nieomal go nie zabiła. Ciężka niemoc stawiła młodego poetę na brzegu śmierci. Uratowany przez przyjaciół Kantilener, na ich słowa odpowiada: »Będę służył ludziom pod okiem

Boga, który jest we mnie. Dusza chorego, cierpiącego i osłabłego, stoi otworem dla Wieczności i dla Piękna — i jest ona najwięcej przystępna dobremu ziarnu — właśnie wtedy, gdy ciało cierpi«.

Kantilener jest doktorem medycyny i doktorem filozofii. Jako temat rozprawy wziął sobie sztukę pierwotną chrześcijańską. Ale te badania oddaliły go, zdaniem autora, od dawnych illuzyi. Odkrył, że chrześcijaństwo, z chwilą swej organizacyi, sprzeniewierzyło się samo sobie. Wyciąga stąd wniosek, że ludzie tylko jako jednostki wierne samym sobie, mogą wiernie idei służyć. Każdy ukształtowany związek zabija treść zewnętrzną swą formą. To pojęcie błędne chrześcijaństwa, niezrozumienie jego Boskiego założenia i ukształtowania budzi w tym młodym reformatorze niejasną tęsknotę za czemś, co byłoby silne jak religia a nie miało jej silnego rządu nad sumieniem i duszą. Przypomina to rojenia Frenssena o nowem chrześcijaństwie, które rozwinął w swej tak bardzo czytanej powieści *Hiligenlei*.

W książce Bartscha napotyka się wiele materyału do myślenia i spierania z autorem. Warto ją przeczytać, ale przestrzedz trzeba, że w opisach erotycznych nie cofa się przed tą wyrazistą zmysłowością, która i u wyżej wspomnianego Frenssena nieraz razi i zadziwia.

M. Harsdorf.

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

Czem Wyspiański dla Polski. *Ks. Władysław Bandurski.* Lwów 1908. Nakładem Tow. wzaj. pomocy literatów i artystów polsk. we Lwowie.

Książeczka ks. biskupa Władysława Bandurskiego więcej nam mówi o Wyspiańskim, aniżeli wiele »dzieł« napisanych o tym genialnym poecie. Ks. biskup Bandurski, nie wdając się w szczegóły, podkreśla w prawdziwie podniosłych, pełnych polotu słowach, znaczenie idei zasadniczej wszystkich utworów Wyspiańskiego. A tą ideą podkładową jest o d r o d z e n i e (»wyzwolenie«, według terminologii Wyspiańskiego) ducha narodu polskiego, które poprzedzić musi polityczne odrodzenie Polski. I stąd widoczna jest nieśmiertelna wartość dzieł przedwcześnie zmarłego, bo jest nią, wyłaniająca się z każdego wiersza jego pism, p o l s k o ś ć jego kreacyi. Te dwa zasadnicze, podstawowe rysy poezyi Wyspiańskiego podkreśla ks. biskup Bandurski w swej książeczce w sposób tak głęboki, podniosły, patryotyczny, ciepły i poetyczny, że czyta się jego słowa gdyby piękny, rozumny poemat o największym ze współczesnych polskich pisarzy.

I stąd wielka wartość tej książeczki, gdyż ona daje nam poznać to, co Wyspiańskiego czyni geniuszem, tak drogim sercu naszemu, to

jest jego ducha lechicko-prometejskiego. Wobec tego pewnem jest, że książeczka ks. biskupa Bandurskiego znajdzie się w każdym domu polskim. *A. S.*

Stanisław Wyspiański Studyum. *Dr. Józef Flach.* Brody. F. West. 1908.
Legenda Stanisława Wyspiańskiego. Objaśnił *Karol Wróblewski.* Lwów. Księgarnia Maniszewskiego i Meinharta. 1909.

Do całego szeregu książek, omawiających działalność literacką Stanisława Wyspiańskiego przybywają dwie nowe, a mianowicie »studyum« d-ra Józefa Flacha, znanego zaszczytnie krytyka, p. t. »Stanisław Wyspiański« i książeczka p. Karola Wróblewskiego p. t. »Legenda«, poświęcone krytycznemu omówieniu »Legendy« Wyspiańskiego.

Nad obu tymi publikacyami, ze względu na ich wartość rzeczywistą, nie można przejść do porządku dziennego, aczkolwiek z góry zaznaczyć należy, że nie mogą być one uważane za ostatnie słowo w sprawie omówienia twórczości Wyspiańskiego. Zasadniczą różnicą między temi dwoma publikacyami jest to, że książka d-ra Flacha, jak na studyum o całokształcie twórczości Wyspiańskiego, jest zanadto w swej treści skondensowaną, przeciwnie zaś »Legenda« p. Wróblewskiego zanadto drobiazgową, aż do poruszania kwestyi nic a nic z tematem nie mających wspólnego. Stąd w bardzo cennej zresztą książce d-ra Flacha niektóre poglądy, mimo trzeźwości krytycznej autora, nienależycie uzasadnione, i czytelnik niejedno musi sam sobie w duszy dośpiewać — stąd znów w publikacyi p. Wróblewskiego wiele stron a nawet kartek, zupełnie zbędnych, tak że niemal połowę książeczki możnaby usunąć bez szkody dla tematu.

Mimo tych usterek — odnieść je należy przedewszystkiem do »Legendy« p. Wróblewskiego — obie publikacye, z powodu poważnego traktowania przedmiotu, z powodu bystrości krytycznej w wielu ustępach, są bardzo pożądanemi publikacyami, dorzucającemi wiele nowego, do tego, co znanem jest z innych książek omawiających twórczość Wyspiańskiego.

A. St.

Maszyny i motory elektryczne. *Prof. Józef Blauth.* Stanisławów 1908. Księgarnia Romana Jasielskiego. Str. 102.

Cel broszury oryentacyjny. Dziś, »kiedy żyjemy w wieku pary i elektryczności«, w każdem większem mieście i miasteczku spotykamy się z różnego rodzaju installacyami elektrycznemi. Niniejsza książeczka ma służyć do tego, by dać wskazówki, przy pomocy których możnaby się oryentować wśród całego mnóstwa różnorodnych elektrycznych maszyn i motorów. Suponując znajomość dość dokładną elementarnych przynajmniej zasad z nauki o elektryczności, przypomina autor krótko na początku główne zjawiska elektryczne, na których opiera się budowa maszyn, oraz opisuje ogólne ich części składowe.

Dalej, trzymając się porządku chronologicznego, omawia rozwój i udoskonalanie budowy i sposób działania naprzód różnych typów generatorów, następnie zaś motorów, tłumacząc rzecz całą na trzydziestu kilku illustracyach. Jeden i drugi ustęp zamyka krótkim poglądem na wydajność maszyn oraz ich olbrzymie zastosowanie w praktyce. Rzecz z natury swej dość trudna i zawiła przedstawiona wcale przystępnie tak, że człowiek znający np. z gimnazyum

podstawowe zasady z nauki o elektryczności, przeczytawszy z uwagą niniejszą książeczkę, może ze zrozumieniem patrzeć na te dziwne wytwory ludzkiej pomysłowości i pracy, gdzie w ruch wprawiane metale, wytwarzają tak dziwną, a tak wygodną i uległą człowiekowi siłę elektryczności. Broszura ta nadaje się przeto bardzo do bibliotek gimnazyalnych.

X.

O obowiązkach duszpasterza w smutnych czasach dzisiejszych. Podał *ks. Stanisław Krzeszkiewicz.* Odbitka z »Przeglądu Kościelnego«. Poznań 1907.

Jako zasadę pracy stawia autor sobie tyle, ile można. Podstawą czynności kapłana: miłość i poświęcenie bez granic. Obok tego potrzebna jest i znajomość obowiązków, potrzebna *iustitia* i *oboediéntia.*

Zaprowadzenie swych owiec do myśli Bożej, do tego powabu życia, którego źródłem jest Bóg, to pierwszy obowiązek kapłana, prawny, kanoniczny. Ma zatem obowiązek *praedicandi verbum divinum.*

Drugi obowiązek katechizacya, trzeci rezydencya, czwarty administracya św. Sakramentów, odwiedzanie chorych, piąty odprawianie Mszy św. w parafiach.

To jest najważniejsza praca kapłana, mająca też wysokie znaczenie społeczne. Dodanie hasła pracy społecznej, zdaniem autora zapoznaje właściwe powołanie kapłana. Stać na straży skarbów duchowych, a wszystko inne to rzecz drugorzędna.

My ze swego stanowiska nie chcemy spychać tak na daleki plan działalności społecznej, jak to czyni autor. Praca, mająca na celu przez podniesienie ekonomiczne i umysłowe łagodzić antagonizmy społeczne, umożliwić zgodne spółżycie różnych warstw, budzić wzajemną miłość i ufność, to praca wedle nauki Chrystusowej, wedle wskazówek Wielkiego Papieża, a do niej razem z innymi też powołane jest duchowieństwo. Widzimy też, że w krajach wysoko społecznie rozwiniętych, jak w Belgii, Holandyi, Niemczech, a u nas w W. Ks. Poznańskiem na czele pracy społecznej stoją kapłani. Do obowiązków kapłana, jakie autor wyliczył, przybywa w naszych czasach nowy, szósty, przewodniczenia, brania udziału w pracy społecznej. *Et illa facienda et haec non omittenda.* Praca społeczna, praca nad rozwojem umysłowym ludności, stoi w związku ścisłym, organicznym z pracą ściśle duszpasterską, uzupełnia jedna drugą. Gdzie przez pracę społeczną antagonizmy społeczne są wyrównane lub przynajmniej złagodzone, gdzie stało się to pod wpływem lub przy współudziale kapłana, tam ludność nabierze zaufania do tego kapłana, przyjmie łatwiej z jego ust tę naukę Chrystusową, którą on głosi: tam kapłan wyrobi sobie wpływ wszechstronny. Zaś z drugiej strony ludność wierząca, wychowana przez duchowieństwo i podtrzymywana w wierze, da się łatwiej skierować na pole prawdziwie zbożnej pracy społecznej, pójdzie w tym kierunku za przewodnictwem swego pasterza, nie da się innym niepowołanym sprowadzić na manowce. To też kapłan, a w szczególności duszpasterz, nie może ani zaniedbywać obowiązków swych kanonicznych ani też uchylać się od pracy społecznej i oświatowej nad swą owczarnią. Zgodne i harmonijne połączenie tych wszystkich obowiązków może dopiero wydać skutek pełny i trwały.

K.

Stosunki etnograficzne na Spiżu. *Dr. K. Krotoski.* Kraków 1908. Odbitka ze »Świata Słowiańskiego«.

Jak wykazuje autor, Spiż jest odwieczną ziemią polską. Wskazują na to nazwy geograficzne gór i miejscowości, wskazuje historya ziemi spiskiej. Po wstępie geograficzno-historycznym przechodzi autor do stosunków obecnych.

Porównywając daty wzrostu, ludności, widać, że liczba ludności węgierskiej na Spiżu wzrasta niebywale. Pochodzi to z szybkiej, przeważnie rozmyślnej madziaryzacyi Niemców i Rusinów tam zamieszkałych, jak to wykazują cyfry ludności z roku 1890 i 1900. Polaków liczy autor na Węgrzech na 250.000, na samym Spiżu około 50.000. Statystyka urzędowa nie uwzględnia zupełnie od r. 1880 ludności polskiej i wlicza ich do słowackiej. Polacy na Spiżu nie mają też zupełnie poczucia narodowego, asymilują się łatwo z ludnością słowacką. Winien temu zupełny brak intelligencyi polskiej i niema też kto prowadzić pracy nad uświadomieniem ludu polskiego. U Słowaków natomiast wzrasta świadomość narodowa, rozwijają się kulturnie pomimo ucisku ze strony węgierskiej równego prawie uciskowi Polaków w Prusach.

R.

Na ruiny. Na rzecz restauracyi pamiątkowej świątyni w Sandomierzu. Warszawa 1907.

Jest to jednodniówka, z której dochód przeznaczony na restauracyę starożytnej świątyni świętego Jakóba w Sandomierzu.

Pomieszczone są tu prace krótkie różnych autorów; spotykamy nazwiska Żeromskiego, Deotymy, Konobacha, ks. biskupa Bandurskiego, Zdziechowskiego, Prusa, Tomkowicza, Brücknera, obok wielu innych mniej znanych i głośnych. Obok poezyi i nowel, mamy krótkie szkice naukowe (Kallenbacha), fragmety powieści (»Popiołów«), artykuły treści archeologicznej, społecznej, filozoficznej i t. p.

Z.

Wychowanie młodzieży w wieku przedszkolnym. *Antoni Kowalski.* Lwów 1907.

Omawia tu autor zarówno wychowanie fizyczne, jak i moralne. Co do wychowania fizycznego podaje wskazówki przeważnie znane natury głównie hygienicznej, bardzo zresztą praktycznie.

W wychowaniu moralnem zaleca wypleniać w dziecku zachcianki i kaprysy, okrucieństwo, bojaźliwość, niesprawiedliwość, mściwość, złośliwość, smakoszowstwo, egoizm, pijaństwo, gnuśność, zarozumiałość, lekkomyślność, próżność, kłamstwo, obłudę.

Karność winna opierać się na łagodności; kierować dzieckiem trzeba głównie przez przykłady i wpajanie dobrych przyzwyczajeń. Kończy parę słów o ochronkach

A. B.

Enchiridion Symbolorum definitionum et declarationum de rebus fidei et morum auctore *Henrico Denzinger.* Editio decima, emendata et aucta, quam paravit Clemens Bannwart S. J. 8-ka. Str XXVIII u. 628. Freiburg 1908. Herder.

Olbrzymią pracę włożył nowy wydawca *Enchiridion* Denzingera w opracowanie tego znakomitego zbioru dokumentów kościelnych. Stereotypowe wydanie, sporządzone po śmierci autora przez d-ra Stahla, nie odpowiadało już od lat naukowym wymaganiom naszych czasów.

pnickiej, St. Tarnowskiego, ks. arcybiskupa Teodorowicza, prof. Kallen-

Ks. Bannwart przedsięwziął krytyczną rewizyę tekstu, dołączył uwagi krytyczne, wymienił źródła, gdzie można znaleźć odpowiednie dokumenty w całości, wyrugował dekrety nieautentyczne, uzupełnił zbiór, dotąd niewyczerpujący, jednem słowem dołożył wszelkich starań, by *Enchiridion* w pełnem tego słowa znaczeniu mogło być podręcznikiem wystarczającym dla każdego teologa i kapłana. Zbiór obecnie doprowadzony został aż do encykliki *Pascendi* o modernistach i obejmuje 300 dekretów i orzeczeń więcej, niż dawniejszy. Chronologiczne ułożenie książki pociągnęło za sobą wobec licznych dodatków zmianę bieżących numerów. Konkordancya między dawnymi i obecnymi numerami, umieszczona na końcu dzieła, pozwala także na zoryentowanie się, ilekroć po książkach spotykamy się z dawniejszą numeracyą.

Ks. Bannwart, widać, jest człowiekiem praktycznym. Świadczą o tem liczne ulepszenia praktyczne, sprawiające, że właściwie teraz dopiero mamy klucz do zamkniętych dotąd dla wielu skarbów, ukrytych w *Enchiridion*. Szczególnie zwracam uwagę na wyborne spisy. Zwłaszcza na spis systematyczny i alfabetyczny imion i rzeczy. Na podstawie Denzingera każdy kapłan może sobie wyrobić własne zdanie o autentycznej nauce wiary i o rozwoju dogmatów: ułatwiają mu to odnoszenia marginesowe do dekretów podobnej treści oraz systematyczny spis na końcu, na nowo zupełnie obrobiony według porządku zwyczajnie przestrzeganego po dogmatykach.

Forma zewnętrzna wielce została ulepszona: widać po niej, że *Enchiridion* przeszło na własność zasłużonego wydawcy Herdera. Wartość książki podwoiła się co najmniej.

Ks. E. M.

Wegweiser für Priester, besonders für jüngere Geistliche. Von *Ferd. Rudolf*, Päpstl. Hausprälat u. Domkapitular in Freiburg i. Br. Herder 1908. Freiburg i. Breisg. 16-ka. Str. VII, 190.

Mała ta i zręczna książeczka stanowi znakomite *Vade mecum* dla młodszych, ale i dla starszych kapłanów. Autor stawia młodemu kapłanowi przed oczy ideał sumiennego, pobożnego księdza i zwraca uwagę na rozliczne, na pozór drobne, ale groźne w następstwa roztargnienia światowe i niebezpieczeństwa, przed któremi strzedz się pilnie powinien, by w pierwotnej gorliwości się utrzymać i wciąż postępować na drodze cnoty. W trzech częściach traktuje autor o miłości świata, o grzechu powszednim i o miłości Bożej. Nie goni on za błyskotliwymi frazesami, ale podaje praktyczne, jędrne zasady i wskazówki, które bardzo się nadają do częstego rozważania w celu ciągłego odnawiania się na duchu. W czasie rekollekcyi stanowi ta książeczka wyborne czytanie duchowne i podręcznik dla rachunku sumienia nad pełnieniem obowiązków kapłańskich. Szczególna wdzięczność należy się autorowi za rozdział ostatni p. t. »Matka Boska i kapłan«.

E. M.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Z bieżącej sesyi sejmu galicyjskiego.

Nad bieżącą sesyą sejmową górował jeden fakt, który, ze stanowiska etyki chrześcijańskiej, silnie zaznaczyć należy. Oto, między dwoma bratnimi narodami, Rusią i Polską, zaczął się układać stosunek pokojowy. Nie można jeszcze mówić o bratnich uczuciach, ani o jakiejś określonej formie zgody, ani nawet o jakimś stałym ugodowym nastroju. Takie stany psychiczne nie pojawiają się i pojawić się nie mogą od razu w zbiorowych organizmach. Ale, co było oczywiste i co oblekło się nawet w widome kształty, to była obustronna dążność, usiłująca zapomnieć o waśni minionej i przygotować grunt do zgodnego współżycia. Wiemy, że przedstawiciele radykalniejszych kierunków ze stron obu oceniają tę sytuacyę inaczej, pamiętać jednak należy, że oceną tą kieruje polityczny interes. Bezstronny obserwator ma możność i obowiązek stwierdzić co innego. Zapewne, że i w tej sesyi były tarcia i stargi, ale te chyba nigdy nie znikną między dwoma narodami zasiadającymi przy jednym stole — zapewne też, że taka dążność pokojowa mogła jedną ze stron więcej kosztować, mogła też z różnych po obu stronach płynąć pobudek— wszystko to jednak nie zmienia faktu, że dążność taka po obu stronach w czasie tej sesyi istniała. Biła ona pełnym pulsem

z przemówień polskich, z tak świetnych mów, jak hr. Tarnowskiego lub ks. arcybiskupa Teodorowicza, przeglądała tylko i to lękliwie z przemówień ruskich — ale przeglądała. Możnaby pragnąć więcej, przyjmijmy jednak i to. Umiejmy się postawić w położenie strony drugiej, zważmy zwłaszcza wypadki, które Sejm ten poprzedziły. Po tych wypadkach można było się obawiać scen takich, jeżeli nie gorszych, jakie rozgrywały się równocześnie z tą sesyą w sejmie pragskim, między Niemcami a Czechami — tymczasem ani śladu tego. Jakgdyby między dwu powaśnionemi społeczeństwami, jak zaznaczył to ks. arcybiskup Teodorowicz, stanęła bohaterska cnota chrześcijanki, która nad ukochaną trumną miała tylko słowa przebaczenia i wezwania do zgody obu narodów.

Przeceniać znaczenie tej dążności pokojowej na przyszłość, wysnuwać dalszych wniosków nie można. Ale stwierdzić ją i w ten sposób, jak niemniej i w inne sposoby, przyczyniać się do jej utrwalenia, do dalszego pomyślnego rozwoju w tym kierunku, jest obowiązkiem każdego obywatela tego kraju.

Drugim faktem pomyślnym w tej sesyi sejmowej była deklaracya stronnictwa ludowego, w stosunku do katolicyzmu. Nie trzeba chyba uzasadniać doniosłości tego faktu. Wystarczy uprzytomnić sobie wszystkie z tą sprawą związane okoliczności, a więc te kierunki, jakie nurtowały w stronnictwie ludowem i raz po razu przeradzały się w walkę z duchowieństwem, wystarczy przedewszystkiem przypomnieć te tylokrotne wysiłki żywiołów radykalnych i żydowskich, ażeby ludowców przemienić w antykatolicką bojówkę, i tym podobne inne objawy. Stronnictwo jest młode, silne, idzie z rozmachem naprzód, przedstawia w sobie najistotniejszą naszą siłę społeczną, nasz polski lud — nic zatem dziwnego, że znalazło wielu konkurentów, usiłujących je sprowadzić na swoje bezdroża. Zasadą zaś z drugiej strony, jest zbyt widoczną, żeby ją uzasadniać trzeba, że przedstawicielstwo danej warstwy społecznej powinno odzwierciedlać w sobie duszę tej warstwy — a dusza naszego ludu jest na wskroś religijną i rdzennie katolicką. Że ta zasada wkońcu w stronnictwie ludowem zwyciężyła,

że odparła ataki strony przeciwnej, powitać należy z radością i uznaniem.

Co do tenoru samego deklaracyi, jak i co do następstw jej, należy zrobić kilka zastrzeżeń. Ponad wszelkie zastrzeżenia stoi wyznanie przewódcy stronnictwa p. Stapińskiego, że miał sobie za obowiązek »uregulować u arcypasterzy stosunek stronnictwa do Kościoła katolickiego«. Inaczej jednak przedstawia się sprawa, kiedy walkę poprzednią z duchowieństwem usiłuje przedstawić jako coś, co było narzucone stronnictwu. Sądzimy, że już dziś postawiłby p. Stapiński inaczej tę kwestyę, gdy wskutek nowego stanowiska stronnictwa ludowego, część dotychczasowych jego członków wraz z *Kuryerem lwowskim* opuściła to stronnictwo i zakłada nowe stronnictwo, czy tylko jakiś związek. Jako przyczynę tej dezercyi podali frondyści pobudki czysto polityczne, nie ulega jednak kwestyi, że ważną tu odgrywa rolę nowe stanowisko p. Stapińskiego w stosunku do katolicyzmu. *Kuryer lwowski* i otaczająca go grupa zbyt zdecydowanie zajęły stanowisko antyreligijne, ażeby mogły się z niem rozstać. Pomijając więc inne okoliczności, samo istnienie takiej grupy w łonie stronnictwa ludowego wystarczało, by wnieść w nie ferment walki religijnej, nie narzuconej, lecz płynącej z samego stronnictwa. Rzuciłyby także światło na tę sprawę pewne jaskrawsze szczegóły tej minionej walki religijnej, jak ataki na tak zasłużonego księcia Kościoła i tak oddanego ludowi, jak ksiądz biskup tarnowski. Pamiętamy dobrze tę sprawę, bo wówczas za nią i *Przegląd Powszechny* był mocno strofowany przez p. Stapińskiego w *Przyjacielu ludu.*

Jeżeli wspominamy te fakty, to bynajmniej nie celem wypominania, lecz tylko dlatego, by stronnictwo ludowe zrozumiało pewną rezerwę, jaka jeszcze w sferach katolickich, na razie wobec niego panuje. Zleby świadczyło o stałości przekonań w tych sferach, gdyby po tem co było, rzucały się one, wobec nowego kursu, od razu z entuzyazmem w ramiona. Zwłaszcza u nas, gdzie polityka w ostatnich czasach tyle nieoczekiwanych rzeczy stworzyła, a wskutek tego, osłabiła ufność w swą trwałość i wierność.

W związku z tem nowem stanowiskiem stronnictwa ludowego, stoi przystąpienie kilku nowych członków do stronnictwa,

nadto zapowiedź, że dotychczasowe sejmowe centrum połączy się z ludowcami. O ile chodzi o sam fakt wstąpienia pewnej ilości posłów do stronnictwa ludowego, to w sprawę tę wchodzić ani chcemy, ani możemy. Inna jednak rzecz, gdy chodzi o ideę, jaką dotychczasowe centrum miało reprezentować. Czy stronnictwo ludowe uzupełni swój program i zbuduje go na idei chrześcijańsko-społecznej? Oczekujemy w tym względzie dalszego toku wypadków. Tyle zaznaczyć możemy, że idea społeczno-chrześcijańska jest dziś tak żywotną ideą, że choćby jej zabrakło obecnie wszelkiego w naszych ciałach prawodawczych przedstawicielstwa, to ona w krótkim czasie stworzy nowe. Choćby nie było nic innego, jak tylko to moralne oddziaływanie, jakie idzie od powodzeń chrześcijańsko-społecznego stronnictwa austryackiego, to jednoby już było dostateczną rękojmią w tej mierze. A przecież są jeszcze inne dane.

Ze stanowiska tejże idei chrześcijańsko-społecznej z radością powitać należy cały szereg uchwał, jakie w tej sesyi sejmowej zapadły. A więc uchwały takie, jak zakładanie domów sierocych, utworzenie dwóch nowych szpitali, poprawa bytu wdów po nauczycielach, podwyższenie płac katechetów, ustanowienie emerytury dla lekarzy okręgowych i zaopatrzenie wdów po nich i sierot — jak wreszcie uchwalenie milionowej subwencyi dla dotkniętych klęskami elementarnemi.

Przy jednej z tych spraw wygłosił niezwykłą mowę ksiądz arcybiskup Teodorowicz. Była ta mowa zestrzeleniem wszystkich ważniejszych momentów etyczno-religijnych, jakie unoszą się nad dzisiejszą powierzchnią naszego życia. Przytoczmy z niej jeden ustęp, mający znaczenie dla całej Polski. Dostojny mowca mówi w tem miejscu o obecnym stosunku myśli polskiej do katechizmu katolickiego.

»Chwila jest istotnie dziś już dlatego aktualna, że zwiewa się cały w niej ruch nie u nas wprawdzie w kraju, ale w tamtej części Polski, ruch skierowany właśnie przeciw katechizmowi — sztuczny, co prawda nie ogarnia z pewnością takich kręgów, jak zamierza, lecz jest objawem i symptomem zarówno niezdrowym, jak i niebezpiecznym.

Właśnie puszczono w ruch książeczkę małą, którąby nigdy nie zasługiwała na wzmiankę, choćby dla samej swej płytkości, ale jest z ogromnym nakładem propagandy szerzona wszędzie, a jest od początku do końca właśnie trawestacyą katechizmu katolickiego, jest zbluźnieniem i zdeptaniem prawd w nim zawartych i całej naszej przeszłości, która jakby na nim wychowaną została. Jest to tem smutniejsze, że dzieje się w chwili, kiedy w tem biednem społeczeństwie poczyna się dopiero życie czynne i właśnie przedewszystkiem jest na czasie wedle miary katechizmu nowe linie wytyczne polityki duchowej i narodowej odmierzać a już co najmniej z dotychczasowemi nie zrywać. Tę propagandę antyreligijną i antykatechizmową czyni się w imię hasła wolności myślenia, hasła, które brzmi ponętnie może, ale skoro bliżej się przypatrzymy, cóż na dnie jego dostrzeżemy? Wolność myślenia! Chyba wzięta w tem znaczeniu, że myśl ta nazwana wolną wyzbywa się koniecznego przymusu, — nałożonego każdej prawdzie, sumiennego badania i roztrząsania; chyba w tem znaczeniu wolna, że odrzuca precz skrupuły każdego poważnego myśliciela: Czy nie za rychło, czy nie bez dostatecznych powodów prawdę odsądził lub zasądził. Wolność myślenia chyba w znaczeniu wolności zastępowania poważnego sądu przedrzeźnianiem, szyderstwem, plwaniem na to, co święte, i na to, co drogie. A ci panowie, którzy w imię tego hasła właśnie na katechizm uderzają, którzy wołają, że trzeba oderwać młode pokolenie od organizacyi kościelnej, oni sami tworzą równocześnie tajne, pokątne organizacye, w których rygor idzie aż do tego stopnia, że się właśnie zabija wszelką wolność i swobodę myśli w młodem pokoleniu. Bo niechby taki chłopak w sidła podobnej organizacyi schwytany, odważył się wystąpić przeciw temu w co mu tam wierzyć przykazano! Wolność myśli się propaguje i oderwanie od hierarchii, od Kościoła i biskupów, a gdy się przyjrzeć bliżej działalności tych panów, to się widzi, że oni sami chcą tę hierarchię, zastąpić kapłanów i biskupów, ba sami się obwołać papieżami.

Na szczęście to nie u nas. Młodzieży naszej raczej oddać muszę szczerą i zasłużoną pochwałę. Stanowisko, jakie nasza polska młodzież akademicka w znanej sprawie Wahrmunda zajęła,

każe jej oddać hołd. Wprawdzie to jej stanowisko, już rozumowemi i narodowemi pobudkami było podyktowane, niemniej atoli trzeźwość duchowa kojarzyła się tu ze zdrowiem religijnem i moralnem, zwłaszcza, że trzeba się było oprzeć szalonej agitacyi i mieć odwagę moralną swoje przekonanie publicznie stwierdzić. Pomimo to jednak nie można lekceważyć tych wpływów, które z za kordonu w organizacyi zręcznie pomyślanej ku nam się skierowują, bo broszury, pisma agitacyjne, są kolportowane tajnie i u nas i nie tylko wśród młodzieży gimnazyalnej, ale docierają powoli także i pod strzechy wieśniacze. Więc jeżeli w tej właśnie chwili panowie tu uchwalicie rzecz, która ostatecznie nie da się odłączyć od tego słusznego wrażenia, że przykładacie wagę do tego wszystkiego, co prowadzi do pogłębienia w społeczeństwie katechizmu i rozszerzenia zasad Chrystusowych, to czynicie to w chwili stosownej i czynicie to bardzo na czasie i zakładacie tem samem protest przeciw fałszowaniu ducha narodowego, bo w rzeczywistości to myśl polska, skoro się oderwie od prawdy religijnej, którą przez wieki już nasiąkła, ani nigdy wolną, ani narodową nie będzie.

Wziąłem do ręki książkę, rozchwytywaną przez niedorostków i pensyonarki, książkę, napisaną przez człowieka talentu, ale która wyprowadza na wierzch taką moralną zgniliznę i w taki sposób realistyczny, że Zola z pewnością byłby się zapłonił, bo jego pióro tak daleko pójść nie umiało. Nie wchodzę w krytykę, nie wchodzę w ocenę, ale tego uczucia doznałem czytając: Jakie to obce, jakie to nam obce, co tam przedstawiono, a jednak to, co tam było pisane, było zbiorem, reprodukcyą, jakby zdjęciem fotograficznem prądów rewolucyjnych, obcych naszej kulturze, ale zagrażających straszliwie naszemu duchowemu życiu i duchowemu bytowi.

I ilekroć razy w literaturze naszej przewodzić będzie tendencya, by myśl polską oderwać od sztandaru chrześcijaństwa i katolicyzmu, patrzcie panowie, jak mimowoli samą siłą ciężkości musi przestać być ta myśl i narodową i samodzielną.

Nie chcę na pesymistycznej uwadze poprzestawać i znów odwrotnego użyję argumentu. Znowu niedawno czytałem zdanie

prześliczne sędziwej pisarki z Grodna, która powiada, że, patrząc na dzisiejszą cywilizacyę, przypomina sobie ten wóz, który z jednej strony głęboko ugrzązł w błocie, a drugie koło jego kręci się w powietrzu: to obraz dzisiejszej kultury, która jednem kołem zagrzęzła w błocie materyalizmu, a drugie koło się kręci w niepochwytnym idealizmie. Nie ręczę za ścisłość, lecz reprodukuję ogólne wrażenie z jej słów, a te słowa nie są tylko tak sobie rzucone, lecz są one wyrazem wewnętrznego procesu, jaki dusze czyste i szczere dzisiaj przechodzą. To bowiem wejrzenie naszej pisarki w proces dzisiejszej kultury jest ściśle złączone z przemianą, jaka się w jej własnej dokonywa myśli i duszy — i stąd już krok tylko ku wyznaniu, iż siła, co wydźwiga wóz z trzęsawiska, a idealnym porywom trwałą da podstawę, w starym zamknięta jest katechizmie. Myśl więc polska, choćby z początku oddalona od źródła prawdy, jeśli tylko w swoim rozwoju pójdzie za szczerem uczuciem, prędzej czy później dojdzie właśnie do tej krynicy religii, w jakiej dla siebie znajdzie nie tylko pokarm, ale treść i życie.

Mógłbym także zatrzymać się tu na innych wzorach poezyi polskiej z ostatniej chwili; wyszła ona z subjektywizmu, z analizy, może nieraz przeczulonej, swego własnego ja, ale która właśnie poczyna powoli, przebywszy potrzebny proces, przychodzić teraz do tych ogólnych prawd, za któremi stoi w ostatnim etapie katechizm katolicki«.

Z innej strony, tę samą sferę stosunków naszych religijno-moralnych oświetlił w świetnej mowie hr. St. Tarnowski. Jeden i drugi mowca zwracał się z bólem ku smutnym objawom spustoszenia moralnego, jakie u nas, zwłaszcza w dzielnicy zakordonowej się dokonywa. Warto tu jeden ustęp z mowy hr. Tarnowskiego przytoczyć: »Kiedy pomiędzy uboższymi i ciemniejszymi szerzy się propaganda rozboju i mordu, to u bogatszych, u oświeceńszych, u wykształconych, jest przewrót pojęć, nawet moralnych, na który oczu zamykać nie możemy. Wiara to przesąd niegodny rozumnego człowieka, Jezus Chrystus stara bajka, mitologia — prawo moralne to ograniczenie wolności człowieka, człowiek sam sobie jest prawem, sam je w sobie nosi i ma wszelkie

prawo robić to, co mu jego pojęcie, albo jego żądza w tej chwili każe. Karność, nawet karność dziecka względem ojca, jest ubliżeniem, obrazą, krępowaniem indywidualnej wolności. Żaki szkolne, studenci, znieważają rodziców, a gdy w szkołach nie rządowych, ale w prywatnych zakładach naukowych polskich uchwalają, ażeby zniesiono naukę religii, bo ona krępuje ich wolność indywidualną— to kobiety stare na publicznych zgromadzeniach, na wykładach publicznych, prawią młodym o — wolnej miłości. (Głosy na sali sejmowej: Tak jest — niestety!) Tego nie było nawet w Rzymie cezarów — Tacyt, Juwenal, którzy zapisują tyle strasznych, przerażających szczegółów zepsucia, nie mówią nic o tem, ażeby były takie publiczne jego nauki; gdyby były, z pewnością by je zapisali«.

Cóż dziwnego, że po takim ustępie mówca wzywa całe społeczeństwo do samoobrony. »Ktokolwiek, czy konserwatysta, czy nawet socyalista, jeżeli jest ojcem i Polakiem, jeżeli dba o swoją rodzinę naprzód, a następnie o społeczeństwo i ojczyznę, ten do tej obrony koniecznie stanąć powinien i wyrobić przeciw zgorszeniu jawną, śmiałą, stanowczą opinię publiczną«.

Na zakończenie tych wrażeń sejmowych jeszcze jedna myśl, jaką nam nasuwają dwie powyżej wzmiankowane, obie klasyczne mowy. Dziedzina moralno-religijna społeczeństwa w bieżącej chwili niejednokrotnie jest w sejmie omawianą i musi być omawianą. Ale motywy, argumentacye muszą dostroić się do publicznej sali i do toku obrad, dlatego rzadko mogą być czerpane z najwłaściwszego sobie zakresu moralno-religijnego, co najwyżej narzucone być mogą z tą szkicową krótkością, która świadczy, iż mowca pamięta, że nie mówi w kościele, ale w sali sejmowej. Dobrze, w sali sejmowej niech będzie tak. Ale czyżby to nie była racya, żeby, prócz tego, przywrócić staropolskie kazania sejmowe, w czasie uroczystych nabożeństw przy otwarciu sejmu? Byłaby to znakomita sposobność do odnowienia tej wspaniałej dziedziny naszej publicznej wymowy, stworzenie zarazem terenu do zacieśnienia nowych węzłów między Ojczyzną a Kościołem. Odbicie się bieżących spraw publicznych, z ich strony moralno-religijnej, pod stropami Kościoła, stworzy w sferach duchownych żywszy interes dla tychże spraw, w sferach zaś świeckich

pogłębi świadomość, jak silnego sprzymierzeńca znajduje dobro publiczne w religii. I jeszcze jedna okolicznościowa uwaga. Gdyby stanowisko takie kaznodziei sejmowego było oddawane zawsze wybitnym siłom oratorskim, gdyby było sprawowane z tem zrozumieniem rzeczy i z tem przejęciem, które wpływa decydująco na tok spraw publicznych, nie byłoby tych utyskiwań, jakie spotykaliśmy niejednokrotnie w dziennikach, że na wstępnem nabożeństwie, otwierającem sejm, prawie nie widzi się posłów.

Jubileusz papieski u nas

Sala sejmowa była w tej sesyi także świadkiem podniosłej manifestacyi, z powodu obecnego jubileuszu papieskiego. Powstał hr. Tarnowski i postawił wniosek, żeby sejm złożył życzenia papieżowi. Mówił między innemi: »Na całej przestrzeni dawnej Rzeczypospolitej jesteśmy jedynem ciałem prawodawczem z wyborów, jedynem, które ma prawo przemawiać w imieniu narodu. Które z ciał parlamentarnych i prawodawczych w całym świecie poczuło się do tego obowiązku? Podobno żadne. Tem bardziej, tem konieczniej, powinniśmy to zrobić my. Jeżeli to ma być wyjątek, to wyjątek będzie chwalebny i na zaszczyt nam wyjdzie, że my tym wyjątkiem jesteśmy...« Przepiękny był zwrot, że, gdyby żyli dziś wielcy nasi królowie i wodzowie, taki na przykład Sobieski, to z pewnością złożyliby w takiej chwili hołd Stolicy Apostolskiej. Pod wrażeniem tej mowy cały sejm jednogłośnie uchwalił następującą rezolucyę: »Sejm Królestwa Galicyi i Lodomeryi z Wielkiem Księstwem Krakowskiem składa u stóp Waszej Świątobliwości wyznanie i przyrzeczenie wiary, wierności Kościołowi, czci i posłuszeństwa dla Jego Głowy. W 50-tą rocznicę kapłaństwa Twego racz, Ojcze święty, przyjąć życzenie, iżby Bóg Wszechmogący wspomagał Cię swą łaską, od niebezpieczeństw i nieprzyjaciół bronił, w zamiarach i przedsięwzięciach błogosławił i aby nam, wiernym, dał długo jeszcze zostawać pod sterem takiego Pasterza«.

Wkrótce po tej uchwale ogłosił w sejmie marszałek krajowy, hr. Badeni, że miasto Lwów obchodzić będzie uroczyście jubileusz papieski i na tę uroczystość zaprosił posłów. Dzień ten przypadł na 18 października. Wczesnym rankiem zagrzmiała na ulicach

pobudka »czwartaków«, z wieży zaś ratuszowej, powiewającej sztandarami, towarzyszyły pobudce hejnały. Na uroczystej sumie w katedrze, jak również na wieczorku muzyczno-oratorskim w Filharmonii widzieć można było wszystko wybitne, co tylko stolica kraju w tej chwili w sobie mieściła. Przemowy w Filharmonii marszałka kraju, posła Milewskiego i ks. arcybiskupa Bilczewskiego, znane ze streszczeń w czasopismach, dają miarę, jak wysoką była nuta tej uroczystości.

W tym samym dniu obchodziło podobną uroczystość miasto Przemyśl, a wkrótcema ją święcić Kraków. Nie mówimy już o licznych obchodach mniejszych miast i związków. Ostatnim aktem tych uroczystości jest obecna pielgrzymka do Rzymu, na której czele stanęli arcypasterze i marszałek kraju.

Jeżeli zważy się, że obecny Papież jest tak w swoich występach skromny, że w tym wypadku usiłował nawet wstrzymać wszystkie zewnętrzne uroczystości, to szereg ten manifestacyi w Polsce daje miarę, jak głębokie tkwi przywiązanie w naszym narodzie do Apostolskiej Stolicy.

Z naszego ruchu katolickiego

Ruch katolicki w kraju wzmagają obecnie dwa nowe strumienie. Jednym jest zainicyowana obecnie akcya o stworzenie katolickiego Związku prasowego. Pismo nasze kilka razy już pisało o doniosłości tego rodzaju związków, podawało też wiadomości o olbrzymim wpływie i znaczeniu tego rodzaju związku w Austryi. Powiedzmy po prostu, że niema innej drogi w obecnych warunkach, ażeby dojść można do poważnej i wpływowej katolickiej prasy. Na razie zadowalamy się tą krótką notatką o tej sprawie; gdy tylko inicyatywa przybierze konkretne formy, nie omieszkamy o tem dokładnie powiadomić.

Drugim nowym objawem, już istniejącym i wzmagającym się w siły, jest powstanie »Związku kat. młodzieży uniwersyteckiej w Krakowie«. Nie sodalicya, nie religijno-etyczne stowarzyszenie, ale uniwersytecki związek, oparty na katolickich zasadach taki, jakich mnóstwo na zagranicznych uniwersytetach. Nazwa związku »Polonia«.

Cele »Polonii« są:

a) Strzeżenie i pielęgnowanie katolicko-narodowych przeko-

nań wśród członków; *b)* wyrabianie prawdziwie chrześcijańskich charakterów i podnoszenie poziomu etycznego; *c)* obrona katolicyzmu i polskości w życiu publiczno-akademickiem; *d)* wspólna praca w dziedzinach tak objętych jak nieobjętych programem studyów uniwersyteckich; *e)* zaznajamianie się z ruchem katolickim w kraju i za granicą; *f)* rozbudzanie życia koleżeńskiego przez dostarczanie członkom odpowiednich rozrywek i zabaw.

Do osiągnięcia powyższych celów służyć mają następujące środki: *a)* utrzymywanie w lokalu Związku czytelni, pism i biblioteki; *b)* urządzanie wykładów, odczytów, pogadanek i kursów specyalnych; *c)* praca w sekcyach Związku; *d)* solidarne występowanie na zewnątrz w życiu akademickiem (na wiecach i komersach) tudzież w uroczystościach kościelnych, narodowych i uniwersyteckich; *e)* urządzanie wspólnych wieczorków, zabaw, wycieczek i t. d.; *f)* wydawanie broszur, odezw, a w miarę funduszów organu miesięcznego, tudzież wszelkie inne środki, jakie Związek uzna za odpowiednie.

Wykluczeniu ze Związku tego podlega członek, który jawnie i publicznie sprzeniewierza się zasadom katolickim przez bluźnierstwo, udział w pojedynku, przystąpienie do wrogich Kościołowi katolickiemu związków, wykroczenie przeciw zasadom moralności.

Dewiza Polonii brzmi: *Tibi Christe et Patriae.*

Do Związku przystępować mogą także członkowie wspierający z poza uniwersytetu, którzy na cele Związku złożą jakiś fundusz. Oby jak najwięcej takich się znalazło.

Poprzestajemy dzisiaj na krótkiej notatce, zastrzegając sobie słowo o tym ze wszechmiar doniosłym objawie na chwilę, gdy Związek złoży pierwsze próby swej żywotności.

Propaganda schyzmy między Rusinami

Po dość długim okresie ciszy, zaczyna znowu zjawiać się w naszym kraju agitacya prawosławia. Latem zaczęło wychodzić w Przemyślu czasopismo *Russkaja wola*, które zupełnie jawnie wywiesiło ten sztandar, a wkrótce potem zaszedł wypadek, który wprost w zdumienie wprawił wszystkich. Oto kilka tysięcy Rusinów katolików przechodzi granicę rosyjską i urządza zbiorową pielgrzymkę do dwu głównych stolic

prapagandy schyzmatyckiej, do Poczajowa i Kijowa. Przez tydzień cały biorą udział w nabożeństwach, słuchają kazań, wreszcie zaopatrzeni obficie w stosy pisemek i broszur, agitujących za prawosławiem, wracają do domu, wnosząc pod strzechy wieśniacze zarzewie dalszej propagandy. Opinia publiczna była w pierwszej chwili całym tym wypadkiem podniecona, oburzona nawet kilku faktami, ilustrującymi dosadnie to, co w czasie tej pielgrzymki się działo. Po tej chwili jednak nastało uspokojenie, opierające się na tem złudzeniu, że to wypadek pószczególny bez następstw. Niestety, rzecz przedstawia się inaczej. Nie szukając daleko, weźmy w rękę agitacyjne pisemko schyzmatyckie, wydawane w Poczajowie, pod tytułem: *Wiadomości Poczajowskie.* Znajdujemy tam listy ruskich wieśniaków z Galicyi, malujące jaskrawo, z jakiemi uczuciami wrócili uczestnicy pielgrzymki do kraju. Choćby się nawet przypuściło, że listy te pisane są w redakcyi poczajowskiej, pociecha mała. Pisemko to rozszerzane jest po ruskich wsiach Galicyi. Nawiązując węzeł z pielgrzymką, nawiązuje tem samem łączność z jej uczestnikami; względem zaś innych czytelników jest to bardzo silny agitacyjny atut. Wobec tego nie jest bez znaczenia przytoczyć wyjątki z tych listów. Oto list pierwszy (nr. 570 z 10 września r. b.).

»Nie mogę zapomnieć, i dopóki życia nie zapomnę tej szczęśliwej i uroczystej godziny, kiedy ja prosty rolny pracownik, byłem godzien spotkać się z Wami i być gościem w świętym klasztorze Matki Boskiej Poczajowskiej, i u grobu błog. Joba ihumena poczajowskiego. Do końca życia mego zachowa się głęboko w mojem sercu pamięć o nawiedzeniu św. góry i o cudownym obrazie Najświętszej Pani.

Ze łzami radości posyłam Wam drogi Ojcze ten list napisany moją nieumiejętną ręką, żeby się podzielić z wami moją duchowną radością, tak jak Wy drogi Ojcze dzieliliście się z nami chlebem i solą.

Ojcowie święci! Ja 40 lat żyję na świecie, a takiego radosnego, takiego rozrzewniającego, takiego szczerego i serdecznego, czarującego serce ugoszczenia, jakiego ja razem ze swymi towarzyszami doznałem u Was, nigdym dotychczas nie doświadczył.

Niemożebna, nie staje rozumu, nie mam słów, żebym ja niegodny mógł wyrazić swoją radość i najwyższe duchowe zadowolenie, którem mię obdarzyło wasze braterskie uczucie, wasza szczera, serdeczna miłość.

Z powodu tego wszystkiego nie mogę nie przesłać Wam mojej głębokiej, serdecznej wdzięczności. Ale nie mam sił, nie jestem w stanie znaleźć słów, któremibym mógł wypowiedzieć Wam moją wdzięczność za ten wielki zaszczyt, któryście nam zrobili spotykając nas i prowadząc z procesyą (jak wielkich panów) do bram Poczajowskiej świątyni.

O Boże! wszakżeśmy bynajmniej nie godni takiego honoru, my nikczemni, zagraniczni grzesznicy!

O, kochani i przez wszystkich czczeni Ojcowie! wierzcie mi, że od tego pamiętnego dnia ja, jakgdybym się na nowo narodził na świat, ja czuję w sobie, w swoich członkach i muszkułach ciała świeżą siłę i moc, mnie się otworzyły oczy, ujrzałem światło, którego dotychczas nie znałem; ja dotychczas błądziłem w polsko-jezuicko-unickiem błocie i nie wiedziałem, gdzie prawda, gdzie fałsz. Lecz teraz... teraz ja przejrzałem, teraz ja poznałem prawdę, teraz ja poznałem wielką, silną, niewzruszoną, świętą Ruś. Teraz ja podnoszę wysoko głowę, teraz ja śmiało i jasno patrzę w przyszłość naszego Ruskiego narodu, albowiem silnie wierzę, iż niema na świecie siły, któraby mogła złamać Ruś, dlatego, że tylko u Rosyan jest czysta prawosławna wiara; tylko u Rosyan jest szczera, prawdziwa chrześcijańska miłość, na której zależy cały zakon i prorocy. A gdzie miłość tam i Bóg; a gdzie Bóg, tam żadna piekielna siła nic nie dokaże. Odtąd my wszyscy galicyjscy Rusini jasnem okiem patrzymy na świat Boży; odtąd śmiało możemy wrogom zajrzeć w oczy, bośmy poznali, żeśmy nie porzucone sieroty, bo o nas jeszcze nie zapomnieli nasi bracia wielkiej stumilionowej Rusi. Odtąd śmiało możemy zawołać na całą Galicyę i Przykarpacką Ruś słowami świętej Ewangelii: »bądźcie odważni, nie bójcie się: Jam jest«. Bądź śmiałą (wzmacniaj się) cała Czerwona Rusi, z tobą Bóg, bo z tobą wielka, wspaniała niepodzielna stomilionowa święta Ruś«.

A oto drugi list z Galicyi (nr. 572 z 12 września):

»Wy wiecie Ojcowie o pielgrzymce Galicyan do Poczajowa i Kijowa. Każdemu z nas cośmy zostali w domu serce silnie biło; jakieś szczególne uczucie ogarniało nas, kiedyśmy czekali na powrót naszych braci. Otóż i przyjechali. Otoczyliśmy tłumnie naszego pielgrzyma i zaczęli prosić, żeby nam opowiedział co się dowiedział o naszych rosyjskich szczęśliwych pobratymcach, którzy nie zaznali takiego ucisku, jak my tu w konstytucyjnej Austryi, pod panowaniem Polaków, zabraniających nam wyznawać naszą ruską prawosławną wiarę.

Każdy słucha opowiadającego z natężoną uwagą, utkwiwszy w nim pytający wzrok. O, zaiste szczęśliwi są nasi zakordonowi bracia. A nas przydusili łacinniki-polaki. Oni ograbili nas z najświętszych uczuć, oni odebrali nam prawosławną wiarę, nasłali nam Jezuitów; kłamią nam, jakoby stumilionowa Ruś była schyzmatycką, równą z heretykami, protestantami i kalwinistami i t. p. Oni ułożyli nam osobne modlitwy, żebyśmy się modlili o powrót prawosławnej Rusi na prawdziwą drogę t. j. na łaciństwo. Polaki zabronili nam nawet nazywać się tem imieniem, jakiem się mianuje stumilionowa Ruś, t. j. imieniem »russkij«. Oni nam przedstawiają naszych braci w Rosyi, jako ciemnych, dzikich barbarzyńców. Oni ze swoim papieżem już dawno ich wyklęli i zabronili im wejścia do królestwa niebieskiego. Ale im jeszcze żal tych pieniędzy, któreby można było zebrać w św. prawosławnej Rusi, i dlatego nie dają jej pokoju.

Mimo takich przeszkód my silnie stoimy przy swojej świętej prawosławnej wierze, my zawsze pamiętamy o naszych braciach w Rosyi, my oczekujemy od nich pomocy, pociechy. Unia u nas tylko na zewnątrz, ale serce nasze czysto-prawosławne. Nasz lud przychodzi do świadomości i prędko zrzuci z siebie ten cień unii i otwarcie przystanie do prawosławnej cerkwi. Dowodem tego obecna pielgrzymka. Te setki osób z ludu, które odwiedziły Rosyę, staną się apostołami, oświecicielami uciśnionych swych braci, i w najbliższej pielgrzymce nie setki, ale tysiące ich wyśle »Galicyjska Ruś« do cudownego Poczajowa«.

Zbyt to wszystko wymowne i jak na początek agitacyi, to dosyć.

Ale nie tylko przez kordon przedziera się do Galicyi prawosławie, przychodzi ono także z powrotną emigracyą z Ameryki. Na emigrujących Rusinów czyha w Ameryce z całym zasobem środków prawosławna misya rosyjska. Działalność tej misyi natężoną jest w wysokim stopniu. Dziś już liczy prawosławie w Ameryce 200.000 członków, w czem bardzo znaczny procent Rusinów galicyjskich. Biednego wieśniaka otacza od razu rój prozelitów, stos broszur i pisemek, zohydzających najpotworniej unię, katolicyzm i Rzym. Nie pomagają zawsze pobudki religijne, to pomogą polityczne i narodowe; wysławia się wtedy panslawizm i z emfazą głosi się jedność narodową Rusi z Rosyą. Na cele tej agitacyi śle rząd rosyjski ogromne sumy; stawia cerkwie, uposaża hojnie duchowieństwo, dostarcza sprzętów kościelnych, zakłada seminarya rosyjskie dla Rusinów. Ma to tem większe znaczenie, że na cele te muszą katoliccy Rusini wszystko płacić z własnej kieszeni. Po kilku latach, znaczna część stworzonych w ten sposób schyzmatyków wraca do kraju i tu zasila sobą propagandę, idącą z za kordonu. Jednem z następstw tej propagandy jest to, że w ostatnich czasach emigranci ruscy z Galicyi, przybywając do Ameryki, omijają od razu cerkwie unickie, stwierdzają natomiast gromadnie swą przynależność do prawosławia. Tak więc Galicya sama zaczyna już rodzić schyzmę. Fakt ten daje ogromnie dużo do myślenia i powinien być poważnie przez opinię naszą pojęty. O tem u nas, na ogół, nic się nie wie. Dla czynników, decydujących w naszych sprawach publicznych, otwiera się tu rozległe pole pracy.

Ks. J. Pawelski.

Kronika irlandzka.

Ażeby lepiej osądzić wypadki, które zaszły w Irlandyi od marca, a które obudziły tam ogólną uwagę i wzburzyły namiętności, najodpowiedniej będzie jeśli w całem opowiadaniu trzymać się będziemy chronologicznego porządku.

Trzydziestego marca przywódca irlandzkich nacyonalistów Jan Redmond przedłożył angielskiemu parlamentowi w Westminsterze

kwestyę *home rule*. Zażądał on, aby deputaci zasadniczo wypowiedzieli swoje zdanie co do autonomii administracyjnej Irlandyi. »Wtedy — mówił — będziemy wiedzieli, czy możemy przy następnych wyborach domagać się już od samych wyborców oświadczenia się co do tej kwestyi«. Znaczyło to tyle, co pośrednio żądać od liberalnego rządu, aby się zobowiązał przedłożyć kwestyę *homo-rule* angielskim wyborcom. Skądinąd, trzeba wiedzieć, że większość liberałów angielskich, idąc za zdaniem swego sławnego przywódcy Gladstona, była zawsze za autonomią Irlandyi. Cała uwaga i zaciekawienie w tej kwestyi tak postawionej przez dzielnego przywódcę partyi irlandczyków, skupiało się około oświadczenia, jakie miał złożyć minister Asquith, którego już wówczas opinia publiczna naznaczała na następcę Campbell Bannerman'a. Przyszły minister króla Edwarda, gdy z porządku miał zabrać głos, powiedział, że rząd zrobił wszystko, co było w jego mocy, aby zadość uczynić słusznym wymaganiom Irlandyi; że on sądzi, iż rozwiązanie trudności, z któremi się Irlandya biedzi, nie leży w *home-rule*, ale w konstytucyach państwowego parlamentu i wniósł nadanie Irlandyi niezależnej administracyi lokalnej. Ideą więc ministra Asquitha było: ustanowić w Londynie centralny parlament, obdarzony najwyższą władzą, w którymby się omawiało wszystkie sprawy tyczące się całego państwa brytańskiego i któryby je rozstrzygał w najwyższej instancyi. Pod opieką tego parlamentu i w zależności odeń wszystkie kraje załatwiałyby swoje sprawy; w jaki sposób miałoby się to odbywać, — toby się określiło później. Spodziewając się, że w niedługim czasie cały naród angielski przyjmie te idee, — minister nie widzi potrzeby *home-rule'u*, gdyż wszystkie ludy ogromnego państwa będą jednakowo traktowane. Szkoci będą mieli tak samo swój parlament jak Irlandczycy i Kanadyjczycy. Na zakończenie debaty zaproponował John Redmond, aby głosować za następującym projektem: »Sposób obecny rządzenia Irlandyą jest sprzeczny z wolą ludu i nie daje mu współudziału w załatwianiu jego własnych spraw; następnie system ten nie jest skutecznym, choć jest bardzo kosztownym, naród niema do niego zaufania, co jest przyczyną powszechnego niezadowolenia i ustawicznych agitacyi; przeszkadza rozwojowi materyalnemu i postępowi intellektualnemu narodu; reforma rządu w Irlandyi jest koniecznym warunkiem dobrobytu Irlandyi, a nawet wpływa na dobrobyt ludu całej Wielkiej-Brytanii. Według zdania Izby, rozwiązać tę kwestyę może tylko nadanie ludowi irlandzkiemu władzy prawodawczej i skutecznej kontroli nad wszystkiemi kwestyami czysto miej-

scowego znaczenia«. Do tego projektu w istocie dosyć radykalnego, hrabia Percy zrobił następującą poprawkę: »Zważywszy, że gdyby parlament pozbawił się swojej całkowitej wolności w materyi prawodawstwa i administracyi w granicach Zjednoczonych Królestw (Wielkiej-Brytanii i Irlandyi), to zaszkodziłby pomyślności Irlandyi, sile państwa i bezpieczeństwa Wielkiej-Brytanii — Izba stanowczo jest przeciwna utworzeniu w Irlandyi odpowiedzialnego parlamentu«.

Obie strony streściły w kilku słowach swoje dowody za i przeciw *home-rule*, i dość jest przeczytać oba wnioski, aby się przekonać, że się nie dadzą pogodzić.

Przy głosowaniu, poprawka Percey'a była odrzucona większością 192 głosów, a wniosek irlandzki przyjęto 313 głosami przeciw 157. Na żądanie rządu dodano jeszcze klauzulę poddającą parlament irlandzki pod najwyższą zwierzchność ewentualnego parlamentu państwowego.

Wielkie zdziwienie zapanowało w opinii publicznej, skoro nazajutrz ogłoszono wynik narad tego znamiennego dnia; w rezultacie partya narodowa ujrzała się opuszczoną.

Wielu Irlandczyków zwróciło teraz oczy ku konserwatystom, spodziewając się otrzymać od nich coś więcej niż parlament... szkocki, bo parlament... państwowy!

Na drugi dzień po tych pamiętnych mowach, 31 marca, jak gdyby dla zatarcia wrażenia, jeneralny sekretarz dla Irlandyi p. Birrel zgłosił do laski »bill uniwersytecki«, t. j. projekt założenia nowego uniwersytetu w Irlandyi. Mowa jego miała zupełnie zasłużone powodzenie. »Irlandya — mówił — potrzebuje i gorąco pragnie tego, czego my wszyscy potrzebujemy, — a Wysoka Izba więcej niż ktokolwiek (sic!) — t. j. dobrej nauki i dobrego wyszkolenia umysłu«. Przy pierwszem czytaniu, za wnioskiem było 307 głosów przeciw 24. Ta małoznaczna mniejszość, to byli Irlandczycy-protestanci. A oto wniosek sekretarza dla Irlandyi:

1. Zakłada się dwa uniwersytety; jeden w Dublinie, drugi w Belfast.

2. Każdym uniwersytetem zarządza senat, którego liczba członków oznaczy się później.

3. Nowy uniwersytet w Dublinie składa się z trzech kolegiów: królewskie Kolegium imienia Cork, imienia Galway i nowe Kolegium Dublińskie. Nowe ustawy i nowe urzędy administracyjne dla tychże kolegiów będą im nadane później.

4. Istniejący obecnie uniwersytet »Królewski« *(Royal University)*

będzie zniesiony, a jego subsydyum 50.000 fst. dzieli się na dwie połowy: jedna dla uniwesytetu w Belfast, druga dla nowego Dublińskiego.

5. Nie wymaga się żadnego składania wyznania wiary.

6. Uniwersytety rządzą się przez swoje senaty. Koronie zastrzega się mianowanie niektórych senatorów.

7. Pierwszy senat będzie zamianowany na 5 lat. Belfast będzie miał 35, a Dublin 36 senatorów. W senacie zasiadają i kobiety.

8. Senat w Belfast ma jednego senatora katolika, a senat w Dublinie 7 protestantów, między niemi ma być Butcher, członek parlamentu.

9. Pierwsze ciało profesorskie Kolegium Dublińskiego, będzie zamianowane przez komisyę administracyjną tegoż Kolegium, a jego prezesem jest katolik, ale nie duchowny.

10. Minister finansów przyzna na uniwersytet subwencyę w kwocie 2,000.000 franków (zamiast 900.000 fr.). Belfast otrzyma z tego 700.000 fr. rocznie, a Dublin 800.000 fr. Kolegium im. Cork będzie miało 450.000 fr., a kolegium imienia Galway'a 300.000 fr. Na budowanie gmachów, Belfast otrzyma subsydyum 1,5000.000 fr., a Dublin sumę maksymalną 3,750.000 fr.«

Po przeczytaniu tego projektu Birrel otrzymywał od wszystkich powinszowania; a nawet przywódca konserwatystów Balfour, były prezydent gabinetu wyraził swoje zadowolenie: »myślę — rzekł — iż nie można było lepiej rozstrzygnąć kwestyi uniwersytetów«. W imieniu partyi irlandzkiej Dillon przyjął ten projekt i pragnął, aby był prędko zatwierdzony. Zobaczymy w dalszym ciągu, jak długo taki projekt w Anglii musi być próbowanym, zanim się stanie prawem obowiązującem.

Bil zawotowany w pierwszem czytaniu ma być następnie rozbierany przez komisyę złożoną z pewnej liczby deputowanych, a równocześnie, a nawet już przed tem projekt ten jest wystawionym na krytykę prasy i całego kraju.

Prezbiteryanie irlandzcy zamieszkujący przeważnie Ulster (jest to prowincya północna, ze stolicą w Belfast), sprzeciwiali się od początku, mając na oku dobro swoich protestantów. Poszli w tem śladami deputowanych, tych 24, którzy głosowali przeciw bilowi. Uniwersytet dubliński byłby katolickim, więc go nie chcą. Katolicy zaś z Ulster (prawie połowa całej ludności) protestowali również ze swej strony; ponieważ uniwersytet belfastski będzie protestanckim, więc go nie chcą. Potem posypały się reklamacye katolików z całej Irlandyi, a ró-

wnież nacyonalistów. Żądano w nich, aby profesorowie czynili wyznanie wiary, a jeśli nie, to przynajmniej, żeby była gwarancya, iż profesorowie protestanccy albo moderniści nie zajmą najważniejszych katedr. Jeśli studenci mają mieszkać w mieście gdzie jest uniwersytet, to cóż poczną studenci przygotowujący się do egzaminu w kolegiach umyślnie w tym celu założonych poza Dublinem? To prawo ma przecież ułatwić dostęp do wyższych studyów dla wszystkich młodzieńców irlandzkich, ale wielu z nich niema środków, żeby się przenieść na mieszkanie do Dublina? A nawet rodzice, obawiając się słusznie o swych synów, żeby się w wielkiem mieście nie zepsuli, nie pozwolą im mieszkać zdala od siebie. W jaki sposób dać odszkodowanie tylu pensyonatom, — które musiałyby być zwinięte — bo założonym jedynie w tym celu, aby przygotować młodych ludzi do egzaminu wstępnego do uniwersytetu »Królewskiego« *(Royal University)*. A może będzie pozwolone tym szkołom, a zwłaszcza kolegium duchownemu »Maynooth, przyłączyć się do nowego uniwersytetu?

Wszystkie te kwestye rozbierane całymi miesiącami w prasie żywo zajmowały opinię publiczną. Księża i świeccy, biskupi katoliccy i pastorzy protestanccy, członkowie parlamentu i publicyści, jedni po drugich rzucali się w ten wir.

Jedenastego maja przedłożono bill Izbie niższej w drugiem czytaniu. Dwudziestu czterech owych przeciwników żądało cofnięcia tego projektu. Dowodzili oni, że: »W tej chwili kiedy się wszyscy starają o szkolnictwo neutralne pod względem religijnym, jakże można uchwalać prawa dla Irlandyi o charakterze wyznaniowym?« Poseł J. Redmond odpowiedział na to, że uniwersytet jest dla narodu, i ma być taki, jakiego się naród domaga. Debaty się zakończyły świetną mową pana Birrell'a. »Któżby — mówił — śmiał twierdzić, że kwestya szkolna jest obojętną dla katolików? My protestanci, którzyśmy niegdyś weszli w ich miejsce, którzyśmy wiekami żyli z instytutucyi katolickich, my zamknęliśmy drzwi tych instytucyi ludziom, mającym tę samą wiarę co fundatorowie tychże instytucyi, i my, mówię, będziemyż śmieli jeszcze twierdzić, że uniwersytet nie może być centrum nauki dlatego, że katolicy rzymscy mają mieć przewagę w jego senacie? Potępiam taką myśl całą siłą mego przekonania!« Projekt opozycyi odrzucono 352 głosami przeciw 38, a bil był uchwalony w drugiem czytaniu 344 głosami przeciw 31, i poszedł pod powtórny rozbiór komisyi.

Trzynastego maja zebrał się senat »Królewskiego« uniwersytetu *(Royal Uniw.)*, aby wybrać swych reprezentantów do tej komisyi i po-

lecił im uregulować kwestyę studentów zamiejscowych, względem nowego uniwersytetu, oraz stosunek do kolegiów, w którychby odbywali swe dalsze studya.

Już dwudziestego maja zebrała się komisya w jednej sali parlamentu. »Pomarańczowi«, czyli protestanci z Ulster próbują najprzód obstrukcyi, aby tylko opóźnić dyskusyę, wreszcie zaś zapowiadają, że Ulster nie chce uniwersytetu w Belfaście, że dosyć będzie erygować jeden w Dublinie! Ale energia p. Birrell'a zwyciężyła wszystkie ich manewry. Rzucił na szalę swoje stanowisko ministeryalne i polityczne: »albo ten bil będzie uchwalony, albo mię już panowie nie usłyszycie mówiącego z tego miejsca«.

Najważniejsza kwestya w debatach komisyi tyczyła się studentów eksternistów, afiliacyi kolegiów i subsydyów; o dwóch pierwszych dyskutowano w środę 17 czerwca. Poseł Butcher, o którym była wzmianka wyżej, proponował dodać do artykułu, w którym się Senatowi nadaje prawo afiliowania innych kolegiów następną klauzulę: »student kolegium afiliowanego nie będzie miał prawa do stopniów uniwersyteckich, jeśli nie wykaże przynajmniej dwuletniego pobytu w jednym z kolegiów wchodzących w skład uniwersytetu w Dublinie albo w Belfaście«.

Poseł Redmond sprzeciwił się przyjęciu tej klauzuli, i żądał dla nowego uniwersytetu tych samych prerogatyw jakie mają uniwersytety angielskie w Londynie, w Manczesterze, w Birmingham i t. d. »Przyczyną, dla której chcą wprowadzić tę poprawkę — mówił — jest obawa, że księża kształceni w seminaryum Maynooth będą otrzymywali stopnie uniwersyteckie. Ale któż się ośmieli twierdzić, że duchowni wykształceni będą nieszczęściem dla Irlandyi? Dotychczas klerycy z Maynooth mogli zyskiwać stopnie naukowe w uniwersytecie »Królewskim«, a w przyszłości gdzież mają ich szukać? Panowie macie na myśli, że to seminaryum nie będzie mogło być tak prędko przeniesione do Dublina« [1]. W tem miejscu swej mowy mówca przeczytał list zbiorowy biskupów, orzekający, że poprawka p. Butchera złamałaby przyszłość setkom młodzieńców irlandzkich. J. Birrell, ze swej strony, oświadczył się przeciw poprawce w bardzo otwartej i rozumnej mowie, która się streszczała w tem zdaniu: »wiem jakie jest położenie Irlandyi, i mam dość tych praw wyjątkowych dla niej: lud

[1] Ten zakład, to jakby centralne seminaryum mieszczące około 700 katolickich kleryków.

irlandzki jest katolickim i dlatego panowie nie możecie nic zmieniać; jest to faktem, że trzebaby uchwalać prawa dla katolików, a nie przeciw nim!« Poprawka Butchera została odrzucona 32 głosami przeciw 16.

Więc senaty uniwersyteckie mogą odtąd swobodnie afiliować, i stanowisko seminaryum Maynooth jest zapewnione. Na tem samem posiedzeniu przyznano nie mieszkającym w Dublinie studentom dyplomowanym i ze stopniami naukowymi, te same prawa co innym.

Zwycięstwo p. Birrell'a było zupełne i katolicy irlandzcy są zadowoleni. Ósmego lipca komisya ukończyła swą pracę po 15 posiedzeniach. Na żądanie, aby powiększono subsydyum, p. Birrell odpowiedział, że z wielkim swoim żalem musi oznajmić, że skarb zgodził się powiększyć tylko o 50.000 fr. subsydyum dla kolegium im. Cork. Polityka, to umiejętność korzyści możebnych i kompromisów. Poseł J. Redmond dziękując p. Birrell'owi i winszując mu, skarżył się jednak na skąpstwo i niesprawiedliwość rządu, gdyż koszta wszystkich tych nowych zarządzeń uniwersyteckich razem wziętych, tylko o 300.000 fr. są wyższe nad to, co kosztuje utrzymanie jednego tylko Kolegium św. Trójcy *(Trynity College)*.

Projekt był zaraz wniesiony do Izby gmin i zawotowany w trzeciem czytaniu. W Izbie lordów przeszedł 25 lipca w pierwszem czytaniu, a 27 w drugiem. Hrabia Camperdown żądał odroczenia pod pozorem, że »szlachetni lordowie« mieli tylko jednę godzinę czasu na przeczytanie tego dokumentu drukowanego! Markiz Landsdowne odpowiedział mu, że chętnie głosowałby za tą propozycyą, gdyby ona nie pociągała za sobą obowiązku dla »szlachetnych lordów« przedłużenia sesyi. Ponieważ z drugiej strony projekt nie napotykał żadnej poważnej opozycyi, Markiz zaproponował przyjąć go zaraz w drugiem czytaniu. Tak się też stało. We czwartek 30 lipca przyszedł przed lordów w trzeciem czytaniu. Zmiany zrobione przez komisyę Izby lordów były nieznaczne, i trzecie czytanie nie natrafiło na trudności. Tylko jeden punkt trzeba podnieść. Większość Izby gmin zadecydowała, że w nowych uniwersytetach (wbrew temu, co zawsze bywało gdzieindziej), nie będzie miejsc ustawowo przeznaczonych na wykonywanie religijnych praktyk. Lordowie jednym głosem większości zdecydowali, żeby takie miejsca naznaczać! Głos, który przeważył szalę, był głosem anglikańskiego biskupa! Projekt tak zmodyfikowany odesłano do Izby gmin 31 lipca, i zaraz go zwrócono do Izby lordów z nowelą, że Izba niższa nie zgadza się z wyższą co do miejsc poświęconych kultowi!

Lordowie nie nalegali, i bil, podany do podpisu królowi, stał się prawem 1 sierpnia. »Nic ważniejszego i szczęśliwszego« pisał wielki dziennik katolicki francuski *l'Univers* »nie zdarzyło się dotychczas na wyspie siostrze od czasu jej zjednoczenia z Anglią, jak ten fakt i trzeba się zdumiewać nad zupełnem milczeniem prasy o rzeczy tak niezmiernie ważnej dla żywotności katolicyzmu w całym świecie.

Myślę, że czytelnicy *Przeglądu* nie oskarżą mię o nadużycie ich cierpliwości; skądinąd uważałem za dobre dać im próbkę i pojęcie o ostrożnościach z jakiemi opracowują się prawa angielskie. Obecnie komisya ustanowiona w Dublinie, a składająca się z członków wybranych przez doktorów uniwersytetu »Królewskiego« i z senatorów mianowanych przez Koronę, omawia szczegóły organizacyi, pomieszczenia i t. d.

Miejmy nadzieję, że ten uniwersytet będzie na korzyść biednego ludu irlandzkiego i na większą chwałę Boga.

Dublin, we wrześniu 1908 r.

Ch. Schoonjans.

Z działalności Katolickiego związku ludowego w Niemczech.

Związek ten założony przy szczególnem współdziałaniu sławnego wodza niemieckich katolików Windhorsta, ma za cel szerzyć ideę chrześcijańsko-społeczną i oświecać szerokie warstwy ludu o konieczności, o celach i drogach gruntownej społecznej reformy dla wszystkich stanów na podstawie chrześcijańskiego poglądu na świat i życie.

Według najnowszego sprawozdania posiada Związek ludowy dla katolickich Niemiec olbrzymią liczbę członków. Podczas gdy na końcu czerwca 1907 r. było członków 565.700, to na końcu czerwca r. 1908 wynosi ich liczba około 610.800, wzrosła więc o 45.000. Liczba mężów zaufania, rozsianych po całej Rzeszy Niemieckiej wynosi 20.000. Siedziba centralna w München, Gladbach zajmuje 16 fachowo wykształconych, na polu literackiem pracujących, urzędników, częścią duchownych, częścią świeckich, z systematycznym podziałem pracy. Do buchalteryi, prowadzenia kasy, korespondencyi, księgarni i ekspedycyi związkowej jest przeznaczonych 50 urzędników. Także 50 osób zajętych jest w drukarni związkowej.

W ostatnim roku wysłano w świat 15,633.072 egzemplarzy książek

i broszur treści apologetycznej, społeczno-politycznej i praktyczno-gospodarczej. Od założenia zaś związku liczba broszur przezeń wydanych wynosi 109,883.376. Z górą 3.000 zgromadzeń urządzono w zeszłym roku.

Zasługuje na szczególną uwagę i ta okoliczność, że parę lat temu we Włoszech za inicyatywą samego Ojca św. Piusa X założono związek ludowy dla katolików Włoch na wzór związku w Niemczech opierając się na jego statutach. Również w Luksemburgu, w Szwajcaryi, w Hollandyi istnieje podobny związek. W Północnej Ameryce obecnie go zakładają; w Brazylii, Argentynie, Hiszpanii i Portugalii powstały również takie związki, biorąc sobie związek niemiecki jako wzór.

Możemy także dodać, że generalny zarząd w M. Gladbach odznacza się szczególną sympatyą dla Polaków i polskich robotników. Ktokolwiek celem studyowania ruchu robotniczego przybywał z naszych stron do Centrali w M. Gladbach, mógł się o tem przekonać, z jaką gościnnością tam naszych rodaków przyjmują, z jaką bezinteresownością wszędzie oprowadzają i z jaką dokładnością udzielają wszelkich wyjaśnień, wtajemniczając z całą szczerością w tajniki administracyi tej imponującej maszyneryi związkowej.

W ostatnim czasie powstała przy głównym sekretaryacie w M. Gladbach (Landstrasse 5—11) osobna sekcya a mianowicie Sekretaryat społecznych kółek akademickich. Inicyatywę do tego dali sami akademicy. Sekcyą kierują fachowi socyologowie i praktyczni działacze. Celem jej jest pobudzić koła akademickie — na pierwszem miejscu katolickie — do zajmowania się sprawami społecznemi. Sekretaryat obfituje w bogatą literaturę, plany studyów społecznych, i niemi służą, stara się o serye odczytów, popiera i ułatwia uczęszczanie na wykłady ekonomii społecznej, jako też na kursach społecznych dla robotników i w konferencyach św. Wincentego a Paulo; zakłada kółka akademickie i stowarzyszenia o celach charytatywno-społecznych, służy jako biuro wywiadowcze w odnośnych kwestyach, rozszerza swoje idee w dalszych warstwach młodzieży przez ulotne pisemka i broszury. Takich broszur dostarcza zupełnie za darmo i w dowolnej liczbie. Wyliczę kilka:

Nr. 1. *Studententum und sociale Welt* (Akademicy a świat społeczny).

Nr. 2. *Sociale Ferienarbeit* (Społeczna praca wakacyjna).

Nr. 3. *Akademische Vinzenzarbeit* (Akademicka praca w konferencyach św. Wincentego a Paulo).

Również bezpłatnie wysyłają po egzemplarzu broszury: *Wie gewinnen wir die Gebildeten und Besitzenden für die sociale Arbeit?* (Jak pozyskać intelligencyę i posiadających dla pracy społecznej?)

Za 50 fenigów broszurka: »Czy akademik w naszych czasach może społecznie pracować?« *(Kann der moderne Student social arbeiten?)*

Prócz tego bogato uposażona biblioteka Siedziby centralnej licząca około 15.000 tomów treści społecznej, religijnej i kształcącej w różnych kierunkach życia praktycznego dla wszystkich stanów, jest zarazem wypożyczalnią (katalog można otrzymać za 45 fen.). Członkowie zaś Związku (wkładka roczna wynosi 1 m.) mogą z tej biblioteki wypożyczać książki bezpłatnie i to po dwie na 3 do 4 tygodni. Celem otrzymania książki wystarczy podać kwestyę, w której się żąda wyjaśnienia i pouczenia. Członkowie, którzy stale z Centralą nie korespondują albo nie są osobiście znajomi, muszą z podaniem o pożyczenie książki załączyć polecenie od prezesa miejscowego Związku. Każdy z członków ma także prawo do otrzymania bezpłatnie czasopisma *Der Volksverein* 8 zeszytów rocznie (dla nieczłonków prenumerata roczna 1·50 m.).

Drugim organem Związku jest czasopismo *Sociale Kultur*, w rodzaju *Sociale Revue* albo naszego *Ruchu chrześcijańsko-społecznego* (miesięcznie zeszyt po 50 fen.). Czasopismo to przeznaczone dla szerszych warstw intelligencyi i powołanych do pracy społecznej duchownych, nauczycieli, urzędników, lekarzy, prawników, radnych miasta, kupców, fabrykantów, techników, urzędników organizacyi gospodarczych i zawodowych jako też dla wykształconych kobiet. Artykuły są wyłącznie pióra fachowo wykształconych i doświadczonych ludzi. *Sociale Kultur* jest bez wątpienia najtańszem czasopismem społecznem w języku niemieckim. Dla kształcenia religijnego i gospodarczego młodzieży żeńskiej wychodzi tamże dwumiesięcznik *Der Kranz* (Wieniec) kwartalnie tylko 40 fen.)

Z rozmaitych wydawnictw Związku zasługują niektóre na szczególną uwagę. Tak np. *Apostolische Vorträge*, dla intelligencyi (I zesz. 240 str. w 8-ce [11—15 tysięcy] cena 1 m., 1906 — II zesz. 272 str. w 8-ce [6—15 tysięcy] cena 1·50 m., 1907).

Więcej popularne, choć mniejszej wartości naukowej, ale za to przystępniejsze i praktyczniejsze są zeszyty apologetyczuej biblioteczki ludowej *(Apol. Volksbibliothek)*. Cała serya (30 zeszytów) kosztuje tylko 1·50 m. Zeszyty po 16 stron (w 8-ce) pojedyncze 5 fen. Jedne i drugie »odczyty« znalazły także już przystęp do nas: sprowadzili je niektó-

rzy katoliccy uczniowie szkół średnich a obudziły one nie tylko zainteresowanie ale nawet uwielbienie wśród młodych czytelników. Polecićby można przedewszystkiem z tych zeszytów:

Nr. 1. »Czy jest Bóg?»

2. »Czy Bóg stworzył świat?«

3. »Pismo św. a nauki przyrodnicze«.

4. »Czy człowiek pochodzi od małpy?«

5. »Czy człowiek ma duszę?«

7. »O cudach«.

13. »Czy etyka chrześcijańska jest nieprzyjaciółką pracy kulturalnej?»

14, 15, 16, 17. »O posłannictwie i Boskości Jezusa Chrystusa?«

20. »Papiestwo i kultura«.

24. »Katolicki Kościół i nowoczesna kultura«.

25. »Ekonomiczny upadek narodów katolickich«.

29. »Czy Pismo św. jest tylko dziełem ludzkiem czy słowem Bożem?«.

30. »Czy czytanie Pisma św. jest katolikom zabronione?«

W tym roku opuściła prasę związkową złota książeczka, za którą należy się Związkowi prawdziwa wdzięczność. Jest to spis literatury społecznej (*Verzeichnis socialer Literatur* cena 50 fen.). Brak dotychczasowy takiej pracy usunęła już po części wyśmienita broszurka d-ra T. Rzymskiego: »Potrzeba i środki wykształcenia socyalnego wśród wyższych warstw z dołączeniem literatury kwestyi społecznej« (Poznań, druk. św. Wojciecha, cena 75 fen.). Związek podaje nam tu na str. 140, siódme, zupełnie przerobione i powiększone wydanie, systematycznie zestawioną i objektywną a trafną ocenę dzieł i pism z dziedziny nauk społecznych i społeczno-politycznych.

Jedna z tych książeczek wywołała formalny entuzyazm i utorowała sobie drogę do wszystkich prawie krajów europejskich, to: *Wegweiser zum häuslichen Glück* (Drogowskaz do szczęścia domowego, 8-ka, str. 270). Jest to nader praktyczny podręcznik nauki gospodarstwa domowego, przeznaczony dla dziewcząt, ozdobiony licznemi illustracyami. Cena bajecznie nizka 75 fen. Nic dziwnego, ze już 220 tysięcy egzemplarzy się rozeszło.

Podobną książeczką, przeznaczoną dla kobiet i matek, jest: *Das häusliche Glück* (Szczęście domowe). Dwudzieste siódme wydanie świadczy wymownie o jej poczytności (str. 320). Bogata treść, objaśniona licznemi illustracyami, ozdobna i nadzwyczaj artystyczna oprawa wprost

zastanawiają człowieka, jak można taką książkę za 75 fenigów wydawać. Po wstępnych uwagach o istocie szczęścia rodzinnego, którego bez gruntownej religijności i szczerej pobożności niema, omawia ta złota książeczka wszystkie niemal materyalne warunki życia domowego: mieszkanie, ubranie, szycie, krawiectwo, sprowadzanie i zakupywanie artykułów spożywczych, gotowanie jedzenia, przyrządzanie i wybór potraw stosownie do różnicy stanu, wieku, zdrowia i zamożności, nareszcie staranie o zdrowie i pierwsza pomoc w słabościach, zwłaszcza dzieci, wszystko to opisuje jasno i przystępnie a przytem gruntownie.

Uzupełnieniem wspomnianego dziełka jest osobna książeczka dla matek »O wychowaniu« *(Die Erziehungskunst der Mutter,* 1908 r., str. 128, cena egzemplarza wykwintnie oprawionego 75 fen.). Autorka, znana na polu piśmiennictwa pedagogicznego, p. Liane-Becker, omawia wszystkie zagadnienia i zadania wychowania macierzyńskiego w przejrzystym układzie materyału, jasno i w pięknym języku i z głęboką powagą i serdecznem ciepłem, jakiej sprawa tak wielkiej doniosłości wymaga. Choć książeczka ma być na pierwszem miejscu przewodnikiem i doradcą dla matek w pracy wychowawczej, to jednak sądzimy, że i wszystkim innym, którzy są powołani do pracy nad ludem, zwłaszcza kierownikom stowarzyszeń matek, dziewcząt i robotnic, książeczka będzie bardzo pożądaną.

Kwestyi oświatowej jest poświęcona broszura w tym roku wydana p. t. *Bildungsfragen für das weibliche Geschlecht.* Von El. Stoffels (str. 56, w 8-ce, cena 60 fen.).

Bezpośrednio przeznaczoną jest ta broszurka dla dziewcząt; celem jej wykazać potrzebę podwójnego kształcenia się, mianowicie na stanowisko rodzinne matki, żony i gospodyni z jednej strony a z drugiej podaje sposoby, jak w danym razie zarabiać sobie na życie. Ta druga kwestya obejmuje największą część wywodów. Są to nader praktyczne wskazówki dla gospodarstwa domowego jako też dla różnych gałęzi zawodowej, naukowej i społecznej pracy. Wartość broszury podnosi ta okoliczność, że prócz mnóstwa praktycznych szczegółów znajdujemy tu wszechstronny, a przytem celowy i systematyczny plan kształcenia i urządzania żeńskich szkół uzupełniających oraz ich uzasadnienie.

Jeden z punktów wspomnianej broszury, a mianowicie kwestyę sług, opracował szerzej znakomity socyolog dr. A. Pieper w monografii p. t. *Dienstbotenfrage und Dienstbotenvereine,* (str. 76, w 8-e, cena 60 fen.). O ile nam wiadomo, jest to pierwsza praca, omawia-

jąca dokładnie tę dziś tak piekącą kwestyę z uwzględnieniem zmienionych dzisiejszych warunków konkretnych, w których się znajduje służba domowa męska i żeńska. Socyalistyczna przesada żądająca zupełnego równostawiania i równotraktowania sług z robotnicami pracującemi w mniejszych lub większych przedsiębiorstwach różnych zawodów, otrzymała tu ciętą i należytą odprawę. Z drugiej jednak strony przestrzega autor przed fałszywem stanowiskiem tych, którzyby chcieli tę sprawę rozwiązać tylko na tle stosunku patryarchalnego lub feudalnego. Przedewszystkiem do tych zwraca się autor, którzy albo jako kierownicy stowarzyszeń dla sług, albo ze względu na swe stanowisko społeczne mogą się przyczynić do polepszenia doli sług. Niektóre rozdziały mogą być bardzo przydatne do odczytów w stowarzyszeniach sług, a nawet dla nauk rekolekcyjnych, zwłaszcza o środkach reformy ze strony sług np. o konieczności zdrowszych zapatrywań samychże sług na wartość i korzyść stosunku służbowego. Jako dodatek podaje broszura kilka wzorów statutów najbardziej kwitnących stowarzyszeń sług katolickich w Monachium i Kolonii.

Ponieważ tu przytoczone i krótko omówione wydawnictwa Związku zawierają materyał tak bogaty i pożyteczny i dający się łatwo zastosować także do naszych warunków, należałoby się spodziewać, że znajdą i w naszym kraju czytelników, a może znajdzie się, ktoby jedną lub drugą rzecz przetłumaczył, albo przerobił na polskie.

Ks. I. Assmann.

Listy z Warszawy.

Polemika. Narodowa Demokracya w opałach. Roman Dmowski. Dalsze eksperymenty »uświadamiaczów«. Wolna miłość. Dezercya byłego Kapucyna Wysłoucha (Antoniego Szecha).

Sezon jesienny rozpoczął się polemiką polityczną. Narodowa demokracya, przez lat trzy rządząca bez współzawodnika, dostała się w trzy ognie. Z jednej strony atakuje ją jej lewica *(Goniec)*, z drugiej warszawski radykalizm *(Przegląd Poranny, Nowa Gazeta)*, z trzeciej realiści *(Słowo)*.

Dlaczego?

Bo się jej polityka nie podobała i nie podoba jej przeciwnikom.

A dlaczego się nie podoba?

Bo każdemu stronnictwu politycznemu zdaje się zawsze, że tylko

ono jest Salomonem, wszystkie zaś inne są idyotami. Na sąd spokojny niema miejsca w walce politycznej.

Narodowa demokracya ma jedną zasługę, zasługę wielką, mianowicie tę, że zrozumiała znaczenie ludu dla przyszłości i że zajęła się uświadamianiem politycznem tego ludu. Działo się to od lat kilkunastu, od chwili pierwotnego *Głosu*, z którego wyszli dzisiejsi naczelnicy stronnictwa. Ludowcami *par excellence* byli pp. Popławscy, Dmowscy, Wasilewscy, Jabłonowscy, Grabscy i inni, zanim się przekształcili na wszechpolaków, a w dalszym ciągu na narodowych demokratów.

Za ten jeden wielki atut w ich działalności trzeba im przebaczyć popełnione błędy, zwłaszcza, że do praktycznej działalności powołała ich rewolucya, rewolucye zaś, jak wiadomo, ponoszą nawet głowy spokojne, przesłaniają nawet bystre, przytomne oczy czerwoną łuną i denerwują nawet ludzi zdrowych.

Błędy popełnione przez narodową demokracyę, płyną ze źródła, z którego ona wyszła. Radykalnym był pierwotny *Głos*, radykalnymi społecznikami jego młodzi redaktorowie. Resztki tego radykalizmu społecznego i filozoficznego zostały w nich, kiedy zmienione warunki polityczne nakazały zmianę programu.

Ludowcy z *Głosu* akcentowali jako narodowi demokraci zbyt jednostronnie swoją »ludowość«, usiłowali podporządkować interesy wszystkich warstw społecznych pod interesy ludu, a przecież nie sam lud tworzy cały naród. Duchowieństwo, szlachta, mieszczaństwo są tak samo narodem, jak lud, więcej nawet, bo oni to zbudowali jego przyszłość, jego tradycyę historyczną, o którą się narodowa demokracya bardzo słusznie oparła. Dziecinnymi entuzyastami byli owi narodowi demokraci, którzy w pierwszym roku rewolucyjnym wołali z trybun wiecowych: pod stopy twoje ludzie, rzucamy sztandary; podnieś je i prowadź nas! Jakgdyby gdziekolwiek, kiedykolwiek prosty żołnierz prowadził oficerów, jenerałów. Tej sztuki nie potrafiła nawet wielka rewolucya francuska. Laffayette'owie, Mirabeau'owie, Lameth'y, Bironowie, Dumouriez'owie, Beurnonville'y, Mirandowie, Miączyńscy, Orleanowie, Kellermanny i cały sztab pierwszych armii rewolucyjnych, który nauczył tę armię bić się i zwyciężać, nie pochodził bynajmniej z ludu. Byli to wszystko potomkowie starej rasy rycerskiej, urodzeni komendanci. Pod ich to rozkazami, ich wolą i geniuszem prowadzony, wyrósł lud francuski na bohatera. Wszystkiego na świecie trzeba się nauczyć. Wskazuje się zwykle na marszałków Napoleona I. Ale nie

sztuka być dobrym marszałkiem, gdy się ma nad sobą takiego Bonapartego, także rasy rycerskiej potomka. Wystarczy słuchać, wykonywać bez rezonowania jego rozkazy.

Przesadne akcentowanie królewskości ludu z rozmyślnem pominięciem innych warstw społecznych jest pierwszym błędem narodowej demokracyi. Ten sam błąd popełnili także Żyrondyści rewolucyi francuskiej i przegrali partyę. Ale Żyrondystom nie można się dziwić; byli sami dziećmi ludu, bronili swoich interesów i ambicyi, a nasi ludowcy: Popławscy, Dmowscy, Wasilewscy, Jabłonowscy, Grabowscy i inni nie wyszli z ludu.

Drugi błąd, popełniony przez narodową demokracyę, jest także naturalnym skutkiem radykalizmu pierwotnego *Głosu*.

Głos nie był katolickim, zabawiał się w rzeczach religii w »filozofa«. Żądło to tkwiło jeszcze w sercach jego byłych redaktorów w chwili, kiedy oparłszy się jako narodowi demokraci o naszą tradycyę historyczną, musieli także uwzględnić katolicyzm, jako część składową tradycyi historycznej. Uczynili to, ale bez wewnętrznego przekonania, bez radości, ze względów politycznych jedynie.

Że nie byli przekonanymi katolikami, włączywszy obronę Kościoła do swojego programu, dowodem ów tajny cyrkularz Rady Narodowej, rozesłany jako instrukcya do dzielnicowych agitatorów, a zalecający »przeciwstawianie się« wszelkiej akcyi katolickiej w kraju.

Dwa te główne błędy narodowej demokracyi (podporządkowanie interesów wszystkich warstw społecznych pod interesy ludu w połączeniu z popieraniem »wywłaszczenia« i nieżyczliwe, raczej podejrzliwe stanowisko w stosunku do działalności katolickiej) osłabiły jej siłę, odciąwszy od niej znaczną część ziemiaństwa, duchowieństwo i wszystkich wiernych katolików. W ostatniej chwili odpadli od niej także z innych (politycznych) względów robotnicy narodowi.

Resztę błędów, popełnionych przez narodową demokracyę, można, zdaniem mojem, pominąć, gdyż wynikły nie z jej programu, lecz z trudnego położenia chwili.

Zarzuca się narodowej demokracyi, że w początkach swojej działalności potrząsała zanadto butnie sztandarem narodowym, nie licząc się z realnymi warunkami chwili. Zapewne. Ale któż nie traci w rewolucyi miary w oku i miary swoich sił? Rewolucya nie byłaby rewolucyą, gdyby nie chciała szturmować nieba: wszystko albo nic! W stanie tak podnieconym, tak gorączkowym, jakim jest zawsze wszelka chwila przełomowa państwa, nie może być mowy o postępo-

waniu tylko rozważnem. W takich chwilach liczy się także na pomoc wypadków i nastroju mas. Grzeszyliśmy wszyscy pod tym względem.

Zarzuca się dalej narodowej demokracyi, że trzymając w ręku ster polityki, wszedłszy do Dumy petersburskiej, nie zdobyła żadnych pozytywnych rezultatów. Jest tak w istocie. Ale jej-że to wina? Jakiż wpływ na przebieg wypadków może mieć garstka posłów, nadomiar uszczuploną przy trzecich wyborach — garstka ludzi bez siły rzeczywistej, bez armii, bez bagnetów? W czasach rewolucyjnych jest słowo, choćby najpłomienniejsze, jako ten wiatr, co w polu wieje. Rozkazuje, zwycięża tylko ten, kto może poprzeć swoją wolę mową armat. Nie trzeba znać historyi, aby żądać od garstki posłów zdobycia faktycznych rezultatów politycznych.

Zarzuca się wkońcu narodowej demokracyi, że zmienia swoją politykę. Ale cóżby to był za polityk, któryby się nie naginał do zmienionych warunków, nie liczył się z położeniem chwili? Polityka jest grą. Dobry gracz nie trzyma się nigdy tego samego systemu. Próbuje tak i owak, na prawo na lewo, jak trzeba.

Bardzo łatwo krytykować politykę temu, co stojąc na uboczu, nie biorąc udziału w praktycznej robocie, uważa się za powołanego do dawania wskazówek ministrom, dyplomatom i posłom. *La critique est toujours aisée.*

Że narodowa demokracya zmieniła w ostatnich czasach metodę działania, dowodzi to tylko, że nie stoi w miejscu, że się czegoś w przeciągu lat trzech nauczyła, że postępuje.

Polemika zwraca się głównie przeciw prezesom Koła Polskiego w Dumie petersburskiej, przeciw p. Romanowi Dmowskiemu. Naturalnie. Atakuje się zawsze takiego komendanta i czyni go się odpowiedzialnym za przegraną kampanię.

Ale któżby inny nie przegrał kampanii w naszych warunkach? Proszę mi wskazać tego czarodzieja, któryby potrafił w chwili obecnej przywieźć Warszawie z Petersburga autonomię. Realiści, demokraci postępowi? Niech spróbują... Albo może socyaliści... Ładnie nas ubrali...

We wszystkich sporach i walkach stronniczych grają nienasycone ambicye, podlane zawiścią, znaczną rolę. Tylko ktoś, co się nie zajmuje polityką, nie traci w takich razach spokoju.

Polityka wyrzuca w istocie bardzo szybko w górę swoich działaczów. By zdobyć sobie głośne nazwisko i wpływowe stanowisko w literaturze, sztuce, nauce, w wojsku i t. d., trzeba pracować długie

lata. By zostać wpływowym politykiem, wystarcza wygłosić kilka mów, umieć się postarać o mandat poselski — błysnąć choćby na czas krótki. Oprócz tego daje polityka władzę, zaszczyty, znaczenie. Przeto rwą się do niej zwykle różni ambitnicy, łatwej, a świetnej karyery żądni.

Któż np. wiedział o trzech czwartych naszych dziś głośnych polityków przed rewolucyą? Chyba nie wielu. Ten był sobie przeciętnym adwokatem, ów inżynierem, trzeci, czwarty lekarzem, ziemianinem i t. d., biorącym w życiu publicznem tylko bierny udział. Aż przyszły wiece, zebrania, sesye, Duma i wczorajszy pionek stał się przez noc tuzem.

Sam p. Roman Dmowski np., szef narodowej demokracyi, prezes Koła Polskiego w Petersburgu, nie świecił nie błyszczał wcale przed rewolucyą. Znali go tylko jako dziennikarza koledzy po fachu. Zrobił on w istocie niezwykle szybką i świetną karyerę.

Nic dziwnego, że głównie przeciw niemu zwracają się wszystkie zawiści polityczne.

Pan Dmowski nie błyszczał wprawdzie, nie świecił przed rewolucyą, ale urodził się politykiem. Kiedy inni pisali artykuły, on jeździł po świecie, przypatrywał się różnym ludom i ludziom, porównywał, badał, uczył się, przygotowywał się, czekając na swoją chwilę. Więc kiedy ta chwila przyszła, znalazł się na posterunku, jaki mu był przeznaczony. Mogli przecież sięgnąć inni po jego stanowisko. Dlaczego nie sięgnęli, nie umieli sięgnąć? W polityce trzeba umieć brać. Pan Dmowski potrafi tę sztukę i to jego wygrana na loteryi życia.

Pan Dmowski jest naturą energiczną, czynną, ma »mocną, twardą rękę«. Wielka to, pierwszorzędna zaleta w naszej rasie miękkiej, nie umiejącej chcieć.

Pan Dmowski wkońcu nie jest sekciarzem, trzymającym się kurczowo pewnych doktryn. Oryentuje się łatwo w sytuacyi, uczy się ciągle od życia, idzie naprzód z potrzebami chwili.

Wszystkie te zalety splatają się na dyplom urodzonego polityka. Lepszego dotąd narodowa demokracya nie posiada i dlatego należy mu się słusznie batuta w stronnictwie. Nie potrzeba się zgadzać na jego poglądy, gdy się ma inne, ale nie wolno go »bagatelizować«.

Politycy zarzucają sobie nawzajem nieudolność, warcholstwo i t. d., a »uświadamiacze« nie ustają w reformowaniu »zastarzałych pojęć« naszego społeczeństwa.

Przyszła obecnie kolej na małżeństwo, pobłogosławione przez Kościół.

»Wolną miłość« zalecają z katedr prelegenckich nasze *enfants terribles* lat ostatnich.

Tryumfuje w Warszawie pani Wenus, nie ta »pianą morską owiana«, lecz ta z czasów Peryklesa, która Aspazyę postawiła ponad prawowite małżonki, zamknięte w gineceach.

Ogromnie się cywilizujemy. Od czasu kiedy mamy ciągle na ustach kulturę, kulturalność... śpieszymy się na łeb na szyję, aby nie tylko dogonić Europę, lecz ją nawet prześcignąć. Pani Iza Moszczeńska i p. Budzińska-Tylicka, pp. Andrzej Niemojewski, Wojciech Szukiewicz i Miller wodzą dziś w Warszawie rej — jako najśmiejlsi heroldowie najśmielszego postępu.

Zaczęło się to od »uświadamiania etycznego«, *recte* płciowego, a skończyło się na apoteozie wolnej miłości.

Starym »wstecznikom« dziwno tylko, dlaczego najnowszy typ postępowców nazywa wolną miłość szczytem postępu. Boć to przecież nawskróś »wstecznicza« forma miłości. Tak kochali się nasi prapraojcowie, owe mamuty jaskiniowe, dopóki ich pożądliwości płciowych pierwsze przebłyski kultury nie okuły w obręcze uregulowanego stosunku między mężczyzną a kobietą, czyli małżeństwem. Tak kochają się zresztą dotąd wszystkie zwierzęta, wszyscy mieszkańcy pól, lasów, rzek i mórz.

Więc nie postępem należy nazwać wolną miłość, lecz przeciwnie, powrotem do pierwotnego stanu natury — do dzikości.

I dziwno starym »wstecznikom«, że głównie kobiety oklaskują wolną miłość. Mężczyźni uśmiechają się pod wąsem, a kobietki entuzyazmują się: jakby to było dobrze...

Mężczyźni uśmiechają się pod wąsem, bo trzy czwarte z nich korzystałoby z przyjemnością z wolnej miłości. Wielu z nich omija i tak obowiązki małżeństwa, ale omija je chyłkiem, z obawy przed skandalem, albo przed gniewem legalnej magnifiki. Coby się to działo, gdyby się wolna miłość stała prawem... Przecież to ogromnie wygodnie upajać się ambrozyą miłości, nie biorąc na siebie jej obowiązków. Ileż to mężczyzn ginie przez małżeństwo, iluż to łamie, druzgocze, depcze nadmierny trud utrzymania rodziny, którego u nas zwłaszcza mężatki z intelligencyi nie znają?

Nie mężczyzna potrzebuje małżeństwa do miłości, bo znajdzie ją i bez legalnego stosunku, jeno kobieta, która ponosi w pierwszym rzędzie skutki popędu płciowego. Kobiety to broni legalne małżeństwo przed zmiennością upodobań męskich, daje jej miłość prawowitą i gniazdo dla jej dziecka, dla jej jedynego, serdecznego, ukochania. Bo

każda normalna, zdrowa kobieta rodzi się przedewszystkiem matką, żyje głównie dla dziecka. Mąż bywa zwykle tylko środkiem do stworzenia rodziny, o czem wiedzą wszyscy ojcowie. Na ostatni plan schodzi w domu t. zw. pan domu, gdy słaba dziecina zakwili pod dachem.

Głosiciele wolnej miłości pocieszają kobietę, że państwo zajmie się jej dzieckiem. Ale któraż prawdziwa kobieta i prawdziwa matka zgodziłaby się na to? Kobiety te zbuntowałyby się pierwsze przeciw ustawie, gdyby się wolna miłość stała kiedykolwiek, gdziekolwiek ustawą, zrobiłyby rewolucyę, domagając się wielkim głosem przywrócenia małżeństwa, ich broni, ich puklerza.

Dlaczego więc oklaskują kobiety modną w Warszawie od pewnego czasu gadaninę o wolnej miłości? Chyba tylko dlatego, że jest modną i że nie rozumieją zgoła psychologii mężczyzny.

I dziwno jeszcze »wstecznikom«, że głównie żydówki palą się do wolnej miłości. One to wypełniają $^{9}/_{10}$ sale, w których z katedry »bezprzesądna« Wenus pomstuje na małżeństwo, one zasypują prelegentów gradem oklasków. Cnoty rodzinne należą przecież do plusów rasy żydowskiej, są szanowane przez wyznawców Jehowy i talmudu. Czyby świeża niestrawiona jeszcze kultura działała rozkładowo? Zdaje się, że tak. Wniosek ten potwierdza historya. Gdziekolwiek świeża kultura umysłowa zabierała się do roboty, zaczynała zawsze od druzgotania całego dorobku przeszłości. A nasze oświecone żydówki oświecają się światłem europejskiem od niedawna.

Zdaje im się niewątpliwie, że wolna miłość jest dalszym ciągiem ogólnego ruchu wolnościowego. I nie tylko im. Mam pod ręką ostatnią powieść H. O. Garlikowskiej p. t. »Misteryum, opowieść erotyczna«, która jest obroną wolnej miłości, i czytam w niej zdania następujące: »Nigdy on nie dojdzie do tego stopnia wyższości, aby się wznieść nad zło i dobro; dusza jego wciąż pamiętać będzie o tych drobnych społecznych względach i płynąć równym szlakiem przeciętnej, tak zwanej uczciwości ludzkiej ludzi dobrych, którzy popełniają wielkie zbrodnie przeciw naturalnym prawom życia; był to niewolnik, który nigdy nie umiałby dojść do wolności, ponieważ nie rozumiał ani idei wolności, ani przyczyny niewoli, a nadewszystko nie czuł samej niewoli (czytaj: małżeństwa) w jaką dobrowolnie się oddawał«.

W ten sposób maluje autorka mężczyznę uczciwego, który się bronił przed żarami wolnej miłości.

Więc wolna miłość ma być wyzwoleniem człowieka? Z czego?

Z pęt obowiązków oczywiście. Obowiązek stał się, wiadomo, *la bête noire* najnowszych reformatorów.

Możnaby przejść nad tym nowym eksperymentem naszych uświadamiaczów do porządku dziennego, gdyby nie jego skutki praktyczne.

Małżeństwa oczywiście nie obalą tego rodzaju eksperymenty, rodziny wogóle nie zniszczą. Przeminą one, jak rozsypało się w proch tyle innych niemądrych usiłowań, ale zanim przeminą, zostawią trochę ruin, jak zostawiły je wszystkie skrajności ostanich lat. Ta i owa dziewczynina, obałamucona obietnicami wolnej miłości, pójdzie za jej głosem syrenim, rzuci się w jej objęcia, padnie ofiarą pierwszego lepszego brukowego lub salonowego donżuana i złamie sobie życie.

Ofiarą padną głównie bezkrytyczne dzieci, starsze bowiem panny, znające życie, wiedzą bardzo dobrze, że dla kobiety »cnota jest praktyczniejsza« od swawoli zmysłów, od grzechu.

W tym całym ruchu etyczno-tradycyjno-wywrotowym grają żydzi pierwsze skrzypce. Ładnie płacą Polsce za jej dobrotliwą gościnność, za to, że przygarnęła ich wtedy, kiedy ich cała Europa pędziła z kraju do kraju, jak trędowatych. Nikomu nie przyszło dotąd na myśl napisać psychologii Żyda oświeconego. A byłoby to studyum ciekawe. Atakujemy dotąd tylko Żyda ciemnego, nie tykając oświeconego, a przecież ten Żyd oświecony jest daleko większym, daleko szkodliwszym wrogiem kultury chrześcijańskiej od husyty. Drugi zagraża tylko naszej kieszeni, rabuje nas, gdzie może, pierwszy zatruwa naszą duszę, nasze serce.

Modne obecnie odczyty o wolnej miłości muszą być doskonałym interesem, kiedy je Żydzi biorą w »antipryzę«. Jakiś Kantorowicz żydowski, B. Krygar, który poza interesami wekslowymi, urządza także koncerty i »pikantne« odczyty, wynajmuje »uświadamiaczów etycznych« i każe im mówić o dobrodziejstwach wolnej miłości. Wiadomo, że Żyd handluje wszystkiem, staremi spodniami i »oświecaniem« ...

Wielką dżoję sprawił naszym wolnomyślicielom były Kapucyn, Wysłouch (Antoni Szech). Zdjął habit, »wystąpił z hierarchii katolickiej«, co ogłosił *urbi et orbi* za pośrednictwem radykalnego *Przeglądu Porannego*. Wiadomość ta zaalarmowała tylko tych, co nie znają natur, przepojonych chorobliwym indywidualizmem.

Dowodzą pisma p. Wysłoucha, podpisywane pseudonimem »Antoni Szech«, że należy on do natur fantastycznych i indywidualistycznych, które nie umieją myśleć po linii prostej. Z taką głową można być

znośnym poetą, artystą impresyonistycznym, »nadludzkim« filozofem, wkońcu agitatorem, trybunem rewolucyjnym, ale nigdy członkiem korporacyi, opartej na karności. Wystawmy sobie np. żołnierza, któryby, zamiast słuchać i walczyć, rezonował *à la* »Czerwony śmiech« Andrejewa. Zanimby zdążył się wylamentować, dostałby takie lanie od przeciwnika, żeby mu się odechciało śmiechu czerwonego, zielonego, niebieskiego.

Hierarchia katolicka jest armią, zbudowaną doskonale, zwarcie, spojoną tradycyą lat blizko dwu tysięcy, prowadzoną, komenderowaną geniuszem starej Romy. Na swawolę indywidualistyczną niema miejsca w tej armii. Karność jest jej hasłem.

I to jej siła, jej potęga, która jej broni przeciw atakom wrogów.

Cóżby się było stało z katolicyzmem niemieckim podczas bismarkowskiego *Kulturkampfu,* gdyby kler nie był karny, jak wielka armia, dowodzona przez wielkiego wodza? Całą Kalwaryę prześladowań i cały poemat ładnych obietnic rzucił żelazny kanclerz na kler katolicki ziem niemieckich — i rzucił daremnie. Nie kler się ukorzył, lecz Bismarck poszedł do Canossy.

Nawet taki krwawy potwór, jak francuska rewolucya, nie dał rady klerowi. Zrazu, w pierwszej chwili, porwał także i jego entuzyazm wolnościowy, gdy jednak zmiarkował, dokąd dąży ruch wywrotowy, stanął w miejscu, oparł się — wolał ginąć pod nożem gilotyny lub w nurtach rzek *(les noyades de Nantes),* aniżeli łamać przysięgę, złożoną Rzymowi.

Dziś zwłaszcza, kiedy dokoła Kościoła katolickiego huczy burza nienawiści, kiedy opokę Piotrową szturmują wszystkie smoki ateizmu, materyalizmu, karność kleru jest puklerzem Kościoła. Zrozumiał to bardzo dobrze Pius X, *ignis ardens.*

Panu Wysłouchowi nie podobała się karność hierarchi katolickiej i nie podobało się mu »wstecznictwo« katolicyzmu, który »nie chce się ukorzyć przed nowożytną kulturą«.

Gdyby p. Wysłouch, zamiast się entuzyazmować, chciał myśleć spokojnie, rozważnie, wiedziałby, że katolicyzm, wcielenie tęsknot duszy, wyraz idealnych potrzeb człowieka, nie może się »korzyć« przed kulturą XIX stulecia, wyrosłą z kultu rozumu i z materyalizmu drugiej połowy XVIII-go. Kto wskazuje ręką niebo, ten nie ma prawa zachęcać do rycia się ciągle w ziemi. Przecież to logiczne.

I gdyby p. Wysłouch chciał, czy umiał myśleć spokojnie, wie-

działby, że żadna instytucya zwarta nie może się zgodzić na swawolę swoich urzędników. Ładnie wyglądałby Kościół, gdyby się tak każdemu mnichowi zachciało bawić w reformatora.

Przeto bardzo dobrze, że p. Wysłouch, »nie chcąc pracować wbrew swoim najgłębszym przekonaniom, albo nie chcąc być pozbawionym możności jakiejkolwiek pracy i skazanym na zupełną bezczynność i nie chcąc iść razem z dzisiejszą hierarchią duchowną, co w olbrzymiej swej większości wojskiem reakcyi się stała« — jak oświadcza — zdjął habit, przestał być zakonnikiem, kapłanem.

Było to zresztą do przewidzenia. Takie natury przebujne, fantastyczne i namiętne, jak p. Wysłoucha, nie umieją się naginać, a nie mogą przecież żądać, żeby się do nich cała hierarchia nagięła.

Zdjąwszy z siebie habit, pozbędzie się »krępujących jego ruchy pęt« i przestanie być szkodliwym w Kościele. Bo inną wagę ma słowo, wygłoszone w habicie, a inną, powiedziane w tużurku; innemi oczami patrzą różne entuzyastki, różne zachwyty bezkrytyczne na zakonnika, zwłaszcza, gdy ma wygląd Savonaroli, a innemi na takiego sobie zwykłego doktrynera bez nimbu kapłaństwa.

Czy dezerter uzyska pożądany spokój?

Widziałem, znałem w życiu kilku dezerterów z Kościoła i żaden z nich nie zdobył sobie dezercyą tego, o czem marzył. Święcenia kapłańskie wloką się za człowiekiem ciężkim łańcuchem, który brzęczy, jak głos sumienia: zdradziłeś ołtarz, dom Boży!

Straszliwy to brzęk...

Pan Wysłouch uważał za potrzebne wytłumaczyć swoją dezercyę z Kościoła za pośrednictwem broszurki p. t. »Dlaczego?«

Na co, w jakim celu? Każdemu wolno robić ze sobą, co mu się podoba. Jest to rzeczą jego sumienia. Pan Wysłouch nie jest osobistością tak wybitną, aby jego ewolucya psychologiczna mogła zajmować całe społeczeństwo. Był »interesującym« dopóty, dopóki chodził w habicie; z chwilą gdy go zdjął, stał się zwykłym doktrynerem, jakich rewolucya stworzyła tysiące.

Pan Wysłouch oświadcza w swojej broszurce, że szukał i czeka »prawdy«. Bardzo dobrze. Nie on pierwszy i nie ostatni. Niech sobie więc szuka owej prawdy dalej. Jeżeli ją znajdzie, będziemy bardzo radzi dowiedzieć się, jak wygląda ona prawda ludzka. Tylko niech nam nie rzuca przed oczy swoich porwanych, mętnych frazesów; niech się nauczy myśleć i mówić jasno, przeźroczyście. Modernistyczna, fan-

tastyczna, mgławicowa gadanina nie uczy nic. Na co tyle słów, tyle wykrzykników i znaków pisarskich? Całą broszurkę »Dlaczego?« można streścić w ramach kilku wierszy: zostałem mnichem, bo mi się zdawało, że w murach klasztornych znajdę prawdę i spokój; omyliłem się, więc rzucam habit, łamię przysięgę i ruszam w dalszą wędrówkę za »prawdą« na drogach innych...

I koniec.

Zdaje się p. Wysłouchowi, że spadnie teraz na niego cała Kalwarya prześladowań — lamentuje ogromnie.

Lamentuje niepotrzebnie. Tyle dziwów słyszeliśmy i widzieliśmy w ostatnich tych latach, iż przejdziemy i po tem dziwactwie lekką stopą.

Pieski szczekają... karawana idzie swoją drogą.

Teodor Jeske-Choiński.

Druk ukończono 12 listopada 1908 r.

NA BOŻE NARODZENIE.

NAD BIELĄ NOCY MROŹNEJ...

Nad bielą nocy mroźnej stanęła śmierci głusza.
Błękitny zimny cień i mroźna mglistość chłonie
Kształt każdy w nicość dziwną i w bezruch niemy zmusza.
Krzewy pochyla śnieg i w śmierci śnią osłonie.
Gonna brzoza wybiegła i stoi skamieniała
Mglistym majacząc snem. Idź kędy chcesz, a biała
Pustosz przed tobą trwa. — Wołaj! — Nawet nie zadrżała
Drzew okiść. Wchłonie krzyk cisza i stoi jak stała.
Serce twe zamróz chwyta. Twe serce w lód tężeje,
Życie twe kropla, nic! spite bezmiarem martwoty.
Życia na ziemi niema, gwiazd płomieniami chwieje.
Gwiazdy jedyne są w śmierci tej żywe istoty.
Lecz ziemi nikt nie zbudzi. Ziemia to lodu bryła,
Życie jej spchnięte wgłąb, w lodowe wzięte kleszcze.
I serc nam nikt nie zbudzi. Śmierci je więzi siła,
Jak życie ziemi tej, lecz głębiej! głębiej jeszcze.
Śmierci nikt nie przemoże... nikt! — Maluchna Dziecina
Wskroś śmierci idzie pól.
Nikt życia nie obudzi! Pod lodem co ją ścina
Dusza zadrżała ról.
Pustynia niewzruszona, bezmiar, śmierć! a nad niemi
Moc dziecięcego tchu...

Na jego głos, odeszłe, do zimnej wraca ziemi,
Słońce, posłuszne Mu.
Słabiuchno Mu serduszko w dziecinnej piersi bije,
A żar stu słońc w niem niesie,
Zdolny w ognistą łzę
Przetopić ziemię tę.
Rączęta wzniósł... błogosławi, maluchne Pachole!
Życia się budzi krew!
Rączęta wzniósł... błogosławi. A na śmierci pole
Wszechżycia pada siew.
Słabiuchno Mu serduszko w dziecinnej piersi bije,
Stuleci serce rwie się,
Bo niesie żywy Chleb
Wszechmiłość pełną nieb!

A ten jest sąd, że światłość przyszła na świat. *Jan 3, 19.*

Dziecię przez łzy patrzące. Dziecię: uśmiech w łzach,
Uśmiech, co się w łzach jasnych rozszczepia i łamie,
Jak słońce w kroplach rosy na różanych krzach.
Dziecię, któremu serce człowiecze nie skłamie.
Dziecię, różany kwiat,
Przychodzi sądzić świat.
O stańcie przy nim zbrodnią rozpalone twarze,
O stańcie sercem swojem zatyłem okrutni,
Stańcie wy, w swej wieczystej zagorzali kłótni,
Sądzić się z wami będzie, swój sąd wam okaże,
Dziecię, różany kwiat,
Co przyszedł sądzić świat.
Czy obojętność wziąwszy: zbroję twardą, złą
Strwamy przy Nim, tak w naszym grzechu zagubieni,
Że nie ujrzym, iż wkoło aniołowie drżą,
Patrząc, jak przeczysto przy nas się promieni
Dziecię różany kwiat,
Co przyszedł sądzić świat.

Czy zaś, już pęknie na nas ta zbroja zdradziecka,
I wolni, grzechu zbywszy, padniem na kolana
Łkając ku uśmiechowi zgubionemu Dziecka,
Którym się wam uśmiecha światłość zapomniana,
Dziecię, różany kwiat,
Bóg nasz, co sądzi świat.

WITAJ NAM...

Witaj nam, witaj miły gospodynie,
O jasny królewiczu od dawna czekany!
Dziedzicu wiecznych włości, przez Ojca posłany
Szukać tego, co w nędzy z twoich włościan ginie.
Niebiosów milczących uchyliwszy bramy
Stoisz, Dziecino słodka, i patrzysz ku ziemi.
Za tobą świeci jasność skrzydły anielskiemi
Zlękniona nędzą, z którą na Ciebie czekamy.
Utęsknienie serc naszych witaj: dobry Panie!
Tęskno do swego Pana! Panem nam złość była,
I przemoc i bezlitość. Bratobójcza siła
Nad bratem z sił opadłym: ziemskie panowanie.
W polskiej szopie zrodzony, witaj Gospodynie!
Naród ubogi, tęskny ciśnie się dokoła,
Co nie ma swego Pana, w różanej dziecinie
Poznał Go i ukochał, sercem tęsknem woła.
O Dziedzicu Ojcowskich nieprzejrzanych włości,
Wróć nas ojczyźnie onej, gdzie się kocha Pana,
A Panem tym jest Ojciec, Bóg pięknej miłości
Moc, Swiętość kochająca, bez granic kochana.
O Pani! Jasna Panno! o Matko-Królowa!
Weź berło serc tułaczych szukających Pana
Niech je dzierży na wieki miłościwe Słowo.
Weź królewskości jabłko, miły Gospodynie!
Niechaj już nasza biedna skołatana ziemia
Odpocznie w tej maluchnej, wszechmocnej rączynie.

Krystyna Saryusz Zaleska.

KWESTYA SYONIZMU.

Kwestya żydowska jest u nas jednem z najmniej zgłębionych a najważniejszych zagadnień narodowych. Skłonni jak zwykle do pozornego upraszczania najbardziej zawiłych problemów, wahamy się pomiędzy antysemityzmem a asymilacyą, zapominając, że są to tylko pięknie brzmiące hasła, nie posiadające żadnej ściśle określonej treści. Mogą się niemi zabawiać społeczeństwa, w których Żydzi stanowią drobną garstkę, u nas jednak, gdzie wskutek rozwoju historycznego Żydzi reprezentują dziesiątą część ludności, nie można poprzestać na frazesach, lecz należy wejść głębiej w istotę rzeczy i ściśle określić zasady, których w kwestyi żydowskiej należy się nam trzymać.

Sprawa to tem bardziej piekąca, że ze wszech stron mamy do walczenia o nasz narodowy stan posiadania. W północno-zachodnich częściach Rzeczypospolitej staczamy śmiertelną walkę z falą germanizmu, pod zaborem rosyjskim musimy wszelkiemi siłami bronić żywiołu polskiego na całym obszarze Litwy i ziem ruskich a w Królestwie Polskiem ubijać się z biurokracyą rosyjską, w Galicyi wreszcie Rusini chcieliby nas wyprzeć z siedzib, zajętych przed wiekami we wschodniej części kraju. Wobec tylu i to nieraz przemożnych wrogów, należy skupić i wytężyć wszystkie narodowe siły, należy przedewszystkiem wiedzieć, na kogo i na co może się liczyć, nie można więc zamykać oczu na stosunki, które w znacznej mierze mogą zadecydować o rezultacie naszych usiłowań.

Tymczasem w jakiż sposób zachowywaliśmy się i zachowujemy się wobec kwestyi żydowskiej, która już ze względu na ilość osób, wchodzących przy niej w grę, musi mieć pierwszorzędny wpływ na ocenę naszych sił obronnych?

Najpierw panowało u nas niemal powszechnie hasło asymilacyjne. Biorąc chęć za rezultat, wyobrażano sobie, że wielkie masy żydowskie są już spolonizowane, albo przynajmniej niebawem się unarodowią. Zaślepienie było tak znaczne, że nie zwracano uwagi na wszystkie fakty, dowodzącego czegoś wręcz przeciwnego. Co najwyżej wywoływały one uczucie niechęci lub oburzenia, nie podkopywały jednak bynajmniej owego optymizmu, panującego niemal powszechnie. Wprawdzie niepodobna było zaprzeczyć, że w Poznańskiem Żydzi szli w pierwszych szeregach hakatystów, u nas przyznawali się do narodowości niemieckiej, a w krajach zabranych, mimo wszelkich krwawych prześladowań, akcentowali jak najgłośniej swój rosyjski charakter, lecz wszystko to nie prowadziło bynajmniej do porzucenia myśli asymilacyjnej. Po prostu uważano te wszystkie jednostki i warstwy za nieetyczne, postępujące nędznie, za renegatów, którymi powinno się gardzić, lecz trzymano się nadal swej idei. A jednak rzecz ta wskazywała na coś innego, domagała się mniej wybuchów gniewu i oburzenia, a więcej refleksyi. Bo jeżeli wszyscy ci Żydzi, którzy łączyli się przeciw nam z silniejszym — z Rosyą, Prusami, Niemcami, a niekiedy nawet z Rusinami — nie mieli żadnych uczuć polskich, jeżeli stanowili na naszej ziemi obcy żywioł, dla którego losy Polski były obojętne, byleby tylko on sam jak najmniej poniósł szkody, w takim razie należało ich postępowanie oceniać z punktu widzenia etycznego znacznie łagodniej, lecz za to uważać je za tem niebezpieczniejsze pod względem narodowym. Wszak nie mamy pretensyi do mieszkających u nas Niemców, Czechów, Francuzów i t. p., ażeby walczyli z nami w jednym szeregu, nie moglibyśmy więc żądać tego i od Żydów, gdybyśmy ich nie zaliczali do społeczeństwa polskiego. W tym razie nie byłoby po ich stronie zbyt wielkiej winy, gdyby poszli z naszym wrogiem, sądząc, że to dla nich jest korzystniejsze, lecz oczywiście w takim wypadku musielibyśmy zaliczyć ich do nie-

przyjaciół, z którymi należy walczyć, albo co najmniej do obojętnych, na których nie można rachować. Mydlana bańka asymilacyi prysnęłaby w jednej chwili, dlatego też nie chcąc się z nią rozstawać, woleliśmy, może instynktownie tylko, przerzucić winę na brak uczuć etycznych u tej części Żydów i potępiać ich jako zdrajców narodu.

Te uczucia przyczyniły się niewątpliwie w znacznym stopniu do rozwoju u nas antysemityzmu. Kiedy Żyd, który ma być Polakiem, łączy się z wrogiem, należy go zgnębić, zwalczyć i usunąć. Oburzenie na renegatów prowadziło w szeregi antysemitów pewną część tych żywiołów, które przedtem stały w obozie asymilującym, dla nich bowiem antysemityzm był karą za zbrodnię, popełnioną przez Żydów na naszym narodzie. Druga część natomiast trzymała się dalej swojej myśli, modyfikując ją tylko o tyle, że przyznawała, iż asymilacyę dotąd jeszcze się nie przeprowadziło w dostatecznych rozmiarach, że więc należy podwoić usiłowania, ażeby unarodowić wielkie masy żydowskie.

Drugą receptę na rozwiązanie kwestyi żydowskiej podaje antysemityzm. Powstał on niemal wyłącznie z powodów społeczno-narodowych, a dąży na razie do odebrania Żydom tego uprzywilejowanego stanowiska, które, jego zdaniem, obecnie zajmują, w dalszej zaś linii do uwolnienia kraju od zbyt licznych mieszkańców rasy semickiej. Należy przyznać, że sami Żydzi przyczynili się w wysokim stopniu do obudzenia i rozszerzenia u nas zasad antysemickich. Ogół ich dzieli się na dwie grupy, zewnętrznie bardzo różne, na nieliczną stosunkowo intelligencyę, której większość przyjęła polski język i obyczaje, i na wielkie masy, używające żargonu i odróżniające się od naszego społeczeństwa całym swym trybem życia, wszystkimi prawie poglądami i zwyczajami. Te szerokie sfery żydowstwa potrafiły w ciągu wieków zmonopolizować w swych rękach prawie cały handel i obrót pieniężny, a nie mając niejednokrotnie zrozumienia dla etycznych granic, do których dojść można w pogoni za zyskiem, nie cofały się przed żadnym krokiem, skoro tylko spodziewały się po nim korzyści materyalnej. Opanowawszy handel drobny, sprzedaż napojów alkoholicznych i obrót pieniężny, Żydzi ci weszli w stałe,

codzienne stosunki z szerokiemi warstwami ludowemi i wyzyskiwali je bardzo często w sposób bezwzględny, bogacąc się sami, doprowadzaniem do ruiny bardzo licznych jednostek. Takie postępowanie musiało nagromadzić przeciw nim bardzo wiele niechęci, żalu, oburzenia i nienawiści, a ponieważ strojem, językiem, wyznaniem i obyczajami wewnętrznie i zewnętrznie odróżniali się nader wyraźnie od reszty społeczeństwa, więc nic dziwnego, iż drogą prostej refleksyi doszło się do hasła: należy się pozbyć tych obcych szkodników.

Jeżeli w sferach ludowych antysemityzm obudził się na gruncie walki gospodarczej, to intelligencya żydowska poparła jego rozwój znowu w inny sposób, należy bowiem przyznać, że Żydzi, należący do jej koła, byli czynnikiem agresywnym, zaczepnym, który dążył do zdobycia dla siebie coraz nowych uprawnień. W pewnej mierze było to zupełnie naturalne. Niezbyt dawno wprowadzone równouprawnienie wszystkich warstw i wyznań, które uchyliło dawniejsze ograniczenia, ciążące na Żydach, wytworzyło raczej tylko podstawy dla ukształtowania stosunków społecznych, nie sprowadzając na razie żadnego radykalnego przewrotu. Innemi słowy, Żydów zrównano prawnie ze wszystkimi innymi, lecz z tego nie wynikało bynajmniej, ażeby Żydzi musieli rzeczywiście zająć wszędzie taką ilość miejsc i stanowisk, jakaby na nich wypadała z tytułu stosunku ludnościowego. Chcąc w taki sposób wyzyskać nowe przepisy ustawodawcze, spotykali się z oporem bądź to innych kompetentów, bądź całego społeczeństwa, rzecz zupełnie zrozumiała wobec tego, że równouprawnienie było nowością, która w społeczeństwie musiała się dopiero przyjąć, jeżeli miała wydać daleko idące, praktyczne rezultaty.

Intelligencya żydowska rozpoczęła walkę o istotne przeprowadzenie równouprawnienia, a raczej o jego pojmowanie w sposób dla niej najkorzystniejszy. Zamiast zadowolić się stwierdzeniem zasady, że nikomu nie można już stawiać żadnych przeszkód z tytułu jego wyznania lub rasy i dążyć stopniowo do wyzyskania tych przepisów, stanęła na stanowisku, że skoro Żydzi są równouprawnieni, należy im się w każdej dziedzinie społecznej ilość miejsc i wpływów, odpowiadająca procentowemu stosunkowi lud

ności żydowskiej. Po prostu powiedziano ludności chrześcijańskiej: oddajcie nam tyle a tyle posad i stanowisk, bo one nam się należą. Przytem intelligencya żydowska zajęła pozycyę wyłącznie zaczepną, bo przemilczała zupełnie fakt, że w wielu dziedzinach Żydzi posiadali już bez porównania więcej, niżby się im należało, przyjmując nawet bez zastrzeżeń ich własny punkt widzenia. Tam, gdzie wpływ i udział żydowski był już stosunkowo znaczniejszy, nie ustępowano nic na rzecz chrześcijan, tam gdzie Żydzi posiadali za mało, miało się im oddać udział im należny. Innemi słowy stanowisko intelligencyi żydowskiej da się określić hasłem: my nic nie oddamy, lecz wy musicie nam ustąpić znaczną część swego stanu posiadania.

Jasną jest rzeczą, że przyjęcie podobnych żądań było niemożliwe, bo doprowadziłoby nie do równouprawnienia, lecz do uprzywilejowania. To też przyszło do walki, która w gruncie rzeczy posiadała już wszystkie znamiona walki dwóch narodów, jakkolwiek pozornie przedstawiała się jako spór różnych warstw w obrębie jednego społeczeństwa. Niema już odtąd istotnej różnicy między walką np. Czechów i Niemców, gdzie każda strona domaga się bezwzględnego liczenia się ze stosunkiem ludnościowym we wszystkich dziedzinach, w których położenie jej jest mniej korzystne, a walką, podjętą przez intelligencyę żydowską u nas, gdzie również chrześcijańskiej ludności polskiej przeciwstawia się liczebną siłę żydowską i woła się ustąpcie się, abyśmy mogli wejść w wasze miejsce. Natomiast istnieje wielka różnica pod względem środków i sposobów, których się w tym sporze używa, różnica nader korzystna dla rozwoju idei antysemickiej.

Walka ta, prowadzona niejednokrotnie z iście wschodnią namiętnością, posiadająca wszystkie znamiona akcyi zdobywczej, wytwarza nieprzychylny nastrój dla Żydów w sferach, które dotąd najliczniej jeszcze hołdowały idei asymilacyjnej, t. j. w średnich warstwach naszego społeczeństwa. Gdy do tego dodamy bardzo liczne wypadki wyzysku szerokich warstw ludowych, zrozumiemy, że intelligencya żydowska z pewnością mimowolnie, lecz nie mniej skutecznie, usunęła największe przeszkody, na które napotykał jeszcze u nas antysemityzm.

Wskutek tego wszystkiego przeszliśmy w drugą fazę naszego stosunku do kwestyi żydowskiej, w epokę, w której równocześnie występuje idea asymilacyjna i antysemicka. Doniosłość ich jednak jest nader nierówna. Kierunek asymilacyjny traci coraz bardziej swój wpływ, a jeszcze więcej swych zwolenników, podczas gdy antysemityzm wzrasta i wzmaga się stale, niestety głównie dlatego, że jest raczej hasłem i frazesem niż pozytywnym programem. Większość społeczeństwa polskiego traci wiarę w skuteczność wysiłków, zdążających do unarodowienia mas żydowskich. Nie zaprzeczając bynajmniej, że w gronie starozakonnej intelligencyi znajdują się i zawsze znajdą się jednostki, rzeczywiście polskie i patryotyczne, społeczeństwo uważa je jednak, w stosunku do ogółu Żydów, za nieliczne tylko wyjątki, podczas gdy reszta pozostała nam obcą, jeżeli nie wrogą. To też ci nawet, którzy i nadal oświadczają się za asymilacyą, uważają ją raczej za odległy program polityczny lub ideał dalekiej przyszłości, aniżeli za fakt rzeczywisty albo postulat, dający się urzeczywistnić obecnie. Natomiast antysemityzm, powołując się na wszystkie wady i wykroczenia Żydów, na szkody, które nam przynoszą, na niebezpieczeństwo, które tworzy dla naszego narodu, tak wielka ilość obcego żywiołu, mieszkająca pomiędzy nami — antysemityzm, wskazujący na wyparcie Żydów, jako na jedyny środek sanacyi, musiał wobec zaniku kierunku asymilacyjnego zdobywać coraz większe znaczenie. Być może, że nie byłby on tak popularny, gdyby był wystąpił z pozytywnym programem działania. Byłby w takim razie z pewnością dla Żydów niebezpieczniejszy, lecz zgrupowałby prawdopodobnie mniejszą liczbę zwolenników, nie byłoby bowiem zgody co do środków działania. Ograniczając się natomiast do proklamowania walki z Zydami, bez bliższego jej określenia, jednoczył wszystkich, którzy w żywiole żydowskim jakiekolwiek widzieli niebezpieczeństwo, bo pozostawiał każdemu swobodę zapatrywań co do kwestyi, w jaki sposób temu niebezpieczeństwu należy przeciwdziałać.

Taki antysemityzm nie mógł przynieść żadnych dodatnich rezultatów, bo nie umiał skupić sił chrzecijańskich w żadnej dziedzinie. Żydzi jednak widząc w nim groźbę dla siebie, a może

i chcąc namacalnie dowieść społeczeństwu, że z nimi musi się liczyć, rzucili się w ogromnej swej większości w objęcia socyalizmu, który u nas reprezentuje kierunek stojący poza obrębem narodowych stronnictw. Socyalizm w znacznej mierze stworzony i niemal wszędzie kierowany przez Żydów, pociągał ich już swym skrajnym programem, bezwzględną krytyką i negacyą całego panującego ustroju. Antysemityzm dostarczył im i zewnętrznego uzasadnienia dla wstąpienia w szeregi socyalistyczne, jako jedyne, które Żydom przyznają takie same prawa, jak wszystkim innym. Naturalnie, że ten krok żydowski posłużył tylko do spotęgowania ataków antysemickich, bo połączenie się z socyalizmem stwierdziło brak narodowych uczuć w szerokich sferach żydowskich. W ten sposób weszliśmy w błędne koło bez wyjścia. Żydzi mówili, że wstąpienie ich w szeregi socyalizmu jest jedynie odpowiedzią i obroną wobec rozrostu ruchu antysemickiego, a antysemici, wskazując na popieranie przez Zydów międzynarodowego kierunku, zwalczającego wszelkimi środkami narodowe stronnictwa, tembardziej domagali się zszeregowania się wszystkich przeciw tak szkodliwemu żywiołowi żydowskiemu.

Takie stosunki nie mogły jednak trwać długo, bo jedynym ich powodem była pewna nieszczerość po jednej i po drugiej stronie. Żydzi, domagali się ustępstw dla siebie, twierdząc, że są integralną, równouprawnioną częścią narodu, a jednak wobec pierwszej trudności czy odmowy, przeszli natychmiast do nienarodowego obozu. Podobnie i ci, którzy najgłośniej oświadczali się za asymilacyą, widząc jak drobne dotąd i niepewne dała rezultaty, nie mogli dopuścić do bezwzględnego stosowania zasady, że każdy posterunek społeczny ma być rzeczywiście dostępny Żydowi. Nie pozwalała na to sama ostrożność i wzgląd na bezpieczeństwo narodowe, to też jak u Żydów, mimo że przyznawali się do narodowości polskiej, występuje łączenie się z prądami nienarodowymi, tak znowu u zwolenników unaradawiania przejawia się w praktyce niewiara w rezultaty propagowanej myśli. Antysemityzm wreszcie nie wychodzi ze sfery haseł, nie daje nic konkretnego ani pozytywnego.

Obok tych stałych niejako, od dawna istniejących faktów i zapatrywań w dziedzinie kwestyi żydowskiej, zaczynają się u nas, w ostatnich kilkunastu latach, pojawiać nowe czynniki, które zdaje się przyczynią się skuteczniej do jej rozwiązania. Występują one zarówno po stronie chrześcijańskiej, jak i żydowskiej, po naszej w kształcie budzącego się współzawodnictwa w dziedzinach, które dotąd były zmonopolizowane w rękach żydowskich, po przeciwnej w formie wyraźnego i otwartego przyznania, że Żydzi są samoistnym, obcym narodem, nie mającym ze społeczeństwem polskiem żadnego specyalnego narodowego łącznika.

Już spis ludności z r. 1900 stwierdził, że wzrost ludności żydowskiej w naszym kraju był znacznie słabszy od wzrostu katolików. Wszystkie dawniejsze spisy dawały rezultaty wręcz przeciwne, dopiero u samego schyłku ubiegłego wieku żywioł żydowski zaczął się stosunkowo cofać. Nie było to wynikiem mniejszego naturalnego przyrostu, bo ogólnie rzecz biorąc Żydzi mnożą się bardzo szybko, nadwyżka ich przeto, której spis już nie znalazł, opuściła kraj; w sferach żydowskich stwierdzono bardzo silną emigracyę tak zagranicę państwa, jak i do innych krajów, wchodzących w skład monarchii. Równocześnie można było dostrzedz jeszcze dwa inne objawy, akcentujące tem wyraźniej zwrot w dotychczasowem ukształtowaniu stosunków ludnościowych. Najpierw stosunkowy ubytek ludności żydowskiej był o wiele znaczniejszy w Galicyi zachodniej, niż we wschodniej, a powtóre w całym kraju wystąpiła wybitna tendencya ku koncentracyi Żydów, której oczywiście towarzyszył ten znaczniejszy ubytek Żydów rozprószonych, szczególniej po wsiach. Wogóle w 42 powiatach sądowych, obejmujących mniej więcej czwartą część całej Galicyi, ludność żydowska była mniejszą nawet absolutnie niż przed dziesięciu laty, a cały wzrost skupił się w nielicznych stosunkowo znaczniejszych miastach, okręgach przemysłowych i niektórych powiatach wschodnich.

Statystyczne stwierdzenie tego faktu dowodzi niewątpliwie, że nasza ludność wiejska, zaczyna się emancypować z pod monopolu żydowskiego. Żydzi pod naciskiem pewnych momentów hi-

storycznych, rozwinęli swe gospodarstwo jednostronnie, wykształcili w swem kole tylko niektóre zawody, przedewszystkiem handel i pośrednictwo wszelkiego rodzaju. Jasną jest rzeczą, że te zajęcia mogą zatrudnić i utrzymać ograniczoną tylko ilość osób, która będzie tem mniejsza, im w bardziej ograniczonym stopniu będzie się korzystać z tych usług. W stosunku do ogólnej liczby swych współwyznawców w naszym kraju, ilość Żydów, oddająca się handlowi i pośrednictwu, jest stanowczo za duża, tak że jedynie opanowanie całej lub prawie całej klienteli chrześcijańskiej mogło zapewnić tym gospodarstwom dostateczne pole działania i odpowiednie dochody. Gdy więc postęp kulturalny i ekonomiczny kraju zmniejszył zapotrzebowanie w pewnych kierunkach niezdrowych, a równocześnie ludność chrześcijańska zaczęła tworzyć własny stan handlowy i zakładać różne związki i spółki, gdy wreszcie ułatwienia komunikacyjne, przenosząc wymianę do znaczniejszych miast, uchyliły w znacznej mierze konieczność posługiwania się lokalnymi pośrednikami — musiało się okazać, że Żydów, w stosunku do ich funkcyi gospodarczej, jest za wiele. Pewna ich część straciwszy utrzymanie i pole do działania musiała kraj opuścić, weszliśmy w okres, który Wielkopolska przeszła już przed kilkudziesięciu laty, w epokę stosunkowego zmiejszania się zaludnienia żydowskiego.

Stosunki te oddziałały bardzo niekorzystnie na ekonomiczne położenie szerokich mas żydowskich, zmieniając znaczną ich część w proletaryat, żyjący w niedostatku. Ludność żydowska, dotąd w znacznej mierze rozrzucona po wsiach, obecnie albo emigruje, albo ściąga się do miast, szukając tam zarobku. Lecz i w miastach wzmaga się konkurencya chrześcijańska w dziedzinie handlu i przemysłu, a w miarę tego, jak mnożą się w tej dziedzinie nasze zakłady, zmniejsza się odbyt sklepów i pracowni żydowskich. Redukcya ta idzie nawet przyspieszonym krokiem, bo z natury rzeczy szerzy się coraz więcej tendencya, ażeby zarobku dostarczać przedewszystkiem gospodarstwom chrześcijańskim. Jest to zjawisko zupełnie naturalne, nie mające nic wspólnego z głośno propagowanym antysemityzmem, a jednak stanowi ono odruch społeczny dla Żydów najniebezpieczniejszy, jakkolwiek najzupełniej godziwy

i wskazany, tworzy antysemityzm realny. Dawniej, pomijając szczupłe wyjątki, można było kupować tylko u Żydów, bo cały handel był w ich ręku. Agitacya, zmierzająca do odebrania im klienteli była wyraźnie im wroga, lecz bezowocna, budziła namiętności, nie dając żadnych pozytywnych rezultatów. Żydzi mieli wszelkie prawo uskarżać się głośno, że zwalcza się ich podstawy bytu bez celu i powodu, bo przecież niema chrześcijańskiego handlu i obrotu, pocichu zaś mogli cały ten ruch lekceważyć, gdyż pośrednictwo jest niezbędną funkcyą ekonomiczną, bez której żadne społeczeństwo nie może się obejść. Inaczej jednak przedstawia się rzecz cała, gdy sfery chrześcijańskie w wyższym stopniu zaczęły się zwracać ku zajęciom handlowym. Odtąd nawet Żydzi nie mogli podnosić żadnego uzasadnionego zarzutu przeciwko stosowaniu zasady, wszędzie i zawsze uznawanej: swój przedewszystkiem do swego. Popieranie sklepów chrześcijańskich nie było już wypływem niechęci do Żydów, lecz wynikiem naturalnego dążenia do zapewnienia pierwszeństwa bliższym. Tak jak nikt nie może żądać, ażeby Francuz kupował u Niemca, gdy ma produkt czy sklep francuski, tak i Żydzi musieli uznać, że przy równych warunkach, ogromna większość naszego społeczeństwa powinna poprzeć zakłady chrześcijańskie. Zmniejszenie zbytu żydowskiego było wprawdzie konieczną tego konsekwencyą, lecz niepodobna było już nadal powstawać przeciw temu, należało się pogodzić ze swym losem.

Tak więc i w miastach przyszło do znacznego pogorszenia stosunków dla Żydów. Z jednej strony już samo zwrócenie się innych żywiołów ku zajęciom, stanowiącym dotąd wyłączną niemal dziedzinę Żydów, musiało pomniejszyć ich dochody, z drugiej zaś popieranie nowych firm przez chrześcijan, przyspieszało tylko i potęgowało tą przemianę.

Ta ekonomiczna przemiana, która u nas dopiero się rozpoczęła i wiele jeszcze potrzeba, ażeby doszła do właściwych rozmiarów, sprowadziła jednak skutki bardzo doniosłe nie tylko w dziedzinie gospodarczej, lecz także na polu polityczno-społecznem.

Już od dłuższego czasu kiełkowała w sferach żydowskich

myśl odrodzenia narodowego. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że Żydzi rozporządzają licznymi czynnikami, na których opiera się odrębność narodowa, są rasą silną, odznaczającą się bardzo wyraźnemi cechami tak fizycznemi, jak i moralnemi, posiadają długowiekową własną historyę i literaturę, narodową religię i wysoko rozwinięte poczucie solidarności. Brak im tylko języka i własnych skoncentrowanych siedzib terytoryalnych — i to zdaje się było główną przyczyną, że kierunek narodowy, nazwany syonizmem, tak późno u nich się obudził. A jednak należy przyznać, że Żydzi, jakkolwiek rozrzuceni niemal po całej ziemi, i to od lat tysięcy, nigdzie nie zlali się zupełnie z narodem, pomiędzy którym przemieszkiwali. Nie mogę tu wchodzić w powody tego bądź co bądź charakterystycznego zjawiska, które zresztą dla naszej kwestyi są obojętne, wystarczy najzupełniej, gdy się stwierdzi ten fakt niewątpliwy. Prawda, że liczne jednostki zasymilowały się w różnych krajach, przyjmując inną religię, lub nawet zachowując nadal swe wyznanie, lecz mimo to ogół pozostawał czemś odmiennem, odrębnem, zachował swe poglądy, zwyczaje, tradycye, wyobrażenia, jednem słowem stanowił całość zamkniętą, odróżniającą się wybitnie od wszystkich innych.

Tłumaczono to zwyczajnie rasą i religią. Dopiero syoniści wystąpili z twierdzeniem, że są to przedewszystkiem znamiona narodu. Od tej chwili rozpoczyna się nowa faza w dziejach żydostwa, okres sporów o kwestyę, czy Żydzi mają stanowić osobną narodowość, czy też są jedynie częścią rozmaitych narodów, o różnem tylko wyznaniu.

W początkach syonizm głosił także hasła iluzoryczne, powrotu do Palestyny i do języka hebrajskiego. Z czasem jednak odpadły te marzenia, albo przynajmniej zeszły na drugi plan, a pozostała tylko zasadnicza idea, zupełnej odrębności żydowskiego narodu. Myśl ta, którą zrazu przejęła się intelligencya żydowska niektórych krajów, rozszerzała się nader szybko, tak społecznie, jak i terytoryalnie, tak, że dzisiaj syonizm posiada we wszystkich sferach i krajach licznych zwolenników. To też jak dawniej patrzono na ruch syonistyczny jako na utopię, która nie może mieć żadnej praktycznej doniosłości, tak znowu obecnie przecenia się

niejednokrotnie jego wpływy i znaczenie. Stało się to szczególniej u nas, pod wrażeniem wyniku ostatnich wyborów do parlamentu. Przedtem uważaliśmy syonizm, jako wytwór zagraniczny, przedewszystkiem rosyjski, który nie posiada u nas żadnego gruntu i może liczyć co najwyżej na garstkę marzycieli. Tymczasem przy wyborach powszechnych, syoniści zdobyli niemal wszędzie poważną część głosów żydowskich. Natychmiast przeto przeszliśmy w przeciwny ekstrem, syonizm stał się w oczach wielu poważnem niebezpieczeństwem narodowem.

Jest to jeszcze jeden dowód, jak mało kwestyę żydowską staraliśmy się zgłębić, kiedy jeden, drobny stosunkowo fakt, może tak radykalnie wpłynąć na zmianę poglądów. A przecież rezultat wyborów da się także wyjaśnić w inny sposób, znacznie więcej odpowiadający rzeczywistości. Niewątpliwie syonizm jest silniejszy, niż się przypuszczało dotąd, lecz nie wszystkie głosy, uzyskane przez jego kandydatów, oddali wyznawcy tego kierunku. Nie można zapominać, że najsilniejszym okazał się syonizm na wschodzie, gdzie wre walka z Rusinami. Cóż więc prostszego jak przyjąć, że szerokie sfery żydowskie, dla których wynik jej jest obojętny, nie chcąc stanąć otwarcie po jednej lub drugiej stronie, wolały oświadczyć się za kandydatem trzecim, ani polskim, ani ruskim. Na poparcie tej hypotezy mamy przecież argument, który drogą blizkiej analogii można tu zastosować. Porównanie wyników dwóch ostatnich spisów ludności dowodzi, że liczba Żydów, która podała język niemiecki jako swój język towarzyski, była znacznie mniejsza w r. 1900, niż przed dziesięciu laty. A jednak w powiatach, w których żywioł ruski rozwinął się silniej dostrzegamy rezultaty wręcz przeciwne. Tam Żydzi w większych rozmiarach przyznawali się do języka niemieckiego niż dawniej. Nie jest to oczywiście objaw zgermanizowania, tylko zwykłej obojętności narodowej; nie wiedząc kto zwycięży, nie chcąc się nikomu narazić, wybrali sobie trzecią narodowość.

Podobnie było z pewnością także z licznymi wyborcami syonistycznymi, nie mówiąc już o agitacyi i o naturalnej sympatyi dla kandydata, wprawdzie syonistycznego, ale żydowskiego, wobec przeciwnika narodowego, ale chrześcijanina. Nie można przeto

z tytułu wyborów przeceniać zbytnio doniosłości ruchu syonistycznego, podobnie jak było błędem, lekceważyć go dawniej.

Musimy się liczyć z faktem, że syonizm u nas istnieje i szerzy się, a jakkolwiek nie posiada jeszcze zbyt wielu zwolenników, to jednak jest już dość silny, ażeby liczyć się z nim jako z poważnym objawem społecznym w szeregach żydowskich naszego kraju. Wobec tego mamy obowiązek zastanowić się, jakie ten ruch ma dla nas znaczenie i co nam przynieść może?

Formalnie przedstawia się syonizm dzisiejszy jako czynnik uszczuplający nasze narodowe siły. Zasada, że Żyd jest Polakiem mojżeszowego wyznania nie da się już utrzymać, bo sami Żydzi głoszą, że są narodowością odrębną. Wobec syonizmu moglibyśmy nadal hołdować idei asymilacyjnej tylko z bardzo daleko idącą modyfikacyą, t. zn. twierdzenie o Polakach mojżeszowego wyznania indywidualizować w każdym konkretnym wypadku. Innemi słowy, obecnie możnaby już tylko utrzymywać, że wyznawanie religii żydowskiej nie dowodzi jeszcze, ażeby jej zwolennik nie należał do naszej narodowości, a więc że Żyd może być także Polakiem. Taka teza jednak jest niewątpliwie pogrzebaniem zasady asymilacyjnej, bo nawet najskrajniejsi antysemici nie twierdzili nigdy, ażeby Żyd nie mógł być dobrym Polakiem, tylko zwalczali opinię, przyznającą polskość ogółowi żydowskiemu. Zmiana ta stała się tem konieczniejszą, że szeregi syonistyczne zasila głównie młodzież i intelligencya, a więc właśnie te warstwy, na które przedewszystkiem wskazywano, broniąc zasady asymilacyjnej.

Całe społeczeństwo przeto musi pogodzić się z myślą, że w kołach żydowskich szerzy się ruch, ze stanowiska polskiego antynarodowy. Pozornie przedstawia się on jako objaw niekorzystny, bo zmniejszający ilość naszej ludności, w rzeczywistości jednak może wydać dla nas dodatnie rezultaty, jeżeli doprowadzi do uchylenia istniejących jeszcze w pewnej mierze iluzyi, a zastąpienia ich trzeźwą oceną rzeczywistości.

W istocie rzeczy, jakkolwiek powtarzano bardzo często i głośno twierdzenie, że Żydzi są Polakami, w życiu publicznem postępowano tak, jak gdyby dopiero należało do tego ich skłonić. Stąd też cała korzyść z tendencyi asymilacyjnych przypadała Zy-

dom, podczas gdy chrześcijańska część społeczeństwa ponosiła wszystkie, płynące stąd szkody i niedogodności. Najzagorzalsi nawet wyznawcy idei asymilacyjnej uważali Żydów za odrębną część społeczeństwa, jakby za naród w narodzie, posiadający pewną ilość specyalnych dążeń pierwszorzędnej doniosłości. Pominięcie, a tem bardziej opozycya przeciw tym postulatom, zrażała, jak mówiono, Żydów, to też należało zawsze starać się o uchylenie lub co najmniej złagodzenie pojawiających się sprzeczności, czyli postępować kompromisowo. Wskutek dziwnego, a czasem nawet dobrowolnego zaślepienia, nie widziano, że polityka tego rodzaju poświęca po prostu pewną ilość interesów ogólnych dla pozyskania Żydów. Jeżeli pomiędzy dążeniami Żydów i chrześcijan pojawiał się w sprawach publicznych antagonizm, nie mający nic wspólnego z wyznaniem, w takim razie każda z tych grup posiadała widocznie potrzeby, zapatrywania i dążenia odmienne od drugiej. Kompromis, w którym ustępstwa wychodziły od chrześcijan, przedstawiał w każdym razie pewne niebezpieczeństwa, bo przyjmując go, rezygnowała z pewnej ilości swych żądań ta część ludności, której charakter narodowy był niewątpliwy, i to na rzecz kół, właśnie pod tym względem co najmniej niezbyt pewnych. Postępowanie to przeto musiało nas stale osłabiać, wzmacniając równocześnie stanowisko żydowskie. Cała jego szkodliwość objawiła się dowodnie z chwilą, gdy syonizm, proklamując samoistną narodowość żydowską, otwarcie już wystąpił przeciw wszelkim teoryom spolonizowania.

Teraz zwolennicy asymilacyi zobaczyli, że propagując ustępstwa dla Żydów, zwiększali siły obcego narodu, kosztem swego własnego. Z pewnem przerażeniem przeto patrzą na ten prąd i domagają się jego zgniecenia i wyplenienia wszelkimi możliwymi środkami i za każdą cenę. Miejsce haseł asymilacyjnych zajmuje u nich teraz wezwanie do walki z syonizmem; dawniejszą, usuniętą siłą rzeczywistości iluzyę, zastępują nową ułudą. Stanowisko to płynie niewątpliwie z chęci usprawiedliwienia dotychczasowego ich postępowania. Błąd nie leżał, mówią, po ich stronie, lecz całą winę ponosi tylko syonizm, kierunek szkodliwy, błędny, jeżeli nie wprost zbrodniczy.

Na tej podstawie żąda się często, ażebyśmy podjęli z syonizmem walkę. Rozumiem dobrze, że w kołach żydowskich wielu uważa syonizm za produkt szkodliwy i stara się przeciwdziałać mu wszelkimi środkami. Lecz tam patrzą na ten kierunek z punktu widzenia żydowskiego, a w takim razie syonizm rzeczywiście posiada bardzo niebezpieczne strony. Ktokolwiek sądzi, że odbudowanie narodowości żydowskiej jest wogóle, lub przynajmniej w blizkiej przyszłości niemożliwe, ten musi uważać syonizm za utopię, przynoszącą Żydom poważne szkody. Proklamowanie odrębności narodowej nadaje Żydom od razu charakter żywiołu obcego, posiadającego sobie tylko właściwe dążenia, potrzeby i interesy. Wobec tego żaden naród nie mógłby pozostawić im nadal prawa do współudziału w jego własnem życiu publicznem. Żydów nie wliczanoby już do społeczeństwa, staliby poza niem, musieliby więc powoli zdobywać te uprawnienia, które posiadają dzisiaj jako integralna część danego narodu. I oczywiście ogółu ich nie uzyskaliby prawdopodobnie nigdy, bo wszelkie ustępstwo dla nich stanowiłoby umniejszenie stanu posiadania narodowego, chronionego wszędzie i zawsze bardzo zazdrośnie. Nic więc dziwnego, że dla wielu Żydów syoniści są żywiołem destrukcyjnym, który podkopuje podwaliny, na których opiera się dzisiaj równouprawnienie żydowskie. Właśnie ci Żydzi, którzy swych współwyznawców uważają za samodzielne społeczeństwo, w imię jego dobra muszą zwalczać syonizm jak najostrzej.

Zupełnie jednak odmienne jest nasze położenie. Bądź co bądź syonizm jest ideą szlachetną i lojalnie przyznaje, że mimo tylu wieków Żydzi nie zlali się z narodami chrześcijańskimi. Jakąż więc mamy podstawę i jakie środki, ażeby występować przeciw syonistom, jako takim? Nie możemy się przecież powoływać na interes samych Żydów, bo usłyszymy odpowiedź, że cudzoziemcy — a obcymi jesteśmy dla syonistów — nie mogą odczuć potrzeb drugiego narodu, ani też nie mają prawa do mięszania się w jego wewnętrzne sprawy. Nie możemy również zwracać uwagi na interes polski, bo ten moment jest dla syonistów obojętny, nie możemy wreszcie używać żadnych represyi, bo doprowadziłyby co najwyżej do tego, że syonizm pozornieby zniknął,

utrzymując się nadal w rzeczywistości, t. zn. że omyleni pozorami, przyznalibyśmy wpływ na nasze losy żywiołom, które w istocie rzeczy byłyby nam wrogie.

Stosunek nasz do syonizmu musimy więc określić inaczej Uznając w zasadzie prawo Żydów do uważania się za narodowość odrębną, powinniśmy z tego założenia wysnuć wszystkie dalsze konsekwencye z naszego narodowego punktu widzenia. Przedewszystkiem, nie odbierając bynajmniej żadnemu Żydowi prawa do przyznania się do polskości i stawiając go w tym wypadku na równi ze wszystkimi innymi, musimy ogół żydowski traktować jako żywioł obcy, z którym należy się liczyć tak, jak z każdym innym obcym czynnikiem, znajdującym się w naszym kraju. Wobec rozwoju syonizmu, Żyd, którego ma się uważać za członka naszego społeczeństwa, musi najpierw wyraźnie dowieść, że jest Polakiem i chce nim pozostać; indywidualizowanie musi zastąpić dotychczasową generalizacyę. W stosunku do całej reszty, o której nie mamy wiadomości, o ile narodowo czuje z nami, należy natomiast zastosować zasadę, że pierwszym naszym obowiązkiem jest piecza o nasze własne potrzeby narodowe. Stąd też możemy Żydom przyznać tylko te prawa, które albo są wynikiem ogólnych norm sprawiedliwości, albo wychodząc nawet poza te granice, nie osłabiają w niczem naszych sił narodowych. Po prostu syonizm sprawia, że Żydzi są już nadal obok nas, a nie pomiędzy nami i mogą żądać tylko tego, co bez własnej szkody można sąsiadowi przyznać.

Nie idzie zatem bynajmniej, ażeby Żydów uważać tem samem za wrogów lub nawet ich gnębić. I owszem, wyżej określona polityka może i powinna doprowadzić do wręcz przeciwnych rezultatów, do szczerego i lojalnego rozwiązania kwestyi żydowskiej. Nie wszystkie narody ze sobą walczą, nie wszystkie chcą nawzajem się osłabiać lub cośkolwiek sobie odbierać. W stosunku do Żydów prawdopodobieństwo racyonalnego układu jest tem większe, że nie posiadają oni dwóch tendencyi, które są główną przyczyną wszystkich narodowych sporów, nie widać u nich prozelityzmu narodowego, ani też nie pragną zagarnąć dla siebie na-

szego terytoryum. Występując otwarcie jako odrębna narodowość, zarazem odbierają wszelką podstawę najcięższym zarzutom, o których mówiłem na wstępie, zarzutom obojętności czy nawet zdrady narodowej. Od obcych będziemy wymagać znacznie mniej, ale na odwrót znacznie mniej im też odstąpimy. Kwestya żydowska z problematu narodowego zmieni się w zagadnienie polityczno-ekonomiczne, co naturalnie stępi bardzo znacznie jej ostrość.

Politycznie przeto syonizm, rozwijając się dalej, doprowadzi najczęściej do zastąpienia dzisiejszych kompromisów, mających pozornie charakter partyjny i wewnętrzny, układami pomiędzy dwoma jednostkami samodzielnemi. A nawet gdyby przyszło do walki, będzie to wojna zewnętrzna, podczas gdy dzisiaj mamy domową, jak wiadomo, zawsze bez porównania sroższą i namiętniejszą. Zarazem przez wyeliminowanie z naszych szeregów jednostek niepewnych, tracąc ilościowo, wzmocnimy się jakościowo, zsolidaryzujemy się silniej, będziemy realniej liczyć, pozbędziemy się iluzyi, a przyjrzymy się rzeczywistości. Znikną niedopowiedzenia i wzajemna nieufność, a w ich miejsce wejdzie czy walka czy zgoda, lecz zawsze oparta na realnych podstawach.

Ekonomiczne korzyści byłyby również doniosłe. W naszej strukturze społecznej widać liczne braki i niedomagania głównie dlatego, że jedna wielka dziedzina — przemysłowo-handlowa — znajduje się przeważnie w ręku ludzi, których zapatrywania i dążenia nie zawsze są z naszemi zgodne, a jeszcze częściej są nam nieznane i przez to samo budzą wątpliwości, odbierają ufność w nasze siły, przeszkadzają rozwojowi energii i przedsiębiorczości. Wszak gdy powstała myśl bojkotu towarów pruskich, pierwszym, przeciw niej podniesionym argumentem było twierdzenie, że handel opanowali Żydzi, a ci z nami nie pójdą. Obojętną jest rzeczą, o ile taki zarzut jest uzasadniony, nie ulega jednak wątpliwości, że utrudnia on niewymownie wszelką akcyę, bo jedni tracą wiarę w możność jej przeprowadzenia, a inni — może jeszcze liczniejsi — wyzyskują dobrą wymówkę, ażeby nie popierać ruchu, który im jest niedogodny z tego lub owego powodu.

Wszelkie wysiłki, zmierzające do stworzenia silniejszego

stanu handlowego i przemysłowego, rdzennie polskiego, mają również do zwalczenia tę wielką przeszkodę, iż wielu uważa za rzecz niewłaściwą odbieranie żydom-Polakom głównych źródeł utrzymania. Motyw ten, którego wpływ jest bardzo poważny, odpada zupełnie, skoro syonizm stwarza pomiędzy nami a Żydami narodowy przedział. Odtąd już mamy nie tylko prawo ale i najświętszy obowiązek starania się o zapewnienie w każdej dziedzinie, a więc i przemysłowo handlowej, panowania czynnikom narodowym, bo żadne społeczeństwo nie może do tego dopuścić, ażeby zaspokajanie jego niezbędnych potrzeb zależało wyłącznie od żywiołów obcych, których interes może właśnie polegać na tem, ażeby te potrzeby pozostały niepokryte. Nie jest to walka przeciw Żydom na tle antysemickiem, lecz samoobrona wobec tego, że stanowią już obce nam społeczeństwo. A powstanie silnego stanu średniego, co bez rozwoju handlu i przemysłu jest wprost niemożliwe, jest niewątpliwie jednym z najważniejszych postulatów naszej polityki narodowej.

Ostatecznie więc syonizm, stawiając kwestyę żydowską lojalnie i na realnym gruncie, może okazać się dla nas tylko korzystnym, zwracając się równocześnie przeciwko obu opartym na iluzyach kierunkom, zarówno przeciwko antysemityzmowi jak i asymilacyi. Zmuszając nas do wytworzenia rodzimych sił we wszystkich dziedzinach, dotąd zaniedbanych, wzmocni nas wewnętrznie; uchylając dotychczasową chwiejność ze względu na stanowisko Żydów, umożliwi ułożenie i przeprowadzenie jednolitego programu działania; nadając wreszcie kwestyi żydowskiej charakter narodowy, skupi całe społeczeństwo, wahające się dotąd między unarodowieniem a walką rasową, około pracy nad podniesieniem sił własnych; wreszcie odbierze problematowi żydowskiemu cechy tak nieuzasadnionego sentymentalizmu jak i niezgodnej z naszą kulturą walki, opartej na nizkich namiętnościach. Gdy Żydzi raz wypierają się polskości, przestają dla nas, z narodowego punktu widzenia, być czynnikiem mniej pewnym i mniej wartościowym, a stają się po prostu cudzoziemcami. To też i cały spór o istotne równouprawnienie upraszcza się bardzo znacznie.

My i oni tylko dla siebie i pomiędzy sobą; obie strony liczą się jedynie ze swemi potrzebami i swoją narodowością, nie mogą domagać się już od drugiej niczego, coby było jej tylko własnością, nie mogą żądać żadnych ustępstw ani poświęceń drugostronnego interesu społecznego i narodowego.

To też syonizm nie tylko nie przedstawia dla nas niebezpieczeństwa, lecz jest prądem, który może nam przynieść wielkie korzyści, jeżeli tylko potrafimy odpowiednie w stosunku do niego zająć stanowisko.

Dr. Włodzimierz Czerkawski.

ANATOL FRANCE W SPRAWIE JOANNY D'ARC.

(Dokończenie).

Gorzej jeszcze niż bohaterstwo Dziewicy Orleańskiej przedstawia się u A. France'a jej świętość. Nazywa ją wprawdzie »świętą«, bo tak nazywają ją historyczne teksty, ale zastrzega się, że to święta w duchu XV wieku, kiedy to za cechy świętości brano rozmaite dziwactwa, illuzye i błazeństwa. kiedy — jak utrzymuje — wystarczyło opowiadać o wizyach i ekstazach, żeby zyskać opinię świętości.

Joanna, to nie tylko taka święta, jak Katarzyna ze Sienny czy Koletta z Corbie, ale także taka, jak późniejsza Zuzanna Labrousse, wizyonerka z czasów wielkiej rewolucyi.

Za duchy dość pokrewne Joannie uważa France szalbierki w XV wieku, jakąś jej krewną w Sarmaize, która czas jakiś chodziła ubrana po męsku i Joannę de Feron w Laval, uważaną za świętą przez biskupa z Mans, którą także polecono królowi, a później przekonaną o szalbierstwo skazano na więzienie.

Najwięcej podobieństwa upatruje między Joanną d'Arc a trzema maniakami, którzy także chcieli panującym swe objawienia opowiedzieć, jak »święty człowiek« chłop z Szampanii, który miał misyę do króla Jana, jak kowal ze Salon, który utrzymywał, że ma misyę do Ludwika XIV, lub chłop Marcin, zgłaszający się z podobną misyą do Ludwika XVIII [1]. Podobieństwo

[1] *Préface* XXXVI.

bardzo głębokie wedle A. France'a leży w tem, że ulegali oni determinizmowi, jak Joanna, a różnice na pozór wielkie były tylko natury czysto zewnętrznej, estetyczne, socyalne, historyczne...

Gdyby nie lojalność Francuzów w czasach monarchii i wynikające z niej starania o podtrzymywanie opinii o świętości Joanny, pamięć o niej byłaby na pewno do nas nie doszła.

Że w tem wszystkiem, co A. France o świętości Joanny pisze, nie może być mowy o prawdziwej świętości, jak ją Kościół rozumie, to oczywista. Już samo podstawowe założenie France'a o trwałym stanie hallucynacyjnym, który jej »najczęściej nie pozwalał odróżnić prawdy od fałszu« wyklucza ideę prawdziwej świętości, w takim bowiem stanie nie może być mowy o praktyce cnót teologicznych: wiary, nadziei, miłości, ani o cnotach kardynalnych: roztropności, sprawiedliwości, męstwa, jakie Kościół w Joannie uznaje.

Zresztą i te nawet cnoty, które A. France uważa za rzecz podrzędną, za sprawę natury estetycznej, według jego przedstawienia rzeczy z czasem gdzieś zanikają, a podczas ostatnich przejść, na jakie Joanna była narażona we więzieniu, występują raczej objawy wielkiej słabości i coraz nowe upadki.

Pod tym względem sąd jego nie wiele różni się od wyroku sędziów w Rouen; nie pomawia jej wprawdzie o wzywanie złego ducha i o czary, bo to pogląd XV wieku, ale uznaje ją za osobę słabą, która z obawy przed stosem wyparła się wszystkiego, co za prawdę w życiu uważała, a gdy wkrótce potem dała znowu wiarę swym wizyom i skazana została za to na śmierć, odwołuje ponownie wszystko i objawia żal, że dała się oszukać swym doradczym głosom.—

Uwięzienie Joanny wywołało niesłychaną radość u Anglików i ich sprzymierzeńców, a wielkie przygnębienie po stronie królewskiej.

Ujęta pod Compiègne przez żołnierza z pod chorągwi ks. Jana Luksemburskiego jemu dostała się jako zdobycz. Trzymano ją naprzód w zamku Beaulieu, później w Beaurevoire. Niewola ta trwała od 23 maja do końca listopada 1430. Cały ten czas prowadzono rokowania między Anglikami a księciem o jej wy-

danie. Anglicy za każdą cenę chcieli ją dostać w swe ręce, napierali o to na swego sojusznika ks. burgundzkiego, który był zwierzchnikiem ks. luksemburskiego. Ten miał skrupuły czy wydanie Joanny Anglikom da się pogodzić z jego rycerskim honorem. Uspokajali go w tym względzie doktorzy uniwersytetu paryskiego i biskup z Beauvais, Piotr Cauchon.

Tymczasem Joanna z obawy, żeby jej książę nie sprzedał Anglikom, próbuje ucieczki, ale przy spuszczaniu się z wieży zamku Beaurevoire spada ze znacznej wysokości. Ludzie księcia znajdują ją bez przytomności, chociaż nie ranną. Przy końcu listopada ks. luksemburski wydaje ją Anglikom za 10.000 liwrów.

Odtąd zaczyna się dla Dziewicy Orleańskiej czas największych utrapień.

Anglicy przeprowadzili Joannę do Rouen i osadzili skutą łańcuchami w wieży zamkowej, gdzie przepędziła ostatnie miesiące życia, od końca grudnia 1430 r. do końca maja 1431 r., pod strażą żołdaków, mimo że prawa kościelne wszystkich obwinionych w rzeczach wiary (na tej bowiem podstawie miała być sądzona), kazały trzymać w więzieniu śledczem kościelnem a kobiety trzymać pod opieką kobiet. Uniwersytet paryski czynił zabiegi, żeby sąd nad Joanną jemu oddano. Rząd angielski przeparł swój projekt, żeby ją sądzić w Rouen, a sprawę oddać biskupowi z Beauvais. Biskup zajął się urządzeniem trybunału, do którego powołał także sześciu doktorów z uniwersytetu paryskiego.

Przygotowania do procesu skończono 20 lutego, następnie zaczęły się publiczne przesłuchiwania obwinionej, czasem tylko przed południem, czasem i rano i wieczór. Po kilka godzin dziennie musiała dawać odpowiedzi na pytania najrozmaitsze, odnoszące się do rzeczy wiary i nic z niemi nie mające wspólnego. Ponieważ brakło materyału do aktu oskarżenia, trybunał starał się o jego wydobycie przez odpowiednio ułożone pytania, często bardzo subtelne, podrywcze, dwuznaczne i ciemne. Joanna nie na wszystkie pytania dawała odpowiedzi; oświadczyła wyraźnie sędziom, że będzie odpowiadała tylko w sprawach, w których jej odpowiadać wolno, inne rzeczy wolno jej było powiedzieć tylko królowi a nie komu innemu. Przy odpowiedziach powoływała się

często na głosy, jakie i we więzieniu słyszała, albo zwlekała z odpowiedziami, dopóki się głosów swych nie poradzi.

Pytaniami dręczono ją do 25 marca. Następnie promotor procesu Jan d'Estivet, kanonik z Beauvais i powiernik Cauchona, ułożył z odpowiedzi Joanny akt oskarżenia w 70 artykułach, którego wyciąg ujęty przez doktora paryskiego M. Midi w XII artykułów oskarżenia, przesłał biskup Cauchon Uniwersytetowi i rozmaitym duchownym w Normandyi do wydania opinii o winie Joanny. Zanim odpowiedzi nadeszły Joanna zachorowała ciężko, wycieńczona więzieniem, wymęczona przesłuchiwaniami, traktowana brutalnie przez dozorców a pozbawiona nawet możności słuchania mszy św., na co Cauchon nie chciał zezwolić, dopóki Joanna nie złoży ubrania męskiego. Musiano zaprzestać dalszych publicznych przesłuchiwań, tylko od czasu do czasu dawano jej przestrogi, żeby pamiętała o swej duszy, wyparła się widzeń i poddała się Kościołowi.

Tego samego próbowano także, czasem w sposób podstępny, jak to uczynił promotor d'Estivet lub kanonik Loyseleur, który przebrał się za szewca i udając współziomka Joanny, starał się wydobyć od niej poufne zeznania.

Gdy nadeszła odpowiedź uniwersytetu paryskiego, potępiająca Joannę jako heretyczkę, schizmatyczkę, obłudną uwodzicielkę ludu, Cauchon tem usilniej starał się ją nakłonić do odwołania, do zaprzeczenia temu, co o swych wizyach mówiła. Gdy namowy nie skutkowały, próbowano ją zastraszyć, ale i groźba tortur (na przesłuchaniu w wieży tortur 9 maja) nie skłoniła jej do odwołania. Cauchon był w kłopocie. Joannę, jako uporną, mógł wydać w ręce władzy świeckiej, na co niecierpliwie wyczekiwali Anglicy, ale wtedy wiara w posłannictwo Joanny zyskałaby nowy dowód, a tem samem zwolennicy partyi angielsko-burgundzkiej tem dobitniej napiętnowaniby byli jako zdrajcy. Cauchonowi zależało na odwołaniach Joanny.

Ostatnią próbę wymuszenia urządzono 24 maja. Na cmentarzu w Saint-Ouen, wobec nagromadzonych tłumów, zasiadł na wielkiej estradzie trybunał z Cauchonem, na drugą mniejszą estradę wprowadzono pod eskortą żołnierzy Joannę. Opodal stał kat z pa-

chołkami w pogotowiu do spełnienia wyroku. Jeden z członków trybunału, Wilhelm Erard, w gwałtownem kazaniu napiętnował Joannę jako heretyczkę, obłudną uwodzicielkę, potwór, jakiego jeszcze Francya nie widziała. Powstawał także przeciw Karolowi VII, a wtedy Joanna z oburzeniem nazwała go fałszywym kaznodzieją.

Po kazaniu wezwano Joannę, żeby poddała się Kościołowi. Joanna powtarza dawniejsze oświadczenia, żeby o wszystkiem co mówiła i robiła doniesiono papieżowi. Na Boga i na papieża we wszystkiem się zdaje. Tłumaczono jej, że papież daleko, że powinna poddać się pod zdanie sędziów i uznać to, co duchowni orzekli o jej słowach i czynach.

Gdy po trzykrotnem wezwaniu do odwołania, Joanna tego nie uczyniła, Cauchon zaczął czytać wyrok. Na cmentarzu podniosła się wrzawa. Z tłumów wołano, żeby się nie opierała, bo zginie; na trybunie sędziów także powstał zamęt. Cauchon musiał przerwać czytanie wyroku. Kilku doktorów ponowiło namowy, żeby się nie opierała, a nic złego się jej nie stanie. Jeden z nich, Massieu, tłumaczył jej formułkę abjuracyi, Erard naglił, żeby ją podpisała, bo kat gotów do roboty. Zahukana, sterroryzowana zachwiała się. Oświadczyła, że we wszystkiem poddaje się Kościołowi, powtórzyła odczytaną jej formułkę i zrobiła pod nią znak krzyża.

Formalności stało się zadość. Cauchon zamiast wydać ją władzy świeckiej, odczytał przygotowany wyrok na dożywotnie więzienie o chlebie i wodzie, i kazał ją odprowadzić napowrót do zamkowego więzienia.

Anglicy byli oburzeni. Na orszak powracającego do domu biskupa rzucali kamienie, słychać było głosy: »Szkoda pieniędzy królewskich«. Ktoś ze świty uspokajał ich: »Będziemy ją znowu mieli« [1].

Istotnie trzy dni później po tych scenach rozeszła się po mieście pogłoska, że Joanna przywdziała napowrót ubiór męski. Wiadomość okazała się prawdziwą. Stwierdził to Cauchon, gdy

[1] Ayroles tom I. 166—172.

z kilku assesorami udał się do więzienia. Joanna oświadczyła mu, że głosy wyrzucały jej słabość na cmentarzu Saint-Ouen, że zatraciłaby duszę, gdyby nie wyznała, iż ją Bóg posłał; że nie rozumiała formuły odwołania, że co robiła, robiła ze strachu. Wyrzucała Cauchonowi, że nie dotrzymał obietnicy, nie posłał jej do więzienia kościelnego, pod opiekę kobiet; mówiła, że woli umrzeć aniżeli żyć w więzieniu, pod strażą żołdaków angielskich.

Cauchon uznał Joannę za powtórnie upadłą. Zwołał nazajutrz do kaplicy biskupiej 42 assesorów dla stwierdzenia tego ponownego upadku. Znaczna większość zebranych (33) oświadczyła się za zdaniem opata z Fécamp, żeby ze względu na ostatnie zeznania Joanny wytłumaczyć jej formułę odwołania, udowodnić z Pisma św. a dopiero wtedy wydać ją w ręce świeckiej władzy. Nie zrobił tego Cauchon, nie chciał zwlekać. Joanna, jako powtórnie upadła, miała pójść na stos. Nazajutrz rano Dominikanin, Marcin Ladvenu, udał się do więzienia Joanny, żeby ją przygotować na śmierć. Z wielkim płaczem przyjęła wiadomość o tem, co ją czekało. Po spowiedzi, z największą pobożnością i płaczem przyjęła Komunię św.

Wkrótce potem pod eskortą wojska, na wozie straceńców, ubrana w papierową, hańbiącą mitrę, przewieziona została na plac Vieux-Marché, gdzie już był ustawiony wielki stos, a obok obszerna estrada dla kleru. Mikołaj Midi, autor XII artykułów oskarżenia, w kazaniu do kilkunastutysięcznego tłumu po raz ostatni w jaskrawy sposób wyliczył jej zbrodnie, poczem Cauchon odczytał wyrok potępienia. Uznał Joannę winną wymysłów o objawieniach, niebezpieczną uwodzicielkę, winną bluźnierstwa przeciw Bogu i świętym, winną występków przeciw wierze i prawom kościelnym. Jako wyklętą heretyczkę i *membrum satanae*, oddał ją sprawiedliwości świeckiej, ze zwykłą końcową formułką, by władza ta nie stosowała najsroższych kar, kary śmierci i ćwiartowania.

Osobnego ogłoszenia wyroku ze strony władzy świeckiej nie było. Po odejściu kleru, kat zabrał się do roboty. Z krzyżem w ręku wstąpiła Joanna na stos. Ks. Marcin Ladvenu i drugi Dominikanin dodawali jej otuchy. Wkrótce potem otoczyły ją

płomienie, tłumy słyszały tylko jej płacz i wymieniane często imię Jezus. Gdy za chwilę odsunięto płonące polana, Joanna już nie żyła.

Tłumy płakały. Chociaż wiedziano, że została skazaną za herezyę, słychać było z tłumu głosy także angielskie: »Spalono świętą«. Po egzekucyi zebrane prochy wrzucono do Sekwany, żeby relikwie po »świętej« nie pozostały.

Na urzędową, kościelną rehabilitacyę Dziewicy Orleańskiej trzeba było czekać przeszło dwadzieścia lat. Złożyły się na to rozmaite przyczyny.

Gdy się rozeszła wiadomość o uwięzieniu Joanny, nakazano w całem terytoryum, należącem do Karola VII, modlitwy o jej uwolnienie, a w wielu miejscowościach na tę intencyę odbywano także procesye pokutne. O późniejszych zabiegach Karola VII, by wydostać Joannę z rąk angielskich, nie było słychać, pytanie zresztą czyby ją mógł wydostać. Rehabilitacyi kościelnej przeszkadzała z początku dalsza wojna między Anglią a Francyą, przeszkadzały także ówczesne stosunki kościelne, zwłaszcza stosunek uniwersytetu paryskiego do Rzymu, spory o wyższość soboru nad papieżem, i wznowiona schizma kościelna w czasie soboru bazylejskiego. Wobec wojny Rzym musiał się ociągać z rewizyą procesu, żeby nie drażnić stron walczących (Francuzi domagali się rewizyi, Anglicy protestowali), zwłaszcza, że czynił zabiegi o pojednanie walczących i zwrócenia ich przeciw Turcyi.

Dopiero z początkiem 1450 roku Karol VII poczynił starania o rehabilitacyę. Sprawa, którą kierował kardynał d'Estouteville, szła dosyć wolno. Posunęła się raźniej, gdy straciła motyw polityczny i gdy z żądaniem rehabilitacyi wystąpiła rodzina Joanny d'Arc, jej matka i dwaj bracia.

Procesem rehabilitacyi kierował wielki inkwizytor Francyi, Jan Bréhal. Proces otwarto w Rouen we wrześniu 1455 r., zakończono w lipcu 1456 r. Cauchon i promotor pierwszego procesu d'Estivet już nie żyli. Inni oskarżyciele nie stawili się w obronie aktu oskarżenia, zasłonili się amnestyą Karola VII. Po przeprowadzeniu ankiety w sprawie Dziewicy Orleańskiej w Domrémy, Orleanie, Paryżu i w Rouen, po przesłuchaniu 144 zaprzysiężo-

nych świadków najrozmaitszych kategoryi: ziomków Joanny, rycerzy, dowódców, urzędników, książąt, różnych duchownych, assesorów pierwszego procesu w Rouen, po zbadaniu rozmaitych dokumentów pierwszego procesu, po wyświetleniu sprawy, w jaki sposób ułożony został protokół pierwszego procesu, a zwłaszcza XII artykułów aktu oskarżenia — drugi ten proces oczyścił pamięć Dziewicy Orleańskiej.

Po uroczystej procesyi i kazaniu ogłoszono w Rouen 7 lipca 1450 r. wyrok rehabilitacyjny.

Dawniejszy proces uznano jako krzyczącą niesprawiedliwość pod względem formalnym i pod względem rzeczowym; XII artykułów napiętnowano jako akt oszczerczy, podstępnie i złośliwie ułożony z przekręconych zeznań Joanny, z zatajeniem prawdy a wyraźnem kłamstwem w wielu punktach zasadniczych.

Wyrok potępiający Joannę uznano za nieważny i niebyły, a rehabilitacyę rozkazano ogłosić po wszystkich ważniejszych miastach Francyi. Na miejscu stracenia Joanny, na Vieux-Marché, miała się na drugi dzień odbyć wielka uroczystość, połączona z powtórnem odczytaniem aktu rehabilitacyi i umieszczeniem pamiątkowego krzyża. —

Mamy więc w sprawie Joanny d'Arc dwa procesy, prowadzone przez dwa różne trybunały, zakończone dwoma wręcz sobie przeciwnymi wyrokami. Wspólna jest tylko sprawa procesu t. j. przeważnie wewnętrzna strona życia oskarżonej, jej wizye i wiara w nie — i wspólną obu procesom tendencyjność. Członkowie pierwszego trybunału starają się Joannę potępić — członkowie drugiego cześć jej przywrócić.

Historyk, który chce prawdę wyświetlić, musi obydwa te procesy poddać sumiennej rewizyi, zanim do jednego lub drugiego zdania się przychyli. Rewizyi tej podjął się także A. France i wydał wyrok o tyle zgodny z wyrokiem pierwszego trybunału, że uznał Joannę winną krzywoprzysięstwa, uznał ją także za osobę słabą, która, z bojaźni przed śmiercią, przeczy temu wszystkiemu, co za dobre i święte przedtem uważała. Idzie nawet dalej, niż sędziowie w Rouen, bo utrzymuje, że Joanna jeszcze raz w sam dzień stracenia zmieniła zdanie i wyparła się całej swojej

przeszłości. Prócz myśli przewodniej, jaka nim kierowała w pisaniu życiorysu Joanny, wpłynęła na ten sąd także jego metoda historyczna. Zasadę *audiatur et altera pars* zastosował w stopniu bardzo nieznacznym.

Proces rehabilitacyjny omawia wprawdzie krótko przy końcu dzieła — bo nie wypadało o nim nie wspomnieć — ale czyni to tak, jakby się obawiał, żeby mu ktoś nie uwierzył i dlatego świadków i sędziów, którzy tam występują, po to tylko wymienia, żeby ich scharakteryzować czy to jako zdziecinniałych starców, pozbawionych pamięci, czy ludzi o bardzo ograniczonej intelligencyi, czy wreszcie ludzi przewrotnych, którzy tyle wykazują gorliwości dla oczyszczenia pamięci Joanny, ile jej wykazywali przy pierwszym procesie potępienia.

Za to dla pierwszego trybunału jest o wiele pobłażliwszym. Nie może nie przyznać, że zasiadali w nim ludzie przewrotni obok uczciwych, ale słabych i bez wpływu na przebieg procesu, ale nie chce przypuścić, żeby nawet najgorsi, jak biskup Cauchon i promotor, odważyli się przez wzgląd na Anglików, zbyt otwarcie wykraczać przeciw sprawiedliwości kościelnej, bo to byli przecież duchowni — musieli uważać na formy[1] i mimo że także duchowni (między nimi nawet kilku tych samych, którzy w skład pierwszego trybunału wchodzili) uznali później pierwszy proces za krzyczącą niesprawiedliwość, A. France wierzy duchownemu Cauchonowi i jego wspólnikom, wierzy aktom pierwszego procesu, chociaż dla większej dobitności tu i owdzie je poprawia a nawet plikę ich powiększa przez dodanie nowego aktu, który przedtem do *dossier* nie należał.

Postępuje tak, jak gdyby automatyzm zmuszał go do dawania wiary tylko wyrokom procesów potępiających, a niedowierzania wyrokom procesów rehabilitacyjnych, co tem dziwniejszem musi się wydać u pisarza, który zapewne nie bez wielkiego zainteresowania śledził przebieg procesu rewizyjnego w sprawie więźnia z wyspy Dyabelskiej i niecierpliwie czekał na jego rehabilitacyę. —

---

[1] *Préface* LVI.

Że pierwszy proces w Rouen był tylko pozornie procesem religijnym, a faktycznie procesem politycznym, to rzecz zbyt jasna. Anglikom nie szło o to, czy istotnie w widzeniach Joanny nie było nic sprzecznego z zasadami wiary, ale szło im o potępienie Joanny za to, że przeciw ich panowaniu występowała i powołała się przytem na posłannictwo z nieba.

O to samo chodziło uniwersytetowi paryskiemu, biskupowi z Beauvais i partyi burgundzkiej. Musieli piętnować posłannictwo Joanny, jako omamienie szatańskie, bo Joanna występowała nie tylko przeciw Anglikom, ale i przeciw wszystkim ich stronnikom, a powoływała się przytem na rozkaz Boży. Jeżeli nie chcieli uchodzić za zdrajców i za opornych woli Bożej, musieli ją potępić. Kto trzymał z Joanną — był ich wrogiem.

Przez jakiś czas bożyszcze Paryża, Franciszkanin Richard, niemal tak wpływowy, jak później Savanarola we Florencyi, skoro w Troyes zaczął występować w interesie Delfina i Joanny, od razu stracił swą popularność i stał się przedmiotem przekleństw Paryża; Bretonka Pierronne, uwięziona także za wizye w Corbeil, głównie dlatego poszła na stos, że pochwalała wystąpienie Joanny przeciw Anglikom i utrzymywała, że wszystko co ona robi, robi wedle woli Bożej.

Wobec tak wrogiego dla Joanny nastroju w partyi burgundzko-angielskiej nie można się było spodziewać po trybunale w Rouen żadnych dla niej względów, zwłaszcza że kierownikiem trybunału był biskup P. Cauchon [1].

Wychowanek paryskiego uniwersytetu, krótki czas jego rektor, później delegat na sobór w Pizie, ambitny działacz polityczny, za udział w rozruchach paryskich 1412—13 r., proskrybowany przez Armaniaków, znalazł schronienie na dworze burgundzkim. Zaufany dworak Jana Bez Trwogi, później doradca najbliższy jego syna Jana Dobrego, przyczynił się bardzo do traktatu w Troyes i w nagrodę za to został biskupem z Beauvais. Członek rady angielsko-francuskiej, gorący przyjaciel Anglików (został nim nawet po roku 1435, gdy ks. burgundzki pogodził się

[1] Ayroles: *Les iniquités du procès de condamnation*. Lyon 1904.

z Karolem VII), popierany przez nich na metropolitę w Rouen 1429 r., stolicy tej nie otrzymał, wskutek oporu Rzymu, a nawet utracił własną dyecezyę po wystąpieniu Joanny d'Arc, bo mieszkańcy Beauvais przeszli na stronę Delfina a swego biskupa i kapitułę wypędzili.

To też nie dziw, że przez trzy miesiące w imieniu angielskiego rządu czynił zabiegi u ks. luksemburskiego i ks. burgundzkiego o wydanie Joanny Anglikom a dziwnemby tylko było, gdyby ją oszczędzał, skoro się dostała w jego ręce.

Podobne, chociaż może mniej zawistne usposobienie dla Joanny żywili najwybitniejsi członkowie trybunału. Należało do nich sześciu delegatów uniwersytetu paryskiego (Paryż Delfina nie uznawał), zaproszonych przez Cauchona, z których tylko jeden Piotr Maurice zdawał się przychylniej dla Joanny usposobiony. Inni, jak Tomasz Courcelles, wice-inkwizytor w procesie (przełożył na łacinę protokół francuski)[1], jeden z trzech głosujących później za oddaniem Joanny na tortury; Mikołaj Midi, autor XII artykułów; Wilhelm Erard, kaznodzieja podczas sceny na cmentarzu Saint-Ouen; Jan Beaupère, główny interrogator w czasie procesu. Podobny do nich, tylko bardziej brutalny, był promotor procesu, Jan d'Estivet, przyjaciel Cauchona, kanonik z Beauvais, (wraz z nim wypędzony przez mieszkańców tego miasta), który tak samo jak kanonik z Rouen, Mikołaj Loyseleur, próbował w przebraniu wydobyć od Joanny zeznania, jakich w czasie publicznych przesłuchań nie chciała dawać.

Wymienieni doktorowie odegrali wybitną rolę w procesie kondemnacyjnym; inni, uczciwsi, ulegali naciskowi i nie mieli odwagi protestować przeciw rozmaitym nieformalnościom procesu.

Joanna dostała się do więzienia nie na podstawie ogólnego przekonania o szerzonych przez nią błędach przeciw wierze, ale dlatego, że została ujęta w bitwie. W tem, co jej w Rouen brano za złe, t. j. że nosiła broń i ubiór męski, pierwsza komisya duchowna w Poitiers, do której ją Delfin do zbadania wysłał, nic

[1] W przekładzie tym są dosyć znaczne wypustki z tekstu francuskiego, poczynione na niekorzyść Joanny. Dunand: *Études critiques.* Serya 3-cia, rozdział XV.

złego nie znalazła, a jej powoływanie się na wizye i na poselstwo od Boga, uznała za prawdziwe.

Gdyby biskup z Beauvais miał jakieś inne dane do wytoczenia jej procesu, musiałby ją zamknąć na czas śledztwa w kościelnem więzieniu, gdzieby miała odpowiedni dozór żeński; tymczasem trzymano ją w kajdanach we wieży zamkowej.

W czasie długich przesłuchiwań, które miały dostarczyć materyału do oskarżeń o herezyę, nie dodano jej żadnego obrońcy, ani doradcy do wytłumaczenia przynajmniej zawiłych pytań teologicznych, jakiemi ją doktorzy paryscy dla podrywki zasypywali.

Odpowiedzi zapisywane przez urzędowych pisarzy, oczywiście nie w formie stenograficznego protokołu, ale w streszczeniu, nawet przy dobrej ich woli mogły były innego nabrać znaczenia, niż to, w jakiem je Joanna rozumiała. Zeznania głównego protokolisty, Wilhelma Manchona, złożone w czasie procesu rehabilitacyi, wykazały nadto, że przy układaniu urzędowego protokołu zaszło wiele nieprawidłowości, a byłoby ich więcej, gdyby Manchon rozmaitemi niedomówieniami i niejasnościami nie starał się pogodzić własnych skrupułów ze strachem przed biskupem.

Bojaźnią przed Cauchonem tłumaczył się wtedy z rozmaitych opuszczeń, zwłaszcza w tej części protokołu, która przedstawia historyę odwołania na cmentarzu w Saint-Ouen; z tej samej racyi znalazła się w protokole inna formuła odwołania, niż ta, którą Cauchon poddał Joannie do podpisu. O opuszczeniach bardzo ważnych w protokole z przesłuchania Joanny w więzieniu po tak zwanej retraktacyi, dostarczyli dowodu inni świadkowie.

Można wierzyć Manchonowi, że *non fuisset ausus tantos viros redarguere*, skoro ludzie znaczniejsi od niego nie mogli zabrać głosu bez narażenia się biskupowi. Głośny kanonista Lohier, późniejszy dziekan w trybunale Roty rzymskiej, przejeżdżał przez Rouen w czasie procesu. Zapytany przez biskupa o zdanie, wytknął mu nieprawidłowości w procedurze sądowej, ale też zaraz później opuścił miasto, nie czując się bezpiecznym. Kanonik Houppeville za podobne odzywanie się został zamknięty w więzieniu, skąd go dopiero wdanie się możnych przyjaciół wydobyło; inny

kanonik, Fontaine, dawniej przyjaciel Cauchona, musiał ratować się ucieczką z miasta za to, że nie pochwalał postępowania biskupa.

Widocznie więc myli się dobrowolnie A. France, utrzymując, że nawet biskup i promotor nie odważyliby się zbyt otwarcie wykraczać przeciw sprawiedliwości kościelnej — i dlatego co najmniej niekrytycznie postąpił opierając się w życiorysie Joanny d'Arc wyłącznie na protokole pierwszego procesu a nie uwzględniając procesu drugiego.

Przy uwzględnieniu aktów drugiego procesu, pokazałoby się np. że ósmy artykuł aktu oskarżenia, obwiniający Joannę o rozpacz i zamiar samobójczy był suggestyą ze strony autora XII artykułów, bo Joanna do tego się nie poczuwała (w szczerość jej odpowiedzi A. France wierzy, zaznaczył to w przedmowie), mówiła tylko, że chcąc uniknąć niewoli angielskiej i dostać się do Compiègne, żeby pomódz jego mieszkańcom, próbowała spuścić się z wieży w Beaurevoire.

Przy szerszem uwzględnieniu źródeł, abjuracya na cmentarzu Saint-Ouen straci cechy abjuracyi kanonicznej, nie tylko jako akt wymuszony groźbami, ale także jako akt fałszywie w protokole opisany. Joanna była gotową poddać się temu, co Kościół za prawdę uważa i dlatego chciała, żeby jej sprawę przesłać do Rzymu.

Według zeznań świadków przy rewizyi procesu, świadków, którzy byli obecni na cmentarzu 24 maja, wyszło na jaw, że formuła abjuracyi odczytanej Joannie, była inna, niż ta, która znalazła się w protokole, że była o wiele krótsza, ujęta w kilka wierszy; na jej odczytanie wystarczył czas odmówienia »Ojcze nasz«, podczas gdy formułka protokołu ma 50 wierszy drobnego pisma, a jej odczytanie z powtórzeniem zabrałoby z kwadrans czasu. O podsunięciu innej formuły do protokołu A. France wiedział, ale z tego wniosków żadnych nie chciał wyciągnąć

Także obietnice, które wtedy poczyniła, były warunkowe. O tem nie tylko w procesie rehabilitacyjnym mówiono, ale jest o tem także relacya w protokole pierwszego procesu z przesłuchania we więzieniu 28 maja. Według tego protokołu Joanna wyrzucała Cauchonowi, że nie dotrzymał obietnicy, że zamiast ją

odesłać do kościelnego więzienia i dać jej towarzystwo kobiece, odesłał ją z powrotem do zamku pod straż żołdaków. Oświadczyła, że nie rozumiała formuły, że zatraciłaby duszę, gdyby się wypierała, iż ją Bóg posłał; że to co zrobiła, zrobiła ze strachu i że głosy ją za to ganiły.

W protokole z 28 maja niema podanej wyraźnej racyi, dlaczego Joanna znowu przywdziała strój męski — bo podać tego nie wypadało, jeżeli Joanna miała być uznana za niepoprawną i krzywoprzysiężną. Podali je świadkowie w czasie procesu rehabilitacyi. Jeden z nich, Jan Massieu, były członek trybunału w Rouen, zeznał, że strażnicy z umysłu zabrali jej ubranie niewieście, musiała więc przywdziać ubiór męski, którego jej (chyba nie bez celu) nie odebrano po abjuracyi.

Później, gdy zwrócono jej ubranie niewieście, nie chciała go już przywdziać z obawy, żeby się nie narazić na napaść, od której obroniła się 27 maja, dzięki temu właśnie ubraniu i wołaniu o pomoc. Takie wyjaśnienia dali dwaj Dominikanie, Marcin Ladvenu, który ją przed śmiercią spowiadał, i jego towarzysz Isambard de la Pierre. Ogólnie tę samą racyę podał protokolista Manchon. O tych zeznaniach czytał A. France, ale nie daje im wiary, bo to świadectwa »klasztoru i zakrystyi«.

Że autor nie krępował się nawet tekstem protokołu urzędowego i że go z umysłu przekręca, jeśli mu to potrzebne, na to złożył dowód przy opisie posiedzenia 42 assesorów 29 maja. Szło wtedy o stwierdzenie faktu, czy Joanna przez przywdzianie męskiego ubioru i odwołanie abjuracyi podpisanej na cmentarzu Saint-Ouen, powróciła do dawnych grzechów i jako niepoprawna heretyczka ma być wydana władzy świeckiej. Pozory przemawiały na jej niekorzyść; ponieważ jednak podczas przesłuchania w celi więziennej oświadczyła, że nie miała zamiaru przeczyć swej misyi, i ponieważ mówiła, że nie rozumiała formuły, którą musiała podpisać, opat z Fécamp, w czasie tej deliberacyi, dla usunięcia wszelkich wątpliwości postawił wniosek, żeby dla pewnego stwierdzenia jej winy, dla stwierdzenia czy Joanna podpisała tę formułę, którą Cauchon assesorom przeczytał i czy ją zrozumiała, formułę Joannie odczytać, wytłumaczyć i udowodnić z Pisma św. i wtedy

dopiero uznać ją za heretyczkę. »Bonum est, quod schedula nuper lecta, legatur itarum coram ipsa, et sibi exponatur, proponendo ei verbum Dei. Et, his peractis, nos iudices habemus declarare eam haereticam et ipsam relinquere iustitiae saeculari« [1].

A. France w przekładzie tego wniosku, za którym oświadczyło się 33 assesorów, podane wyżej rozstrzelonym drukiem zwroty opuścił [2], żeby nie wyglądało, iż komisya mogła mieć jakieś wątpliwości w sprawie kanonicznej abjuracyi Joanny i ponownego jej upadku i żeby samowola Cauchona w kierowaniu procesem (Cauchon w tym wypadku do wotów znacznej większości assesorów się nie przychylił) mniej jaskrawo się przedstawiła.

Niekrytycznie, a wskutek tego w fałszywem świetle przedstawił także ostatnie chwile Joanny d'Arc.

Niekrytycznie, bo oparł się na dokumencie, któremu krytyka odmawia wiarogodności i uważa za zwykły pamflet. Jest to akt nazwany *l'information posthume*, dlatego, że naśladuje formę ankiety, jaka się miała odbyć w tydzień po skazaniu Joanny. Akt anonimowy, bez jakiejkolwiek sygnatury czy którego z notaryuszy czy protokolisty, kopisty, sędziego lub świadka nie mógł być włączony do aktów prawnych, tylko zewnętrznie do aktów procesu ktoś go dołączył, oczywiście w celu rehabilitacyi Cauchona.

A. France aktowi temu nadaje naprzód moc uwierzytelniającą, a później, na jego podstawie próbuje opisać ostatnie wypadki z życia Joanny [3]. Zmyśla mianowicie historyę przesłuchania Joanny w celi więziennej 30 maja, t. j. w dniu jej stracenia; wobec kilku doktorów i samego Cauchona, każe jej wyznać, że widzenia i głosy ją zawiodły — przed przyjęciem ostatniej komunii każe jej powtórzyć, że wierzy tylko w Boga — a nie chce wierzyć głosom, które ją tak oszukały, każe wreszcie zgodzić się na propozycyę jednego z teologów, żeby publicznie oświadczyła wobec ludu, iż

[1] Dunand: *Étude critique*, str. 119—123.

[2] *Vie de Jeanne d'Arc*, II, 481.

[3] *Préface*, III. »Je crois que les choses se sont à peu près passées comme ce procès-verbal extra-judicaire les rapporte«, i tom II, 383.

była w błędzie i drugich w błąd wprowadzała, za co miała prosić o przebaczenie.

Narracyę tę A. France ubiera w formę protokołu i podaje ją w taki sposób, jak podawał inne opowiadania na prawdziwym protokole oparte a przez to wywołuje u nieświadomych wrażenie, że opiera się na autentycznym prawnym dokumencie.

U krytyków wiary nie znalazł. Gdyby z polecenia biskupa odbyło się istotnie przesłuchanie w dniu 30 maja, urzędowy jego protokół znalazłby się w aktach procesu, zwłaszcza że zawierałby usprawiedliwienie sędziów i nowy dowód winy oskarżonej. Tymczasem ani w aktach procesu ani w opisie stracenia Joanny niema żadnego śladu drugiej abjuracyi.

Trzeba zatem przyjąć, że A. France dał się chyba za daleko unieść wenie powieściopisarskiej, a zapomniał, że miał pisać historyę, — albo trzeba przyznać racyę jego krytykowi Dunandowi [1], że stworzył bez wstydu fałszywy dokument i dopuścił się prostej nieuczciwości. Wobec tego rodzaju metody krytycznej oświadczenie A. France'a przy końcu przedmowy, że bez słabości zabrał się do szukania prawdy a spotkał się z nią bez obawy, wygląda nie tylko na frazes retoryczny, ale na proste kpiny z naiwnych.

Tendencya i metoda historyczna A. France'a nie pozwoliły mu dać prawdziwego obrazu Dziewicy Orleańskiej — wystarczyły do stworzenia jej karykatury.

Sienkiewicz w ocenie (»Książki i ludzie«) ostatniej jego powieści *(Sur la pierre blanche)*, z przykrością stwierdził, że A. France czuje wprost niechęć do chrześcijaństwa, że umyślnie je zapoznaje i umniejsza. Stwierdził, że dawny pogodny sceptyk staje się człowiekiem partyi, członkiem stronnictwa czy nawet sekty, doraźnym politykiem, dreyfusistą, kombistą i czem kto chce, przemycając pod formą niby beztendencyjną, tendencyę.

W dziele *Vie de Jeanne d'Arc* doraźny historyk złożył na to jeszcze jaskrawsze dowody.

Ton, w jakim całe dzieło jest utrzymane i obraz Joanny skreślony przez A. France'a, wykazuje zbyt wielkie pokrewień-

[1] L. c. str. 145, 123—128

stwo z tonem i szkicem życiorysu Joanny, zamieszczonym przez Voltaire'a w Dykcyonarzu filozoficznym, zatem i ogólna tendencya obu pisarzy była ta sama. Różnica odnosi się chyba do celu bliższego. W czasach Voltaire'a nie poruszano sprawy beatyfikacyi Dziewicy Orleańskiej, nie było także projektu, żeby ciała ustawodawcze uchwaliły obchodzić uroczystość Joanny d'Arc jako święto narodowe francuskie. Obecnie pierwsza sprawa jest blizką urzeczywistnienia, sprawa druga nie jest niemożliwą. Żeby założyć swoje *ceto* A. France zabrał się do odpowiedniego ułożenia historyi Joanny d'Arc — żeby zaś je spopularyzować nadał dziełu formę niby powieści historycznej.

Ks. Józef Sas.

KATO STARSZY [1].

Greckie myśli, formy i grecka kultura napływały pełnym strumieniem do Rzymu i wytworzyły tu młodą rzymską literaturę. Zaczęła ona krzewić i zdobić życie, a zarazem to życie przekształcać, miękczyć, ścierać rodzime i szorstkie właściwości z rzymskiej duszy. Nie wszystkim to się podobało, nie podobało się przedewszystkiem młodemu człowiekowi, który z mało wybitnego rodu pochodząc, doszedł własną zasługą i energią do znakomitych w państwie stanowisk. Mierzili go panowie rzymscy, nasiąknięci obcym wpływem, zbyt przystępni dla wszystkich natchnień greckiego wschodu. Ich kosmopolityczne nieco poglądy raziły domorosłe jego upodobania. Postawiony na pograniczu historyi, w którem Rzym ze stolicy Italii przetwarzał się w stolicę świata, sięgał panowaniem do Hiszpanii i Macedonii, marzył on o minionych wieków prostocie, o postaciach dawnych wodzów, którzy od pługa szli na wyprawy sąsiedzkie i stamtąd do pługa wracali. Widział Kato wzrastający ciągle napływ obcej kultury; sam nie zamykał zupełnie oczu na jej dobrodziejstwa i nabytki, ale nie chciał aby ona rdzeń duszy rzymskiej naruszała, trwożył się, gniewał na widok rozluźnienia dawnych pojęć i dawnego obyczaju, które przychodziło jako konieczne jej następstwo. Ma on przekonanie, że w gruncie Rzymianin jest dużo wyższą od Greka istotą, że dusza jego z własnych natchnień i darów wysnućby mogła dzieła

[1] Rozdział z większej całości.

inne, lecz niemniej od arcydzieł greckiego ducha dostojne, że przedewszystkiem arcydzieł dla zabawy i rozrywki nie tyle potrzebuje rzymskie społeczeństwo, co słowa jędrnego i gromkiego nauki, zwłaszcza nauki życia. Chce on, żeby Rzymianin pozostał samym sobą, a nie zamieniał się w greckiej myśli przeżuwacza i naśladowcę. I na walkę za te ideały i pragnienia występował z wielką siłą i stanowczością. Stanął naprzeciw greckim i półgreckim pisarzom i pisarkom, którymi gardził, naprzeciw ich potężnym opiekunom w Rzymie, których nie cierpiał, słowem i czynem ścigał, aby zatrzymać bieg wypadków, a w pierwszym rzędzie bieg myśli. Wygrać w tej walce nie mógł. Niemniej pozostanie on na zawsze jedną z najwybitniejszych postaci w świecie umysłowym rzymskim. Jest on wcieleniem rzymskiego ducha z jego zaletami i przywarami, z jego jędrnością, szorstkością i trzeźwością, które niekiedy graniczą z brakiem wdzięku, brakiem serca i brakiem wyższego polotu. Gdybyśmy w literaturze rzymskiej szukali ludzi, najrdzenniej rzymskich, ludzi reprezentatywnych dla całego narodu, to na czoło wysunęlibyśmy Katona; potem grecko-rzymska kultura podziałała niwelująco na dusze. Ale Lukrecyusz swą siłą, Tacyt swoją powagą przypomina rysy, które były istotą dawnego Rzymianina.

M. Porcius Cato urodził się w miasteczku łacińskiem, blizko Rzymu położonem, Tusculum; ojciec jego miał włości w krainie sabińskiej, która po wszystkie czasy uchodziła za część Italii, w której stare obyczaje, stary hart i dawne tradycye najdłużej się przechowały. »Ja zaraz od początku w oszczędności i twardem życiu, wśród zajęcia całą młodość moją utrzymałem« — mówił o sobie Marcus w późniejszych czasach. Z sabińskiego otoczenia wyniósł on swoje chłopskie przywiązanie do ziemi, swój chłopski rozum, zachowawczość w pojęciach i dążeniach, a wyniósł przytem chłopskie pieniactwo i szorstkość w obejściu, które go w szereg uwikłały procesów. Żelaznego był zdrowia; *ferrei prope corporis animique*, jak się Livius wyraził, choć postawy ani wyglądu nie miał pięknego. Włosy wpadały w kolor rudy, oczy miał zielonawe; epigramat złośliwy twierdził, że nawet Prozerpina tego ludogryza niechętnie po śmierci do Hadesu przyjęła. Na lata

młodości przypadły wielkie historyczne wypadki; miał on lat szesnaście, kiedy w r. 218 Hannibal przekroczywszy Alpy wtargnął do Italii. Młody Kato w r. 217 osiągnął męską togę i zaciągnął się do szeregów. W następnych, przeważnie nieszczęśliwych latach, walczył na różnych polach bitwy Italii. Przed zakończeniem wojny rozpoczął karyerę urzędniczą w r. 204 jako kwestor. W tym charakterze towarzyszył wielkiemu Scypionowi na Sycylii i w Afryce; los go zetknął z mężem, którego słońce wschodziło i niebawem zajaśniało najwyższem światłem. Osobistości były zupełnie odmienne. Scypio w swych śmiałych ambicyach i przedsięwzięciach wyłamywał się często z utartej kolei i tradycyi, swą samowiedzą i dumą górował nad ludźmi i pojęciami, gardził zarówno brakiem skrupułów u demagogów, jak nadmiarem skrupułów u przesadnych zachowawców. Wywierał swą indywidualnością i kulturą wielki urok na masy, wskutek czego był popularnym; a popularnością Kato nigdy w życiu się nie cieszył i o nią się nie ubiegał. Było coś w Scypionie z Alcybiadesa, który podobnie stał się ludu ulubieńcem; Korneliusze zresztą mieli od dawna skłonności filhelleńskie, a pogromca Hannibala jawnie je wyznawał. Młody kwestor Kato dostał się w służbę tego człowieka i wnet dopatrzył się w swoim panu rysów, które go zraziły na życie. Sposób, z jakim traktował żołnierzy, zdawał się Katonowi niebezpiecznym dla rzymskiego hartu i dawnej dyscypliny. Widzimy też, że w późniejszem życiu antagonizm do Scypiona często się u Katona odzywał; wybujała ta indywidualność raziła człowieka, który w dziejach Rzymu nie widział, nie uznawał i nie pragnął bohaterów, lecz współdziałania dobrych mężów w spełnianiu obowiązków. *Allatrare magnitudinem (Scipionis) solitus est*, szczekać zwykł na wielkość Scypiona, powiedział Liwiusz dosadnie. I wszystkim tym panom i paniczom, którzy podobnie jak Scypio, hołdowali zbytecznie greckiej cywilizacyi, jak Flamininusom, Fulwiuszom Nobiliores dawał się odtąd Kato czynem i słowem we znaki.

W r. 199 piastował on aedilitas plebejską, w r. 198 był pretorem i jako taki zawiadował Sardynią. Już tu odznaczył się jako sumienny administrator, wróg wszelkich nadużyć i zdzierstwa. W r. 195 osiągnął konsulat. Liwiusz opowiada, że wtedy

wypowiedział wielką mowę za zachowaniem *lex Oppia*, prawa uchwalonego w ciężkiej chwili hannibalowej wojny, a zakazującego kobietom wystawności w szatach i klejnotach, jeżdżenia powozami po mieście. Było to przesłanką jego późniejszych działań, a symptomem głębokiej nieufności, którą zawsze do niewieściego rodu żywił. Konsulowi przypadła Hiszpania, jako pole działania. Nie tylko podbił on i zdobył wiele miast w tej buntującej się prowincyi, lecz zdobył sobie serca jej mieszkańców przez sprawiedliwe rządy. A ze zepsuciem, które przez zarządców prowincyi bujnie się krzewiło, walczył on życie całe słowem i co ważniejsze przykładem. Tego przykładu pod korzec nie chował, bo jak zgodnie autorzy poświadczają, chętnie i śmiało mówił o swych zasługach, o rządach swych w Hiszpanii kilka mów wypowiedział. Wkrótce potem znajdujemy byłego konsula znów na polu walki. Rzym coraz bardziej się mięszał do spraw Wschodu; wyraźnem było, że on zostanie spadkobiercą po Aleksandrze Wielkim. Dopiero w r. 197 skończyła się wojna z Filipem Macedońskim, w r. 191 wybuchła nowa z Antiochusem III, królem Syryi. W gruncie rzeczy chodziło w tych wojnach o panowanie nad Grecyą. Kato poddał się w niej rozkazom Korneliuszów Scypionów i podobno znakomicie się w tej wojnie wyszczególnił. Z gryzącą ironią mówił o syryjskim Antiochusie, że »pismami wojnę prowadzi, wyruszył w pole z atramentem i piórem«. Oręż rzymski miał dosadniejszą wymowę od sztuczek dyplomatycznych. Od tej wojny i tego zwycięstwa Rzymu datuje Liwiusz wielki przełom w obyczajach rzymskich, wpływom azyatyckim przypisuje wzmożenie się przepychu i zanik starorzymskiej prostoty. Jest w tem zapewne nieco przesady, bo wojna z Antiochusem była tylko jedną z etap w wielkim napływie greckiej i wschodniej kultury do Rzymu. Tyle jednak wiemy, że stosunki między poplecznikami nowych idei a przedstawicielami starorzymskiego kierunku były wtedy bardzo naprężone. Ci ostatni szarpali teraz Scypionów o sprawozdanie dokładne ze zdobyczy w wojnie z Antiochusem. Kato także brał udział w tej akcyi. Wiadomem jest, że P. Cornelius Scipio Africanus z dumą odtrącił napaści przeciwników i z dumą Rzym opuścił, aby odtąd w wiejskiem zaciszu, w Li-

ternum ostatnie przepędzić lata. — W r. 186 odkryto w Italii tajemny związek sakralny, ku czci Bakchusa, połączony z rozmaitymi wybrykami zabobonu i zboczeniami etycznemi. Zaczęła się wielka akcya rządu przeciw tym religijnym naleciałościom, która była po myśli Katona. Bo on sam trzymał się ściśle rzymskiej religii i nawet rzymskiego zabobonu, byle był rodzimym, ale mierziły go nowe tajemnice i orgie religijne, a interwencyi doradców religijnych unikał sam i innych przed nimi przestrzegał. Oświadczał on swemu ekonomowi, że wolno mu przy ognisku domowem i na ołtarzu polnym ofiary składać, zastrzegł jednak, »że nie wolno mu rady zasięgać u badacza trzewiów, u znachora lub Chaldejczyka«. Do wróżbiarzy miał nieufność wyraźną, do wszelkich cudaczności, które czy z Etruryi czy ze Wschodu napływając czepiały się kultu rzymskiego.

Ostatnie lata odsłoniły więc dużo tajników w Rzymie, które się psowały pod miękczącym wpływem nowej kultury. Cenzorzy byli w pierwszym rzędzie powołani do strzeżenia dawnego obyczaju i tradycyi. O tym urzędzie, który był szczytem karyery urzędniczej marzył Kato od swego konsulatu; ale postępowcy byli przeciwni jego wyborowi i udaremniali jego zabiegi. Wreszcie udało się w r. 185 przezwyciężyć te zapory i na rok 184 Kato został wybrany cenzorem wraz z przyjacielem, L. Valeriusem Flaccus, który był jego kolegą w dawniejszych także urzędach.

»Wielkie oczyszczenie« zamierzał Kato w tym roku przeprowadzić, rzucić rękawicę tym wszystkim nowinkom, które mu się wydawały grzechami przeciwko duchowi rzymskiemu. Z rzeczy, które go w pierwszym rzędzie raziły, poznamy najlepiej jego przekonania i zasady. Mówiliśmy już o jego antagonizmie ze Scypionem Afrykańczykiem. Raziła go ambicya i indywidualność tego męża, który zaczął swą karyerę nieprawidłowo, został propretorem w Hiszpanii, zanim był i nim mógł być pretorem, raziła go jego duma i śmiałość, lekceważąca sobie utarte koleje i porządki dotychczasowego życia rzymskiego. Ale od Afrykańczyka, który miał za sobą przynajmniej genialność, gorszymi byli inni panowie i panicze, którzy folgując indywidualnym żądzom niejednego użycia i nadużycia dopuszczali się po prowin-

cyach, a potem dopominali się głośnego uznania swej sławy. Przeciwko tym próżnościom Kato stanowczo walczył, sławie oficyalnej przeciwstawiał niesławę prywatnego życia. Zagnieździła się wtedy w Rzymie mania stawiania pomników. Kato na to zauważył, że więcejby mu schlebiało, gdyby kto się dziwił, dlaczego on nie ma w Rzymie pomnika, niż gdyby się pytał dlaczego mu posąg stawiano. Fałszywe i nieuzasadnione tryumfy były także objawem tej niepohamowanej żądzy odróżnienia się. Kato znów niejednemu zatruł te górne marzenia i zabiegi, skoro tryumf miał wieńczyć skronie człowieka, co albo nieszczęśliwą walkę był stoczył, lub żadnych wawrzynów wojennych nie uszczknął. Próżność wodzów skłaniała ich do tego, że na wyprawy wojenne zabierali heroldów swej sławy ze sobą. Fulvius Nobilior miał podczas wojny etolskiej Enniusza w swojej świcie. To było naśladownictwem Greków, wzorowaniem się na Aleksandrze Wielkim. Kato podobno w r. 204 sam Enniusza do Rzymu z prowincyi z sobą zabrał. Ale twórczość tego pisarza, jego innowacye literackie mu się nie podobały. Bo wogóle nie uznawał on innej literatury, jak ta, która naukę, moralność niosła społeczeństwu. Poetami, którzy chcieli ludzi bawić i rozrywać, gardził on stanowczo. I wogóle zżymał się przeciw hellenizowaniu rzymskiej literatury i rzymskiego życia. »Kiedy ów naród — mówił o Grekach — udzieli nam swego piśmiennictwa, zepsuje wszystko«. Greckich lekarzy, którzy wtedy w Rzymie pojawiać się zaczęli, podejrzywał, że sprzysięgli się, aby za pieniądze swemi medykamentami barbarzyńców, a więc i Rzymian, wytępić. Gniewał się na tych, którzy paradowali ze swoją biegłością w greczyźnie, przymilali się do Greków przemowami w ich języku. Sam twierdził, że dobrze jest z greckiem piśmiennictwem się zapoznać, nie posiąść go jednak gruntownie. Chociaż też niejedną myśl od Greków przejął, a w starości pilnie ich utwory czytał, przemawiał, gdy się okoliczność w Grecyi nadarzyła, po łacinie i przez tłumacza dopiero mowę swą słuchaczom przekładać rozkazał.

Podobnie sarkał na wzmożenie się wpływu i znaczenie kobiet. Sam był żonaty dwa razy: pierwszy raz z pewną Licinia; drugi raz ożenił się w sędziwym wieku z córką niejakiego Salo-

niusa, który służbowe u niego zajmował stanowisko. O świętość i poszanowanie domu dbał; ale żona miała do podrzędnego przywyknąć stanowiska. To, co Seneka później powiedział, że mąż rozsądnie a nie uczuciowo żonę kochać powinien, było i jego zasadą. Skarżył się na to, że gdy Rzymianie panują nad światem, kobiety chcą zapanować nad Rzymianami. Innym razem mówił: że gdyby na świecie kobiet nie było, życie nasze nie byłoby bezbożnem. Sentymenta nie miały się oczom narzucać: pewnego Maniliusa wykreślił jako cenzor z listy senatorów, dlatego, że żonę za dnia w obliczu córki pocałował. Sam, jak nadmieniał, pozwalał żonie tylko podczas burzy paść w swoje objęcia, przyczem dodał żartobliwie, że czuje się szczęśliwym wśród grzmotów Jowisza. Na przepych kobiet i ich stroje piorunował przez całe życie.

Otóż w r. 184 dostał on od ludu władzę cenzora, która mu pozwoliła nie tylko słowem gromić lecz i czynem karcić wybryki obywateli. Kato się łudził zapewne, że sąd, który teraz miał rozgrzmieć nad pokoleniem, będzie sądem ostatecznym nad wdzierającą się do Rzymu grecką kulturą. Potomni nazwali go Censorius; z tym przydomkiem wszedł on do historyi, ale kultura grecka przeżyła te lata gniewu Katońskiego, bo duch jeden nie zdoła cofnąć ducha historyi. Słyszymy, że niektórych wielkich tego świata wytrącił z listy senatu i z listy rycerzy, że ich zboczenia nielitościwie piętnował, że rewindykował dla państwa to, co prywatna chciwość zagarnęła, że artykuły przepychu, szczególnie kobiecego, wysokimi obciążył podatkami. Ale nad chwalebnemi kaźniami i kazaniami przeszła potem historya przeważnie do porządku dziennego.

Cenzura była szczytem godności w urzędowej Rzymianina karyerze. Kato znika później z widowni, aby resztę życia aż do roku 149 przepędzić na wsi lub w Rzymie, w którym jako senator, jako obywatel na wiecach, jako oskarżyciel lub oskarżony w sądzie pojawiał się jeszcze dosyć często. *Urbanas rusticasque res pariter callebat*, znał się równie na wiejskich i publicznych zajęciach, powiedział o nim Livius. Odkładając na później wiejską stronę jego życia, przypatrzymy się jeszcze jego głównym publicznym występom.

Sprawy, które szczególnie go zajmowały, wywoływały go jeszcze niejednokrotnie w wir walki i na arenę publiczną. Słyszymy, że po roku 184 także przeciw zbytkowi przemawiał; z greckimi wpływami potykał się i zmagał do ostatka, choć zalew szedł naprzód zwycięsko i samego Katona, który, według zgodnego świadectwa, na starość więcej literaturą grecką się parał, do pewnych zmusił ustępstw. W r. 168 zwycięstwo pod Pydną obaliło macedońską monarchię; w kruszeniu dzieła Aleksandra Wielkiego krok stanowczy nastąpił, a zarazem pchnął Rzym jeszcze bardziej w politykę wschodnią i wschodnie zamieszki. Pierwsza biblioteka grecka przyszła teraz ze zwycięskim Aemiliusem Paulusem do Rzymu, w r. 167 pojawiło się tysiąc zakładników greckich, których Rzymianie internowali w Italii, aby utrzymać Greków w spokoju. Wśród nich znajdował się historyk sławny, Polybios. Katonowi ci przybysze bardzo z pewnością nie dogadzali. Niezadowolenie jego z greckiego najazdu wybuchło nareszcie przy innej okoliczności. W r. 155 przysłały Ateny trzech filozofów do Rzymu, aby ten interweniował w sporze granicznym między Atenami i Oropos na korzyść Aten. Senat przewlekał decyzyę, a filozofowie, mianowicie Karneades akademik, używali poniewolnych wczasów na zapoznawanie rzymskiej młodzieży ze sztuczkami dyalektyki. Katona zdjął strach, że zamiłowanie w mowach dzielność rzymską zwątli; natarł on więc na senat, aby jak najprędzej dał poselstwu odprawę, iżby posłowie wróciwszy do Hellady z dziećmi greckiemi dysputować mogli, a młodzież rzymska do słuchania praw i urzędników wróciła. Podobnie w innym przypadku Rzym od obecności Greków uwolnić się starał. O owych zakładników, zatrzymanych w stolicy, upominała się Grecya wielokrotnie, ale napróżno. W r. 151 słowo Katona przeważyło szalę na ich korzyść; nie tyle mu chodziło o wyzwolenie Greków z Rzymu, co o wyzwolenie Rzymian od obecności greckich więźniów. Opowiada Plutarch, że kiedy w senacie rozprawy się przeciągały nad miarę, Katon w te słowa przemówił: Siedzimy tu, jakbyśmy nie mieli nic innego do roboty, o greckich staruszków się swarząc, czy przez naszych czy przez tamtejszych grabarzy pogrzebani być mają. Opowiadano dalej, że kiedy jeden z uła-

skawionych, Polybios, upominał się nieco później o to, aby zakładnikom senat przywrócił ich majątki i godności, Kato zauważył, iż postępuje tak samo, jak gdyby Odysseusz z paszczy Polyphema szczęśliwie się wydostawszy jeszcze raz tam powrócił, aby zapomnianą przepaskę i nakrycie na głowę ze sobą zabrać.

Zresztą w tych latach po cenzurze zaprzątały go rozmaite procesy, w które surowe sprawowanie urzędu go uwikłało. Występował też nadal przeciw wybrykom wielkorządców rzymskich na prowincyi. Powiedział on kiedyś, że »ci, co prywatną własność kradną, w pętach i kajdanach pędzą życie, a ci co publiczne przyswajają sobie rzeczy, w złocie i w purpurze«, i nielitościwie ścigał tych publicznych złoczyńców. Szczególnie gorliwie bronił Hiszpanii, z którą od konsulatu blizkie i ciągłe zadzierzgnął stosunki. Jeszcze w roku śmierci, 149, wystąpił on gwałtownie przeciw propretorowi Serviliuszowi Sulpicius Galba, który w nikczemny sposób podszedł wojsko Lusitanów. To była piękna strona w tym twardym zresztą człowieku, to orędownictwo za uciśnionymi. I tenże sam człowiek, który wobec Greków walczył pod hasłem dosyć ciasnego patryotyzmu rzymskiego i rodzimej cywilizacyi, napiętnował raz publicznie karykaturę patryotyzmu, którą jest szowinizm. W r. 167 po pogromie Macedońskiego Perseusza chciało pewne stronnictwo w Rzymie ukarać także tych, którzy królowi zwalczonemu rzekomo sprzyjali i dobrze życzyli, między innymi Rodyjczyków. Wtedy wystąpił Kato w ich obronie i podniósł słusznie, że ludzi, którzy nic złego nie uczynili, lecz żywili co najwięcej złe zamiary przeciw Rzymowi, za to karać nie wolno. Zauważał on słusznie, że wielu nie życzyło sobie zwycięstwa Rzymu, bo się troskało; »abyśmy gdyby już nie stało człowieka, któregobyśmy się obawiali, nie robili wszystkiego, cokolwiek się nam spodoba«. »Wiem ja, mówił, że niektórym ludziom wśród szczęścia, powodzenia i korzystnych wypadków duch się wynosi, i duma i bezczelność wzmaga się i rośnie«. Dlatego radził, aby wszelkie uchwały odłożono na później, »aż po takiej radości powrócicie do panowania nad sobą«. Złote to słowa dla wszelkiej tego świata pychy i nieprawości. W innych jednak razach był Kato bezwzględnym. Wrażenia młodzieńcze napełniły

mu serce głęboką do Kartaginy nienawiścią. Tradycya niepewna opowiada, że każdą mowę w starości nawoływaniem do zburzenia Kartaginy kończył. Szczegół to może nie autentyczny, ale to pewnem, że istnienie Kartaginy mąciło mu spokój i rozwagę. Mommsen wyraża zdanie, że to było starcze przywidzenie Katona. To pewnem, że przeciw planowi zburzenia Kartaginy występowała inna partya z Publiuszem Corneliusem Scipio na czele, która walczyła argumentem, użytym kiedyś w innym celu przez Katona. Obawiała się ona niebezpieczeństwa dla zdrowia moralnego Rzymu, gdyby mu zbrakło zupełnie groźnego przeciwnika. W dwa lata po śmierci Katona ziściła się jego wola, Kartagina została zburzoną, ale w jej gruzach poległo też niejedno zarzewie dzielności Rzymu, która była przez całe życie hasłem i marzeniem Katona.

Skreśliliśmy tak życie Katona pod względem przewodnich jego pobudek i głównych występów. Ale to nie daje całkowitego obrazu tej osobistości. Czynom towarzyszyły mowy, których Katon całe mnóstwo wypowiedział. A poza tem pozostało życie domowe z jego zajęciami i wczasami. Zajęcia poświęcone były pieczy i zabiegom około utrzymania i powiększenia majątku, wychowania dzieci; wczasy zapełniała nauka i pisanie. Bo Katon powiedział, że człowiek ze swoich wczasów także sprawę zdawać powinien, a na uwielbianie pracy i piętnowanie lenistwa nigdy mu słów nie zbrakło. »Nierobienie niczego uczy robienia złego«, powiedział raz, a innym razem taką w jędrne słowa ujął sentencyę: »życie ludzkie jest prawie jako żelazo; jeżeli masz je w użyciu, zetrze się, jeżeli go nie używasz, rdza jednak je zeżre. Tak i ludzi widzimy, że działanie zużywa; jeżelibyś nic nie działał, bezczynność i gnuśność więcej przyczyni szkody, niż działanie«.

Działał on więc czynem i piórem. Literatura, jaką greccy i półgreccy pisarkowie stworzyli w Rzymie, literatura głównie rozrywce służąca mu nie dogadzała. On przejęty był zasadą, którą głównie Stoicy głosili, że literatura pożytek przynosić powinna, że »pismo niepotrzebna zabawa«, jak się Rej wyraził, chyba że cnoty naucza. A więc to było jedną pobudką w jego pisaniu. A drugą to, że wpływ grecki i napływ literatury helleńskiej chciał

wyprzeć i ograniczyć, dorównać greckiej myśli, pokazać społeczeństwu i światu, że Rzymianie »swój język mają« i obędą się bez ciągłego ze strony Greków natchnienia i kierownictwa. Wreszcie wchodziły w grę względy wychowawcze na syna Markusa. Wiele pism Katona zwraca się do tego młodzieńca; pisane one *ad usum delphini*, któremu Kato rodzime chciał dać wychowanie.

A więc nie *medullitus*, nie z głębi duszy wypłynęła ta literatura Katońska, lecz uboczne potrzeby i podniety przeważnie ją wywołały. Najbardziej ze życiem autora związane są jego mowy. Wymowa pewna zrodziła się w Rzymie dosyć wcześnie; ustrój sądowy i ustrój państwowy ją podniecał. Ale nie każda mowa nadawała się do literackiego ogłoszenia i utrwalenia. Słyszymy, że mowa Appiusa Claudiusa Caecusa wypowiedziana podczas wojny z Pyrrhusem (280 przed Chr.) znaną była potomnym; późniejsi także wspominają pewne pochwały umarłych, *laudationes funebres*, które po archiwach rodzinnych przechowywano. Ale to są wyjątkowe objawy i wieści; pierwszym człowiekiem, który w większej ilości mowy swe ogłaszał i zebrał był właśnie Kato. Przemawiał on dużo i w rozmaitych okolicznościach; występował jako mowca na wiecach *(contiones)* i w senacie; występował dużo przed sądem, jako oskarżyciel lub jako obrońca, przedewszystkiem we własnych sprawach. Mowy polityczne już swoją treścią się nadawały do trwalszego istnienia; mogły jako polityczne pamflety dłuższy i trwalszy znaleźć odgłos. A mowy sądowe takie, które potrącały o sprawy polityczne również poza chwilą interes budzić mogły. Słyszymy, że Kato wplótł w swoje historyczne dzieło wiele swoich przemówień, że one stąd po części jako osobne pisma ogłoszone zostały; a Cycero w *Cato Maior* wkłada w usta Katona twierdzenie, że w starości pewną ilość obron znakomitszych zebrał i wydał.

Kato stoi więc właściwie na czele rozwoju rzymskiej wymowy. Cycero znał mów około 150; my dziś posiadamy drobne fragmenta z 80, a rozciągają się one od roku konsulatu w r. 195 do roku śmierci. Jak Kato często mówił, możemy z tego wnioskować, że sporny ten człowiek czterdzieści i cztery razy we własnej przemawiał obronie; to mu nastręczało sposobność do upusz-

czenia gniewu na przeciwników, do pochwały swojej osoby, w której surowy drugich sędzia niekoniecznie zachowywał miarę. Poznajemy z drobnych strzępów mowy polityczne, jak np. obronę Rodyjczyków w senacie, poznajemy inwektywy na urzędników i wielkorządców rzymskich za złe obchodzenie się z poddanymi lub mieszkańcami prowincyi, jak w mowach przeciw Q. Minuciusowi Thermus lub przeciw Serviliuszowi Galbie, dochodzą nas z nich gromy Katona na rosnący przepych i zepsucie. Znać w tych mowach pewne staranie się o formę, pewną znajomość przepisów retoryki, której Kato osobną książkę poświęcił. Powiązanie zdań często jest dosyć nieudolne; asyndeta tem silniej działają, silniej uderzają w przeciwników. Kumulacya synonimów a z drugiej strony powtarzanie tych samych wyrazów na początku lub w końcu zdań dodają tej prozie pewnej ozdobności. Anaphora i antistropha często u niego się pojawiają. Niekiedy śmiała przenośnia wypadła z ust człowieka, któremu nastrój poetyczny był dosyć obcym. *Mare velis florere videres,* czytamy w mowie dotyczącej spraw jego konsulatu. Słyszymy, że zaczynał każdą mowę uroczyście od inwokacyi bogów; potem uroczystość ustępowała wielokrotnie miejsca dosadnemu dowcipowi, który Katon miał na zawołanie. Jędrne powiedzenia jego żyły w pamięci potomnych, a niejeden współczesny chodził odtąd z piętnem słów gryzących, któremi go Kato obrzucił. Mowy te były z pewnością zwięzłe i treściwe; Kato powiedział raz o gadatliwym przeciwniku: *numquam tacet quem morbus tenet loquendi.* Sam w tę chorobę nie popadł, bo wyznawał zasadę, że nie myśl za słowami, lecz słowa za myślą gonić powinny. *Rem tene, verba sequentur,* było hasłem jego teoryi i praktyki na polu wymowy.

Zbiór mów miał się przyczynić do utrwalenia pamięci i chwały Katona. Inne pisma miały nieść pożytek społeczeństwu, przedewszystkiem najbliższym. Plutarchus opowiada w życiu Katona, że tenże dla syna Markusa własnoręcznie wielkiemi głoskami dzieje Rzymu spisał, dla przykładu i zbudowania patryotycznego. Tego podręcznika historycznego, czy elementarza nie mamy. Nie ograniczył się do tego Kato. Chciał on całą naukę dotychczasową ująć w zwięzłem, łacińskiem przedstawieniu, żeby piśmiennictwo

acińskie wzbogacić, a synowi ułatwić poznanie wszystkiego tego, co człowiek urodzony poznać i wiedzieć powinien. Doświadczenie nabyte życiem i nauka pozyskana z książek, miały się złączyć i objąć całokształt wiedzy. Cycero mówił o Katonie (*de or.* 3, 135): »niczego w tem społeczeństwie wonczas wiedzieć lub nauczyć się nie było można, czegoby Kato nie był zbadał i wiedział i spisał«. Za jednym zamachem, z podziwienia godną śmiałością, dla Rzymian, z drugiej ręki i głowy w nauce przeważnie żyjących, znamienną zabrał się Kato do zadania, z którego wyszła encyklopedya wiedzy ludzkiej. Zwała się ona zapewne *Praecepta ad filium* i w formę przemowy do syna była ubraną. Takie encyklopedye cieszyły się zawsze u Rzymian gorliwą uprawą i wzięciem; lubiano tę skondensowaną czy rozwodnioną wiedzę, która jak apteczka domowa, miała służyć w najważniejszych, codziennych ducha potrzebach i wątpliwościach. Pojawiały się więc często takie encyklopedye w pewnych odstępach czasu w piśmiennictwie rzymskiem; po Katonie pisał o wszystkiem Varro w pierwszym wieku przed Chrystusem, a w sto lat później A. Cornelius Celsus, w drugim wieku Apuleius, w początku piątego stulecia opracował Martianus Capella siedem sztuk wyzwolonych, w szóstem Cassiodorius. Kato tedy chciał synowi podać elementa i główne zasady retoryki, agronomii i medycyny, a zapewne także wojennej nauki i prawa. Ujął on swoje przepisy w krótkie, apodyktyczne zdania, brzmiące jak przykazanie, lub wyrocznia. Dlatego wspominano te nauki zwrócone do syna, jako *oracula* Katona. Drobne ułamki z tego dzieła zachowały nam pewne sentencye i nauki na życie. Nie obyło się bez napaści na Greków, na ród ten przewrotny i niepoprawny. Ich medycyną, którą wytruć rzekomo zamierzyli Rzymian, gardził Kato. On miał swoje na tem polu doświadczenia, swoje zabobony, zamawiania. A za argument o ich skuteczności to starczyło, że on i żona do podeszłego doszli wieku. Polecał więc tym bardziej synowi, aby tychże praktyk się trzymał. Pliniusz ciekawe nam zachował Katona twierdzenie, że starcza młodość zapowiedzią jest śmierci przedwczesnej. Agronomiczne jego zasady skądinąd poznamy. W krótkim dla syna katechizmie znajdowały się takie trzeźwe wyrocznie: kupuj nie co potrzebnem,

lecz co koniecznem; za to, co nie potrzebnem jeden as drogą jest zapłatą. Albo: czego ci zbraknie, pożyczaj od siebie. Wśród nauk retorycznych znajdowała się definicya: *orator est vir bonus dicendi peritus*, żądająca od mowcy nie tylko biegłości w mowie, lecz cnoty. Tu także znajdowało się sławne przykazanie: *Rem tene, verba sequentur*. Kato znał z pewnością doktryny retoryczne greckie; pewna ozdobność mów jego dowodzi zależności od greckiej teoryi. Ale wyraził się kiedyś o niej z przekąsem, ganił jej subtelne i skomplikowane reguły. Twierdził, że w Isokratesa szkole uczniom zestarzeć by się przyszło na ciągłej nauce, ażby chyba na sądzie ostatecznym przed Minosem wprowadzili w życie nabyte teorye. Kiedyindziej przeciwstawiał jędrności swej mowy grecką wielosłowność. Mówił, że wyrazy u Greków z warg idą, a z serca u Rzymian. Zapewne, jak wspomnieliśmy, w tych naukach do syna się zwracających, znalazł się także wykład o prawie i sztuce wojennej.

Niektóre z tych działów prawdopodobnie opracował Kato nieco obszerniej w osobnych traktatach poza szkicami w podręczniku dla syna sporządzonymi. Bo w napomnieniach lekarskich wspominał wyraźnie pamiętnik odrębny, *commentarius* z receptami dla zdrowia syna, niewolników, domowników. Zapewne więc napisał też Kato osobne dziełko *de re militari*. Tu mógł uwydatnić wyższość Rzymian wobec Greków, którzy na polu dyscypliny wojskowej stali dużo niżej, wskutek wybujałego indywidualizmu, a na polu strategii z Rzymianami równać się nie mogli. Było tu niewątpliwie dużo utyskiwań na upadek ładu i karności wojskowej wśród samych Rzymian. Bo przecież zbytniej wobec żołnierzy miękkości dopatrzył się Kato już u Scypiona, wyrzekał na społeczeństwo swoje, w którem kucharza więcej płacą, niż konia. Były w tej księdze także strategiczne i taktyczne przepisy. »W innych sprawach, mówił Kato, jeżeli błąd popełniono, naprawić go można, pomyłki w bitwie naprawy nie cierpią, bo kara idzie tu zaraz w ślad za błędem«.

Ważniejszem i jedynie zachowanem pismem Katona jest księga jego o rolnictwie, *de agricultura*. Obok traktatu o medycynie, w którym Kato do syna przemawiał, spisał on *commen-*

tarius, zawierający różne recepty na rozmaite wypadki. Tak samo stało się w dziedzinie rolnictwa. Poświęcił on wykład tej nauki synowi; a obok tego prowadził zapiski, moglibyśmy powiedzieć raptularz, w którym na czele spisał pewne uwagi o niektórych szczegółach gospodarstwa, a potem z kolei i bezładnie dopisywał rady i wskazówki dotyczące najrozmaitszych szczegółów. Tak zapewne powstała książka, która z całej spuścizny Katona jedynie się do naszych dochowała czasów. Jest to najstarszy pomnik prozy w łacińskiej literaturze. A mimo specyalnego przedmiotu, mimo oschłości przedstawienia, rzuca on niemało światła na umysłowość rzymską, pozwala nam wniknąć w sam rdzeń duszy Rzymianina.

Dzieło to wskutek takiego układu czy nieładu literackiem nie jest. Ani wygładzenia w niem nie znać, ani też całej dziedziny rolnictwa nie objęło. Zawiera rozmaite przepisy, co do stosownego położenia majątku, co do jego zarządcy czy ekonoma, co do uprawy oliwek i wina, daje rozmaite recepty kuchenne i medyczne. Uprawa zbóż czyli Cerealiów najmniej zajmuje miejsca. Ale po części wskutek tego, że powstało z dorywczych zapisków, znać w niem tchnienie rzeczywistości i słychać tętno życia. Ani to żywot poczciwego człowieka, w którym jak u Reja wszystko w rajskiej się nurza pogodzie i cnocie, a przyroda raczej pieści człowieka, niż żeby on jej w znoju służył, ani też sielanka, w której pasterze zawodzą na przemian, zapominając o trzodach. Kato mówił o sobie: »ja już od samego początku całą młodość moją w oszczędności, w znoju i pracy utrzymałem, uprawiając rolę, przekopując i obsiewając kamieniste pola sabińskie«. Dlatego też w jego książce więcej mowy o mierzwie niż u Reja, a mniej lirycznych effuzyi o jabłuszkach, ogóreczkach meluneczkach i innych »ogrodnych rozkoszach«.

Dostojność rolnictwa sławiła często rzymska literatura. Kato nie szczędził mu pochwały. Kupiectwo wydawało mu się niebezpiecznem, spekulacye pieniężne zajęciem budzącem niechęć i nienawiść. Podobny sąd występował w naszej literaturze, np. u Orzechowskiego, który poza rolnictwem i rycerską sztuką wszystkie inne rzemiosła za »sprośne a smrodliwe« uważał. Kato mówi we

wstępie książki: z rolników powstają najtęższi mężowie i żołnierze najdzielniejsi... ludzie, którzy tem się parają zajęciem, są najmniej źle myślącymi — *minimeque male cogitantes sunt.* Po tym hołdzie zaraz się zaczynają rady i przepisy szczegółowe, z których niektóre uwydatnimy.

Kato ma na myśli majątek większy, uprawiany przez niewolników. Wolne chłopstwo wskutek wojen italskich i przewrotnej polityki już wtedy w przeważnej części znikło i ustąpiło miejsca większym właścicielom, którzy przez niewolne ręce, najczęściej z daleka, ziemię sobie uprawiać kazali. Ponieważ uprawa zboża mało się opłacała, oliwki i winnice wypierały powoli Cerealia. Kato przyjmuje ten stan jako rzecz daną, niema słowa przygany dla niezdrowych, ekonomicznych stosunków. Przeciwko niemądrej polityce Rzymu, który zbożem taniem sprowadzanem z zagranicy przyczyniał się do ruiny rolnictwa, a rozdawnictwem tego zboża między ludność przyspieszał jeszcze ten upadek, zdobył się jednak agraryusz Kato na silne wyrazy. Ale wiedział, że wobec ludu rozmiłowanego w tych largicyach wymowa jego mało wskóra, bo słusznie mówił, że »trudnem jest przemawiać do żołądka, który uszu niema«.

Wyżej ponad tę krytykę Kato się nie wzniósł. Pogląd jego na rolnictwo jest poglądem kapitalisty, który największą sumę dochodu z ziemi chce wycisnąć. »Wzbogacajcie się« było jego hasłem, które synowi powtarzał, wzbogacajcie się na podstawie danych stosunków; socyalne i ekonomiczne niedomagania Italii nie zakłóciły zbytecznie jego spokoju. Przystąpiwszy do niego z temi zastrzeżeniami, przyznać musimy, że jego książka o rolnictwie zawiera niejedną złotą i wieczną prawdę, że jej niektóre uwagi dosadniejsze rzucają światło na starorzymską duszę, niż obszerne opowiadania historyków to uczynić by zdołały. Rządność, trzeźwość sądu i pewna bezwzględność rzymska bije z każdej karty Katona. Rolnikowi daje on napomnienie: sprzedającym, nie wydającym powinien być ojciec rodziny — *vendacem non emacem esse oportet.* Długo się on ma namyślać, nim zacznie co budować — *aedificare diu cogitare oportet.* Najciekawsze są uwagi dotyczące niewolników i czeladzi. Na czele gospodarstwa posta-

wiony ekonom *vilicus*, nie ma się włóczyć po świecie, *ne sit ambulator*, nie ma o sobie mniemać, by lepiej rzecz rozumiał od pana, jego żona też ma w miejscu siedzieć, po sąsiednich kumoszkach nie ma chodzić. Na czas ma być wszystko zrobione, »bo gdy z jedną robotą się spóźnisz, wszystkie roboty za późno spełniać będziesz«. Rząd nad niewolnikami ma wyłącznie interes pana na oku; należy między nimi siać niesnaski i swary, bo zgoda ich mogłaby dla pana stać się niebezpieczną, starszych i do roboty już niezdolnych należy się pozbywać, aby ich darmo nie żywić. Kiedy niewolnicy chorują, zdobywa się pan wobec ekonoma tylko na jedną uwagę, że wydatki na ich wyżywienie powinny były być mniejsze. Gospodarstwo powinno w domu znaleźć radę na wszystko; modlitwa przy ołtarzach miejscowych do miejscowych bóstw, wystarczy, innych pośredników w stosunku do bogów szukać nie należy; na choroby czeladzi czy bydła zdadzą się też tradycyą uświęcone leki, które o miedzę z czarami graniczą.

A cały ten poradnik ujęty we formę imperatywów, przypominających przykazania dwunastu tablic, lub krótką komendę wodza. Dlatego też książka Katona ma takie rzymskie piętno i takie rodzime. Możliwem jest, że autor do ogłoszenia jej nie przeznaczał; nieład treści, brak literackiej dyspozycyi i poloru tem by się w części tłumaczyły. Rzymianie jednak, do których *imperativus* i praktyczność szczególnie przemawiały, upodobali sobie rady rolnicze Katona.

Kazimierz Morawski.

HEKUBA.

(1863 r.).

POWIEŚĆ.

I.

Starą nie była jeszcze; nie miała więcej nad lat czterdzieści i w pierwszej młodości swej ładną być musiała, bo wyraźne ślady tego pozostały w zgrabnym rysunku twarzy jej i niepospolicie pięknych oczach, w obfitości włosów, teraz jeszcze do kolan długich i barwę gorejącego złota mających.

Ale nie w głowie były jej młodość i piękność; dbała o nie, jak o piąte koło u wozu. Gdy jej ktoś z sąsiadów żartem raz powiedział: »pani Teresa, gdyby ładnie ubrała się i uczesała, a kroczkiem trochę mniej zamaszystym chciała chodzić, toby jeszcze śliczną kobietką być mogła«, zdziwiła się zrazu, potem się rozgniewała i sąsiada ofuknęła.

— Także koncept! Niechże mi pan Ignacy głowy głupstwami nie zawraca, a powie lepiej: czy pożyczy mi tego grochu na zasiew, po który przyjechałam, czy nie pożyczy, bo jeżeli nie, to siadam na bryczkę i jadę! Czasu nie mam!

Wiecznie czasu nie miała, śpieszyła, biegła, o coś starała się, coś pilnego do czynienia miała. Co czyniła? Boże wielki! Ani wyliczyć, ani powiedzieć! Wszystko, co czynić trzeba było, mając folwarczek malutki, dzieci sześcioro i męża, który był naprzód hulaką i marnotrawcą, potem próżniakiem i pieczeniarzem, a potem umarł i ją wdową pozostawił.

Niektórzy na pracowitość jej fenomenalną, ruchy energiczne, oczy błyszczące, a niekiedy aż gorejące spoglądając, mawiali: co za temperament! I mieli słuszność. Niezwykłość temperamentu była tem właśnie, co losami jej zarządziło.

Niegdyś, ośmnastoletnią, ładną, dość posażną i szeroko spokrewnioną będąc, tak się była w sąsiednim niceponiu zakochała, że perswazye ani wzbraniania żadne nie pomogły.

— Hulaka! — mówiono jej, — próżniak, bałamut, bankrut! A ona.

— Niema na świecie aniołów. Każdy człowiek ma wady i on je ma także. Ale ja go z wadami i pomimo wad kocham i nigdy, aż do grobowej deski kochać nie przestanę!

A kiedy matka i najbliżsi krewni stanowczo małżeństwu temu opierać się próbowali, oświadczyła, że w razie stawiania jej dalszych przeszkód, z domu ucieknie, ani domyślą się jakim sposobem i kiedy ucieknie, z wybranym swoim w jakim ustronnym kościółku ślub weźmie, a potem matkę i krewnych o przebaczenie poprosi. Że przebaczą, to dla niej wątpliwości nie ulega, bo ją kochają przecież — i jak jeszcze! a w dodatku szczęście jej przepraszać za nią będzie. Bo ona pomimo wszystkich przepowiedni czarnych i krakań kruczych ani na chwileczkę o przyszłem szczęściu swem nie wątpi.

Znając ją, wszyscy wiedzieli, że to, co mówi, może próżną groźbą nie być. Tak żywą i śmiałą była, tak dzielnie matce w gospodarstwie dopomagała, tak ochoczo do każdej zabawy, albo roboty stawała, że kozakiem-dziewczyną ją nazywano. Mogła bardzo uczynić to, na co inne stworzenie, potulne i nieśmiałe, zdobyćby się nie potrafiło.

Przytem, zdawało się nawet, że ten kościółek ustronny i takie na drodze niezwykłej złożenie dowodu miłości wybranemu, posiadać dla niej mogły urok pewien, poetyczny czy romantyczny, bo za poezyą wogóle przepadała i pomimo niezwykłej żywości swej, do marzycielstwa miała skłonność. Dużo za północ nieraz w poemacie jakimś zaczytać się umiała, albo na pięknie zachodzące słońce, na ładny widoczek leśny, na łąkę bogato rozkwitłą zapatrzyć się tak, że jak ze snu budzić ją było trzeba, a gdy

wybrany zasiadał do fortepianu i głosem bardzo miłym śpiewać zaczynał: »Stój, poczekaj moja duszko, skąd drobniuchną strzyżesz nóżką«, albo: »Dwa gołębie wodę piły, a dwa ją mąciły«, do najciemniejszego w pokoju kącika wsunęła się i po świeżej jak jutrznia jej twarzy, cichuteńko spływać zaczynały perliste łzy.

Matce, krewnym, przyjaciółkom, wszystkim, którzy ją przed złym wyborem i losem ostrzegali, mawiała:

— Od ruiny majątkowej posagiem swym go wyratuję, do porządnego życia przyzwyczai się, bo mię kocha. A czyż może być na świecie szczęście większe, wyższe, jak wyratować, uszczęśliwić, uszlachetnić, udoskonalić człowieka kochanego.

I gdy to mówiła, piwne źrenice jej sypały złotemi iskrami, a policzki przemieniały się z płatków jaśminowych w ponsowe róże.

Nie było rady. Pobrali się i po krótkiej przerwie, która zdawała się urzeczywistniać marzenia kozaka-dziewczyny, w sercu, w głowie, w sposobie życia jej wybranego, wszystko poszło po dawnemu. Tak jak dawniej począł próżniaczyć, w karty grać, na huczne polowania jeździć, różnym paniom i nie paniom głowy zawracać, jej posag i resztki majątku swego galopem roztrwaniać.

Uszlachetnienie i udoskonalenie kochanego człowieka nie udały się, — czy i szczęście także? Naturalnie, ale tego domyślać się tylko było można, bo p. Teresa, pomimo prawdomówności i wielomówności swej, o losie swym i wszystkiem, co on jej przyniósł, jak grób, czy kamień milczała. Byłaż w milczeniu tem ambicya skarg i użalań się nie znosząca, czy pomimo wszystko trwające kochanie? Jedno i drugie zapewne, lecz może więcej drugie niż pierwsze. Może p. Teresa należała do tych natur głębokich, w których, gdy raz kochanie zapadnie, to go ani gorzkie łzy zawodu zalać, ani palące żelazo bólu wypiec nie są zdolne.

I to tylko widzieli wszyscy, że jak przedtem męża, tak potem dzieci, gdy na świat przychodzić zaczęły, kochała z czułością i troskliwością niezmierną, entuzyastycznie, bez granic. Inaczej widać kochać nie umiała i taka właśnie miłość musiała być koniecznym i wierzchołkowym wykwitem jej natury.

Sprowadziła też miłość ta w jej życiu dalszem następstwo dość osobliwe.

Kiedy ostatecznie majątkowo zrujnowani, ona i mąż jej, z trojgiem już dzieci, zamieszkali w folwarczku malutkim, jedyną już ich własność stanowiącym, p. Teresa wnet obejrzała się po niedużych kawałkach pola, łąki, lasu, po zabudowaniach gospodarskich, po rachunkach dzierżawcy, który im w małym domku miejsca ustępował i — zabrała się do pracy.

Zrozumiała, że wioszczyna ta, w cichą samotność równin polskich rzucona, stanowiła warstat jedyny, na którym wyprząść i wytkać trzeba było byt tych, których kochała, że ten domek pod słomianą strzechą, pomiędzy stare lipy i grusze wtulony, musi stać się opoką dla stóp drobnych, dla długiej przyszłości jej dzieci, i że ona jedna tkać na warstacie, opokę przed skruszeniem się uchować potrafi. Pomocnika, tem bardziej wyręczyciela nie miała, nie! Więc do warstatu i opoki zabrała się sama żwawo, energicznie, i rozpoczęło się dla niej życie twarde, szorstkie, jak wór sieczką, napełnione drobiazgami, które tak, jak źdźbła sieczki były dla dotknięcia ostre i kłujące, dla oczu szpetne i przykre.

On, licznych i mniej albo więcej majętnych krewnych mając, jeździł od dworu do dworu, tu tygodnie, tam miesiące bawiąc się i bawiąc, dla obyczajów gładkich i humoru wesołego wszędzie mile witany i widziany, zawsze jeszcze paniom podobający się i przypodobujący, ładnie śpiewający, na polowaniach umiejący strzelać celnie, a potem o nich najśmieszniejsze anegdoty opowiadać.

Do domu zaglądał kiedy niekiedy, dzieci w zgrabnych ramionach przez czas jakiś pochuśtał, żonę pieszczotami i czułościami osypał, a potem poziewać z nudy, wyciągać się w całej długości na sprzętach, nad nieszczęściami swemi biadać zaczynał, aż po niedługim czasie następowała pora humoru piekielnego, posępności grobowej, fukania na wszystkich i wszystko, czasem nawet gróźb rychłej, a bodaj, że nawet samobójczej śmierci, aż nakoniec, dłużej już życia w tej norze, w tej dziurze, w tym czyścu ziemskim wytrzymać nie mogąc, odjeżdżał znowu, aby po tygodniach

lub miesiącach powrócić na dnie niedługie. I zdarzyło się, że nigdy już nie powrócił. W domu daleko mieszkających krewnych srodze na polowaniu przeziębiwszy się — umarł. Pani Teresa zaś długo po nim z twarzą od płaczu spuchniętą chodziła. Patrzący wówczas na nią mawiali pomiędzy sobą: »ma też kogo tak długo i wiele opłakiwać«! Ona jednak płakała długo i wiele. Taką już była.

Zresztą, jak przedtem, tak i w dalszym ciągu chodziła po polach, dozorowała robotników, stróżowała nad orką, młocką, zasiewem, sianokosem, żniwem, doglądała inwentarza, z pomocą paru dziewek ogrody uprawiała, nierzadko własnoręcznie gotowała strawę, a w długie noce zimowe szyła odzież dla siebie i dzieci. O pierwszych brzaskach dziennych, na mróz, deszcz, śnieżycę, wichurę, czy na rajskie od ros świeżych i świtań błękitnych poranki letnie, pierwsza wychodziła z domu, aby nieliczną czeladź budzić, wraz z nią roboty dzienne rozpoczynać. Oprócz tego, często do sąsiednich wsi i miasteczek jeździła, wszystko, co trzeba było sprzedając, kupując, braki różne zapełniając, stratom zapobiegając, o mnóstwo drobin tego twardego bytu dobijając się z trudem, z targiem, z troską, od których nieraz poty perliste na czoło jej występowały. W dodatku, zupełnie już nie wiadomo jakim sposobem, czy jakim cudem zdołała śród tego wszystkiego trzech synów z kolei do szkół przygotować i wysłać, córkę jako tako wyedukować i dwoje dzieci najmłodszych, drobnych jeszcze, doglądać...

Cóż dziwnego, że od lat wielu już w sposób taki żyjąc — straciła formę. Było to wyrażenie jednego z sąsiadów, który patrząc raz na nią przez pokój idącą, z cicha rzekł do obecnych.

— Pani Teresa zupełnie straciła formę...

I prawdziwem to było do tego stopnia, że gdy szła, to z pewnego oddalenia trudno było powiedzieć napewno, czy to kobieta, albo mężczyzna idzie, a z blizka znowu, każdy nic o niej nie wiedzący długo namyślaćby się musiał przed zadecydowaniem, do jakiego stanu społecznego i poziomu cywilizacyjnego niewiasta ta należy.

Nie była wcale otyłą, a jednak w pasie, ramionach i całej

sobie była grubą. Pochodziło to ze zgrubienia czy rozrostu muskułów, które wciąż mocowały się z chłodem, gorącem i fizycznym trudem, a nadawało jej pozór bryłowaty, ciężki, dziwnie znowu sprzeczający się z żywością i energią ruchów. Po dawnych jaźminach i różach jej twarzy śladu już nie pozostało i ogorzałą, zgrubiałą skórą powleczona, twarz ta zachowała tylko piękny zarys ust i czoła, a także te duże, w niepospolicie piękną oprawę ujęte oczy, których piwne źrenice, teraz jeszcze umiały w chwilach wzruszenia czy zamyślenia sypać złotemi skrami, lub świecić jak gwiazdy.

Ale do tego stracenia przez p. Teresę formy, więcej jeszcze od zgrubiałości muskułów i twarzy, przyczyniało się ubranie. Byłże to był dla wytwornych i strojnych sąsiadek skład dziwów nad dziwami w tem ubraniu, które nigdy nic wiedzieć nie chciało o modzie i elegancyi, a wiedziało tylko o taniości i wiecznym braku czasu! Więc spódnice jakieś zbyt krótkie, a co gorsza, z jednej strony dłuższe, z drugiej krótsze, kaftany jakieś źle skrajane i z pierwotną prostotą uszyte, buty grube i stukające, chustka na głowie zamiast kapelusza. I tylko włosy. Do tych p. Teresa słabość znać miała, bo zawsze lśniące i w gładki warkocz zaplecione, zwijały się z tyłu jej głowy nakształt ogromnego węża, któryby miał barwę mieniącej się w blasku słońca łuski kasztana.

Zapracowała się p. Teresa, zaniedbała samą siebie i »straciła formę« lecz nie zdawało się ją to martwić, ani zawstydzać, ani zrażać do bywania kiedy niekiedy w domach sąsiedzkich, do brania udziału w licznych nawet zebraniach towarzyskich. Był w niej pociąg do życia towarzyskiego; wesołą pomiędzy ludźmi bywała, mówną. Gdy z bryczuszki w dwa małe koniki zaprzężone przed domem sąsiadów wysiadłszy, krokiem swoim zamaszystym i stukającym, w sukni z jednej strony krótszej, z drugiej dłuższej, do pięknego, wykwintnego, ludnego salonu wchodziła, na ustach miała uśmiech szeroki, który rząd zębów jak perły białych odsłaniał, a na powitanie, ręce obecnych tak mocno w stwardniałych od pracy dłoniach ściskała, że niektórzy aż z bólu sykali. Na kanapie albo jakim paradnym fotelu ją posadzić, zupełnem było niepodobieństwem. Wykręcała się od zaprosin, zawieruszała

się pomiędzy towarzystwem, gdzie to tu, to tam, ówdzie słychać było, jak całowała się z paniami, żartowała z panów, o różnych rzeczach i sprawach rozprawiała głosem, przyzwyczajonym do przemawiania w polu, w ogrodach, w stodole, więc zbyt donośnym i niekiedy wpadającym w tony tak grube, że trudno było zdala rozróżnić, czy to jest męskie, albo niewieście mówienie.

Ale u siebie w domu, w Leszczynce swojej, gdy nikt obcy na nią nie patrzał, miewała często czoło zmartwione, a oczy pełne zadumy, czy tęsknoty. Nieraz, gdy w gorące żniwa, po dniu na skwarze słonecznym spędzonym, z pola do domu powracała, krok jej zamaszystość swą utracał i powolnym stawał się, zmęczonym, a wzrok ku górze podniesiony błąkał się po obłokach, przez letni przedwieczerz malowanych i złoconych. Zbaczała nieco z drogi wprost do małego dworku prowadzącej, wchodziła na łączkę przydrożną i tam, wśród mietlic rozczochranych i koniczyn kwitnących siadała. Rozczochrane mietlice, koniczyny wysokie, gronami białych pereł obwieszone, szczawie o potężnych, czerwonych kitach, ogarniały ją i zasłaniały aż po szyję, tak, że nad tą topielą puszystą i różnobarwną widać było tylko jej głowę z bujnym, ognistym warkoczem i z twarzą od znoju wilgotną. Lekkie wiatry przedwieczorne muskały wtedy tę twarz uznojoną, a przed oczyma od zmęczenia przygasłemi powstawała nad niedalekim lasem zorza wieczorna, złota i różowa. I patrzały wtedy oczy te na zawieszającą się pomiędzy niebem i ziemią zasłonę świetną, patrzały, podziwiały, modliły się, wielbiły, aż poczynały nabierać od niej blasku, aż powracały do nich siła i radość życia, aż marzące, smutne, rozmodlone, zachwycone, nad gęstwiną mietlic, koniczyn i szczawiów — świeciły jak gwiazdy.

Zdarzało się również, że w noce zimowe, za domem białe od śniegu, w domu ciche od powszechnego uśpienia, ogarniały ją zadumy, do fal gorzkich, posępnie szemrzących podobne.

Dzieci w przyległym pokoju spały spokojnie, a ona w izdebce swojej, u jedynego jej okna, przy świetle małej lampy odzież ich naprawiała. Wysoki stos białych płócien wznosił się przed nią na stole, wiatr za oknami szumiał, czasem gałąź wichrem poru-

szona sucho i twardo w szybę zastukała lub świerszcz odezwał się pod piecem.

Z głową pod światłem lampy pochyloną szyła pilnie, aż nagle nie wiedzieć dlaczego, igła wysuwała się z jej palców i czoło na dłoń opadało. Z czołem i oczyma zakrytemi dłonią siadywała nieruchomo i tylko czasem, jakby czemuś dziwując się bezdennie, lub nad czemś boleśnie biadając, głową powoli wstrząsała lub w obie strony kołysała. Dziwowałaż się tak losowi własnemu. Biadałaż nad omyłką w dniach kwitnącej młodości popełnioną?

Niekiedy także wśród takiej zadumy nocnej z ust jej wnet wychodzić poczynały nuty piosnki starej: »Dwa gołębie wodę piły«... Nigdy więcej nad ten początek piosnki nie zanuciła, opamiętywała się zaraz, milkła... Byłoż to echo od wiosny życia, w tę noc zimową przywiane, echo i odbłysk miłości jedynej w życiu, zawiedzionej, zdeptanej?...

Ale w sąsiednim pokoju jedno z dzieci niespokojnie poruszyło się na posłaniu, drugie wśród snu krzyknęło.

Pani Teresa, w mgnieniu oka na nogach, biegła ku sypialni dziecięcej, a gdy po chwili, przekonawszy się, że nic złego nie zaszło, powracała, oczy jej, usta, twarz cała jaśniały od błogiego uśmiechu.

— Robaki moje, kwiatki, brylanty, pociechy, skarby moje!

Wśród licznych jej znajomych byli tacy, w których budziła szacunek lub podziw i tacy, których bawiła albo nudziła, którzy ją też po trochu wyśmiewali. Dość powszechnie zresztą przyczepiano do niej nazwę *rizago*. Życie zaś inną jeszcze nazwą wkrótce obdarzyć ją miało...

II.

Tej wiosny syn najstarszy p. Teresy dwudziestoletni student, od paru lat w dalekiej stolicy przebywający, razem ze skowronkami do Leszczynki zleciał i już z powrotem nie odleciał. Gdyby pani Teresa do powrotu go namawiała, nie usłuchałby pewnie, ale ona nie czyniła tego i raz go tylko, oburkliwie, krótko zapytała.

— Cóż będzie, Julek? nie pojedziesz?

— Nie, matuchno, odpowiedział. Nie pojadę...

Czoło jej zbiegło się w dwie grube zmarszczki i przez chwilę stała ze wzrokiem w ziemię wbitym, posępna i zgnębiona. Potem jednak głowę podniosła i spokojnym już głosem rzekła.

— A no! Cóż robić? Kiedy inaczej być nie może...

— Nie może, matuchno!

— Ja to i sama wiem. A kiedy inaczej być nie może to i basta!

Do gospodarstwa odeszła. Ale kiedy z pękiem kluczy w ręku szła przez mały dziedziniec do swirna, w którym różne zapasy żywnościowe się mieściły, krok jej cięższy i powolniejszy był niż zwykle.

Bóg jeden tylko wiedział, z jakiemi trudnościami, przeszkodami, troskami zdołała ona syna tego do szkół przygotować, w szkołach utrzymać, do stolicznego uniwersytetu wysłać. Parę razy ktoś z krewnych dopomógł nieco i oto już za lat trzy Julek skończonym medykiem zostanie, a jakim będzie medykiem, jakim człowiekiem, to już ona jedna tylko wiedzieć mogła, która go najlepiej ze wszystkich ludzi znała i tyle już dziwów, o jego zdolnościach, o jego duszy, o jego przyszłości wyroiła. W rojeniach tych zresztą wcale nie wszystko było urojeniem i powszechne zdanie w okolicy panowało, że p. Teresie syn najstarszy dobrze się udał. W zimie, która tę wiosnę poprzedziła, sąsiedzi często słyszeli ją mawiającą:

— Oho! niechno tylko Julek nauki skończy i na własnych nogach stanie, to już ja o przyszłość Janka, Olka, Bronci i Ludwiczki spokojną będę. Choćbym i oczy zamknęła, choćby na Leszczynkę nieurodzaje, czy inne klęski spadły, on zginąć im nieda!

— A dlaczegóż to pani, — ktoś raz zauważył, — wszystkie dzieci wymieniając, o pannie Inie zapomina?

Na to zapytanie radość na twarzy jej gasła i oczy niespokojnie migotać zaczynały.

— Inka! no cóż Inka! Ośmnaście lat kończy, już dorosła...

— Za mąż rychło ją pani wyda, co?

— Może... pewnie... na to przecież rosną dziewczęta...

— Patrzeć tylko jak chłopiec jakiś porwie ją od pani... jakże... takie śliczności...

— A pewnie, że śliczna jest! co prawda, to prawda! — rozpromieniała się znowu p. Teresa, lecz wnet z nowem zaniepokojeniem oczu i czoła dodawała.

— Tylko, że ta śliczność tak samo, nam, kobietom, nieszczęście jak szczęście sprowadzać może. At, w ręku Boga los ludzki! Jak Bóg da...

Znać było, że wspomnienie o ślicznej Ince niepokój w niej budziło, ale dlaczego, o tem nikomu nie mówiła. Właściwie dziewczynie tej, za którą, gdy tylko się gdziekolwiek ukazała, panowie jak słoneczniki za słońcem się obracali, na imię było: Michalina, ale ona imię to zbyt ladajakiem znajdując, gdy tylko dorosła, zaczęła wszędzie gdzie tylko mogła nazywać się i podpisywać: Ina. Dla dogodzenia jej, wszyscy tak samo nazywać ją zaczęli, bo dogadzać jej każdy czuł potrzebę, mus niemal. Nie byłaż śliczną?

Dzień był kwietniowy, bardzo pogodny i ciepły. Wiosny tej kwiecień przyszedł na świat takim, jakim zazwyczaj maj przychodzi. Przedwczesne upały dopiekać zaczynały i wszystko przedwcześnie rozzieleniało się i rozkwitało. W Leszczynce, szare ściany małego domu oblewał blask słońca, na mchem błękitnawym poplamioną strzechę, lipy kładły pełne listowia gałęzie, przed kilku małemi oknami kwitło na grzędach trochę narcyzów i piwonii. Na małym dziedzińcu, budowelkami gospodarskiemi otoczonym i w znacznie większym ogrodzie owocowym i warzywnym, panowała cisza, którą napełniał niezmierny gwar ptactwa. Mnóstwo tego pierzastego drobiazgu gnieździło się tu w gałęzistych drzewach i metalicznym szczebiotem, jak winem musującem, napełniało czarę kryształowo czystego powietrza.

Julka ani Inki nie było w domu. On teraz często puszczał się na wyprawy po sąsiedztwie i całym powiecie, ją sąsiadki na dość długo zabrały, aby im w jakichś pilnych zbiorowych robotach pomagała. Pani Teresa szła z ogrodu warzywnego, gdzie kilka kobiet wiejskich jakąś zieleninę na zagonach rozsadzało, a dwie kilkoletnie dziewczynki, w krótkich sukienczynkach, wy-

soko nagie ich nóżęta odkrywających, krok w krok za nią, wśród agrestowych krzaków, dreptały.

Niezwykle zamyślona p. Teresa zdawała się niesłyszeć dwóch cienkich głosików, które tuż za nią, to po kolei, to razem wołały.

— Mamciu! mamusiu! matuchno! mamciu!

Myślała. Jak on teraz, ten Julek, często wyjeżdża z domu, jak się pomiędzy rozmaitymi ludźmi po wsiach i po miasteczkach kręci, a gdy powraca, jaki mu czasem żar pali się w oczach. Zawsze miał oczy błyszczące, ale teraz to tak zupełnie, jakby kto żaru w nie nasypał... Nic nigdy o tem gdzie był i co robił, nie mówi, nawet przed matką. Tak i powinno być; ona do niego o to żadnej pretensyi nie ma, ale sama domyśla się, że snać już, już... pora nadchodzi... Oj, ciężka, ciężka pora... Tak się boi, tak się okropnie boi...

— Mamciu! mamusiu! matuchno!

Nie słyszy. Westchnęła głośno.

Za ojczyznę, za wolność, prosta to rzecz i naturalna. Ona to dobrze rozumie, ona tak samo myśli i czuje jak Julek. Czy chciałaby aby on myślał i czuł inaczej? Nie! broń Boże! Za tchórza i za gałgana miałaby go, gdyby tak było. Wolałaby do grobu go położyć, niżeli widzieć tchórzem i gałganem. Już dawno powiedziała sobie, że inaczej być nie może i — basta! Ale na sercu ma taki ciężar, taki ciężar okropny...

— Mamciu! mamusiu! mameczko!

Nie słyszy. Idzie coraz powolniej i głowa jej sztywną, muślinową chustą przed upałem osłonięta, coraz niżej na pierś opada.

Co z tego będzie, co będzie? Zamiar wielki i święty, tak, święty! ale skutek jaki? Powiadają, że jeśli nikt nie pomoże .. ale to jest głupie gadanie. Pomódz, to pomogą, bo alboż to ludzie na świecie z kamienia są, albo z błota, aby widząc taką sprawę świętą, takie męczeńskie targanie się, nie ujęli się, nie ratowali? W Bogu nadzieja, że tak będzie, jak młodzi Bonieccy mówili onegdaj. Interwencya mocarstw nastąpi i wszystko dobrze pójdzie. Ale tymczasem... kule... A gdyby jedna z nich... w Julka... O, nie daj Boże! O, nie pozwól! Pod Twoją opiekę i obronę uciekamy się, święta Boża Rodzicielko...

— Mamo! matuchno! mamo!

Nakoniec usłyszała, a raczej uczuła czepiające się sukni jej cztery małe łapki.

— Czego chcecie?

Dwie drobne twarze rumiane, pyzate, podnosiły się ku niej i jedna ze śmiechem, druga z nadąsaniem rzekły.

— Jeść chce się!

Splasnęła dłońmi i krzyknęła:

— A prawda! Toż to wy dziś nic jeszcze nie jadły! Toż ja o was zapomniałam! A biedneńkie wy moje, mileńkie, głodne... Chodźcież prędzej, chodźcie, do domu chodźcie...

Raźnie już, szerokim krokiem iść zaczęła, a przed nią, dwa maleństwa szybko po zielonej trawie bosemi stopkami przebierały, wkrótce też przez boczne drzwi domu do małej sionki wbiegły. Ale panią Teresę wejść tam za niemi mającą w progu ogarnęły i prawie nad ziemię uniosły męskie jakieś ramiona i nim opamiętać się zdołała po sionce ją okręciwszy do przyległego pokoju walcowym krokiem wciągnęły. Przytem głos młodzieńczy, wesoły wołał:

— Dzień dobry, mamci! dzień dobry matuchnie! Jak matuchna ma się?

I kręcąc się z nią jeszcze po pokoju, śmiał się:

— Cha, cha, cha, cha!

A ona zdyszana i z twarzą w ogniu, krzyczała:

— Puść, Julek! Ach, ty swawolniku, waryacie, nicponiu! Puść, mówię, bo tchu już nie złapię...

I tak samo, jak on śmiała się:

— Cha, cha, cha, cha!

Aż gdy wypuścił ją z objęć, ku drzwiom od kuchni skoczyła i krzyknęła:

— Teleżukowa! daj maleńkim śniadanie!

I wnet do syna powróciła z ustami pełnemi zapytań:

— No jakże masz się? tydzień cię w domu nie było, daleko jeździłeś? Skąd teraz przyjechałeś? Co się tam na szerokim świecie dzieje?

On ją kilka razy w obie ręce pocałował, poczem na starej kanapce usiadłszy, z miną uroczyście nastrojoną, mówić począł.

— Uczynki miłosierne co do ciała: głodnego nakarmić, spragnionego napoić... a dopiero gdy się tego dokona przyjdą tamte, co do duszy: niewiedzącego uświadomić, pytającemu odpowiedzieć...

— No, no, już rozumiem! Zaraz nakarmię i napoję! Oj, ty, swawolniku mały!

I już ku drzwiom od kuchni śpieszyła, ale gdy około niego szła, za rękę ją pochwycił i z oczami ku niej podniesionemi, głosem zniżonym rzekł:

— A potem pójdziemy do pokoju mamy na rozmowę poważną. Mam do powiedzenia mamie coś bardzo ważnego...

Ona zbladła na twarzy i oczy jej zmąciły się, jak gdy kto kamień na wodę rzuci.

— Coś ważnego... — powtórzyła szeptem.

Ale wnet uspokoiła się.

— Dobrze, pomówimy, tylko do zjedzenia cokolwiek przyniosę.

Sam pozostawszy, Julek z kanapki się zerwał i mały pokój szybko wzdłuż i wszerz przebiegać począł, drobnego wąsika pokręcając, z głową pochyloną, zamyślony. Jednak pomimo zamyślenia, z pod drobnego wąsika ładnym tenorem zanucił: »Cicho, cicho, ktoś nadchodzi, serce mówi«...

I urwał. Tonęła piosnka młodzieńcza w falach myśli, szumnie i tłumnie toczących się przez głowę.

Swawolnikiem był od dzieciństwa najmniejszego aż dotąd, ale małym to nie był bynajmniej. Wzrost wprawdzie mierny miał, ale barki szerokie w stosunku do wzrostu nawet za szerokie, co trochę krępym go czyniło; jednak z kształtów i ruchów biła mu taka rzeźkość i żywość, że zgrabnym się wydawał, a przedewszystkiem za doskonałe upostaciowanie zdrowia i siły mógł uchodzić. Po matce wziął czuprynę gęstą, ładny wykrój czoła i piękne, piwne, błyszczące oczy, lecz na razowym chlebie macierzyńskim policzki mu nieco zanadto spulchniały, tak, że okrągłe i rumiane, przypominały pyzatych aniołów, na obrazach niekiedy malowanych. Z twarzy tej ogień młodości gorącej, namiętnej aż

tryskać się zdawał. W zimie minionej nie tak wyglądał, gdy całe szeregi nocy spędzał w trupiarni, gdzie, blady od bezsenności, z ciekawością namiętną badał na ciałach, które śmierć rozkładała, tajemnice ludzkiego życia. Ale teraz nie znać było na nim ani tych nocy pracowitych i ponurych, ani innych wrzawliwych, które w izbie studenckiej, w obłokach tytoniowego dymu spędzał na namiętnych sporach i rozprawach z tłumem kolegów. Teraz wszystkie prace, wszystkie przedmioty sporów i rozpraw, wszystkie dążenia i zamiary, jak drobne świeczki pogasły przed blaskiem jednej myśli, jednej nadziei, jednego zamiaru i celu.

Wnet po krótkim i wczesnym obiedzie rzekł do matki:

— Może do mamy pokoju na rozmowę pójdziemy, bo tam bębny najmniej przeszkadzać będą...

— Jakie tam bębny! Janek i Olek zaraz znowu do wioski albo do lasu polecą...

— Są jeszcze dwa mniejsze bębenki...

— No, te robaczki... nic jeszcze nie rozumieją! Ale idź do mego pokoju, a ja tylko Teleżukowej coś powiem i tam przyjdę.

Niebawem wchodziła do tego pokoju, który był właściwie izdebką wązką, o jednem, na ogród wychodzącem oknie, a tuż za nią wysoki próg przestąpiły Brońcia i Ludwinka. Dwa też cienkie głosiki zadzwoniły:

— Matuchno! mamusiu! mamciu!

— Czego chcecie?

Z oczyma na matkę podniesionemi chwilę milczały, a potem najspokojniej i najpoważniej w świecie odpowiadały:

— Niczego!

Z matką i przy matce być chciały tylko, a przytem lubiły niezmiernie tę izdebkę, do której wstęp bez niej, z powodu rachunków stół do pisania okrywających, był im wzbroniony. Mogłyby sobie z tych papierów zabawki powykrawać lub na wiatr je puścić.

— No, kiedy: niczego! to idźcie stąd sobie! Do Teleżukowej idźcie!

Z zadartemi główkami uczepiły się czworgiem rącząt spódnicy matczynej i Brońcia, brunetka śniada, żałośnie, a Ludwinka,

lniano-włosa i różowa, z gniewnem tupaniem nóżek, jednogłośnie zawołały:

— Nieeeee!

Julek pochylił się i w mgnieniu oka jedną na jedno ramię, drugą na drugie pochwyciwszy z nad ziemi je podniósł.

— E! niech robaczki trochę sobie przy Teleżukowej popełzają! Tu niepotrzebne!

Śmiejąc się, z izdebki je wynosił, a one śmiały się także głośno i nagie, długie, ogorzałe ich nóżęta kołatały się w powietrzu, z ramion braterskich zwisając.

Pani Teresa tymczasem stanęła przy otwartem oknie, za którem rósł wysoki i gęsty krzak bzu, już rozkwitać poczynający. Krzak ten tak zasłaniał okno, że nic widać przez niego nie było, oprócz kawałka błękitu niebieskiego za najwyższemi szybkami. Kiedy Julek powracając drzwi za sobą zamknął, izdebka zdawała się być szczelnie przed wszelkiem okiem i uchem ludzkiem ukrytą.

— Cóż? Co mi masz do powiedzenia? — rzuciła się ku synowi p. Teresa.

Pobladłą twarz i zmącone źrenice jej widząc, uspokajać ją począł.

— Nie to, nie to jeszcze, co mama myśli. I to przyjdzie, naturalnie, ale nie teraz jeszcze. Teraz coś innego, ale także ważnego...

I u otwartego okna stojąc, począł mówić dość głośno, bo i pocóżby miał szeptać, skoro nikogo w pobliżu nie było i nikt podsłuchiwać ani myślał?

Czy tylko nikt? Coś jednak za krzakiem bzowym zaszeleści i coś ciemnego wśród gęsto splątanych gałęzi zaszarzało. Ale p. Teresa i Julek uwagi żadnej na to nie zwrócili. Mało to skrzydeł ptasich za oknami trzepoce, a byłoż im w tej chwili do przyglądania się grom barw i świateł w krzakach?

Tymczasem, po drugiej stronie bzowego krzaku, dwie postacie chłopięce, jedna niedorosła, a druga wcale jeszcze dziecinna, w postawach wyprężonych i ze skamieniałemi od wytężonej uwagi twarzami podsłuchiwały.

Tak samo jak Brońcia i Ludwinka, Janek i Olek poszli jeden w matkę, drugi w ojca: włosy ciemne i złote, jednostajnie, krótko przystrzyżone, oczy piwne i błękitne, jednostajnie w tej chwili od ciekawości namiętnej rozbłysłe, cery jednostajnie przez wiosenne wiatry i upały opalone. Tylko że starszy wysmukły był i wydawał się sprężystym, gibkim, a z twarzy bladawej wrażliwym i zapalczywym, u młodszego zaś krępość czy przysadzistość kształtów, łączyła się z rumianością powlekającą pyzate, zupełnie jeszcze dziecinne policzki. Zresztą lat niespełna piętnaście i trzynaście, stare jakieś już za krótkie i za ciasne mundurki szkolne, stopy bose, ślady świeżej wędrówki po drogach piaszczystych i podłożach leśnych na sobie mające.

Z kilkogodzinnej wędrówki po wsi chłopskiej i lesie powróciwszy, zaraz spostrzegli, że pomiędzy matką i Julkiem coś jest, jakiś sekret, niepokój. Przy obiadowym stole matka mniej, niż zwykle mówiła, nawet ich za niezgrabne jedzenie gderać zapominała, a Julek zamyślał się często i ani razu z nich nie zażartował. Oni od dawna już czegoś domyślali się, coś w powietrzu czuli, o czemś z zasłyszanych rozmów pomiędzy starszymi wiedzieli. W szkołach jeszcze, tam w mieście, skąd na świąteczne wakacye do domu przyjechali, wiele już o tem, co ma stać się, pomiędzy kolegami mowy było. A dlaczego po przejściu wakacyi świątecznych, matka do miasta i szkoły wrócić im nie pozwoliła? Oho! Słyszeli dobrze jak raz do Julka powiedziała. »W czasach takich, kto wie, co z dziećmi stać się może. Niech lepiej w domu zostaną!« Julek zauważył, że rok czasu w szkole stracą, a ona odpowiedziała: »Niech lepiej rok stracą, a żywi i cali zostaną!« Ot, o co szło! Aby żywi i cali zostali! Inni, to mają prawo rozporządzać się swojem życiem i swoją całością, a oni niech przy fartuszku maminym siedzą i hańbą choćby okrywają się, zdrajcami kraju zostają, byleby... Bo zdrajcą kraju jest i hańbą okrywa się ten, który teraz... A skądże pewność, że Julek żywy i cały zostanie? Jednak zamierza uczynić to, co mu serce czynić rozkazuje, ku czemu ciągnie go przykład wszystkich bohaterów rzymskich i polskich, a mama na to zgadza się... Dlaczegóż to jemu wolno, a im nie?

Względem starszego brata coś na kształt zazdrości uczuli i od dawna już kroki jego śledzić, rozmowom przysłuchiwać się zaczęli. Ale na podsłuchiwanie zdobywali się dziś po raz pierwszy. Jakże można było nie zdobyć się, skoro tuż za progiem stojąc, niechcący usłyszeli byli, jak Julek mówił: »Do mamy pokoju na rozmowę pójdziemy, bo tam bębny najmniej przeszkadzać nam będą«. Na te słowa w starszym aż coś zagotowało się, zawrzało. »Słyszysz, Olek? bębny!« A Olkowi łzy zakręciły się w błękitnych oczach. Cicho, jak myszy, mały dom dokoła obiegli, na ławce pod krzakiem bzu przysiedli i w stronę okna do izdebki matczynej słuch wytężyli. Janek wyprężył się jak struna i ku matczynemu oknu wygięty, ręką kurczowo brzeg ławki ściskał, Olek zaś zgarbił się, napuszył i rumiane policzki tak wydął, jak gdy czasem na rozkaz matki ogień w samowarze rozdmuchiwał. Słuchali. Jakkolwiek Julek nie zniżał bardzo głosu, jednak pomimowoli może zniżał go nieco, więc wszystkiego co mówił słyszeć nie mogli i w słuch im wpadały czasem zdania niecałe, czasem wyrazy oderwane: »Dziś, po zachodzie słońca... wprost do Dębowego Rogu... tu nie zajadą«...

A potem zapytanie matki:

— Wiele tam tego będzie?

I odpowiedź Julka:

— Szabel... rewolwerów... kos...

Jankiem od stóp do głowy dreszcz wstrząsnął. Jedną ręką ściskając brzeg ławki, drugą brata za kolano pochwycił.

— Słyszysz, Olek? słyszysz?

Ten drżeć zaczął jak w febrze.

— Aha! szab... szab... szab... le...

— Ciiii - cho!

Matka mówiła znowu:

— Motyki do kopania ziemi wziąć trzeba...

A Julek:

— Ja z Teleżukiem. Czy on w domu?

— Pewnie... powiem mu...

Chwila milczenia, poczem znowu Julek mówi:

— Tylko z chłopcami... żeby nie widzieli...

— E! Także, głupstwo! Błazenki te, co one...

— Niech mama tak... niech mama tak nie... oni i bardzo nawet... spostrzegam...

— Nie może być! Swawola im jeszcze w głowie i Janek w książkach cały...

— No, no! tak się mamie... materyał palny...

— Spać im iść każę... dla twojej spokojności...

Tu drzwiczki z idebki matki do pokoju dziecinnego prowadzące, przeciągle zaskrzypiały i jednocześnie dwa cienkie głosiki rozległy się tak donośnie, że je za oknem słychać było.

— Mamciu! matuchno! mamo!

— Ot, już tam wjechały małe, sarknął Janek, wszystkiemu koniec będzie. Zmykajmy!

Chyłkiem zerwawszy się z ławeczki w pobliskiej gęstwinie drzew i krzaków zniknęli. Tam za gęstą zasłoną z zieleni na ziemi siedząc długo, zawzięcie pomiędzy sobą szeptali. Nad ich głowami blizko ku sobie pochylonemi i czołami w srogich namysłach, jak u starych ludzi zmarszczonemi, młoda zieloność liści powiewała i na zabój wyśpiewywały ptaki.

Pani Teresa z idebki swej wypadła, dwa »robaczki« za drobne ręce nie prowadząc, ale ciągnąc.

— Niech dzieci grzeczne będą... bo do kąta iść każę i krzesłami pozastawiam! proszę mi zaraz gdziekolwiek spokojnie usiąść i książeczkę z pieśniami czytać, a za mną teraz nie łazić... bo przepędzę... do kątów...

Wiedziały »robaczki«, czy jak je Julek nazwał »bębenki«, że gdy matka takim tonem przemawiała żartów niema. Cichutku więc wysunęły się z domu i na wschodce małego ganku do drewnianego słupka przytulone, nad książczyną drobne głowy pochyliły tak, że aż prawie zetknęły się z sobą ich ogorzałe czoła i zmieszały się włosy lniane i brunatne. Książczyna w okładce zszarzałej i zmiętej, antykiem była, starym dokumentem rodowym, w który z rozkoszą wczytywały się oczy p. Teresy, gdy była dzieckiem, potem Julka w tejże porze życia, potem Janka i Olka. Spadała w dziedzictwie z matki na dzieci, z dzieci starszych na młodsze, była pierwszym drukiem, który oczy ich poznawały

i pierwszą opowieścią, która im w krwi i mózgu zatlewała iskrę przyszłego płomienia. Teraz na kolonach Brońci otwarta, pożółkłemi kartami odbijała na tle spłowiałej sukienczyny z różowego perkalu.

Brońcia nie bez pewnej jeszcze trudności czytać zaczęła:

— Mieczysław Stary...

— Nie chcę Miecislawa... — przerwało jej kapryśne sarknięcie Ludwinki.

Cierpliwie starszy »robaczek« przerzucił kilka kartek i zaczął:

— Władysław Ja...

Ale młodszy przerwał znowu:

— Nie chcę Wladislawa...

— No to czego chcesz?

Porwała Ludwinka książczynę z kolan siostry i na swoich ją rozłożywszy, z wydętemi od wysiłku wargami, przez chwilę karty przewracała. Poczem zaczęła z wielkim trudem i jąkaniem:

— L-e-le-s-i-e-k-siek—Lesiek.

— Daj!

— Przez dworaków opuszczona, Helena w stroju niedbałym...

— Duży ptak furknął z pod nizkiego dachu i nad głowami dzieci przemknąwszy, lotem strzelistym pomknął w dal.

— Jaskółka!

Nie wiedzieć czego porwały się i nie wiedzieć czego, na całe gardziołka śmiejąc się, pobiegły w tę samą stronę, w którą jaskółka uleciała.

A pani Teresa, pierwszy raz w życiu zapewne, zdawała się o samem istnieniu najmłodszych swych dzieci zapominać. W kącie dziedzińca, pomiędzy szaremi ścianami stodółki i swiona z chłopem barczystym i rosłym, w siwą siermięgę ubranym, rozmawiała. Był tak rosłym, że aby w twarz mu patrzeć, głowę wysoko podnosić musiała; więc, z wysoko podniesioną głową, z rękoma, zwykłym sobie ruchem na kłębach opartemi, mówiła o czemś długo, cicho, a oczy jej w cieniu szarej stodółki, jak iskry błyszczały.

Chłop długiej jej mowy słuchał milcząc, z twarzą nad jej głową pochyloną. Na twarzy tej grubej i w grube fałdy pogiętej, gęstym włosem siwiejącym u dołu zarosłej, nie odbijało się wra-

żenie żadne. Nieruchoma, zaspana jakby czy leniwa, podobną była do rzeźby z grubego kamienia, która barwą swą chleb razowy przypominała. Jednak, z blizka patrząc, możnaby dostrzedz, że z tej niemej, ciemnej twarzy oczy chłopa spoglądały na podniesioną ku niemu głowę p. Teresy miękko jakoś i przychylnie a zarazem jakby nieco z ironią. Rzecz dziwna! Pod krzaczystemi, obwisłemi brwiami, siwe oczy chłopa błyskały iskrą ironii. Po długiem, milczącem słuchaniu, bez żadnego poruszenia w postawie, tak samo cicho jak ona mówiła, a przytem powoli, senliwie jakoś czy leniwie przemówił:

— Ej pani! szczo z toho bude? Czy wy to tylko rozumnie i dobrze robicie? Czy z tego biedy wielkiej dla was nie będzie? Czy wy dzieci swoich...

Nie pozwoliła mu dokończyć, ale porywczo szeptać zaczęła:

— Teleżuk tego nie rozumie! Ja to Teleżukowi kiedykolwiek wytłumaczę! Tak już stało się i inaczej być nie może, a kiedy inaczej być nie może — to i basta! Ja Teleżukowi, jak przyjacielowi wszystko powiedziałam i jak przyjaciela proszę... ale kiedy Teleżuk nie chce, to i nie trzeba... to my sami...

Już uniosła się obrazą czy ambicyą, cała rumieńcem oblała się i ruch do odejścia uczyniła, ale chłop poufale za rękaw jej sukni ujął.

— Zaczekajcie pani! Ot wy zawsze taka prędka! Jak do dobrości tak i do złości prędka!

Po ustach, jakby z ciemnego kamienia wyrzniętych, uśmiech mu się prześliznął pobłażliwy i zniknął. Zniknęła też z oczu iskra ironiczna.

— Co ja sobie myślę, to myślę, ale zrobię, jak każecie... Ja wszystko zrobię, co każecie... Ja wasz poddany...

Pani Teresa aż żachnęła się i aż krzyknęła:

— Głupi Teleżuk jest ze swojem poddaństwem! Najpierw to, że niema już poddaństwa, a potem, czy, kiedy jeszcze było, ja Teleżuka za poddanego uważałam, czy za przyjaciela? a? Niech Teleżuk zełże, że za poddanego... a?

On ręką wzgardliwie machnął.

— Et! z babą gadać, wodę mleć... Czy ja o takiem pod-

dańśtwie gadał? Ja w poddańśtwo do was poszedł wtedy, kiedyście wy rękami własnemi z żony i dzieci moich zarazę srogą ścierali...

Pani Teresa żałośnym ruchem ręce rozłożyła.

— Cóż kiedy nie udało się!

— Z żoną udało się... z niemi nie... ale ja od tego czasu wasz śługa, wasz pies... Czego tylko odemnie chcecie, to zrobię... bądźcie spokojni, co sobie myślę, to myślę, ale zrobię...

— Niech Teleżuk nic sobie nie myśli, dopóki ja nie wytłumaczę. Kiedykolwiek wszystko opowiem i wytłumaczę. Ale tylko...

Z nogi na nogę przestępowała, myślą jakąś zaniepokojona.

— Niech tylko Teleżuk nikomu o tem nie mówi, nikomu a nikomu...

Chłop ze wzgardliwością niewypowiedzianą ramionami wzruszył.

— Ot pani nibyto, a koły baba to taki i durna!

Odwrócił się i już odchodził, silny, rosły z pochyloną, kamienną twarzą. Ona z rękami opartemi o biodra, śmiejąc się za nim patrzała. Wrócił jeszcze.

— Kołyż to bude? Krótko zapytał.

— Gdy tylko zciemnieje.

— Gdzie te cztery wielkie dęby?

— Aha!

— Aha! Ja tam już będę.

— W Dubowym Rogu?

— Aha!

Dzień dobiegł do końca, słońce zaszło, zorza wieczorna zagasła, na bezmiesięcznem niebie gwiazdy świeciły.

Nieszeroką drogą wśród pola do blizkiego lasu prowadzącą, dwoje ludzi szło szybkim krokiem i zamieniało się nielicznemi słowy.

— Czy byłeś w Lubinowie?

— Byłem... A jakże! Tam my często...

— Inka tam jest?

— A jest.

— Widziałeś ją?

— Naturalnie; jakże mógłbym nie widzieć! Ona przecież

zawsze między rówieśnicami, jak lilia między... jakże tam... niech będzie między... trawami.

— Także bredzenie! powiedziałbyś lepiej, co ona tam robi?

— Cóż Inka może robić? Każdego, kto się na oczy jej nawinie, kokietuje!

— Julek!

— No i cóż takiego? Alboż mama sama o tem nie wie? Zresztą one tam wszystkie konfederatki dla nas szyją, koszule jedwabne i różne tam różności... oprócz tego śpiewają sobie, szczebioczą...

Kobieta westchnęła głośno.

— Julek...

— Co mamo?

— Żebyś ty ze mną o siostrze choć raz seryo porozmawiał!

— Kiedyż bo, moja mamo, o Ince trudno jest mówić seryo.

— Także głupstwo! Dlaczegóż to?

— Bo w niej samej niczego seryo niema. Dziewczyna pusta w piękności swej, jak nasza szlachta okoliczna mówi, zadufana i w Leszczynce nudzi się piekielnie, a jak w świat wyleci, to sobie fruwa — psychologia nietrudna i nieosobliwa...

— Ale bieda osobliwa może być...

— Jaka tam bieda! Za mąż pójdzie — i już...

Umilkli. Z obu stron drogi, w zbożu już dobrze podrosłem przebiegały ciche szelesty, szmery, może chody glist i kretów, albo podloty nad świeże gniazda. Las był już blizko; w ciemnej ścianie jego coś ćwioknęło, gwizdnęło i na chwilę umilkło, aż po zmroku gwiaździstym, nad polem cicho szemrzącem, rozległ się głośny, dźwięczny, przeczyście srebrny tryl. Rozległ się, pół minuty trwało i umilkł.

Julek podniósł głowę.

— Słowik! — szepnął i w szepcie tym, jak zwierciadle ludzkiego serca odbiła się tajemniczość wieczora, gwiazd, ciemnego lasu i słowiczego trelu.

— Wcześnie w tym roku słowik... zaczęła p. Teresa i nie dokończyła.

— Oj, ten rok! ten rok! ten rok!

Słowa te, jak z podmuchu wichru wyszły z jej piersi z ciężkiem, trzęsącem się westchnieniem.

A w tejże chwili, w lesie znowu, lecz w dalszej jego głębi, w innej stronie, zabrzmiał taki sam jak przedtem tryl srebrem dzwoniący, przez oddalenie od tamtego cichszy i tak jak tamten umilkł, a bujne runie po obu stronach drogi i u brzegów ich majaczące w zmroku drobne twarze kwiatów, zdawały się w nieruchomości słuchać, czekać.

— Słyszysz, Julek? Ten drugi, to właśnie tam zaśpiewał...

— W Dębowym Rogu?

— Gdzie te cztery najstarsze dęby...

— Mama i w ciemności dęby te rozpozna?

— Oj, oj! ile razy ja tam byłam... Ile ja tam...

Miała powiedzieć: przepłakałam! ale wstrzymała się, umilkła. Zawsze wstyd jakiś czy hardość niepokonana wstrzymywały ją od głośnego wspominania o przelanych kiedykolwiek łzach. Więc milcząc szła dalej i tylko myślała o tem, ile razy, ile razy w dnie letnie albo i jesienne, biegła tą drogą, wpadała do tego lasu i ku owym dębom dążyła, aby w gęstym cieniu ich listowia ukryć dolę swoją i z niej wyciekające łzy. »Dwa gołębie wodę piły«... Mój Boże! ileż razy, gdy piosnka ta głosem kochanym śpiewana dla niej przebrzmiała — wciąż jednak brzmiąc dla innych, — jeden z gołębi wił się z bólu i płaczu na mchach szmaragdowych, u potężnych stóp czterech najstarszych w tym lesie dębów!

Teraz szła ku temu miejscu ucieczek swych od oczu i uszu ludzkich, z myślą ukrycia w nich czegoś innego niż łzy i szlochania.

Weszli do lasu i gdy szybko szli naprzód, omijając pnie drzew i gęste sploty gałęzi przed sobą rozchylając, ogarniały ich miejscami ciemności grube, a miejscami, tam, gdzie rozstępowały się nieco drzewa, zmroki przeźroczyste, z lekka przez gwiazdy rozświetlone i u dołu, przy samej ziemi, usiane drobnemi twarzami, które zdawały się patrzeć na gwiazdy. Były to anemony obficie i bujnie rozkwitłe, te narcyzy leśne, które nocami nawet odrzynają się od ciemności bielą śnieżystą. Dwa słowiki, to tu, to tam odzywały się z kolei, ale krótkiemi nutami, które wnet

milkły. Jakby próbowały tylko swych instrumentów muzycznych, jakby je nastrajały...

W tem, przed dwojgiem ludzi przez las idących stanęła grubsza, gęstsza, wyższa niż gdziekolwiek indziej ciemność i z ciemności tej gruby, stłumiony szept zawołał.

— Pani! pani! Toż to tu!...

— Teleżuk? Tak, tak! to tutaj! A turkotu nie słyszałeś jeszcze? Czy od strony Dziatkowicz turkotu nie słychać?

I stanęła jak wryta; o parę kroków od niej stanął też jak wryty Julek. W ciemności zaś ozwał się ten sam, co wprzódy gruby szept.

— Ot i jadą!

Słuchali. W dalekiej jeszcze głębi lasu toczył się turkot powolny, koła jakieś z głuchemi stukami uderzały o wystające nad ziemią korzenie drzew, czy o wystające nad mchami leśnemi kamienie.

Słuchali i w turkot ten powolny, a coraz bliższy i wyraźniejszy wsłuchani, nie usłyszeli kilku szelestów, które ozwały się w pobliżu.

Kędyś, w pobliżu, w zarośli leszczynowej, złamała się z głuchym trzaskiem gałąź nadeptana czyjąś stopą, zaraz potem, ktoś bardzo ostrożnie, jednak nie bez szelestu, prześliznął się wśród leszczyn i gdyby oczy dwojga nieruchomych ludzi nie były tak wytężone w stronę, od której zbliżał się turkot, mogłyby dostrzedz dwie małe postacie, dwa raczej małe cienie, które wyśliznąwszy się z pomiędzy leszczyn, szybkim jak myśl ruchem, zanurzyły się w padającą od drzew potężnych ciemność.

Jednocześnie Julek na spotkanie turkotu zupełnie już niedalekiego poskoczył i po lesie rozległo się trzykrotnie powtórzone, krótkie lecz przenikliwe gwizdnięcie.

U stóp grubej, wysokiej ciemności, która przestrzeń pomiędzy czterema potężnymi dębami zawartą napełniała, zatrzymał się wóz dwukonny, wysoko czemś naładowany i ktoś wysmukły, zgrabny, sprężystym ruchem młodzieńczym z niego zeskoczywszy, w mgnieniu oka przed p. Teresą się znalazł.

— Pan Gustaw! szepnęła. Pan sam...

— Naturalnie, że sam. To najbezpieczniej. Takiego Teleżuka jak pani, nie mam.

W rękę ją na powitanie pocałował.

— Julek! do roboty! A! i Teleżuk jest! Tem lepiej! we trzech prędzej pójdzie!

We trzech! Zapewne! Bez p. Teresy rachował młodzieniec, z wozem naładowanym przybyły. Jeszcze tego świat nie widział, aby ona, gdy robota pilną była, sama lub wespół z innymi do niej się nie zabrała.

— Teleżuk! ile rydli przyniosłeś?

— Cztery, pani!

— Ot sprytny! Wziął jeden i dla mnie...

Chłop spokojnie odpowiedział.

— Wiadomo...

I dźwignął z wozu grubą więź przedmiotów jakichś, szczelnie w coś owiniętych, które, gdy w silnych ramionach je podnosił, metalicznie i ostro szczęknęły.

Niedaleko stamtąd za grubym pniem dębowym jakiś mały cień przysiadły do ziemi zaszeptał.

— Słyszysz, Olek?

A z za sąsiedniego pnia, szept inny, jak liść na wietrze drgający, odpowiedział.

— Sza... sza... sza... ble!

Było to tak, jakby dwa małe robaki po ostrych kończynach traw przebiegły i nie mogli tego usłyszeć ludzie, krzątający się około wozu, tembardziej, że w tejże chwili, kędyś blizko, blizko, jak zdrój z podziemia, wytrysnął z ciemności rozgłośny, pełny już teraz śpiew słowika.

Cztery stare, najstarsze w lesie dęby splatały w górze liściaste gałęzie i była to jakby kaplica napełniona ciemnością, ze stropem gdzieniegdzie ucentkowanym złotemi oczyma gwiazd. Unosiła się nad tą ciemną kaplicą nieprzerwana pieśń słowicza, a na podłożu jej poruszały się sylwety czworga ludzi i kiedy niekiedy pobrzękiwał metal. Pobrzękiwania te, to dłuższe, to krótsze, to mniej, to więcej ostre, zdawały się towarzyszyć słowiczej pieśni, tak, jak akordy instrumentu muzycznego, towarzyszą

ludzkiemu śpiewowi. Czasem jeszcze wydawać się to mogło rozmową tonów podniebieskich, czystych, wolnych, wzlotnych, z przyziemnymi, ostrymi, groźnymi zgrzytami.

Oku, we wnętrze tej kaplicy patrzącemu, trzeba było tylko oswoić się z ciemnością, aby rozpoznać robotę poruszających się w niej ludzi. Wykopywali doły, pogrążali w nie przedmioty z wozu zdejmowane i nakrywali je warstwami ziemi pełnej ziół i mchu. Widać było szerokie chwilami rozmachy ramion p. Teresy i silnie w jej rękach uderzające o ziemię narzędzie pracy.

Pracowali w milczeniu, czasem tylko kilku słowami przerywanem.

— Niech mama odpocznie!

— Także gadanie! Na tamtym świecie wszyscy wieczny odpoczynek mieć będziemy.

A potem szept przybyłego wozem młodzieńca.

— Oj zmęczyłem się!

— Także dziw! rączki do roboty nieprzyzwyczajone! — odpowiedź p. Teresy.

Potem pracy nie przerywając, trochę zdyszanym głosem mówiła.

— A ja powiem, że nie szkodziłoby panom, oj, nie szkodziłoby dobrze sobie czasem pomachać siekierą, czy tam kosą, albo nad pługiem oblać się takim potem, żeby z nim razem wszystkie głupstwa, a to i grzechy, z kości i duszy powychodziły...

Dwa młodzieńcze głosy zaśmiały się, a ona w odpowiedź śmiechowi temu, sarknęła.

— Niema czego śmiać się; prawdę mówię!

Żelazca rydla głęboko w ziemię pogrążając, dodała.

— Nie do Julka to mówię... On od dzieciństwa do roboty nawykł.

— Do mnie pani to mówi?

— A pewnie: Małoż to grzechów było: polowańka, baliki, koniki, pieski, zawracanie główek dziewczętom. No, czy nie było? Niech pan Gustaw sam powie... Małoż to tego było?

On po krótkim odpoczynku znowu do kopania ziemi zabierając się odpowiedział.

— Już nie będzie.

Nie żart, ani żal, lecz uroczysta powaga w odpowiedzi tej zabrzmiała. Czuć w niej było potężny wiew czasu, który w dalekość niezmierzoną odniósł od ludzi baliki, koniki, pieski i dziewczęce główki.

— Ty Julku, do domu teraz nie wrócisz, ale ze mną pojedziesz... potrzebnyś!

— Wedle rozkazu, panie setniku!

Długo pracowali. Już i drugi słowik kędyś tam dalej na dobre się rozśpiewał i konie u wozu, zniecierpliwione długiem staniem parskały i czasem wydawały krótkie rżenia, gdy p. Teresa, narzędzie pracy na ziemię rzucając, rzekła.

— Skończone! Teraz wy sobie jedźcie, a ja z Teleżukiem do domu powrócę.

Teleżuk zbierał rydle i w jakiemś krzaczystem schronieniu pomiędzy dębami je składał.

— Nie zabierasz tego do domu?

— Ot, żeby jeszcze nieśpiący ludzie zobaczyli! Już ja lepiej wiem, kiedy po to przyjść trzeba. Bądźcie spokojni, pani!

Po kilku minutach nikogo już pomiędzy dębami nie było. W głębi lasu ozywał się czasem turkot wozu coraz dalszy i słabszy, na drodze pośród pól od lasu biegnącej, dwoje ludzi pośpiesznie szło ku majaczącemu w swych lipach i gruszach dworkowi.

Wtedy z gęstwin leszczynowych, z za potężnych pni dębów, wyskoczyły dwa małe cienie ludzkie i rzuciwszy się ku sobie szybko, namiętnie zaszeptały:

— Teraz, Olek! Teraz, albo nigdy! Ziemia świeżo poruszona, odkopać łatwo...

— I rydle są...

— Widziałem gdzie schował.

— I ja! i ja!

— Szabel nie można... za duże, ale pistolety...

— I kindżały...

— A jakże... Naboje do pistoletów też...

— Tylko, Olek, z całej siły kopać... z całej siły...
— Już ty mnie nie ucz, Janek... Ja sam...
— Bo drugi raz już tak nie zdarzy się...
— Chodźmyż prędzej!
— Prędzej! prędzej!

Zniknęli w ciemnościach kaplicy dębowej i nic już w lesie słychać nie było oprócz dwu pieśni słowiczych, które tony i trele rozmarzone, zachwycone, romantyczne, to razem, to naprzemian, rzucały pod świecące nad ciemnym, nad cichym lasem gwiazdy.

(C. d. n.)

E. Orzeszkowa.

Z książki, która ma wyjść.

W OLYMPII.

Skąpany w blasku słonecznych promieni
Śpi wielki cmentarz umarłej świetności;
Cisza i pustka... Z podniebnych przestrzeni
Motyle jeno zlatują tu w gości,
Gdzie na spłowiałej rdzawych traw zieleni
Bieli się — nakształt rozsypanych kości —
Gruz dawnych świątyń, a w zrębach rozwalin
Bujają myrty i zarośla malin.

Rozchodnik złote swe gałązki wciska
Pomiędzy głazy posadzki pękniętej
I macierzanka rozwłóczy się nizka,
Gmachów zburzonych strojąc fundamenty,
I asfodele patrzą na zwaliska
Twarzą wybladłą, a puszyste mięty
Ku ziemi siwe kiście swoje słonią,
Aromatyczną dysząc w koło wonią.

Gdzieniegdzie kolumn utrącone trzony
Samotnie stoją ruinom na straży;
Może w zadumie o sławie minionej,
O bezpowrotnej sławie im się marzy.
Srebrzą się brzozy, zielenią się klony,

A lekki powiew ich gałązki waży,
Lecz oliw siwych nigdzie naokoło,
Bo czyjeż dzisiaj wieńca godne czoło?!

Kto z teraźniejszych ludzi się ośmieli
Wian olimpijski na skroń wdziać oliwny?
W kim się tak serce do życia weseli?
Kto się w piękności skąpał tak przedziwnej?
— Nam raczej wieńce z trupich asfodeli...
Duch w nas rozdarty, sam sobie przeciwny,
Próżno w szarzyźnie powszedniej się miota,
Której na imię Nuda i Brzydota!

CIERPLIWOŚĆ.

Znosiłem, jak anioł cierpliwie,
Ból wszelki, o ile był... cudzy;
A teraz ogromnie się dziwię,
Że mogą mój znosić tak drudzy.

PO LATACH.

Śpi snem kamiennym królewna zaklęta,
Dokoła rajskie szumią jej ogrody
I po marmurach szemrzą srebrne wody...
Śpi snem kamiennym królewna zaklęta,
Przez nieprzebyte róż kwitnących pęta
Próżno królewicz przedziera się młody —
Śpi snem kamiennym królewna zaklęta,
Dokoła rajskie szumią jej ogrody.
. . . . . .

Od tego czasu przeszły długie lata
I dziś oboje są dla siebie niczem.
Królewicz przestał już być królewiczem,
Nad głową jego długie przeszły lata

I odleciała go młodość skrzydlata,
Lecz rajski ogród z królewny obliczem
Wspomina nieraz — i te dawne lata —
Chociaż oboje są dla siebie niczem.

I błogosławi zaklętej królewnie,
— Gdy życia brzemię cięży mu nadmiernie —
Za rajski ogród, za róże, za ciernie...
I błogosławi zaklętej królewnie
Za zdrój przeczysty w marmurów cysternie,
Za to, że niegdyś kochał ją tak wiernie
I błogosławi zaklętej królewnie,
Gdy życia brzemię cięży mu nadmiernie...

Lucyan Rydel.

FRAGMENTY DRAMATYCZNE.

Niniejsze urywki wyjęte są z papierów pośmiertnych Wyspiańskiego. Pierwszy z nich należy do notatek, jakie poeta zaczął układać, przygotowując dramat: »Król Kazimierz Jagiellończyk«. Scena niniejsza jest wiernem tłumaczeniem odnośnego ustępu Długosza (t. XIV, str. 87), ujętem tylko w formę sceniczną. Co do drugiego urywku, podaje poniżej objaśnienia dr. Adam Chmiel.

Redakcya Przeglądu Powszechnego.

W NOWEM MIEŚCIE KORCZYNIE.

ZBIGNIEW KARDYNAŁ
(do króla)

Widzisz to i poznajesz, najjaśniejszy królu, że wszystkie dzieła twoje i sprawy, z jakąkolwiek bacznością i usilnością przedsiębrane, na złe i na stratę wychodzą.

Nie dzieje się to bez — przyczyny.

Albo my z tobą, albo ty sam jesteś w grzechu; którego ponieważ nie kwapimy się zgładzić, słusznie z dopuszczenia Bożego wszystkie nasze sprawy pomyślnego skutku nie odnoszą.

KRÓL

Cóż rozumiesz, — czy jestem pod zaklęciem jakiej winy?

KARDYNAŁ

Tak jest.

KRÓL

Powiedzże mi, — jaka to ciąży na mnie wina?

KARDYNAŁ

Między sprawami ludzkiemi, a zwłaszcza u chrześcijan, nie masz nic ważniejszego nad — przysięgę.

Ty — pogwałciłeś ją, królu, strąciwszy ze stolicy i wypędziwszy z dziedzictwa ojczystego książęcia Michała, brata twego, a syna Zygmunta, wielkiego książęcia litewskiego. A co więcej jeszcze Majestat Boski obraża, upokorzonemu i żebrzącemu litości, zrzekającemu się nawet swoich praw i ojcowizny, byleby cię tylko mógł przebłagać, odmówiłeś przebaczenia.

Pomiarkuj się, miłościwy królu, i tę zelżywą zmazę, która i nasze i twoje kazi sumienie, staraj się lepszemi postępkami zagładzić. Oddaj książęciu Michałowi jego własność i przywołaj go łaskawie z pustyń Tatarów czy innych barbarzyńców, których on tylekroć na spustoszenie twoich krajów zwodził.

Do tego powinny cię skłonić nie tylko Boskie i przyrodzone prawa, ale i ojca twojego przysięga, którą on wraz z nami za siebie i potomków swoich i za królestwo całe w moich oczach wykonał, przyrzekając, że warunków pokoju Zygmuntem, wielkiem książęciem litewskiem umówionych i opisanych święcie i bez naruszenia dotrzyma.

Lękaj się kary — Bożej, jakiej doznał za podobne złamanie przysięgi brat twój rodzony, Władysław, król węgierski i polski

KRÓL

Nie spodziewałem się nigdy z ust twoich słów tak przykrych usłyszeć.

Żadna rada nie zdoła mnie do tego nakłonić, abym uczynił, o co mnie upominasz. Spadnie jemu — niejednemu — głowa, — — nim książę Michał wróci do swego ojczystego dziedzictwa.

KARDYNAŁ

(podniósłszy ręce do nieba)

Kiedy nieubłaganym i nieczułym jesteś na moje przestrogi, mające na celu dobro twoje i sławę, wzywam przeciw tobie Boga wszechmogącego i świętych Jego wybrańców, niebo i ziemię i wszystkie ich mocy, w mojem i całego królestwa imieniu, na

świadectwo, że cię po wielekroć upominałem, chcąc duszę twoją ratować od pomsty Bożej i zatraty.

Lecz gdy wbrew tym upomnieniom dążysz samowolnie do utraty dobra własnego i sławy i nie lękasz się pogwałcenia przysięgi, niechaj więc krew niewinna, jaka z tej przyczyny może się wytoczyć i wszystkie wynikłe stąd nieszczęścia Bóg wszechmogący nie na nas zwróci, ale na — ciebie, — który ojcowskie prośby i przestrogi z taką odrzuciłeś pogardą.

NIEZNANY FRAGMENT Z „NOCY LISTOPADOWEJ".

W rękopisie »Nocy listopadowej« St. Wyspiańskiego jest jedna krótka scena, której Wyspiański w druku nie ogłosił. Scena ta znajduje się nie tylko w pierwszym egzemplarzu rękopisu, lecz także i w drugim przez Wyspiańskiego przepisanym do druku.

Jest to scena w »Teatrze Rozmaitości«, następująca bezpośrednio po rozmowie Mefista z Faustem (str. 108 druku po wyrazach: »natychmiast złoto dam«. Objaśnienia o zjawieniu się Pandory niema w obu egzemplarzach rękopisu. Inscenizacyjne objaśnienia wpisywał Wyspiański dopiero podczas druku w korekcie). Scena ta odbywa się »między publicznością« Teatru Rozmaitości a jest dyalogiem między satyrami a Juliuszem Słowackim, który w »noc listopadową« mieszkał już w Warszawie.

Początek tej sceny, słowa satyra — stoją w związku z pomysłem, podanym przez kogoś wystawienia pomnika Juliuszowi Słowackiemu na jednym ze szczytów tatrzańskich. Ostatnie dwa wiersze, które wypowiada Słowacki: »Ileż to dusz chwyciłeś w kleszcz, uśpionych twoim darem«, mówi już w tekście drukowanym Faust (str. 109), poczem następuje to, co mówi pierwszy i drugi satyr.

Adam Chmiel.

(Między publicznością)

I. SATYR
(poza Słowackim)

Koniecznie musisz wleźć na górę,
wdrapać się na najwyższy szczyt,
byś poznał duszy twej strukturę
i zyskał Boskiej wiedzy spryt.
Posąg człowieka, ty na globie

uderzysz czołem w chmurny strop
a wtedy pokłon oddam tobie
i wskażę przepaść — no skocz — hop!
Jeżeli skoczysz, dam koronę,
uczynię królem-duchem, słysz.
Chcesz władać Polską? No stracone!
Musisz iść duchem ciągle wzwyż.
Polaki są niedoścignione.
Twój rywal zwie się: »Kysz a kysz«.

SŁOWACKI

O Polska ziemio!

II. SATYR

Ton Bajrona.

I. SATYR

Westchnął — i twarz skrył w płaszcza zwój.

II. SATYR

Suknia w francuski gust krojona.

I. SATYR

Nad Polską płacze rywal twój.

SŁOWACKI

O ziemio smutku, — łonie krwi,
przecz ciebie nęka zbrodnia?

I. SATYR

Car cię polubił.

II. SATYR

Książę drwi.

I. SATYR

Tyś jest Polski pochodnia!

SŁOWACKI

Ileż to dusz chwyciłeś w kleszcz,
uśpionych twoim darem.

Stanisław Wyspiański.

REALIZACYA PROROCTW WOBEC KRYTYKI DZISIEJSZEJ.

Istotną cechą proroctwa Bożego jest jego spełnienie się w historyi w myśl przepowiedni. Dopiero gdy zapowiedziane wydarzenie widomie ukaże się w historyi, Bóg słowo proroka uznaje za swoje i naznacza je nieomylnym stygmatem swego autorytetu. To też na historyę jako sprawdzian swego posłannictwa Bożego powołują się prorocy:

»Co w imię Pańskie (prorok) on przepowie, a nie stanie się: tego Pan nie mówił, ale z dumy umysłu swego prorok wymyślił«, mówi Mojżesz. (Dt. XVIII, 25; Ez. 33, 33; Jer. 23, 20).

»Wypełniło się, co jest rzeczono«, czytamy raz po raz w Ewangelii, bo proroctwo, to jakby naczynie próżne, które, by odpowiedziało celowi, musi się wypełnić treścią historyczną, bo wszystko, co się dzieje w historyi nie jest grą ślepego przypadku, ani owocem koniecznego rozwoju, lecz czynem opatrznej woli Bożej. Ponad wrzawą świata i wypadkami dziejowymi króluje Pan. Prawdę tę rozwinął w r. 40—48, okazale w wspaniały dowód Objawienia Jehowy prorok Izajasz:

Wszechmocny Stwórca rzuca z wysocza prawa rozwojowe ludzkości i kieruje wszechwładnie bez uszczerbku dla wolności potęgami historyi i czynnikami postępu. Proroctwa zaś Boże ukazują kierunek i drogę, którą Opatrzność obrała dla rozwoju ludzkości: »Bo jako podniesione są niebiosa od ziemi — mówi Pan — tak podniesione są drogi moje od dróg waszych, i myśli moje od myśli waszych. A jako zstępuje deszcz i śnieg z nieba... tak będzie słowo moje, które wynijdzie z ust moich.

nie wróci się do mnie próżne, ale uczyni cokolwiekem chciał, i zdarzy się mu w tym na com je posłał« (Iz. 55, 9 – 11).

Ale bo też tylko na tle dogmatu rządzącej światem Opatrzności Bożej, nabierają Objawienia wogóle i proroctwa Boże znaczenia i nieodpartej siły dowodowej.

W mniemaniu racyonalistycznej filozofii religijnej, która nieopatrznie i bezkrytycznie ruguje z proroctw i historyi wszelkie pierwiastki nadprzyrodzone i opatrznościowe, z proroctw biblijnych należy przedewszystkiem wyeliminować wszelkie zapowiedzi przyszłych wydarzeń. Proroctwa biblijne bowiem, w myśl tej filozofii niczem innem nie są, jak wyrazem religijnych przekonań, wywołanych wstrząsającymi wypadkami wieku, ludzi, zapatrzonych w ideały Boże i przykładających do spraw ludzkich miarę wieczności.

Objawienie prorocze, wywodzi świeżo zmarły profesor berliński Pfleiderer[1], to nie zapowiedź wypadków, wynurzających się z przyszłości — na tym stopniu stoi wróżbiarstwo pogańskie, ponad które wysoko wzniosło się proroctwo biblijne — ani przedstawienie dogmatycznych tajemnic, ani wyjaśnienie niektórych prawd teologicznych i zagadnień życiowych. Tak mniemać mogła dawna teologia. W rozumieniu naszem proroctwa biblijne są niczem innem, jak intuicyą praktyczną, która, wywołana wstrząsającymi wypadkami współczesnymi, oświetla i tłumaczy teraźniejszość i przyszłość światłem wieczności, niczem innem, jak praktycznem zastosowaniem ogólnych prawd religijnych i odwiecznej woli Bożej do współczesnych wypadków. W rozumieniu tej szkoły, której praojcem jest Schleiermacher w Niemczech, tylko proroctwa, będące odbiciem przekonań etyczno-religijnych narodu, tylko poglądy przyszłości, płynące z ogólnych prawd religijnych wieku, zaliczyć należy do skarbnicy prawd religijnych ludzkości. Wszystkie zaś inne przepowiednie specyalne, polegające w najlepszym razie na niewytłumaczonej władzy jasnowidzenia, wchodzą w zakres »badań psychiczno-przyrodniczych« (Schleiermacher) i dla-

[1] *Genetisch-speculative Religionsphilosophie*, str. 399.

tego należy je z rzędu prawdziwych proroctw religijnych wyeliminować.

Z drugiej strony racyonalistyczna krytyka historyczna usiłuje wykazać, że proroctwa wogóle się nigdy nie spełniły.

Co do czasu przepowiedni zawsze mylili się prorocy, zarzuca Hühn [1]. Prawda, ma to wynikać z istoty wizyi proroczej, która nie odróżnia odległości czasów i której przyszłość nigdy we właściwej nie ukazuje się perspektywie. »Lecz jeśli Bóg — pyta się krytyk — ukazał prorokom przyszłość, to dlaczego w sposób tak niedoskonały, że współcześni ich proroctwa mylnie rozumieć musieli?«. Straszliwe sądy Boże w mniemaniu proroków zawsze były blizko. Sąsiedni lud zaborczy i wojowniczy w oczach proroka przedzierżga się zawsze w straszne narzędzie gniewu Bożego, w okrutnego mściciela, który zepsuciem dotknięty i grzechami splamiony kraj żydowski ma spłukać krwią i oczyścić w pożodze. A w ślad za sądem miały przyjść rajskie czasy i zbawienie ostateczne. Tymczasem »sądy przeszły nad Izraelem, ale czasy messyańskie nie zjawiły się. Jak pomylił się przedewszystkiem Deutero-Izajasz! Jerozolimę znowu odbudowano, ale gmina nowa po wygnaniu nie stała się lepszą niż dawna. Ageusz i Zacharyasz mieli Zorobabela za Mesyasza zapowiedzianego(?), tymczasem Zorobabel umarł, a późniejsi prorocy nanowo spodziewali się jasnej przyszłości. Przez wieki całe żywiono nadzieję, że teokracya w blasku zajaśnieje — wszelako obraz ten, jak fata morgana zjawiał się i znikał. Efraim i Juda i ludy, które według proroctwa miały mieć udział w czasach messyańskich, zniknęły z widowni historycznej. Amos (7, 9) i Ozeasz (1, 4) spodziewali się, że Izrael pogrzebie się w ruinach razem z domem Jehu. Wszelako rodzina Jehu wygasła r. 743 ze śmiercią Zacharyasza, syna Jeroboama II, który zginął z ręki Sallusa. Przedewszystkiem Izajasz podaje różne proroctwa, które się nie spełniły, jak np. proroctwo (7, 18, 25) przeciwko Achasowi i królestwu judzkiemu. Również historya nic nie wie o tem, że Egipt tak się bał Judei, iż lęk zbierał każdego, komu o tem wspomniano (14, 17). W rozdziale 19, 23 czytamy o za-

[1] Hühn: *Messian. Weissagungen* § 60, str. 158, 159.

powiedzianem porozumieniu przyjacielskiem pomiędzy Assurem i Egiptem, które w takim stopniu nigdy nie istniało. Assur też ani Egipcyan ani Kuszytów w najbliższym czasie nie ujął w dyby (20), bo gdy r. 701 Sancheryb wyruszył na Egipt, armię jego zniszczyła dżuma. Tyr też nigdy nie zniknął z widowni przez lat 70 (23, 15). Sposób oblężenia i wyswobodzenia Jerozolimy nie zgadza się z opisem, podanym w rozdziale 29. Izajasz przepowiedział także raz zburzenie, raz ocalenie Jerozolimy. Micheasz pomylił się, gdy prorokował, że w najbliższym czasie Sion będzie zaorany, a góra święta porośnie lasem (3, 12). Nahum pomylił się, gdy przepowiadając oblężenie Niniwy dodał, że Judea wiecznie trwać będzie (1, 12). Babilońskie wygnanie nie trwało ani 70 (tak Jer. 25, 11; 29, 10) ani 40 (tak Ezechiel 4, 6) lecz 48 lat. Już autor księgi Danielowej zrozumiał, że Jeremiasz niedokładnie oblicza i dlatego tłumaczy 70 lat przez 70 tygodni lat (9, 24). Jak Izajasz, pomylił się również Ezechiel co do przepowiedni o Tyrze (26, 1—28, 19). W rozdziale 29, 18 on sam zaznacza, że upadek Tyru przez niego zapowiedziany, nie nastąpił. Deutero-Izajasz pomylił się, gdy zapowiedział, że Jahwe po zburzeniu Jerozolimy już nigdy nanowo nie nawiedzi jej gniewem swoim (54, 9). Przyszły jednak czasy, kiedy nieprzyjaciele spożywali zboże jej i spijali wino (62, 8).

Z tego zestawienia niespełnionych proroctw widzimy tedy, wnioskuje Hühn, że prorocy starego Zakonu ludzkim podlegali niedoskonałościom. Oni się raz po raz mylili, jak inni ludzie. Oni ze stosunków danych wnioskowali o przyszłości, która się nie spełniła. Ich znaczenie też nie na tem polegało, że przepowiadali przyszłość. Główną stroną całej ich działalności był moment religijno-moralny. Tu tkwi też ich niepomierne, wytknięte im przez Boga, znaczenie dla ludzkości«.

Chcąc wyjaśnić zarzuty powyższe, po części już odparte w rozdziałach poprzedzających, a poglądy, z których wypłynęły w należytem przedstawić świetle, przeciwstawmy wywodom tym całkiem przeciwny obraz.

Najprzód w czem tkwi siła dowodowa proroctw?

W ich harmonii i organicznej jedności. Ta zgodność prze-

dziwna w istotnych rysach i momentach różnych proroctw, choć każde odmienne na sobie nosi piętno wieku, kultury i twórczości indywidualnej, ta łączność wzajemna i zależność organiczna, snująca się poprzez lat tysiące od prastarej przepowiedni rajskiej aż do sądu ostatecznego, to ścisłe i żywotne ich połączenie z historyą narodu żydowskiego i dziejami świata, sprawiają, że dla umysłu, niezamglonego przesądem, siła ich dowodowa jest nieodparta. Gdyby jeden tylko autor, rozumuje Pascal, był napisał książkę o proroctwach tyczących się Zbawiciela, któreby się spełniły na Jezusie co do czasu i sposobu — byłby to dowód niepomiernej siły. A tu dużo więcej mamy: bo cały szereg proroków, którzy w ciągu czterech lat tysięcy równocześnie lub kolejno coraz jaśniej i coraz szerzej, nawzajem uzupełniając się, o tych samych mówią prawdach.

Otóż tę organiczną jedność proroctw, skojarzoną i splecioną żywotnie z przeszłością dziejową ludu żydowskiego, usiłuje rozerwać i zburzyć dzisiejsza krytyka racyonalistyczna, rugując zręcznie i skrzętnie z proroctw wszelki pierwastek nadprzyrodzony i przepowiednie przyszłości. Ale w samym obozie protestantyzmu destrukcyjna robota ta racyonalistycznych teologów, godząca w same podstawy chrześcijaństwa wywołuje raz po raz żywy protest i zwycięską częstokroć obronę ze strony rozważnych i częściowych przynajmniej obrońców prastarej tradycyi chrześcijańskiej. »Sztuczny to podział — wywodzi w tej mierze prof. Orelli — tego, co w historyi żywą tworzy jedność. Możnaby jeszcze słowa patryarchów i Bileama i podobne przepowiednie uważać za wytwory późniejszej poezyi *vaticinia post eventum*, ale z czasów ściśle historycznych posiadamy przecież przepowiednie, dobrze uwierzytelnione z bardzo wyraźnem piętnem, wobec których destrukcyjna krytyka jest bezsilna. Co więcej, przepowiednie te pochodzą od najwybitniejszych proroków Izraela, którzy już dawno powinni się byli wyzbyć wróżbiarskich elementów, pierwotnie rzekomo w nich tkwiących. Mamy tu na myśli słowo Izajasza przeciwko Assyryjczykom (37, 21 i. t. p.), Jeremiasza zapowiedź blizkiego upadku Jerozolimy, słowa jego przeciwko Hananjaszowi (28, 15), proroczą opowieść Ezechiela o katastrofie Jerozolimy i losie króla (12, 8) i t. d.

Illuzya to mniemać, że w takich wypadkach mógł prorok z fizyonomii moralnej narodu lub jednostek przepowiedzieć w imieniu Boga wypadki, kryjące się w łonie przyszłości. Jeżeli Izajasz żadnego szczególnego nie miał objawienia, gdy zapowiedział ocalenie Jerozolimy, to po prostu drwił sobie w sposób zuchwały i zbrodniczy z groźnej burzy, która zawisła ze strony Syryi, a później Assyryi nad miastem świętem. Jeżeli Jeremiasz na podstawie przypuszczeń tylko prawdopodobnych albo z rozmyślań moralnych, jak każdy inny, wnioskował o nieuchronnym upadku Jerozolimy, to był on tchórzem, jeżeli nie zdrajcą. Jeżeli Ezechiel ogłaszając swoje proroctwa zapewnia nas, że o pewnych wypadkach miał objawienie, nie więcej wiedział i nie więcej doświadczył niż inni, to był on oszustem.

Tymczasem etyczna wartość proroków, konkluduje Orelli, jest dla nas nieskazitelna, a więc zmuszeni jesteśmy rzeczywiste przyjąć źródło objawienia, z którego spłynęło na nich światło objawienia w tym kierunku, rozświecające rozwój wypadków historycznych« [1].

Ale nie tylko fakta historyczne lekceważy sobie krytyka historyczna, ona nadto nie wniknęła nigdy w ducha, nie pojęła nigdy celu proroctw Bożych. Kto chce zrozumieć i należycie ocenić wielkiego pisarza, musi wznieść się na wyżyny jego myśli i oddychać tchnieniem jego ducha. I proroctwa trzeba analizować i objaśniać w myśl ich autorów, według znaczenia ich słów, w świetle ich wskazań i wiary w odwieczne rządy Jehowy. Racyonalistyczna zaś krytyka historyczna nie docenia w proroctwach biblijnych ich eschatologicznego i typowego charakteru, szuka w nich zawsze absolutnych przepowiedni i realistycznych obrazów przyszłości, spełniających się z nieodmienną koniecznością w pochodzie historyi, jakby życie ludzkości mieściło się w ramach nieodmiennego mechanizmu przyrodniczego. To też nic dziwnego, że natchnione słowo prorocze jest dla niej światem niedostępnym,

---

[1] *Realencyklopaedie für protestantische Theologie und Kirche,* 3 wyd. t. 16. Prophetismus.

że zarzuty jej przeciwko nadprzyrodzonemu charakterowi proroctw są niesprawiedliwe i bezpodstawne.

Prorok z wyżyny swego urzędu Bożego zawsze sprawy ziemskie nie tylko ocenia w świetle wieczności, jak to zresztą krytyka racyonalistyczna przyznaje, lecz nadto zawsze i wśród groźnych dni gniewu Pańskiego odsłania jasne perspektywy zbawienia. Proroctwa bowiem to rozwijający się w pochodzie historyi plan ekonomii zbawienia ludzkości, zmierzającej do swego ostatecznego i najwyższego celu. Ta cecha eschatologiczna, właściwa jest wszystkim proroctwom biblijnym i stanowi poniekąd ich istotę. Z niej też wypływają wszystkie inne właściwości proroctw Bożych.

W świetle odwiecznej ekonomii zbawienia tłumaczy się stanowisko, jakie prorocy zajmowali wobec aspiracyi politycznych swego narodu.

Lud żydowski z tytułu swojej misyi religijnej i prastarego przymierza z Jehową, roił sobie zawsze złote sny przyszłości o blasku i potędze berła Dawidowego, o światowem znaczeniu Izraela w polityce i historyi świata.

Otóż te aspiracye polityczne zwalczali stale i niezachwianie prorocy całą potęgą geniuszu i mocą swego posłannictwa Bożego. Gdy dążności i kierunki polityczne narodu stawały w poprzek ideałom Bożym, oni w myśl prastarego przymierza z Jehową wskazywali na misyę wyłącznie religijną narodu, której celem było religijne spotężnienie ideowe i wzmocnienie moralne, ażeby Izrael stał się wiernym sługą w ręku Bogá i piastunem ideałów mesyańskich i wielkim zapaśnikiem królestwa jego wśród ludów pogańskich. Gdy w ówczesnem życiu politycznem i narodowem poczęły brać górę społeczne idee pogańskie krwi i żelaza, gdy absolutyzm i siła przed prawem w rządach wewnętrznych i polityce zewnętrznej święciły tryumfy, prorocy grozili sądem Pańskim Izraelowi i ludom pogańskim i wskazywali na ostateczny tryumf ideałów Bożych w pochodzie historyi i na kapłańską godność i królewską wolność synów Bożych wśród niewoli ludów i pogańskich porządków państwowych.

Ale bo też prorocy nigdy nie uprawiali polityki opozycyjnej ani partyjnej, nie zajmowali trybun agitacyjnych, ani nie sięgali

po dyktatorstwa ludowe, jak to racyonalistyczna krytyka ciągle powtarza.

W świetle odwiecznej ekonomii zbawienia tłumaczy się dalej warunkowy i pokutny charakter proroctw biblijnych.

Kiedy zjawili się prorocy biblijni?

W czasach rozstroju i upadku moralnego i wielkich klęsk narodowych po to, by ludowi wykazać na oko grzechy jego i pod grozą sądów Bożych popchnąć go do pokuty według słów psalmisty: »Dałeś znak bojącym się ciebie, aby uciekali od oblicza łuku, aby byli wybawieni mili twoi« (59, 6). Łuk gniewu Bożego napięty: proroctwo to znak przestrogi, żeby lud się nawrócił do Jehowy. Dopiero gdy napomnienie proroka nie skutkuje, groźby jego zamieniają się w straszne dni sądu Pańskiego.

Podobnie obietnice Boże, dane ludowi przez usta proroka, nigdy nie urzeczywistniają się bezwzględnie, lecz spełnienie ich zależne jest zawsze od zmartwychwstania moralnego, które w historyi toruje drogę zstępującym z nieba myślom Bożym.

Spełnienie więc proroctwa zależy od rodzaju i celu jego. Gdy przepowiednia prorocza osiągnie swój cel, proroctwo się spełniło bez względu na to, czy zapowiedziana kara nastąpiła czy nie, »bo słowo moje, mówi Pan, które wynijdzie z ust moich, nie wróci się do mnie próżne, ale uczyni cokolwiekem chciał i zdarzy się mu w tem, na com je posłał« (Iz. 55, 11).

Ale bo też proroctwa nie są ujawnieniem nieodmiennych i nieodwołalnych wyroków odwiecznego fatum, lecz miłościwych rządów Opatrzności Bożej, która żąda odrodzenia serca i zwolna prowadzi ludzkość na wyżyny moralne. To też związek pomiędzy proroctwem a historyą nie jest nigdy mechaniczny, lecz organiczny i moralny.

Gdy Jeremiasz »w sieni domu Pańskiego« przepowiedział zburzenie Jerozolimy i świątyni, dodał wyraźnie: »Jeśli usłuchają i nawrócą się« Pan żałować »będzie złego, które im (chciał) uczynić dla złości spraw ich«. Mimo to proroctwo wywołało burzę niezadowolenia. »Śmiercią niech umrze«, wołają kapłani i pseudoprorocy, bo bluźnił przeciwko świątyni. Książęta atoli i lud biorą go w obronę: »Niemasz, tłumaczą temu mężowi, sądu śmierci, bo

imieniem Pana Boga naszego mówił do nas« (r. 26). Ten sam prorok też osobny w tym względzie podaje nam kanon postępowania Bożego. »Nagle rzekę przeciw narodowi, mówi Pan, i przeciw królestwu, abych je wykorzenił, zepsował i zgubił. Jeśli żałować będzie on naród za złość swoję, którą mówił przeciwko niemu, i ja żałować będę złego, którem mu myślił uczynić. I nagle rzekę o narodzie i o królestwie, żebych je zbudował i osadził. Jeśli uczyni złość przed oczyma memi, że nie będzie słuchać głosu mego, będzie mi żal dobra, którem rzekł uczynić mu« (18, 7—10). Podobnie Ezechiel w r. 33, 13—15.

Wspaniałą illustracyą powyższej zasady jest cała księga Jonasza, który na rozkaz Boga zapowiada rychłe zburzenie stolicy Assyryi: »Jeszcze 40 dni, a Niniwe będzie wywrócone«. Burzę atoli, która zawisła nad miastem, uchyla pokuta Niniwitów i prorok się smuci i żali na miłosierdzie Boże, obracające w niwecz jego przepowiednię. I tu następują wielkie słowa, godne Boga, odsłaniające niezmierzoną wielkość miłosierdzia jego i najwnętrzniejszą zarazem racyę proroctw w historyi. Ty żałujesz bluszczu, odpowiada Bóg, w którego cieniu spoczywałeś, a »jabych nie śmiał przepuścić Niniwe, miastu wielkiemu, w którem jest więcej, niż sto i dwadzieścia tysięcy ludzi, którzy nie wiedzą co jest między prawicą a lewicą ich, i bydła wiele«.

Gdy zjawia się prorok, to znak, że pokuta jeszcze zdoła uśmierzyć gniew nieba, inaczej kara nieba spadłaby nagle i niespostrzeżenie. To też czasy, gdy zamilkli prorocy, tłumaczono sobie w Izraelu zawsze gniewem nieba i nawiedzeniem Pańskiem (1 Król. 1, 3).

Ale i proroctwo Jonasza spełniło się. Gdy w Niniwie nie stało pokutników, dumne miasto światowładne legło w gruzach. »Blizko będzie zginienie Niniwy, mówi Tobiasz na łożu śmiertelnem do syna i wnuków, bo nie upadło słowo Pańskie« (Tob. 14, 6). I pierwsze militarne państwo świata starego, które za panowania Sardanapala — jak świeże wykopaliska opowiadają — osiągnęło punkt kulminacyjny swego rozwoju, z całą swoją bogatą i wiekową kulturą światową r. 606 bezprzykładnie i nagle zmiecione zostało do szczętu z widowni historyi.

W świetle odwiecznej ekonomii zbawienia tłumaczy się typowy i duchowy charakter proroctw Bożych i to inna ich cecha znamienna.

W wizyach proroczych, kolejno po sobie następujących, darmo szukać porządku chronologicznego lub określenia czasu, dzielącego jedną epokę od drugiej (wyjątek stanowi tu proroctwo Daniela) lub jasnych i wyrazistych przepowiedni co do osób i czynów, kryjących się w łonie dalekiej przyszłości. Zamiast obrazów, przedstawiających z fotograficzną wiernością przyszły przebieg wypadków, widzimy tam zwyczajnie zaznaczoną jakąś ideę przewodnią, połyskującą wśród symbolicznych obrazów, jakiś rys charakterystyczny, jakąś cechę wyszczególniającą przyszłe wydarzenia. Częstokroć też z pod formy współczesnej historyi przebłyskują odwieczne normy sądów Bożych. Groźna burza np., która zawisła nad ludem, wrogim Izraelowi, przedzierzga się niepostrzeżenie w obraz sądu ostatecznego, bo proroctwo maluje tylko sprawiedliwość Bożą, która już drga i błyska w bezpokutnym upadku moralnym, ale okaże się w całej pełni i grozie dopiero na sądzie ostatecznym.

Podobnie malują prorocy rajskie czasy ery mesyańskiej w gorących kolorach i blaskach najwznioślejszej poezyi. Tylko nie wiadomo w jaki sposób, przez jakie stopnie i trudności ludzkość, zbrojna mocą Chrystusową, w swoim rozwoju historycznym przedzierać i wspinać się będzie na te wyżyny kwitnącego dobrobytu i szczęścia i niezamąconego pokoju.

To trzeba mieć na uwadze, kto chce zrozumieć te rozliczne proroctwa o nawróceniu się wszystkich ludów do Chrystusa, te czarujące obrazy o rajskich czasach mesyańskiej sprawiedliwości i szczęściu i niezamąconego pokoju, które już tu poczynają się urzeczywistniać, ale dopiero w górnej Jerozolimie w całej pełni i doskonałości się urzeczywistnią.

Ten typowy i duchowy charakter wizyi proroczych tłumaczy się dostatecznie psychologiczną naturą naszego poznania i twórczą mocą natchnienia. Prorokowi idzie przedewszystkiem o wierne i plastyczne przedstawienie tej prawdy konkretnej i wizyonerskiej (nie abstrakcyjnej), która ukazała się widomie jego umysłowi, jak np. pewne jasnowidzenie o przyszłym rozwoju

ludzkości. Jak tu atoli wytłumaczyć to co duchowne, nadprzyrodzone i niewidzialne, jak tu wyjaśnić naturę i czynniki duchowe przyszłego królestwa Bożego, jeżeli nie za pomocą obrazów, zaczerpniętych ze sfery umysłowej ludu żydowskiego, zapomocą wypadków, zapożyczonych z współczesnej historyi narodu? W ten sposób odblaski prawdy odwiecznej i odbłyski odwiecznej, wszystko ogarniającej wizyi Bożej, udzielającej się ułamkowo duchowi proroka, znajdują swoje odbicie w blaskach i pięknie wschodniej przyrody, swoją interpretacyę w wypadkach współczesnej historyi, w instytucyach i przeszłości dziejowej ludu żydowskiego. Tak chcąc przedstawić bogactwa duchowe przyszłego królestwa mesyańskiego, prorok stawia nam przed oczy odrodzone i wiekuiste, szczęściem i dobrobytem kwitnące, królestwo Dawida lub Salomona lub też wskazuje na przyszłe zjednoczenie i pokój, wiekową nienawiścią rozdartego na dwoje, narodu żydowskiego. Chcąc zaś przedstawić nawrócenie się pogan do Boga, opisuje prorok pielgrzymkę ludów pogańskich, spieszących z darami na górę Syon, lub Jerozolimę o rozszerzonych murach i przeobrażoną w nowe miasto Boże. Wyzwolenie z niewoli babilońskiej w wizyach proroczych zlewa się w jedno z wyższego rodzaju wyzwoleniem moralnem, odwieczne kapłaństwo i wiekuiste ofiary łączą się z kultem ofiarnym wyższego rzędu, wrogowie ludu żydowskiego przedzierżgają się w wrogów wogóle Boga i królestwa jego [1]. Słowem, prawdy prorocze kryją się częstokroć pod alegoryą i hyperbolą, pod splotem obrazów i symbolów tak, że chcąc je odsłonić, trzeba wpierw wznieść się ponad ich natchnioną szatę zewnętrzną. Dopiero dokładnie przeprowadzona analiza każdego proroctwa zosobna oddziela główną myśl proroka od obrazów i symbolów, które ją tłumaczą i objaśniają. Znać to już zresztą po tem, że ta mieniąca się powłoka zewnętrzna nie układa się w harmonijną całość konsekwentnie przeprowadzoną, gdyż jej składowe części nawzajem się zwalczają i wykluczają, a więc tylko służyć mogą do uwydatnienia i uzmysłowienia przewodniej myśli proroka.

[1] Patrz: *Przegląd Powszechny* z lipca i sierpnia 1908 r. Mich. 4, 3; Oz. 2, 20; Iz. 9, 6; 11, 13; 60; Zach. 3, 10; Oz. 1, 11; Jer. 33, 17; Ez. 40—48.

Warunkom czasu nie podlegają już zgoła wizye prorocze.

Proroctwa rzeczowo pokrewne, ale odnoszące się do rzeczy, przedzielonych wiekami, łączą się i zlewają niepostrzeżenie w jeden jakby obraz jasnej lub ponurej przyszłości a wypadki z różnych czasów występują obok siebie na tem samem tle historycznem. Pod tym względem widzenia prorocze podobne są do perspektywy obrazów, na których przedmioty bliższe tylko wyraźnie odcinają się od tła, dalsze zaś są coraz mniej widoczne i gubią się w oddali. Tak wspaniała przepowiednia Izajasza (r. 45) mówi w pierwszym rzędzie tylko o »pomazańcu« Cyrusie i powrocie Żydów z Babilonii, ale pomazaniec ten i wyzwolenie z wygnania przybiera niebawem zabarwienie messyańskie i przedzierżga się w wyzwolenie wyższego rzędu z potęgi zła i grzechu [1].

Nie inaczej też przedstawiają prorocy rozwój przyszłego królestwa Bożego: po ponurem przedstawieniu strasznego upadku moralnego idzie jako konieczne następstwo sąd Boży, który odbywa się najpierw nad grzesznym Izraelem a następnie rozszerza się w sąd nad ludami i światem całym. Po sądzie zaś następuje wyzwolenie i zbawienie.

Czas nadchodzącej ery mesyańskiej, z wyjątkiem proroctw Daniela, zawsze w najogólniejszych tylko i przyćmionych jest podany zarysach. Słowo techniczne w tej mierze »czasy ostateczne«, »dni ostateczne« i tym podobne wyrażenia, oznaczają zawsze czasy jakby krańcowe wizyi proroczej, poczynające albo kończące rozwój królestwa Bożego. »Ostateczne dni«, to ostatni okres rozwojowy królestwa Bożego, to dni ognia i miecza i sądu ostatecznego, to »wypełnienie czasu«, które zamyka czas przygotowania i iści się spełnieniem obietnic Bożych [2]. Przyszły »ostateczne dni«, przez proroków zapowiedziane, mówi Piotr św., niosące ze sobą spełnienie obietnic messyańskich. Czasy przygotowania osiągnęły swój cel i koniec, odtąd żaden już inny czas nowy Prawdy i Łaski nie nastąpi. Z jego kresowym rozwojem bowiem kończy się historya ludzkości i całego stworzenia.

---

[1] Patrz: *Przegląd Powszechny* z lipca 1908 r. str. 52.

[2] Iz. 2, 2; Ez. 38, 16; Dan. 2, 28; Sal. 4, 4; Act. ap. 2, 17 i t. d.

W ogólnych tedy i przyćmionych tylko konturach rysuje się przyszłość w wizyach proroczych jako przedmiot wiary i nadziei ludzkości, a spełnienie dopiero wypełnia te kontury kolorytem i drgającem życiem.

Zasadnicze prawdy te dobrze były znane w Izraelu i żyły zawsze w świadomości ludu tak, że z niespełnionych lub niejasnych niekiedy proroctw nie kuto broni przeciwko prorokom Bożym. W czasach, kiedy proroctwa żyły w trwożnej pamięci ludu i były pod czujną i podejrzliwą kontrolą kapłanów i dworu królewskiego, kiedy odnosiły się do najważniejszych spraw polityki państwowej i raz wraz dotykały najżywotniejszego tętna życia narodowego, w czasach, kiedy łatwo było można przekonać się o ich prawdziwości i względności nie rzucano potępienia na proroków, nie karano ich śmiercią za złudne lub mylne przepowiednie. Owszem całkiem przeciwnie.

W przeciwieństwie do pseudoproroków, schlebiających dworom i dbających o poklask ludu, do wróżbitów i znachorów ościennych ludów pogańskich, uznawano i uważano proroków biblijnych za jasny i w oczy bijący dowód prawdziwości i wyższości wiary w Jehowę i jego Objawienie, za znak niemylny wielkich przeznaczeń Izraela i wyszczególnienia go pomiędzy innymi ludami pogaństwa.

Zresztą proroctw, o których ziszczeniu się Pismo albo wyraźnie wspomina, albo je supponuje, mamy już w Starym Zakonie szereg cały. I głównie proroctwa także stosownie do kryteryum, danego przez Mojżesza (Deut. XVIII, 20—25) służyły za dowód, że Pan mówił przez usta proroków i że posłannictwo ich naznaczone jest stygmatem Bożym. Inne, i to ogromna większość, odnoszą się jako do swego ogniska i celu do Jezusa i jego dzieła, jak to Ewangeliści dowodnie wykazali a historya rozwoju chrześcijaństwa nieodparcie stwierdziła. Inne wreszcie odnoszą się do przyszłych losów Kościoła i końcowego rozwoju ludzkości i te spoczywają jeszcze w łonie przyszłości.

Ks. Leonard Lipke.

GRUSZKI NA WIERZBIE.

I.

Wracałem tamtego roku z Paryża »wielkim oryentem«. Ten pociąg szczycił się w owej odległej epoce tem, że »stał na wyżynie najnowszych wynalazków«, jak się najnowszą mówi polszczyzną. Dziś prawda, jest niemal zabytkiem archeologicznym, wobec wydoskonalenia automobilów, a jedziemy tak szybko, że na drugi rok będzie już mamutem, skamieniałością przedpotopową, na którą ludzie spoglądać będą z politowaniem, kiedy bujać będą na aëroplanie. Ale tamtego roku wolno jeszcze było podziwiać doskonałość pociągu, w którym podróżny nie poprzestaje na sypialnym i jadalnym wagonie; ma jeszcze osobny wagon bawialny, całkiem podobny do owego elizyum ludzi nowożytnych, do hotelowego, wspólnego salonu.

Zażywałem elizyjskiej szczęśliwości, siedziałem w bawialnym wagonie i przeglądałem obrazki, wyobrażające różne *palace hotely*. Nie siedziałem sam; było oprócz mnie podróżnych troje. Był jakiś wielki elegant, ubrany w wyroby *eines Weltschneiders*. Miał lat mniej więcej czterdzieści, wybitnie semickie rysy, spinkę brylantową, i to bardzo kosztowną w krawacie, mnóstwo pierścieni na palcach połyskujących od drogich kamieni; kazał sobie podać szampan i ostrygi, a popijał szampan i zajadał ostrygi; zaraz poznałem, że to jakiś wielki socyalista.

Była dama, ni młoda, ni stara, wcale nienadobna, chuda,

przyobleczona w czarne szaty; miała krótko ucięte włosy i okulary na nosie. Zaraz poznałem, że to feministka, a dowiedziałem się potem, że jest rodem z Norwegii.

Był wreszcie jakiś pan, młody jeszcze, ubrany korekt, ale bez przesady, wcale przystojny, o którym się niczego nie domyślałem; a dowiedziałem się dopiero później z konwersacyi, że to Holender i urzędnik w ministerstwie kolonii w Hadze.

Feministka i socyalista rozmawiali z sobą z widocznem zajęciem, a Holender milczał. Ja się zrazu przysłuchiwałem rozmowie, a potem wmięszałem się do niej, nie na to, aby swoje wypowiedzieć zdanie, tylko aby wybadać dokładnie opinię towarzyszy podróży. Przekonałem się rychło, że to ludzie bardzo umiarkowani, dalecy od wszelkich skrajności. Socyalista oświadczył po niejakim czasie, że pragnie zarobioną słusznie własność prywatną uszanować, że będąc wrogiem rewolucyi, a zwolennikiem ewolucyi, gotów nawet dzisiejszych właścicieli pozostawić w dożywotniem posiadaniu dóbr swoich ruchomych i nieruchomych, bez względu na sposób, w który te dobra nabyto. Był jedynie za zniesieniem praw dziedzictwa. Po śmierci właściciela, cały jego majątek miał się stać własnością społeczeństwa. Dzieciom jedynie dobre wychowanie mieli rodzice pozostawić w spadku. Nie będzie wtedy żadnych w społeczeństwie trutni, każdy będzie wiedział, że jedynie osobista praca może mu zapewnić dostatek, a każdy będzie zatem pracował usilnie, niezmordowanie, nieustannie, mnożąc tym sposobem wspólne dobra, coraz majętniejszego społeczeństwa.

Feministka nie sprzeciwiała się teoryi socyalisty; potakiwała raczej temu, co mówił; sama jednak z zapałem broniła innej, także bardzo umiarkowanej tezy. Zawołała po niejakimś czasie.

»Uwolnijcie kobiety od nieznośnej niewoli, jaką jest obowiązek wychowywania dzieci, a wyższość kobiet nad mężczyznami okaże się wnet w całej pełni. Mężczyźni ujarzmili płeć niewieścią za pomocą brutalnej siły muszkularnej i siłą utrzymują swoje panowanie, choć są bez porównania głupszymi od kobiet. Przy dzisiejszym jednak ustroju społecznym musi niewiasta cały swój czas poświęcić na ucieranie nosa najnieznośniejszym w świecie bębnom. Dlatego nie może zajaśnieć swoim przyrodzonym geniu-

szem. Ale uwolnijcie nas od niedorzecznej służby w dzieciarni, przekażcie społeczeństwu obowiązek wychowywania dzieci, począwszy od chwili, w której nieproszony gość na świat zawita, a zobaczycie wnet, żeście wyswobodzili potęgę duchową, wobec której zblednie i zgaśnie wszystko, co nam dotąd przyniosły dzieje. Prawda, będziemy panować nad wami, ale potrafimy was naszem panowaniem podnieść i uszczęśliwić!«

Ten wykrzyknik feministki stał się dla milczącego dotąd Holendra pobudką do tego, aby przerwał milczenie. Odezwał się teraz, i oświadczył, że mógłby opowiedzieć wcale zajmujące szczegóły o kraju, który dobrze poznał, a w którym szczególniejszym zbiegiem okoliczności, i prawo dziedziczenia od stu lat prawie zniesione, i kobiety są już w trzeciem czy czwartem pokoleniu wolne od obowiązku wychowywania dzieci.

Oświadczenie Holendra sprawiło senzacyę.

Socyalista spytał się: »A gdzież jest ta szczęśliwa kraina?«

Feministka dodała: »Wiem z pewnością, że tam kobiety panują. Ale proszę opowiadać; słuchamy«.

Holender, siedząc nieruchomo na swoim czerwonym pluszowym fotelu, zaczął opowiadać potoczyście, ale z prawdziwie batawską flegmą. Rzekł:

»Zdradzę właściwie urzędową tajemnicę. Ale daję sobie rozgrzeszenie, licząc po pierwsze na państwa dyskrecyę, a sądząc po drugie, że tajemnica stała się dziś już zbyteczną, skoro kolonia, którą opiszę, jest już tak dojrzałą, że może lepiej ją własnemu pozostawić losowi.

Po kongresie wiedeńskim w r. 1815 zapanowało w ojczyźnie mojej powszechne zniechęcenie; smutek napełniał serca wszystkich patryotycznych Holendrów. Wiemy o tem sami, przyznają to także ościenni; jesteśmy narodem dzielnym, którego cnoty i przymioty w niczem anglo-saksońskim nie ustępują. Mimo to jesteśmy skazani na uduszenie w ciasnych załamach Renu, na skrawku ziemi, któryśmy niegdyś morzu wydarli. Nie wolno nam się mnożyć, nie wolno ziemi zaludniać swojem potomstwem, płowem, rumianem a mężnem. Próbowaliśmy kilkakrotnie zająć duże a puste zamorskie obszary, w którychbyśmy mogli założyć ludne kolonie,

zabezpieczające przyszłość naszej rasy. Pokazało się jednak niestety, że nas jest za mało, że się nie możemy angielskiej oprzeć przemocy. W siedemnastym wieku wydarto nam te amerykańskie wybrzeża, na których się Nowy Jork dziś wznosi. Na początku dziewiętnastego powtórzyła się klęska, utraciliśmy na Przylądku Dobrej Nadziei kolonię, rokującą najlepsze nadzieje. Wszystkim opadły ręce. Czarna brała rozpacz.

Na szczęście żył w Amsterdamie wielki patryota i wielki uczony. Najpóźniejsze pokolenia będą ze czcią wspominać imię profesora Van Humbug, bo jemu to zawdzięcza naród pewność, że się nie da udusić, że nie wymrze, że mowa holenderska będzie rozbrzmiewać na szerokich lądach. Był to przedewszystkiem niezrównany matematyk, który swoją wiedzę poświęcił dobru narodu swego. Zrobił wiekopomne odkrycie, a wyrzekł się chwały, wiedząc, że tym sposobem lepiej ojczyźnie służy. Zapomocą matematycznej formuły, do której klucza szukać trzeba w $\frac{\log - x \sqrt{\infty}}{n.\frac{x}{2}}$ wyrachował, że duży ląd, a właściwie ogromna wyspa leży pomiędzy 30 a 40 stopniem szerokości południowej, a pomiędzy 181 a 187 stopniem długości na zachód od Greenwich, a zatem, jak się państwo o tem przekonać możecie, w czwartym rozmiarze. Van Humbug wyrachował dalej, jakim sposobem można się było dostać na tę wyspę, i zwierzył się z tajemnicą przed swoim rządem. Radził wysłać na ląd ów w czwartym rozmiarze kolonię holenderską, która bezpiecznie ląd cały zajmie i zaludni, a dyabła zjedzą Anglicy, nim się tam dostaną«.

Tu socyalista przerwał opowiadanie wołając: »Skoro chodzi o ląd położony w czwartym rozmiarze, wiem już że pan chcesz nas uraczyć bajką — przepraszam przypowieścią, i że dowiemy się nie o tem, co jest, tylko o tem, co się panu zdaje«.

Czuć było w głosie socyalisty coś na kształt urazy. Młody urzędnik nie zmienił postawy, ale odpowiedział stanowczo, tak prawie, jakby go niedowiarstwo oburzało: »Ja panu powiadam, że w tej kolonii bawiłem rok cały, przed dwoma laty; a jestem tak samo przekonany o prawdzie tego, co będę opowiadał, jak

pan o słuszności i zbawienności zasad społecznych, które głosisz. Więc pan nie masz prawa niedowierzać. Zresztą niedowiarstwo pańskie mnie dziwi, bo miałem pana za człowieka postępowego, i to bardzo; tymczasem widzę, że pan nie wierzysz we wszechmoc nauki, przeznaczonej zapewnić szczęście przyszłych pokoleń, o jakiem się nam nie śniło. Każdy matematyk godny tego imienia przypuszcza istnienie czwartego rozmiaru przestrzeni, którego my tylko dostrzedz nie możemy. A skądże masz pan prawo wątpić o tem, że nauka tego niedołęstwa naszego nie usunie i nie sprawi, że się będziemy swobodnie po czwartym rozmiarze poruszać? Pytam się, skąd pan masz to prawo?«

Obrońca proletaryatu spojrzał tylko z pod oka na Holendra, ale orędownica praw niewieścich wydała entuzyastyczne westchnienie; wyższa intuicya niewieściego umysłu wprawiała ją w uniesienie na myśl o mistycznej a nieograniczonej potędze nauki; chodziła już w myśli po czwartym rozmiarze. Socyalista słuchał odtąd w milczeniu, zacinając tylko czasem usta; feministka była cała uchem i przerywała od czasu do czasu opowiadanie entuzyastyczną uwagą.

Holender ciągnął dalej swoje opowiadanie. Rzekł: »Rząd holenderski, w uznaniu niepospolitej zasługi wielkiego matematyka, postanowił z góry, że nowa kolonia miała się nazywać Van Humbugsland. Aby mogła na prawdę spełnić swoje zadanie, uchwalono, że kolonistami mogą być tylko młodzi ludzie; wybrano dwa tysiące dziewic i tyluż młodzieńców, i kazano im jechać w świat daleki, na dziesięciu statkach w tym celu wyekwipowanych. Ani starcy, ani dzieci nie mieli brać udziału w wyprawie, ani nawet ludzie, którzy się już w Holandyi pożenili. Z dobranych stadeł, związanych miłością prawdziwą, miało się nowe pokolenie w nowym już rodzić kraju. Tem prędzej się zaaklimatyzuje, tem raźniej się rozrośnie. Prócz młodzieży płci obojga, tylko pewna ilość pastorów siadła na statki emigracyjne, celem bogobojnego kojarzenia stadeł. Pastorowie ci mieli zresztą w młodej kolonii sprawować rządy, przewodniczyć zgromadzeniu wszystkich mężczyzn, przyobleczonemu w moc prawodawczą. Nowa kolonia miała trwać w zupełnem odosobnieniu i miała się cieszyć zupełną prawie autonomią.

Tylko raz na kwartał miał ją odwiedzić statek holenderski, przywożący z Europy niezbędne towary; tylko co dziesięć lat, urzędnik z ministerstwa kolonii nawiedza Van Humbugsland i bawi tam przez rok, poucza mieszkańców o nowych wynalazkach, jakie w świecie poczyniono, bada gruntownie stosunki kraju i potrzeby społeczeństwa, i o wszystkiem składa raport w Hadze. Ja miałem szczęście być ostatnim takim wysłańcem rządu holenderskiego i wskutek tego mogę wszystko o tym kraju opowiedzieć«.

Feministka wtrąciła: »Z tego, co pan na wstępie nadmieniłeś, wiem, że mimo odosobnienia swego, kraj nowy otrząsł się z przesądów i bigoteryi początków swoich. Dziś wyprzedził Europę i Amerykę, posiada ustrój socyalistyczny i feministyczny i dzięki temu do największego doszedł rozkwitu«.

Holender odpowiedział: »Niech pani daruje, ale ja muszę dzieje kolonii opowiedzieć porządkiem chronologicznym, gdyż inaczej rzecz moja będzie niezrozumiałą«.

»Proszę: słucham«, rzekła feministka.

»A zatem«, prawił młody urzędnik, »flotyla z emigrantami i pastorami zajechała szczęśliwie do miejsca przeznaczenia w czwartym rozmiarze. Trzeba było wówczas na to aż czterech miesięcy, przy pomyślnym nawet wietrze, a pastorowie cały czas prawie byli zajęci dawaniem ślubów. Znalazłszy ląd szukany, wylądowano u ujścia wspaniałej rzeki, nazwanej Van Humbugsstrom, i tam założono pierwszą osadę na nowym lądzie. Każdej młodej parze wyznaczono pas brzegu, a nadano prawo uprawiania całej ziemi rozciągającej się od tego pasu w głąb kraju. Ziemia, którą para młoda zdobędzie miała przejść na własność jej nieograniczoną, a tę ziemię i zdobyte na niej dostatki, miały po rodzicach dzieci, po przodkach potomkowie najdalsi dziedziczyć. Dodano każdej parze osadników coś bydła, przywiezionego z Holandyi i różne narzędzia. Młodzież wzięła się z zapałem do stawiania domu, stajni, stodoły, do karczowania lasu i uprawiania roli. Mężczyźni pracowali niezmordowanie, a żony ich troskały się około domu i ogrodu. Wkrótce puszcza bezludna zamieniła się w kwitnącą niderlandzką osadę.

Kraj posiada klimat bardzo uroczy, z lekką zimą, a umiar-

kowanie gorącem latem, podobny do klimatu Madeiry. To też cieszy się bujną, tropikalną wegetacyą, a mimo to rodzi obfite europejskie plony. Mnóstwo rozmaitego zwierza zamieszkuje puszcze i stepy, mnóstwo pstrego ptactwa siada na gałęziach drzew pokrytych wspaniałym kwiatem. Wogóle flora i fauna mają charakter południowo-azyatycki. Tem bardziej może to przyrodnika zastanowić, że niemasz wcale małp właściwych; jest zaledwie kilka bardzo małych małpiątek. Powód tego zjawiska jest dziś znany, ale może być dopiero później wyłuszczony.

U samego ujścia rzeki zbudowano na wzgórzu stolicę kolonii. Postawiono przedewszystkiem zbór, a dokoła mieszkania dla pastorów, ratusz czy tam gmach rządowy, sąd i w przewidzeniu blizkiej przyszłości szkołę. Nadzieja niezawodnego zabezpieczenia rasy batawskiej kazała nadać stolicy obiecujące miano Pajdopolis, a nikt się wówczas nie domyślał, w jaki sposób na tę nazwę istotnie zasłuży. Przekonano się niebawem, że wylewy rzeki, a czasem znów posuchy mogą wielkie wyrządzić szkody. Musiano tedy pobudować groble dla powstrzymania wylewów, wykopać kanały dla nawodnienia pól. Roboty te wykonała ludność męska dobrowolnie i za darmo, w przekonaniu, że pracuje dla swojego potomstwa.

Niestety! Te oczekiwania, te nadzieje zawiodły. Zaczęto się już po sześciu miesiącach niepokoić, niepokój wzmógł się ogromnie po roku, po trzech latach zamieniał się w rozpacz czarną. Miłość małżeństwa na nic się nie przydała, daremne były modły pastorów i wiernych, oczekiwanego błogosławieństwa Bożego nie było, żadnego nowonarodzonego dziecka nie zaniesiono do kościoła w Pajdopolis, żadna nie świtała nadzieja!

Dzisiaj wiemy czemu ten zawód przypisać. Nauka najnowsza rzecz zbadała. Żyje w Van Humbugslandzie komar zwany *spermatostomus sterilisans*. Zwierzętom nic nie szkodzi niższym, bydło mnoży się doskonale; ale u człowieka i u małpy wszczepia ukąszeniem jad złowrogi, nasienie bakcylusa, który zupełną u niewiast bezpłodność sprawia. I to jest powód, dla którego małp na wyspie niemasz wcale.

Zaczęto myśleć, że także ludzie na wymarcie skazani. Los

nieubłagany ścigał tak wysoce zresztą wyposażoną rasę batawską. Gdzie nie mógł Anglik sięgnąć, tam sięgała jakaś fatalność. Wesołość zanikała powoli w młodej kolonii, opadały ludziom ręce, ustawała chęć do pracy; nowych lasów już nie karczowano, nowych pól nie uprawiano, niechętnie publiczne naprawiano budowy. Nieraz odezwał się młodzieniec z tem, że nie warto mu się trudzić; mawiał: Dotychczas zdobyty dostatek dla mnie i dla żony wystarcza; pracy trzeba tyle, ile starczy, aby to, co jest, jako tako utrzymać. Zresztą pokój lepszy, spoczynek przyjemniejszy. Po nas tu nie będzie już nikogo, chyba zwierz dziki, i zdziczałe bydło!«

II.

»Na szczęście znalazł się wśród osadników młodzieniec wykształcony, Arendt van der Bluff, który po wielkim Van Humbugu największe około kolonii położył zasługi. Był to zamiłowany przyrodnik; badał pilnie faunę a zwłaszcza florę nowo zamieszkałego kraju. Podczas jednej ze swoich dalszych wycieczek, odkrył nad brzegiem jednego z dopływów głównej rzeki znaczny gaj drzew, przypominających zupełnie europejskie wierzby. Forma to była bardzo niezwykła, wśród zupełnie odmiennej, tropikalnej flory. Gdy po niejakim czasie powrócił, zastał drzewa w kwiecie i mógł się przekonać, że to prawdziwe wierzby, mało co od naszych odmienne. A były to drzewa dziś dobrze botanikom znane, pod nazwą *salex prolifera.* Zadziwienie jego nie znało jednak granic, gdy powróciwszy znowu po kilku tygodniach, zastał na wierzbach gruszki, prawdziwe gruszki! Zerwał kilkanaście sztuk tego jak na wierzby tak nadzwyczajnego owocu i zaniósł do domu, powziąwszy zamiar, że się dokładnie tym gruszkom przypatrzy. Od razu nie mógł zamiaru uskutecznić, bo musiał spieszyć do bydła pasącego się w odległości kilku mil od domu. Oddał tedy gruszki do przechowania swojej żonie, pani Izabeli van der Bluff.

Pani Izabela nie podzielała naukowych zamiłowań męża; spoglądała na gruszki nie z naukowego tylko z praktycznego a właściwie z kulinarnego stanowiska. Gruszki nie ze wszystkiem

dojrzałe można było chyba suszyć; położyła je więc na piecu w kuchni.

Z przykrością przychodzi mi wyznać, że Arendt zapomniał się i ofuknął żonę kiedy do domu powróciwszy o losie gruszek się dowiedział. A ofuknął najniesłuszniej. W tym to wypadku pokazało się dowodnie, jak to przygodne okoliczności do najważniejszych nieraz prowadzą odkryć, pokazało się o ile nieświadomie odzywająca się u niewiast intuicya bywa wyższą od męskiego suchego rozumu.

Kiedy się Arendt von der Bluff zbliżył do pieca, na którym spoczywały gruszki zerwane na wierzbie, osłupiał. Nie uschnęły bynajmniej, nie zmalały; rozdęły się owszem pod wpływem sztucznego ciepła, a wzdęły się ogromnie; każda z nich stała się tak wielką, jak najogromniejsza dynia.

Młody przyrodnik nie dowierzał oczom swoim. Wyciągnął rękę po jedną z gruszek, dotknął się jej ręką. A oto! — nie wytrzymała dotknięcia, pękła za dotknięciem, a pod skorupą znalazło się białe i różowe, pulchniutkie, okrąglutkie, śliczne ludzkie niemowlę o błękitnych oczętach i płowych włoskach, najwspanialsze niemowlę, o wszystkich znamionach najczystszej batawskiej rasy.

Wnet przekonał się Arendt, że w każdej rozdętej gruszce było takie samo niemowlę. Wszystkiego było tych aniołeczków szesnaścioro, dziewięć dziewcząt, siedem chłopców. Nic dziwnego! Wszak to także właściwość batawska, że liczba kobiet przeważa liczbę mężczyzn. Wszystkie podnosiły śliczne, różowe nóżki; wszystkie wrzeszczały w niebogłosy, tak, że pani Izabella przybiegła do kuchni z przerażenia. Ujrzawszy to wszystko, chwyciła się za głowę i krzyknęła: »A co my z tem zrobimy?«.

Oboje małżonkowie stali przez chwilę nieradni. Pani Izabela okazała wnet swoją wyższość praktyczną; zawołała: »Idź po kozy, po owce!«.

»Poco kóz, kiedy tu są dzieci?« — spytał się Arendt, który jeszcze nie wyszedł z osłupienia.

»Głupiś!« Odpowiedziała młoda małżonka. Nie poprzestała jednak na tej lakonicznej, a dosadnej odpowiedzi. Ta płowa, rumiana

Holenderka nie tylko była ładną, była także praktyczną i przytomną, a kiedy coś niespodzianego zaszło, miała nad uczonym mężem stanowczą przewagę. Kazała mu wrzeszczącą dzieciarnię wynieść na podwórze i położyć na trawę, zaalarmowała sąsiedztwo, zarekwirowała kozy i owce swoje i sąsiedzkie. Był tumult, był gwar, było zadziwienie; młode Holenderki gadały jak na mękach, młodzi Holendrzy drapali się w głowę — zapominali nawet o swoich krótkich fajeczkach; ale pani Izabela podjęła skutecznie komendę. Znalazły się niebawem potrzebne kozy i owce, zabawiły się w rolę mitologicznej Amaltei, a wrzaski dziecinne ucichły«.

»Widzisz pan«, przerwała tu feministka, »jak wielką bywa wyższość kobiet«.

»Tam zwłaszcza, odpowiedział flegmatycznie urzędnik, gdzie chodzi o wychowanie drobnych dzieci. Pani Izabela nie sądziła aby do niej należały sprawy publiczne i urzędowe. Sama z sąsiadkami pozostała przy nowonarodzonych obywatelach kolonii; męża posłała do Pajdopolis, aby doniósł władzy o tem, co tak niespodzianie zaszło.

Na szczęście do Pajdopolis było wcale niedaleko. Arendt zastał superintendenta czytającego książkę w domu.

»Panie superintendencie«, zawołał, »są dzieci«.

»Jakto dzieci«? Spytał się superintendent, trzymając książkę w prawicy, a nasuwając lewicą okulary na czoło.

»Jest szesnaścioro dzieci u mnie«.

»U ciebie?«

»Tak u mnie«.

Zrobiło się *tableau*. Superintendent nie mógł pojąć tak nagłego a nadmiernego błogosławieństwa Bożego; myślał zrazu, że Arendt zwaryował. Kiedy się przekonał, że zdrów, wypytywał się i dalej nie rozumiał. Zaprosił innych pastorów na naradę. Potrząsając głowami postanowili udać się do domu Arendta. Poszli, widzieli na własne oczy, wątpić już nie mogli, przypadłszy na kolana i wznosząc ręce ku niebu, złożyli dzięki Najwyższemu, za zbawienie, jakie się wreszcie kolonii ziściło. Potem każdy pastor wziął jedno niemowlę na ręce, za każdym pastorem biegła jedna koza albo owca, a za kozami i owcami szli Holendrzy, szły Ho-

lenderki. Była to tylko garstka tych, którzy uwierzyli, bo na własne oczy widzieli. Ruszył pochód procesyonalnie do Pajdopolis, a po drodze śpiewał hymny dziękczynne, wspominające Mojżesza, Egipt i Morze Czerwone. Innych bowiem, bardziej *à propos* nikt sobie na razie przypomnieć nie mógł.

W Pajdopolis zadzwoniono w wielkie kościelne dzwony, na gwałt. Tak to bowiem zwoływano lud męski, na wielką radę. Wraz z odgłosem dzwonów, rozlegały się po kolonii wieści o tem co zaszło, dziwne, po części sprzeczne, po części przesadne. Nikt temu wierzyć nie mógł, ale wszyscy byli bardzo ciekawi. Cała prawie ludność męska kolonii zebrała się niedługo przed zachodem słońca na łące, przed kościołem, na której się odbywały prawodawcze zgromadzenia ludu, a pastorowie w uroczystych szatach zjawili się przed ludem.

Głos zabrał superintendent. Darmobym się silił, gdybym chciał oddać jego wymowne wywody. Cała flora biblijna Palestyny zakwitła mu na uściech, lewiatany, behemoty i oprócz tego różne apokaliptyczne bestye chodziły mu po języku. Sens powieści był ten, że opowiedział ludowi to, co ja przed chwilą nie tak kwieciście i nie tak podniośle opowiedziałem. Trudna była rzecz do wiary, ale trzeba się było pochylić przed powagą pasterza i zresztą przed oczywistością. Wnet ukląkł cały naród i wraz z pasterzami swymi wznosił swemu Bogu dzięki za to, że się teraz Van Humbuglandya może rozmnożyć jak piasek na morzu i jak gwiazdy na niebiesiech.

Potem przeszedł superintendent do wniosków praktycznych. Każdy mógł teraz mieć tyle dzieci ile chciał, nie mniej, nie więcej. Trzeba tylko pójść między wierzby, urwać na nich gruszki, i dziecko było. Zresztą chodziło tylko o drobiazg, o wychowanie. Każdy zatem obywatel miał złożyć oświadczenie, ile dzieci chce wziąść na wychowanie w tym już roku, ile w latach przyszłych, zapewniając tem dalsze trwanie kolonii, zabezpieczając świetną przyszłość rasy batawskiej. Czekano na deklaracye pojedyńczych obywateli.

Nastało zrazu milczenie w zgromadzeniu; nikt się jakoś po potomstwo nie zgłaszał. Holendrzy bardzo się w głowę drapali;

naradzali się między sobą szeptem. Nareszcie ktoś odważny przystąpił do superintendenta i oświadczył w imieniu całego zgromadzenia, że mężczyźni sami nic postanowić nie mogą; że muszą najpierw zasięgnąć zdania swoich żon«.

Feministka słuchała od niejakiego czasu z podwojoną uwagą. Odezwała się teraz: »A widzicie panowie, że tam, gdzie chodzi o rzecz istotnie ważną, zawsze kobiet zapytać się trzeba. Nie lepiejże to było kobiety od razu do narad publicznych przypuścić?«

Młody urzędnik pokłonił się zlekka głową, potakując uprzejmie, i dodał: »Nazajutrz kobiety zebrały się istotnie wraz z mężczyznami, na zgromadzenie narodowe w Pajdopolis. One to miały mieć głos rozstrzygający; im przedłożono zapytania, czy która chce zastąpić matkę dla niemowląt, które się wylęgną z gruszek zerwanych na wierzbie, i wiele takich niemowląt, a w jakich terminach zechcą wziąść na wychowanie«.

»I oczywiście«, podjęła feministka, »żadna tak głupią nie była!«

»Istotnie«, odparł Holender«, pokazało się, że żadne młode małżeństwo żadnych niemowląt do domu swego przyjąć nie chciało; wszystkie te panie jednego były zdania; wszystkie oświadczyły, że chybaby powaryowały, gdyby się podjęły, nie wiedzieć poco nieznośnego trudu wychowywania niewiedzieć czyich, a właściwie niczyich dzieci.

W pierwszej chwili pastorowie, którzy tylko patryotyczne względy mieli na myśli, nie tylko się zasmucili tą powszechną odmową, oburzyli się nawet; próbowali perswadować, próbowali gromić. Wszystko było daremne. Żadne ze stadeł dzieci do domu swego wziąść nie chciało.

Do każdej myśli można się przyzwyczaić. Gdy pastorowie ochłonęli z oburzenia, poczęli się między sobą naradzać. Nie trzeba się było woli Bożej sprzeciwiać. Powoli przyszło im na myśl, że tak może lepiej, że można będzie lepiej dzieci wychować, społeczeństwo na bardziej postępowych, na zdrowszych oprzeć podstawach. Wygotowali zatem nowe wnioski, które następnej niedzieli zgromadzeniu narodowemu przedłożono, i które się tak mężczyznom, jak kobietom podobały.

Gdy te wnioski uchwalono, postanowiono pobudować w Pajdopolis duże gmachy przeznaczone na wyhodowanie nowych pokoleń. Obok gmachów tych, których istnienie dopiero uświęcało nazwę stolicy, wzniesiono przestronne stajnie dla kóz i owiec mających odegrać rolę narodowych mamek, tudzież dla krów, których mleko miało służyć ku pożywieniu nieco już starszych dzieci. Obliczono dokładnie, jakiego przyrostu potrzebuje ludność kolonii corocznie, aby stopniowo granice ziemi uprawnej rozszerzać. Przy obrachunku różne uwzględniono okoliczności, jako to z jednej strony nieuniknioną śmiertelność dziecinną, z drugiej ilość zdrowego pożywienia jaką miano pod ręką, tudzież czas, który mężczyźni i kobiety mogli poświęcić na wyhodowanie dziecinności narodowej. Bo koniec końcem, trzeba się było podjąć dodatkowych trudów na ten cel, nie prywatny już, ale patryotyczny; trzeba było więcej ziemi uprawić, więcej bydła trzymać, nowe budować budynki; kobiety musiały jednak kolejno wspólnych dzieci pilnować, niektóre musiały się nawet za jakiemś wynagrodzeniem pracy wychowawczej poświęcić. Pastorowie mieli inną robotę, mogli później prowadzić szkołę, teraz nie umieli sobie radzić z tym drobiazgiem, a automatów nie wymyślono, któreby kobiety przy dzieciach zastąpić mogły. Koniec końcem, rozważono kwestye populacyjne tak naukowo, jakby na komisyi, której prezesem byłby sam Mallhus, ustanowiono liczbę gruszek, które miano co roku rwać na wierzbach i suszyć na piecach, postanowiono resztę plonu niszczyć, o ile nie była potrzebną do rozmnożenia samych drzew, posiadających tak niezrównaną wartość«.

Tu zwrócił się Holender ku socyaliście i mówił dalej wprost do niego: »Pana to pewnie zajmie, kiedy dodam, że ci pastorowie kolonialni, wtedy już, prawda że przynagleni nadzwyczajnemi okolicznościami, przyszli na pomysł, którego jesteś pan tak wymownym rzecznikiem. Skoro nikt w Van Humbugslandzie, ani dzieci, ani krewnych mieć nie chciał, postanowiono, że po śmierci każdego stadła, majątek osierociały miał przypaść na własność państwu, czy gminie, czy społeczeństwu, czy jak to pan zechcesz nazwać. Młodzi, wychowani w Pajdopolis mieli pracą swoją do-

piero zarobić na udziały, które im zostaną wydzielone ze spadku po nieboszczykach, ale nie za darmo, tylko w nagrodę za trudy podjęte wpierw w interesie wspólnym społeczeństwa i jako wynagrodzenie dorównujące wartości tych trudów. Nieprawdaż? Wszak to myśl, bardzo do pańskiej podobna?«

Socyalista pozostał zupełnie obojętnym na ten apel. Popił szampanu i palił dalej bardzo drogie cygaro. Miał taki wyraz na twarzy, jakby chciał powiedzieć: »Nie wiadomo, czy pan kpisz, czy o drogę pytasz?«

Zato wyższość duchowa feministki malowała się formalną ekstazą na jej twarzy. Zawołała: »O tem nie wątpię, że skoro tak kobiety uwolniono od niegodnej, od sromotnej niewoli, jaką nakładają trudy macierzyństwa, zapanowały nad kolonią i zapewniły jej rozkwit niebywały«.

»Wie pani, że nie od razu«, odparł, zresztą zawsze nieruchomy, zawsze wielce przyzwoity urzędnik holenderski. »Okres przejścia nastał wcale przykry. Musiały być stosunki tymczasowe, póki pierwsze pokolenie zrodzone z gruszek na wierzbie nie podrosło.

Młodych pracowników jeszcze nie było wcale, a starsi zniechęcali się coraz bardziej. Już wybudowanie nowych gmachów w Pajdopolis szło jakoś oporem, a gdy wreszcie stanęły, wyglądały wcale nie tak, jak sobie tego pastorowie życzyli. Największe trudności sprzeciwiały się zrazu należytemu wychowaniu nowych pokoleń, przyniesionych z lasu. Ani słowa; pastorowie i ich małżonki, bo pastorowie oczywiście byli żonaci, spełniali swoje chrześcijańskie i patryotyczne obowiązki z gorliwością godną najwyższego uznania. Sami jednak wszystkiemu na żaden sposób podołać nie mogli, a znalazło się zaledwo kilku ludzi egzaltowanych, którzy chcieli im pomagać w pracy. Zresztą mężczyźni i kobiety mówili: »Co nas obchodzi to drancie?« Do Pajdopolis nie zaglądali wcale, zajmowali się swojemi prywatnemi sprawami. Tylko owce i kozy wykonywały akuratnie swoje obowiązki, a gdy to raz superintendent niewiastom wypomniał z kazalnicy, szemrały głośno wychodząc z kościoła. Mówiły: »Co on sobie myśli? Alboż my to takie głupie, jak kozy?«

Roboty publiczne szły jaknajgorzej. Dawne groble i mosty naprawiano niedbale, do nowych nikt się brać nie chciał. Na zgromadzeniu publicznem zapadały jeszcze różne pożyteczne uchwały, ale gdy przyszło do wykonania, nikt się nie chciał brać do roboty; każdy się składał na drugiego. Na nic się nie przydały napomnienia patryotyczne pastorów, a nawet groźby gniewem Bożym i pośmiertnemi karami. Władza pastorów malała oczywiście z dniem każdym«.

»Łamały się przestarzałe a zgubne przesądy«, zawyrokowała feministka, »a nastawała wolność ducha!«

Holender ciągnął dalej, nie zważając na przerwę: »Każdy słuchając napomnień, ruszał ramionami i mówił: »Niech tam ktoś inny dba o wierzbowe dzieci! Ja mam coś lepszego do roboty. Co ja mam się trudnić tem, z czego dyabli wiedzą czyj syn skorzysta«. Nowe roboty leżały odłogiem; dawniej wykonane zaniedbano, szły z wolna w ruinę.

Mniejsza o to, że nastała powszechna niedbałość o publiczne dobro. Stygł zrazu tak wielki zapał do jakiejkolwiek pracy. Nikt już nowych pól nie karczował. Bydła zaniedbywano; dawano mu dziczeć wśród puszczy. Każdy mówił: »To co mam, wystarczy dla mnie i dla mojej żony. Poco się mam o więcej trudzić? Lepszy wypoczynek jak praca. Nie jestem wołem, abym ciągle chodził w jarzmie. Spokój to najwyższe dobro człowieka«. Nie wiedzieć gdzie się podziały pracowitość i oszczędność holenderska. Każdy kładł się na słońcu, do góry brzuchem i tak paląc krótką fajeczkę, spędzał długie godziny.

A czem dalej w las, tem gorzej było. Gasła z wolna miłość małżeńska, która w pierwszych latach kolonii tak jasnym zapłonęła płomieniem. Małżonki kolonistów zaczęły się starzeć, traciły przeźroczyste rumieńce, opalały się, chudły. Kiedy się upomniały o domową wygodę, strofowali je mężczyźni; wszystko nazywali babuszeryą. Mówili: »Mogę ja się bez tego obchodzić; obchodź że się i ty, babo!« Nikt już nad domem nie łatał dachu. Mąż, gdy nie leżał do góry brzuchem, chodził na polowanie. Dziczał, rzadkim bywał w domu gościem, a zbyt często się trafiało, że

kiedy się żona z płaczem upomniała o najniezbędniejszą pomoc, mąż w odpowiedzi żonę nabił.

»Brutal!« Zawołała feministka z oburzeniem.

»Ja tych mężów wcale bronić nie myślę«, odpowiedział Holender, »opowiadam tylko prawdziwą historyę.

Żony próbowały sobie radzić jak mogły, ale po prostu sił fizycznych im nie stało. Ich domowstwa zamieniały się w niechlujne rudery. Niegdyś unikały Pajdopolis, a teraz zaczęły się garnąć do dzieciarni, ofiarowały się tam z posługami, spodziewając się lepszego pożywienia, lepszego schronienia na noc, domagając się odzieży. Aż nadto było teraz po dzieciarniach posługi; ale nie wiele z tego dla pastorów było pociechy. Słomiane wdowy kłóciły się ustawicznie, roznosiły plotki, uczyły dzieci niesforności, obmowy, obłudy, nawet kradzieży. A utrzymanie dzieciarni pozostawiało wszystko do życzenia, wobec niechęci i niedbalstwa mężczyzn. Pastorowie nie mogli się doczekać chwili, w której wyrośnie młodzież, spodziewając się, że młode pokolenie weźmie się przecie do pracy.

Przyszło raz do wielkiej powodzi. Rzeka pozrywała dawno nie naprawione groble, zalała pola, wiele domostw poniszczyła ze wszystkiem. To nieszczęście wstrząsło silnie opinią publiczną; zdawało się przez chwilę, że się ludzie opamiętają. Każdy potępiał swoje lenistwo, zepsucie obyczajów i brak ducha publicznego. Każdy winił przedewszystkiem władzę, potem współobywateli. Nikt się sam do żadnej nie poczuwał winy. Zebrało się na łące przed zborem zgromadzenie narodowe, żądne reformy. Radzono długo i burzliwie. Postanowiono wreszcie chłostą niechętnych zmuszać do pracy. Uchwalono wybrać dwudziestu pięciu nastawników, którzyby z kijem w ręku, współobywateli zmuszali do wykonywania robót niezbędnych. Każdy chciał być takim nastawnikiem. Na wybór nie zdołano się zgodzić. Przyszło wreszcie do zaciętej bitki, przy której kilku zginęło, a kilku okaleczało. Skończyło się na tem, że nastawników wylosowano.

Mieć kij w ręku, to heca; módz bić bezkarnie, módz bić z obowiązku, to rozkosz. Więc nastawnicy wylosowani zabrali się z zapałem do swojego urzędu; walili co wlezie; naganiali drugich

do pracy. Ale i to na nic się nie przydało. Nastawnik nie mógł ciągle stać nad każdym Holendrem, a Holender robił, póki kij widział nad sobą; skoro nastawnik poszedł drugiego pilnować, leżał do góry brzuchem i palił krótką fajeczkę. Zresztą większa część mężczyzn pouciekała w las, gdzie ich nikt nie mógł odszukać. Siedząc w kniei wygadywano bezpiecznie na anarchię, zepsucie obyczajów i brak patryotyzmu; wygadywano teraz także na tyranię władzy. Knuto spiski; wciągnięto kilku nastawników w zasadzki, gdzie ich zamordowano, a trupy powieszono nocą, na drzewie, przed zborem w Pajdopolis. Na ten widok przeszły po innych nastawnikach ciarki; poszli po rozum do głowy; chodzili dalej z kijem, ale nikogo już nie bili, nikogo do roboty nie napędzali, a wygadywali wraz z innymi na nikczemne czasy, na nieudolność i tyranię rządów. Koniec końcem dopiero teraz nikt nic nie robił, i kolonia szła w ruinę«.

III.

»Wreszcie przyszła chwila, w której pierwsze szesnastoletnie pokolenie wylęgłe z gruszek na wierzbie, miało wyjść na świat, opuściwszy zakłady wychowawcze w Pajdopolis. Nowa epoka miała wreszcie dla kolonii zaświtać«.

Tu odezwał się po raz pierwszy socyalista. Rzekł: »Ciekaw jestem, co pan teraz wymyślisz«.

Młody urzędnik odpowiedział: »Nic nie wymyślę; opowiadam prawdę, jaka wyniknąć musiała z niezmiennych podstaw ludzkiej natury«.

Socyalista podjął: »Więc proszę dalej tę prawdę opowiadać. Słucham cierpliwie. Zaczyna to mnie nawet interesować«.

»A mnie to od dawna bardzo interesuje«, zawołała feministka.

Holender podjął tedy dalszą opowieść w te słowa. »Postanowiono niegdyś co roku dwieście dzieci wychowywać. Połowa pierwszej pomieci wymarła, ponad oczekiwanie pierwotne a wskutek zaniedbania, którego nikt przed szesnastoma laty nie przewidywał. Puszczono tedy w świat pięćdziesięciu niedorostków męskich i pięćdziesiąt dziewcząt.

Na te dziewczęta rozkosz była patrzyć. Choć oczywiście nie

wszystkie jednakowo były ładne, wszystkie były nierównie ładniejsze, od pierwotnych osadniczek. Trzydziestosześcio letnie kobiety postarzały się przedwcześnie wsród kolonialnej poniewierki, postradały wszystkie prawie niewieście uroki, a te młodziutkie dziewczęta wyglądały jak krew z mlekiem, patrzały na świat dziecinnemi jeszcze, a zalotnemi już oczętami.

Koloniści pierwotni byli to mężczyźni jeszcze młodzi. To samo słońce, które pożarło nielitościwie wdzięki ich małżonek, opaliło męskie twarze, pokryte bujnym zarostem, ale dodało tym twarzom tylko wyrazu i siły. Niedorostków, którzy wyszli z Pajdopolis nie można było porównać z tymi dzielnymi, muszkularnymi mężami, którzy wśród dzikiego od lat kilku życia, nabrali w błękitnych oczach jakiegoś ognia, nie dającego się opisać słowami. Młode dziewczęta patrzały w ten ogień, jako w objawienie męskości, a mężowie patrzeli na rumieńce dziewcząt, jako na łakotkę. Powrócili z lasów, gromadzili się nad rzeką, zjawiali się znowu w mieście.

Ucieszyli się tem pastorowie i pastorowe; myśleli naiwnie, że powracają do żon, że powrócą do pracy. Chcieli nowe stadła kojarzyć pomiędzy niedorostkami a panienkami, i te stadełka zachęcić do pracy, pokazując im gniazda, które kiedyś, na starość, dla siebie zdobędą.

Nie znali biedacy natury ludzkiej kiedy młodym mówili o potrzebach starości; starość wydaje się młodym tak daleką, że przestaje być rzeczywistością; myśl o niej nikogo do niczego nie skłoni. Młodość chce użyć młodości.

Niedorostkom podobały się panienki; nie byli od zalotów. Ale dziewczęta nie chciały się patrzeć na te niezgrabne chłopczyska, a mężowie uciekali od swoich żon podstarzałych i podobali się panienkom.

Feministka przyklasnęła rękoma; nie mogła się powstrzymać od radości; słyszała o spełnieniu postępowych ideałów. Krzyknęła prawie: »I zapłonęła na szczęśliwej wyspie wolna miłość!«.

Holender ciągnął dalej, zawsze spokojnie: »Zaniepokoili się tem bardzo pastorowie; widzieli, że zły wróg nowe nadstawia zasadzki, gorsze i niebezpieczniejsze od dotychczasowych. Usiłowali złemu

przeszkodzić, nie szczędzili kazań, nie szczędzili napomnień, ale to się na nic nie zdało. Starsi mężczyźni niedorostków napędzili w las, a dziewczęta śmiały się do rozpuku z niedorostków konfuzyi. Prawe małżonki, próbowały łez, próbowały krzyku, próbowały wreszcie drapania; nic nie wskórały; dorobiły się tylko szyderstwa młodych dziewcząt, od mężów dorobiły się niestety brutalnych wyrazów.

Dziewcząt było mało; najładniejszych jeszcze mniej, a mężów było nierównie więcej. Każdy z nich pragnął ich łaski. Wygnawszy chłopców w las, walczyli z sobą nieraz na noże; w pierwszych tygodniach było zabójstw wiele, a wszystkie uszły bezkarnie, bo prawo już od dawna przestało obowiązywać w Van Humlugslandzie. Ale trudno się wymordować nawzajem. Wzięto się wtedy na inne sposoby; zaczęto się ubiegać o względy najpiękniejszych. Otaczano je rojem, dogadzano każdej zachciance. Stało się coś, czego się nikt nie spodziewał. Osadnicy wzięli się znowu do pracy; każdy chciał się bogdance przysłużyć, na jej skinienie gotów był cały dzień pracować w pocie czoła, tak jak za pierwszych dni kolonii. Czego nie dokonało ani kazanie, ani napomnienie, czego nie dokonał kij nastawnika, to zdziałał bez trudu uśmiech dziewczęcia.

Tą poprawą nie cieszyli się wcale pastorowie. Najpierw zabrali się do panienek, sądząc, że dostępniejszemi będą dla religijnych upominań. Wykładali im obowiązki chrześcijańskiej małżonki i matki. Doprawdy, że byli bardzo wymowni.

Niestety młoda Saskya, jedno z najpiękniejszych dziewcząt, która miała tem większe powodzenie, że była wyjątkowo brunetką, obróciła w niwecz skutki wymowy superintendenta. Zaśmiała mu się w nos.

Powiedziała: »Wiem, że na tej wyspie obowiązków matki nigdy spełniać nie będą; te obowiązki spadły na waszą wielebność, skoro wcielasz w sobie rząd rzeczypospolitej. A skoro matką być nie potrzebuję, nie ma racyi, abym ugięła kark pod ciasne jarzmo małżeńskie. Możemy tu używać wolności, nie narażając się na żadne niebezpieczeństwo i wolności używać będziemy, pókiśmy młode.

»Jakież to dzielne dziewczę!« zawołała feministka »uwolniona od niewoli macierzyństwa niewiasta, nie ugnie już karku, przed zabobonem«.

»Ale, proszę pani«, podjął Holender, »gorzej jeszcze poszło z mężczyznami. Superintendent zwołał ich po przed kościół i zagroził ludowemu zgromadzeniu, że obłoży klątwą mężczyzn, którzy nie powrócą do żon swoich. Klątwa to straszne słowo; robi wrażenie na tych nawet, którzy zresztą do niejednej przywykli zbrodni. Wielkie więc milczenie zaległo zrazu zgromadzenie, gdy usłyszało o klątwie.

Ale był pośród rzeszy Arendt Van der Bluff. Rozrósł się na barczystego męża, ogorzałego od promieni słonecznych; cieszył się, od czasów swojego zbawczego odkrycia, wielkiem poważaniem u rodaków; dawno porzucił praktyczną Izabelę, długo włóczył się po lasach jako myśliwy; teraz był jednym z zalotników śniadej Saskyi.

Powstał wśród zgromadzenia, i powiedział pastorom, że ani o nich, ani o ich klątwy nie dba. Mówił, że okazali się niedołężniejszymi od małoletnich dziewcząt; krakaniem swojem nikogo do pracy nie przynaglili, a wszystkie stosunki społeczne rozluźniły się za ich klerykalnych rządów. Uśmiechu dziewczęcego trzeba było, aby mężów znowu w Pajdopolis zgromadzić, do pracy przynaglić. Z tego wynikało oczywiście, że rządów i wpływu na rządy w rękach duchowieństwa nadal zostawić nie można. Niech się pastorowie trzymają kościoła! Mowca nie był przeciwnikiem religii; i owszem był wiernym wyznawcą nauk narodowego kościoła; wierzył mocno w predestynacyę, i w to, że człowiek żadnej zasługi wobec Boga mieć nie może, że dobre uczynki nikogo od potępienia wiecznego nie wybawią, żadnej zgoła wartości nie mają. Tembardziej nie pojmował, jak duchowieństwo, rozumiejące pismo święte w sposób zgodny z nauką Kalwina, mogło się poważyć pewne uczynki polecać, innych niedopuszczać. Niechaj się w interesie religii pastorowie cofną poza kościelne progi! Niech się nie mięszają do rządów, którym żadną miarą podołać nie mogą; niechaj miejsce teokracyi, zajmie demokracya prawdziwa, a lud będzie co roku wybierać pięciu dyrektorów. Skoro dopiero wpływ

dziewcząt szesnastoletnich zdołał chorą rzeczpospolitą uzdrowić, należy uznać w dziedzinie polityki zupełne równouprawnienie kobiet z mężczyznami, a uchwalić, że obywatel i obywatelka mogą brać udział nie tylko w radzie narodowej, ale także w rządzie, skoro skończywszy lat szesnaście, opuszczą zakład wychowawczy w Pajdopolis«.

»Ten Van der Bluff miał wielki rozum!« zawołała entyzyastyczna feministka.

»Znajdujesz pani?« spytał się Holender uprzejmie. Dodał: »Większość zgromadzonych była tego samego zdania co pani. Zmianę konstytucyi uchwalono przez aklamacyę. Miejsce klerykalnych, zajęły zupełnie liberalne rządy; przestarzałą, a w stosunkach wyspy zupełnie zbyteczną instytucyę małżeństwa zniesiono zupełnie, a równouprawnienie kobiet uchwalono jednogłośnie. Tak to, dzięki gruszkom na wierzbie, nastały w Van Humbugslandzie, już w pierwszej połowie dziewiętnastego stulecia, stosunki społeczne i polityczne, podobne do tych, o których dziś najbardziej postępowi ludzie w Europie i w Ameryce zaledwie śmią marzyć. Kobiety są uwolnione od ciężkich obowiązków macierzyństwa a oczywiście brzemię ojcowstwa także męskich bark nie uciska. Własność bywa tylko dożywotnią, każdy obywatel i każda obywatelka posiadają ten tylko majątek, który sami zapracowali, a spadek po nieboszczyku obejmuje rzeczpospolita. Duchowieństwo żadnego wpływu na społeczeństwo nie wywiera, jest ściśle ograniczone do wykonywania czynności kościelnych, a kościół stałby pustką, gdyby nie starcy, a względnie staruszki, które szukają w modlitwie pociechy, w nabożeństwie jakiegoś zabezpieczenia przed przykremi pośmiertnemi niespodziankami, nie mając zupełnej pewności, że człowiek jak zwierzę ze wszystkiem umrze. Religia na moralność publiczną żadnego wpływu nie ma. Istnieje zupełne równouprawnienie kobiet; wolne wreszcie związki miłosne zastąpiły staroświeckie małżeństwo. Czegóż więcej może radykalna dusza zapragnąć?

Na domiar dobrego zasady feminizmu odniosły świetny tryumf, zaraz przy pierwszych wyborach. Na pięciu dyrektorów wybrano

tylko dwu mężczyzn, a między nimi Arendta Van der Bluff, a trzy młode dziewczęta, a między niemi czarnobrewą Saskyę.

Feministka, wielce uradowana, znowu przerwała opowiadanie, wołając: »Wiedziałam na pewne, że skoro kobiety równouprawnią, zdobędą one dla siebie przewagę nad mężczyznami!«.

Socyalista odezwał się także. Powiedział: »Ciekaw jestem jakie pan skutki wywiedziesz z radykalnych instytucyi zaprowadzonych na pańskiej wyspie«.

Niczem nigdy z tropu nie zbity młody Holender odparł: »Wszystkie instytucye miewają zawsze skutki, które się dadzą przewidzieć, jeśli kto rozważy niezmienną istotę ludzkiej natury, a najlepszym prawodawcą będzie ten, kto nie zaufa oderwanym teoryom, choćby najpiękniej wyglądały, a rozważy pilnie sprężyny ludzkich czynów słabości i namiętności, które powodują ludźmi, tudzież okoliczności, wśród których szlachetniejsze pobudki biorą górę nad niższemi, i rodzą czyny pożyteczne zawsze, czasem bohaterskie. To też natura ludzka, nie co innego rozstrzygnęła o skutkach instytucyi władnących kolonią, którą przed dwoma laty odwiedziłem.

Nowe rządy, bardzo przeważnie kobiece, okazały się o tyle lepsze od dawniejszych, pod względem ekonomicznym, że współzawodnictwo o względy pięknych i młodych, a w porównaniu do mężczyzn nielicznych dziewcząt, wystarcza dotąd, jak wystarczyło czasu, aby mężczyzn przecie do pracy skłonić. Nie jest to praca systematyczna, jest raczej sporadyczną; bogactwa nie przysparza, ale od zupełnej chroni ruiny. Panienkom stawiają mężczyźni ładne domki, otoczone uroczemi ogródkami; przynoszą różne wykwintne potrawy, owoce z sadów i różną zwierzynę. Starają się przecie o jakiś dochód z pola i bydła, aby módz zbytek odesłać do Holandyi, owym statkiem, który raz na kwartał wyspę odwiedza, a kupują w zamian towar francuski, różne fatałachy, suknie, wachlarze, kapelusze, buciki, kosztowne nawet klejnoty, różne meble i mebliki, karyolki i pojazdy, wszystko koniecznie modne, co roku inne, tak, aby mogło dogodzić młodym władczyniom wyspy. Te panie muszą nawet mieć pieski modne; zrazu przywożono do wyspy całe sfory bonończyków i lewret; później różnego autora-

mentu pincze; a teraz mopsy i ratlery bywają nadewszystko poszukiwane, zupełnie tak jak w Europie.

Także obyczaje młodszych zwłaszcza mężczyzn zmieniły się. Nie przebywają już ustawicznie w lesie, nie chodzą kosmaci i brudni, jakby zwierz dziki. Aby się paniom swoim przypodobać myją się, golą, perfumują, noszą lakierki, rękawiczki, smokingi. Zawsze starają się o atletyczne popisy i łowieckie trofea, któremiby się mogli przed władczyniami swojemi popisać, ale ćwiczą się także: w tańcu, w śpiewie, a nawet ostatniemi czasy, w *lawn tenisie.*

Z drugiej strony poważniejsze zajęcia poszły w zupełną odstawkę; nie ma już na wyspie takiego przyrodnika jakim był niegdyś Van der Bluff, bo gdyby pani prawił o botanice i zoologii, znudziłby ją tylko, ośmieszyłby się srodze, rywalom, zgotowałby łatwy tryumf. Nie ma także mowy o wytrwałej pracy, bo zaloty większą część życia wypełniają. Nikt o żadnej nie myśli oszczędności; ośmieszyłby się ten ktoby oszczędzał, dla przyszłych potomków wierzby jakiejś, która gdzieś rośnie nad strumieniem, a kto pomyśli o zabezpieczeniu własnej starości, bywa wyśmiany przez rówieśników, spotyka się ze wzgardą dziewcząt, czy też pań, jak je powszechnie nazywają, zawstydzi się niebawem swojej małoduszności i stanie się marnotrawcą.

Trzeba być lekkomyślnym, marnotrawcą i zmiennikiem, aby się młodym władczyniom kraju podobać. Same próżnują dzień cały jakby królewne w bajce, a niecierpliwią się tem, kiedy kto śmie pomyśleć o czem innem, jak o ich kaprysach. Myśli o dzieciach nie mają te panie, więc kaprysy hodują, tak jak ogrodnik w Harlemie hoduje tulipany. Z mężczyzn także porobiły kapryśników, którzyby w każdem innem społeczeństwie byli do niczego. A jeśli te panie mają mimo nieudolności narodu dwór świetny i różne płoche błyskotki, zawdzięczają to niezmiernej urodzajności wyspy, mało zaludnionej i przywozowi towarów z Europy, gdzie istnieją dotąd niektóre dawne przesądy. Gdyby wyspę pozostawiono samej sobie, obawiam się bardzo, że dyabli dawnoby ją byli wzięli.

I tak niedobrze temu kto się na wyspie zestarzeje, nie dobrze także niedorostkom, zanim przyjdą do pełni sił męskich.

Zazdrośni mężczyźni wypędzają w las niedorostków siłą mocy, bo ci młodzi nic ich nie obchodzą, niczem z nimi nie są związani, uchodzą za wrogów nieproszonych. Jeszcze gorzej bywa ze starcami, o ile plotkami i intrygancką sztuką nie wkradną się w łaskę jakiejś potężnej władczyni, która ich wtenczas pogardliwą pokrywa opieką. Nie mają dzieci, ani krewnych, ani małżonki któraby ich starość otaczała troskliwą opieką. Nikt im za nic w świecie wdzięcznym nie bywa; są przedmiotem wstrętu i pogardy. Jak długo mogą pracują żmudnie, aby módz żyć nędznie, w osamotnieniu, a są ciągle narażeni na to, że młodzi a niecierpliwi faworyci władczyń pozbawią ich przemocą tej własności, jaką przypadkiem posiedli. Jak ze wszystkiem z sił opadną, giną nędznie z głodu, jakby stare psy. Bo mieszkańcy Van Humbugslandu pozbyli się dawno przesądu chrześcijańskiego miłosierdzia; trutniów społecznych nie znoszą.

Dzieje stuletnie kolonii są bardzo malownicze, pełne przewrotów i krwawych rewolucyi. Niedorostki wygnani w las, tworzą w lesie gromady łowców zuchwałych i czekają niecierpliwie chwili, w której będą się mogli orężnie upomnieć o swoje prawo. Gdy się poczują na siłach wydają dorosłym mężom wojnę. Wiele trupów legnie, póki się nie skończy walka, w której nie ma pardonu. W tym względzie panują stosunki takie same jak u wielu zwierząt, u których samce walczą bezlitośnie o posiadanie samic.

I te panie, skoro raz przywykły do widoku krwi, skoro mordy spowszedniały, nie pomału się brały do polityki. Nie poprzestawały na niewieściej broni, na intrydze i obmowie. Wszak chodziło im o wszystko, wszak wszystko traciły w chwili, kiedy je zastąpi młodsza rywalka. Nie wystarczały starszej ani kosmetyki, ani sztuki wytrawnej kokieteryi. Nie jedna Kleopatra musiała ze swojej zestąpić stolicy, zestarzała się wreszcie niejedna Ninon d'Enelos. Trzeba było nieraz rywalkę skrzętnie otruć, zamordować; trzeba było własne utworzyć stronnictwo między mężczyznami, aby mogło w potrzebie krwawą walkę stoczyć ze stronnictwem rywalki. Pełno było intryg i mordów, jakby na dworze francuskich Walezych. Bo miłość puszczona wolno, jadowite miewa strzały. Mimo całej niewieściej przebiegłości, bywały chwile nie-

bezpieczne, w których mężczyźni, chcieli napowrót władzę w swoje brutalne ująć ręce, i kobiety jednem się obroniły, tak jak na jedno się zgodziły, *par esprit de corps*, mimo wzajemnej nienawiści. Gdy co roku wylęgną się dzieci z gruszek, nastawiona w tym celu starka, trzy czwarte nowonarodzonych dziewcząt dusi bez litości. Rzadkość niewiast sama jedna utrzymuje ich panowanie«.

Feministka od niejakiego czasu wydawała się nerwową z pewną niecierpliwością ostatnich słuchała wywodów. Teraz odezwała się jednak. Rzekła: »Ale przecie zostało się niewieście panowanie. Wiedziałam o tem na pewne. Trudno, aby ludzka natura rzeczy złych do wszystkiego nie przymięszała. Musi być obok pszenicy kąkol, tam zwłaszcza, gdzie obok kobiet są istoty niższe, zwane mężczyznami. Chciałabym jednak pojechać do Van Humbugslandu. Możebyś mi pan wyrobił u rządu holenderskiego pozwolenie do tej podróży?«

Holender zajrzał do okna od wagonu. Przekonał się, że pociąg zajeżdża już na dworzec w Ulm, gdzie się miał zatrzymać, więc odpowiedział z dziwną odwagą, znamionującą batawskie plemię: »Nie radzę pani jednak tam jechać. Tam kobiety młode i ładne panują; opływają we wszystko. Ale brzydkie i stare są w zupełnej poniewierce; muszą, jeśli chcą być cierpiane, pracować jak niewolnice, gnój rozrzucać, wynosić domowe naczynie«.

To rzekłszy, zerwał się szybko, chwycił za kapelusz, wybiegł z wagonu, a kiedy pociąg ruszył, pozostał na peronie. Mądrze zrobił, bo oczy świeciły się w chudej głowie feministki jak świece; z gniewu nastawiała pazury; gdyby go była dostała w ręce, byłaby mu oczy wydrapała.

Socyalista zaśmiał się głośno.

Kiedy feministka zobaczyła, że pociąg już z dworca wyjechał, a Holender został w Ulm, pewno, aby zwiedzić katedrę, zawołała: »To impertynent! A był tak bezczelnie głupi, że myślał, że kto jemu uwierzy! Wiedziałam od razu, że bredzi bezczelnie«.

Wojciech Dzieduszycki.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

Z niwy poetycznej: Liryka.

Niemyska Anna: »Romans«. Lubecki Kazimierz: »Sonety wschodnie«. Tenże: »Sonety rzymskie«. Tenże: »Sonety polskie«. Morstin Ludwik Hieronim: »Psalm ziemi«. Ułaszynówna Zofia: »Poezye«. Jan Huskowski: »Po drodze«. Kasprowicz Jan: »Ballada o słoneczniku i inne nowe poezye«.

II.

Podobnie jak p. Niemyska ujmuje w całość p. Rostworowski Wojciech swe »Psalmy dnia dzisiejszego«. Pisze on na wzór Kochowskiego prozą poetyczną psalmy tęsknoty, życia, żądzy, smutku, wiary, pracy i śmierci. Nie ubiera w kształt poezyi, jak Ujejski lub Krasiński skarg zbolałej duszy narodu, lecz odzwierciedla spółczesną duszę jednostkową, spragnioną życia, zarażoną zmysłowym żarem, pełną zwątpień, ale łaknącą wiary i odrodzenia; odzwierciedla uczucia, miotane burzą życia, które naokół kipi w wytężeniu i znoju; odzwierciedla serce, lękiem śmierci dotknięte, przyszłości zagrobowej niepewne a ku szczęściu rwące się. Mnie osobiście razi pewien kosmopolityzm równie duszy, jak formalnej strony »Psalmów«. Wespazyan Kochowski w swojej »Psalmodyi« — nie mówiąc już o Ujejskim i Krasińskim — umiał o tyle wyemancypować się od przemocy wpływu hebrajskiego, arcywzoru wszelkich psalmów, że roztoczył swe myśli, uczucia i obrazy na tle rodzimej przyrody; zamiast winnic, Libanu, sykomór i fig wprowadził do obrazowania nasze pastwiska, nasze łany zbożowe, nasze mętne Wiślane wody i nasze zamaszyste szable

i kirysy. Szkoda też, że dusza p. Wojciecha Rostworowskiego niezupełnie jest polską, aczkolwiek psalmy jej odpowiadają dzisiejszemu dniowi i nie są bez prawdziwie poetycznych piękności.

Świadom był tego postulatu p. Kazimierz Lubecki, który w trzech cyklach sonetów wschodnich, rzymskich i polskich, podjął się odmalować trzy tak odmienne krajobrazy. Znaczna wrażliwość kolorytu, gry barw i świateł, zmysł spostrzegawczy, duże wykształcenie a osobliwie uczucie katolickie uchroniły go od zbanalizowania przedmiotów, których pamięć dla wielu serc jest świętą. Sonety oczywiście miały swój pierwowzór w arcydziełach krymskich Mickiewicza — zwłaszcza wschodnie. Charakter ich także dwojaki: opisowy i liryczny. Mickiewicz atoli w sonetach opisowych (»Widok gór ze stepów Kozłowa«, »Ałuszta w dzień«, »Ałuszta w nocy«) zrzekłszy się myśli i uczucia, potrafił tchnąć w opis jednolity nastrój i odtworzyć go za pomocą wielkich, silnych, barwnych i plastycznych obrazów. Mickiewicz, szkicując swoje sonety pod bezpośredniem wrażeniem widoków przyrody, długo je następnie cyzelował, aby w rytmice i języku nie pozostawić żadnej skazy, któraby raziła ucho, rozpieszczone dźwięczną i melodyjną techniką sonetu Petrarki.

Jeżeli tedy powiemy, że myśl, uczucie lub jednolity nastrój, dźwięczna rytmika, pełne elegancyi i wytworności obrazy, misternie przekładany rym i zręczne przejście od ośmiowierszowej części opisowej do sześciowierszowej części liryczno-refleksyjnej składają się dziś u nas po Mickiewiczu, Asnyku i Tetmajerze — na wymagania dobrego sonetu, — to takich bez zarzutu sonetów nie znajdzie się wiele w trzech cyklach p. Lubeckiego. Śród wschodnich wymieniłbym dwa: »Kochanka słońca« i »O, Jeruzalem!« Pierwszy subtelny swojem porównaniem miłości ludzkiej i miłości między wschodnią ziemią a słońcem, drugi wezbrany uwielbieniem dla świętości grodu Odkupiciela: oba we formie podobne do szlifowanych klejnotów.

Z rzymskich illustrowanych widać, że poeta rozumie Rzym stary, pełen zachwytu dla Rzymu chrześcijańskiego, serdecznem uczuciem ogarnia świątynie, z zapałem wita błogosławiącą postać Leona XIII, tkliwem wspomnieniem darzy Piusa IX, lecz niema ani jednego sonetu, któryby można wskazać, jako arcypiękny. Za taki pośród polskich uważam »Kopiec Kościuszki«. Chętnie jednak się przyznam, że polskie jeżeli nie malowniczością, to charakterem swym i żywym tonem swojskości najwięcej mi się podobają, gotów byłbym nawet podjąć się dowodu, że w technice ich najmniej zgrzytów. Sonet nie znosi takich

rymów, jak »zachwytu« — »jakbytu« (»Muzułmanin w modlitwie«), nie znosi takich porównań, jak »kaskady staczają się z trzaskiem bryki« (»Na pustyni«) albo »szczecina(!) pędzla jego, jak słońca promienie (»Przemienienie Pańskie — Rafaela«), nie znosi tak chropowatej rytmiki, jak w sonecie »Na Kalwaryi«:

Lecz mgli się to, bo niepohamowane żale
W piersiach czuć, łzami dojrzewającą tęsknotę
Czuć, z jękiem Magdaleny chce się o te
Kamienie bić i serce bije w uczuć szale! [1]

Wogóle p. Lubecki za dużo obserwuje i krytycznemi obserwacyami nasyca sonety zamiast z potężną mocą tchnąć w nie bezpośrednio swą myśl lub uczucie. Wszakże gdy poeta powie, że pod wpływem widoku kopuły św. Piotra »dusza jego zamienia się w poezyę«, — to jest to omówienie krytyczne, nie zaś symbol bezpośredni. Takiem określeniem nie dotknie w mojej wyobraźni tej struny, która da mi widok jego w poezyę zamienionej duszy ani tej, która moją duszę pod wrażeniem opisu kopuły mogłaby zamienić w poezyę. To jest obrazowanie krytycznego, suchego, trzeźwego obserwatora, a nie rozpłomienionego poety. Przykładów podobnych omówień, można wskazać dużo (np. tworząc obraz ładny, śmiejąc się uroczo i t. p.), najmniej atoli w sonetach polskich i dlatego cenię je najwyżej.

Na wskroś polskim jest »Psalm ziemi«. Pełne serce miłości ku ojczystej ziemi ma p. L. H. Morstin, wysoko niesie sztandar poezyi, jak mężny chorąży wszystko dla niej gotów poświęcić. Oto uboga chata jego ustroiła się przyrodzoną swą krasą:

. . . Brzęczą roje pszczół
w pasiece mojej kwietnej
i klęczą moje sady w ciężarze swego ziarna
a owocami pól zastawny jest mój stół
i płodem słodkich miąsz jest ziemia ma ciężarna.

Żyje pieśnią i marzeniem, tworzy sobie wspaniałe światy, baśni włodarze w jego dziedzinie rządzą. Kochanka go porzuca, gdyż baśnią kocha ją i czci ułudy tęczą. Bracia odmówili mu schroniska pod strzechą, bo wzgardził jarzmem i bólem, widmem nędzy, bo miasto wody pije krople tęczy i miasto chleba je skrzydła motyli. On jednak psalmy miłości śpiewa tej ziemi. Kochanką jego poezya i ojczysta ziemia. Roztoczyła przed nim cały wdzięk swój, całej swej przedziwnej pię-

[1] »Sonety wschodnie«, str. 28.

kności czary. Wyobraźnia p. Morstina twórcza i pomysłowa. Entuzyazm udziela poematowi życia i nastroju, porywa i unosi czytelnika, który z zapartym tchem czyta, tak jak niewątpliwie jednym tchem był poemat utworzony. Kształt hymnów Kasprowicza doskonale nadaje się do »Psalmu ziemi«, język zlekka archaizowany szczęśliwie kojarzy się z nastrojem i tonem poematu. Należałoby jednak więcej trudu ofiarować ostatecznej redakcyi wiersza, rugując niedoskonałe rytmy i rymy, aby nie wstrzymywały czytelnika, biegnącego w dale od szarzyzny dnia dzisiejszego za przewodem harmonii myśli i uczucia poety.

Pokrewne treścią są »Poezye« p. Zofii Ułaszówny. Najdźwięczniej w tej lirze odzywa się nuta miłości ojczyzny, nuta smutku, że w niej ludziom źle, ale i nadziei, że świta jutrznia odrodzenia. Ściśle splata się z uczuciami wiara w pomoc sił wyższych, a stąd płyną modły do Boga, do Jadwigi o moc, o łaskę, o sojusz bratni trzech narodów. Tkliwa dusza poetki żywo odczuwa wezbrane tęsknoty rzeszy, modlącej się do Boga chorałem na Wawelu o zmiłowanie. Własna dola nie stanowi głównej osi jej twórczości. Wierzy, że myśl dąży gdzieś bez kresu, a z powrotem przynosi ziemi hasła miłości lub burzy ołtarze ideału; wierzy, że słowo nie ginie. Choć prześni w czarnej czeluści długie lata, ludzie je zbudzą — i rozbrzmi znowu czystym tonem, niekiedy fałszem. Wierzy, że czyn nie skona. Stwarza lub psuje swe dzieło, ale ruchem jest ziemi i sięga w bezkres czasu. Wierzy, że duch upada w otchłań lub się wyaniela, że życiem jego myśl, słowo, czyn — i leci w wieczność. Panna Ułaszówna przepoiła się wzniosłą wieszczą poezyą, na niej urabiała swą lirę. Wciąż też daje się słyszeć odzew jej szlachetnych porywów. Nie zaćmiewa jej ani mistycyzm nowego pokroju, ani pesymizm, nie masz mglistej czy szumnej frazeologii. Nie szkodziłoby atoli zwięźlej, konkretniej, plastyczniej formułować obrazów. Nie szkodziłoby poszukiwać nowych form i nie szczędzić barw dla wyrównania tej granicy, jaka w pracy twórczej oddziela myśl i uczucie od słowa.

III.

Nie zdarzyło mi się czytać dwóch zbiorów lirycznej poezyi, któreby w tak radykalnym i zdecydowanym stosunku kontrastu pozostawały do siebie, jak zbiór p. Jana Huskowskiego p. t. »Po drodze« i zbiór Jana Kasprowicza p. t. »Ballada o słoneczniku i inne nowe poezye«. Nie mam tu — rzecz prosta — na myśli tej okoliczności, że p. Huskowski jest dotąd w naszej literaturze laikiem, podczas gdy

Kasprowicz jest największym mistrzem pośród żyjących poetów polskich ostatniej doby. Chodzi mi nie o nazwiska na okładce, lecz o zawartość obu tomów. Pan Huskowski zresztą już wywołał trochę wrzawy w krytyce literackiej swymi utworami. Była to swoją drogą burza w szklance wody i dowiodła, że można nie wiem jak po przyjacielsku reklamować książkę, to jednak czas okaże się nieubłaganym sędzią i probierzem istotnej wartości dzieła sztuki. Jakkolwiek czas nie potwierdził przesadnych pochwał i pseudo-estetycznej dyalektyki wielbicieli p. Huskowskiego, niemniej sam fakt, że krytyka dziennikarska wyśrubowała go do poziomu wynalazcy nowej liryki — jest wcale symptomatycznym i godzi mu się poświęcić nieco więcej uwagi. Pan Huskowski wbrew wszelkim teoryom o istocie poezyi położył dłoń swą na tętnie życia spółczesnego, nie wdając się w żadną metafizykę sztuki. Życie — jak powszechnie wiadomo — okazało w ostatnim wieku potężną dążność do skupienia się w wielkich środowiskach, nazywanych miastami. Dzięki olbrzymiemu spłynięciu mas do środowisk miejskich, zaogniła się t. zw. walka o byt. Naprzeciw siebie stanęły dwie tytaniczne siły: kapitał i praca. Kto zna z talentem napisaną powieść amerykańskiego nowelisty Sinclaire'a p. t. »Grzęzawisko«, ten zrozumie, jaką otchłań zepsucia, poniżenia i nędzy spowodowały te krwawe o śmierć i życie zapasy. Pan Huskowski poszedł do grzęzawiska, zwiedził je wzdłuż, wszerz i w głąb i raczy nas w swej książce zbiorem żywej i martwej natury, stamtąd zaczerpniętej. Żyje on zmurszałą rzepą, głód skręca mu wnętrzności, rany wróżą blizką śmierć, daremne trudy odbierają mu moc, lecz mimo tego jakaś nadzieja goni go w dal. »Po drodze« widzi »Ulicznika«. Wygwizduje walca, z szczwanym zezem cmoka w rączkę jasne damy, wykręca na pięcie młyńca i dyabłom dmucha w nozdrza. Widzi »Złodzieja na dachu«. Łamie wieko skrzyni, trwożnie siada na kominie, żarzy mu się oko do skradzionych skarbów, głowa cięży, gnie się szyja — a lica ma białe, jak kreda. Widzi »Dziewczynę«. W żyłach dreszcz szaleństwa, wargi nabiegłe krwią. Wreszcie na schyłku ranka łka spazmem... Widzi »Ulicznicę«. Twarz chora od rozpusty, w oczach nizkie błaganie. Poszedł z nią. Widzi »Głupca« i radzi mu zabić mądrego, a okaże się odeń mądrzejszym. Widzi »Ideologa« i każe mu nałóg idei zostawić Bogu, a samemu napić się wódki. Widzi »Nędzarza«. Tuli się w mroku do wilgotnej ściany. Szaleńczy wyraz oczu: wzrokiem zabija i przebacza jednocześnie. To oczy zgubionego, w nich płomień zatraty. Ale nie tylko tych ludzi

po drodze dostrzega. Oto »Nad miastem noc«. W szynku gra orkiestra, w zaułkach czai się rozpusta. W zadusznych izbach parno.

Pierś starców stwór śmiertelny tłoczy...
Niewiasty śnią widzenia grzeszne,
Młodzieńcy z trwóg zamknęli oczy,
A dzieci roją sny ucieszne.

Oto »Karuzel«. Damy i dzieci jadą na słoniu, panowie na smokach lecą w czeluść tunelu... A katarynka w hecarski kraj upojeń wiedzie. Oto »Cyrk«. U progu zachwalacz wysławia dziwy przedstawienia. Z wnętrza słychać gwizdawki i dzwoneczki. Wkoło czereda gawiedzi w osłupieniu patrzy na bajeczną budę. Widowisko zaczęte. Rozgłośni atleci wchodzą na arenę. Trapeziści, linoskoki, wróżbici i kuglarze spełniają istne cuda. Klowny śmieją się szalenie.

Wtem orkiestra zagrała marsza wojennego,
Zamilkły dźwięcznej fletni rozełkane tony,
I na arenę wpadło — tresunku przedniego —
Stado ślicznych rumaków w pogoni szalonej. .
I wiodą tan dokoła po żwirowym szlaku,
Świszczących batów gnie się trzcinowa oprawa...
Wniebowzięta publika huczne bije brawa,
Bo czarny pan się kłania w lśniącym szapoklaku...

Zresztą dość przykładów. Z wymienionych łaskawy czytelnik może wyrobić pojęcie o rodzaju liryki p. Huskowskiego. Klepie on po ramieniu własną biedę, nieraz bierze udział żywy w karuzelu szalonym i sam się rozkoszuje w hecarskim kraju upojeń. Zwierza się, że

Nadgniłe lepianki... odory uliczne...
Tajemnicze szynki i domy publiczne,
Chore nierządnice... posępni złodzieje,
Przemyślni kramarze, wyrobnicy biedni
Budzą we mnie podziw i czar niepowszedni! (51)

Ale grymas złośliwej ironii, sarkazmu i tego uśmiechu, który w języku niemieckim nosi nazwę *Galgenhumor* góruje nad smutkiem i cierpieniem, chociaż niekiedy i ono wyrywa się z ust poety. Ja oczywiście nie sądzę, żeby zadaniem poezyi było wyłącznie apostolstwo szlachetnych uczuć, mniemam jednak, że szyderstwo z nędzy i poniżenia ludzkiego nie tylko w dziedzinie poezyi znamionuje nieszlachetną duszę. A już to niezawodnie kwestya dobrego smaku, czy poezya ma rozszerzać zakres swego widnokręgu na rynsztoki, szynki, karuzele, cyrki i lupanary. Nie wiadomo doprawdy, dlaczego poeta nie poszedł

dalej i nie wprowadził nas np. do szpitala na oddział chorób skórnych i wenerycznych, i nie kazał nam przyglądać się zropiałym ranom raka lub syfilisu. Jużci emocya taka dobra, jak wiele innych w liryce p. Huskowskiego, może byłaby nawet silniejsza, wyrazistsza i dała materyał do huczniejszej zabawy. Ten jeden pominięty motyw wskazuje, że i ta strona wielkomiejskiej niedoli nie wyczerpała się. Analiza książki »Po drodze« musi nastręczyć refleksyę, jak dziwnymi szlakami chadza poeta i jakie osobliwe głosi zamiłowania. Aczkolwiek menażerya ludzka, z jaką się spotyka, dość różnobarwna i obfita, to jednak upodobanie jego zwraca się ze szczególnym uporem w jednym kierunku: dziewki, nierządnice, płatna rozkosz, uściski szynkowniane, ohydne scenki chuci stanowią główną atrakcyę. Z miłosnych wierszy znikł wdzięk, została jakaś cyniczna i brutalna bezceremonialność, jakiś wstrętny bezwstyd, jakaś obmierzła piżmowa woń lupanaru. Czuje to zresztą poeta w chwilach otrzeźwienia, ale wówczas porywa go złość i gniew na kobietę. Ona to jest wyłączną władczynią chuci, a miłość »ohydą bruka mężczyzn, którzy się nad sobą pastwią, zaprzedając swe dusze kobiecie taniej, niż dyabłu«. Hm, pewnie, w tych stosunkach wszystko możliwe, jednakże bezstronnie sądząc — winę za swój dziwnie nadgniły pessymizm ponosi sam poeta, dzięki daltonizmowi, zmuszającemu go widzieć pewne tylko barwy. Jego też poezya wielkiego miasta, wydaje mi się kubłem szkaradnych pomyj, na miasto wylanem. Tak jakby duże miasto nie miało swojej dziwnej poezyi. Gdzież są ogromne drzewa parków, nieme świadki grobową ciszą owianych dziejów, gdzie łańcuchy i godła, tkwiące w odwiecznych murach, starożytne krużganki klasztorów, których strzegą w zbroję zakuci i w zadumę marmurów pogrążeni rycerze? Gdzie zaciszne wirydarze, w których dotąd zda się słychać szepty modłów duszy ukojonej? Gdzie mroczne nawy średniowiecznych tumów i kollegiat, w których dostojnej ciszy czułe ucho zdaje się słyszeć odzew modłów, jęków i westchnień modlitewnych niezliczonej rzeszy, gdzie komnaty prastarych zamków, rzeźbione cudnie sklepienia, ponure lochy, pleśnią okryte mury i głębokie fosy? Wszystko to wymową swą może zawładnąć duchem poety. Dopiero na takiem tle wyraźnie mogłoby się zarysować nowe wielkie miasto. Ale i tu są wspaniałe dzieła ludzkiego miłosierdzia, pełnionego ze słodyczą i niebiańską pokorą, ogromne książnice gromadzące plon tylu ludzkich wysiłków ku zdobyciu dóbr duchowych i materyalnych, naoścież otwarte przybytki sztuki, panteony wiekuistej chwały, jakie wdzięczność ziomków wynalazła dla swych

najlepszych braci, gmachy pracy, w których młot bije i piła zgrzyta, a człowiek wysoko niesie głowę, jako pan wytwórczości dobrobytu i coraz większego zadowolenia. Czyż nie odczuwał dawnej poezyi miasta choćby Wiktor Hugo w *Nôtre Dame*, albo Huysmans w swej Reimskiej katedrze, albo nasz Wyspiański, malujący z takiem przejęciem ten pomnik wiekowej chwały w listach do L. Rydla? A tymczasem w »Po drodze« p. Huskowskiego chyba górna część okładki ma przypominać cząstkę poezyi wielkomiejskiej. Za to ileż krwawej ironii i lilipuciej marności jest w tem zataczaniu się zblazowanego podchmieleniem młodzieńca po kretowiskach życia, gdzie rozpusta śmieje się ohydnie, kufel brzęczy potrącany o kufel, a z ust wybiega rozpasana piosenka lub brudna anegdota. Ale nawet duszy wielkiego miasta w swojem rozumieniu nie odtworzył p. Huskowski. Miasto nęci dzisiejszego człowieka tysiącem powabów. Widzi on tłum i radby się w nim rozpłynąć, czując się nieznacznym i małym. Ludzkość i człowiek zarówno ścierają swe oblicza. W ruchach jednostki odbija się ruch różnowzorego tłumu. Dążenie do zlania się z tłumem odbiera jednostce własną wolę i własne lico. Miewa wrażenie, jakby w tej pogoni za uciechą, za korzyścią, za zdobyczą – utracił coś, jakby w nim coś zamarło. Istotnie zgubił swą osobistość, swą indywidualność, stał się przeciętnym, wmieszany w tłum. Przemoc ciżby napełnia duszę dzisiejszej wielkomiejskiej jednostki jakiemś uczuciem grozy, jakgdyby ścigał go fatalizm losu. Wielkie miasto ma niewysłowioną moc niwelowania dusz i to jest główny rys jego psychologii, a rysu tego p. Huskowski zgoła nie dostrzegł i nie uwzględnił.

Odpowiednią do treści dekoracyę stanowi forma. Jużci pewnie— gdyby te liryczne utwory nie były dziełami talentu, nie poświęcałbym im tyle uwagi. Styl żargonu doskonale odpowiada treści, co uważałbym za zaletę, gdyby nie lęk, że ten sposób obrazowania zasypuje literaturę piękną śmieciem i odpadkami języka. Słońce świeci »jak olbrzymi reflektor«, niebieskie istoty nudzą się w ś c i e k l e, mkną w a r y a c k i e pojazdy, płacz kobiet jest k o m e d y a n c k ą h e c ą, oczy płoną e l e k t r y c z n i e, Bóg jest »wielkim przedsiębiorcą«, a ludzkie modły są c z y n s z e m, księżyc wydaje się poecie w a p i e n n o - białym, a kraj upojeń h e c a r s k i m. Pełno takich porównań i przenośni.

Zupełnem przeciwieństwem tego pełzania przy ziemi, jakiem rozkoszuje się książka »Po drodze« są orle wzloty ku słońcu »Ballady o słoneczniku«.

Kasprowicz w swej kilkunastoletniej pracy twórczej przeistaczał

się czy to dzięki zmianom prądów literackich u nas, czy też dzięki mękom własnego ducha.

W najdawniejszych ludowych poematach był społecznikiem. W myśl ówczesnego ruchu ludowego malował biedę i ciemnotę ludu, nieraz przechylając szalę winy na stronę warstw możniejszych. W dwudziestu dziewięciu sonetach »Z chałupy« (1889) r.) przesuwają się jak w kalejdoskopie obrazy niedoli wieśniaka, trosk, szczerej wiary i przesądów, krwawego potu wśród trudu i bezradności, płynącej z braku zaufania w swą moc. A ilekroć poeta w tym czasie mówi o sobie, odczuwa się w nim naturę dzielną, zdrową.

Wówczas gdy Tetmajer, grzęznąc w zabójczych dla ducha młakach dekadentyzmu, tworzy swe »Credo«, »Nie wierzę w nic«, »Hymn do Nirwany«, »Duch«, Kasprowicz zastrzega się:

W zmroku i we mgle jesiennej chowany,
Nie pragnę się zatopić w obłoku Nirwany [1].

A choć kilka lat później w ciemności schodzi jego dusza, to jednak zawsze wierzy w światła moc i pragnie wypłynąć na »życia ogromne morze«.

Błogosławiony, kto pochwycił wiosła
I jak bohater puścił się w swej łodzi
Na wichr, co nad nim dziką pieśń zawodzi,
Na toń, co pod nim w dziki szał urosła.
Błogosławiony, kto w swej ludzkiej duszy
Umie wykrzesać pokrewieństwo burzy,
Swe błyskawice w głębinach zanurzy,
Swymi grzmotami przestworza poruszy. (1898)

W tym czasie Kasprowicz wykształcił już dla swej liryki mistrzowskie formy, subtelnie odczuwał duszę natury, wcielając w nią tchnienia własnych uczuć (arcydziełem tego rodzaju są cztery sonety z 1898 r. p. t. »Krzak dzikiej róży w ciemnych smreczynach«), tworzył wonią pól, łąk i gór ojczystych nasycone malowidła, ale już rozumiał w swym duchu głos wyższych powołań, już widział się na wyniosłej przełęczy między ciałem a duszą. Widomym objawem tego męki pełnego zmagania się dwóch pierwiastków jest poemat »Miłość«. We wspaniałych pieśniach »Przy szumie drzew« i »W turniach« wyśpiewał narodziny nowych natchnień i zlanie się duszy jednostkowej z duszą wszechświata. Pamiętasz źleb? — pyta swej towarzyszki. Jeden krok fałszywy, a wszystkie tęsknoty i upojenia pokryje grób kamyków.

[1] »Melodye jesienne« r. 1889.

U stóp patrzą na nas tafle jeziora, wabiące ponurą jasnością. Motyl spadł do nóg naszych zziębnięty. Wlałaś weń duszę na nowo oddechem ciepłym. Błogosławiona siła odżywcza. Chodź. Przenikniemy treść tych ogromów przemienieni w nieziemski byt. Ale nie sami płyńmy.

Niech świat razem popłynie: z wszystkiem, co żyje, zbratani popłyńmy!

Cierpienie wszechświata stało się odtąd źródłem natchnień Kasprowicza. W hymnach »Salome«, »Święty Boże, Święty mocny«, *Dies irae*, »Moja wieczorna modlitwa«, »Judasz«, a zwłaszcza dwóch najpiękniejszych: »Hymn św. Franciszka z Assyżu« i »Salve Regina« odsłania zawrotne głębie duszy ludzkiej, podnoszącej jęk w swojej boleści: jęk niedoli, jęk szału, jęk grozy, jęk upojenia ascezą i modłami.

Ani słabości, ani rozpaczy jednakże w tych hymnach niema. Św. Franciszek chce jarzmo grzechu i grozę ziemi dźwigać i śpiewać hymn miłości, bo przez nią dokona się zbawienie. W »Salve Regina« tęsknota chodzi po ziemi, klęka, modli się, płacze i wzdycha. Modły zmieniają się w pajęcze nici, otulają postać tęsknoty i niosą do góry; wieniec na skroniach zmienia się w gwiazdy i świeci; kielich goryczy zmienia się w czarę słodkiego napoju wieczności; krzyż zmienia się w skrzydła anielskie i niesie tęsknotę ku dusz milionom, o których tutaj dawno zgasła wieść, a z których każda depce białą stopą węża i śpiewa przesłodki hymn: »Salve Regina«. A gdy na wiosnę człowiek umiera i orszak trumnę sosnową stawia na murawie, śpiewając pieśń, na odzew tej pieśni:

> Ziemia, od brzegu do brzegu
> podeptanemi zasiana grobami,
> otwiera wielkie swe wnętrze —

i płyną tłumy, śpiewając »Salve Regina«. Wślad za nimi — choć śmieje się szyderczo szatan — i poety tęsknota śpiewa: »Salve Regina«.

Cierpienie i tęsknota poety rodzą zatem miłość i nadzieję. Żaden z naszych liryków nie zdołał wynaleźć dla głosu zbiorowej duszy takich potężnych tonów płaczu, jak w tych hymnach Kasprowicz. Są to — jak je ładnie Miriam nazywa — »majestatyczne symfonie wiekuistych tęsknot i pragnień duszy«. Stanowią one szczyt liryki Kasprowicza.

W książce »O bohaterskim koniu i walącym się domu« jest poemacik pod tym drugim tytułem. Wali się dom. Dużo trudu łożył, aby go zbudować. Wygląda w słońcu na pałac, w księżycu na zam-

knięte pełne widm zamczysko, a jest tylko nędzną lepianką. Wzniósł portal. W blokach czarnego marmuru wyrzeźbiwszy święte, stawiał je na skrzydlatych gryfach, iżby tworzyły chór, niebiosom kamienne podający pieśni, wyśpiewane Duszy, która się zmogła ze Złem. Wyczekiwał, zali nie wejdzie do wnętrza Ten, co serce ma z ognia i jednym tylko przemawia wyrazem: Wieczność. Raz zdało się, że wszedł. Krzyczał więc wszędy: Jest. I to był śmiertelny grzech, bo znalazłszy skarb, trzeba go chować przed ludźmi. Pytali: kto? — Spieszcie obaczyć — odrzekł. Poszli i spostrzegli, że próg, wyciosany z pnia sosny, zgnił od deszczów, że okna, wybite kamieniami złośliwych wyrostków, pozaklejano papierem, że na ścianach, niebielonych od lat, zwiesza się brudna pajęczyna... Oni szydzili, ale on również, bo nie więcej warci.

Do tej powiastki podobna »Ballada o słoneczniku«. W zachwaszczonym ogródku pozostał stary, oślepły słonecznik. Nie ma już swej złocistej korony, sczerniały, ale wciska się w szybę wytłuczoną, łasi się do poety i z jamy, gdzie była źrenica, rosą się milcząc skarży. Zmarniał on, co spoglądał w słońce.

Ostatni liść z niego zdarłem,
Ostatniem wyłuskał ziarna,
Zdrzewiałą, twardą łodygę
Ręką chwyciłem pewną:
Z korzeni się pod me okna
Ziemia sypnęła czarna,
Stary, oślepły słonecznik
Snać łzą zapłakał rzewną...

Surowy nie bez doprawy ironicznej sąd, dumny samokrytycyzm, kult dla ideału i pietyzm, z jakim poeta traktuje dostojeństwo poezyi pozwalają nam mierzyć jego nowe dzieło podług miary Fidyasza, aczkolwiek ze spokojem wyznajemy, że utwory, w zbiorze zawarte, nie wyrównują żarem uniesienia lub wielkością pomysłu hymnom.

Jest jeden rys, który znaczną część poematów w »Balladzie o słoneczniku« zawartych, powleka specyalnym kolorytem: poeta zeznał, że jest nie tylko wielkim artystą, ale jest i chrześcijaninem.

We wstępnym fragmencie bez tytułu, mówi poeta: Dusza karmi się Bożą strawą nowych zwiastowań, które złożyło Słowo wówczas, gdy zorze na glob rzucały wielki cień Kalwaryi. Żyje w duszy wiara w zmartwychwstanie. Drogą do niego ból. Bez tej wiary dusza nie byłaby łzą, spadłą z pod powieki Bożej w godzinie cierpień, lecz kroplą dżdżu, zlepioną marnie z ziemskich wyziewów. Niech czytelnik

raczy zestawić to cudne zeznanie duszy z jej końcowem rozpacznem rzucaniem się w objęcia Lucyfera »Na wzgórzu śmierci« w chwili, gdy z wyżyn krzyża dał się słyszeć głos: »Boże mój, Boże, czemuś mnie opuścił« i kiedy Aletej zawołał: To głos rozpaczy! a nawet Szymon z Kyreny w przerażeniu żalił się: »Straszny głos! W mej duszy ciemno i straszno«. Niech czytelnik porówna tamten moment z fragmentem, a przekona się o Boskiem działaniu nowych zwiastowań w sercu poety. Owa zaś wiara chrześcijańska w zmartwychwstanie dzięki ofierze Słowa na Kalwaryi snuje się i wraca we wielu utworach »Ballady o słoneczniku«, ona jest złotem pasmem, podobna do tęczy śród burzy, która jeszcze miota się chwilami, niepokoi i nęka. Nie szkodziłoby p. Huskowskiemu przeczytać poemat »Siądź na kamieniu«.

Twym czynem — wskazuje Kasprowicz cel poecie —

Siąść na kamieniu, który się odłamał
Z odwiecznych skał
I przez potoku odwieczny szum
Rozmawiać z Bogiem
I ludziom krzyczącym i gniewnym
Nosić orędzie wieczności.

Jeszcze się chwilami odezwie zgrzyt ironii (Rada) lub prawie beznadziejnego smutku (Stary czarny krzyż), lecz tłumi je rwanie się duszy ku słonecznym zorzom zmartwychwstań i wyzwoleń przez miłość. Trzy zwłaszcza utwory zawierają dzieje duszy poety: »Ciche samotne rzędy wierzb«, »Fragment« i »Miłości pełne niech będą twe usta«. W pierwszym mówi o swej duszy. Szła ku przyrodzie i słała głos swej skargi ku szczytom, czy nie zbudzi współczucia u lodowców, na skalnych urwiskach, nad jeziorami, a nie było godzin, żeby nie rozwierał się przed nią siny widnokrąg mrocznych przepaści z samotnym cichym rzędem starych wierzb nad rzeką. Stawała w katedrach u filarów, pomiędzy szeregami bazaltowych kolumn, pod kamiennymi wnękami, śledząc boskiej ręki w rzeźbach, wpatrywała się w witraże i figury świętych, widziała obrazy sądu — i uważała to wszystko za zwiastowanie:

Wszystko to ducha urodziła płodna
Moc na świadectwo, że jesteśmy z Boga,
Że k'Niemu przez te twory ludzkie idzie droga.

Snują się przed duszą całe procesye

I ona idzie z niemi: Panie! Panie!
Wesoła śpiewam przed Twą świętą arką!

Żadnego bólu szpon mnie nie dostanie
I żaden ciężar nie będzie mym barkom
Silnym za ciężki! I anielskie granie
Urągające doczesnym jarmarkom,
Wtórzy jej hymnom — wspaniała muzyka,
Co duszę żądzą wzlotów nadziemskich przenika.
Z ołtarnych płócien, z ścian, co chwałą wieszczą
Twórczej wszechmocy kolorów wymową.
Schodzą Madonny i słodko się pieszczą;
I Chrystus rękę swą mozaikową
Wyciąga ku niej, i ona tym dreszczom
Cała się podda i z wzniesioną głową:
Snać skamieniawszy w przeźroczym zachwycie:
Jedną-li widzi przestrzeń: nieśmiertelne życie!

Lecz oto z oddali do stóp jej ciśnie się sinawa smuga morza zwątpień i smutków. Dusza, słuchając tych głosów, kuli się w sobie z lęku i zdumienia. Czasem morze słało jej srebrne mewy i łodzie o białych żaglach. Dusza otwierała ku nim ramiona w nadziei, że to wysłańce z dziedziny, gdzie kres tułactwu i cierpieniom.

Drugi poemat jest jakby dalszym ciągiem i dopełnieniem pierwszego, jest dokładniejszym obrazem walki duszy, objętej morzem łez, i jest zarazem powitaniem nowej pieśni.

Dusza poety stawała u niezmiernych wywierzysk nędzy, wlepiała swe otarte z promieni oczy w złowrogą czerwień błyskawicy a uchem łowiła straszne gromy gniewu Bożego, zawisała nad przepaścią zmroków, trzymała się urwisk dłońmi do krwi kaleczonemi. Czy ma ze swą pieśnią pójść w powszednie roisko mrówek, gdzie każdy pyłek człowieczy ma swą tragedyę, gdzie jedni płaczą, innym zbrakło łez, bo serce zawiędło, inni stoją jak hermy, poustawiane przy drodze wieczności. Znowu spogląda w głębie oczu pieśni i błaga

Iżby stanęła przy nim już nie z bólem,
Ale z słoneczną, wiosenną radością,
Która daleko od ziemi, u kresu
Ludzkiej tęsknoty, rozświetli mu bezmiar
Świętych tajemnic! On tam władnie, jasny,
Cichy, spokojny Rozdawca spokojnej
Jasnej, słonecznej, gwarom, krwawym krzykom,
Łzom i rozpaczom świata niedostępnej
Nieśmiertelności... (str. 36).

Podobnie zaś, jak tłumacząc duszę św. Franciszka z Assyżu, w miłości widział ukojenie wszystkich ziemskich rozpaczy, tak w so-

necie »Miłości pełne niech będą twe usta«, uważa ją za silniejszą od zwycięstwa skonu: ona ma być pochodnią, oświecającą drogę do nieśmiertelności.

Ostatnia książka Kasprowicza obok wymienionych poematów, tak znamiennych w historyi duchowych przeobrażeń wielkiego liryka, zawiera kilka utworów bądź okolicznościowych bądź też wysnutych z podań ludu. Śród pierwszych niezrównanem ujęciem pomysłu, siłą uczucia a prostotą formy celuje utwór »Drogi krzyżowe«. Powstał na wieść o prześladowaniu dzieci poznańskich za polską modlitwę. Przypomina poeta średniowieczną wędrówkę dzieci dla odebrania Turkom grobu Chrystusowego i porównywa zapał i cierpliwe znoszenie męki za wiarę u poznańskiej dziatwy do entuzyastycznego porywu dziatwy średniowiecznej; z mimowolnym krzykiem gniewnego przekleństwa uderza na tych, którzy usiłują stłumić święty ogień serc i odebrać wiarę w Boga.

A ktoby dzisiaj chciał powiedzieć wam,
Że w tym zachwycie był li złudny kłam,
Że poryw Ducha wiedzie na bezdroże,
Że li rozsądek prawdą zwać się może —
Ktoby z podstępnym tak uśmiechem rzekł,
Ten-ci jest głupi i nikczemny człek.
Tchórz to i podlec, zapłacony zbir,
Wyznawca cnoty bękarciej, kto mir
Bożych orędzi, zlecających duszy
Bronić krwi swojej, fałszami naruszy,
Z zakonodawczych wysnutymi kart,
Które napisał Uwodziciel — czart.

Wzniosłym hymnem, napisanym w dwóchsetną rocznicę obrońcy Częstochowy, jest też poemat »Kordecki«, apoteoza wspaniała mnicha-bohatera.

»Pieśń o pani, co zabiła pana«, »Pieśń o burmistrzance«, »Pieśń o Waligórze«, »Sawitri« dowodzą tegoż, co i »Drogi krzyżowe«, że prawdziwy poeta, choć w hymnach wznosił się na szczyty mistycznych uniesień, z prostotą, dostępną i zajmującą dla umysłu dziecka, potrafi zniżyć się do naiwnej wiary ludu lub odczuć zbawcze uniesienia dusz, niestrudzenie idących do swego Jeruzalem.

Nietrudno po tem, co powiedziałem o zawartości p. Huskowskiego »Po drodze« i Kasprowicza »Ballady o słoneczniku«, zdać sobie sprawę, na jak przeciwnych krańcach stoją dwaj poeci. Pierwszy z nizin życia, z jego ułomności, występków i zbrodni, z jego sromo-

tnych poniżeń, upadków i nędzy czerpie żer dla swej poezyi, zaprawia ją śliną szyderstwa i nienawiści, drugi sięga najwyższych wzniesień ducha, szuka Boga, pragnie nieśmiertelności a miłością otacza ziemię. Pierwszy w poszukiwaniu oryginalności często bywa płaskim i trywialnym, drugi żywym symbolem czaruje i zachwyca. Kasprowicz lubi symbolikę, można powiedzieć, że to jest właściwy jego sposób poetycznego tworzenia. Ale daje on zawsze czytelnikowi klucz do odgadnięcia, jego symbole są jasne i łatwe do przełożenia na synonimy, będące w powszechnem użyciu. Czerpie obrazy z przyrody, która bogate swe skarby dlań odsłoniła. Jego wyobraźnia umie wybrać z tej skarbnicy najpiękniejsze dary, jego dusza odczuwa zawartą w nich iskrę Bożą, jego myśl rozumie cel człowieka na ziemi i stosunek człowieka do Boga. Z powodu swej głębokiej treści liryka Kasprowicza napełnia duszę zadumą i odrywając od ziemi unosi i zbliża ku wieczności; z powodu przedziwnej formy wyzwala i rozwesela. Mówię to doświadczeniem nauczony. Lektura kilkunastu tomów i tomików, które powyżej omawiałem, nie zawsze dostarczała mi estetycznej rozkoszy. Nieraz psuły wrażenie cudactwa formy, nieraz odczuwało się ołowiany przymus i mozolną pracę zamiast ognia i polotu. Lektura Kasprowicza stała się dla mnie tem, czemby się stało powietrze i światło dla więźnia, długo trzymanego w mroku ciemnicy. Gorąco też polecam czytać dzieła jego tym poetom, którzy usiłują odgadnąć i oświetlić tajniki nieskończoności, i tym, którzy loty swe zniżają do poziomów ziemi i malują trzęsawiska życia.

Antoni Mazanowski.

Z piśmiennictw obcych.

Z belletrystyki angielskiej.

The marriage lease, by Frank Frankfort Moore. — *A rose of yesterday.* Marion Crawford. — *Lightning Conductor.* Edited by C. N. and A. M. Williamson. — *The golden Fetich,* by Eden Philipotts. — *The sinews of war,* by Eden Philipotts and Arnold Bennett. — *The Healers,* by Maarten Maartens. — *The Compromise,* by Dorothea Gerard.

Belletrystyka wyrządziła od stu lat wiele szkody instytucyi małżeństwa: obecnie, zwłaszcza w Anglii, usiłuje naprawić uczynione zło. Przypomina się dziecinna piosenka, w której: »Kot kotkę okaleczył —

Kot kotkę będzie leczył«. Czy wyleczy — to pytanie, ale pewnem jest, że prawda podana w powieści, zajdzie dalej, niż w szacie poważnej rozprawy, jakich w naszych czasach rodzi się miliony. Są to wyniki dobrej woli, porwanej dydaktyczną zarazą naszych czasów; dawniej istniał głód wiedzy, sprawiający, że każdy chciał się sam czegoś uczyć. Dziś jest głód nauczania drugich, tworzenie systemów, wymyślanie recept na zdobycie szczęścia, zachowanie nieposzlakowanego zdrowia na długie życie i t. d. Autor powieści *The marriage lease* [1] musiał być do żywego znudzonym przez owych »wynalazców mądrości i handlarzy rozumu«, gdy rozpoczynał swe dzieło w obronie świętości małżeństwa. Włożył weń tak dużo myśli, że prawie na każdej stronie dość grubego tomu miałoby się ochotę jakiś ustęp zaznaczyć.

Treść jest następująca: dwóch Anglików, z których jeden posiadał stronę praktyczną, t. j. moc nieprzebraną milionów a drugi teoryę w formie powietrznego gmachu socyologicznych poglądów, zjednoczyło się w pracy nad założeniem ekstra-postępowego państwa. Upatrzywszy sobie neutralne księstwo bezpieczne wyjątkowem położeniem geograficznem od chciwości potężnych sąsiadów a rządzone przez wielce zadłużonego księcia, odkupili je i zaczęli przynęcać kolonistów angielskich. O miejscowej ludności autor zapomina — ale to drobnostka. Koloniści ściągają licznie do cudnego zakątka ziemi, obdarzonego idealnym klimatem i wszystkiemi bogactwami ziemi; wkrótce też wznoszą się urocze miasta, wzorowe fabryki, dobrobyt wzrasta, a oświata i cywilizacya dochodzą do tego stopnia, że nie potrzeba policyi: każdy obywatel powinien być i jest własnym swym policyantem, pilnującym ustaw obejmujących moralność, bezpieczeństwo a nawet i estetykę publiczną, posuniętą do tego stopnia, że dzieciom nieharmonijnych imion nadawać nie wolno. A zatem policyi niema i ma się rozumieć niema i wojska; co więcej — niema kościołów ani żadnego duchowieństwa, bo prawodawcy orzekli, iż każdy dom winien być kościołem a każdy człowiek kapłanem. Następcy tych prawodawców zauważywszy w krajach europejskich zbyt wielką śmiertelność dzieci orzekli z kolei, iż powodem tej śmiertelności jest niedbalstwo rodziców, że przeto państwo zająć ich miejsce powinno. Odtąd każde dziecię, przeżywszy dwanaście miesięcy, oddawane bywa z urzędu do rządowego zakładu, gdzie aż do ukończenia edukacyi zostaje. I tu oczywiście brak nabożeństwa

[1] *The marriage lease,* by Frank Frankfort Moore. 1 vol. Tauchnitz Ed. 1907.

i religijnych wykładów; biblia jednak bywa zalecaną jako bardzo piękne czytanie. Z niej jednej młodzi czerpią pojęcie o Bogu, które u wielu trafia na grunt podatny i jako tako kiełkuje.

Nowe państwo nazwane Azaleą od imienia córki swego założyciela, staje się dla mieszkańców rodzajem ziemskiego raju a zarazem przedmiotem ciekawości dla prawodawców i socyologów sąsiednich krajów, czekających na wyniki nowych urządzeń, aby je w razie pomyślnym zastosować u siebie. Istotnie niema dość słów podziwu dopóki trwa życie pierwszej generacyi i dorastanie drugiej; w trzeciej jednak horyzont zda się zaciemniać nie wiadomo z jakiej przyczyny, bo handel idzie świetnie, stan sanitarny bez zarzutu a literatura i sztuka w rozkwicie. Ot, po prostu zarzewie, jakie pierwsi osadnicy ze starego świata przynieśli, wypaliło się do dna a nie ma skąd nowego zaczerpnąć, kobiety nudzą się przy samotnych ogniskach domowych, bezczynne pożycie małżeńskie staje się ciężarem. Rząd zauważa z przerażeniem zmniejszającą się z każdym rokiem statystykę małżeństw i urodzin, grożącą depopulacyą kraju. Młodzież męska od uczciwych zebrań ucieka do sąsiednich miasteczek, obfitujących w mniej wykwintne zabawy; liczba panien »sportowych« się zwiększa, niektóre rodziny, o zgrozo! wynoszą się napowrót do Anglii, aby módz zachować swe dzieci. Mądrzy ludzie to widzą, ale, nie odgadując prawdziwych powodów upadku, upatrują je w dożywotności związków małżeńskich. Wymowny trybun, żądny karyery, chwyta tę myśl, jako podstawę swej przyszłej wielkości: »Ludzie boją się nierozerwalnych ślubów, jednostajność przymusowego pożycia zanudza ich i pcha do niewierności; dla niedobranych stadeł to okrucieństwo i niewola, dla pseudo-dobranych próba zbyt niebezpieczna. Należy aktowi małżeńskiemu odjąć wszelkie pozory uroczystych zaślubin a przemienić go w prostą umowę, mającą moc przez trzy lata«.

Na tę propozycyę w Azalei zawrzało; kraj podzielił się na dwa stronnictwa: wiele kobiet broniło dawnego systemu i kto wie, na którą stronę byłaby przechyliła się szala, gdyby dwa potężne głosy nie zaciężyły na rzecz trzechletnich ślubów. Jednym z nich był głos młodego członka Rady rządowej, zaręczonego właśnie i rozkochanego na zabój. Temu narzeczona, przestraszona smutnem pożyciem małżeńskiem swych przyjaciółek, podsunęła myśl, iż proponowany układ zapewni wierność i szczęście małżonków: przez pierwszy rok będą jeszcze żyć w upojeniu, przez drugi będą szczęśliwi na trzeźwo, a przez trzeci, czując już nad sobą groźbę rozłączenia, będą się zobopólnie starali

pozyskać wzajemną miłość. Będzie to, co trzy lata powracający na nowo okres konkurów... Młodzieniec gotówby w tej chwili skoczyć w ogień na skinienie oblubienicy, więc też ulega i dopomaga do uchwalenia wniosku. Innym tegoż promotorem jest stryj panny, człowiek głębszego rozumu, wychodzący z założenia, iż ustrój społeczny w Azalei trwać nie może, a zatem trzeba mu dopomódz do jaknajprędszego wywrócenia koziołka. Dzięki tym dwom ustawa przeszła tryumfująco — młody mąż stanu pierwszy dla przykładu wstąpił w trzechletnie związki małżeńskie. Zbawienne skutki nowej instytucyi objawiły się od razu: straszliwa Heród-baba, gnębiąca męża od lat 20, spokorniała od razu z obawy, by jej po trzech latach nie rzucił; lekkomyślny a ubogi mąż bogatej żony stał się przykładem czułej wierności. Poza tem jednak z początku nie zauważono zmiany. Statystyka małżeństw w tym roku zniżyła się niemal do zera. Przytem w każdem kochającem sercu małżeńskiem zrodził się głuchy niepokój, zazdrość tem boleśniejsza, że jej objawy były bezprawne: toż żonie, która za kilkanaście miesięcy mogła być z praw swoich i z miejsca w domu wyzutą, musiało być wolno zapewnić sobie naprzód kącik w innym domu na następne trzy lata. Podobnie mąż mógł bezkarnie szukać sympatycznej istoty dla zapełnienia nadchodzącej próżni u swego ogniska. O szczęściu nie było już mowy — ustawiczna podejrzliwość, gniew, zawiść i trwoga zabiły wszelką swobodę, wszelką przyjaźń, wszelki nawet towarzyski stosunek w sferach zamożnych; została tylko powłoka ogłady, ale i ta pękła, gdy pewien małżonek w napadzie wściekłości wtargnął na posiedzenie Rady i tam publicznie zelżył i skopał swego domniemanego następcę. W sferach uboższych nie czekano tak długo. Kułaki, bójki, zabójstwa były na porządku dziennym; czasem warsztaty musiano zamykać, bo robotnicy nie dbali o pracę lub lizali swe rany. Nie było zaś komu przywrócić spokoju, skoro nie było policyanta ni — księdza.

Panna, która wpierw pchała do przeprowadzenia trzechletnich związków, obecnie pożerana zazdrością o przyjaciółkę, dopomagającą jej mężowi do ułożenia nowego wychowawczego systemu, patrzała z bolesnem zdumieniem na tę ogólną, uderzającą zmianę. Czyż to być mogło, aby nowa ustawa małżeńska, acz oparta na wiedzy, była pomimo to rzeczą chybioną? O gorzej, niż chybioną! Bo chybienie sprawy pociąga tylko za sobą ubytek dobra a tu nie tylko dobra ubyło, ale taka ogromna moc zrodziła się złego. W utrapieniu poszła po objaśnienie do mądrego stryja.

»Stryjaszku! — zawołała — czyż ta ustawa małżeńska wszystkiemu

jest winna? Wszystkiemu, co zmieniło Azaleę, co z niej uczyniło takie piekło?«

»Moje dziecko, przyczyną tego wszystkiego jest duch rządu, z którego wypłynęła możność powstania ustawy małżeńskiej. Niema Boga krom wiedzy, stało się hasłem Azalei. Było to dobrem tak długo, jak żył jej pierwszy prawodawca i wskazywał ludowi, że pojęcie o Bogu jest najszczytniejszym wyrazem wiedzy. Ale odtąd ludzie zapomnieli o Bogu i o swym prawodawcy a rząd oddali w ręce parobków, którzy ledwie powąchali kurz zmiatany z jego pracowni. W święte imię nauki odebrali wychowanie z rąk rodzicielskich a gdy wyniki ich gospodarki wyszły na jaw, grożąc podkopaniem przyszłości państwa, usiłowali zasłonić własną niezdarność jaskrawem wystąpieniem — innowacyą, jakiej żaden kraj jeszcze nie widział. Chcieli tak zadziwić świat, aby w nich uwierzył«.

I tak dalej mądry człowiek tłumaczy sprawę, wystawiając chrześcijańską formę małżeństwa, jako najdoskonalszy wynik ewolucyi wieków; mówi, że ludzkość różnych form próbowała, ale że w tej jednej jest prawda. Tu możnaby coś zarzucić, bo przecież istota formy małżeństwa chrześcijańskiego jest z objawionej myśli Boga, a ludzie przychodzili tylko do poznania i uznania jej. Zda się, że autor tu się niedość jasno wyraził, ale myślał dobrze.

Tymczasem w Azalei wszystko sposobiło się do przepowiedzianego »koziołka«. Wrzenie wśród ludu wzmagało się, podniecone głośno przez przybyłych z Europy religijnych emisaryuszów a skrycie kierowane przez kilku najpoważniejszych ludzi ze stolicy, aż wreszcie rozognione tłumy zwaliły się ze wszystkich stron kraju, wołając nie o »chleb i igrzyska« ale o kościoły i śluby kościelne. W ostatnim ustępie autor ukazuje nam Azaleę uspokojoną, kwitnącą i szczęśliwą. W stolicy wznoszą się wieże siedmiu kościołów a ponad niemi wzrastają co dnia mury wspaniałej katedry. Śluby odbywają się uroczyście, po ulicach spacerują dzieci u boku rodziców, gdzieniegdzie spotkać można duchownego a czasem nawet — biskupa.

Wogóle *les romans à thèse* bywają suche i nudne; ten zaś pełen jest dowcipu i pełen rozumu. Jest to jedna z lepszych książek, jakie w ostatnich latach wydała literatura angielska.

Tę samą mniej więcej tezę obrobił przed dwunastu laty słynny amerykański pisarz Marion Crawford [1] w pięknej a dziwnie mało znanej

[1] Marion Crawford: *A rose of yesterday.*

u nas powieści: *A rose of yesterday.* Książka to niewielka, czyta się prędko i aż nadto prędko, bo choć myśl przybrana w formę życiowego dramatu, podrażnia ciekawość i gna do szybkiego przewracania kartek, to z drugiej strony na każdej niemal z owych kartek rozsiane uwagi bystre, głębokie a trafne zmuszają umysł a nieraz i serce do zastanowienia. Tytuł: *A rose of yesterday* jest symbolem kobiety, której młode lata ubiegły wśród męczarni niedobranego małżeństwa z człowiekiem pięknym ale rozpustnym i złym, którego pijaństwo doprowadziło do domu obłąkanych. Helena pozostała z synem upośledzonym na umyśle, pozostała z blizną na czole, przypominającą wciąż brutalność męża i z gorszą blizną w sercu, z papierów bowiem zostawionych przez męża dowiedziała się, że człowiek inny, istny rycerz bez zmazy, ku któremu ciągnęło ją serce, miłował ją niegdyś ogromną miłością, tak wielką, że się jej wyrzekł, by jej dozwolić wejść w związki, w których mniemał, że więcej szczęścia znaleźć będzie mogła. U wstępu książki ci dwoje spotykają się przypadkowo w Lucernie z pozorami starej przyjaźni i wtedy dopiero pułkownik Wimpole dowiaduje się do jakiego stopnia poświęcił się na darmo. Helena, według praw protestanckich, mogłaby żądać rozwodu, ale ją wstrzymuje świętość przysięgi: będzie dalej żyć niby wdowa, oddana w zupełności synowi. Toż sam ten spokój jest rodzajem szczęścia! Naraz atoli przychodzi wieść niespodziana: lekarz z domu obłąkanych donosi, iż wbrew wszelkim przewidywaniom mąż jej odzyskał rozum, co więcej posyła jej list tegoż męża rozsądny, jasny, pokorny, proszący o znak przebaczenia. Dla Heleny to cios burzący jej życie; po strasznej chwili walki, postanawia jednak przyjąć napowrót ciężkie jarzmo małżeńskie, wrócić pod dach człowieka, w którego poprawę nie wierzy, który znów każdą jej chwilę napełni bólem i wstydem. Posyła krótki telegram: »Przebaczam!« i dopiero uczyniwszy to, przytomnieje, myśl ze strachem zwraca się na syna. Cóż się stanie z tym słabym umysłem pod wpływem ojcowskim? Jakież będzie pożycie tych ludzi? Zwolna, ostrożnie odkrywa chłopcu odebraną wieść i konieczność powrotu do ojca a wtedy syn pokazując silne pięści, powiada jej, że się już ojca nie boi, bo mu da rady, że dawniej ojciec, gdy jej nie było, zwykł go bić silnie po głowie, uderzał zawsze w to samo miejsce, aby z pod włosów nie było znać śladu. On zaś liczył razy i pewnego dnia, gdy ojciec wrócił mocno podpity, oddał mu tę samą liczbę ciosów a potem zawlókł go na łóżko. »Jesteśmy kwita«, dodaje ze śmiechem. Helenie w oczach i w duszy robi się ciemno: więc i stan umysłu biednego chłopca jest

dziełem jej kata? Wiedząc o tem nie byłaby może wysłała depeszy. Ale teraz za późno; więc siada znowu i pisze do męża, że wobec tego co dawniej zaszło przyjdzie jej syna umieścić pod innym dachem i między nimi dwoma podzielić swe życie. O zmroku wychodzi, by sama list rzucić na pocztę i niemal u wrót spotyka pułkownika. Ten już wie o wyzdrowieniu jej męża i postanawia choćby kosztem jego lub własnego życia nie dopuścić do jej powrotu w piekło. W pośród dyskusyi wyznaje, że ją kocha, ale że gotów nawet widoku jej wyrzec się na zawsze, byle zechciała ratować się rozwodem. Ale Helena odmawia, zapowiada, że dziś jeszcze nocnym pociągiem wyruszy, by stanąć przy boku tego, któremu wierność przysięgła i bronić go, choćby przeciw człowiekowi, który jeden ukochał ją na ziemi. Rozwód w jej oczach i oczach autora, to jeden z objawów zwyrodnienia naszych czasów; człowiek powiedział sobie: Nie będę cierpiał! więc używa wszelkich trucizn byle się uchronić od bólu. Powieść kończy się wiadomością o nagłej śmierci męża Heleny, podaną jej w chwili, gdy już nad sobą i nad swym wielbicielem odniosła zwycięstwo. Życie jej zatem może w przyszłości ułożyć się szczęśliwie. Lecz nawet i bez tego zwrotu, mówi autor, byłaby znalazła dość sił, by w dobrem wytrwać do końca. Dodaje, iż tak doskonałe typy, jak Helena, rzadko spotyka się w powieściach, bo ludzie piszący szukają bezwzględnej »prawdy« a doskonałość trudno znaleźć na ziemi. Wolno jednak i należy mieć ją w duszy, mieć w wyobraźni, aby wiedząc, jak wygląda zło, wróg przeciw któremu całe życie się walczy, poznawszy wszelką jego broń i fortele, widzieć także czem jest dobro, ideał, o który walczymy często sprzeczny z dążnościami naszego ciała i naszego serca ale godny, aby mu je każdej chwili poświęcić. Dość że »Przekwitająca róża« Crawforda warta jest całych ogrodów kwitnących róż i pragnąć trzeba, by podobne jej kwiaty na gruncie polskiej literatury wyrosły.

Kto chce odpocząć a zarazem zabawić się i nawet nieco nauczyć niech otworzy ultra- nowoczesną książkę Williamsona[1] a raz otworzywszy przeczyta do końca. Nowoczesną jest, bo cała opowiedziana fabuła dzieje się w czasie podróży na automobilu; jest w niej wszakże coś z bardzo starych powieści, bo z nastaniem ery samochodów wraca się sposobność do romantycznych przygód, o których mniemano, że

[1] *Lightning Conductor*. Edited by C N and A. M. Williamson. Tauchnitz Ed. I vol. 1907.

zniknęły na zawsze, odkąd ludzkość jęła podróżować stadem w huczących a zasmolonych pociągach. Przytem forma powieści złożonej z listów pisanych widocznie przez dwie osoby, przypomina również minione czasy. Ma się wrażenie, że autorowie czy autorki tych listów bawili się znakomicie w czasie swej pracy; dziś w ich ślady bawi się czytelnik porwany żywością dykcyi, sprytem, prostotą a zarazem pięknością opisów. Głównymi korespondentami są jak zwykle — chłopiec i dziewczyna: ona, córka amerykańskiego milionera czy miliardera, pisząca do ojca, on zaś syn angielskiego lorda, piszący do przyjaciela. U wstępu śliczna miss Molly Randolph, podróżująca po Europie pod eskortą ciężkiej, powolnej i nad wyraz niemądrej ciotki, opowiada ojcu. jak gdzieś w Anglii upatrzyła sobie nadzwyczajny samochód, jakiego nigdy dotąd nie widziała, takowy kupiła i nająwszy przygodnego *chauffeur*'a czyli mechanika, przyjechała z nim do Francyi, którą pragnie dokładnie zwiedzić. Ale niestety samochód ogromny, ciężki i nad miarę wadliwy co chwila się psuje: co parę mil trzeba wysiadać, wyładowywać manatki i naprawiać najczęściej z pomocą wiejskiego kowala. Molly jednak nie traci humoru, w Paryżu wóz naprawiono, więc pójdzie dobrze, tymczasem już w parę godzin staje pod górką i uporczywie odmawia dalszego pochodu. Jacyś mężczyźni nadjeżdżający z tyłu, widząc »damy w potrzebie«, zatrzymali się ofiarując pomoc, ale Molly pełna złego humoru i wstydu odprawiła ich krótko. Po chwili odwracając się ujrzeli ów archaiczny samochód pchany ludzkiemi rękami pod górę i po niejakim czasie tknięci rycerskiem uczuciem zawrócili, by widzieć koniec awantury. Byli obaj jednako odziani, jeden z nich wszakże był wysoko urodzony, Anglik, Jack Winston, a drugi tegoż mechanik, Almond. Zastali panie siedzące pod drzwiami małego zajazdu na nieruchomym automobilu: ciotkę smętną, Molly upokorzoną, czekające na *chauffeur*'a, który powrócił do Paryża po jakieś śruby, zabierając w braku drobnych 500 franków do zmiany. Tym razem Molly nie odmawia pomocy; Jack nie wymieniając swojej »godności« goni do Paryża za niewiernym sługą, który ulotnił się z pieniędzmi, przywozi potrzebne śruby a gdy pomimo to panie dalej jechać nie mogą bez mechanika, pali dzikim konceptem i sam pod nazwą Browna ofiaruje się im za *chauffeur*'a. Jako świadectwo podaje ćwiartkę papieru, którą sam pospiesznie nabazgrał, podpisując własnem nazwiskiem. Molly ma wrażenie, że jej ten piękny mechanik spadł z nieba; Jack zaś każe Almondowi trzymać się zawsze w pobliżu tak, aby w czasie noclegów z jego usług korzystać. I zaczyna się roman-

tyczna jazda po zamkach nad Loarą, które Jack zna z poprzednich podróży i nie tylko kieruje samochodem, ale paniom swoim ciceronuje, tłumaczy, ułatwia wszystko i staje się istotnym kierownikiem podróży. Molly podziwia jego wykształcenie i wykwintność, powtarzając wciąż, że go szkoda na tak podrzędną służbę; Jack zaś szukający zrazu chwilowej zabawy zakochuje się na zabój i wikła coraz bardziej w przybraną rolę, nie zawsze przyjemną, dzięki zrazu głównie przyrodzonym wadom »bestyi«, to jest samochodu, który mu zda się być jakąś piekielną, na utrapienie jego czyhającą maszyną. Aliści do jego pań przyczepia się nadskakujący Francuz, ofiarujący uporczywie swoje usługi i na własnym samochodzie gościnność a gdy Molly pod wpływem »Browna« odmawia, skorzysta z oddalenia tegoż podczas noclegu, aby jej automobil podpalić. Odkryty, wyznaje patetycznym gestem, iż to uczynił z miłości, a wtedy Jack widząc przerażenie dziewczyny, chwyta go za kołnierz i wijącego się jak rak w ukropie, przesadza przez płot do błota. Następnie idzie po swój własny samochód i twierdząc, że mu jego chlebodawca mr. John Winston polecił wynająć takowy podczas swej niebytności, stawia go wraz z sobą na usługi pięknej Amerykanki. Odtąd jazda gładka i łatwa pozwala autorom na szersze opisy przebywanych miejscowości i okolic: czasem opisy są trochę za długie, ale zawsze ciekawe. Jack w jednym z listów zauważa, że choć Francya pełna jest zamków i dworów, przecież na gościńcach ruch jest przeważnie wieśniaczy, gdy przeciwnie w Anglii, gdzie dwory rzadsze, spotyka się same eleganckie zaprzęgi, piękne amazonki i szykownych jeźdźców. On sam urządza się tak, iż po miastach staje zawsze w innym hotelu niż jego panie i tam przebrany za »pana« we własne odzienie, spędza wieczory, poczem z rana włazi na nowo w skórę Browna, która mimo miłości czasem mu dolega. Wszystko jednak idzie dobrze aż do Pan, gdzie Molly spotyka dawnego adoratora, młodego Amerykanina, James'a Payne, wielkiego faworyta ciotki, która go na dalszą drogę do automobilu zaprasza. Odtąd zaczyna się serya awantur, bo Payne głupi a próżny, od pierwszej chwili zazdrosny o pięknego *chauffeur*'a, dochodzi powoli do posądzenia go, że okradłszy a może i zamordowawszy swego pana t. j. Johna Winston, puścił się w świat z jego rzeczami i jego samochodem i próbuje gwoli jej pieniędzy zawrócić głowę niewinnej Miss Randolph. Z odkryciami temi zwierza się kolejno ciotce, warując sobie do czasu jej milczenie, boi się bowiem Jacka, który, złapawszy go na grubych przechwałkach i kłamstwach, zagroził mu, że go natychmiast zdradzi

przed panną, jeżeli go ta z jego winy odprawi. Paynowi powiedziano, że z powierzchowności przypomina nieco typ Sherlocka Holmesa, odtąd też rości sobie pretensye do wybitnych zdolności detektywa i pewny, że w rzekomym Brownie odkrył zbrodniarza, daje listownie znać o tem ojcu Molly a równocześnie poluje na matkę Jacka lady Brighthelmstone, by ją przestrzedz o domniemanym losie jej syna. Nie bacząc tedy na możliwe tragiczne skutki zostawia Molly, jej ciotkę i samochód na łasce *chauffeur*'a a sam przez całe Włochy goni za ową damą i dogoniwszy w Sycylii przeraża ją swem opowiadaniem. Równocześnie atoli nie wiedząc o sobie przybyli do Sycylii stary Randolph i Molly ze swoim dworem i wszyscy, dzięki manewrom Payne'a, zjeżdżają się w Taorminie. Tu Jack, zdecydowany zrzucić nareszcie maskę, spotyka się z p. Randolph i wyznaje zarazem swą winę i miłość. W czasie rozmowy atoli słyszy się groźnie zawołanym: »Brown!« Z przyzwyczajenia odwraca głowę i widzi Payne'a prowadzącego wystraszoną Molly i pełną grozy lady Brighthelmstone, którym zapowiedział odsłonięcie zbrodniarza. Natomiast matka Jacka wydaje krzyk radości na widok żyjącego syna i mimo pomieszania i gniewu pięknej Molly wszystko kończy się szczęśliwie połączeniem kochającej pary i zawstydzeniem tych, co im zastawiali sidła. W sprawozdaniu niepodobna oddać delikatnych odcieni uczuć dziewczęcia kochającego bezwiednie człowieka, którego czci jako wzór doskonałości, a do końca uważa za sługę, ani rycerskości młodzieńca, który mimo najgorętszej miłości nie chce najmniejszem słówkiem dać poznać ani swych uczuć ani swego nazwiska tak długo, jak panna wobec głupoty i bezradności ciotki zdana jest faktycznie na jego wyłączną opiekę. Oba zatem charaktery do głębi szlachetne, przeprowadzone przez ogniową próbę przygód, o jakich dawniej pisano, a które pono zmartwychwstaną, gdy samochód stanie się powszedniem narzędziem ruchu podróżujących piękności. Książkę można bez żadnych zastrzeżeń dać w ręce młodzieży.

Przeglądając inną powieść mianowicie powieść Philipottisa [1], czytelnik mimowoli wraca parękroć do tytułowej kartki, by się zapewnić, czy go nie omyliły oczy, czy istotnie widział na niej nowoczesną datę pod nazwiskiem nowoczesnego autora. Forma bowiem i styl i treść przypominają aż nazbyt żywo powieści pisane (głównie we Francyi) między 1850—1870 r. Senzacyjna w swej niewinności fabuła, długi ciąg tragiczno-bohaterskich awantur opowiedzianych w sposób naiwny,

[1] *The Golden Fetich*, by Eden Philipotts. I vol. Tauchnitz Ed. 1906.

bez wielkiej troski o prawdopodobieństwo. Wszystko tam jest: walki i pochody wśród dzikich szczepów Afryki i skarb tworzący cel poszukiwań ludzi białych i tytułowy »złoty fetysz« i cnotliwa heroina, zmuszona szeregiem okoliczności do dzielenia przygód mężczyzn do niedawna zupełnie jej obcych i »bracia rywale« dobijający się o jej względy i czarny zdrajca ukarany przez autora okrutną śmiercią. Brak wprawdzie »cnotliwego inżyniera« z tej dobrej przyczyny, że ta postać nieco później dopiero jęła po wszecheuropejskiej belletrystyce grasować. Temu dziesięć lub nawet pięć lat bylibyśmy książkę jak *The golden Fetich* mienili być przeznaczoną wyłącznie dla młodzieży, dziś podaną jest najspokojniej ludziom starszym i co dziwniejsza: podobne równie naiwne, a naszpikowane przygodami utwory ukazują się też w języku francuskim. Snać umysły przesyciły się dyssekcyami uczuć miłosnych i innych, lub rozprawami socyologicznemi podawanemi im czas jakiś pod nazwą romansu i zapragnęły bardzo prostej strawy *pour se détruffer*, jak mówił pewien lekarz francuski wyprawiający bogatą klientkę na kuracyę kneipowską. To może bardzo zdrowe, może zbawienne, ale — potrosze nudne. Owe utwory grzeszą tem samem, co nowoczesne dzieła pendzla naśladujące Cimabue'go lub Van Eycka: naiwność ich jest sztuczna, a przez to samo pozbawiona uroku, świeżości i prawdy. Toż samo powiedzieć można o naszych autorach, naśladujących w druku chłopską wymowę: chłop wymawia wadliwie bo inaczej nie umie, a spotykając swoją wymowę w książce, gorszy się lub obraża. Czasami może ona mieć wielki urok w jego ustach, bo jest prostą i szczerą: sztucznie przeniesiona na papier jest wręcz pretensyonalną. Anglicy lubią też bardzo odtwarzać w druku różne prowincyonalne sposoby mówienia, co dla cudzoziemców nie mało utrudnia czytanie; nie jeden przytem nie zauważa, iż to, co zaznacza jako dyalekt, lub jako błędną wymowę, jest prostem odbiciem jego własnej mowy i mowy wszystkich jego przyjaciół. Pan Philipotts mało tej sztuczki używa; wogóle ma styl dobry i może przez młodych i starszych amatorów Coopera et C^ie^ być z przyjemnością czytanym.

I w innej powieści tegoż autora[1] znów wielkie awantury nie zawsze prawdopodobne, ale przynajmniej dzięki może współpracownictwu p. Arnolda Bennett opowiedziane w sposób mniej naiwny,

[1] *The sinews of war* by Eden Philipotts and Arnold Bennett. I vol. Tauchn. Ed 1907.

a bardziej zajmujący i ożywiony. Sam tytuł, który przetłumaczyć można na *Nervus belli*, *The sinews of war*, staje się zrozumiałym dopiero przy końcu dość grubego tomu. Tu również oczywiście osią powieści jest skarb, gwoli którego popełniają się zbrodnie. Pewien człowiek odkrywszy, iż jego brat, kapitan okrętu wie o jakichś pieniądzach zatopionych w stawie na wybrzeżu wyspy Barbady, zabija tego brata, by posiąść skarb. Gdy zaś spostrzega, iż bohater opowiadania Filip Masters był świadkiem zbrodni, i że się mimo przebrania za kobietę zataić przed nim nie zdoła, porywa go i uwozi na statku, którym zamyśla odbyć swą podróż po Złote Runo. Z kolei jednak przyjaciele Filipa spostrzegają porwanie i zaczyna się pościg po morzu i lądzie zakończony tragiczną śmiercią zbrodniarza w chwili, gdy wśród ciemnej nocy sięgał po zatopione baryłki złota. Zamiast niego zabierają je Anglicy, zanim jednak zdołali otworzyć baryłki przybywa, na ich pokład komendant świeżo przybyłego wojennego statku, upominając się o skarb, jako o własność rządu rosyjskiego. Jest to bowiem kasa wojenna, która wśród porażki pod Cuszimą, została z admiralskiego okrętu przez rewolucyonistów skradziona i uwieziona aż tutaj! Zamordowany przez brata kapitan, należał do »partyi« i jako taki wtajemniczony był we wszystko. Premia wypłacona przez rząd znalazcy skarbu wynagradza poniekąd bohaterom powieści utratę milionów i wszystko kończy się ku zadowoleniu czytelnika. Sama fabuła, a raczej jej szkielet nie wiele wart, ale rzecz przeprowadzona jest bardzo dobrze, wypełniona szczegółami pełnymi kolorytu, niekiedy grozy, a często humoru, słowem, całość bardzo zajmująca dla ludzi, szukających rozrywki, a nie wątku do myśli. Jest chwila zabawna, gdy równocześnie w jednym domu znajduje się kobieta przebrana za mężczyznę, a mężczyzna za kobietę; jest wyborny typ poczciwego, a bogatego głupca i kilka innych nakreślonych z talentem. Trudno oprzeć się podejrzeniu, że p. Philipotts wymyślił główne fakta, a obrobienie ich powierzył koledze. Pomimo to książkę można zaliczyć do owej kategoryi »najnowszej«, szukającej efektów w faktach, a nie w sentymentach lub w myślach.

Maartens już pisał niemało i trudno mu odmówić głębszej myśli i talentu. W niniejszej powieści[1] jednak jest pewien brak w konstrukcyi, są nierówności i niejasności, których żywość dyalogów

[1] *The Healers* by Maarten Maartens, II vol. (Tauchnitz Ed. 1906).

wyrównać nie zdoła. *The Healers* znaczy c i c o l e c z ą, a więc l e k a r z e, gdybyśmy nie przywykli wyłącznie dawać to miano urzędowo praktykującym medykom. Są tu przedstawione jakoby w żywym obrazie uosobienia różnych systemów: główna osobistość, to bakteryolog, cierpliwy badacz, a poza tem baron hollenderski ze starego rodu. Jego pracownia wązka a długa, służy w jednej połowie jego eksperymentom, a w drugiej literackim pracom jego żony, piszącej poemat dydaktyczno-epiczny w dziesięciu pieśniach o Balaamie i jego oślicy. Przy biórku zasłoniętem parawanikami, obrócona tyłem do męża baronowa, na umówiony znak zatyka sobie uszy, aby nie słyszeć skrzeku biednej żabki, lub pisku biedniejszego królika, którym mąż jej zaszczepia do mózgu odkrytego przez siebie bakcyla. Ten bakcyl przezwany *semicolon*, pożarłby wszelkie szkodliwe twory, gdyby można go wprowadzić do organizmu człowieka, do którego te inne bronią mu przystępu. Stanowi on chlubę, a zarazem przedmiot rozpaczy swego wynalazcy, który nie śmie go próbować na drugich. Raz chciał go spróbować na sobie, zażył morfiny i kazał synowi dokonać wstrzyknięcia, syn jednak z obawy o życie ojca nie śmiał usłuchać. Innym razem tenże syn dobił przez litość królika, na którym baron bolesnej dokonywał próby. Starzec zniósł zawód tak, jak znosił wszystko, z cierpliwym uśmiechem, ale odtąd Edward poruszony skruchą przestał się opierać życzeniu ojca — rozpoczął studya lekarskie. To wszystko wstęp o wiele za długi, zajmujący trzecią część książki. Edward uczy się w Paryżu w szkole Charcota, pchnięty w ten kierunek głównie przez ukochaną dziewczynę przybyłą z Sumatry, gdzie ją nauczono wszelkich arkanów spirytystycznych. Edward więc wychodzi na psychiatrę, a żona dopomaga mu magnetyzmem, przez co w myśli autora ojciec działa na ciało, syn na nerwy, a synowa na duszę. Matka zaś ma przedstawiać działanie na serce, które odkryła w katolicyzmie Ten zwrot mógłby być piękny, gdyby pobożność baronowej nie rozpraszała się w dewocyi do obrazków, medalików i t. p. Istotnie ładnem w powieści jest to, co wychodzi poza ramy naukowej tezy, a więc charakter córki barona i zaślubionego przez nią Anglika, poświęcającego swą młodość i siły na pielęgnowanie bratanka, idyoty, którego śmierć przyniosłaby mu tytuł i fortunę. Ów biedny chłopaczek leczony przez Edwarda, staje się najbardziej zajmującą postacią utworu, obok oryginalnej Angielki, zakładającej w Paryżu rodzaj misyi w celu nakłonienia czeladników rzeźniczych do oszczędzania niepotrzebnych cierpień zarzynanemu bydłu... Konkluzya książki jest piękna, bo jako prawdzi-

wie leczący wskazany jest Bóg. Są też trafne uwagi i humorystyczne ustępy. Niejeden zgodzi się na to, co autor pisze o poczcie na wsi. Przyjścia jej, kobiety (a raczej młodzi) czekają z upragnieniem; mężczyźni zaś (a raczej starsi), z trwogą, bo dla pierwszych przedstawia rozrywkę, a dla drugich troskę. Wieleż to razy każdy z nas na widok pocztowej torby, słyszał lub też sam wydał westchnienie ulgi: Dla mnie niema nic? Dzięki Bogu!...

Znanem jest u nas nazwisko innej autorki [1], która snać dłuższy czas spędziła w Polsce bo często w utworach swoich dotyka polskich stosunków ze znajomością i z psychologiczną prawdą, nie wykluczającą sympatyi. Liczba jej dzieł już jest znaczna i nie jedno zostało na tem miejscu wspomnianem. Obecna powieść *The Compromise* nie traktuje o Polsce, przedmiot jej jest obszerniejszym, pomimo że fabuła obraca się w wązkiej przestrzeni pomiędzy kamieniołomem a brzegiem jeziora gór szkockich. Jest nim, ni mniej ni więcej, jak kwestya celibatu duchowieństwa a tytułowy *kompromis* odbywa się w sumieniu młodego pastora między jego powołaniem a pragnieniem domowego ogniska. John Mac-Donnell był prostym w wiosce swojej góralem, choć ród jego rycerskich czasów dosięga; kuł skały kilofem, wysadzał dynamitem, staczał z góry jak inni. W głowie jednak i w sercu gorzała mu myśl pracy innej, na tem samym miejscu, ale nie nad kamieniami, tylko nad duszami współbraci. Chciał służyć Bogu, służyć bliźniemu dla Boga, stać się pasterzem »dającym duszę za owieczki swoje«. Poszedł tedy do miasta i uczył się. Aliści, gdy już miał dopiąć celu, na drodze jego zjawiło się dziewczę ładne, ożywione, uczciwe i zanim się obejrzał złowiło go w swoje sieci. John w dawnych snach o przyszłości nigdy obok siebie nie widział kobiety. Teraz gdy spostrzega konieczność podzielenia się między powołanie a obowiązki domowe uspokaja sumienie nadzieją, że w żonie znajdzie pomoc miasto zapory. Złudzenie wszakże nie trwa długo. Młoda mieszczanka dumna, że została »panią pastorową«, krzywi się na góralską rodzinę męża; celem jej życia staje się dążenie wyniesienia siebie i dzieci do poziomu okolicznych większych właścicieli ziemskich. Praca Johna wydaje się jej przesadą, obcowanie z ludem poniżeniem godności, styczność z chorymi wprost grzeszną wobec rodziny. Chora zakaźnie kobieta umiera bez religijnych pociech, bo żona pastora zataiła przed

[1] *The Compromise* by Dorothea Gerard. II vol. (Tauchnitz Ed. 1906).

nim wezwanie... John spogląda z zazdrością na pracującego bez przeszkód katolickiego księdza. Widział ich już różnych, osiadłych tam nad jeziorem przy skromnej kapliczce. Ten ostatni nie bardzo przykładny, bo niektórzy mówią, że do kieliszka zagląda, a pies jego jeszcze mniej pokaźnie od swego pana wygląda i pono już poszła skarga do odnośnej władzy. Teraz jednak odkąd ludzie chorują, ksiądz dnie i noce na ich służbie przepędza, aż sam się zaraża, a list biskupi odwołujący go z posady, przychodzi za późno: »Ten grzechy swoje zmazał śmiercią męczeńską« — myśli pastor i dodaje z westchnieniem: »Szczęśliwy!«.

On sam staje się co dnia bardziej obcym, bardziej samotnym wśród swojej rodziny. Śmierć żony nie zbliża go do dzieci, których wychowanie gwoli swych obowiązków duszpasterskich, musiał był ich matce zostawić. Dzieci też, dwie córki i syn wyrosły całkowicie w jej duchu. Syn zajmuje posadę inżyniera w kamieniołomach, panując nad stryjecznymi braćmi ojca i swymi, którzy doń mówią »panie«. Obie dziewczyny modnie ustrojone muszą się wydać wysoko, zwłaszcza młodsza, piękniejsza. John nie dzieli tych marzeń, ale zbyt często swe osamotnienie odczuwa. I znów patrzy na katolickiego księdza, który życie swe spędził na misyach daleko, a obecnie tu w górach, z przyzwoitszym niż poprzednik pieskiem wesoło się uwija. Zapytany zaś, czy nigdy nie zapragnął domowego ogniska przytacza odpowiedź jednego ze swych kolegów szkolnych, wybierającego się do wojska: »Nie chcę aby kto płakał, gdy pójdę się bić«. I on też żołnierz choć z pod innej chorągwi, i jemu byłoby zbyt ciężko nosić podwójne jarzmo, a tak, nikt nie płacze, gdy on idzie się bić! — John znowu wzdycha: »Szczęśliwy!« i czeka. Tymczasem w rodzinie jego odbywa się dramat: młodsza córka odmawia bogatego pana dlatego, że ku zgorszeniu rodzeństwa, zakochała się w ubogim kuzynie; syn odmówiony przez młodą dziedziczkę z sąsiedztwa, wyjeżdża na nową posadę, starsza córka wychodzi dla pozycyi i pieniędzy za człowieka, którego nie kocha i nie szanuje — słowem pastor zostaje sam. I wtedy przychodzi do księdza Grey mówiąc, że odzyskał swobodę... Czytelnik domyśla się łatwo, że chce zostać katolikiem i księdzem. Teza bardzo piękna; pytanie tylko, czy trochę nie ginie wśród miłosnych przygód młodszych bohaterów powieści. Pytanie też, czy przeciwnicy celibatu nie powiedzą, że to nie sam fakt małżeństwa, ale brak potrzebnych zalet u żony pastora winien był wszystkiemu złemu. Argument byłby

bez porównania silniejszym, gdyby p. Gerard przedstawiła kobietę ze wszech miar dobrą, a zło wynikające tylko ze sprzeczności dwóch obowiązków. Taka jak jest wszakże powieść, może być zaliczoną do dobrych i pięknych, tak gwoli myśli jak i malowniczości obrazów.

T. Wodzicka.

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

Kwestya społeczna. Przyczynek do zrozumienia jej istoty i rozwiązania jej. *Ks. Biederlack T. J.*, profesor Uniwers. Gregoryańskiego w Rzymie. Z siódmego wydania niemieckiego przełożył za zezwoleniem autora dr. T. Rzymski. Poznań 1908.

Prawdziwą zasługę zyskał tłumacz przez przyswojenie naszemu językowi tego dzieła. Piśmiennictwo nasze w tej materyi, a mówimy tu o pracach poważnych, bardzo ubogie: bodaj, czy mamy dzieło, któreby w całości wszechstronnie omawiało tę sprawę, tak aktualną a trudną.

Zwykle omawiając dzieło tłumaczone, pisze się o wierności i piękności tłumaczenia, o stronie zewnętrznej, formalnej. Tu jednak niepodobna piszącemu oprzeć się pokusie, by odstępując od tego zwyczaju, pominąć kwestyę formy, a natomiast zapoznać czytelników choćby w kilku ogólnych rzutach z treścią tłumaczonego dzieła.

Na początku zastanawia się autor nad pojęciem kwestyi społecznej. Wedle jego określenia jest to całość zagadnień o istocie dzisiejszych braków społecznych i gospodarczych, o ich przyczynach i środkach zaradczych; niewłaściwie uważają ją niektórzy za identyczną z pytaniem, jak należy zwalczać socyalną demokracyę. Istniała ona dawniej, niż socyalna demokracya. Tylko z powstaniem tej doktryny wzmogła jej doniosłość i aktualność.

Dzieło swe dzieli autor na dwie części. W pierwszej buduje chrześcijańską naukę o gospodarstwie społecznem. By dojść do niego, obala naprzód w obszernej analizie zakorzenione poglądy ekonomiczne teoryi liberalnej i walczące o prawo bytu doktryny socyalnej demokracyi. Przechodząc do skreślenia chrześcijańskiej nauki ekonomicznej, opiera ją autor na prawie moralnem, na nauce Boskiej o miłości bliźniego. Kwestya społeczna bez pomocy etyki nie da się rozwiązać. Nauka o wolnej konkurencyi, o prawie podaży i popytu, — wszelkie wogóle formy liberalizmu zaostrzają kwestyę społeczną, prowadzą do wyzysku słabszych przez silniejszych, rodzą *bellum omnium contra omnia*.

Tę samą podstawę stawia autor przy rozwiązywaniu poszczególnych zagadnień kwestyi społecznej: sprawy agrarnej, robotniczej, rzemieślniczej, handlowej i kobiecej. Tylko z pomocą nauki Chrystusowej, etyki katolickiej zdołamy dotrzeć i ująć właściwe jądro kwestyi społecznej i jej rozlicznych zagadnień, oraz dążyć do jej prawdziwego rozwiązania. Jak to uczynić, wykazał wielki papież w encyklice *Rerum novarum*, wykazuje bardzo gruntownie ks. Biederlack. To też możemy zakończyć, polecając gorąco tym, których rany jątrzące się społeczeństwa obchodzą, którzy

pracują nad ich uleczeniem, by zapoznali się z omówionem dziełem, nie tylko je przerzucili lecz zgłębili i pytania tam poruszone przemyśleli.

A.

Słowiańskie powieści i podania ludowe z licznemi illustracyami. Poznań 1908.

W pracy tej, która wedle zapowiedzi w przedmowie stanowi część większej całości, zebrał bezimienny autor podania ludowe Czechów. Morawian, Słowaków i Łużyczan. Zbiór ten nie jest prawdopodobnie wyczerpujący, zawiera jednak bardzo wiele opowieści, częściowo ogólnie znanych, częściowo w naszem społeczeństwie nie rozpowszechnionych. W każdym razie zbiór tego rodzaju może być dobrą podstawą dla badacza kultury słowiańskiej, a i dla ogółu przeczytanie pisanych nieraz podań przedstawiać może wielki pożytek i budzić zainteresowanie.

B.

Żydzi i masoni we wspólnej pracy. *F. Eger.* Warszawa 1908.

Autorka, znana ze swych badań nad masoneryą, kreśli nam w książce, którą mamy przed sobą, ścisłą łączność tej organizacyi z Żydami, a nawet zależność zupełną masoneryi od organizacyi żydowskiej.

Zaczyna od skreślenia charakteru i cech charakterystycznych narodu żydowskiego; przedstawia historyę powstania i znamienia nauk Talmudu, organizacyę Żydów w kahałach. Dalej na obrzędach masońskich wykazuje ich genezę od Żydów.

Na tem kończy część pierwszą.

W części drugiej opowiada naprzód historyę Żydów, ich prześladowanie, które skończyło się w czasie rewolucyi francuskiej. Od r. 1791 zaczyna się era rozkwitu wpływu narodu żydowskiego. Ustawa uchwalona w tym roku zrównała ich z innymi obywatelami Francyi. Odtąd zyskują łącznie z masoneryą coraz większy wpływ, we Francyi stali się już wszechwładni, a inne kraje mają w ręku przez wpływ swego złota i prasy. Wszędzie zaś są żywiołem destrukcyjnym, działając, gdzie potrzeba, również przez zostającą pod ich wpływem socyalną demokracyę, anarchistów i nihilistów.

L.

Poeci angielscy. Wybór poezyi. W przekładzie Jana Kasprowicza. Lwów 1907.

W pięknym przekładzie sławnego naszego poety, mamy zebrane utwory kilkunastu poetów angielskich, zacząwszy od Chamera (XIV wiek) aż do Yeats'a. Są tu choćby kilku wierszami reprezentowane najsławniejsze nazwiska poezyi angielskiej. A przekład jest prawdziwie artystyczny nie tylko tłumaczy słowa ale i oddaje myśl utworów w szacie szczerej poezyi. Wybitna jednak i bardzo wyrazista indywidualność tłumacza z trudnością nagina się do wszystkich odcieni formy i ducha tłumaczonych autorów, stąd też nie wszędzie udało mu się może dostroić się do indywidualności poety tłumaczonego i oddać ją z całą subtelną wiernością nastrój i ducha.

Dr. A. B.

Duch sodalicyjny. Fragmenta z konferencyi rekollekcyjnych Sodalicyi Maryańskiej panów we Lwowie (z częścią dodatkową). *Ks. Alfred Wróblewski.* Lwów 1908.

Pod sztandar. *Adam Konopka.* Lwów 1908.

Obie te broszurki jeden mają przedmiot i dlatego połączyliśmy je do wspólnego omówienia.

W pierwszej znany kaznodzieja po-

daje wyjątki ze swych nauk rekolekcyjnych, dając wskazówki, jak sodalis winien wyrabiać w sobie ducha sodalicyjnego, jak ma nad sobą pracować, jakie ma obowiązki. W części dodatkowej umieszcza ks. Wróblewski wyjątki ze swych dawniejszych prac, odnoszące się do tego przedmiotu. I tak jeden fragment podaje, czem jest sodalicya, drugi, gdzie i jak należy zakładać sodalicye, wreszcie trzeci przytacza najważniejsze wyjątki z ustaw Sodalicyi dla młodzieży akademickiej we Lwowie. Kończy modlitwą, ułożoną przez ks. Wróblewskiego, a odmawianą przed posiedzeniem sekcyi miłosierdzia Sodalicyi panów we Lwowie.

Pan Konopka omawia, co to są Sodalicye, poco się je zakłada, dlaczego będziemy sodalisami i jak zakładać sodalicye.

Z.

Rozdział Kościoła od Państwa we Francyi. *Ks. Władysław Kochowski.* Rzecz odczytana w lwowskiej Sodalicyi panów dnia 4 lutego 1906. Lwów 1907.

W pierwszej części przedstawia prelegent pokrótce teoryę rozdziału Kościoła od państwa i wykazuje fałsz tej doktryny. W drugiej części kreśli znane nam dobrze bolesne dzieje przeprowadzenia tego rozdziału we Francyi i stanowisko Kościoła wobec niego.

Z.

O kilku sprawach artystycznych tyczących się Krakowa. Napisał *Herman Gutman.* Kraków 1908.

Rzecz o radzie artystycznej miasta Krakowa. Rada miejska wypaczyła myśl Wyspiańskiego, złożyła radę artystyczną nieodpowiednią.

Winna ona być złożona z trzech tylko członków, mających kwalifikacye artystyczne, wybranych po jednym przez Akademię sztuk pięknych, przez Izbę budowniczych i Radę miasta. Ma być wyposażona w głos stanowczy co do fasad domów, projektów nowych budynków, ulic, placów i t. p. Bardzo też byłaby na czasie inicyatywa co do ograniczenia wysokości domów, sprawa niedokładnie uregulowana w ustawach budowlanych. Wreszcie żąda, by osobna komisya dawała aprobatę na szyldy, napisy reklamowe, gablotki i t. p., by one nie obrażały uczuć estetycznych.

B.

Kościół a cywilizacya. Odczyt wygłoszony na uroczystym wieczorze ku uczczeniu jubileuszu Ojca ś. Piusa X w Tarnowie dnia 31 marca 1908 r. przez *M. Paciorkiewicza.* Tarnów 1908.

Prelegent wykazuje, że wiara nasza była źródłem natchnień artystów, a Kościół nie tylko nie utrudniał, lecz owszem popierał cywilizacyę, że myśl katolicka rodzi prawdziwą sztukę i prawdziwą naukę. Nastrój odczytu podniosły. Rzecz nad zwykłą miarę.

R.

Edyp w Kolonie. *Sofokles.* Tragedya. Przekład K. Kaszewskiego, opracował prof. dr. Adolf Bednarowski. Arcydzieła polskich i obcych pisarzy. Tom 62. Brody 1908.

Tak pożytecznego wydawnictwa mamy przed sobą 62 tom.

Wedle szablonu przyjętego w wydaniach Feliksa Westa, mamy naprzód wstęp, omawiający dokładnie początek i rozwój tragedyi greckiej, teatr grecki i układ tragedyi, życie i dzieła Sofoklesa, genezę »Edypa w Kolonie«, układ tej tragedyi i charakterystykę osób, pogląd ogólny na tę tragedyę i jej dotychczasowe przekłady.

Sam tekst podany jest w najle-

pszym z istniejących przekładzie K. Kaszewskiego. Kończą objaśnienia rzeczowe.

D.

Odbudowa starego ratusza. Pomnik Kościuszki na Rynku krakowskim. *Ludwik Stasiak — Włodzimierz Tetmajer.* Kraków 1908

Pierwszy artykuł p. Stasiaka poddaje surowej krytyce zapatrywania wygłoszone w artykule *Czasu,* że pomnik Kościuszki ze względów estetycznych nie może stanąć na Rynku krakowskim, gdyż nie harmonizowałby z otoczeniem. Pan Stasiak zwalczając te zapatrywania, wykazuje, że niema przeszkód estetycznych, sam zaś pietyzm dla Kościuszki wymaga, by jego pomnik stanął na Rynku, na którym składał pamiętną przysięgę.

Pan Tetmajer popiera również myśl wystawienia pomnika Kościuszki na Rynku. Nie symetrycznie u wylotu Sukiennic, lecz obok miejsca, na którem znajduje się kamień pamiątkowy. Jako tło należałoby odbudować stary ratusz. Ratusz ten miałby służyć na pomieszczenie Muzeum polskiej niewoli. A więc w obrazach, pamiątkach, dokumentach, zestawieniach statystycznych należałoby w niem przedstawić dzieje porozbiorowe.

D.

Podstawy narodu w rodzinie. Szkic społeczno-obyczajowy. *Bogdan Krzysztofowicz (Prawdzic).* Lwów 1908.

Najważniejsze i najszczytniejsze zadanie rodziny wyrobić jak najliczniejszą rasę jednostek dzielniejszych, wykształceńszych i mężniejszych od ras innych narodów.

Należy przedewszystkiem stworzyć atmosferę, w której mogłyby się rozwijać szlachetne charaktery. Ta ciepła atmosfera tworzy się przez wskazanie idei życia, którą winna być obok religii i idea narodowa. Węzeł rodzinny winien być trwały, nie zrywać się z chwilą, gdy dzieci idą same w świat.

Rodzina ma wytworzyć przyszłą siłę narodu. Wytworzy ją przez zaszczepienie w dzieciach pierwiastków altruistycznych i gdy je nauczy kochać i czcić Polskę. Dalej ma wyrobić w dzieciach silną wolę, energię, moralność, poszanowanie pracy, poczucie obowiązku, karność. A tak wyrobione warstwy intelligentne mogą dopiero iść między lud i tam pracować szerząc oświatę i dobrobyt, a z niemi ideę narodową.

R.

Pruski kulturträger z końca XVIII wieku. Napisał *dr. K. Szkaradek-Krotoski.* Odbitka z *Dziennika Poznańskiego.* Poznań 1907.

Kreśli tu autor sylwetkę radcy wojennego Triebenfelda. Przedstawia nam obrazy deprawacyi moralnej, bogacenie się przez Triebenfelda w sposób najnieuczciwszy na rozdawnictwie dóbr nabytych przez aneksyę majątków zakonnych i Korony polskiej. Materyał podany przez autora obciąża nie tylko samego Triebenfelda, lecz i ministra Hoyna i innych wysokich dostojników pruskich.

Z.

Jasełka historyczne. *Kazimierz Laskowski (El).* Wydawnictwo *Dziennika Powszechnego.* Warsz. 1907.

Na tle znaczenia Narodzin Chrystusa Pana przesuwają się postaci historyczne: św. Stanisław, Piast, Kazimierz Wielki, królowa Jadwiga, Jagiełło, Zygmunt August, Barbara, Zamojski, Czarnecki, ks. Kordecki, Sobieski, Mickiewicz, Jachowicz, Ordon, ułan, czwartak.

Jasełka te mogą być pouczające, jako lekcya poglądowa historyi, lecz wartość ich poetycka jest bardzo wątpliwa. Tyrady, jakie jawiące się postaci wygłaszają, przypominają śpiewy historyczne Niemcewicza, nie celują ani poetycznością ani głębią myśli.

R.

O wychowaniu dzieci. Rodzicom iście chrześcijańskim poświęca *ks. I. B. Szafnicki.* Kalisz 1908.

W krótkich słowach przedstawia naprzód autor znaczenie prawdziwie chrześcijańskiej rodziny dla państwa i Kościoła. Dalej podaje jak rodzice mają się przygotować na przyjście dziecka na świat, jakie mają obowiązki po urodzeniu dziecka i po jego chrzcie. Po ochrzczeniu dziecka mają dbać o duszę i o ciało dziecka.

Winni przedewszystkiem rozwijać rozum nauczaniem, nakłaniać wolę do dobrego i świecić sami dobrym przykładem i rozniecać w nich miłość Boga i bliźniego.

R.

O rozwodach. *Ks. Władysław Kochowski.* Odbitka z *Echa Przemyskiego.* Przemyśl 1907.

Bardzo na czasie przy obecnym ruchu rozwodowym jest przytoczona praca. Omawia w niej autor naukę Kościoła o małżeństwie, o jego unieważnieniu, rozwodzie, zwalcza zarzuty zwolenników rozwodu. Walczy argumentami wziętymi nie tylko z nauki Kościoła, lecz co się szczególnie zaleca, z życia i stosunków społecznych.

A. B.

Über musikalische Kultur. Von *Dr. Georg Göhler.* Leipzig 1908. Druck und Verlag von Breitkopf & Härtel. 8-ka, str. 48.

Broszurka napisana ze znajomością stosunków muzycznych w Niemczech i z temperamentem pełnym oburzenia na liczne złe strony tychże. Jakkolwiek subjektywizm autora (ubocznie mówiąc: kapelmistrza) idzie nieraz zbyt daleko, a stosunek jego do wybitnych muzyków nie jest dość jasny, to jednak znajdziemy w jego rozprawie wiele uwag dotyczących muzycznego kształcenia ogółu, które i u nas możnaby z pożytkiem wielkim przeczytać.

A. Ch.

Illustrierte Musikgeschichte von Emil Naumann. Vollständig neubearbeitet von Eugen Schmitz. Zweite Auflage. Union, Deutsche Verlagsgesellschaft in Stuttgart, Berlin, Leipzig. 1908. 8-ka, str. VIII, 810.

Z niemieckich podręczników obszernych, przeznaczonych dla ogółu, jest to bezwątpienia najlepszy, gdyż opracowany przez fachowego historyka muzyki. Dr. Schmitz właściwie napisał na nowo podręcznik pierwotnie pochodzący od Naumanna i wzbogacił go wszelkiemi naukowemi badaniami uprzystępniając je dla miłośników historyi muzyki. Jest to praca bardzo sumienna, barwnie i interesująco napisana, doprowadzona do najnowszych czasów. Epoka klasycznej muzyki kościelnej jest uwzględniona bardzo szczegółowo, zajmuje niemal trzecią część dzieła, które można gorąco polecić.

A. Ch.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Polska delegacya u Papieża

Znamiennym objawem naszego stosunku do Rzymu są nie tylko z większą lub mniejszą okazałością na całym obszarze ziem polskich urządzane, na krocie liczące się, wieczorki ku uczczeniu jubileuszu Ojca św., ale przedewszystkiem z inicyatywy sejmu zorganizowana delegacya, która pod przewodnictwem arcypasterzy: Bilczewskiego, Teodorowicza, Pelczara i marszałka kraju, hr. Badeniego, niosła papieżowi w hołdzie życzenia, jego, bez przesady powiedzieć to można, najwierniejszych dzieci. Jest istotnie znamiennem samo zorganizowanie takiej delegacyi; wskazuje ono na zrozumienie dzisiejszego położenia.

»W dziejach naszych — pisze *Dziennik Polski* — jak złota nić wije się przez mozajkę wieków ścisła łączność sprawy narodowej ze sprawą wiary. Ona to łącząc nas cywilizacyjnie i kulturalnie z Zachodem, stała się nam ostoją w chwilach najcięższych i najboleśniejszych. Jak arka Noego na falach potopu, unosiła się ongi świątynia Jasnogórska, streszczając w sobie życie i nadzieje całego narodu, a w następstwie stała się źródłem odrodzenia kraju, i odtąd w każdej ciężkiej chwili naszego narodowego i politycznego życia, zwracaliśmy się z ufnością do tego źródła i odchodzili wzmocnieni.

Kiedy utraciliśmy byt polityczny, jeszcze lepiej zrozumieliśmy znaczenie i potęgę wiary ojców dla naszej przyszłości. Wrogowie nasi zrozumieli to także, i dlatego z całą siłą rzucili się na zgubienie tej wiary, wiedząc, że wraz z nią odbiorą nam największą część naszej siły. Prawosławie w Rosyi a protestantyzm w Niemczech nie walczyły z Kościołem tylko dlatego, ażeby zyskać wyznawców — walka ta była podjęta w imię zagłady narodowej.

I dlatego stosunek nasz do Rzymu zacieśnił się jeszcze, zwłaszcza, gdy w papieżach, począwszy od Piusa IX, mieliśmy najgorętszych orędowników naszej sprawy.

I w tym roku, w roku jubileuszu kapłańskiego Ojca św., reprezentacya nasza złożyła hołd najwyższemu kapłanowi przez usta biskupów i przedstawicieli Sejmu — a słowa, które wyrzekł Namiestnik Chrystusa, na długo będą dla nas źródłem pociechy i siły«.

Nie zawsze jednak i nie wszyscy rozumieli w równej mierze znaczenie wiary i Rzymu dla naszej narodowości. Były w ostatnich dziesiątkach lat chwile, które zdawały się co innego mówić. Kiedy w r. 1869 obchodzono jubileusz Piusa IX, złożyło się na delegacyę polską do Rzymu czterech ludzi: ksiądz arcybiskup Morawski, dwóch hrabiów Wodzickich i Stanisław Małachowski — trzej ostatni bawili w Wiecznem Mieście tylko przygodnie. Różnica wpada w oczy i mówi, że mimo wszystkich błędów i braków, pocieszający zwrot nastąpił w naszych poglądach i zapatrywaniach na najżywotniejszą kwestyę naszego bytu narodowego.

To zrozumienie cechowało także odczytany przez marszałka kraju, hr. Badeniego, polski adres i to jest również znamiennem.

»Wszystkich narodów oczy i oblicza zwracają się znów w stronę Rzymu, gdzie Namiestnik Chrystusowy, Pasterz i Nauczyciel wiernych, obchodzi półwiekową, szczęśliwą rocznicę swojego kapłaństwa. Z niezwyciężoną zaiste stałością i podziwienia godną cierpliwością przepędziłeś ten wielki okres życia doczesnego, pomnażając chwałę Bożą i troszcząc się o zbawienie dusz. Dlatego raduje się dziś świątecznie cały świat chrześcijański, składając ci, Ojcze najlepszy, serdeczne życzenia z wyrazem synowskiej miłości i czci najwyższej.

Od kilku zaledwie lat, Ojcze święty, rządzisz chrześcijaństwem, a już przy Bożej łasce i miłosierdziu tyle dobrodziejstw spłynęło na synów Twoich, iż zaprawdę prawie tylko tego nam się lękać, czy potrafimy godnie uczcić zasługi i owoce niezmierne Twych encyklik i dekretów. Płomień prawdziwie Boski z nich tryska, a tego tylko Mistrzu nieomylny pragniesz, aby ogień przez Cię wzniecony inną pożogę bezbożną i niegodziwą na całym świecie zwyciężył: nienawiść piekielną przez wyznawców przewrotu podsycaną w tym celu, by zburzyć ład religijny i moralny i na same nawet rzucić się podwaliny życia ludzkiego. Encyklika Twa *Acerbo nimis* szeroki i daleki znalazła oddźwięk i porwała wielu do obmyślenia nowych sposobów i środków wychowania młodzieży według nauki religii, względnie wprowadzenia takiego wychowania tam, gdzie na niem zbywało.

Zaledwie wypowiedziałeś życzenie, a ono doszło do wiadomości wiernych, aby Najśw. Eucharystya była na prawdę codziennym pokarmem dusz ludzkich, już wierni zaczęli coraz częściej przystępować do Stołu Pańskiego. Niemniej nie łudzimy się, owszem ufamy silnie, że przesławna encyklika Twoja *Pascendi*, błędną potępiająca naukę, przy Boga najlepszego pomocy, stanie się mocnym fundamentem i skuteczną pomocą dla prawdziwego postępu w nauce i dla jej wzrostu.

A my Polacy własne i osobliwe mamy powody, by Ci dziękować. Ile razy mieliśmy szczęście, czy to pojedynczo, czy w większej liczbie znaleźć się u stóp Twoich, z taką miłością i uprzejmością zawsze nas przyjmowałeś, że potem na wargi nasze radosne cisnęły się słowa uczniów idących niegdyś do Emaus: ‚Czyż serce nasze nie pałało w nas miłością, kiedy mówił?' Tą samą miłością i troską o nasze wieczne zbawienie i doczesne dobro, tchną wszystkie pisma i dekrety, które w różnych chwilach wysyłałeś do biskupów naszej ojczyzny.

A przeto za to każde wyświadczone nam dobro, do stóp Twoich przypadamy i w jubileuszu Twoim dar taki Ci składamy: przyrzekamy uroczyście, że wszyscy, kapłani i świeccy, wszystkie wytężymy siły, by naród na zawsze całą i nieskażoną wiarę przechował. Tego tylko uczyć będziemy, co Ty uczysz, to potępiać,

co Ty potępiasz i odrzucasz; a że to uczynimy, całem sercem przyrzekamy, ślubujemy. Jak Twojem hasłem jest szukać ucieczki w Chrystusie, tak naszą jedyną nadzieją jest i będzie Bóg i Jezus Chrystus, Syn Jego.

Te wynurzenia posłuszeństwa, miłości, wierności dla Ciebie składają Ci biskupi, kapłani, wierni wszystkich stanów naszej ojczyzny. Kornie Cię prosimy, błogosław nam, błogosław braci naszej, Ojcze święty«.

Głęboką ufnością i otuchą musi natchnąć odpowiedź Ojca św.:

»Niech wam nie będzie dziwnem, że ile razy mam przemawiać do Polski, pełen jestem współczucia, a zarazem miłości i czci. Te uczucia moje ku wam wywołuje wiara mocna, wierność i miłość synowska, jaką naród polski dla Stolicy apostolskiej zawsze objawiał. Co do waszej miłości, jaką z powodu mojego jubileuszu kapłańskiego okazaliście, składając mi wasze hołdy i życzenia, mogę powiedzieć, że one potęgują wdzięczność moją dla Polski. Ojcowie wasi, synowie Polski, odznaczali się zawsze wiernością dla wiary katolickiej i bronili jej w czasach minionych orężem tak, jak wy teraz bronicie jej sercami waszemi; oni też dodawali tej wierze blasku cnotami swojemi, posuwającemi się aż do szczytów świętości, jaką podziwiamy u Świętych polskich a waszych współziomków, których wszyscy wraz z całym światem katolickim wzywamy i czcimy na ołtarzach.

Dziś dajecie nowy dowód waszych uczuć, a przez to okazujecie się godnymi dziedzicami ojców waszych, przychodząc tu, do Rzymu, ażeby mi złożyć życzenia jubileuszowe i wyznać publicznie, że będziecie zawsze słuchać słów Namiestnika Chrystusowego i według nich postępować.

Dziękuję wam za tę pociechę i proszę Pana, ażeby wam za nią obficie nagrodził.

Zapewniam was, że jesteście szczególnie drogimi sercu mojemu ojcowskiemu. Starajcie się, aby wiara zawsze była żywa w duszach waszych i by wam nigdy nie brakło męstwa na drodze życia.

W szczególny sposób składam dzięki Sejmowi królestwa Ga-

licyi, iż na mocy jednomyślnej uchwały przysłał mi życzenia jubileuszowe, które ja wysoko sobie cenię.

Niech za to Pan zeszle najobfitsze łaski i dary na kraj cały, niechże błogosławieństwo moje spłynie na Jego Eminencyę kardynała biskupa krakowskiego i na arcybiskupów i biskupów wszystkich obrządków, na całe duchowieństwo, na szlachtę, starającą się dochować wierności dla tradycyi ojców swoich, na obywateli, włościan i na wszystkie stany, zgodą zespolone, na bogatych i ubogich, na wszystek lud, który gorącem ogarniam sercem, ażeby wśród niego była miłość, harmonia, jedność i zgoda, jako rękojmia chwały i szczęścia Polski. Błogosławieństwo moje niech zstąpi również na rodziny wasze, by w nich królował pokój wielki, na rodziców, by obowiązki swoje święcie spełniali i na dzieci, by rodzicom czci i posłuszeństwa dochowały.

Wróciwszy do Polski, oświadczcie wszystkim braciom waszym, że papież chowa ich w sercu swojem, że wszystkim Polakom z całej duszy błogosławi, uznając z głębokiem uczuciem ich silne przywiązanie do wiary. Opowiadajcie im o szczególnej papieża ku nim miłości i o zachęcie, by za przykładem ojców w obronie wiary wytrwali«.

Rozumiemy to dobrze, że nasi wrogowie z tej postawy narodu i z tej odpowiedzi papieża nie będą zadowoleni. Nie łudzimy się też, że i radykalne elementy w naszem łonie nie bardzo tem wszystkiem będą zbudowane, — wykazał to występ polskiego socyalisty w krakowskiej Radzie miejskiej, — jedno, zdaje się, śmiało możemy twierdzić, to, że ponad wszystkie życzenia, jakie w tych miesiącach z całego świata do Watykanu napływały, życzenia polskie będą dla Ojca św. darem najdroższym a jego słowa do polskiej delegacyi wyrzeczone, cenną dla nas pamiątką.

Z wyborów do sejmu Dolno-Austryackiego

Prawdziwym, dla wielu, mimo że od dawna do tryumfów stronnictwa chrześcijańsko-społecznego przywykliśmy, nieoczekiwanym i w tej mierze niespodziewanym tryumfem, były wybory do Dolno-Austryackiego Sejmu z 26 października i 5 listopada. Odbyły się one na podstawie nowego powszechnego i tajnego prawa wyborczego, które nakłada obo-

wiązek udziału we wyborach i udziela głosu każdemu wyborcy, zamieszkałemu trzy lata w danej miejscowości. Wybory były walnem zwycięstwem obozu chrześcijańsko-społecznego, gdyż na 127 mandatów sejmowych otrzymał on 93 a więc trzy czwarte większości, podczas gdy w dawniejszym Sejmie posiadał większości nie całe dwie trzecie.

Przy wyborach np. 5 listopada chodziło o 31 mandatów wiejskich a 15 z miast i miejscowości przemysłowych. Wszystkie mandaty wiejskie zdobyli chrześcijańsko-społeczni i to taką większością, że na 92.972 oddanych głosów skupili na swoich kandydatów 79.531. Z piętnastu mandatów miejskich dostało się stronnictwu Luegera dziesięć, dwa kandydatom kompromisowym a tylko trzy wolnomyślnym Niemcom, którzy mimo poparcia socyalistów, z 22.804 oddanych głosów otrzymali jedynie 9.992.

Tym sposobem przemieniły się wybory w wielką klęskę wolnomyślnych. Nie tylko bowiem utracili przy drugich wyborach w kuryach miejskich pięć mandatów, ale widzieli nawet klęskę swego wodza, d-ra Weindenhoffera, który uległ chrześcijańsko-socyalnemu Aksmannowi. Klęska ta jest tem większą, że okręgi wyborcze zostały w myśl kompromisu według życzeń i planów wolnomyślnych ułożone i że chrześcijańsko-społeczni ofiarowali dla miłej zgody i dla osłabienia wpływu socyalistów wolnomyślnym ośm mandatów. Tego było im za mało — w następstwie zadowolnić się muszą trzema głosami.

Nie najlepiej wyszli też na wyborach socyaliści. Zabrano im okręgi, w których przy ostatnich wyborach do parlamentu i do rad gminnych niepodzielnie prawie panowali, zmniejszono o wiele liczbę głosów w innych miejscowościach a ostatecznie z 58 mandatów, o które się ubiegali, otrzymali tylko sześć.

Ogólny skład Sejmu Dolno-Austryackiego przedstawia się dzisiaj następująco: 93 chrześcijańsko-społecznych, 2 niemiecko-narodowych lecz kompromisowych, 3 wolnomyślnych, 6 socyalistów, 4 liberałów (z rektorem uniwersytetu, wirylistą 5), 12 konstytucyjnych, 4 konserwatywnych, 2 książąt kościelnych (wirylistów).

Wynik wyborów wskazuje na prawdziwie pocieszający fakt zmiany poglądów i zapatrywań ze strony wyborców, a również

i na to, że umieją oni ocenić to, co stronnictwo d-ra Luegera dla kraju zrobiło, a zrobiło bardzo wiele.

Z Ameryki

Dziwny list, rzucający ciekawe światło na stosunki amerykańskie, ogłosił przed niedawnym czasem w gazetach amerykańskich prezydent Roosevelt.

W Ameryce, w której już dawno przeprowadzono rozdział Kościoła od państwa, w znaczeniu jednak uczciwszem, jak np. we Francyi, niewiele konsekwentnie zajmują się w życiu publicznem kwestyami religijnemi, a już rzadko się zdarzy, żeby ktoś mieszał się do religijnych przekonań osobistości, zajmujących wysokie stanowiska publiczne lub do nich aspirujących. Taki rzadki wypadek zaszedł z okazyi kandydatury a później wyboru Tafta na prezydenta Stanów.

Taft należy do sekty Unitaryuszów, nie przyjmującej między innemi Bóstwa Chrystusowego, a jego żona i bracia — taką przynajmniej rozpowszechniono pogłoskę — mieli być katolikami. To spowodowało niejakiego Martina z Dayton w Ohio, że napisał do Roosevelta list, w którym utrzymuje, iż wielu wyborców nie zechce głosować na człowieka, który sam jest niewierzący a którego żona i bracia zaliczają się nadto do katolików.

Na ten list odpowiedział Roosevelt publicznie i z tej odpowiedzi wyjmujemy charakterystyczny ustęp:

»Co się tyczy pańskich zarzutów przeciwko Taftowi, jakoby jego żona i bracia byli katolikami, są one nieprawdziwe. Gdyby jednak były prawdziwe i gdyby on sam nawet był katolikiem, nie powinno to wywrzeć najmniejszego wpływu na jego wybór na prezydenta. Twierdzisz pan, że szerokie masy niekatolickich wyborców nie oddałyby głosów swoich katolikowi, ubiegającemu się o jakikolwiek urząd, a cóż dopiero o godność prezydenta! Zdaje mi się, że oczerniasz pan swoich współobywateli. Nie przypuszczam ani na chwilę, żeby ogół naszych obywateli a choćby tylko jakaś znaczniejsza ich część, była opanowaną przez tak ciasną bigoteryę i nie głosowała na człowieka prawego i odpowiedniego, dlatego tylko, że jest on członkiem tego a nie innego

wyznania. Taki wzgląd nie powinien nikogo do tego skłaniać, by jednego kandydata popierał a drugiemu trudności robił«...

Ustęp ten z listu amerykańskiego prezydenta jest ważny, nie tylko jako osobisty pogląd najwyższego w kraju urzędnika, ale zarazem jako świadectwo, że zasady w nim rozwinięte, przeważają z rzadkimi wyjątkami w publicznem życiu Ameryki. Gorzka to nauka dla różnych rządów europejskich a także i dla różnych europejskich społeczeństw, które rzucają gromy potępienia dla tego tylko, że ktoś jest wierzącym katolikiem a tem samem paryasem narodów czy też danego społeczeństwa. Warto, aby nasze obozy postępowe ten list wzięły sobie do serca — niejedno zapatrywanie wtedyby się zmieniło.

Nic też dziwnego, że w takich warunkach, Kościół katolicki nie doznaje w swym rozwoju tych trudności, z jakiemi spotyka się na każdym kroku w Europie; a tyczy się to także Kościoła polskiego w Ameryce. Mianowanie tak zacnego i prawego kapłana, jakim jest ks. Rhode, biskupem-sufraganem polskim, każe przypuszczać, że dla naszych braci za Oceanem zbliża się chwila, w której ich marzenia i życzenia, spełnione dotychczas tylko częściowo, w zupełności zostaną spełnione. Dziś już dochodzą stamtąd wieści o radości z polskiego biskupa, o entuzyazmie, jaki jego wizyty pasterskie wywołują, o powrocie zbłąkanych dusz do jednego Kościoła; ufać wolno, że niezadługo wszyscy się skupią — pierwszy krok już uczyniony.

Ze stosunków włoskich

Ostatnie dni przyniosły dla wielu dość niespodziewane rozporządzenie Stolicy Apostolskiej w kwestyi udziału katolików włoskich w wyborach do parlamentu. Watykan postanowił mianowicie i na przyszłość stanowczo podtrzymywać zasadę *non expedit*, ponieważ cofnięcie tej zasady mogłoby za granicą być uważane, jako pogodzenie się papieża z aktualnym stanem rzeczy — i postanowił dalej niedopuścić do utworzenia się stronnictwa katolickiego w parlamencie włoskim, gdyż utrudniłoby ono stanowisko Ojca św., a jego następstwem byłoby powstanie bloku antykatolickiego.

Co spowodowało to rozporządzenie? Związek *Unione elet-*

torale cattolica italiana rozesłał ze względu na zbliżające się wybory do pojedynczych z nim złączonych organizacyi cyrkularz, w którym wzywa do rozpoczęcia przygotowań do przyszłych wyborów. Przypomina wprawdzie, że trzeba przytem stać na stanowisku encykliki *Il fermo proposito*, która ogólnie na udział w wyborach nie pozwala, lecz zaznacza równocześnie, że sama encyklika w pojedynczych i wyjątkowych wypadkach, gdzie przedewszystkiem chodzi o obronę zagrożonego przez anarchię społeczeństwa, udziałowi katolików w wyborach nie przeszkadza. Gazety przyznały, że ton odezwy jest poprawny, lecz że równocześnie przebija z niej chęć brania w wyborach udziału. To była bezpośrednia przyczyna rozporządzenia Stolicy św. Rzym przypomniał, że katolicy mogą do wyborów przystąpić tylko za zezwoleniem biskupów, a ci muszą się wpierw z Watykanem porozumieć. Pozwolenie zaś takie będzie dopiero wówczas udzielone, gdy w grę wejdzie zwalczanie kandydatów rewolucyjnych, a więc takich, których program zagraża bezpośrednio społeczeństwu i Kościołowi.

Wewnętrzna racya rozporządzenia papieskiego jest, jeśli się nie mylimy, następująca. Na udział katolików w wyborach do rad gminnych i prowincyonalnych Rzym bez trudności się zgodził. Można więc było przypuszczać, że katolicy użyją wszelkich wysiłków, żeby przynajmniej tu swoich kandydatów przeprowadzić. Tymczasem brak jedności, dobrej organizacyi i dziwna jakaś obojętność sprawiły, że katolicy nie tylko nie poprzeprowadzali swoich kandydatów, ale prawie bez walki z pola schodzili. A zdarzyło się to nie tylko raz i nie na jednem tylko miejscu. Wobec tak smutnych doświadczeń, trudno się dziwić, że kurya rzymska na razie niewiele po udziale katolików w wyborach do parlamentu się spodziewa; przeciwnie słusznie lękać się musi, że garstka posłów, którzyby pod hasłami katolickiemi do parlamentu weszli, niewiele tam zrobi, wpływu decydującego nie wywrze, Stolicy św. stanowisko tylko utrudni i do utworzenia formalnego bloku antykatolickiego się przyczyni.

To o katolikach włoskich nie bardzo pochlebnie świadczące zapatrywanie kuryi, jest niestety uzasadnione. Katolicy włoscy,

a niestety! nie tylko oni, łatwo się zapalają, nie potrafią jednak w tym zapale wytrwać, a przedewszystkiem nie potrafią wykorzystać praktycznie zawiązanych już organizacyi, na których pod włoskiem niebem nie zbywa. Dlatego brak tym organizacyom treści, owszem panuje między niemi często pewna konkurencya. Aby to ostatnie uniemożliwić, zawiązano pewien rodzaj kartelu.

Cztery mianowicie główne organizacye włoskie, *Unione Popolare* z Florencyi, *Unione Economica Sociale* z Bergamo, *Unione Elettorale* i *Associazione della Gioventú*, obie z Rzymu, zawarły ze sobą ścisły sojusz — ale też na tem i na ustawach wszystko się skończyło.

W ostatnich wprawdzie tygodniach powstał nowy związek *Lega fra i propagandirsi cattolici d'Italia*, mająca na celu złączyć i związać ściślej ze sobą członków różnych organizacyi, chcących w duchu katolickim pracować, aby im pracę ułatwić i wydatniejszą ją uczynić, — jak jednak ta liga się rozwinie i jakie przyniesie owoce, trudno już dzisiaj o tem przesądzać. Widocznie jednak i Rzym niewiele po wszystkiem oczekuje, jak o tem wyżej omówione rozporządzenie Ojca św. świadczy.

Ks. Wiktor Wiecki.

Z Cerkwi rosyjskiej.

Wzrost baptyzmu. Na zjeździe misyonarskim w Kijowie skonstatowano, że ze wszystkich sekt, szerzących się w Rosyi, najsilniejszą pod względem organizacyi i zarazem najniebezpieczniejszą z powodu swej wojowniczości i prozelityzmu, jest sekta baptystów. Powstała ona ze zlania się kilku odrębnych z początku kierunków: sztundy, grasującej na południu, paszkowszczyny, czyli zwolenników pułkownika Paszkowa, mającego swych zwolenników głównie na północy i dawnego niemieckiego baptyzmu. Powstałe pod wpływem niemieckich kolonistów rosyjskie sekciarstwo, długie lata prześladowane i pozbawione wewnętrznej łączności, ulegające wciąż nowym przeobrażeniom, poczuło po ukazie tolerancyjnym potrzebę ściślejszej organizacyi i wystąpiło z jawną propagandą. W roku 1907 na konferencyi w Petersburgu przedstawiciele rozmaitych »ewangelicznych

gmin«, różniących się nawet co do nauki i zwyczajów, połączyli się w jeden »Wszechrosyjski Związek ewangeliczny«. Dawna sztunda, znana ze swego radykalizmu względem obrzędowości kościelnej (odrzucała nawet chrzest) i z anarchistycznych teoryi, temperuje się coraz bardziej i ulega kierownikom baptyzmu, nie uznającego tylko chrztu dzieci i chrzczącego powtórnie dorosłych swych prozelitów.

Baptyzm szerzą międzyludem rosyjskim specyalni »ewangeliści«, rozsyłani przez sektę po wioskach i miastach w charakterze rzemieślników, kolporterów, robotników. Przychodzi taki »ewangelista« do wsi z ewangelią w ręku i poczyna zbierać lud na czytanie Pisma św. Do tego wybiera ustępy, które w swoim wykładzie może zwrócić przeciwko urzędowemu Kościołowi i tym sposobem odrywa dziesiątki i setki ludzi, którzy często przy tej sposobności dopiero dowiadują się coś o Chrystusie i Odkupieniu i dziwią się sobie, iż dotąd w suchej obrzędowości istotę religii zakładali. Nie zrywając legalnie ze swem wyznaniem, tacy prozelici przestają tylko chodzić do cerkwi, urządzają prywatne domy modlitwy, każda gmina otrzymuje »presbytera«, upoważnionego przez wkładanie rąk. Od czasu do czasu objeżdżają gminy baptystów specyalni misyonarze, nawet przyjezdni z zagranicy. Baptyści posiadają już swoje szkoły dla przygotowania »ewangelistów« podobno w Łodzi i Rewlu z językiem wykładowym rosyjskim, nadto wiele szkół początkowych dla dziatwy i dorosłych analfabetów. Odbywają kursy misyonarskie, nawet dzieci wprawiają w sztukę nawracania »niewierzących«. Wielką usługę oddają im otwierane przez nich przytułki i kasy wzajemnej pomocy. Założyli już cały szereg swoich czasopism, wydali wiele książek i pieśni, posiadają własne księgarnie. W Petersburgu np. taka księgarnia egzystuje tuż pod bokiem katedry św. Izaaka. Zresztą ogniskami propagandy sekciarstwa okazują się i składy Towarzystwa biblijnego. Propaganda baptystów rozciąga się na wszystkie klasy społeczeństwa. Po miastach, gdzie są uniwersytety, organizują się kółka studentów i studentek dla samokształcenia się moralnego. Adepci z początku zwykle nie wiedzą, kto te kółka zakłada i w jakim celu: czytają i wykładają sami Pismo św., zapraszają następnie w tymże celu obcych gości, którzy powoli skierowują całą robotę na swoje tory. Baptyści rosyjscy utrzymują ścisłą łączność z zagranicą i stamtąd odbierają zasiłki w ludziach i pieniądzach. Na odbyty w początku września tego roku w Berlinie międzynarodowy kongres baptystów stawiło się 80 rosyjskich delegatów.

Ten wzrost rosyjskiego protestantyzmu naprowadza katolika na

pewne refleksye. Po ukazie tolerancyjnym przeszły wprawdzie masy do Kościoła katolickiego, ale byli to tacy, którzy i przedtem duszą doń należeli. Właściwych »nawróceń« z prawosławia na katolicyzm jest zbyt mało w porównaniu z sukcesami zdobywanymi przez propagandę sekciarską. Gdzie tego przyczyna? Propaganda jest zarówno zabroniona baptystom, jak i katolikom — czemu jednak oni tylu adeptów znajdują? Naszem zdaniem powodzenie sekciarskiej propagandy ma źródło w ich metodzie i zapale. Katolicyzm i przy największej wolności religijnej nie będzie miał takich zdobyczy, dopóki swą misyjną pracę ograniczy do murów kościelnych. W Rosyi jest pole i dla katolickiej misyi i ta misya, mając za sobą prawdę i błogosławieństwo Boże, napewnoby miała powodzenie. Najlepszym sprzymierzeńcem misyonarza byłby głód duchowny, który zmusza lud rosyjski wyciągać ręce po chleb słowa i z wdzięcznością go od każdego przyjmować. Ale misyonarze muszą wyjść na drogi i opłotki: z kazalnic zejść do chat wieśniaczych, do warstatów rzemieślniczych, pomiędzy maszyny fabryczne. Nieliczne przeciążone pracą duchowieństwo niema na to czasu, a zresztą jego suknia duchowna, jego wysokie położenie w społeczeństwie, a wreszcie przynależność do innej narodowości czyni między nim a owymi zgłodniałymi prawdy — przepaść prawie nie do przebycia. I prawosławie i inne wyznania w Rosyi mogą być spokojne, że ze strony księży nie grożą im wielkie straty. Kościół dopiero wtedy pocznie czynić zawojowania, kiedy wyśle armię apostołów, którzy z zapałem dla sprawy, z krzyżem w ręku rozejdą się po wioskach i przedmieściach, przenikną do chat i warstatów, będą na wzór Pawła św. z robiącymi namioty robić namioty, głosząc przytem słowo Boże i stwierdzając je bogobojnem życiem. Potrzeba nam całego zastępu świeckich katechistów, których oby jaknajrychlej posłał Pan na niwę swoją!

Strach przed Unią. Przed kilku miesiącami współpracownik *Nowego Wremieni* p. A. Stołypin, brat premiera, proponował przywrócenie grecko-katolickiego obrządku w celu powstrzymania polonizacyi nawracających się na katolicyzm Rosyan. Według p. S. tylko Polacy przeszkadzają wznowieniu grecko-katolickiego obrządku. Głos publicysty przebrzmiał bez skutku i nawet bez donośniejszego echa. Tylko niejaki Wołyniec (podejrzywam w nim Antoniusza Wołyńskiego) zabrał w tej sprawie głos na łamach urzędowych *Cerkownych Wiedomostiej*. Twierdzi on, że »unia« nikomu nie potrzebna tylko Polsce, a właściwie polskim panom, marzącym o wskrzeszeniu Polski od morza do morza. Unia to najpotężniejszy środek polonizacyi i latynizacyi (sic!)

rosyjskiego prawosławia; zagraża nawet bodaj czy nie całości państwa rosyjskiego. Biedni Rosyanie! Czy przyjmą unię, czy jej przeszkodzą, w każdym razie narażeni są na polonizacyę i latynizacyę, raz według zapewnienia Wołyńca, drugi raz podług twierdzenia Stołypina. Biedni i Polacy, na których spada odpowiedzialność od razu za to, że unię propagują i że jej przeszkadzają.

Literatura misyjna. Między innymi środkami walki z katolicyzmem, protestantyzmem, sekciarstwem i islamem, Zjazd misyonarski w Kijowie najusilniej zalecił wydawnictwa polemiczne. Organizowano udziałowe towarzystwo na całą Rosyę (po 50 rubli udział) dla wydawania polemicznych gazet, broszur, ulotnych listów. Redakcya centralna mieścić się ma w Moskwie, dzieląc się na sekcye anty-katolicką, anty-protestancką, anty-sekciarską i t. d. Dział antykatolicki dostaje się niejakiemu p. Kirżackiemu, autorowi całego projektu. Do kompletu więc Poczajowskich Witalisów i Heliodorów przybywa nowy bojownik. Oczywiście łatwo tym panom odnosić papierowe zwycięstwa, dopóki wszelkie odpowiedzi ze strony katolików ulegają niezwłocznej konfiskacie i autorowie ich są sądownie ścigani. Niedawno temu władze sądowe zatwierdziły konfiskatę wydrukowanej w Wilnie broszury rosyjskiej p. t. »O władzy zwierzchniczej w Kościele«, a na wydawane w Galicyi »odpowiedzi katolickie« urządzane są formalne obławy. Największą korzyść z projektowanej moskiewskiej literatury polemicznej odniosą autorzy broszur i listów, honoraryum bowiem z góry sobie określili po 15 r. za ćwierć arkusza.

Wychowanie kleru. W październiku b. r. powstaje w Żytomierzu szkoła nowego, nie praktykowanego dotąd typu, dla kształcenia i wychowania duchowieństwa prawosławnego.

Wiadomo, że w Rosyi istnieją seminarya eparchialne prawie w każdej dyecezyi; szkoły te atoli, oprócz nazwy, nic wspólnego nie mają z seminaryami katolickiemi. Są to właściwie ogólno-kształcące szkoły średnie z pewnym tylko naddatkiem nauk teologicznych na ostatnich kursach, przeznaczone dla kształcenia synów duchowieństwa prawosławnego bez względu na ich powołanie do stanu duchownego lub wstręt do niego. W tych seminaryach młodzież nie otrzymywała należytego przygotowania do stanu duchownego. Na katedrach profesorskich, nawet teologicznych, zasiadają ludzie świeccy, często wolnomyślni lub wprost ateusze. Tylko posady rektora i inspektora rezerwowano dla duchownych. Jaką anomalię przedstawia, dajmy na to, kurs teologii pasterskiej lub homiletyki, wykładany przez świeckiego

człowieka, łatwo się domyśleć. W wychowaniu duchownem seminarzystów panowały gorsze jeszcze braki. O wyrobieniu ascetycznem kandydatów kapłaństwa pojęcia nie miano. Seminarzyści noszą mundury uczniowskie, mieszkają, niektórzy przynajmniej, po domach prywatnych, do żadnych ćwiczeń duchownych, oprócz spełniania przepisów ogólno-chrześcijańskich, nie są obowiązani. Złe prowadzenie się seminarzystów, pijaństwo, rozpusta, karciarstwo, stały się w Rosyi przysłowiowemi. Oczywiście taka szkoła nie mogła wychować godnych pasterzy i sług ołtarza. Stąd w ostatnich paru dziesiątkach lat ogromna większość seminarzystów, po wyjściu ze szkoły, obierała sobie zawody świeckie. Wstręt do sukni kapłańskiej z rokiem każdym wzmagał się między seminarzystami. Doszło do tego, jak uskarża się pewien biskup prawosławny, że z pośród seminarzystów w jego dyecezyi w przeciągu lat siedmiu, zgłosiło się tylko siedmiu kandydatów do kapłaństwa. W ostatnich latach seminarya duchowne stały się nadto rozsadnikiem buntów. Znane nam są burdy w seminaryach, dochodzące aż do podpalania gmachów szkolnych, zabijania rektorów i inspektorów, oblewania ich kwasem siarczanym i rzucania bomb.

Z powodu braku kandydatów do kapłaństwa z pośród seminarzystów, Synod jeszcze w r. 1882 zniósł warunek wykształcenia teologicznego dla święconych na kapłanów. Odtąd też wzrastała coraz bardziej liczba ciemnych popów, wybieranych z pomiędzy wysłużonych dyaków, nauczycieli wiejskich, pisarzy gminnych. Całe ich wykształcenie ogranicza się do umiejętności śpiewania liturgii i jakiej takiej znajomości katechizmu.

Otóż w roku bieżącym, na przedstawienie Antoniusza wołyńskiego, znanego wroga katolicyzmu, Synod zezwolił na utworzenie na próbę, obok seminaryum dyecezyalnego w Żytomierzu, — szkoły innego typu, którą nazwano »szkołą pasterską«. Urządzeniem zbliża się ona do naszych seminaryów katolickich; widoczna, że inicyator »szkoły pasterskiej« na nich ją wzorował. Tylko »cenzus« przygotowawczy jest niższy od wymaganego w seminaryach katolickich. Wystarcza bowiem kurs cerkiewno-nauczycielskiej szkoły, która, jak wiadomo, stoi niżej od seminaryów nauczycielskich świeckich. Kurs w szkole pasterskiej rozłożony na trzy lata i również nie dorównywa kursom seminaryów łacińskich. O językach klasycznych w programie niema ani wzmianki, tak samo niema miejsca dla języków nowożytnych. Absolutna nieznajomość łaciny, greki, niemieckiego i innych języków, ustrzeże wychowańców szkoły pasterskiej od wszelkiego wpływu »zgniłego Zachodu«,

a zwłaszcza łaciństwa, tej »najgorszej herezyi«, według wołyńskich teologów.

Natomiast system wychowania jest bardzo zbliżony do katolickiego. Do szkoły pasterskiej będą przyjmowani jedynie kandydaci, czujący powołanie do stanu duchownego. Mają być już dorośli i albo żonaci, albo też składający ślub czystości, co się równa obietnicy wstąpienia do stanu zakonnego. Mieszkanie i stół wspólne. Wakacye, ze względu na żonatych, mają być częstsze i dłuższe. Wszyscy wychowańcy szkoły pasterskiej mają nosić suknię duchowną, odbywać wspólne ćwiczenia duchowne, spowiadać się kilka razy na rok, poddać się pod kierownictwo ojca duchownego, wybranego z pośród »starców« zakonnych. Oprócz słuchania wykładów teoretycznych, wychowańcy szkoły pasterskiej mają się ćwiczyć praktycznie w kaznodziejstwie w cerkwiach wiejskich i miejskich. Biorą też udział w nabożeństwach katedralnych, jako psałterzyści, za co będą uwolnieni od powinności wojskowej. Profesorami i wychowawcami tej szkoły mogą być tylko duchowni, przeważnie zakonnicy, mający dzielić mieszkanie, stół, zajęcia z wychowańcami szkoły. Budżet roczny szkoły obliczono na 16.620 rubli, nie licząc mieszkania, które szkoła znajdzie w klasztorze Bogojawlenia w Żytomierzu.

Pasterska szkoła, jak komunikują *Cerkownyja Wiedomosti* (N. 32, str. 1556), zakłada się na próbę ze względu na potrzebę w eparchii wołyńskiej »wykształconych« duchownych wobec propagandy łaciństwa i sztundy. Wątpić atoli należy, czy szkoła pasterska przynajmniej pod względem »wykształcenia«, zdoła wytrzymać konkurencyę z »łaciństwem«.

Jan Szychowski.

Ze świata sztuki.

Sąd laika o budynkach przy kościele św. Idziego. — Czem się tłumaczy zapał burzymurków a co widzą estetycy na starych murach? — Ofiarność kulturalnych towarzystw Krakowa. — »Rada artystyczna«. — Dobre rozumienie Krakowian o sobie. — Komitety znawców w ubiegłych czasach. — Zarząd miasta a sztuka. — Projekt prof. Domańskiego odbudowy starego ratusza.— Gdzie Kościuszko przysięgał i gdzie stawiać pomnik jego. — Francuska pomnikomania.

Spotkałem znajomego ze sfer urzędniczych. Był cały wzburzony, trząsł się niemal, twarz krwią nabiegła, oczy pioruny rzucały. Było to

w pobliżu kościoła św. Idziego. »Jak możecie bronić tej ohydnej ruiny?, (napadł z furyą); gdyby odemnie zależało, dzisiajbym to zburzył i wszyscy w Krakowie tak o tem myślą«. Panie łaskawy — odparłem spokojnie — mówmy po angielsku. Kiedyż nie umiem, brzmiała odpowiedź. Dlaczegóż pan nie umiesz? Bom się nie uczył. — Otóż to właśnie: twierdzisz pan, że nie władasz tym językiem, boś się go nie uczył. Chcesz natomiast wyrokować o mowie formy, a jednak estetyki także nigdyś się nie uczył, sam przyznałeś mi dawniej, żeś żadnego dzieła z zakresu harmoni linii architektonicznych nie przeczytał, żadnej historyi sztuki nie studyował, ani też wykładów w tym przedmiocie nie słuchał. Więc łaskawy panie, powiedz mi, na podstawie czego wyrokujesz o rzeczy, która dotąd dla ciebie obca była. Bo — odpowiedział żywo — na tem nic niema, bo mi się nie podoba. Oto typowy sąd laika, jaki się słyszy na ulicach naszego miasta. Najprzód ta pochopność do sądu o rzeczy, która wydaje się ogółowi, jako niesłychanie łatwa a w istocie jest niezmiernie trudną, potrzebującą wiele zastanowienia i bardzo dużo wrodzonego zmysłu.

Ale oto nasuwa się pytanie: czemże jednak zasłużyły owe budynki na niełaskę mniej kulturalnego ogółu, na potępienie tej części mieszczaństwa, które się zowie »burzymurkami«, które wznosi bezustannie okrzyk: zburzyć! Ów urzędnik, wzięty z życia, a nie wymyślony *ad rem* sprawy, najlepiej określił gusta najszerszych warstw: »Nic na tem niema«. Harmonia i gra linii, niesłychana prostota w układzie i akcent malowniczości, te go nie wzruszyły i tego nasze masy ludności nie pojmą, bo w ich pierwotnem, estetycznie jeszcze nie wyrobionem poczuciu piękna, musi być ono zawiłe, musi być rebusem ornamentalnym. Gdyby ten kompleks budowli był omotany ornamentyką, choćby najnielogiczniejszą, wywołałby zachwyt i zapał dla sprawy. Dla ludzi kultury jest najnaturalniejszą rzeczą, że najprostszy a jednak malowniczy układ architektoniczny jest największym wykwintem, jest najtrudniejszym do osiągnięcia. Co więcej i co ważniejsze, to sąsiedztwo najdroższego polskiego klejnotu: Wawelu. Pragnieniem serc naszych, by miał godną oprawę — i w tem leży główna przyczyna tego serdecznego umiłowania, jakiem otoczyli Krakowianie, kochający stare piastowskie mury — to miejsce. Tego uczucia nie rozumie ani pojmie ów cudzoziemiec, przybysz na polską ziemię, który w tem wołaniu: hejże na Soplicę! stoi na czele ruchu

i zacięcie woła: zburzyć! a pewny siebie, ironią ciska w oczy szlachetnym obrońcom.

Mimo odartych ścian i zapadłych dachów, tworzył te budowle artysta-budowniczy i ów mistrz wielkiej malowniczości, który się zowie »Przeszłością«. To jakby żebrak, okryty łachmanami, które gdyby zrzucił z barków i okrył je dostojną szatą, miałby minę wielkiego pana ze starożytnego rodu.

Sprawa jest również z innej strony poważną. Tutaj wśród otoczenia innowierców, jeżeli dziś zburzą się te domy, jutro przyjdzie kolej na kościół! Łacno stać się może z kościołem św. Idziego, co z kościołem św. Szczepana, z kollegiatą Wszystkich Świętych i tylu innymi się stało. Oby to stanowisko, jakie zajął przeor Dominikanów, ks. Začek, nie przyniosło wielkiej szkody starożytnemu Krakowowi a ujmy wszystkim tym, którzy rękę przyłożą do zburzenia budynków! Za utrzymaniem budynków koło św. Idziego oświadczyło się jednogłośnie jedenaście towarzystw kulturalnych Krakowa, a gdy ks. przeor Začek z powodów zupełnie dla nas niezrozumiałych, zażądał, ażeby towarzystwa, protestujące przeciw zburzeniu, podjęły się restauracyi zagrożonej budowy własnymi funduszami, wszystkie towarzystwa krakowskie oświadczyły natychmiastową gotowość złożenia kwot od 1000 do 3000 koron na restauracyę budynków. Ta jednozgodność i niezwykła ofiarność towarzystw popartą była jeszcze jedną ideą, poruszoną przez Towarzystwo opieki nad zabytkami polskimi, a w szczególności przez ks. bisk. Bandurskiego, mianowicie ażeby w tych budynkach umieścić ochronkę im. Piusa X w rok jubileuszowy. Prawie nie do uwierzenia, a jednak prawdziwe, że na wniosek dotyczący tej sprawy radcy miejskiego Perosia, miał przewodnicy komisyi odwagę powiedzieć, że byłoby to nadużyciem imienia Ojca św. Więc tedy trzeba przypomnieć, że gdyśmy analogicznie Wawel ofiarowali na rezydencyę cesarską, nikomu nie przyszło na myśl, że to jest nadużyciem imienia cesarskiego.

Ale nie tylko towarzystwa spieszą ofiarnie z pomocą pieniężną, również osoby prywatne, które widzą całe niebezpieczeństwo zamiaru, ofiarowały się z chęcią przyczynienia się znacznemi kwotami do restauracyi. Rzecz dziwna a bardzo wielce charakterystyczna, że w sprawach tej wagi zarząd miasta nie pyta o opinię własnej »Rady artystycznej«. Czyżby ta instytucya, powołana wnioskiem Stanisława Wyspiańskiego do życia, miała oniemieć w obliczu Wielkiego Krakowa? Czyż to ma być spełnieniem wielkiej myśli artysty? Nie — tu się po-

wtarza to, o czem wielokrotnie mówiliśmy i jeszcze wspominać będziemy, że w społeczeństwie naszem istnieje chełpliwe rozumienie o sobie, że w każdej sprawie, ktokolwiekbądź zawsze decydować umie i dobrze potrafi. Że każdy napisze wyborną receptę choremu, że ślusarz zrobi doskonałe buty a krawiec blachą dom pokryje, że wiadomości wszelkich nie nabywa się pracą, ale są każdemu obywatelowi wielkiego Krakowa przyrodzone.

Więc też w te uderzywszy struny, Zarząd miasta uznał się kompetentnym i dzieją się na ulicach Krakowa dziwne architektoniczne eksperymenta. Na najpiękniejszej z ulic budują żydowscy przedsiębiorcy wbrew przepisom, a za zgodą miasta nowoczesne »Drapacze nieba«. Buduje się bez zasięgnięcia opinii Rady artystycznej pałace na Szczepańskim placu, lub na starożytnej naszej ulicy Floryańskiej wznoszą się nowe gmachy, a gdy budowla okaże się rażącym anachronizmem, wówczas się powie: rzecz gotowa, zmienić się nie da i tak musi zostać!

Co wobec tego lekceważenia Zarządu miejskiego własnej instytucyi, jaką jest Rada artystyczna, zrobi ona, w jaki sposób zademonstruje swoje stanowisko, wobec takiego zupełnie nieprzewidzianego obrotu rzeczy; zapewne dowiemy się w niedługim czasie. W każdym razie powoływanie poważnych osobistości do instytucyi, którą się lekceważy, zasługuje na bardzo ostre potępienie.

Komitety znawców, Rady sztuki, to instytucye sięgające w głęboką starożytość wszystkich narodów kulturalnych, to zjawisko widzimy tak dobrze na klasycznej ziemi starożytnej Grecyi, jak w Rzymie, a później w epoce gotyckiej, renesansu i następnych. Był to znak wysokiej kultury i tego przeświadczenia, że określenie tego co piękne nie należy do ogółu, ale do wybrańców, których Bóg obdarzył istotnem poczuciem harmonii.

Bodaj czy nie największe dzieło gotyckiej u nas epoki powstawało w pracowni Wita Stwosza pod nadzorem komitetu, któryby dziś nosił nazwę Rady artystycznej. I wszyscy rozumni uznawali po wszystkie czasy ważność współudziału w załatwieniu zadań artystycznych grona znawców. Pod tem hasłem pracowały w Krakowie zawsze komitety, przy rozwiązaniu większych przedsiębiorstw artystycznych. Tak było przy odnowieniu Sukiennic, podczas restauracyi kaplicy Zygmuntowskiej, kościoła Maryackiego i t. p. Dla tych samych powodów utworzył były minister oświaty Hartel, przyboczną Radę sztuki

w Ministeryum oświaty i tworzą się wszędzie w cywilizowanych krajach podobne instytucye.

Cóż mamy teraz myśleć o obecnym Zarządzie miasta, w którym zasiadają ludzie bardzo szanowni i poważni, ale nie mający ze sztuką nic wspólnego, a którzy mimo to powiadają, że bez Rady sztuki się obejdziemy, bo mamy oczy dobre i znamy się na tych rzeczach równie dobrze jak oni. Zjawisko w każdym razie znamienne, charakteryzujące obecną dobę, nowy kurs i nowych ludzi.

Najbliższe chwile pokażą, czy nie nadejdzie opamiętanie, że nie ta droga jest drogą postępu i nie prowadzi ona do celu.

Profesor Stanisław Domański jest jednym z tych ludzi starej daty, którzy życie i gorącą miłość oddali w usługi starego Krakowa. Pragnąłby on widzieć królewskie miasto zawsze perłą ziem polskich, zawsze tym klejnotem nieoszacowanym, tym talizmanem nieocenionym każdej duszy polskiej, dla której wielkie wspomnienia przeszłości są potrzebą życia.

Na jednem z posiedzeń Rady miejskiej postawił wniosek odbudowania ratusza krakowskiego. W ziemi pod brukiem mamy w całości zachowane fundamenty niegdyś bardzo pięknego gmachu. Jako imponujący szczątek sterczy na wielkim Rynku krakowskim, jak osamotniona wdowa dumna wieżyca ratuszowa. Mamy najdokładniejsze plany zburzonego gmachu, a w monografii dr. Józefa Muczkowskiego czytamy treściwe dzieje budynku i wiadomości o wewnętrznem jego urządzeniu. Gdym przeczytał streszczenie wniosku prof. Domańskiego w dziennikach, zastanowiłem się, jak i co myśleć o projekcie wobec zasady postawionej w nowożytnem pojęciu konserwatorskiem, wykluczającem z góry wszelką kopię nowożytną, a oświadczającą się za twórczością ściśle współczesną. I po dłuższem zastanowieniu przychodzę do przekonania, że niema reguły bez wyjątku, że tu właśnie ten wyjątek zachodzi i uwzględnionym być powinien. To nie byłaby budowa skopiowana na jakimś istniejącym wzorze, ale rekonstrukcya tego, co istniało, co było w formach swoich bardzo szlachetne i bajecznie malownicze. Więc nie kopia cudzej myśli, nie fałszowanie i naśladownictwo obcego pomysłu, ale naprawienie fatalnego błędu ojców naszych, ekspiacya synowska, która pragnie naprawić krzywdę, wyrządzoną w przeszłości przyszłym pokoleniom, wyrządzoną Rynkowi krakowskiemu, wyrządzoną Polsce. Wszystko, cokolwiekby wymyślił nowoczesny architekt nie zaspokoiłoby potrzeby naszego serca i wielkie pytanie, czyby to, co wymyśli harmonizowało z otoczeniem. Odbudowa

ratusza byłaby zatem przywróceniem pierwotnego stanu posiadania, rehabilitacyą przeszłości.

Kiedy mowa o tej stronie Rynku, na myśl nasuwa się mi miejsce przysięgi Kościuszki, miejsce oznaczone przez ś. p. Władysława Łuszczkiewicza, który mniej więcej oznaczył, gdzie prawdopodobnie stał Kościuszko w czasie przysięgi. Opierając się jednak na obrazie współczesnym Michała Stachowicza, sądzę, że miejsce to nie jest zgodne z faktem. Notujemy ten szczegół ze względu na głoszoną nienaruszalność miejsca kamienia pamiątkowego.

Ś. p. Łuszczkiewicz słusznie zauważył wobec mnie w dniu położenia kamienia, że się przekonam, że po latach 10 ludzie będą z całą stanowczością twierdzili, że na tym kamieniu Kościuszko przysięgał. Zgadł. Sprawa pomnika Kościuszki już w całości w brązie odlanego zupełnie przycichła. Poruszamy tę sprawę, bo jednak godziłoby się raz z nią skończyć. Pomnik jest, więc postawić go należy. W grę wchodzi brak funduszów i kwestya miejsca. Nigdy nie byłem za stawianiem pomnika na olbrzymim Rynku, Plac Szczepański uznaję za odpowiedni i tu pomnik mógłby mieć doskonałe otoczenie i tło. Rozwiązanie takie kwestyi byłoby tembardziej wskazane, skoro jest mowa o rekonstrukcyi dawnego Ratusza. Brak funduszów na dokończenie pomnika jest kto wie, czy nie objawem słabnięcia kultu dla bohatera narodowego. Prawdą jest, że Kościuszko posiada już u nas tak wspaniały pomnik, jak kopiec jego imienia i to będzie z pewnością jednym z motywów, dlaczego składki płyną tak leniwo i sprawa ugrzęzła. Bo ostatecznie nie możemy narzekać jak we Francyi na pomnikomanię i to przeładowanie placów, ogrodów i innych miejsc publicznych pomnikami. Pisma humorystyczne w przewidywaniu blizkiej chwili przepełnienia pomnikami przedstawiają scenę przyszłości, kiedy na uroczystość zasadzenia drzewa zjawi się prezydent Rzeczypospolitej wraz z ministrami. My tymczasem możemy z zupełnym spokojem myśleć o pomnikach, któreby były ozdobą naszych miast i placów.

A mamy tęgich rzeźbiarzy, zdolnych do pracy twórczej, do zaprojektowania i zbudowania czy to ozdobnej studni, czy pomnika, ołtarza lub figury świętej. I znów przypomnimy, że obowiązkiem sztuki kościelnej jest zapełniać świątynie Boże nie dziełem podrzędnego kamieniarza lub nieuka snycerza, ale dziełami ręki prawdziwych artystów z Bożej łaski i prawdziwego natchnienia.

Leonard Lepszy.

Listy z Warszawy.

Zamknięcie szkół polskich. Odezwy. Oświadczenia. Otwarcie szkół. Otrzeźwienie. Protesty przeciw wolnej miłości. Kooperatywa chrześcijańska. Brudna bielizna magistratu.

W ostatnich miesiącach przychodziły do redakcyi pism warszawskich odezwy jakichś podziemnych agitatorów, napisane nieudolnie, nieortograficznie, wzywające do bojkotu szkoły rosyjskiej. Od czasu do czasu notowały pisma kilka napadów, zamachów na studentów weterynaryi. Skutkiem tych nieporządków była znana odezwa jenerał-gubernatora warszawskiego, jenerał-adjutanta Skałłona (dnia 26 października 1908 r.).

Trudno odmówić tej odezwie spokojnego, rozumnego tonu. Po raz pierwszy przemówiła do nas władza tak szczerze. Mam odwagę przyznać to pod groźbą narażenia się na zarzut braku patryotyzmu. Zarzut to zresztą w czasach podniecenia umysłów tak częsty, tak lekkomyślnie łatwy, tani, iż niema potrzeby zwracać na niego uwagi.

Zdawało się, że po tej odezwie będą miały nasze skołatane nerwy jakiś czas spokój, że wypoczną. Tymczasem stało się inaczej. Znów wydarzyła się jakaś awantura uliczna i generał-gubernator zamknął szkoły polskie.

Wielka katastrofa! Bo trudno nazwać inaczej zamknięcie szkół polskich, w które społeczeństwo włożyło tyle entuzyazmu, nadziei, trudów i pieniędzy. Jedyna to dotąd nasza wygrana lat ostatnich, lat trwogi, różnych wysiłków i nadziei.

Zawrzało naturalnie w mieście, osowieli wszyscy ludzie rozważniejsi, rozskarżyło się nasze serce. Bo cóż temu winno społeczeństwo, że pod ziemią tli jeszcze zarzewie niestłumionej anarchii, że są jeszcze między nami żywioły, niechcące się nauczyć niczego od smutnego doświadczenia? Dlaczego społeczeństwo ma odpowiadać za robotę podziemną różnych eksperymentatorów, na których, nie posiadając władzy wykonawczej, nie może mieć żadnego wpływu?

Zeszli się redaktorowie naszych pism, twórcy opinii publicznej i, porozumiawszy się, ogłosili odezwę, wzywającą do »spokoju, rozwagi i cierpliwości«; przemówili do młodzieży serdecznie, przez łzy »w imię ojczyzny, w imię szkoły polskiej, aby stwierdziła swem zachowaniem, że umie nie tylko kochać gorąco, ale i myśleć poważnie«, a przemówili »nie jako mentorowie, nie jako stronnictwo, nie jako

jednostki, lecz jako opinia całego kraju, która w nieszczęściu i klęsce zespoliła się i swięte zawarła przymierze«.

Nieszczęśliwy naród, który się tylko w ten sposób może bronić przed cudzą siłą. Ale sposobu innego niema.

I zeszli się przywódcy naszych stronnictw narodowych: narodowo-demokratycznego, realistów i polskiego zjednoczenia postępowego i zredagowali następujące »Oświadczenie« (dnia 1 listopada):

»Przedstawiciele polskich grup politycznych: Demokracyi Narodowej, Stronnictwa Polityki Realnej i Polskiego Zjednoczenia Postępowego, rozważywszy położenie, wytworzone przez fakt zamknięcia szesnastu średnich szkół polskich w Warszawie, motywowany przez władzę propagandą bojkotu i aktami gwałtu nad studentami Rosyanami, uczęszczającymi do wyższych zakładów naukowych w Warszawie, uznali za konieczne oświadczyć imieniem powyższych grup politycznych i z ich upoważnienia co następuje:

1) Wyznajemy zasadę, że społeczeństwo polskie w działaniu zmierzającem do zaspokojenia swych potrzeb narodowych i rozszerzenia swych praw, do środków niekulturalnych, a tem bardziej do gwałtu, w żadnej formie i w żadnej dziedzinie, uciekać się nie może;

2) Zgodnie z wolą ogółu szkoła polska, dźwignięta i utrzymywana ofiarnością samego społeczeństwa, stroniąc od wszelkiej polityki, ma za zadanie być ogniskiem pracy i nauki, służyć ideałom dobra i prawdy i wychowywać w miłości do ziemi ojczystej, nie szczepiąc przytem żadnej nienawiści;

3) W pełnej świadomości, że taką jest wola społeczeństwa, że tak rozumieją swoje zadanie przewodnicy szkół i takiemi zasadami ożywioną jest ucząca się w nich młodzież — zastrzegamy się stanowczo przeciwko składaniu na całe społeczeństwo i szkolnictwo polskie odpowiedzialności za karygodne czyny jednostek, stojących poza obrębem naszego wpływu, działających wbrew zasadom i poglądom ogółu polskiego i z wyraźną jego szkodą.

Stanisław Bukowiecki. Zygmunt Balicki. Franciszek Nowodworski. Henryk Dembiński. Stanisław hr. Łubieński. Antoni Donimirski. Józef Jabłoński. Wincenty Lemański. Wacław Łypacewicz«.

I spokojne zachowanie się prasy i społeczeństwa i oświadczenie stronnictw politycznych odniosło skutek pomyślny; jenerał gubernator warszawski otworzył znów szkoły polskie. Oto jego odezwa (dnia 3 listopada).

»Dnia 27 października wydałem odezwę do społeczeństwa pol-

skiego, wzywając je, aby dopomogło do przerwania szerzącego się bojkotu miejscowej szkoły rosyjskiej. Jakby odpowiadając na to, pewne pisma polskie tego samego wieczora, inne zaś później, oświadczyły, że społeczeństwo nie może zapobiedz złemu, że jest pozbawione sił i postawione w pozycyi bez wyjścia.

Widząc w tem oświadczeniu smutny fakt uchylenia się od żądanej w interesie samego społeczeństwa pomocy, zmuszony byłem uciec się do ostatecznych środków represyi administracyjnej, w której możliwość część społeczeństwa widocznie nie wierzyła jeszcze nawet po odczytaniu mej odezwy. Dnia następnego 16 szkół średnich w Warszawie zostało zamkniętych.

Dnia 29 października jednej z deputacyi polskich, która stawiła się u mnie z prośbą o jak najśpieszniejsze otwarcie szkół, poleciłem odpowiedzieć, że dopóki społeczeństwo przez usta swych przywódców politycznych nie będzie miało odwagi jawnie potępić bojkotu szkoły państwowej bez względu na formy jego objawów, dotąd nie może być mowy o zadośćuczynieniu prośbie.

Wczoraj w miejscowych gazetach polskich została ogłoszona w imieniu wszystkich jawnych polskich stronnictw politycznych odezwa, potępiająca bojkot »w każdej formie i w każdej dziedzinie«.

Witając ten akt wybitny, jako niezbity dowód tryumfu trzeźwej myśli politycznej społeczeństwa polskiego nad resztkami gasnącej wiary w samowolę, jednocześnie przypuszczam, że od dnia wczorajszego młodzież, pragnąca uczyć się w szkole państwowej, pozyskała nową gwarancyę swojej fizycznej i moralnej nietykalności, daleko trwalszą, aniżeli zarządzenia policyjne lub ogólne represye surowe. Tą nową gwarancyą będzie obecnie obrona, rękojmia samego społeczeństwa.

Wobec takiego obrotu rzeczy, już dzisiaj wydałem rozporządzenie w sprawie otwarcia wszystkich zamkniętych w Warszawie uczelni polskich«.

A morał stąd jaki? Na pytanie to odpowiada historya.

Uczy historya wszystkich czasów i wszystkich narodów, że w polityce zwyciężają tylko dwie metody: albo brutalna siła, albo rozumna cierpliwość. Brutalna siła (armia) bije, druzgoce, depce, rozumna cierpliwość wyzyskuje umiejętnie okoliczności. Kto się w polityce bawi w stosowanie innych środków, w entuzyazmy, w sentymentalizmy, w nadzieje na cudzą pomoc, ten łudzi się i przegrywa. Bo polityka nie jest ani chrześcijaninem, ani filozofem, ani poetą, lecz po prostu wcielonem samolubstwem, bezwzględną walką o byt, o władzę stronnictw czy na-

rodów. Zasady chrześcijańskie lub humanitarne nie mają do niej przystępu.

Bywają czasem wypadki, że wielki entuzyazm zwycięża, ale tylko wtedy, kiedy go poprze terrorystyczna bezwzględność, posunięta aż do szału i samolubstw interesowanych warstw. Tak ocalił rewolucyę francuską Danton w chwili najcięższej (w marcu 1793 r.), ocalił ją podeptaniem wszystkich zdobyczy cywilizacyi: własności, wolności osobistej, uczuć ludzkich, życia nawet. Konfiskata majątków, ograbienie kościołów, zamków, zmuszenie całej ludności do służby wojskowej, trybunał rewolucyjny, gilotyna, rzezie — ocaliły czerwony sztandar. Ale do takiej metody potrzeba zbrodniczej siły czarnego demona i gruntu przygotowanego.

My nie rozporządzamy ani siłą brutalną, ani nie posiadamy w naszym temperamencie dantonowskiego demonizmu. Jesteśmy rasą miękką, wyczerpującą się prędko. I dlatego pozostaje nam tylko druga metoda: rozumna cierpliwość. Siedzieć cicho i brać to, co nam okoliczności danej chwili, co nam sytuacya polityczna przysądzają. Wszelkie terroryzmy, wszelkie histeryczne wybuchy niemądrego entuzyazmu równają się w naszych warunkach wrzawie żab, wojujących z czaplą. Dowiodła znów ostatnia rewolucya, jak szkodliwie bezsilnym jest słaby gwałt. Gruzy tylko zostały po tym eksperymencie, gruzy krwawe: ruina ekonomiczna, dziesiątki tysięcy deportowanych i trupów, więzienia przepełnione, szubienica *permanente* w Warszawie i w Łodzi i, co najgorsza, demoralizacya, obniżenie pojęć etycznych, zdziczenie roboczego ludu.

Widziało to wszystko u nas bardzo dobrze kilka głów, do których należał pomiędzy innymi zamordowany przez bandytów Jan Gadomski, redaktor *Gazety Polskiej*. Mówię wyraźnie »kilka głów«, bo nie było ich więcej. Nawet ludzie skądinąd rozważni, fantazyowali na czerwono.

Rzecz szczególna, jak mało ludzi umie w chwilach wielkiego podniecenia zachować spokój. We Francyi np. poznało się tylko dwóch ludzi na dyletanckiej gadaninie Jana Jakóba Rousseau'a o »czystości, dobroci, szlachetności pierwotnego człowieka« — Mirabeau i Marmontel. Reszta, cała intelligencya owych czasów, zachwycała się bezmyślnie »naturą«, a najwięcej ci, do których gardeł zabrał się od razu »czysty, dobry, szlachetny człowiek pierwotny« (oświecona, filozofująca szlachta).

Widziało to u nas wszystko bardzo dobrze kilka głów, ale któżby zwracał w takim rejwachu uwagę na głos rozważny? Filister, mydlarz,

zacofaniec, wstecznik, stary mamut, pozbawiony entuzyazmu dla wielkich idei, zdrajca w końcu! Naturalnie...

Dziś zmienia się usposobienie kraju powoli. Nawet zapalone głowy chłodną, spokojnieją, zaczynają liczyć, obliczać. Człowiek mądrzeje zawsze po szkodzie (nie tylko my, Polacy).

Zmądrzały nasze stronnictwa polityczne, zaczynają się uczyć prawdziwiej polityki. Takie »oświadczenie«, jak oświadczenie w sprawie teroryzmu naszych stronnictw narodowych, nie byłoby jeszcze temu rok wprost możliwe. Z wyjątkiem realistów nie miałby nikt odwagi podpisać takiego cyrografu z obawy przed wrzawą opinii publicznej.

Mądrzeją także nasze kobiety, bardzo entyzyastyczne entuzyastki. Dokuczyła im »wolna miłość«, przeraziła ich orgia płciowa. Rozumie się. One to przecież płaciłyby swojemi łzami, rozczarowaniami, swoim wstydem, swoją hańbą za swawolę wolnej miłości.

Więc protestują głośno.

Przodem poszły Sandomierzanki, córy grodu, którego mury widziały, takie święte, albo takie bohaterskie niewiasty, jak: Adelajda, Grzymisława, Salomea, Kinga, Jadwiga, Zofia Sieniawska, i Teresa Morsztynówna.

»Zważywszy — piszą Sandomierzanki w liście otwartym, pomieszczonym w *Dzienniku Powszechnym*, — że po 1) wiara katolicka naród nasz z ciemności bałwochwalstwa i ze stanu barbarzyństwa wyprowadziła, że po 2) dzięki wierze św. niewiasta polska podniesiona została z poniżającego jej godność położenia, że po 3) wiara katolicka jest najdroższym po ojcach naszych skarbem, że po 4) wierze św. zawdzięczamy owe świetlane postacie niewieście, którym dorównać jest naszem pragnieniem, że po 5) niewiasta polska, jedynie ugruntowana na podstawie wiary, opromieniona aureolą żony chrześcijanki i dziewicy chrześcijańskiej, potrafi być wierną córką ojczyzny, strażniczką ducha narodowego i odrodzicielką skołatanego społeczeństwa, że po 6) rozluźnienie węzłów małżeńskich powoduje rozluźnienie życia rodzinnego i, co za tem idzie, osłabienie narodu — Sandomierzanki protestują najsilniej przeciw zelżeniu wiary katolickiej, wyszydzaniu sakramentu małżeństwa, zohydzaniu uczciwych niewiast polskich i poniżaniu ich godności w odczytach o »wolnej miłości«. Nadto piętnują taką działalność, jako wrogą ideałom narodowym i dobru ojczyzny. Wreszcie wyrażają oburzenie na całą robotę demoralizatorską wszystkich apostołów »wolnej myśli«, którzy pragną naród spoganizować

przez szerzenie niewiary i wolnych obyczajów, i tym sposobem zgubić go na zawsze. Uczą nas bowiem dzieje, że narody rosły wiarą i cnotą, a upadały przez niewiarę i skażenie obyczajów«.

Górą Sandomierzanki!

Wszelkie karkołomne eksperymenty mają to do siebie, iż uderzają nawet obojętnych obuchem w sumienie i budzą to sumienie z uśpienia.

Przez ostatnie lat trzy znosiliśmy z wielką tolerancyą najdziwaczniejsze pomysły niepowołanych reformatorów. Prawiono nam z katedr prelegenckich i z trybun wiecowych duby smalone, półgłówki, histeryczki albo miernoty narzucały nam swoje bzdurstwa, a my słuchaliśmy tego wszystkiego z baranią cierpliwością, zahypnotyzowani t. zw. entuzyazmem wolnościowym. Ludzie, o których przed »rewolucyą« pies nie wiedział, na których nikt nie zwracał uwagi, bo się niczem nie umieli zasłużyć, wyróżnić, pięli się na same szczyty mądrości filozoficznej, społecznej i politycznej, odgrywali rolę proroków. Niewielu z pomiędzy nas miało odwagę stanąć sztorcem przeciw tej jałowej, dyletanckiej a szkodliwej gadaninie, bo niewielu ma w czasach burzliwych odwagę uchodzić za wstecznika, zacofańca. Każdy chce być koniecznie ogromnie oświeconym, stać na wyżynach »nowych czasów«, gardzić »przesądami, zabobonami« i t. d. Różni gadacze zakrzykują po prostu w takich czasach swoją gadaniną zdziwioną, przerażoną, ogłupiałą opinię publiczną, kładąc na ziemię rozwagę i zwykły »chłopski rozum«.

Górą Sandomierzanki!

Za przykładem ich poszły Lublinianki, Płoczanki, Radomianki, pewien odłam młodzieży i robotnicy chrześcijańscy. Do tego chóru przyłączyła się wkońcu »Kultura Polska«, organ warszawskich postępowców. Głos to ważki, bo cobykolwiek powiedzieli przeciw eksperymentom »uświadamiaczów« zachowawcy, idealiści i katolicy, byłoby dla naszych »oświeceńców« zawsze tylko »wstecznictwem«, niegodnem uwagi.

»Kultura Polska« warszawska mówi:

»Publiczne wałkowanie popędu płciowego przez niewybrednych amatorów łatwego rozgłosu stało się w ostatnich czasach widowiskiem gorszącem. W broszurach, artykułach dziennikarskich, odczytach popularnych, obnażają oni śmiałą ręką sceny, stosunki i zjawiska najdrażliwsze, nie dlatego, ażeby je poddać gruntownemu rozbiorowi, do którego nie są wcale przygotowani, ale żeby ściągnąć czytelników i słuchaczów, przeważnie wrażliwą i fermentującą młodzież, i targać

ich nerwami. Jeśli chodzi o badania naukowe, to mamy rozpraw w tym przedmiocie za mało; jeśli zaś chodzi o czcze paplaniny i wyrób środków podniecających, to istotnie pojawiło się u nas fabrykantów literatury kantarydowej za dużo.

Nauka nie miała u nas nigdy głosu słuchanego w szerokich kołach społeczeństwa. Uważano ją zawsze za nudną, suchą i zrzędną. Dziś wszakże postawiono ją tak daleko poza granicami uwagi ogółu, że nieraz można zasadnie pytać, czy ona wogóle istnieje. Zmęczeni bólami rewolucyi, ogłuszeni różnostronnym terrorem, albo zatonęliśmy w zupełnej obojętności, lub dla pobudzenia się zażywamy zwyczajną pornografię, obwijaną w złote listki literatury i sztuki. Takiej niemocy, jak obecnie, naród nasz nie podlegał od pół wieku nawet wtedy, kiedy pozornie jego ściśnięte serce bić przestawało« ...

Co do mnie, uważam alarmy podniesione z tego powodu za zbyt bojaźliwe. Kilku doktrynerów, z których nie wszystkich zna szersza publiczność, nie przewróci instytucyi małżeństwa, umocnionej przez doświadczenie wielu pokoleń. Skoro jej nie obalił taki huragan, jakim była rewolucya francuska, który bił w nią taranem »rozumu« i »natury«, nie obalą jej także nasi »szczekacze«. Te wszystkie małżeństwa, zawierane przed »naturą«, przed »słońcem«, *devaut la nature, devaut le solest*, bywają tak kruche, iż ustałyby same przez się, gdyby istniały. Wszystkie związki »na wiarę« i wszystkie stosunki z metresami są przecież małżeństwami z »wolnej miłości«, a jakaż ich trwałość.

W tej chwili jednak jest gadanina o »wolnej miłości« w Warszawie modna nawet dobrym interesem, czego dowodem, że znalazł się przedsiębiorca, impresaryo, wynajmujący na odczyty w tym kierunku »uświadamiaczów etycznych«. Jest nim niejaki B. Kryger z Łodzi. Żyd naturalnie.

Na Żydów przychodzi teraz bieda. Nazywa się ona kooperatywą.

Naszym miasteczkom i wioskom sprzykrzyło się nareszcie być na łasce i niełasce handlu żydowskiego. Więc zaczynają się bronić, zaczynają zakładać spółki współdzielcze, zaczynają się zrzeszać. Wielką zasługę ma w tym kierunku Jan Jeleński, redaktor *Roli*. On to zwracał ciągle uwagę na konieczność kooperatywy, jako najskuteczniejszej samoobrony.

Odbył się w Warszawie zjazd delegatów spółek współdzielczych. Przybyła ich cała chmara, — przedstawiciele kilkuset spółek.

Więc w Judei lament. Goje mądrzeją, a tam, gdzie goje mą-

drzeją, usuwa się z pod stóp Żydów grunt. Żargonowy dziennik *Hajn* uderzył w wielki dzwon alarmowy: gewałt, goje zaczynają handlować! Tak się przeraził chrześcijańskich spółek współdzielczych, że nazwał ich twórców gorszymi od Kruszewanów i Dubrowinów (pogromiciele rosyjscy), bo nawet owi pogromiciele, nie »zdobyli się na taki szatański pomysł«. A teraz rozpisał *Hajnt* po całym kraju ankietę, by się dowiedzieć, ile już placówek zabrały spółki Żydom. Dziwi się prasa tej wrzawie Żydów. Dlaczego się dziwi?

Przecież to bardzo naturalne, że się Żydom taki zwrot rzeczy nie może podobać? Dotąd byli oni panami handlu, »podskarbimi narodu« wedle terminologii Bolesława Prusa, posiadali oni monopol obskubywania nas, odzierania ze skóry, ustanawiania cen stopy procentowej i t. d. Przeszło milion Żydów, którzy nie umieją niczego krom handlowania, szachrowania, żyje tylko z handlu. Ich to dzierżawa, ich chleb jedyny, a kto odbiera głodnemu żołądkowi pokarm, ten jest naturalnie jego wrogiem śmiertelnym, »gorszym od Kruszewanów i Dubrowinów«. Bo Kruszewany i Dubrowiny wygrzmocą tylko raz skórę, złupią tylko raz sklepy, a potem dają pokój, a ruch współdzielczy będzie trapił ciągle.

Bardzo logiczne to rezonowanie żydowskie. Ale i nasze, polskie, także logiczne. U siebie jesteśmy, w swoim własnym kraju i nie mamy wcale potrzeby być wyzyskiwani i tyranizowani przez obcych przybyszów, który, mieszkając między nami setki lat, nie uważali nawet za potrzebne nauczyć się naszego języka i zespolić się z naszymi interesami — którzy czują się u nas ciągle obcymi, jakby w podróży.

Byliśmy w ostatnich tygodniach świadkami bardzo niezwykłego widowiska.

Warszawski *Goniec*, dziennik ruchliwy, odważny i dobrze, żywo redagowany prał prawie codziennie brudy warszawskiego magistratu, wykazywał niezbitymi dokumentami, że niektórzy ojcowie miasta zabawiają się od dłuższego czasu w systematyczne łapownictwo i przeróżne oszustwa. Mówił im codziennie w oczy: bierze łapówki! a oni nic — pluł im codziennie w oczy cyframi, datami: tam a tam, wtedy a wtedy, wzięliście taką a taką łapówkę! — a oni milczeli — dowodził im, że okradają robotników, służbę z pensyi, konie z owsa, że zagarniają nawet płacę ludzi umarłych, zabitych, powieszonych, deportowanych — a oni przycupli jak trusie i ani mrumru; wołał wkońcu na nich wprost: jesteście złodziejami, rabusiami, szubrawcami z pod

ciemnej gwiazdy! i wymieniał ich po nazwisku, wskazywał ich palcem, ty, ty, ty! — a oni ani drgnęli.

Nadzwyczajna, milcząca tragikomedya. W każdym innym kraju mieliby edilowie miasta już dawno sędziego śledczego na karku, któryby zbadał, kto zawinił, czy *Goniec,* oczerniając bez zasady, czy ojcowie miasta, kradnąc z fantazyą. Bo trzeba na to wielkiej fantazyi Gogola, by rabować »martwe dusze«.

Skończyło się nareszcie na tem, na czem się skończyć musiało. Sąd zajmie się tą sprawą i wykryje, kto zawinił.

Teodor Jeske-Choiński.

Druk ukończono 21 grudnia 1903 r.

Nadesłano do Redakcyi następujące książki:

Kordyan. *J. Słowacki.* Część pierwsza trylogii. Opracował prof. K. Zimmermann. »Arcydzieła polskich i obcych pisarzy. Nr. 65, 66«. Brody. F. West. 1908. Str.

Stanisław Wyspiański. Studyum. *Dr. J. Flach.* Brody. F. West. 1908. Str. 112.

L'Immacolata Concepzione di Maria Vergine e le Chiesa greca ortodossa dissidente. *Mons. N. Marini.* Roma. 1908. Str. VI, 172.

Sądownictwo w sprawach agrarnych. *Dr. L. Caro.* Kraków. 1908. Nakład Tow. Rolniczego. Str. 20.

Na górze Athos wśród mniszej republiki. *Ks. M. Czerminski T. J.* 60 rycin i mapa. Kraków. 1909. Str. 278.

Dictionnaire de théologie catholique, contenant l'expose des doctrines de la théologie catholique, leurs preuves et leurs histoire. *A. Vacant—E. Mangenot.* Fasc. XXVI. Dabillon-Démocratie. Paris. Letouzey et Ané. 1908. Str. 320.

Program c. k. Szkoły Politechnicznej we Lwowie na rok 1908/1909. Lwów 1908. Str. 80.

Wszechnica katolicka w Lowanium. *Ks. I. Radziszewski.* Warszawa. 1908. Str. 26.

Finanse m. Krakowa według zamknięcia rachunków za r. 1906. Kraków 1908. Str. 44.

Katalog dzieł... wksięgarni G. Gebethnera i Spółki. Historya. Kraków 1909. Str. 136.

Niedomagania demokracyi. *Gaston Deschamps.* Z francuskiego przełożył K. Scipio. Kraków. Spółka Wyd. Polska. 1908. Str. 211.

O wychowaniu. Odczyty wygłoszone w r. 1908 w Stowarzyszeniu Matek chrześcijańskich. Kraków. Spółka Wyd. Polska. 1908. Str. 230.

Wyprawa na Litwę. Według hr. M. Mielżyńskiego. Kraków. Spółka Wyd. Polska. 1908. Str. 68.

Jan Kochanowski. *F. Hoesick.* Kraków. Spółka Wydawn. Polska. 1908. Str. 301.

Ostatni Stuart. *Blanka Halicka.* Kraków. Spółka Wyd. Polska. 1908. Str. 156.

W usługach Niemiec. *M. Barrès.* Z francuskiego przeł. K. Scipio. Kraków. Spółka Wyd. Polska. 1908. Str. 130.

Tragedya w Glinianach. Legenda historyczna z XIV w. *J. Ogiński-Kontrymowicz.* Kraków. Spółka Wyd, Polska. 1908. Str. 338.

Węzeł gordyjski. Powieść. *J. Ogiński-Kontrymowicz.* Kraków. Spółka Wyd. Polska. 1908. Str. 313.

Gramatyka języka hebrajskiego. *Ks. J. Archutowski.* Warszawa 1908. Str. 129.

Z krainy Faraonów. *Ks. F. Leliwa Józefowicz.* Lwów 1908. Str. 24.

Wykład pacierza, przygotowanie do pierwszej Spowiedzi i Komunii św., oraz wskazówki metodyczne. *Ks. N. Spes.* Warszawa. M. Szczepkowski. 1908. Str. 213.

Nadesłano do Redakcyi następujące książki:

Co się działo na świecie od najdawniejszych do teraźniejszych czasów. Dzieje powszechne. *Ebrem.* Warszawa. M. Szczepkowski. 1909. Str. 274.

Wystawa Rembrandtowska w Lejdzie w r. 1906. *Br. Czarnik.* Lwów. Gubrynowicz i Schmidt. 1908. Str. 39.

X. Prymas Woronicz. Monografia. *Ks. dr. A. Jougan.* Cz. I. Str. 235. Cz. II. Str. 239. Lwów 1908.

Jak uładżene maje buti żyt'e dobrou zakonnici. Pisla *Karola Andreja Basso,* parocha w Trezzo. Napisaw i wydaw O. K. Seleckij.

Papież jubilat Pius X. *H. Zajączkowski.* Lwów 1908. Str. 20.

Les Françalles et le Mariage. *L. Choupin.* Paris. G. Beauchesne et Cie. 1908. Str. II, 163.

Sprawozdanie Kwartalnika historyeznego za r. 1907. Lwów 1908. Str. 18.

Chrestomathie Française. *Plato Reussner.* I livr. Varsovie. 1908. Str. 16.

Pankracy August I. Powieść. *A. Schifman.* Warszawa—Kraków. L. Biernacki—G. Gebethner. 1909. Str. 155.

Katecheta szkoły średniej jako duszpasterz uczniów. *Ks. Arcyb. Bilczewski.* Lwów 1908. Str. 30.

Der Religionslehrer an Mittelschulen als Studentenseelsorger. *Erzb. Dr. J. Bilczewski.* Wien 1908. Str. 16.

Małżeństwo. Być albo nie być. Tułacze. *W. Sieroszewski.* Warszawa—Kraków. G. Gebethner. 1908. Str. 410.

Biblioteczka młodzieży szkolnej. Zeszyt 77—100. Utwory: J. B. Zaleskiego, W. Pola, E. Wasilewskiego, E. Demoldera, M. Pape-Carpentiera, W. Szymanowskiego, Wł. Bełzy, E. Amicisa, R. Kiplinga, H. Andersena, M. J. Zaleskiej, Wł. L. Anczyca, H. Sienkiewicza, R. Zmorskiego, Z. Bukowieckiej, B. Dyakowskiego. Warszawa—Kraków. G. Gebethner. 1908.

Biblioteczka uniwersytetów ludowych. Utwory: I. Chodźki, K. M. Górskiego, Wł. Syrokomli, K. Ujejskiego, W. Pola, E. Wasilewskiego, J. B. Zaleskiego, I. Chrzanowskiego. Warszawa—Kraków. G. Gebethner. 1908.

Teatr amatorski dla dzieci i młodzieży. *Z. Przybylski.* 1. Ziemia ojczysta. 2. Za słońcem. 3. Panna służąca. 4. Pamiętnik Jadzi. 5. Wet za wet. 6. Edukacya Bronki. 7. Tadzio jest chory. 8. Koledzy. Warszawa—Kraków. 1908.

Dni polityczne. *J. Weyssenhoff.* Serya II. W ogniu. Warszawa—Kraków. G. Gebethner. 1908. Str. 179 i 8.

Przypuszczalny budżet Wielkiego Krakowa w pierwszym roku po przyłączeniu gmin podmiejskich. *Dr. Wł. Czerkawski.* Kraków 1908. Str. 97.

Urządzenie polityczne Szwajcaryi. *Dr. M. Wyrostek.* Kraków. Spółka Nakładowa »Książka«. 1908. Str. XXXI, 215.

Znaczenie stanu robotniczego dla społeczeństwa i Kościoła. *Ks. dr. K. Zimmermann.* Poznań. Księgarnia św. Wojciecha. 1908. Str. 69.

HASŁO NEOSLAWIZMU.

LIST DO REDAKCYI »PRZEGLĄDU POWSZECHNEGO«.

Szanowna Redakcyo!

Bardzo zaszczytnem jest to dla mnie, że Redakcya *Przeglądu Powszechnego* pyta się o moje zdanie w sprawie Neoslawizmu, pospieszam więc z odpowiedzią.

Chodzi tu o zamiar nawiązania ściślejszych stosunków na polu kulturalnem i ekonomicznem pomiędzy narodami słowiańskiemi. Byłoby to rzeczą naturalną i pożądaną, gdyby się narody słowiańskie lepiej nawzajem poznały; pozbyłyby się w ten sposób niejednego uprzedzenia, zdołałyby może niejednej naukowej pracy dokonać wspólnemi siłami; nie wątpię, że mogłyby nieraz rzetelne korzyści ekonomiczne wypłynąć z takiego bliższego obcowania, a wiem, że literatura, sztuka i nauka ożywiłyby się gdyby pracownicy pojedynczych narodów słowiańskich mogli się spodziewać szerszego rozgłosu dla dzieł swoich.

Nawiązanie stosunków, do których neoslawiści nawołują, wtedy tylko mogłoby rzetelne przynieść korzyści, gdyby się starannie wystrzegano wszelkich marzeń i wszelkiego szowinizmu; do tych rzeczy narody słowiańskie są aż nazbyt skłonne, a kto w to popadnie, gotów raczej szkodę jak pożytek przynieść sprawie cywilizacyi i dobrobytu swojego narodu. Chodzi tu nie tylko o to, aby żaden naród swoich współplemieników nie obrażał przechwałkami, aby im się nie narzucał domniemaną wyższością; wy-

strzegaćby się trzeba niechęci dla zdobyczy kulturalnych obcych szczepów, zaślepienia jednostronnego co do wartości utworów słowiańskiego ducha. Nie tylko znajomość dokładna cywilizacyi starożytnej i cywilizacyi narodów zachodu pozostaje jedyną podstawą, na której się narody słowiańskie z prawdziwym dla siebie pożytkiem rozwijać mogą; powinny także znać dokładnie innoplemienne narody zamieszkujące tę samą część Europy, jako to Węgrów na przykład i Rumunów, szukać z nimi przyjacielskiego zetknięcia, tem łatwiejszego, że te narody żyją w takich samych jak narody słowiańskie stosunkach, a co najmniej w stosunkach bardzo podobnych.

Wszelka praca kulturalna wpływa oczywiście na tok dziejów. Słowiańskie narody może najbardziej zapominają zbyt często, że rozwój oświaty i bogactwa stanowi nierównie więcej o przyszłości narodowej, jak wszelkie kombinacye i formacye polityczne, że tamte tyle tylko warte o ile pracę cywilizacyjną popierają, umożliwiają, przed szkodą ochronić zdołają, o tyle zaś są szkodliwe lub zgubne, o ile stają wprost tej pracy na przeszkodzie albo też umysły od niej odwracają. Działanie w myśl neoslawizmu mogłoby zatem przynieść dla narodów słowiańskich błogie owoce. Nikt z ościennych i obcoplemiennych żadnego dla siebie niebezpieczeństwa w nowo obwołanem haśle upatrywać nie może; owszem praca kulturalna i ekonomiczna potrzebuje pokoju; kto się jej oddaje szuka zgody ze wszystkimi, rad przyjaźni z każdym sąsiadem.

Gdyby kto chciał polityczny charakter neoslawizmowi nadać, spaczyłby zamiar, udaremniłby jego wykonanie, wprowadzając zamiast zgodnej a płodnej pracy agitacyę polityczną, która się łatwo w jałową zamienia zabawę, łatwiej jeszcze zamiast zgody i przyjaźni spory i niesnaski zrodzić może. Jeśli idea nowa nabierze ciała, jeśli istotnie poważną a zbawienną wyda pracę, nie może ta praca spoczywać w ręku związków albo klubów politycznych, musi być kierowaną przez uczonych, literatów i artystów, przez producentów, finansistów, kupców i ekonomistów, którzy przy niej zapomną o stronnictwie politycznem, do którego należą. Największy błąd popełniliby neoslawiści, gdyby chcieli

wpłynąć na konfiguracye parlamentarne albo dyplomatyczne, a cóż dopiero gdyby rzucili jakiemukolwiek narodowi lub państwu wrogie hasła. Skutkiem takiego działania musiałoby być przeciwdziałanie nierównie potężniejszych politycznych faktorów, któreby w zarodku całą zbawienną pracę udaremniło. Ktoby chciał zbyt wcześnie zerwać owoc dziejowy, sam temu będzie winien, że nigdy nie dojrzeje.

Nieraz słyszymy, w uściech Rosyan mianowicie, zarzut jakoby Polacy byli zdrajcami Słowiańszczyzny, jakoby się za Słowian nie mieli, wspólnie z narodami zachodu, mianowicie z Niemcami i Węgrami przeciw Słowiańszczyźnie spiskowali. Kto zna historyę polską, kto czytał dzieła znakomitych pisarzy polskich, ten wie, jak płonnym ten zarzut bywa. Prawda, że Polacy pragną pokojowego pożycia z Niemcami i Węgrami, że nie odpychają i nie odepchną ręki podanej przez uczciwych Niemców, dalekich od błędów namiętności hakaty, że Węgrom życzą wolności i sprawiedliwości; ale tego nie mogą Polakom żadni narzucać Słowianie, a najmniej Rosyanie, skoro rząd rosyjski tyle razy szukał sojuszu z Prusami. Niemcy dotąd tak znaczne wpływy w społeczeństwie rosyjskiem posiadają.

Polacy nigdy nie zapomnieli o tem, że są Słowianami, a strzegąc swojej odrębności narodowej, zawsze byli gotowi nawiązać w celach kulturalnych i ekonomicznych ścisłe stosunki z pobratymcami. Tylko z dawnym panslawizmem pogodzić się nie mogli dlatego tylko, że nie pochwalali tendencyi zaborczych zwróconych przeciw zachodniej cywilizacyi, a często wprost przeciw tej Austryi, w której jedynej dotąd Polacy znaleźli sprawiedliwość i dla której Polacy w Galicyi mają dziś święty obowiązek wdzięczności, ale także dlatego, że panslawizm dawny bynajmniej odrębności kulturalnych i tradycyjnych w łonie Słowiańszczyzny nie uznawał, że nie zawiązał się dla pracy cywilizacyjnej, a miał przedewszystkiem na celu rusyfikacyę innych Słowian, był wobec Polaków czemś na kształt jakiejś rosyjskiej hakaty, prześladującej naszą narodowość i tępiącej naszą religię. Z jawnym wrogiem Polacy sympatyzować nie mogli, nie mogli zasiąść do biesiady, do której ich nie proszono.

Neoslawizm ma być co innego; cele jego nie są polityczne, a jeśli polityczne przyniesie skutki, skutki te rzekomo nie będą groźne, przedewszystkiem nie będą groźne Austryi, owszem spodziewają się ludzie, że szczerą przyjaźń między Austryą a Rosyą zgotują. Neoslawizm uznaje narodową, tradycyjną i religijną odrębność narodów słowiańskich, nikomu nic narzucać nie chce, przeciw Polakom i Polsce zwróconym nie jest; chce dopomagać rozwojowi cywilizacyjnemu każdego ze słowiańskich narodów, w tym jedynie celu pragnie utorować drogę wymianie wyobrażeń i przysług braterskich. To bardzo piękne; jak Polaków do takiej proszą biesiady, mogą przy niej zasiąść, z całego serca wszystkim biesiadnikom będą życzyć powodzenia.

Czy jednak na prawdę do biesiady zasiędą, a przedewszystkiem zasiadłszy wytrwać przy stole zdołają? To nie od nich zależy, a zależy od współbiesiadników. Trzeba na to, aby wszyscy pozostali wierni założeniu, aby się w politykę niewczesną nie wdali, nie żądali od Polaków politycznych czynów niezgodnych z ich interesem narodowym. Nawet zbytnia krewkość samych Słowian, nawet napaści na inne rządy i narody mogą tych przynajmniej Polaków, którzy rosyjskiemu nie ulegają berłu zmusić do zerwania, bo nie możemy przyjaciół odstręczać albo dolewać ognia do przemożnych nienawiści i tem samem na największą szkodę narażać ten właśnie rozwój kulturalny jednego z narodów słowiańskich, który ma doznawać poparcia w neoslawizmie, a mianowicie rozwój kulturalny własnego narodu, przyszłość Polski. Zanadtośmy znękami, abyśmy bardzo ostrożnymi być nie musieli, a w towarzystwie nieostrożnych wytrwać nie zdołamy.

Ale jest jeszcze coś ważniejszego: pokrzywdzony z krzywdzicielem chyba nie wytrwa w spółce, której cele domagają się swobodnego a dobrowolnego współdziałania, domagają się przyjaźni. Rosya usunęła w roku 1905 najbardziej krzyczące krzywdy Polaków, dała im większą nieco swobodę ruchu; ale to co wtedy zrobiła żadną miarą nie było dostatecznem, a od tego czasu cofnięto część poczynionych ustępstw, nowe wyrządzono krzywdy.

W takich okolicznościach trudno marzyć o trwałem współdziałaniu, choćby na polu kulturalnem wyłącznie. Społeczeństwo

nasze jest bardzo zapalne; czuje w tej chwili przedewszystkiem krzyczące krzywdy, których ze strony pruskiego rządu doznało. Znajdą się może pod tem wrażeniem gorący zwolennicy neoslawizmu, którzy jutro, widząc że największy naród Słowiański, Rosya, a przynajmniej rząd tego narodu cywilizacyi rodzimej polskiej warunków koniecznych rozwoju odmawia, zmienią swoje zdanie, tych potępiać będą, którzy poszukują choćby literackiego tylko albo naukowego zbliżenia do Rosyan. Idea neosławizmu nie jest polityczną, ale na to aby Polacy mogli trwale postępować w sposób z tą ideą zgodny, trzeba, aby Rosyanie wytworzyli stosunki polityczne, umożliwiające takie ze strony Polaków postępowanie.

Skreśliłem te zdania, bynajmniej nie jako członek Koła Polskiego, tylko jako człowiek prywatny, który swoje tylko czysto osobiste wyraził zdanie. Jeśli sz. Redakcya sądzi, że te podane myśli godne druku w *Przeglądzie*, proszę ten list wydrukować. Spuszczam się z tem zupełnie na sąd Redakcyi *Przeglądu Powszechnego* a piszę się

z głębokiem poważaniem

powolnym sługą

Wojciech Dzieduszycki.



Ks. STANISŁAW ZAŁĘSKI T. J.

* 1843 † 1908

WSPOMNIENIE POŚMIERTNE

Z księdzem Załęskim schodzi do grobu ostatni ze współzałożycieli naszego *Przeglądu Powszechnego.* Umarł na kilka miesięcy przed 25-letnim jubileuszem pisma.

Mało ludzi w kraju, którzy byliby tak powszechnie znani, jak ś. p. zmarły. Jako mowca konferencyjny przeszedł kraj cały wielokrotnie, jako historyk i pisarz religijny wydał tyle, że z dzieł jego, broszur i rozpraw, układa się wielokartkowy spis, wreszcie jako kapłan usłużny i dobroczynny na tysiące liczył tych, którym przyszedł z pomocą.

Nieliczni chyba są ci, którzyby nie spotkali się z nim w życiu. Pamiętam z czasów studenckich, jak całe prawie gimnazyum w jednem z miast prowincyonalnych biegło codziennie na jego majowe kazania. Był wtedy jeszcze młody, w początkach dopiero swojej publicznej działalności, ale już wtedy wywierał wymową swoją ten urok, którym później nad całą intelligencyą

kraju zawładnął. W wymowie też tkwiła najwłaściwsza jego siła. Był w nim szczególny talent oratorski, rodzaj konferencyjny, odcień jakiejś swobodnej, dystyngowanej rozmowy, nieskrępowanej żadnym patosem, pociągającej nadzwyczajną naturalnośeią, potoczystą lekkością, pełnią swady i dozą erudycyi, nieraz i szczyptą dowcipu. Na ambonie stał z założonemi rękoma, nie robił żadnych prawie gestów, nie unosił się, ale opowiadał, pouczał, przekonywał. W tok swoich konferencyi wciągał dużo psychologicznej obserwacyi, nieco momentów historycznych, wiele szczegółów z bieżącego życia, uwzględniał obecne kierunki ideowe, zwłaszcza filozoficzne. A wszystko umiał uchwycić z oryginalnej, interesującej strony, z pewnem zrównoważeniem w skierowaniu do ostatecznego celu, bez jakiegokolwiek przeciążenia i balastu, jak i bez zeświecczonej lekkości. Rozumiał współczesną sobie duszę polską i umiał jej wskazać najprostszą ku dobru drogę. Akuratnie było w nim to, co było potrzebne dla apostoła dzisiejszej naszej polskiej intelligencyi. W ostatnich latach już się postarzał i powtarzał, wpadł w pewną rutynę swojego kierunku, ale trzeba było go widzieć i słyszeć wtedy, kiedy był w pełni życia i działalności. Wtedy był siłą, siłą zwycięską, która w sferach intelligentnych kraju dokonała prawdziwego, moralno-religijnego, przełomu. Głównie jemu należy przypisać tę zasługę, że umiał wciągnąć intelligencyę naszą w zwyczaj odprawiania dorocznych rekollekcyi. Ile zaś, zapomocą tych rekollekcyi, spowodował duchowego odrodzenia w społeczeństwie, ilu dokonał nawróceń, niejedno mówią o tem ci, którzy tych skutków na sobie doznali.

Poza kaznodziejstwem i pracą kapłańską cały czas oddawał pióru. Tu plon jego jest olbrzymi [1]. W stylu potoczystym, lekkim,

[1] Oto niedokładny spis:

»O święceniu niedzieli i dni świątecznych«. Lwów 1876. Kraków 1877.— »Sposób odprawiania medytacyi, według metody św. Ignacego (dla kleryków seminaryum łacińskiego). Lwów 1877. — »Czytania majowe. Trzy serye. Wykład Litanii loretańskiej, Salve Regina, Świąt Matki Boskiej«. Lwów 1877—1879. — »Pamiątka 500-letniego jubileuszu Matki Boskiej Częstochowskiej«. Kraków 1880. — »Żywot W. ks. Piotra Skargi«. Kraków 1882. — »Bł. Kinga i jej klasztor starosandecki«. Lwów 1882. — »Pamiątka koronacyi Matki Boskiej na Piasku«. Kraków 1883. — »Żywot Czcigodnej Matki Barat, zało-

często obrazowym, poruszał wiele spraw bieżących, mających bliższy lub dalszy związek z kwestyą moralno-religijną, pisał czytania pobożne, życiorysy, wspomnienia, głównie zaś uprawiał zagon historyi Kościoła w Polsce. Kilka tylko dzieł wychodzi poza ten zakres, jak: «Geneza i rozwój nihilizmu w Rosyi« i »O masonii w Polsce«.

Lwią część tej pracy pisarskiej zajmuje apologia i historya Jezuitów w Polsce. Była to najgłówniejsza idea w jego pisarskiej działalności, która mu towarzyszyła przez całe życie i która mu włożyła pióro do ręki. Jako młody profesor historyi i literatury polskiej w konwikcie tarnopolskim, spotykał się ustawicznie w podręcznikach i książkach pomocniczych z całym szeregiem bardzo przykrych zarzutów przeciw Zakonowi. Od pojawienia się historyi literatury Bentkowskiego, każda następna w tym zakresie rzecz, książka czy broszurka, uważała Jezuitów za główną sprężynę wszystkich nieszczęść Polski. Tak samo w historyi. Od Niemcewicza i Bandtkego począwszy, Jezuici występują w naszej historyografii jako intryganci, fanatycy, obskuranci, jako jedni z głównych sprawców upadku Polski. Zdaniem jednych, wina ta spada na nich dlatego,

---

łożycielki Zgromadzenia Sióstr Serca Jezusowego« (Sacre Coeur). Kraków 1885. — »Siostry Serca Jezusowego na ziemi polskiej«. Tamże. — »O sodalisach Maryi«. Kraków 1886. — «Konferencye i nauki rekollekcyjne dla klas wykształceńszych«. Kraków 1887. Trzy wyd. — »Rozbiór dekalogu« (przedruk z »Konferencyi«. Poznań 1888. Wydań 5. — »Triduum (rekollekcye) dla kapłanów«. Kraków 1895.

«Czy Jezuici zgubili Polskę« (dzieło polemiczne). Trzy wyd. Lwów 1872 i 1874. Kraków 1883. — »Zniesienie Jezuitów i ich zachowanie na Białej Rusi«. 2 tomy. Lwów 1874—1875. Tom drugi przetłumaczony na język francuski przez O. Vivier i włoski przez ks. Antoniego Buzzeti p. t. »Les Jesuites de la Russie Blanche«. 2 tomes. Paris 1886. »I Gesuiti della Russia Blanca«. Prato 1888. — »O masonii w Polsce na źródłach wyłącznie masońskich od r. 1742 do 1822«. Kraków 1889.—»Geneza i rozwój nihilizmu w Rosyi«. 2 wyd. Kraków 1892 i 1894.—»Jezuici w Polsce 1564—1905«. Tomów 5, książek 11. Lwów 1901—1903. Kraków 1905—1906.

Drobniejsze prace: »Czerwony klasztor w Pieninach«. Kraków 1879.— »Kościół Jezuitów w Krakowie«. Lwów 1879. — »Kilka uwag nad książką ks. prałata Likowskiego: Dzieje Kościoła unickiego na Litwie i Rusi w XVIII i XIX wieku«. Poznań 1880 (przedruk z Kuryera Poznańskiego). — »Kilka uwag nad dziełem księdza Kalinki: Sejm czteroletni« (przedruk z Kuryera

że nie przeszkadzali, chociaż mogli i powinni, anarchii polskiej. Będąc spowiednikami magnatów, kształcąc w szkołach całe pokolenia szlachty, mogli i powinni byli sprowadzić rządzącą klasę z drogi samolubnej polityki, wpoić lepsze pojęcie o wolności i rządzie, a tego nie uczynili. Owszem, pochlebiając możnym, szerząc panegiryzm, demoralizowali jeszcze bardziej naród. Inni zarzucali Jezuitom rozfanatyzowanie społeczeństwa, skutkiem czego przyjść miały wojny kozackie, prześladowania religijne, wypaczenie wreszcie temperamentu narodowego, gdy bitna szlachta dała się przekształcić w stado niedołężnych bigotów. Niemniej ciężkie oskarżenia padały w zakresie szkolnictwa i piśmiennictwa. Jezuici tamowali wszelką samodzielność myśli, tłumili wszelki polot ducha, szerzyli obskurantyzm, z Alwarem i batogiem w ręku wychowywali młodzież na zarozumiałych krzykaczów sejmikowych. A już chyba najdonioślejsze zarzuty padały z zakresu polityki. Gdyby nie Jezuici, nie stanąłby pokój w Kiwerowej Horce, nie byłoby Moskwy, a następnie niewoli moskiewskiej. Nie byłoby wojen moskiewskich ani szwedzkich za Zygmunta III. Oni to

---

Poznańskiego). Poznań 1880. — »Kilka uwag nad dziełem ks. d-ra Pełesza: »Geschichte der Union der ruthenischen Kirche mit Rom«. 2 Bände (przedruk z Kuryera Lwowskiego i Czasu). Lwów 1880 i Kraków 1881.—»Kalikst Cygemberg Orłowski«. Lwów 1881.— »Jezuici we Lwowie 1880 r.«— »Misye w Persyi w XVII i XVIII w.«. Kraków 1882. — »Plan zniesienia Kościoła grecko-unickiego w Rosyi« (z franc. przez O. Martinowa). Kraków 1882. — »Reforma XX. Bazylianów w Polsce w XVII wieku«. Lwów 1883. — »Szkic dziejów Zgromadzenia Sióstr Serca Jezusowego na ziemi polskiej«. Kraków 1885. — »Masonia, jej statystyka i działalność«. R. 1889. — »Państwo carów i Rosyanie. Ich religia, przez Anatola Leroy Beaulieu«, tom III w streszczeniu. Kraków 1890. — »Lojola i Manreza« (przedruk z Kuryera Poznańsk.) 1891. — »OO. Jezuici w Stanisławowie«. Nowy Sącz 1896. — »OO. Jezuici przy kościele św. Piotra i Pawła w Krakowie«. Nowy Sącz 1896.—»Niewola w Afryce«, 4 broszury. 1889—1890. — Szereg broszur przeciw socyalizmowi: »Socyaliści nasi wobec rozumu«. Nowy Sącz 1896. — »Socyalistom naszym na kolędę Czerwony sztandar«. Kraków 1897.— »Czerwony sztandar i teolog socyalistów Daszyński«. 1897. — »Soyaliści a Żydzi i czerwony katechizm socyalistów«. 1900. — »Program na rok 1900«. — »Credo i pieśń galicyjskich socyalistów« (dla klas wykształconych). 1900.

Prócz tego publikował szereg rozpraw w *Przeglądzie Lwowskim* i w *Przeglądzie Powszechnym*, jako też i w różnych dziennikach.

wplątali Rzeczpospolitą w wojnę turecką; wciągnęli Jana Sobieskiego do szkodliwej świętej ligi 1683 r. Byli tajnymi ajentami papieży i cesarzy, a zawsze na szkodę Polski.

Poruszyliśmy nieco obszerniej tę kwestyę, i to własnemi prawie słowami ks. Załęskiego, gdyż koło niej obracał się jego umysł przez całe życie. Ataki te na Zakon zabolały go dotkliwie. Wielki miłośnik ojczyzny, który służbę Bożą w Zakonie łączył ze służbą sprawie ojczystej [1], znalazł się wobec tej powodzi zarzutów, w położeniu bardzo trudnem. W pamiętniku swoim, który mamy przed sobą, pisze szczerze następujące słowa: »Zabolałem srodze. Albo to prawda, to ja u tych Jezuitów niemam co robić — dopokąd jestem młody, należy szukać *alibi magis propitios deos* — albo to nie prawda, to przecież należy tym oszczerstwom dać odprawę należytą«. Zabrał się zatem do studyów. Owocem ich była polemiczna książka, która w swoim czasie dość dużo narobiła wrzawy, p. t.: »Czy Jezuici zgubili Polskę?«. Książka z wielką śmiałością, może za wielką jak na początkującego historyka, dawała stanowczą odprawę przytoczonym wyżej uprzedzeniom, i wypowiadała walkę wszystkim starszym i młodszym, żyjącym i nieżyjącym historykom, Maciejowskiemu, Niemcewiczowi, Wiśniowskiemu, Bandtkemu, Moraczewskiemu, Szujskiemu i innym. Jakiekolwiek było jej pierwsze przyjęcie w świecie naukowym, faktem jest, że odtąd Jezuici przestali być kozłem ofiarnym w znacznej części historyografii polskiej.

Już odtąd historya Jezuitów w Polsce była głównem korytem działalności pisarskiej zmarłego. Powstał szereg cząstkowych monografii, powstało dwutomowe dzieło: »Zniesienie Zakonu Jezuitów i ich zachowanie na Białej Rusi«, rzecz tłumaczona na język francuski i włoski. Wreszcie pod koniec życia wydał wielką,

[1] Ciekawy szczegół czytamy w jego pamiętniku pod r. 1863; w roku tym był już kilka lat po ślubach zakonnych. Wypadki ówczesne nie dawały mu spokoju; rozbudzone uczucie patryotyczne w ten sposób znalazło ujście, że rzucił się do gruntownego studyowania dziejów ojczystych i do robienia z nich wyciągów. W ten sposób powstały 3 spore tomy rękopisów, jeden »Kompendyum historyi polskiej«, drugi p. t. »Rzeczpospolita polska i jej urządzenia wewnętrzne«, trzeci p. t. »Przyczyny upadku Polski«. Wszystkie trzy rękopisy pozostały w spuściznie pośmiertnej.

pięciotomową rzecz: »Jezuici w Polsce«, owoc 36-letniej pracy. Włożył w tę książkę trudu niemało: prócz przestudyowania całej odnośnej literatury, przewertował całe szeregi archiwów, w Watykanie, w Paryżu, Wiedniu, archiwa zakonne, archiwa miejskie Gdańska, Torunia, Lwowa i innych miast, nie mówiąc już o bibliotekach krajowych i zagranicznych. Same archiwa zakonne dostarczyły olbrzymiego materyału: korespondencye generalskie, kroniki poszczególnych domów, roczne sprawozdania, stany majątkowe kolegiów, katalogi osób i zajęć i t. d. Z tych tysiącznych drobnych cegiełek powstała budowla wielka, umieszczona na tle szerokiem, czasami może zanadto szerokiem, zdumiewająca całą masą szczegółów nieznanych, nigdzie przedtem nie dotkniętych. Co ważne, nie jest to apologia, ale historya Zakonu, zestawiająca jasne i ciemne strony jego przeszłości.

Wobec tego ostatniego dzieła, opinia sfer naukowych, na ogół działalność historyograficzną zmarłego ignorująca, złagodniała znacznie, co przejawiło się i w krytycznych ocenach i w chlubnej wzmiance Akademii Umiejętności na jej dorocznem posiedzeniu. Poza tem przyznawano jeszcze większą wartość książce »O masonii w Polsce«, jako konstrukcyi na autentycznym zbiorze nieznanych dokumentów. Zaszkodził mu w tej opinii raz, drugi raz, zbyt pośpiesznie wydany sąd w kwestyach, w których nie mógł być kompetentnym — co jednak rozciągać na całą jego pisarską działalność, byłoby niesprawiedliwością.

Dwa te dzieła »O masonii« i »Jezuitach w Polsce«, choćby niesłusznie przeoczyło się wartość innych, wystarczają zupełnie, by imię ks. Załęskiego pozostało trwale w historyografii polskiej. Poza historyografem, jako publicysta, jako pisarz religijny, ma ks. Załęski, dla przymiotów stylu i wyższego poziomu ideowego, swoje wybitne znaczenie.

Najjaśniejsze wspomnienia po tem życiu, to nieskazitelny charakter, prawy, jasny, otwarty, a wytrwały i niezłomny. Była w tym charakterze szczeropolska ludzkość, złote serce, był i rycerski animusz i niezmącona pogoda umysłu, a przedewszystkiem wielka cnota. Pracowitości był ten człowiek olbrzymiej, jedna praca wyręczała drugą. W czasie seryi rekollekcyjnych, wprost

od stolika konferencyjnego wracał do pisania historyi. Nie zrażał się niczem, ani brakiem uznania i jakiejkolwiek zachęty, ani napaściami i paszkwilami, jakich mu w życiu nie szczędzono. Po odczycie »O masonii«, mianym w Krakowie otrzymał anonimowe pogróżki. Skutek był ten, że sprawił sobie żelazną laskę i pojechał z tym samym odczytem do Lwowa. Pogoda i siła duszy były w nim wyższe nad niepowodzenia, kłopoty i troski. Znając go, niktby nie przypuszczał, że przez całe życie, od wczesnej młodości, trapiło go silne przeczucie rychłej śmierci, jak to notuje jego pamiętnik.

Osobną rubrykę w tem życiu stanowi dobroczynność, trwała pamięć i opieka nad tymi, co szukali u niego pomocy, porady lub wsparcia. Szczególnie leżała mu na sercu dola Unitów, zbiegłych przed prześladowaniem rosyjskiem.

Było to życie całkowicie oddane sprawie Bożej. Baczył pilnie w tym kierunku na wszystko i szedł na wszystkie zagrożone placówki. Wszystkie echa kierunków wrogich, od pozytywizmu począwszy, a na socyaliźmie skończywszy, wszystkie oddźwięki prześladowań Kościoła w Rosyi i w Prusiech, wszystkie rozterki duchowe wewnątrz społeczeństwa, wywoływały u niego reakcyę w słowie, w piśmie i w czynie. Sprawa katolicyzmu w Polsce, w ostatniej ćwierci ubiegłego stulecia, była z życiem tego człowieka ściśle związana. Szedł sam i pociągał za sobą usilnie drugich ku dobru i ku Bogu. Jako taki przypomina on wiele wybitnych postaci z przeszłości Kościoła polskiego — zwłaszcza te, które powstały ze zjednoczenia się uzdolnionego charakteru polskiego z instytutem Towarzystwa Jezusowego. Jest to w zmienionych warunkach i w zmniejszonych rozmiarach typ Skargi.

Ks. J. Pawelski.

PRUSY A SPRAWA POLSKA.

I.

Po zwycięstwach przywykły Niemcy za Bismarka do tego, że panowały bezwzględnie na kontynencie Europy. Austrya zapomniała o swoich klęskach, a dbając tylko o bezpieczeństwo swoje, zawarła z Niemcami i Włochami obronne trójprzymierze, które przedstawiało taką potęgę, że bez jego zezwolenia żaden strzał nie mógł paść na świecie, a cesarz niemiecki odgrywał w tem trójprzymierzu główną rolę, był sternikiem potężnej nawy, choćby dlatego tylko, że między Austryą a Włochami ciągłe istniały nieporozumienia, tak że Austrya i Włochy były właściwie i bezpośrednio tylko Niemiec sprzymierzeńcami, a Niemcy pomiędzy nimi pośredniczyły bardzo dyskretnie, moralnym tylko wpływem, ale jednak rzeczywiście.

Utworzyło się swego czasu przeciw trójprzymierzu dwuprzymierze Rosyi z Francyą, a czas jakiś dopatrywano się w niem groźnego niebezpieczeństwa dla pokoju świata. Tymczasem przymierze to było tylko nową rękojmią pokojową, i wbrew przeciwnym prawom, wzmagało przewagę Niemiec na świecie, nie dopuszczając do szczerego zbliżenia się Francyi z Anglią, tłumiąc we Francyi pragnienie odwetu za doznane klęski, pragnienie odzyskania utraconych prowincyi. Rosya była na prawdę najserdeczniejszym przyjacielem Niemiec, a za to, że Francyi gwarantowała jej całość terytoryalną, z żadnej zresztą strony nie za-

grożonej, zaciągała u niej miliardowe pożyczki, rozszerzała swój wpływ na dalekim Wschodzie i wreszcie wiodła Francyę na drogę, na której mogła zapomnieć o swojej do Niemiec nieprzyjaźni, stanąć obok Rosyi w walce z Anglią.

Niemcy, otoczone tak sprzymierzeńcami i przyjaciółmi, a pociągające ku sobie urokiem zwycięstw i potęgi, prowadziły już nie tylko europejską, ale światową politykę. W Konstantynopolu dawne wpływy angielskie albo rosyjskie zastąpiły własnym i objęły rodzaj protektoratu nad niepodległymi dotąd narodami mahometańskimi, a wyzyskiwały to stanowisko w interesie handlu i przyszłej kiedyś kolonizacyi. Jeszcze Bismark zachęcił inne narody kontynentu europejskiego do zdobywania coraz to nowych zamorskich posiadłości, ufny, że zajęte tem za morzami, łatwiej zniosą przewagę Niemiec w Europie. Niemcy same brały od razu udział w ruchu kolonialnym, uczestniczyły w tem, co się rozbiorem Afryki nazwać godzi, ale zrazu bardzo powściągliwie, rozbudzały raczej francuskie ambicye, pragnąc, aby Francya zapomniała o Sedanie i Alzacyi, ciesząc się, że tym sposobem mogą wywołać zaciętą nieprzyjaźń pomiędzy Anglią i Francyą. Za Wilhelma II wzmogły się atoli niezmiernie ambicye nowego cesarstwa; zaczęto prawić o tem, że przyszłości Niemiec na morzu szukać trzeba i Niemcy wysuwały się na pierwszy plan we wszystkich pięciu częściach świata, rozwijały swój handel, swoją żeglugę, swój przemysł, zapomocą wszystkich środków, którymi państwo rozporządza. Zaczęły otwarcie przyznawać, że zamierzają Anglię wyprzeć ze stanowisk, które na świecie zajmowała; zaczęły nawet pracować nad utworzeniem wielkiej koalicyi, skierowanej przeciw W. Brytanii, do której także Francya miała należeć. W czasie, gdy Anglicy prowadzili w południowej Afryce ciężką wojnę z Boerami, nie tylko cesarz Wilhelm wyraził sympatyę swoją dla nieprzyjaciół Anglii w słynnym swoim telegramie do Krügera, ale i opinia publiczna wszystkich prawie narodów sympatyzowała głośno z uczuciami, wyrażonemi w owym telegramie i mogło się wydawać, że »wspaniałe osamotnienie« W. Brytanii nie na tem tylko polega, że nie ma ona sprzymierzeńców,

ale że i jest otoczoną przez samych wrogów, na których czele stały potężne Niemcy.

Nowy, lubo niemłody bynajmniej król angielski wstąpiwszy po zgonie swej matki na tron, postanowił temu osamotnieniu kres położyć. Szukał na całym świecie sprzymierzeńców, a co najmniej przyjaciół, gotów innym mocarstwom za przyjaźń niejedno ustępstwo w Afryce lub Azyi uczynić, a skoro stał się i uprzejmym i usłużnym, a jest bądź co bądź władcą największego mocarstwa na kuli ziemskiej i ma czterysta milionów poddanych, nie trudno mu było znaleźć tych przyjaciół, których szukał. Znalazł najpierw zamorskiego, dalekiego sojusznika i zawarł pierwsze przymierze z egzotyczną Japonią, a to przymierze dodało mu niemało uroku, kiedy niebawem Japończycy chwałą zwycięstw zajaśnieli. Wtedy to zbliżył się król Edward do Francyi, która zaniepokojona klęskami Rosyi, oglądała się za nowymi sprzymierzeńcami. Do formalnego przymierza pomiędzy Francyą i Anglią nie przyszło, ale przyszło do przyjaźni tak ścisłej, tak serdecznej, że się przymierzu równa, a nadto król angielski pozyskał dla siebie we Francyi ogromną popularność, a wywiera podobno bardzo poważny wpływ na jej politykę zewnętrzną; Portugalia pozostawała od dawna w politycznej zawisłości od Anglików, a udało się Hiszpanię pozyskać, tak, że można mówić o przymierzu zachodniem pomiędzy trzema wielkimi narodami, osiadłymi na europejskich brzegach Atlantyku. Przyjaźń z Francyą doprowadziła wreszcie do załagodzenia długoletniego, tradycyjnego już antagonizmu pomiędzy Anglią a Rosyą, ułatwiła drogę porozumieniu co do spraw azyatyckich, uwieńczonemu przez monarsze spotkanie w Rewlu. Przyszło dziś do tego, że oficyalny sprzymierzeniec Francyi, żyje w dobrych stosunkach z jej serdecznym przyjacielem Anglią. Edward VII nie zaniedbał również tych mocarstw, które wraz z Prusami zawarły trójprzymierze. Poszukuje przyjaźni austryackiej, z Włochami zawarł nawet układ obowiązujący co do morza Śródziemnego. Ostatnie wreszcie wypadki w Turcyi, przywróciły chwilowo Anglikom wpływ przeważny na Złotym Rogu.

Cała akcya króla angielskiego ma charakter stanowczo i wyraźnie pokojowy, a dąży jedynie do tego, osiągniętego zresztą już

w pełni celu, aby Anglia nie była osamotnioną, aby jej wpływ na sprawy świata i na sprawy Europy odpowiadał jej ogromnej potędze, jej bogactwu i jej odwiecznej a imponującej cywilizacyi. Ta akcya wzbudziła jednak w Niemczech niepokój i niezadowolenie, a dzienniki angielskie przywykły już od dłuższego czasu do tonu wcale dla Niemiec nieprzychylnego. Anglia bywała zawsze przeciwnikiem najpotężniejszego na kontynencie europejskim mocarstwa, zawsze tworzyła koalicye, których celem było zrównoważenie, zaszachowanie, a ostatecznie i zwalczenie przeważnej kontynentalnej potęgi. Niemcy o tem pamiętają, a gdy akcya króla Edwarda już i dziś ma ten skutek, że głos Niemiec nie decyduje sam jeden o losach naszej części świata, wzajemne rozdrażnienie Niemców i Anglików stało się czemś bardzo zrozumiałem. Wzmaga się to rozdrażnienie wskutek ekonomicznej rywalizacyi obydwu wielkich narodów. Przyszło tedy do tego, że cokolwiek się na świecie dzieje, wydaje się epizodem walki o hegemonię, którą toczy wuj z siostrzeńcem. Walce dyplomatycznej towarzyszą olbrzymie zbrojenia na lądzie i morzu i od czasu do czasu oblatuje Europę strach przed wielką wojną. Do wojny jednak nie przyjdzie tak rychło: nie rozpocznie ani Anglia, ani Francya, mogą chyba zniecierpliwione kiedyś Niemcy wydać hasło do walki, której groza byłaby tak wielką, a następstwa tak nieobliczone, że wszystkie inne mocarstwa wytężają całą sztukę dyplomatyczną, aby jej zapobiedz.

Ludzie utrzymują, że król Edward okazał się dotąd w walce dyplomatycznej i pokojowej rozumniejszym od swojego siostrzeńca. Sam powrót Anglii do zarzuconej przez długie lata tradycyi związków i przymierzy, musiał wpływ Niemiec osłabić, przeciwstawiając mu wpływ drugiego, potężnego, a dotąd nigdzie niepokonanego mocarstwa. Grę angielską ułatwia także obawa przed ambicyami, zdradzanemi ustawicznie przez rozmaite niemieckie publikacye, i także nieraz przez postępowanie rządu, a nawet samego cesarza. We Francyi nie zagoiły się dotychczas rany przed pół wiekiem zadane, postępowanie zaś Niemiec w Maroku zagroziło osadzeniem się przemożnego sąsiada, tuż u algierskiej granicy. Podobnie i Hiszpania widzi w niemieckiem Maroku najgroźniejsze

dla siebie niebezpieczeństwo. Opinia publiczna rosyjska podejrzywa Prusy o to, że wpływów swoich używają celem niedopuszczenia do szczerych reform liberalnych w Rosyi; wie, że wielu w Berlinie dąży do opanowania lewego brzegu Wisły i prowincyi nadbałtyckich; patrzy na to, jak koloniści niemieccy osiadają w Królestwie, na Litwie i Wołyniu we wszystkich strategicznie ważnych punktach, otrzymując ciągłe poparcie z Berlina; wie wreszcie, że Anglia sprzeciwiłaby się w każdym wypadku zajęciu nowych wybrzeży morskich przez Prusy, a patrzyłaby obojętnie na okupacyę Królestwa, gdyby wpierw przyjaźni rosyjskiej pewną nie była.

Nawet u oficyalnych sprzymierzeńców Niemiec istnieją słuszne powody do niepokoju. Głośno w Prusiech o tem, że Niemcy mają kiedyś posunąć swoje granice od Berlina aż do Bagdadu, że na całej tej przestrzeni mają istnieć same państewka shołdowane przez Prusy. Zabrakłoby w takim razie miejsca na Austryę; właściwie cesarstwo niemieckie sięgałoby wtedy przez Czechy i Wiedeń, aż po Adryatyk i włoskie Alpy, Węgry byłyby na równi z państewkami bałkańskiemi satelitą pokornym Niemiec, a drogo przyszłoby Austryi okupić przyjaźń, którą Niemcy dziś monarchię zaszczycają. Nie byłoby także miejsca dla Turcyi. I nikt się z tem w Prusiech nie ukrywa, że Mała Azya i Mezopotamia mają być kiedyś koloniami niemieckiemi, w których osiędą niezliczone miliony niemieckich rolników i przemysłowców.

Padyszach popierał te niemieckie ambicye, był najuleglejszym Niemiec sprzymierzeńcem, a w zamian brał od Niemiec opiekę dla swego despotyzmu. Gdy teraz Młodoturcy temu despotyzmowi kres położyli, było rzeczą prostą, że się niemieckiej przyjaźni wyparli, a zwrócili się ku angielskiej. Dla Włoch myśl o zjednoczonych Niemcach, sięgających aż po Alpy, jest istną zmorą, przywołującą wspomnienie dawnych Kaiserów, którzy się koronowali u świętego Piotra. Opinii narodów europejskich przedstawia się tedy akcya angielska jako tworzenie obronnej koalicyi przeciw zachłannym zamiarom cesarstwa niemieckiego – i ta opinia bywa dla akcyi króla Edwarda najskuteczniejszym pomocnikiem.

Myliłby się jednak ten, ktoby myślał, że Niemcy są poko-

nane, że sprawę przegrały. Oprócz ogromnej militarnej potęgi i patryotyzmu gorejącego u tych nawet Niemców, którzy hegemonii pruskiej znieść prawie nie mogą, oprócz pisanych przymierzy, ochraniających Niemcy przed wszelką zaczepką, istnieją jeszcze prądy opinii bardzo poważne, które Niemcom dopomagają i nieraz największe im oddają przysługi. Najpierw Niemcy w Austryi przemożni, w Rosyi bardzo wpływowi u rządu, są najgorliwszymi pomocnikami polityki pruskiej, pragną powodzenia wszystkich, choćby najśmielszych zamiarów zdobywczego rządu i wierząc w to, że naród niemiecki jest powołany do panowania nad światem, a choć szowinizmu wszechniemieckiego ani nie podzielają, ani nie chwalą i choć są szczerze austryackimi albo rosyjskimi patryotami, poczuwają się przecież do narodowej jedności z Niemcami w Rzeszy. Monarchiści dalej i wogóle konserwatyści w Austryi, a poniekąd także w Rosyi i w innych krajach, widzą dziś w Prusach najsilniejszą ostoję monarchicznej zasady, zazdroszczą im rządu, który się dotąd nigdy przed socyalistami nie ugiął, a sympatye ich dla pruskiego przymierza bywają poparte przez antypatyę dla republikańskiej Francyi i przez nieufność do Anglii, która tak często popierała rewolucyę na kontynencie, chcąc swoich celów w ten sposób dopiąć. Wreszcie większość żydów na całym świecie używa w domu niemieckiej mowy i czuje się bliższą Niemcom, jak jakiegokolwiek innego europejskiego narodu, a używa swoich wpływów w interesie Niemiec, zapomocą prasy nakłania do przyjaźni z Niemcami, szczuje przeciw tym, których Prusy nieprzyjaciółmi swoimi być mienią, a i wtedy nawet, kiedy żydzi stają na czele rewolucyjnego jakiegoś ruchu, starają się nim kierować w sposób dla interesów i ambicyi niemieckich pożądany.

Wszystkich wpływów swoich używa Berlin urzędowy na szkodę Polaków. Zaprzyjaźnieni z Berlinem rewolucyoniści usiłują nas sprowokować do czynów, mogących tylko klęskę na nas sprowadzić, a wpływy dyplomatów pruskich zwracają równocześnie uwagę rządów na istnienie polskiej instytucyi dążącej do przewrotu wszystkich stosunków Europy. Czujemy rękę pruską, niedopuszczającą do tego, aby się Polacy i Rosyanie do siebie

wzajemnie zbliżyć mogli, a wiemy, że nienawistne ku nam uczucia naszych Ukraińców, doznają z Berlina ustawicznej, niekiedy jawnej zachęty. Berlin wietrzy wszędzie nieprzyjaźń polską, a denuncyując polskie intrygi, wierzy wreszcie, że chcemy zguby Niemiec, że we wszystkich trzech zaborach knujemy przeciw Prusom spiski, że pragniemy rozniecić powszechną wojnę, że gdybyśmy tylko mogli, samibyśmy wielki europejski pożar rozniecili. Te oskarżenia wszystkie przypominają aż nadto dobrze bajkę o wilku i jagnięciu, które wilk udusił za to, że mu wodę mąciło, choć stało gdzieś niżej w biegu strumienia. Przestrzegamy zapewne nieraz przed pruską ambicyą, ale bywa to naszym obowiązkiem, tam gdzieśmy się, jak w Austryi, poczuli w pełni do obowiązku służenia państwu, które się dla nas okazało sprawiedliwem, — ale szaleńcami nie jesteśmy. Nie myślimy więc wcale o roznieceniu europejskiej wojny; czynimy owszem wszystko, co w naszej słabej mocy leży, aby wybuch takiej wojny odwrócić.

Gdyby przyszło do wojny powszechnej w Europie, w której Rosya dopomagała Francyi, a Austrya szła po stronie Niemiec, spadłaby na nas najstraszliwsza klęska. Wojna toczyłaby się na polskich ziemiach, pustosząc polskie mienie, a krew polska lałaby się po obydwu stronach, Polak musiałby wszędzie walczyć z Polakiem. Po wojnie, po klęskach bez liku, przyszłoby do zawarcia pokoju, a mybyśmy na wynik układów żadnego chyba wpływu wywrzeć nie mogli; stanowionoby o nas bez nas, a zmiana granic, gdyby nastąpiła, mogłaby snadno nową na nas sprowadzić klęskę, tem gorszą, że trwałą. Gdyby zwyciężyło trójprzymierze, zabrałyby Prusy może część Królestwa, Austrya wzięłaby część Wołynia i Podola; — w przeciwnym razie mogłaby Rosya przyłączyć do dzierżaw swoich część wschodniej Galicyi i może Prusy Wschodnie. Zaiste, nie są to zmiany, dla których przyspieszenia moglibyśmy pragnąć wojny i straszliwego tej wojny przebiegu.

Gdyby się zaś udało dyplomacyi wojnę zlokalizować i gdyby się toczyła jedynie pomiędzy Niemcami, jako stroną zaczepną, a zachodniemi mocarstwami, występującemi po stronie Francyi, nasby się ta wojna nie tyczyła, na nasze losy nie wywarłaby bezpośredniego wpływu a wybrałaby dużo krwi od Polaków, podle-

głych berłu pruskiemu. Trudno przewidzieć ktoby zwyciężył. Przewaga na morzu wydaje się być po stronie Anglii, na lądzie po stronie Niemiec, wynik więc wojny, byłby nadzwyczaj niepewny. Gdyby zwyciężyły Prusy, wzrósłby jeszcze w moc hakatyzm, jużby się żadnych środków eksterminacyi nie wstydził. Wybuch gwałtowny namiętności społecznych, zagroziłby niezawodnie stronie pokonanej ruiną. Dziś socyaliści niemieccy stają nieraz w naszej obronie, ale kto wie czy rewolucya społeczna w Niemczech nie zadałaby nam ciosów, na jakie się żaden rząd nie zdobędzie, a rzeczą pewną, że dobrobyt Ks. Poznańskiego zostałby narażony na najcięższe straty. Doprawdy, żaden Polak przy zdrowych zmysłach nadziei swoich w wielkiej wojnie europejskiej nie pokłada i niczego nie czyni, coby taką wojnę sprowadzić mogło.

II.

Obok rywalizacyi z Anglią poważne wewnętrzne kłopoty zaprzątają dziś umysły w Niemczech. Finanse Rzeszy są w złym stanie, wykazują deficyt, wynoszący pół miliarda marek, ugięły się pod brzemieniem nieustannych uzbrojeń, zwłaszcza na morzu, i kosztów łożonych na sztuczne popieranie przemysłu i handlu niemieckiego. Przemysł ten i handel przechodzą równocześnie poważne przesilenie; cały majątek narodu włożono w rozmaite przedsiębiorstwa, tak, że niema w kraju gotówki, że znaczenie berlińskiej giełdy zmalało w międzynarodowym obrocie, a usilna protekcya dostarczana rolnictwu, sprowadziła znaczne podrożenie środków żywności. To wszystko zrodziło poważne w całem państwie niezadowolenie; wszędzie krytykują zbyt osobiste cesarza rządy, a w południowych Niemczech odzywa się coraz śmielej niezadowolenie z hegemonii pruskiej, w samych Prusiech zaś domaga się ludność zaprowadzenia głosowania powszechnego przy wyborach do sejmu. Najgroźniejszym objawem niezadowolenia był ustawiczny wzrost socyalizmu, a lubo nadzwyczaj konserwatywna ordynacya wyborcza wzbraniała socyalistom dostępu do sejmu pruskiego, w których się losy Polaków zazwyczaj ważą, ilość posłów socyalistycznych wzrastała ciągle w parlamencie niemieckim i doszła nareszcie do stu, tak, że tam, w owym sejmie

Rzeszy socyalna demokracya tworzyła obok katolickiego centrum najpotężniejsze stronnictwo, a zawdzięczała swoją przewagę bynajmniej nie samym tylko głosom socyalistów, ale także głosom liberalnym malkontentów protestanckich, niezadowolonych ze zbytniej uległości tak zwanych stronnictw mieszczańskich.

Kanclerz Bülow, chcąc zażegnać wzmagające się niebezpieczeństwo, wykonał zwrot taktyczny, który wielu wprawił w zadziwienie. Większość rządową w parlamencie niemieckim tworzyły od dwudziestu przeszło lat dwa stronnictwa: konserwatyści pruscy i centrum katolickie, a oprócz nich czysto rządowy zastęp narodowych liberałów, gotów był zawsze rząd swoimi poprzeć głosami. Nagle, przed ostatnimi wyborami, wyparł się kanclerz katolików, ale nie tylko ich się wyparł, lecz i rzucił im w twarz wyzwanie. Postanowił się odwołać do uczuć narodowych i protestanckich, katolicyzmowi przeciwnych, jakie tleją w głębi duszy Niemców północnych; zawołał na nich, aby się połączyli w jeden zastęp celem zwalczania Rzymszczyków. Znał się na swoich rodakach. Pod hasłami, odkopanemi z czasów kulturkampfu, zszeregował i przy wyborach i w parlamencie zazwyczaj zwalczające się żywioły, pogodził ogień z wodą, liberalnych mieszczan i szlachtę staropruską i utworzył dzisiejszy blok rządowy. Nie udało mu się wprawdzie pomniejszyć zastępu posłów katolickich, nie ubił zwierza, w którego pozornie mierzył, ale hasłem popularnem pozyskał przy wyborach malkontentów liberalnych dla polityki rządowej i zadał klęskę straszliwą socyalistom, którym odebrał połowę mandatów.

Blok rządowy tworzy większość i w sejmie pruskim i w sejmie Rzeszy; tworzy ją dotąd, ale coraz częstsze okazują się w nim rysy, bo pożycie małżeńskie ognia z wodą jest rzeczą zbyt trudną, aby długo potrwać mogło. Książę Bülow jest niezmiernie zręcznym taktykiem parlamentarnym i przeprowadził w obu parlamentach ustawy antypolskie. Napotkał jednak przytem na trudności, których się zapewne nie spodziewał i nie wywołał entuzyazmu narodowego, na który liczył.

Niemieckie sumienie szamotało się przeciw ustawom, niezgodnym ze wszystkiemi zasadami nowożytnego porządku pra-

wnego. Co gorsza junkrzy pruscy przerazili się po raz pierwszy zapewne w życiu swojem omnipotencyi państwa, która w nacyonalistycznym zapędzie przekraczała granice ochronne dla prywatnej własności i wśród walki z socyalizmem stawała się sama socyalistyczną. Musiano ustawy okroić, ażeby je przeprowadzić i to przeciw głosom całej pruskiej arystokracyi, a miasto Berlin zaprotestowało przeciw zbytniej powolności swoich posłów wolnomyślnych, wybierając po raz pierwszy do sejmu pruskiego socyalistów.

Wśród tych okoliczności nic dziwnego, że ucichło jakoś o wznowieniu walki kulturnej z Kościołem katolickim. Słychać nawet, że rząd niepewny, czy dzisiejszy blok się utrzyma, wyciągał potajemnie rękę ku centrum katolickiemu, że były ze strony kanclerza nieśmiałe oświadczyny i że ks. Bülow dostał odkosza. Niewiadomo, ile jest w tych plotkach prawdy, ale to pewne, że rząd Rzeszy zamierza zażądać od parlamentu ogromnego podwyższenia podatków dla pokrycia deficytu, spowodowanego przez walkę z Anglią, to jest przez sztuczne poparcie niemieckiego eksportu i hanseatyckiej żeglugi i przez olbrzymie zbrojenia na morzu. Koalicye parlamentarne nierównie mniej nienaturalne jak dzisiejszy rządowy blok w Niemczech rozprysły się na szczerby, kiedy od nich zażądano, aby sięgały do kieszeni wyborców. Jeśli blok tę ogniową wytrzyma próbę, rzecz będzie tylko odroczoną i przyjdzie wcale niezadługo do zażądania większych jeszcze ofiar pieniężnych, wśród niekorzystniejszych nierównie okoliczności, — chyba, żeby rząd cesarski dalszej walki z Anglią zaniechał, albo żeby się zdecydował zaapelować do oręża i sprowadzić straszliwe dziejowe rozstrzygnięcie. Według wszelkiego prawdopodobieństwa system zainaugurowany przez kanclerza Bülowa długo się już nie utrzyma, a po jego upadku nastaną w Niemczech bardzo trudne komplikacye, wśród których będą się mogli Polacy układać, jeśli nie z rządem, to ze stronnictwami, tak w Niemczech, jak w Prusiech.

Żyłka opozycyjna zawsze bywała silną w całej Polsce, a nawet za czasów Rzeczypospolitej bywała w Wielkopolsce najsilniejszą. Życie porozbiorowe większą jeszcze aureolą otoczyło

wszelką opozycyę, a Polacy nawykli do sympatyi dla ludzi zwalczających istniejący porządek rzeczy. Postępowanie rządu pruskiego mogło te skłonności Polaków tylko spotęgować, a że socyaliści głosowali zawsze w Berlinie przeciw ustawom antypolskim, część społeczeństwa polskiego pod berłem pruskiem gotowa odruchowo wyciągać rękę ku socyalistom, — rozum atoli jest od tego, aby ten odruch powstrzymać.

Socyaliści są potężnem stronnictwem opozycyjnem, wpływu atoli na rząd ani w Niemczech ani w Prusiech nie mają i mieć nie będą póty, póki nie przyjdzie do jakiejś katastrofy, do zupełnego przewrotu, po prostu do rewolucyi. A nawet na wypadek nieprawdopodobny rewolucyi w Niemczech, nie utrzymają się socyaliści przy rządzie, choćby władze chwilowo w swoje ręce ujęli. Uczy tego historya wszystkich rewolucyi na świecie. Potwierdziła to tak bardzo niedawna historya rewolucyi rosyjskiej i potwierdzi wnet dalszy przebieg rewolucyi tureckiej. Wstrząśnienie spowodowane państwowym przewrotem wynosi wprawdzie stronnictwa skrajne, ale i każe im tracić równowagę. Stają się skrajniejszemi, aniżeli zamierzały, co sprowadza przeciw nim reakcyę, czyni ich sojuszników nienawistnymi dla społeczeństwa, a w Niemczech reakcya przeciw socyalistycznym rządom nastąpiłaby bardzo rychło. Jak długo socyaliści są w opozycyi, nie mogą się praktycznie na nic Polakom przydać, gdyby zaś Polaków zaawanturowali w jakąś rewolucyę, sprowadziliby na nich straszliwą klęskę, a każdy sojusz polski z socyalistami miałby tylko ten skutek, że poważne stronnictwa w Niemczech usposobiłby dla Polaków wrogo, wzmógłby germańską nienawiść dla słowiańskiego imienia, tak jak nieszczęsny udział Polaków w powstaniu paryskiej komuny, pozbawił nas na długie lat dziesiątki sympatyi francuskich, któremi niegdyś cieszyliśmy się.

Żadna chyba nić nie zwiąże nas nigdy z narodowymi liberałami, jako stronnictwem; co najwięcej możemy porozumiewać się czasem z szlachetniejszemi jednostkami z tego stronnictwa. Wolnomyślni tracą grunt pod nogami, — giną i nic ich podobno ożywić, wskrzesić nie zdoła. Pozostają tedy jako stronnictwa, z któremi się Polacy w Prusiech liczyć mają: centrum i konser-

watyści. Z centrum o wiele łatwiejsze jest porozumienie; łączy nas z niemieckimi katolikami wspólność wyznania, demokratyczność zasad, a politycznej taktyki i zmysłu organizacyjnego powinnibyśmy się u centrum niemieckiego uczyć, abyśmy mogli pielęgnować i wzmacniać swoje uczucia narodowe, utrzymać Polaków będących w rozsypce przy narodowości swojej i wciąż nowe rzesze uświadamiać, nie wyzywając przeciwnika, nie chwytając się środków agitacyjnych, które podobnie jak opór dzieci szkolnych, muszą się skończyć klęską, a więc mogą doprowadzić do zwątpienia. Od centrum możemy się tego nauczyć, że trzeba najczęściej milczeć o bezpośrednio zamierzonym celu, że znienawidzona mniejszość powinna się zawsze powstrzymać od przechwałki po osiągniętym sukcesie, że ten wreszcie, kto się odgraża, będąc słabszym, jest po prostu śmiesznym, a co gorzej samo chcąc sprowadza klęskę na swoich. Centrum jest silne, posiada znakomite wpływy i w Berlinie i w Rzymie, ale rządzącem stronnictwem nie jest, o niczem ostatecznie stanowić nie może.

Konserwatyści pruscy bywali dotąd nieprzyjaciółmi naszymi. Pierwszy raz, z powodu ustawy o wywłaszczeniu dostrzegli, że system wynaradawiający Polaków może doprowadzić do konsekwencyi, podkopujących ład społeczny. Jak długo Prusy pozostaną Prusami, oni to największy wpływ na rząd wywierać będą, a jeśli Prusy utoną kiedyś na prawdę w Niemczech, podzielą się tym wpływem przedewszystkiem z demokracyą katolicką. Z nimi zatem i z centrum przyjdzie się najpierw układać tym, którzyby chcieli w Prusiech obok agitacyjnej, prowadzić także praktyczną politykę polską. Jeśli kres ma być położony coraz sroższemu uciskowi narodowości polskiej, trzeba aby Polacy pod zaborem pruskim rozdzielili między sobą role. Trzeba dyplomatów mających się znosić ze stronnictwami w parlamencie i z rządem, do jakich posłowie polscy w parlamencie zaliczać się muszą, a obok nich trzeba pracowników w kraju. I tę receptę zaleciłbym Polakom wszędzie, gdzie są mniejszością w państwie i parlamencie. Dyplomaci mają szukać przyjaciół, nawiązywać stosunki, starać się o odwrócenie klęski i przysporzenie korzyści narodowych i ekonomicznych; ci drudzy w kraju mają pod ich ochroną pra-

cować. Trzeba, żeby w kraju człowieka nie potępiano już za to, że w Berlinie szuka jedynie praktycznych dróg, wiodących do pomniejszenia szkody narodowej, do uzyskania narodowego dobra; trzeba, ażeby przy pracy nawet wewnętrznej uwzględniano jego przestrogi, oparte na znajomości terenu parlamentarnego i rządowego.

Jeśli społeczeństwo polskie pod rządem pruskim pójdzie tą drogą, może odwrócić niejeden srogi cios przeciw niemu przez hakatę wymierzony; może sprawić, że antypolskie ustawy zostaną przeprowadzone łagodnie, że niektóre z nich spoczywać będą w zbrojowni rządowej, a naprawdę wykonanemi nie będą; co do korzyści zaś widocznych, to co najwięcej może się niektórych ulg ustawodawczych dorobić. Więcej na razie nie. Ale i tem nie należy pogardzać, a tak otrzymane zawieszenie broni, trzeba wyzyskać nie na prowokacye i agitacye, tylko na pracę skrzętną około utrzymania świadomości narodowej, wzmożenie dobrobytu, podniesienia oświaty polskiej. Nie tylko w Poznańskiem, w Prusiech i na Śląsku, pierwszem zadaniem Polaków w dobie dzisiejszej jest wytrwać, istnieć i doczekać się chwili, w której moralność międzynarodowa dojrzeje tak dalece, że naród już na życie narodu nastawać nie będzie, a że ta chwila nadejdzie, o tem wątpić niepodobna. W Anglii sumienie narodowe przekształciło się w ciągu ostatnich lat sześćdziesięciu tak dalece, że nawet najzapamiętalsi angielscy nacyonaliści prawią o obowiązkach, jakie Wielka Brytania przyjęła na siebie obce wcielając narody, a wyzyskano zwycięstwo, okupione ogromnemi ofiarami życia i mienia, aby nadać zwyciężonym Boerom autonomię zupełną i przywiązać ich tem samem do imperyum.

Sumienie i rozum odniosą prędzej czy później takie same zwycięstwo w Niemczech, a zadaniem Polaków tej chwili nie opóźniać ale i owszem przyspieszać, nie drażniąc niemieckiego narodu, obcując z lepszymi Niemcami, nakłaniając ich, aby się stali godnymi wysokiej cywilizacyi, którą się chełpią.

Wojciech Dzieduszycki.

Z MYŚLI WIECZORNYCH.

V.

Że raz jeszcze...

Że przed nadejściem nocy raz jeszcze ujrzałem lazury niebios wolnych, przestworza pól szerokich, płynne kryształy wodne, jaskółcze loty chyże, słoneczny glob promienisty, który spływał za obrzeżynę ziemi, gdy po niebie orszakiem królewskim żeglowały świecące klejnoty — obłoki

i że słyszałem skrzydła wichrów szumne, skowrończe śpiewy polne, szeptania liści o tajemnicach zapadającego zmroku, bezdenne cisze nad różanymi świtami poranków;

żeś oczom moim spocząć dał w oczach niezapominajek, pić biel śnieżystą z wilgotnych koron nenufarów

i że widziałem, jak na gałęziach wiotkich goreją rosy, gdy w nie przenika purpura zorzy rubinowa;

że gdy wszystko naokół czyste było i ciche, myślą czystą i cierpieniem cichem do Ciebie o litość nad sercem swem wołałem

i litością wielką litowałem się nad tymi, którzy we wrzawach pustych, w blaskach zwodnych, w rozpyle dusz marnym serca swe nurzają;

żeś o godzinie zachodu zapalił mi na niebie rubinową wstęgę zorzy, której purpura serce moje przeniknęła

i że to serce przed okiem Twojem na oścież rozewrzeć mogę, bo na jego purpurze nic niema, krom gorejącej jak rosa o zachodzie — łzy;

bądź podziękowan i ubłogosławion Stwórco lazurów, kryształów, lotów chyżych, kwiatów białych, globów promienistych — i serc purpurą zorzy przeniknionych, z gorejącą na niej w milczeniu wieczornem łzą!

VI.

Zmiłuj się nad nami!

Jako woda uciekająca — życie nasze,
jako wątłe skorupy kruche — łodzie nasze,
jako kwiaty więdnące — serca nasze,
jako ptaki więzione — dusze nasze.
Jako światełka, które we mgłach obłędnych Swiatła szukają — myśli nasze,
jako rany, które tęsknością łaknąc, wargi ku dosytowi rozwierają — kochania nasze,
jako trzciny, któremi nad wezbraniem wód biegnących wichry miotają — wole nasze,
jako gołębie ku niebiosom wzlatując, pościg jastrzębi za sobą mają — cnoty nasze.

Tyś, Panie! dla wód w wieczność uciekających — ujściem,
dla żeglarzy z fal na fale spienione rzucanych — przystanią,
dla serc od tęskności łaknącej we wnętrzu swem omdlałych — winem,
dla skrzydeł od bicia w ściany klatki rozbolałych — nadzieją.
Zmiłuj się nad nami!

Tyś pochodnią — szukającym.
lekarzem tych — co chorzy,
siłą — w sobie zachwianych,
ratunkiem — ściganych.
Zmiłuj się nad nami!

My prochy liche i przed Wielkością Twoją największy z nas — pyłek marny,
my ślepcy błądzący i przed Mądrością Twoją najmędrszy z nas — krótkowidz jednooki,
my z jadem w żyłach zrodzeni i przed Dobrocią Twoją najsłodszy z nas — piołun gorzki,
my niedolą na sercach piętnowani i przed Szczęśliwością Twoją najszczęśniejszy z nas — nędzarz spłakany.
Zmiłuj się nad nami!

Tyś światłem — bez cienia,
kochaniem — bez cierpienia,
potęgą — bez zachwiania,
dobrem — bez skazy,
Zmiłuj się nad nami!

Wielkość Twa, za krańce stworzonych wszechprzestrzeni — sięga,
Mądrość Twa, zmazy do stóp Twych kornie przypadające — przekreśla,
Dobroć Twa, serca rany swe błagalnie Tobie ukazujące — ukaja,
Litość Twa, nad brzemiona swe po drogach twardych niosącymi — pochylona.
Zmiłuj się nad nami!

Idziemy, idziemy ku Tobie po falach wód w wieczność biegnących — chwiejący się i niedowidzący,
płyniemy, płyniemy ku Tobie, na łodziach wątłych, kruchych — błądzący i powracający,
wołamy, wołamy ku Tobie, z serc i skrzydeł udręczonych — łzy i krew roniący,
lecimy, lecimy ku Tobie, przed pościgami jastrzębimi — strwożeni i uciekający.
Zmiłuj się nad nami!

Eliza Orzeszkowa.

NOWY PROBLEM W NASZEJ BELLETRYSTYCE.

Był czas przed laty kilkunastu, gdzie nasza publiczność i krytyka, znużone jałowością realizmu, jako techniki powieści, a erotyzmu, jako jedynej jej treści, witały jako nowość literacką każde najlżejsze odchylenie się od tego szablonu. W jednym utworze podnoszono zwiększoną dozę pierwiastka uczuciowego, w innym nastrojowość, a jeszcze w innych nowy temat. Był to czas, kiedy powieściopisarze sami, czując duszność dotychczasowej atmosfery, rzucili się hurmem na tereny mniej dla ogółu przystępne, jęli błąkać się poza kulisy giełdy, po kopalniach nafty, po wszelkiego rodzaju zaułkach i najciemniejszych norach nędzy.

W ten sposób rozszerzał się, niestety, tylko teren zewnętrznego świata i zmieniała się tylko dekoracya zewnętrzna. Zamiast stołków, robionych przed pięćdziesięciu laty, widziało się fotele, wyginane według najnowszego modelu, lub zrobaczone tapczany. Nie stawiano nowych problemów, tylko nowe kulisy, wśród których ten sam, co przedtem, rozgrywał się dramat.

Nie było wówczas jeszcze przełomu w duszy ludzkiej, więc i nie było nowych idei i nowych zagadnień.

Aż oto, od lat kilku, tak za granicą jak i u nas, raz po raz, z coraz większą siłą i z coraz większą natarczywością, zjawiać się zaczyna na widowni literackiej nowe zagadnienie, zagadnienie, którego jeszcze niedawno opinia publiczna zdawała się nie przeczuwać. Po długoletnim pobycie w katakumbach, wychodzi na światło dzienne, w całym blasku swojej pierwotnej świetności,

zagadnienie religijne. Tysiąc razy odrzucana i uśmiercana, w tysiące sposobów gnębiona, zmar. wychpowstaje dziś ta idea-męczennica z niezłomną potęgą wiecznie młodzieńczej siły.

Już też ostatni był czas na jej przyjście, bo tuż pod bokiem dogorywają wrogie jej kierunki w ohydnej orgii »Dziejów grzechu«, same też już wypowiedziały nad sobą pośmiertne *De profundis*. Samo prawo życia przywołało tę religijną ideę na widownię.

Do licznego już poczetu tej twórczości, reprezentowanego niejednokrotnie przez pierwszorzędne talenty, przybywa dziś nowy utwór, powieść Wincentego Kosiakiewicza: »Z powrotem«.

Znało się powszechnie i ceniło się talent p. Kosiakiewicza. Zdawało się nawet, że już daje się dokładnie określić. Wtem, oto, nowa idea rozwiązuje w tym talencie nową moc, jakby dotychczas uśpioną, czy raczej stojącą w rezerwie. Może być, że powieściopisarz stanął na najwłaściwszym sobie terenie, że dotarł do idei, będącej rdzeniem jego twórczej siły. Może też być, że ta idea trzymana przez szereg lat na uwięzi a wciąż się przeciw tej uwięzi buntująca, zrywająca się wciąż z kagańca i borykająca w duszy, nabrała tyle mocy i świadomości siebie, że gdy wreszcie nadeszła obecna chwila, w której te więzienne łańcuchy pękły, powstała od razu w pełni dojrzałej siły i wypadła na światło dzienne z impetem więźnia, odzyskującego wolność. Tak czy owak, powstaje nowy świat, silną a wprawną budowany ręką, bijący pełnym pulsem życia i falą krwi serdecznej. Nawet abstrakcye, jak szczegóły analizy psychologicznej, syntezy religijne, idee filozoficzne, wszystko to zamienia się w konkretne, żyjące jestestwa, raz wraz wiążące się w tragiczny moment a rozwiązujące się wkońcu w jasną pełnię życia.

Powieść swą nazywa autor »pamiętnikiem współczesnego człowieka«; pamiętnik zaś ten ma być dokumentem »do psychologii wiary i niewiary«. »Dziwne to — mówi ów współczesny człowiek, Jan Woski — jak mało literatura powszechna posiada dokumentów do psychologii wiary i niewiary. Nie spotkałem się z analizą stanu duszy, któryby przedstawiał analogie i pokrewieństwa z tem, com przeżył wtedy. Czy było to normalne zjawisko,

czy ściśle indywidualne i wyjątkowe? O tem zgoła nie mogę zdać sobie sprawy. Ludzie nie lubią dotykać tego przedmiotu. Ani piszą o nim ani rozmawiają. Najbliżsi mnie, gdym ich chciał o to badać, zbywali to badanie ogólnikami. Czasem dano mi do zrozumienia, iż nie jestem dość delikatny«.

I oto ten podkład epoki, w której religię nie tylko wyrzucono z dusz, ale i wszelki ślad w potocznem życiu usiłowano po niej zatrzeć. Ten zarazek niewiary roztaczał się w całej atmosferze, czaił się wszędzie i, co chwilę, nowe zabijał ofiary. I nasz bohater, Jan Woski, padł ofiarą tej dżumy, i to na samym progu życia. Gdzieś w którejś klasie zadrwili sobie koledzy z istnienia Boga; szyderstwo to uderzyło w młodą duszę jak piorun. W pierwszej chwili zapanowało w młodem sercu przerażenie i osłupienie, potem przyszła noc wewnętrznego szamotania się i szukania po omacku drogi wyjścia. Ale młody, niedoświadczony umysł nie umiał, niestety, trafić na prawdziwą drogę. W sercu była wiara, ale bezbronna, »jak skarb przy drodze, który pierwszy przechodzący złoczyńca zabierze«.

Pustka, jaka nastała w duszy po utracie wiary, nie mogła być długo niezajęta — w umyśle ludzkim musi być jakiś pogląd na świat. Wtargnęła też wkrótce do młodej głowy fantasmagorya materyalistyczna, jedna z najbardziej w tym okresie popularnych. »Jest materya i siła, a temi rządzą prawa natury — i to już jest wszystko«. To wystarczało dla studenta; jakieś słowo profesora, jedno, drugie, zdanie podręcznika, narzuciły młodej głowie nowy pogląd na świat.

Następny okres w życiu młodzieńca jest nadzwyczaj interesujący. Przyjąwszy materyalizm za dogmat, stał się otwartym jego wyznawcą, a wyznawcą konsekwentnym i logicznym. Logiki pozazdrościćby mu powinni najstarsi materyaliści. Bo i cóż pozostaje po przyjęciu materyalizmu? »Honor — wielkie uczucia — wielkie cele?« »Skoro wszystko — tak odpowiadał swoim kolegom student — jest tylko grą sił przyrody, regularnych ale bezrozumnych i ślepych, ruchem cząsteczek materyi, na zawsze w swych własnościach określonych, w takim razie najwznioślejsze rzeczy tyleż mają znaczenia i sensu, co i najpoziomsze«.

Kiedyindziej atakował pojęcie ideału: »Ideał?! Cóż to jest ideał? Trochę drgania cząstek materyi nerwowej mózgu, gdy się o tem myśli i lekkie wstrząśnienie powietrza, gdy się o tem mówi. I nic ponadto«.

Te i tym podobne werdykty były jakiś czas przez kolegów tolerowane, przez niektórych nawet wielbione. Odwróciła się dopiero sympatya ogółu, gdy młody człowiek zupełnie logicznie ze swego stanowiska rozpoczął atakować ideę narodowości i miłości ojczyzny. »Skoro człowiek jest tylko kawałkiem zorganizowanej w danym punkcie przestrzeni materyi, która się nieuchronnie i w krótkim peryodzie czasu rozpadnie na składowe części, to po co burzyć sobie krew chimerą narodowości?! Wszystko jedno, czem się jest. Jednakowy wszystkiego początek, jednakowy koniec, a różnice przebiegu od tego początku do tego końca są sobie równe i jednoznaczne«.

Materyalistyczny ten pogląd rozciągnął się w dalszym ciągu na całą duszę młodzieńca i stał się dlań tem, czem jest rzeczywiście w swoich konsekwencyach życiowych, prostym nihilizmem. Biedny student odczuł wkrótce, że całe życie traci dla niego wszelką wartość, i, że teorya z nieubłaganą siłą prowadzi go do tego, by wyniszczył w sobie wszelkie doń przywiązanie.

Ostre to stadyum zaczęło przemijać wkrótce, życie samo brało powoli górę nad fałszem. Pewien oportunizm życiowy w jednych sprawach, w innych żywy temperament, kazały mimo wszystko żyć i do warunków życia dostosowywać się. Materyalizm pozostał w głowie, jako formułka teoretyczna niemająca żadnego wpływu na życie z tym jednym tylko wyjątkiem, że wykluczał z życia wiarę i religijność.

Na takiem tle roztacza się dalszy szereg lat tego pamiętnika. Ukończenie studyów w kraju, wyjazd za granicę na dalsze studya, przerzucanie się z jednego fakultetu na drugi, z jednego do drugiego miasta, — a w toku tego różne zawody młodzieńcze, kłopoty rodzinne, miłostki, prace i zabiegi. Opis tych lat tak szczery, tak naturalny, iż doskonale czuje się, przed sobą autentyczny dokument życia. Z biegiem lat zmienia się i filozoficzny pogląd na życie, materyalista przedzierżga się w fenomenalistę. Gdzieś

w jednem miejscu pamiętnika notuje sobie następujące słowa: »A więc to wcale nie materya była tem, co posiada wyłączne, jedyne, pozytywne istnienie?! Ani trochę! Nie! To są wrażenia i wyobrażenia mojego »ja«. Cały świat — to tkanka psychologiczna mojej świadomości. Jak pająk nić, tak ja, snuję z wnętrza mojego pasmo obrazów przelotnych, które są wszystkiem: mną i wszechświatem... A jeszcze tego wnętrza wcale niema — jest tylko pasmo — nie, i pasma niema »jest tylko to, co majaczeje w momencie obecnym«.

Chimeryczność takiego poglądu czuł doskonale od pierwszej chwili sam Woski, to też nie przywiązywał już doń takiego znaczenia, jak w swoim czasie do materyalizmu. Umieścił w swojej garderobie i ten strój, bynajmniej nie zarzekając się nabywania nowych. Zaroiło się też wkrótce w tej głowie, jak roi się w wielu dzisiejszych głowach, od przeróżnych systemów filozoficznych. Był fenomenalistą, deterministą, agnostykiem, pozytywistą. Był jednak Woski o tyle konsekwentniejszy i szczerszy od wielu dzisiejszych głów, że stracił wkrótce szacunek dla wszystkich filozoficznych systemów. Widząc, jak walą się w myśli jego, jeden po drugim, gmachy filozoficzne, które przed chwilą z młodzieńczym entuzyazmem witał, stracił do nich ufność, i zrozumiał, że, obok wielu innych przesądów, istnieje także przesąd filozoficzny. Zrozumiawszy to, znalazł się w martwym punkcie ruchu myśli i idei, stał się zupełnym sceptykiem.

Mimo wszystko, był jednak Woski stworzony na apostoła idei religijnej. Utraciwszy wiarę w istnienie Boga, przeszedł wszystkie etapy, dopóki tej wiary napowrót nie znalazł. Po latach tułania się myśli, uderzyła go jednego razu, z całą jasnością, następująca, najprostsza w świecie, idea: »Przecież nikt nie dowiódł, że Boga niema«. Był wtedy na wypoczynku w Normandyi, nad brzegiem morza, zdala od książek i dysput, syt teoryi i systemów, więc idea ta wybiła mu się spontanaicznie z duszy, jak wystrzela z ziemi, po orce i długim spoczynku, roślinka, tem droższa, że samorodna, że własna, że zwiastująca początek nowego życia. Chodził podniecony po brzegu morskim i rozumował: »Twierdzić, że Boga niema — jest to coś wiedzieć bardzo na pewno!...

A cóż my, ludzkie mizeractwo, wiemy na pewno? Nic. Bezpłatnem jest zapewnienie ateistów. I ego: może Bóg i jest... A gdyby tak naprawdę poza dekoracyami świata, za kulisami życia — był Bóg?!« I starym zwyczajem nałogowego sceptyka dodał sobie: »To byłoby zabawne!«.

Wobec dzisiejszego ateizmu, twierdzącego zrazu, że nauka nic o Bogu nie wie, a następnie wyciągającego stąd zupełnie nielogicznie wniosek: »a więc Boga niema«, postawienie takie kwestyi było bardzo trafne. Doświadczył wkrótce tej trafności Woski na jednym z swoich niewierzących kolegów. Już po kilku zdaniach dyskusyi, na temat istnienia życia pozagrobowego, przyparł go niemiłosiernie do muru. Oto urywek z tej oryginalnej dyskusyi, którą zapisał Woski w swoim pamiętniku, w całości:

— »Według was, czy istnieje życie pozagrobowe, zapytałem.

— Odpowiem wam na to ostro, śmiało, stanowczo i bardzo ściśle: nie wiem.

— Doskonale. I ja także o tem nie wiem.

— Więc, jesteśmy w zgodzie...

— Prawdziwej. Ale poszukajcie teraz dobrze w całości waszych myśli, przekonań poglądów. Co wam się wydaje bliższem prawdy: to, iż życie pozagrobowe istnieje? czy też, że go wcale niema?

— Ależ ja nie mam najmniejszego dowodu, że istnieje życie zagrobowe — rzucił się.

— To prawda. Więc stąd wnosicie, że go niema? co?

— No, oczywiście.

— A więc kiedyście mówili przed chwilą wasze uroczyste n i e w i e m — toście poprostu kłamali przedemną?

— Jakto?!

— Bo wy przecież wiecie, pozytywnie i stanowczo wiecie coś o życiu pozagrobowem; wiecie nawet dużo, bo wszystko, co o tej sprawie wiedzieć można. Mianowicie, że tego życia niema«.

Ostatnie słowo przeciągającej się jeszcze dalej dyskusyi, zwycięskie dla Woskiego, kategoryczny mianowicie wniosek: »a więc być może, iż życie pozagrobowe istnieje«, ma w psychicznej ewolucyi Woskiego swoje doniosłe znaczenie. Było to doskonałe przy-

gotowanie pod drugi etap, tym razem nie opierający się już na własnym wysiłku myśli, ale na książce Pascala, która po jakimś czasie wpadła Woskiemu w ręce. Decydujące wrażenie sprawiły następne, słynne, słowa Pascala:

»Macie życie, jako fakt i tem samem musicie wybierać »wierzyć albo nie wierzyć«. Cóż wybieracie? A wybierać musicie. Nie możecie wyrzec się wyboru. W żaden sposób.

»Wybierajcież.

»Niewiarę?!

»Zobaczmy wasze szanse w tym wypadku.

»Jeżeli t a m nic niema — nic wtedy nie tracicie. Ale jeżeli t a m jest coś?! Drżyjcie!

»A teraz przypuśćmy, że wybraliście Wiarę?

»Jakież są szanse?

»Jeżeli t a m nic niema — coście stracili? Zero. Ale jeżeli t a m jest wieczność i sprawiedliwość, wygrywacie fant, którego wartość nawet wyobraźnia ludzka ogarnąć nie może.

»Macie więc cztery zakryte karty. Na jedną z nich musicie, słyszycie, musicie koniecznie postawić stawkę waszego życia.

»Na którąż z czterech ją postawicie teraz?!

»Z nich jedna tylko może przegrać, dwie zwracają wam stawkę, jedna jest wygrana«.

Rozumowanie to Pascala wydało się Woskiemu w pierwszej chwili brutalne, szorstkie, odpychające — mimo to czuł, jak przetrawia go ono wewnętrznie do gruntu.

Przełom w myśli już się rozpoczął, ale jak daleko jeszcze od tego psychicznego stanu do całkowitego powrotu. Powrót ten nie zawidniał nawet dotychczas na widnokręgu duszy Woskiego, choć już wiele składało się nań czynników. Zrozumiał już, że żaden artykuł wiedzy nie wyklucza istnienia Boga, zrozumiał także, jak próżne i przesądne są współczesne systemy filozoficzne. Przedewszystkiem odczuł na sobie, jak burzą one wszelkie drogowskazy dla duszy i rzucają ją w pustkę, nic pozytywnego dla życia nie dając. Począł rozumieć natomiast, jak szerokie widnokręgi otwiera religijna wiara, jak piękne i szlachetne są jej wskazania i zasady. Jak wymownie, w tym stanie duszy, odwraca on

swoją siostrę od wątpliwości przeciw wierze: »Tym sprawom — mówił jej — które cię morduj[illegible] ja, widzisz, poświęciłem, mogę powiedzieć, życie. Ludzie, którzy się przysięgają, że Boga niema, są to półmędrki. Każdego z nich wysadzę z siodła, pyskiem na ziemię. Tajemnicy świata nikt nie przeniknął i nikt pewno nie przeniknie. I w tem jest, być może, wola Boża. Za lat parę, gdy poznasz tyle fizyki i psychologii, ile ja jej znam, sama będziesz mogła tych warszawskich mędrców otworzyć, nieraz jednym argumentem, jak jednym ruchem może i ręki otwiera się na wpół zgniłą ostrygę. Nauka nie prowadzi do bezreligijności, tego bądź pewna. Wielki matematyk Cauchy i wielki przyrodnik Pasteur byli głęboko religijnymi ludźmi. Wiarę można więc stracić jedynie z powodów, nic wspólnego nie mających z nauką. A czy należy tego chcieć?! Szaleńcy tylko ci mogą odpowiedzieć »tak«. Tyle nadziei, co ona daje?! takie oparcie niesłychane w życiu, jakie ona przedstawia?! to zwycięstwo śmierci, jakiego nic innego ci nie może obiecać?! — choćby ta żywa zasada moralna, która ci oświetla od razu każdy czyn i każdy zamiar?! — wszystko to wyrzucić za okno?! Wraz ze szansą na zbawienie?! i powiększając szansę potępienia?! Szaleństwo! Szaleństwo! mówię ci dziewczyno. Trzymaj to wszystko obiema rękoma«.

Mimo tych wszystkich rad, dawanych drugim, sam był jeszcze daleko od wiary. Odrzucił dotychczas tylko rumowisko teoretycznych przeszkód, pozytywnych jednak węgłów pod wiarę jeszcze nie założył. I w tej pracy dalszej znowu mu Pascal przychodzi z pomocą. Uderza go znowu zdanie Pascala, że powrót do religii trzeba rozpocząć od religijnej praktyki: »Zaczynajcie od kropienia się wodą święconą i chodzenia na mszę. Wiara przyjdzie za tem«.

Już był Woski w tem stadyum, że rady tej nie odepchnął. »Teoretykowi logikowi — pisze w swoim pamiętniku — musiałoby się to wydać niedorzecznością. Ale ja nie byłem teoretykiem. Nie ufałem potędze rozumowania. Wiedziałem, że człowiek jest czemś więcej, aniżeli maszyną do zbierania indukcyi i fabrykowania syllogizmów. Pascal mógł swą radę oprzeć na człowieku całym, na jego psychologii kompletnej«.

Na podstawie tej wskazówki Pascala formułuje sobie Woski

następujący teoremat: »Praktyka z różnych uczuć ludzkich tworzy uczucie religijne. To uczucie jest podstawą wiary. Ona skłania w następstwie rozum do przyjęcia dowodów istnienia Boga«.

Czy teoremat ten słuszny, to inna kwestya! Praktyka religijna ma swoje ogromne znaczenie, tak, przy kształtowaniu uczucia religijnego, jak i pod innymi względami — to prawda. Uczucie to religijne ma również swoje doniosłe znaczenie dla podstawy wiary, dla wielu być może nawet psychologicznym punktem wyjścia, ale samo podstawą wiary religijnej nie jest. Byłaby to krucha wiara, gdyby opierała się na samem uczuciu, a nie na rozumie. Rozumowi także przyznać należy samodzielną siłę przy przyjmowaniu istnienia Boga, siłę, którą następnie wiara wzmacnia.

Nie zapominajmy jednak, że nie mamy do czynienia z podręcznikiem apologetycznym, ale z pamiętnikiem konwertyty, a nawrócenia tyloma idą drogami, czasem nawet manowcami. Zresztą, ten teoremat odzwierciedla tylko jedną chwilę rozumowania człowieka, szukającego dopiero za prawdą, bynajmniej zaś nie ma być wytyczną normą.

Jakkolwiek stoi sprawa z tym teorematem, faktem jest, że do celu doprowadziła Woskiego praktyka religijna, modlitwa. Szła mu zrazu trudno, bardzo nawet trudno, ale wkońcu cel swój osiągnęła.

Cel ten ostateczny nie był jednak osiągnięty od razu. Szukanie trwało jeszcze dalej, grały w niem rolę i książka Renana i Wyznania św. Augustyna. Grała również rolę kobieta. Wiązał Woskiego stosunek z mężatką. We własnym pochodzie ku Bogu i religii, pociągnął w tymsamym kierunku i kochaną przez siebie kobietę. Nie rozumiał jednak jeszcze, że religia nakłada obowiązek dobrego życia i zerwania złych stosunków. Prędzej to pojęła kobieta i poszła za obowiązkiem, podyktowanym przez sumienie i wiarę. Wobec utraty ukochanej kobiety, i to z powodu religii, rodzi się w Woskim bunt. Chce zerwać wszystkie węzły, które sam nawiązał z religią. Scenę tę niezwykłą warto przytoczyć w całości:

»Pod wpływem myśli złej, z sercem nabrzmiałem od gory-

czy, z myślą zapaloną buntem, poszedłem przed obraz Matki Boskiej.

Chciałem tam złożyć pożegnanie moje tej nadziei, którą kultywowałem w sobie tak długo i głupio. Chciałem wybuchnąć bluźnierczą negacyą. Chciałem strząsnąć z siebie te wszystkie naleciałości religijne, któremi się z wierzchu oblepiałem, w przypuszczeniu, że może coś kiedyś przeniknie z tego do wnętrza.

— Aaa! więc Boga niema! — powiedziałem w sobie z siłą, krzyknąłem jakby głosem wewnętrznym.

Ale w tej chwili ogarnął mnie strach, nieznany mi nigdy.

Nogi się podemną zachwiały.

Zdawało mi się, że widzę gdzieś w przestworzu, zamroczonem gniewem, jakiś piorun przeznaczony dla mnie.

Nie umiałem zdać sobie sprawy z tego, czegom doznawał.

Podniosłem z przestrachu rękę do czoła.

W tej chwili po raz pierwszy, poczułem na sobie wzrok Najświętszej Panny, wymowny, miłosierny, wyrozumiałości pełen, żywy.

Zrozumiałem.

Ja wierzę... wierzę... wierzę...

Oto nie umiem już wrócić na dawną drogę, choć krokami tam skręcam. Oto zbaczam zaraz z niej i cofam się, ledwo jedną postawić na niej chcę nogę, odpycha mnie ona jak obcego. Więc wierzę, wierzę. Chcę czy nie chcę. Więc sięgnęła mi wiara aż do dna serca, aż do korzenia duszy.

Jak to się stało? Kiedy?! Nie wiem. Nie wiem nic.

Ale mam dowód, że wierzę — bom przed momentem chciał nie wierzyć — i nie mogłem, nie byłem w stanie.

Radość szalona i bezmierna ogarnęła mnie całego.

Upadłem na kolana; potem na twarz; zacząłem mówić słowa pacierza; alem nie mógł ich porządku utrzymać; począłem mówić własnymi słowami do Boga, korzyć się i dziękować. Byłem tyleż wzruszony, co i zdumiony, że mnie raczył wysłuchać i przyjąć. A pomiędzy wyrazami tej modlitwy ekstazyjnej wracało mi raz po raz pytanie: jak to się stało? jak to się stało?

Kiedym ochłonął z tego wniebowzięcia duszy i czoło oderwał

od posadzki kościelnej, przyszedł mi na myśl tekst jeden Pascala, nad którym nigdy dotąd się nie zastanawiałem...

I zdawało mi się, że to Pan Bóg, dobrotliwy i przebłagany, do miłości i nagrody pospieszny, odpowiada na moje pytanie:

„Jeżeliś mnie szukał, to znaczy, żeś mnie już był znalazł'

Grube, rzęsiste łzy zdrojem puściły się z oczu moich«.

Jest druga scena w tej powieści, stanowiąca *pendant* do powyżej przytoczonej. Oto w latach młodości, w kilka dni po utracie wiary, biegnie student do Kościoła, ażeby zdobyć się jeszcze na wysiłek obronny:

»Bolesnym i zmęczonym wzrokiem wodziłem po obrazach i posągach świętych.

Osunąłem się wreszcie na kolana i twarz ukryłem w dłoniach.

— Boże, jęknąłem modlitwę, która mogła być ostatnią już w mojem życiu — daj mi znak, jeżeli jesteś!...

Nic nie przemówiło przedemną.

Nic nie odezwało się we mnie.

Wstałem z kolan — już zimny jak lód«.

Oto po latach przyszła odpowiedź.

Tak dokonał się powrót do Boga, a wraz z nią objęły duszę nadzieja, cisza i radość. Był to dla Woskiego nowy dowód, że trafił na prawdziwą drogę. »Dlaczego tamte prawdy tak mnie gnębiły, łamały, kruszyły, na proch jakiś marny ścierały, a ta pokrzepia mnie, podnosi, uskrzydla, upaja, czyni mocarzem? Potrzebaż mi lepszego dowodu, że tamte prawdy były przebranymi, i tak źle przebranymi fałszami, a ta jest prawdą rzeczywistą i błogosławioną?! I co może mnie lepiej, bardziej, oczywiściej przekonać o tem — od tej zgodności duszy z prawdą, co wyraz swój odnajduje w tem uczuciu szczęścia, jakiego jestem pełen?! Jeżeli pewna idea tak całkowicie, tak wyłącznie, tak niemal bez reszty, zaspokaja i uspokaja duszę, to czyż nie należy stąd wnieść niezawodnie, że ta idea stworzoną została dla duszy a dusza dla tej idei, że razem stanowią całość i jedność i komplet«.

Dotychczas doszedł Woski tylko do deizmu. W domówieniu przedstawia pobudki, które go doprowadziły do katolicyzmu. Katolicyzm był najpierw religią jego młodości. Stać się na nowo

katolikiem, było to nawiązać od razu kilka nici złotych, nić identyczności z samym sobą, czuć się gorąco tym samym człowiekiem, któremu dziesięcioro przykazań wprowadzało do dziecięcej duszy pierwsze obowiązki, a »Wierzę w Boga« oświecało świat pierwszą filozofią. Katolicyzm był dalej religią jego narodu. »Ten sam urok męczeństwa szedł od niego, który na całym ludzie moim leżał, a który sprawiał, że przed kościołami odsłaniali z szacunkiem głowy i ci, w których sercach Bóg umarł od dawna i często na zawsze«. Pociągały go także i piękno katolicyzmu i jego wielkość i potęga i siła jego organizacyjna i polityczna. Przyznaje natomiast w pokorze, że najwłaściwsza pobudka, ta mianowicie, iż katolicyzm jest jedynie prawdziwą religią, jedyną skarbnicą Boski depozyt Objawienia przechowującą, że ta nie była w jego duszy obecną w chwili, kiedy do katolicyzmu wracał — chyba, w formie przeczucia.

Tak przedstawia się przebieg głównej myśli tego niezwykłego pamiętnika. Książka doprawdy niezwykła. Odkrywa nowy widnokrąg a zarazem przejaśnia go takiem światłem szczerości, prawdy, jasności przekonań i miłości tych przekonań, że nawet ludziom innych przekonań powinna nakazać respekt.

Jest też ta książka nowym dowodem, jednym z wielu, dziś coraz liczniejszych, żywotności tej idei, której jest poświęcona.

Ks. J. Pawelski.

KWESTYA OBECNEGO U NAS BOJKOTU.

Walki narodowościowe, zaostrzające się coraz bardziej, w połączeniu z uświadomieniem narodowem najszerszych warstw, jako jeden ze środków pokojowej walki między narodami stworzyły bojkot. Rozlega się wszędzie hasło: kupujcie u swoich! I póki ono streszcza się w żądaniu dania pierwszeństwa własnym rodakom, nie może być przez nikogo rozsądnego zaczepione. Bo oczywiście swoim należy się pierwszeństwo przed obcymi, i ze stanowiska etycznego i socyologicznego, nawoływanie takie jest równie usprawiedliwione.

Cła ochronne były od dawna pośrednim sposobem bojkotu towarów obcych. Odmowa udziału robotników przy wyładowaniu towarów z okrętów, jaka ma miejsce obecnie w portach tureckich wobec parowców austryackiego Lloyda, jest atoli czemś więcej, aniżeli dawaniem pierwszeństwa, bo zupełnem wykluczeniem konkurencyi, podczas gdy wezwania w prasie, wystosowane do własnego społeczeństwa, by dopomogło do stworzenia handlu rodzimego, polskiego w sklepikach kółek rolniczych, oraz do zastąpienia drogiego, często lichwiarskiego kredytu prywatnego kasami raiffeisenowskiemi, przedstawiają się jako objawy zdrowej ekonomicznej samopomocy społeczeństwa polskiego, i tylko bardzo jednostronni obrońcy handlarzy i lichwiarzy galicyjskich w sejmie mogli je określić jako objaw nienawiści narodowej czy nawet rasowej lub religijnej.

Dla nas w tej chwili najaktualniejszą jest kwestya naszego

stosunku do Prus w dziedzinie sprowadzania stamtąd towarów i dostarczania im robotników rolnych. W obu tych dziedzinach nasunąć się nam muszą pytania: *a)* o ile można potrzebne nam towary nabyć w kraju, *b)* o ile można je nabyć u innych narodów z pominięciem tego, który nas krzywdzi i uciska, *c)* o ile zdołamy skierować armię robotników rolnych do innych krajów z wyłączeniem Prus, przy utrzymaniu dla nich tych samych warunków egzystencyi. Kwestye te są niesłychanie doniosłe, a przytem bardzo zawiłe. Musimy z nich bowiem wyłączyć poza nawias wbrew zwyczajowi i nieomal tradycyi uczucie, które bywa najczęściej złym w polityce doradcą, a za drogowskaz obrać nie chęć szkodzenia Prusom, ale przysporzenia korzyści sobie.

Wszelkie kupowanie towarów własnego zapotrzebowania u obcych, przyjaciół czy wrogów, jest zależnością ekonomiczną i upokorzeniem, bo przyznaniem się do własnej niższości. Ambicya i interes narodu powinny więc popychać go koniecznie w kierunku wyzwolenia się z tych łańcuchów. Zastąpienie jednej niewoli drugą jest tylko zmianą kajdan, niczem więcej. W pierwszym więc rzędzie powinno być naszem zadaniem stworzenie w kraju przemysłu we wszystkich dziedzinach, obejmujących nasze zapotrzebowanie. To jest jasne. Ale o ile to jest niemożliwe, bądź wogóle, bądź na razie, ze względu na wysokie taryfy kolejowe, brak miejsc odbytu, zdobytych już przez fabryki zagraniczne i austryackie w innych krajach koronnych położone, brak kapitału i przedsiębiorczości w kraju, jakiż wówczas ma być kierunek naszego działania? Oddając się jednym, obojętnym, w zależność ekonomiczną, rugujemy przynajmniej drugich, prześladowców i wrogów. Krzywdzą nas, więc gdy zerwiemy z nimi stosunki handlowe, może otworzą im się nareszcie oczy.

Ale teraz pytanie: Czy bojkot ma być indywidualny czy geograficzny? Czy np. centrowiec Niemiec, odnoszący się zawsze życzliwie do Polaków, ale posiadający fabrykę w granicach Prus ma być bojkotowany przez nasze kupiectwo, a niemiecki narodowiec, zwolennik Wolfa, z Chebu, Liberca lub Moraw ma być protegowany jako Austryak? Byłoby to oczywiście niesprawiedliwością, a jednak wprost to niemożliwe badać przekonania jednostek,

zwłaszcza gdy one są interesowane w tem, aby się nam jaknajkorzystniej przedstawić i gdy, jak niedawno jeszcze kupcy w Katowicach i większa część fabryk pruskich, niewątpliwie wszyscy zapewniają kupców polskich o przyjaznych dla nas uczuciach i niezadowoleniu z polityki rządowej. W walce między narodami, niepodobna niestety odróżnić winowajców od niewinnych i póki istnieć ona będzie na ziemi, jednostki cierpieć muszą za winę swego narodu. Więc bojkot, jeżeli wogóle ma być, może być tylko geograficzny. Wyrządzi on wprawdzie niejednej jednostce krzywdę, bo uległość posłów swoich wobec rządu, odpokutuje nieraz człowiek, pragnący stać z daleka od polityki, może dobroduszny, raczej obojętny niż niechętny nam Niemiec. Mimo to tylko taki bojkot geograficzny może mieć sens, oczywiście pod warunkiem, że będzie konsekwentnie i solidarnie przeprowadzony; w przeciwnym wypadku może lepiej go zupełnie nie zaczynać. Wszelki fajerwerk bowiem i wszelki ogień słomiany, tak ulubiony i powszechny u nas, odsłoniłby tylko całą naszą niemoc ekonomiczną przed światem i wzmógł hardość nieprzyjaciół, podczas gdy szkody ekonomiczne, wyrządzone mądrym, wytrwałym i zgodnym całego narodu bojkotem, mogłyby skłonić rząd pruski ze względu na własny handel i przemysł do opamiętania się na pochyłej drodze na której się znajduje.

Wytrwałości naszej w tym kierunku na przeszkodzie stoją trzy okoliczności: przeważny udział w kupiectwie naszem Żydów, obojętnych dla sprawy polskiej, dogodne warunki, udzielane naszym kupcom przez Niemców, oraz oswojenie się z dostawcą, którego trzebaby zastąpić dopiero nowym, wreszcie bezmyślne przywiązanie większości konsumentów do źródła pochodzenia nabywanych towarów i tępy upór, z jakim zawsze żądają tego samego krochmalu, czy płótna, specyfiku aptecznego lub węgla, jakiego dotąd używali i jaki przyzwyczaili się uważać za najlepszy, wraz z małem bardzo uświadomieniem i zrozumieniem obowiązków narodowych w szerokich masach. Wychowanie konsumentów w duchu narodowym, jest przeto najbliższem i najważniejszem zadaniem, boć ostatecznie o n i decydują w ostatniej instancyi o towarze, jaki kupiec sprowadzi. Obojętność narodowa

lub dogodność kupca ustąpi wobec kategorycznego żądania całego społeczeństwa i pewnego rodzaju nacisku, czy łagodnego terroru, z jakim zawsze łączy się ruch potężny, porywający wszystkich. To musimy sobie jasno powiedzieć. Tylko w razie oddziałania na ogół społeczeństwa zdołamy coś zdziałać.

Pozostaje do rozwazenia kwestya druga: niedostarczania robotników rolnych do majątków pruskich. Tu decydującym dla nas musi być w pierwszym rzędzie interes przewyżki naszych robotników, nie znajdującej u nas utrzymania w kraju i zmuszonych corocznie w masach parokroćstotysięcznych szukać zarobku zagranicą. O ile zdołamy wyszukać dla nich zatrudnienie, równie dobrze płatne i połączone z takiem samem lub lepszem obchodzeniem się w innych krajach koronnych Austryi, w innych krajach niemieckich z wyłączeniem Prus, w Danii, Szwecyi, Francyi i t. d. w większej niż dotąd mierze, bojkot taki Prus bez uszczerbku dla materyalnych interesów członków naszego narodu, mógłby być nawet politycznie donioślejszym w skutkach od poprzedniego. Kupiectwo i przemysł w Prusiech jeszcze długo nie będą miały tej przewagi w rządzie, jaką ma tam wielka własność, przytem nawet w razie największej zgody naszego społeczeństwa i zupełnego usunięcia towarów pruskich z naszego handlu, szkoda, jakaby wskutek tego groziła przemysłowi pruskiemu, odpowiada oczywiście tylko tej drobnej części ogólnego odbytu, jaki posiadają na rynku wszechświatowym towary pruskie. Inna natomiast rzecz w dziedzinie rolnictwa. Polski robotnik rolny to dla pruskich właścicieli ziemskich kwestya życia lub śmierci. Bojkot ze strony polskich robotników, to bądź konieczność sprowadzenia Chińczyków lub Murzynów, bądź ruina ekonomiczna Prus, bądź cofnięcie ustaw językowych i dotyczących wywłaszczenia. Oto prawdopodobny rezultat skutecznego i solidarnego w tej dziedzinie bojkotu. O taką nagrodę warto się pokusić, warto wytężyć wszystkie siły dla jej osiągnięcia. Do tego atoli potrzeba dokładnej znajomości potrzeb rynku pracy w całej niemal Europie, znajomości bardzo ścisłej i gruntownej, nawiązania stosunków z izbami rolniczemi i biurami pośrednictwa pracy wszystkich krajów, ułożenia z niemi kontraktów, zabezpieczenia ich dotrzymania, wprawienia słowem

w ruch wielkiego i połączonego z znaczniejszymi kosztami, aparatu działania, wreszcie zaś zastępu ludzi dzielnych i bezinteresownych, którzyby się temu zadaniu z całem zaparciem poświęcili.

Że agitacya wśród ludu wiejskiego musiałaby przytem wówczas na wielką rozpocząć się skalę i prowadzoną być z całą energią, to rozumie się samo przez się. Czy społeczeństwo nasze pozbawione skutkiem szeregu niepowodzeń zaufania do sił własnych i pełne analfabetów w dziedzinie ekonomicznej, a skutkiem tych wszystkich przyczyn z gruntu fałszywie oceniające sprawę obieżysastwa: głównie, jeśli nie wyłącznie ze stanowiska interesów pracodawców, zdobyłoby się w najbliższym czasie na sprawne, energiczne i solidarne wykonanie tego ogromnego zadania, to kwestya odrębna, której rozpatrzenie przekraczałoby ramy naszego teoretycznego rozważania.

Jeszcze jest jeden bojkot, o którym społeczeństwo nasze, choć nie zapomina, jednak z niedostateczną traktuje go konsekwencyą. Jeżeli każdy naród winien oddawać pierwszeństwo własnym członkom i jest to dla niego po prostu kwestyą istnienia, jeżeli ma prawo i obowiązek wśród cudzoziemców dawać pierwszeństwo tym, którzy go nie krzywdzą i nie prześladują, to u siebie, na własnych śmieciach ma każdy z nas święty obowiązek ani kawałka ziemi nie odstąpić cudzoziemcom, nie pozwolić im na wzbogacanie się z uszczerbkiem narodowym. Czyn taki jest lekkomyślnością, graniczącą o miedzę ze zdradą polskości.

Jeżeli przy tworzeniu się nowych gałęzi przemysłu w kraju, na usprawiedliwienie danego osobnika wpłynąć może fakt, że w kraju niema ani kapitału, ani przedsiębiorczości dostatecznej do eksploatacyi danej kopalni nafty, węgla i t. d., i że cudzoziemcy, przybywający do kraju z kapitałem i technicznem wykształceniem, przyczyniają się tem samem do wzmożenia bogactwa krajowego, choć lwią jego część zabierają dla siebie, to już żadnego wytłumaczenia nie ma dla tych, niepomnych obowiązków narodowych właścicieli majątków ziemskich, którzy je w naszym kraju wydzierżawiają, lub sprzedają członkom obcych narodów, mając możność zawierania umów tego rodzaju z własnymi rodakami. Niedawno temu pewien magnat polski sprzedał majątek

wartości kilku milionów w Galicyi Prusakowi, mając reflektanta Polaka. Tego rodzaju kurczenie ojczyzny zasługuje na jak najsurowsze i solidarne potępienie całego społeczeństwa polskiego. Ileż podobnych wypadków zdarzyło się i zdarza ciągle we wszystkich dzielnicach Polski, a jednak jak pobłażliwie, nieomal służalczo zachowuje się wobec nich opinia publiczna! Czy istnieje jeszcze wogóle ta opinia, czy prasa peryodyczna, która ma być jej wiernym doboszem, nie wstrzymuje czasami pałeczek usłużnego bębna?

Jest jeszcze jeden wzgląd, który przy bojkocie rozważyć należy. Gdyby chodziło np. o nabycie przedmiotu najlepszej jakości, potrzebnego nam dla cywilizacyjnego postępu, np. jakiejś soczewki do teleskopu, lub przyrządu chirurgicznego i t. d., byłoby oczywiście błędem nie nabyć go w Prusiech, o ileby tylko tam dany przyrząd w najlepszej jakości wyrabiano.

Wszelki więc bojkot musi być ograniczony względem, by nie przeszkadzał rozwojowi cywilizacyjnemu własnego narodu. Każdy z nas uważałby to również za śmieszny szowinizm nie zasięgnąć rady lekarzy światowej sławy, jak prof. Leydena lub Kocha w dziedzinie ich specyalności, dlatego tylko, że są Niemcami i mieszkają w Berlinie.

Przykład ten prowadzi nas do drugiej dziedziny, w której bojkot u nas występować poczyna. Mam na myśli naukę. Gdybyśmy wiedząc, że w danej gałęzi wiedzy najlepsze siły wykładają w Berlinie, nie posyłali naszych badaczy dla uzupełnienia studyów na ten uniwersytet dlatego tylko, że to Berlin, sobie a nie im wyrządzilibyśmy krzywdę, nie ich ale siebie ubożylibyśmy. Rozumieją to doskonale dojrzalsi od nas Polacy z pod zaboru pruskiego, nie rozumiemy my i Królestwo przez predylekcyę do frazesu patryotycznego, przez korzenie się w rzeczach politycznych przed powagą histerycznych kobiet i młodzieży a czasami także — przez proste lenistwo.

Istnieją granice, których naród, pragnący kroczyć naprzód w cywilizacyi, bezkarnie przestąpić nie ma prawa. Narody, chcące żyć i rozwijać się, czerpać winny z wszystkich przystępnych im źródeł nauki i wiedzy i dążąc nie tylko do doścignięcia, ale i do

przewyższenia swoich rywali w gronie narodów, muszą starać się o to, aby umieć więcej od nich a co najmniej tyle, ile one.

Kongresy naukowe całego świata winny w swojem gronie jak najwięcej widzieć Polaków: i takich, którzy jadą, aby się czegoś nauczyć, i takich, którzy jadą, aby pouczać innych. Jest jeszcze wielka rzeczpospolita naukowa europejska, a może dzisiaj światowa, do której należeć, winno być chlubą uczonych całego świata, a nie w najmniejszej mierze uczonych polskich. Czyżby Prusy ustawą ekspropryacyjną i o zakazie używania języka polskiego na zebraniach publicznych zdołały za jednym zamachem wyłączyć nas także z tej republiki, w której nie armaty i miliardy dla nas niedostępne ale praca i talent przez Boga dany zapewniają głos i znaczenie? W takim razie należałoby tylko powinszować im sukcesu, bo osiągnęłyby więcej, niż się spodziewały, odebrałyby nam bowiem trybunę wszechświatową naukowych zjazdów i ten łącznik z innymi narodami, jaki one stanowią, przynajmniej o ile odbywają się na ziemi pruskiej.

Jeżeli na kongresie historyków w Berlinie, oprócz podobno prof. Witkowskiego, nie było żadnego Polaka i to w nauce, w której posiadamy europejskiej miary uczonych, to tego rodzaju uchylenie się korzyści nam z pewnością nie przyniosło. *Les absents ont toujours tort!*

Ale słyszę odpowiedź: Bojkotujemy Berlin! Miasto Berlin i Prusy całe. Więc może i prof. Brückner ustąpić ma z katedry literatury polskiej, jaką ku chlubie nauki naszej od lat kilku w Berlinie zajmuje? Chyba nie. W tym kierunku dotąd nie spotkaliśmy się z niczyjem żądaniem. A czy gdyby kongres filozofów, który w tym roku obradował w Heidelbergu, a w którym z Polaków wzięli udział prof. Straszewski i dr. Lubecki, odbywał się był w Berlinie, ci panowie mieliby obowiązek odmówić udziału i nie wygłosić odczytów, które w każdym razie świadczyły o pracy w dziedzinie filozofii członków narodu polskiego? Wszakże miejsce kongresu naukowego jest zupełnie obojętne, bo gdyby nawet Berlin miał być słusznie jako taki, bojkotowany, to przecie co roku kongresy naukowe obradują gdzieindziej, a w danym właśnie roku, w którym Berlin jest miejscem zebrania, na porządku dziennym

obrad stać może kwestya bądź dla narodu polskiego bardzo doniosła np. emigracya, bądź taka, w której polski uczony już się w nauce odznaczył i skutkiem tego ma możność zdobycia uznania dla nauki polskiej wśród cudzoziemców.

Rozsądek i interes narodowy mówią co innego, co innego wzburzone uczucie. Prawda, że łatwiej przypominać innym horacyuszowskie: *Aequam memento rebus in arduis servare mentem*, niż samemu wobec pewnych rzeczy zimną krew zachować. Ale i to jest faktem, że kto we własnej sprawie pójdzie za popędem ślepej namiętności, sobie tylko szkodzi, kto tak nieopatrznie postąpi w sprawie publicznej, naraża na szwank dobro całego narodu, w jednym zaś i w drugim wypadku jest człowiekiem, pozbawionym woli i hartu ducha, a gdybyśmy wszyscy byli takimi, tworzylibyśmy społeczeństwo niedojrzałe do samoistnego bytu. Do kierowania narodem powołani są tedy ci tylko, którzy czując głęboko i gorąco, umieją jednak okiełznać uczucie i w imię dobra publicznego poddać je pod rozkazy świadomej celu woli, ci, którzy rozważą przed każdym krokiem, czy prowadzi do celu, czy i środki są dostateczne i cel osiągnięcia godnym. Zimna rachuba i spokój zapewniają zwycięstwo — dowiedli tego Japończycy. Ale ile trzeba umieć, jak wyrobić się duchowo, jak ujarzmić materyę, aby tryumfować nie dziarskością, fantazyą i osobistą odwagą, ale głęboką wiedzą, najwyższem skupieniem woli, niemal przewidywaniem!

A więc zgoda na bojkot solidarny i wytrwały w dziedzinie ekonomicznej, dyktowany nie bezpłodną nienawiścią do wrogów naszego narodu, ale chęcią przysporzenia korzyści jemu samemu; natomiast zaniechanie bojkotu zdobyczy jakiegokolwiek narodu w krainie myśli jako bezcelowego i przynoszącego nam samym szkodę i ujmę!

Leopold Caro.

DYSKUSYA W KWESTYI BOJKOTU.

Od Redakcyi.

Bojkot ekonomiczny w naszym kraju, w stosunku do Prus, począł w ostatnich czasach, mimowiednie, bez jakiejkolwiek agitacyi, przechodzić w sferę cywilizacyjną. Przeciwko temu powiększeniu bojkotu ekonomicznego o bojkot cywilizacyjny zwraca się w umieszczonej powyżej rozprawie, dr. Caro. Określiwszy, w części pierwszej, zasadę i objawy bojkotu ekonomicznego i stwierdziwszy pozytywne jego znaczenie, zakłada autor, w drugiej części, protest przeciw bojkotowi naukowemu. Celem poparcia tego protestu, przesłaliśmy artykuł d-ra Caro kilku osobistościom, z prośbą o zabranie głosu w tej sprawie. Głosy te poniżej umieszczamy.

Redakcya Przeglądu Powszechnego.

Kazimierz Bartoszewicz.

Redakcya *Przeglądu Powszechnego* przesłała mi łaskawie do przejrzenia artykuł d-ra Leopolda Cara o bojkocie z zapytaniem, czybym nie zechciał zabrać głosu w sprawie przez niego poruszonej. Motywem zgłoszenia się do mnie była prawdopodobnie ta okoliczność, że stoję na czele zarządu głównego »Straży Polskiej«, która bierze między innemi czynny udział w akcyi popie-

rania przemysłu i handlu swojskiego, a jednocześnie rugowania towarów obcych, przedewszystkiem pruskich.

Ogień słomiany, którego obawia się dr. Caro w sprawie bojkotu, nie tylko niestety stwierdził swe istnienie, ale święci tryumf na całej linii. Czuje to najlepiej »Straż Polska« ... na samej sobie. Powstała ona w chwili, kiedy całe społeczeństwo przejęte było oburzeniem na ostatnie gwałty pruskie (wywłaszczenie i paragrafy językowe). Na setkach wieców wnoszono przeciw nim protesty, składano uroczyste deklaracye niezłomnej walki w obronie praw narodowych, zaprzysięgano bojkot przemysłu pruskiego, uchwalano wreszcie konieczność stworzenia instytucyi, któraby stojąc zdala od walki stronnictw, skoncentrowała rozproszone usiłowania na polu samoobrony narodowej. Projekt założenia takiej instytucyi powitało dziennikarstwo nie już z sympatyą, lecz z zapałem; zapewniało, że bez niej nie da się nawet pomyśleć systematyczna samoobrona, że wszystkie protesty, dobre chęci, patryotyczne słowa, odgrażania się bojkotowe przebrzmią, jak już nieraz przebrzmiały, jeżeli nie będzie trwałej organizacyi, stojącej na straży kresów i naszej niezależności ekonomicznej, a zarazem broniącej stanu naszego posiadania narodowego, gdziekolwiek i pod jaką formą jest on zagrożony. Ta jednomyślność opinii, stwierdzona publicznie na drugim wiecu krakowskim, wywołała gorąco przyjętą uchwałę założenia »Straży Polskiej«. Przystąpiono natychmiast do jej wykonania i już z końcem marca, po zatwierdzeniu statutu przez namiestnictwo, »Straż Polska« rozpoczęła swą działalność.

»Celem »Straży Polskiej« — mówi statut — jest strzeżenie i obrona duchowych i materyalnych interesów narodu polskiego, uświadamianie naszego społeczeństwa o obowiązkach narodowych, dążenie do uzyskania samodzielności ekonomicznej, popieranie instytucyi o podobnych dążeniach, a w szczególności mających na celu obronę kresów«.

Jako środki do osiągnięcia tego celu, statut podaje: *a)* podnoszenie dobrobytu narodowego, (popieranie przemysłu i handlu swojskiego, dawanie inicyatywy i pomocy ku zakładaniu pracowni, fabryk, instytucyi oszczędnościowych, kredytowych, zarobkowych

i gospodarczych; *b)* popieranie kupców i przemysłowców, którzy się poddadzą kontroli »Straży Polskiej«, że wedle możności zastępują obce towary swojskimi; *c)* zawiązanie stosunków handlowych z innemi ziemiami polskiemi; *d)* strzeżenie praw i czystości języka polskiego; *e)* opieka nad wychodźtwem i kolonizacyą; *f)* informowanie pism zagranicznych o sprawach polskich; *g)* publiczne wiece i zgromadzenia, odczyty i pogadanki, przedstawienia sceniczne i zabawy ludowe; *h)* urządzanie kształcących wycieczek ludowych do godnych zwiedzenia miejscowości w ziemiach polskich; *i)* zakładanie i utrzymywanie domów ludowych; *k)* wydawanie i popieranie odpowiednich dzieł, czasopism i wydawnictw; *l)* wydawanie własnego czasopisma, poświęconego sprawom stowarzyszenia; — i inne dozwolone środki działania.

Zdawałoby się, że takie stowarzyszenie powołane do życia wyraźną wolą ogółu, założone przez ludzi rozmaitych przekonań i stojące zdala od walk partyjnych, zyska od razu dziesiątki tysięcy członków, że conajmniej zapisze się do niego choćby połowa tych, co na setkach wieców urządzanych po całej Galicyi uroczyście przysięgali odpowiedzieć czynem na dziki zamach ślepego pruskiego nacyonalizmu, — zwłaszcza, że zarząd pragnąc i najmniej zamożnym uprzystępnić należenie do S. P. oznaczył wkładkę roczną w kwocie bardzo nizkiej, bo 2 K. 40 h.

Nadzieje okazały się płonne. Ogień słomiany już się dopalał. Pomijając tych kilkuset członków w Krakowie, których wciągnięto pod przymusem moralnym (trudno odmówić osobom poważnym 2 K. 40 h., choćby na cele bardzo drobne, całkiem obojętne) — pomijając tych kilkuset, powtarzam, w ciągu pierwszego miesiąca zgłosiło się dobrowolnie do »Straży« koło 100 osób z Krakowa i 50 z całej Galicyi. Po wydaniu pierwszego numeru organu Stowarzyszenia i rozesłaniu go na okaz w ilości 20.000 egz., — przybyło jeszcze z Krakowa członków kilkudziesięciu, z całej Galicyi około 200. Od tej chwili przybywają (kapią) wprawdzie nowi członkowie, ale tak powoli, że gdyby w tym stosunku dalej przybywali, potrzeba byłoby lat przynajmniej 100, aby dojść do tej liczby członków, na jaką założyciele »Straży« liczyli w pierwszym roku jej istnienia.

To chyba daje dostateczny obraz różnicy naszego patryotyzmu w słowach a w czynie. Jako charakterystyczny szczegół zaznaczam, że między członkami »Straży« niema prawie całkiem wybitnych przedstawicieli naszych stronnictw, to jest tych ludzi, co z patryotyzmem (wszelkiej barwy) na ustach wstają z łóżka i spać się kładą. Jeszcze charakterystyczniejszym jest fakt, że z tych, co prezydowali, »sekretarzowali« i w imieniu stronnictw przemawiali na wiecu antipruskim, który uznał konieczność organizacyi, ani jeden, pomimo kilkakrotnych zaproszeń, nie wziął udziału w obradach nad założeniem »Straży« i ani jeden do niej się nie zapisał. Poprzestali na pokazaniu »narodowi« swych cennych postaci. Pracę i ofiarność innym pozostawili.

Nie będę rozwodził się nad tem, co »Straż Polska« przy swoich niesłychanie skromnych środkach dotychczas robiła i zrobiła — może zresztą Szanowna Redakcya *Przeglądu Powszechnego* pozwoli mi innym razem z działalności tej instytucyi złożyć sprawozdanie. Szło mi tylko o wykazanie z jaką obojętnością ogół odniósł się do Stowarzyszenia, które sprawę bojkotu wysunęło na pierwszy plan swoich zadań. A to daje chyba najlepszą miarę do oceny, czem jest i jak się rozwija ów szumnie zapowiadany, prawie zaprzysiężony przez ogół bojkot towarów pruskich.

Nie waham się powiedzieć, że u nas w Galicyi jest on farsą. Zapał publiczności ostygł, zabawka już ją znudziła — a kupcy nie brali bojkotu nigdy na seryo. Wszelkie usiłowania Zarządu »Straży Polskiej« aby ich wciągnąć do wspólnej akcyi, okazały się daremne. Zrazu udawali, że się obrazili o ową »kontrolę« przewidzianą w statucie (drugi punkt »środków«). Tłumaczyliśmy więc publicznie na wiecach i w naszym organie, że nie mamy zamiaru narzucać się kupcom na opiekunów, ale sądzimy, że mamy prawo i obowiązek, organizując bojkot towarów pruskich, popierać tych kupców, którzy przez patryotyzm, przez dobrze zrozumiany interes narodowy, starają się w miarę możności wypierać towar obcy, a przedewszystkiem pruski. Jeżeli zaś będziemy im udzielać poparcia (mówiliśmy), to słuszną jest rzeczą, abyśmy mieli pewność, że rzeczywiście dopełniają swych przyrzeczeń. Nie narzucamy się z kontrolą (mówiliśmy dalej), ale przyjmujemy

kontrolę nad tymi, co jej dobrowolnie od nas w zamian za poparcie zażądają. Uwzględnialiśmy posiadanie już większego zapasu towarów pruskich, niemożliwość zerwania natychmiastowego stosunków, wchodziliśmy w położenie tych, co ze względów kredytowych nie mogą za jednym zamachem wyrwać się z objęć przemysłu pruskiego — żądaliśmy tylko rzeczy możliwych, nie wymagaliśmy ofiarności, tylko dobrej woli.

Zdawało się na razie, żeśmy »obrażonych« przebłagali. Wprawdzie z trzech kupców wybranych do Zarządu, dwu »z braku czasu ustąpiło«, a trzeci nie pokazywał się na posiedzeniach, ale na rozesłany przez nas kwestyonaryusz bojkotowy, otrzymaliśmy dwadzieścia kilka odpowiedzi. Było to mało, bo kwestyonaryuszy rozesłaliśmy 200, ale zawsze »coś« było.

Sądziliśmy, że dadzą nawiązać się stosunki. Ze względu na ważność sprawy postanowiliśmy usunąć »kamień obrazy« i milcząco przejść do porządku dziennego nad kontrolą. Chcieliśmy samym kupcom zostawić główny kierunek naszej akcyi bojkotowej. Na miejsce tych co ustąpili, powołaliśmy innych do Zarządu; prócz tego zaprosiliśmy kilkunastu kupców do sekcyi ekonomicznej, która sprawę bojkotu ujęła w swoje ręce. Wszystko to napróżno. Jedni, a tych była większość, nie odpowiedzieli całkiem na nasze zaproszenie, drudzy pojawili się raz, dwa na posiedzeniu sekcyi, zachowywali się z wielką »rezerwą«, a wkońcu więcej się nie pokazali. Z wybranych do Zarządu nawet ci, którzy oświadczali się ustnie i pisemnie przystąpić z całą gotowością do »szlachetnej pracy«, nie stanęli do niej zupełnie, a zapytani o przyczynę wyraźnie powiedzieli, że są skrępowani, że wprost nie mogą... narażać się swoim kolegom. Zamiast bojkotu towarów pruskich, kupcy urządzili bojkot »Straży Polskiej«.

I nic dziwnego. Chyba ślepy nie widzi, że w sferach kupieckich bojkot spotkał się z silnym, solidarnym oporem. Niema dziś chyba nikogo, któryby uwierzył w owe tabliczki wzbraniające wstępu rajzenderom pruskim; — publiczna to tajemnica, że właśnie głównie ci, co owe tabliczki wystawili, najwięcej towarów pruskich sprowadzają. Nie puszczali rajzenderów od ulicy, ale odwiedzali ich w hotelach, lub otwierali im tylne wejścia do sklepu.

Dziś już i te tabliczki znikają, patryotyczni kupcy przestali się krępować...

Mimo takiego zachowania się kupców, bojkot mógłby się udać, gdyby naprzeciw obojętności narodowej i wygody kupców, jak mówi dr. Caro, stanęło kategoryczne żądanie całego społeczeństwa, gdyby ono zdobyło się »na pewnego rodzaju nacisk lub terror łagodny, z jakim zawsze łączy się ruch potężny, porywający wszystkich«. Ale są to *pia desideria*. Nasza P. T. Publiczność jest również wygodna jak kupcy, a jej obojętność narodowa może walczyć o pierwszeństwo z obojętnością narodową kupiectwa. Znowu najlepszym tego dowodem jest stosunek publiczności do »Straży Polskiej«. O »poparciu« naszej instytucyi mówiłem wyżej — tu dodam jeszcze kilka szczegółów. Na wiec zwołany w Krakowie dnia 4 kwietnia, na którym zapowiedziano referat ekonomiczny, bojkotowy, przybyło jedynie dość liczne grono robotników — wszystkie inne »sfery« dostarczyły razem koło 20 uczestników i uczestniczek. Sprawa założenia koła bojkotowego »pań«, skończyła się na tem, że na sto dam zaproszonych do zawiązania komitetu przybyło 9 (w tej liczbie były i 2 panie zapraszające), które po dyskusyi uznały, że akcya osobnego koła bojkotowego pań, nie może liczyć na powodzenie. Udaliśmy się wreszcie do młodzieży akademickiej, sądząc, że zechce nam pomagać w sprawie bojkotu, lub stworzy własną organizacyę bojkotową. Zgłosiliśmy się do 6 towarzystw akademickich, prosząc o przysłanie na posiedzenie swych reprezentantów — przyszedł tylko jeden, obiecał porozumieć się z kolegami i więcej się nie pokazał. Prawda, że było to w czasie wyborów do Rady miejskiej, — pierwszorzędna ta sprawa narodowa nie pozwoliła tak młodzieży, jak i całemu patryotycznemu obywatelstwu, zajmować się takimi drobiazgami, jak bojkot lub inne zadania »Straży Polskiej«.

Wszyscy wiemy dobrze, że bojkot nie udał się, że był jednym więcej ogniem słomianym. A jednak nie jestem zdania d-ra Cara, że »jeżeli nie miał być konsekwentnie i solidarnie przeprowadzony, to lepiej go było nie zaczynać«. Nie udał się, to prawda, — przemysł pruski nie poniósł nawet setnej części tych

strat, które ponieść był powinien. Ale i z tego, co się zrobiło, coś zostanie. Jakim wynikiem swej pracy cieszą się różne organizacye bojkotowe rozrzucone po kraju, nie wiem, ale usiłowania »Straży Polskiej« w tym kierunku nie poszły całkiem na marne. Ogłaszane przez nią spisy »przedmiotów codziennego użytku łatwych do bojkotowania« (ogłaszaliśmy je w swoim organie i plakatami) wpłynęły nieco na poparcie przemysłu własnego, ze szkodą pruskiego. Stwierdziliśmy, że rozmaite pruskie Odolę, Faye, Bay-Rumy, Globiny i t. d., od czasu jak wyszło na jaw ich pochodzenie, mniej dziś znajdują pokupu. Publiczność, która przedtem przy nabywaniu mydeł toaletowych nie zastanawiała się nigdy, skąd one pochodzą, dziś coraz częściej żąda wyrobów »Tlenu«, Pulsa, Malinowskiego. W sklepach, w których wyłącznie sprzedawano ołówki Fabera, Hardtmutha i t. d., a ołówków Majewskiego nie trzymano, lub je wyjmowano z ukrycia, tylko na wyraźne żądanie kupujących, dziś ołówki Majewskiego nie tylko są wystawione na ladach, ale i za oknami wystawowemi. To samo można powiedzieć o krajowych atramentach, pastach, krochmalach, pendzlach, lakierach, szczotkach i t. d. Po prostu te rodzaje przemysłu uzyskały wskutek bojkotu — reklamę, której im nie zapewniała nieporadność producentów, nierozumiejących jaką reklama jest potęgą.

Zapewne usiłowania innych organizacyi bojkotowych nie przeszły również bez skutku, a więc i ten marny, nieudany, mizerny bojkot przydał się na coś. Jeżeli mało zaszkodził Prusakom, to poparł przynajmniej niektóre gałęzie naszej słabiuchnej produkcyi przemysłowej. Dobre i to.

Gdyby jeszcze nasze dziennikarstwo poczuło się tak w tej sprawie jak i w wielu innych, do spełnienia obowiązku! Ciąży bowiem na niem wielka wina. Ale rzecz ta wymaga obszerniejszego omówienia...

Temu, co dr. Caro mówi o bojkocie w dziedzinie rolnictwa (sezonowa emigracya robotników polskich do Prus) jedynie przyklasnąć należy. Zdaje się, że również każdy podzieli jego oburzenie na kurczenie ojczyzny w Galicyi. Każdy wreszcie zgodzi się

na to, że »wszelki bojkot musi być ograniczony względem, by nie przeszkadzał rozwojowi cywilizacyjnemu własnego narodu«.

Tak, na to zgoda. Dziecinnie postępowalibyśmy wstrzymując młodego uczonego od słuchania wykładów na uniwersytecie berlińskim, jeżeli przedmiot przez niego studyowany, na tym właśnie uniwersytecie posiada najlepszych profesorów lub najlepsze pracownie naukowe. W zasadzie również zgoda i na to, co mówi dr. Caro o kongresach.

Ale tylko w zasadzie, tylko co do niektórych. Bo są kongresy i kongresy. Większość ich, choćby nosiła tytuł metanaukowych, są po prostu zjazdami towarzyskimi ludzi jednego zawodu. Poznają się ze sobą, przyjemnie się zabawią (wycieczki, uczty, przyjęcia są na pierwszym planie) i rozjadą się bez szkody, ale i bez korzyści dla nauki. Jeżeli na takim kongresie jest rzeczywiście coś interesującego, to przecież sprawozdania z niego najdokładniej to przedstawią. Czy więc na takim kongresie naukowym, gdyby się odbywał w Berlinie, jest miejsce dziś dla Polaka? Czy on dla miłej zabawy miałby zapomnieć, kto go gości, do jakich to »kolegów« się wybiera, w jakiem otoczeniu znajdować mu się przyjdzie?

Co do kongresów naukowych, pozwolę sobie i to zauważyć, że korzyść dla nauki przynoszą przeważnie te, które mają małą ilość uczestników i tyczą się pewnej specyalności, pewnych ściśle określonych zagadnień. Tak np. z ogólnego kongresu lekarskiego mniej daleko pożytku, niż ze zjazdu chirurgów.

Pojmuję jednak, że uczony przyrodnik polski może bez względu na miejsce, w którem odbywa się kongres przyrodników brać w nim udział, jeżeli spodziewa się odnieść korzyść dla siebie i nauki, jeżeli ujrzy to, czegoby gdzieindziej nie ujrzał, usłyszy to, czegoby gdzieindziej nie usłyszał. A jeżeli on sam ma coś do powiedzenia lub zademonstrowania, jeżeli to coś, może zwrócić uwagę na polską naukę i przynieść jej chlubę, — to uważałbym, że obowiązkiem jego jechać na kongres, dlatego samego właśnie, że się odbywa w Berlinie. Jego występ miałby znaczenie: *E pur si muove* — byłby demonstracyą żywotności nie tylko pol-

skiej nauki, ale i polskiego narodu, mimo więzów, jakiemi go skrępowano.

Pojmuję również, jeżeli na zjeździe prawników, na którym mianoby specyalnie roztrząsać kwestye prawa międzynarodowego, ustawodawstwa politycznego, lub administracyi państwowej, stanęliby w Berlinie Polacy jedynie dlatego, aby rzucić swój głos na szalę, aby przyczynić się do zwycięstwa sprawiedliwości, a przynajmniej potępić nieludzkie ustawy i rozporządzenia, wymierzone przeciw mniejszościom narodowym, przeciw ich przyrodzonym prawom.

Podobnież j e ż e l i b y na jakim zjeździe ekonomistów w Berlinie miano obradować specyalnie nad sprawą emigracyi do Ameryki, nad ochroną wychodźców przed wyzyskiem, albo nad sprawą rolnego robotnika sezonowego, który w Prusiech, jeżeli jest Polakiem, znajduje się pod prawami wyjątkowemi, to znów powiedziałbym, że obowiązkiem naszych uczonych, zajmujących się emigracyą i wychodźtwem sezonowem, byłoby tam pojechać i stanąć na straży interesów polskiego emigranta i robotnika — j e ż e l i b y mieli przeświadczenie, że uchwały zjazdu mogą jakiekolwiek praktyczne wydać rezultaty.

Podając te przykłady podkreślam jednak silnie wszystkie j e ż e l i. Bez tego zastrzeżenia udział Polaków w berlińskich kongresach naukowych, jest dziś, według mnie, niedopuszczalny.

Ale oprócz kongresów czysto naukowych, są jeszcze inne, w których chętny udział biorą nasi politycy i publicyści.

Niedawno odbyła się np. w Berlinie międzynarodowa parlamentarna konferencya pokojowa. Idea w zasadzie wspaniała — ale w praktyce, tak jak dziś rzeczy stoją, wspaniała jedynie dla silnych i prześladujących. Powszechne rozbrojenie bez wymierzenia z góry sprawiedliwości ludom podbitym i prześladowanym, przy pozostawieniu dzisiejszych granic państwowych, to rzecz sto razy gorsza, niż wojna i wszelkie jej następstwa. Wtedy dopiero każdy rząd, w rodzaju berlińskich i petersburskich, nie oglądając się już na niebezpieczeństwo zagraniczne, skierowałby całe swoje siły ku zgnębieniu »inorodców« i *minderwertige Nationen*. Konferencya »pokojowa« w Berlinie, to zresztą i ironia. Przytem jakby na zohydzenie całej idei,

tak pięknej w zasadzie, »pokojowcy« wysłali telegram hołdowniczy do najwybitniejszego przedstawiciela militaryzmu, do prawego następcy autorów powszechnego uzbrojenia Europy — i słuchali zapewnień o miłości pokoju z ust... p. Bülowa. Czy na takim kongresie powinni być Polacy? czy dobrze zrobili ci, którzy brali w nim udział? Co oni mieli do powiedzenia wśród tych pokojowców kłaniających się bożkowi wojny!

W r. b. odbył się również w Berlinie międzynarodowy kongres dziennikarski. Kongresy te, to czysta zabawka — czy są, czy ich niema, to najzupełniej obojętne. Uchwały ich nikogo nie obchodzą, nikogo nie obowiązują, nikt się nad niemi nie zastanawia. Uchwala się coś *pro forma*, aby był pretekst do zjazdu. Zjazd taki, to jedynie sposobność dla dziennikarzy zwiedzenia tanim kosztem kawałka świata. Dostają za darmo bilety kolejowe (uczestnicy zeszłorocznego zjazdu paryskiego mieli bezpłatne bilety na całą Francyę); urządzają dla nich przyjęcia: miasta, ministrowie, nawet królowie. Ciągle się za to kłaniają, i ciągle dziękują. Spędziwszy czas przyjemnie, powracają na łono ojczyzny, bogaci w miłe wspomnienia szampanowe. Na kongresie żadnych »drażliwych« kwestyi, jak np. praw narodowych, nie wolno poruszać, bo nużby się który rząd albo kto z uczestników obraził. Więc bardzo dobrze się stało, że Berlin nie widział dziennikarzy polskich i słowiańskich, że poprzestali oni tylko na przesłaniu protestu przeciw uciskowi prasy słowiańskiej w Niemczech i na Węgrzech. Ten bojkot był całkiem usprawiedliwiony, był wprost konieczny. W razie udziału Polaków pozostałby tylko wielki niesmak i wstyd, że gotowiśmy bez względu na godność narodową lecieć nawet do najzaciętszych wrogów naszych na... zabawę i bezpłatny poczęstunek.

Są więc kongresy i kongresy.

Teodor Jeske-Choiński.

Bojkot solidarny, systematyczny i trwały w dziedzinie ekonomicznej, spowodowany koniecznością obrony naszych własnych interesów, jest nam wskazany przez nasze obecne, zewsząd przez

wrogie żywioły zagrożone położenie; bojkot jednakże dodatnich zdobyczy jakiegokolwiek narodu w krainie myśli byłby bezcelowym, szkodliwym szowinizmem.

L. Rydel.

Sprawy ekonomiczne i polityczne mają także stronę moralną. Powiedzie nam się bojkot pruskich towarów, ale musimy w sobie samych zbojkotować wprzód polską niestałość, polską niesolidarność i polskie lenistwo.

Wincenty Kosiakiewicz.

Byłem bardzo sceptycznie usposobiony do idei bojkotu towarów niemieckich, kiedy buchnęła ona płomieniem, u nas, w Królestwie, jako reakcya na barbarzyństwa pruskie we Wrześni. Sceptycyzm swój opierałem na wszechstronnej, o ile to było możliwe, ankiecie, przeprowadzonej wtedy przeze mnie w *Kraju.* Ankieta ta przekonała mnie, iż nie posiadamy organizacyi, czyli instrumentów odpowiednich do wykonania podobnego planu. Dziś w Królestwie takie organizacye już mamy; jest niem Towarzystwo techników, jest niem Stowarzyszenie kupców i cały szereg podobnych, utworzonych po rewolucyi. To też, jak się dowiaduję, ta sprawa posuwa się i towary niemieckie coraz ciaśniejsze rynki mają u nas do rozporządzenia. Pod hasłem »bojkotu towarów niemieckich« tej sprawy prowadzić jednak nie można, u nas bowiem władze dopatrują się w tem czynów, podpadających pod rygory represyi.

O tem, iż takie przedsięwzięcie jak bojkotów, powinno być celowem i rozumnem, nie trzeba chyba osobno ludzi przekonywać; albowiem wszelkie przedsięwzięcie ludzkie powinno być celowem i rozumnem. Jeżeli nie będą uczeni nasi i histologowie używać do badań mikroskopijnych szkieł niemieckich, które, jak słyszę, są najlepsze na świecie, to nie przemysł niemiecki ale nauka polska poniesie od tego szkodę. Dziwnem byłoby też bojkotowanie takich maszyn niemieckich, przy pomocy których możemy wyrabiać jakieś towary, które bez tej pomocy musielibyśmy kupować

od obcych, choćby od sympatycznych nam Anglików. Te dwa przykłady wystarczą może na dowód, iż żadne hasło nie powinno być stosowane na ślepo, bez rozpatrywania wypadków realnych i bez studyowania stosunków rzeczywistych.

Myślę też, iż trafię w sens wywodów szanownego autora, jeżeli zachęcę działaczów naszych, którzy się bojkotem zajmują, do lepszego studyowania tych stosunków; do prowadzenia tej sprawy w sposób bardziej systematyczny i gruntowny; do stopniowego włączania na listę bojkotową tych niemieckich towarów, których się wyrzec możemy bez żadnej straty, albo z drobną i tylko materyalną ofiarą.

Ryczałtowe traktowanie tej ogromnie skomplikowanej sprawy stanowi, mojem zdaniem, jak najgorszą metodę wychowawczą dla szerszych mas polskiego społeczeństwa. Jeżeli wmawiać w nie będziemy, że ono wszystko w tym lub owym zakresie może, a pokaże się prędko, że jednak ono tego i owego nie może, naprowadzimy je rychło na drogę do zniechęcającego wniosku, iż ono nic nie może.

A ci co ryczałtem biorą sprawę bojkotu na takie właśnie zniechęcenie się polskiego społeczeństwa pracują.

Wystarczy zaś, jak mniemam, tę sprawę zróżnicować, rozbić ją na detale, wymagające osobnego rozważenia każdy i każdy osobnej a umotywowanej decyzyi, aby wszystkie niebezpieczeństwa tak słusznie przez p. Leopolda Caro wskazane powyżej, zostały usunięte.

Karol Klecki.

Czy przez bojkot wyrobów niemieckich osiągnie się w rzeczywistości cel zamierzony, to jest czy istotnie narazi się Niemców na straty ekonomiczne, a przez to ukarze się ich za ostatnie gwałty popełnione na narodzie polskim — o tem sądzić mogą tylko ludzie dokładnie ze stosunkami handlowymi w naszym kraju obeznani.

Bojkot ten ma niewątpliwie stronę dodatnią, ma jednak i stronę ujemną.

Dodatnią jego stroną jest to, że przyczynić się może do uświadomienia najszerszych warstw ludności, kto jest największym, historycznym naszym wrogiem, oraz to, że może on pobudzić do życia pewne nie istniejące u nas dotychczas gałęzie przemysłu lub skrzepić takie, które wobec konkurencyi obcej tylko słabe oznaki życia dawać mogą.

Ujemną stroną bojkotu jest to, że zrodzony z uczucia zemsty obok słusznego oburzenia szerzyć będzie nienawiść.

Bojkot wyrobów niemieckich bezwzględnym być nie może. Zawsze bowiem znajdą się ludzie, którym dla jakichś specyalnych, ważnych celów przedewszystkiem na doskonałości danego wyrobu będzie zależało; jeśli zaś najlepszym będzie wyrób niemiecki, pochodzeniem jego w wyborze krępować się nie będą i nie powinni, inaczej bowiem mogliby narazić społeczeństwo nasze na wielkie straty.

Jeśli obywanie się bez materyalnych płodów czy wyrobów niemieckich jest u nas, może nawet w dość szerokich granicach, możliwe, a ich bojkot powyżej przytoczonymi względami uzasadniony, to wprowadzenie takiego bojkotu do dziedziny ducha tylko szkodę nam samymby przyniosło. Do pracy nad postępem kultury powołani bowiem są wszyscy, a zdobycze jednostek na tem polu, bez względu na ich pochodzenie, poglądy i usposobienie polityczne, stają się własnością ogółu. Ani uchylać się od współdziałania na tem polu z kimkolwiek, ani też rezygnować z dobrodziejstw stąd płynących, nie mamy prawa.

Bol. Wicherkiewicz.

Bojkot uważam w stosunkach społecznych a także międzynarodowych za rzecz samą przez się niesympatyczną, bo ze stanowiska chrześcijańskiego w normalnych warunkach nieetyczną. Są jednak wyjątkowe położenia, gdzie powiedzieć sobie musimy *à la guerre comme à la guerre.*

Wobec zaciętej wojny, jaką prowadzą Prusy przeciw nam Polakom, raz w sposób ukryty, to znowu jawny, dziś po uchwaleniu paragrafów wywłaszczenia i paragrafów językowych w sposób

wprost urągający wszelkiej cywilizacyi i moralności, chwycić się musimy środków ustawami nie zabronionych, by nie uledz tej zagładzie, do której zręczny Prusak od wieków nas zaprowadzić pragnie. Bojkot więc jest tylko środkiem samoobrony, bo chodzi o to, by nieprzyjaciela ekonomicznie naszym groszem nie wzmacniać a natomiast siebie wzmocnić przez rodzimy przemysł i handel. A w tym celu bojkot powinien być rozumnie prowadzonym, powinien być ciągłym i powinien obejmować wszystkie dziedziny przemysłu i handlu.

Bojkot raz podjęty nie może oglądać się na pojedyncze osobistości, nie godzące się na politykę pruską, ale musi być geograficznie przeprowadzonym.

Kwestya niedostarczenia robotników polskich do majątków pruskich, może być tylko rozwiązaną na podstawie ścisłej statystyki.

Ziemi i przedsiębiorstw przemysłowych nie powinniśmy oddawać w ręce obcych, ale powinniśmy nadto starać się ustawami prawnemi ochronić się przed niepożądanymi napływowcami, stosując się do niemieckiej zasady: *Was dem einen recht ist dem anderen billig.*

Skoro wolno Prusakom wywłaszczać, wolno i nam co najmniej zabronić nabywania u nas ziemi, lasów, kopalni, zakładania fabryk.

Nauka stronić winna od bojkotu; to są tereny idealne, do których myśl walki narodowościowej nie powinna znaleźć przystępu.

Niechajby więc Polacy wszędzie na kongresach naukowych brali czynny udział, chociażby ich pomijano czy unikano pod względem towarzyskim.

Ale jest u nas jeden wielki szkopuł w tym bojkocie uznanym za konieczny a tym jest stanowisko Żydów naszych, po polsku nie czujących, albo bardzo mało. Tu powinniśmy trzymać się zasady, kto nie z nami, ten przeciw nam, i stosowne z tego wysnuć wnioski dla naszej całej akcyi bojkotowej.

Maurycy Straszewski.

Artykuł p. Leopolda Caro w sprawie bojkotu przeczytałem z wielkiem zajęciem, a na wywody w nim zawarte zgadzam się prawie w całości. Od siebie pozwolę sobie jeszcze tylko dodać, że bojkot ekonomiczny może się tylko wówczas na coś przydać, jeżeli będzie doskonale zorganizowany i solidarny. Niestety, my nie jesteśmy społeczeństwem solidarnem: wygórowany indywidualizm nas rozsadza, obawiam się też, że o sobkostwo jednostek bojkot się rozbije a przynajmniej znacznie osłabi. Należy do tego jeszcze dodać, że wśród nas rozsiedli się Żydzi, żywioł niesłychanie solidarny, ale tylko między sobą i dla siebie. Żydzi już ze względów na swoich współwyznawców w Niemczech i w Prusiech nie poddadzą się pod naszą narodową solidarność. Nie należy jednak zrażać się trudnościami lecz wytężyć wszystkie siły, aby się bojkot ekonomiczny powiódł. Należałoby koniecznie w każdym szczegółowym wypadku badać, na jakie firmy bojkot rozciągać, a na jakie nie rozciągać. W tym celu byłyby potrzebne doskonale zorganizowane biura wywiadowcze, które dostarczałyby zarówno kupcom jak i ludności wszelkich potrzebnych wiadomości.

Bojkotowi naukowemu i wogóle umysłowemu jestem stanowczo przeciwny, gdyż przez to wyświadczylibyśmy sobie samym szkodę największą. Z pod bojkotu wyłączone być muszą również książki i czasopisma, głównie naukowe i literackie. Bojkotujmy natomiast wrogie nam pisma polityczne, satyryczne i illustracye. Nie godzi się także bojkotować wyższych zakładów naukowych niemieckich, przeciwnie, powinniśmy się starać nauczyć od Niemców, co się tylko da. Jedną tylko myśl pozwolę sobie poruszyć, t. j. aby młodzież nasza na początkowe studya uniwersyteckie i wogóle fachowe, o i l e m o ż n o ś c i, nie wyjeżdżała za granicę lecz kształciła się na ojczystym gruncie, do zakładów zaś obcych, aby wyjeżdżała na dokończenie studyów i w celu możliwie największego wydoskonalenia się w swoim zawodzie.

Stanisław Madeyski.

Bojkot cywilizacyjny jest przedewszystkiem nieprawdą, i już dlatego samego eksperymentem narodu niegodnym. Wszakże Chiny dały dowód klasyczny, że on się nie da wykonać. Ale każdy nawet zapęd w tym kierunku, uczyniony przez społeczność, która w dziejowym rozwoju ludzkości dosięgła już stopnia narodu, byłby sprzeniewierzeniem się tej właśnie misyi, którą ona jako naród ma do spełnienia.

Bojkot sprzeciwia się pojęciom i celom tak cywilizacyi, jak i narodu. On jest występkiem przeciwko obowiązkom, które z nich wprost wypływają.

Bo przecież na tem polega istota narodu, że doszedłszy za pomocą rodzimej mowy do stopnia wyższej cywilizacyi, znalazł środek do rozwinięcia w całej pełni tych duchowych sił, jakie tkwią w jego odrębnym charakterze narodowym. Wobec ciągłego postępu cywilizacyi naród tem tylko może utrzymać zdobyte stanowisko w rzeszy narodów, jeżeli wraz z nimi płodami własnego ducha przyczynia się do ogólnego rozwoju cywilizacyi.

Jakże podołać temu zadaniu, gdyby się naród duchowo odosobnił? gdyby nie znał poziomu i postępu cywilizacyi innych narodów? gdyby ukrywał przed nimi cywilizacyjne zdobycze własnego ducha?

Jeśli nie wolno czynić prób tego rodzaju narodom, które mają niezawisły byt polityczny, to w dwójnasób potępienia godnemi byłyby one u narodu polskiego. Bo obowiązkiem naszym jest nie tylko pracą organiczną wzmacniać siły narodu dla użytku domowego, ale owszem dawać musimy światu cywilizowanemu dowody, że żyjemy jako naród osobny wśród innych, im równy. My tych dowodów dostarczamy ciągle, to też we wszystkich dziedzinach nauki, literatury i sztuki imiona naszych przedstawicieli znajdujemy wymieniane na równi z przedstawicielami innych narodów, a wytwory naszego ducha narodowego cenione są jako wspólne zdobycze cywilizacyjne całej ludzkości.

Tak będzie i nadal. Bo naród, któremu Bóg daje siły żywotne, nie zniesie więzów ducha: on musi żyć pełnem życiem.



Pius PP. X

NA JUBILEUSZ PAPIESKI.

Mowa na uroczystym obchodzie we Lwowie 18 paźdz. 1908 r.

Uczucia i przekonania głębokie przywiodły nas tu dziś, aby tem uroczystem zebraniem dać wyraz hołdu naszego wobec osoby Ojca św. i wobec instytucyi papiestwa.

Wynieśliśmy z domu i zachowali w życiu dawną Ojców naszych wiarę, tę wiarę katolicką, która w naszej narodowej tradycyi łączy się z zaraniem dziejów naszych, przypomina Mieczysława I i św. Wojciecha, która do dziś poprzez całe pasmo naszych dziejów narodowych i poprzez całe pasmo dni naszego życia jest dla nas nauczycielką moralności, krzewicielką cnoty, pocieszycielką w strapieniach i smutkach żywota, łącznikiem z Bogiem.

Religia nasza katolicka dwa nam świadczy wielkie dobrodziejstwa: daje nam poznanie Boga, ową najwyższą prawdę, oraz daje nam normy dla życia. Kto ma w sobie dość wiary, dość miłości, dość siły, aby w każdej chwili i przy każdym czynie pamiętać na nauki Chrystusa i do nich się zastosować, ten nie zbłądzi w życiu, nie obarczy swego sumienia grzechem, krzywdą i winą, ten wśród mozołów i przepaści życia znajdzie zawsze przewodnika, co go na jasną wyprowadzi drogę.

A prawda ta znajduje dziś uznanie poważne niejednokrotnie i poza kołem wyznawców katolickiej wiary. I tak kilka lat temu widziałem książkę — a podobne duchem zjawiają się często —

której autor, Amerykanin, protestant, przerażony zepsuciem i odchrześcijanieniem świata, stawia projekt i hipotezę stowarzyszenia, któreby obowiązywało członków do pytania przy każdym czynie i przed każdą decyzyą życia: Jakby Chrystus postąpił i postąpienia zgodnie z nauką i przykładem Chrystusa. A w tym ślubie dobrowolnym pełnienia przykazania Chrystusa, iście za Tym, co był i jest »drogą, prawdą i życiem«, widzi on jedyną drogę ratunku ludzi i ludzkości.

Dla katolików takich nowych nie potrzeba ślubów; nam tę drogę ratunku, ten jasny drogowskaz życia od dawna daje Kościół i jego wiara.

To też słuszna i godziwa jest, abyśmy oceniając wielką indywidualną i społeczną doniosłość katolickiej wiary, nie skąpili hołdu dla widomego naczelnika tej wiary na ziemi, nie skąpili hołdu dla osoby Ojca św. i instytucyi papiestwa. I gdy świat cały urządza w tym roku obchody jubileuszowe na cześć Piusa X, potrzeba było stwierdzić, że i P o l s k a jest w rzędzie katolickich narodów, potrzeba było i na naszej ziemi jubileuszowe urządzić obchody.

Zachętą dla nas była tu i s a m a p o s t a ć P i u s a X. Objąwszy tron papieski po jednym z najwyższych duchów XIX w., po Leonie XIII, którego panowanie całe odpowiadało przypowieściowemu mianu: *Lumen de coelo,* znalazł się nowy papież w trudnem położeniu, i świat cały patrzał, co będzie w Rzymie i z Rzymem, gdy zgasł świetny Leon XIII. Niebawem nowy odezwał się z Rzymu głos, charakteryzujący od razu s e r c e g o r ą c e, pełne wiary, miłości Boga i ludzi. A to serce gorące niebawem poznać dało, że stać je i na szczerą pamięć o nas, biednych synach ziemi niedoli, że nam przystępu do tego serca nie zagrodzą ni ważne sprawy tego świata, ni jego świetne potęgi. Pius X poczuł się Ojcem i naszym.

Stąd też doniosłem echem odbił się w sercach i umysłach naszego społeczeństwa podniosły list pasterski, jaki nasi polscy biskupi z początkiem roku bieżącego wydali, wzywając nas tym listem do uroczystych obchodów papieskiego jubileuszu, pouczając o znaczeniu instytucyi papiestwa dla Kościoła, dla ludzkości, przy-

pominając liczne dowody i przykłady ojcowskiej troski, pieczy i miłości, jakich Polska doznawała od stolicy Piotrowej wogóle i od dziś panującego papieża. I przypominają nam nasi biskupi przepiękne słowa Leona XIII wypowiedziane do pielgrzymki polskiej w r. 1902: »Serce nasze rwie się do całej Polski i mimowoli przychodzi na myśl, jak naród wasz wśród rozlicznych, wielce ciężkich i gorzkich nieszczęść zachował wiarę ojców ze stałością niezłomną, gotów raczej zginąć, niż się ugiąć. Nad takie męstwo cóż może być milszego i co lepszą rokować przyszłość? Z jaką więc jesteśmy dla was życzliwością i jak gorąco dla narodu polskiego pragniemy lepszej i to trwałej doli, wy sami osądźcie« — i przypominają nam dalej słowa Piusa X, wypowiedziane przy podobnej okazyi w r. 1904: »Niczego tak gorąco nie pragniemy, jak tego, żebyśmy cały naród polski, tak licznymi i wielkimi ozdobiony darami, w ojcowskiej mogli objąć radości. Wiemy także dobrze, że nie brak wam przeciwności w obronie praw Kościoła i wykonywaniu dzieł życia chrześcijańskiego. Ale jakkolwiekby było, nie upadać wam na duchu, pomnąc na przeszłość«.

A słowa te są pociechą, ale są nie tylko pociechą, lecz i nauką. Teorya polityki i socyologia zajmują się obecnie wiele pytaniem, co to jest naród, co jest społeczeństwo, i jeden z francuskich myślicieli stwierdzając istnienie polskiego społeczeństwa mimo utraty politycznego bytu, zaznacza, że tą siłą utrzymującą nasze narodowe życie jest »pamięć wielkiej przeszłości i przyszłości wspólnej nadzieja«...

A nasz wielki historyk Szujski uczył nas, że:

Pamięcią wielkich w ojczyźnie ludzi
Dźwiga się naród, mocni się duch,
Orle się skrzydła do lotu budzi,
W orli przyszłości porasta puch.
Wszystkie ma strzały w swoim kołczanie
Na codzienności walkę i trud
Komu wczorajsza dzisiejszą stanie
Się dni osnowa,
W kim grają ojców czyny i słowa
W kim krew stuleci potężnie krąży,
Szczęśliwy lud!
Bo wie skąd wyszedł, więc wie, gdzie dąży.

(»Długosz i Kallimach«, Epilog).

Pamięć przeszłości ma dla wszystkich narodów wielkie znaczenie, bo historya mistrzynią życia, bo przeszłość narodu to rzeźbiarka, co wyrobiła narodową indywidualność, moralne i materyalne przekazała dziedzictwo, będące przyszłości podstawą, a tradycya narodowa to jeden z najsilniejszych węzłów i czynników utrzymujących narodową świadomość, ten warunek narodowego bytu.

I dla nas ma pamięć przeszłości, zwrot myśli ku historyi narodu, to samo doniosłe znaczenie. Ale nie tylko to samo. Dla nas znaczy to więcej.

Straciliśmy niezależny byt polityczny, rozdzieliły nas cudze słupy graniczne, a jednak »duchaśmy nie dali«, żyjemy i żyć chcemy jako naród, utrzymać chcemy swą indywidualność historyczną.

W tem uprawnionem i obowiązkowem dążeniu naszem historya świadczy nam i świadczyć może bardzo wielkie usługi. Na szarą niedoli i smutku godzinę ona da pokrzepienie ducha, przypominając jasne naszych dziejów dni, wskrzeszając imiona i zasługi tych, co rozumnie i szlachetnie służyli Bogu, ludziom i ojczyźnie, a chwała Bogu nie braknie w dziejach naszych ni takich dni, ni takiej zasługi. Na trudności i zadania życia nieraz pamięć przeszłości wskaże nam i drogę i środek ratunku, bo praca naszych historyków chce prawdzie służyć, ale przejęta pragnieniem służby dla narodu, podjęta z myślą: *antiquam exquirite matrem*, chce dalej z rozważania dziejów naszych zbawczą wydobyć nić, wskazać co było zgubą i winą, a co znów było siłą, co było dźwignią, co sławą i zasługą narodu. Tradycya dziejowa utrzymuje narodową świadomość, nam tak potrzebną, pamięć i rozważanie przeszłości pouczy nas, co wyrabiało naszą indywidualność narodową, co więc i dziś znów dalej może być czynnikiem utrwalającym życie i ducha, pogłębiającym indywidualność, chroniącym od zagłady.

Na wyrobienie tej naszej indywidualności historycznej w wysokim stopniu wpłynął Kościół, a co złego było w naszych dziejach, co złego w życiu, to nie z Kościoła płynęło nauki, nie za Kościoła powstało sprawą. Natomiast liczne są jego zasługi historyczne wobec dziejów naszych. Podnoszą historycy, że chrze-

ścijaństwo wogóle wniosło dwa czynniki rozwoju: narodowość i dążność katolicką łączenia i jednoczenia. I u nas chrześcijaństwo przyczyniło się do rozwoju indywidualności narodowej, a równocześnie nie dało zasklepić się w sobie, rozwijało nas i rozwija utrzymując łączność naszą z Rzymem, ze światem, z ożywczymi prądami kulturnej pracy ludzkości całej, co było podwaliną i czynnikiem naszego cywilizacyjnego dorobku, zwłaszcza w dawniejszych stuleciach.

W samem zaraniu naszych dziejów, wprowadzając nas w krąg chrześcijańskich narodów, uchronił nas Kościół od zagłady, jaka pochłonęła tyle słowiańskich ludów nad Łabą, Odrą, na Pomorzu; organizacya Kościoła zapoczątkowała nasze uniezależnienie od cesarstwa, utrzymywała jedność narodu w epoce pobolesławowskich podziałów, Kościół bronił nas niejednokrotnie wobec krzyżackich zamachów, na soborach stawiał nas w rzędzie chrześcijańskich narodów a zmuszając do pracy na równi z innymi, dźwigał nas samych i krzepił.

Program krzewienia chrześcijaństwa dał nam unię z Litwą, obrona chrześcijaństwa powiodła nas na pola dziejowej chwały i zasługi, dała nam Warnę i Wiedeń i Chocim, wplotła w dzieje nasze bohaterskie czyny, rozszerzyła horyzont polskiej myśli politycznej, wydała wielkich ludzi w służbie ojczyzny i w służbie Boga.

Kościół dał nam Skargę, co chciał naród ratować i drogi ratunku wskazywał; dał Kordeckiego, co obroną Częstochowy wyrwał nas z pod szwedzkiej przewagi, a i wśród pracy, co w XVIII wieku zrywała się, aby odrodzenie narodu z gnuśności, ciemnoty i upadku zapewnić, niezapomniane imię świeci ks. Konarskiego, i dalej jasna Ojca Marka postać, co w pierwszej walce orężnej odradzającej się Polski słowem zagrzewał i czynem.

I w porozbiorowych dziejach zaznaczyła się dodatnio myśl Kościoła, opieka Kościoła, ludzie Kościoła. Biskupi polscy długie lata spędzali w więzieniach, liczni zmarli na wygnaniu, cierpiąc za obronę naszych praw, potrzeb i uczuć, naszej indywidualności, przez to samo utrwalając nasze jestestwo, łamiąc wrogie zakusy. Posłannictwo Boże wobec narodu było ich myślą przewodnią, dla

wierności posłannictwu szli na cierpienia, tracili stanowiska, ale wzbogacili dzieje i siły narodu przykładem wierności posłannictwu, wierności idei. Stąd też do dziś, kto tylko dezorganizuje naszą religijno-kościelną organizacyę, tego nie czeka wygnanie ni więzienie, temu nie grozi żadna krzywda, on może być pewien poklasku i poparcia wrogów, ale ten poklask i poparcie jednak stwierdzają, że ta antyreligijna jest u nas i antynarodową robotą.

Jak w kościelnem i politycznem życiu, w dziedzinie obywatelskich czynów i podnoszenia umysłowości polskiej, tak i w dziedzinie sztuki i literatury nader dodatnim był wpływ Kościoła, natchnienie i pobudka czerpane z żywej wiary. Ta wiara fundowała kościoły i klasztory, będące ogniskami i religijnej i humanitarnej i cywalizacyjnej pracy, ona stawiała katedry, co były świadkami tylu wielkich, tylu rzewnych chwil w naszych dziejach, były i zostały nie tylko pomnikami sztuki, lecz skarbnicą naszych pamiątek. Ta wiara dalej stworzyła naszą kościelną pieśń, dała nam hymny od »Boga Rodzicy«, której śpiew przez tyle wieków towarzyszył polskim chorągwiom na wszystkie pola walki i chwały, od starych kolęd, co weszły w tradycyę narodu, co błagały:

Podnieś rękę Boże Dziecię
Błogosław ojczyznę miłą

aż do hymnów nowych bólu i nadziei, do owych rzewnych słów pieśni porozbiorowych, gdzie to

Boże Ojcze polskie dzieci
Płaczą, żebrzą lepszej doli

gdzie naród cały bólem uciśniony i smutkiem, a jednak miłości pełen i wiary:

Przed Twe ołtarze zanosi błaganie

aby, co było, Tyś powrócił Panie...

A ta kościelna pieśń, ten głos duszy narodu do Boga, ileż zdziałała ona i dla utrzymania wiary i nadziei, ile zdziałała dla pogłębienia wspólności duchowej narodu! W niej drgały łzy i bóle, w niej drgała nadzieja narodu, ona potęgowała i potęguje nieśmiertelne narodowej jedności poczucie.

Na gruncie łączności z Rzymem, na podstawie wiary katolickiej rozwinęły się nasze dzieje, powstały wielkie czyny, po-

wstali wielcy ludzie, budziły się głębokie, szczytne uczucia, i to nadało piętno naszej historyi i naszej indywidualności, wytwarzało i pogłębiało naszą spójnię duchową.

Łączność z Rzymem ma dla nas jednak nie tylko historyczne znaczenie i zasługę. Jest ona do dziś jednym z czynników naszej narodowej siły. A siły potrzeba do życia jednostkom i narodom; siły potrzeba do spełnienia zadań, do dokonania pracy i obowiązków żywota, siły potrzeba do przetrzymania czarnej godziny niedoli. Kto dba o życie narodu, dbać winien o czynniki siły narodu.

Opiera się siła narodu na materyalnych podstawach, w ich rzędzie liczbie ludności, ziemi, kapitałach, ale opiera się i na moralnych podstawach, świadomości narodowej i na moralności społecznej. Moralność obejmuje całego człowieka skuteczniej i zupełniej, niż to zdoła uczynić obyczaj i prawo, moralność obejmuje nie tylko zewnętrzne czyny, lecz i wewnętrzne pobudki czynu, wyrabia w człowieku sumienie, a to najskuteczniejszy i najsurowszy sędzia i czynów naszych i naszych pobudek. Gdzie moralność prawdziwa zapanuje, tam zapanuje duch rzetelności, pracowitości, sprawiedliwości, wstrzemięźliwości, tam nie krzywda i chęć przewagi, chęć wyzysku, lecz miłość bliźniego, poczucie słuszności zapanuje w stosunkach ludzkich. Moralność krzewi wszelkie cnoty, a cnota nie tylko najwyższym rozumem, lecz i najwyższą siłą społeczną. Gdyby każdy uczciwie, sumiennie spełnił swą powinność, gdyby ścisła obowiązkowość, jak tego uczy i żąda religijna moralność, zapanowała w społecznem życiu, to zadania wszystkie byłyby dobrze spełnione, byłby dorobek społeczny na wszystkich polach, nie byłoby rozterki i krzywdy. Umilkłaby nienawiść, pokój panowałby Boży. Wtedy odpadłyby czynniki słabości, niepokoju, wzmogłyby się siły, dźwigałby się naród, dźwigał w dobrobycie, znaczeniu, zasłudze. I nie ma o to sporów w naukach politycznych, uznają wszyscy pierwszorzędne znaczenie cnoty, moralności, dla społecznych stosunków, dla siły, bytu i rozwoju narodu.

Historycznie przez długi ciąg wieków i aż do dziś najwyższą szkołą moralności i cnoty był Kościół Chrystusowy, religia kato-

licka. Prawdę tę wyznają nawet liczni z tych, co wiarę stracili, czy jej nie mieli, i oni patrzą z trwogą, jak się ukształtują stosunki ludzkie, gdyby narody utraciły religię, utraciły wiarę, co była szkołą i sankcyą moralności.

Trwogą o przyszłość, obawą zdziczenia stosunków ludzkich przejęci, szukają ratunku w krzewieniu tak zwanej niezależnej etyki. Ale na czem ją oprą? My opieramy swą etykę na przykazaniach Boskich, na Bożem prawie, na owej *lex aeterna*, jak mówił św. Tomasz z Akwinu, wobec której *lex humana* jest zawsze niedoskonałą, zmienną, podczas gdy owo Boskie prawo jest wieczne, niezmienne, doskonałe. Niezależnej etyce braknie tej silnej, niezmiennej podstawy. Chce ona oprzeć się na idei pożytku społecznego, ale przeocza, że to sporne i zmienne pojęcie, że pożytek własny, natychmiastowy zawsze silniej przemówi do ludzi i oddziała na ich czyny, niż przyszły społeczny pożytek. Zaufania przeto mieć nie można w skuteczność tej t. zw. niezależnej etyki, a uznając doniosłość cnoty, jako czynnika życia i siły i lepszej przyszłości narodu, szukajmy jej źródła i jej nauki tam, skąd ona płynęła i zawsze płynąć może, to jest w moralności religijnej, w utrzymywaniu i pogłębianiu wiary katolickiej w narodzie.

I ponętnym a szlachetnym zdawać się może program podnoszony z obozu wyznawców t. zw. niezależnej etyki: »nie spierajmy się o dogmaty wiary, lecz pełnímy przykazania Chrystusa«. Ale program to błędny i zawodny, to droga złudna. Bez wiary w Chrystusa, bez wiary w Jego naukę i bez miłości tejże nauki, czyż można spodziewać się, że ludzie słuchać będą przykazań Chrystusa? Stara to psychologiczna prawda: *video meliora proboque, deteriora sequor*. Sam rozum nie ożywi ni nie oświeci sumienia. Pewniejszym i pełniejszym sumienia byt i wpływ, gdy żar religijnej miłości i wiary oświeci mu zadania i trudności życia. Stąd też wiara nie jest rzeczą prywatną, nie jest rzeczą obojętną dla społeczeństwa. Utrzymywać i krzewić winien wiarę, kto chce, aby sumienie, aby moralność panowały w życiu i nad życiem narodu.

I sama tak zwana świecka oświata nie starczy, nie zastąpi

moralności. Wiedza dobrego nie daje jeszcze siły czynienia dobrze, na to dobrej woli potrzeba, pobudek serca, nie samej krytyki rozumu. Alfabet nie zastąpi katechizmu, alfabet sam nie starczy dla życia, dla dźwigania narodu. Francya dzisiejsza przerażającym przykładem, jak pusto w duszy i sumieniach, gdy w nich zabraknie idei Boga. Wykreślono tam imię i pojęcie Boga z podręczników szkolnych, usunięto wizerunek krzyża z urzędów i gmachów publicznych, usunięto miłość Bożą i wiarę z serca ludu, aż ten bez wiary wychowany lud zaprzecza idei ojczyzny, neguje obowiązki dla ojczyzny. I trwoga o przyszłość narodu ogarnia już tam wyższe umysły. Zaiste nie na takiej drodze, nie zaprzeczaniem Boga dźwiga się ludzi, nie na takiej podstawie buduje się życie i przyszłość narodu.

W pierwszej swej encyklice postawił Pius X program: *Instaurare omnia in Christo*, odbudowy wszystkiego w Chrystusie. I w dziedzinie wiary i w dziedzinie bytu narodowego winno to i dla nas być programem. Przecież nam właśnie tyle odbudowy potrzeba! Ten program, ta droga pomnoży pracę, pomnoży cnotę, pomnoży siły narodu, ona uprawni nadzieję.

Polonia semper fidelis — mawiali o nas Papieże, i my z dumą i radością przyjmowaliśmy ten przydomek. Ten nasz charakter: *Polonia semper fidelis*, — wiernego Bogu narodu, wywarł jasne piętno na pasmie dziejów naszych, ten nam dodaje i dziś moralnej siły. Wiara nasza zarówno jak miłość Ojczyzny, jak nas wiodą w życiu tak i zgromadziły nas tu dziś, by dać świadectwo naszych uczuć, by zbiorowy złożyć Ojcu św. jubileuszowy hołd. I wiara i miłość Ojczyzny każą nam też dbać o to, byśmy zawsze zasłużyli na miano: *Polonia semper fidelis.*

Józef Milewski.

PIUS X.

ŻYCIE I DZIAŁALNOŚĆ.

Jak słońce w dzień pogodny powoli chyli się ku zachodowi i chowa się za bezbrzeżną powierzchnię morza, zanim zniknie zupełnie z przed oczu zapatrzonego w nie widza, tak zapadało nieznacznie życie Leona XIII w końcu czerwca 1903 roku, by zgasnąć na wieki. Pogrążył się świat katolicki po świetnym, pełnym duchowego światła ćwierćwiekowym okresie, w pomrok obawy, niepokoju i niepewności, czy nowe mające wejść słońce owczarni Chrystusowej, wejdzie równie pogodne, dając i ciepło moralne i światło duchowe.

I Bóg był łaskaw — bo oto weszło słońce promieniejące cnotami chrześcijańskiemi, a pobudzające do nowego kiełkowania zastygłe w sercach prawdy wiary i przywiązanie do Stwórcy.

Wkrótce po ukończeniu ceremoniału pogrzebowego ś. p. Leona XIII zebrali się członkowie św. Kolegium celem wyboru nowego Namiestnika Chrystusowego.

Dwie niewątpliwie przy wyborze papieży okoliczności ważną odgrywają rolę, t. j. opatrzność Boża i wpływ ludzki. Trudno zaprzeczyć, bo wykazuje to historya, iż bywały czasami wybory papieskie, przy których ludzkie namiętności tak szalały, iż trzeba było chyba przypuszczać, iż Duch św. odwrócił się od niegodnych wyborców. Ale nie było niezawodnie kolegiów kardynalskich, któreby tak mało ziemskimi dały się powodować względami jak

konklawe, z którego wyszedł elektem Pius X. Trudno przy tym właśnie wyborze nie dopatrzeć się palca Bożego.

Może nie będzie to pozbawione zaciekawienia, gdy przytoczę co wiemy o przebiegu tego tak doniosłego wyboru.

Dzień 2 sierpnia zastał już kardynałów zebranych do wyboru po wysłuchaniu Mszy św. i otrzymaniu z rąk kardynała-podkomorzego *(camerlengo)* komunii św.

Poza murami Watykanu śledzi się, mimo zupełnego odcięcia wyborców i ich otoczenia, przebieg tego ważnego aktu, choć tylko na podstawie przypuszczeń. W naprężeniu też wygląda świat katolicki, ba świat cały wyniku wyboru.

I przypominają się znowu przepowiednie ujęte w dwa słowa, a odnoszące się do papieży. Przypisywane biskupowi Malachiaszowi, który umarł w r. 1148, w rzeczywistości pochodzą dopiero z XVI wieku. Jedna z nich co do Piusa IX, *crux de cruce*, sprawdziła się wobec niezliczonych krzyży, jakie spadały na pontyfikat tego papieża, druga zaś co do Leona XIII, *lumen de coelo*, również znalazła dobre zastosowanie, bo tyle mądrości, tyle światła duchowego mógł tylko ten wielki papież, jako wybraniec nieba objawiać, a inna znowu przepowiednia o następcy Leona mówi *ignis ardens*.

Na kogo z 61 kardynałów, przybyłych celem dokonania wyboru nowej głowy Kościoła, stosować się będzie ta wyrocznia krótka? Czy nie będzie złudną? — oto pytanie, które wszystkich zajmuje.

Po śmierci Piusa IX tylko kard. Pecci i Billio wchodzili w grę wyborczą. Gdy ostatni z powodu wieku swego prosił wyborców, by zaniechali jego kandydatury, pozostał tylko Pecci do uwzględnienia i rzeczywiście już przy trzecim wyborze wyszedł jako papież z konklawe.

Po śmierci Leona nie zgodzono się na 2 lub 3 kandydatów, ale było ich aż 13, z których zaraz przy pierwszem skrutynium wyłoniły się jednak tylko dwie poważne kandydatury t. j. Rampolli, kardynała-sekretarza z 24 i Gottiego, byłego jenerała Karmelitów Bosych z 17 głosami, gdy trzeciemu kandydatowi dostało się 5 głosów.

Wieczorem dostaje Rampolla 29, Gotti już tylko 16 a kardynał Sarto 10 głosów. Liczba więc kandydatów podniosła się o jednego. Zaczęto też bliżej rozważać kandydaturę kardynała, który w duszpasterstwie większe od obu współkandydatów miał zasługi, następstwem zaś tego było, iż w niedzielę rano zmienił się stosunek głosów, bo gdy Rampolla zatrzymuje 29 głosów, Gotti otrzymuje już tylko 9, a Sarto dostaje 21. Przy następnym wyborze otrzymuje Sarto 24 głosy, trzeciego zaś dnia wyborów przy pierwszem skrutynium zmienia się stosunek znaczniej, gdyż Rampolla traci 5 głosów i otrzymuje już tylko 24, gdy Sarto z 24 podskoczył na 27 a wieczorem nawet na 35, gdy Rampolla dostaje tylko 16.

Sarto, który ani pragnął ani myślał o możliwości zwrócenia oczu kardynałów na siebie, bo nawet wyjeżdżając z Wenecyi zaopatrzył się w bilet powrotny, widząc, iż wybory przybierają obrót niepożądany, bo wysuwają i jego kandydaturę, broni się przed życzliwością głosujących. Jeden z francuskich kardynałów, z którym Sarto, nie znając francuskiego języka, rozmawia po łacinie, odzywa się do niego: *Si linquam gallicam non loqueris. Papa fieri nequis.* Radośnie a szczerze się uśmiechając, odpowiada Sarto: *Deo gratias.*

Otrzymawszy już 21 głosów i widząc możność spełnienia się tego, czego z całej duszy nie pragnął, zwraca się z błagalną prośbą do wyborców, by na niego, niegodnego pontyfikatu, nie głosowali. Ma to jednak tylko ten skutek, iż przy następnem głosowaniu, to jest we wtorek rano, otrzymał Sarto 50 głosów a zatem o 8 głosów ponad wymagane dwie trzecie, czem los Kościoła został rozstrzygnięty. Nie bez wzruszenia na zapytanie dziekana kardynałów Oreglii, czy przyjmuje, odpowiada: *Accepto.*

Szlachectwo duszy, zdolności umysłowe, życie bogobojne i cnotliwe, zawsze torowały drogę do tego najwyższego dostojeństwa w Kościele Bożym, ustanowionym przez syna cieśli, a lubo i synowie z rodzin królewskich i cesarskich na tronie św. Piotra zasiadali, to jednak zawsze przymioty duszy i serca, nie pochodzenie, były dla nich wyłączną legitymacyą.

Nasz jubilat pochodzi, jak wiadomo, z nizkiego stanu, a te

ręce, które dziś dzierżą berło świata katolickiego, niegdyś przy zwykłej pracy w polu skrzętnie pomagały bratu i ojcu dla pozyskania chleba powszedniego a tak potrzebnego licznej ubogiej rodzinie.

I z okoliczności wyboru nowego papieża, a więcej jeszcze teraz z powodu licznych obchodów jubileuszowych tegoż, mówiono i pisano wiele o życiu Piusa X; to też w głównych zarysach znane ono każdemu katolikowi. A jednak trudno przy takiej, jak dzisiejsza uroczystość, odmówić sobie przyjemności, by myślą nie śledzić choćby pobieżnie biegu życia, które zawsze w zgodzie z Bogiem, ze sumieniem, zawsze pogodne, a przytem bardzo bliźniemu pożyteczne, żadnego w harmonijnem zespoleniu z ludźmi nie wywołało zgrzytu, a tylko wdzięczne wszędzie wywołuje echa.

Swiatło dzienne ujrzał Pius X w małej wiosce Riese koło Wenecyi. Ojciec Piusa był tam *cursore municipale*, czyli sługą gminnym a matka Małgorzata Sanson z Bedelago, obdarzyła męża swego ośmiorgiem dzieci, z których Giuseppe zwany Beppo był pierwszem ur. 2 czerwca 1835 r.

Początków w nauce udzielał mu Gecherle, Niemiec. Jak wiadomo Lombardia i Wenecya należały do r. 1866 do Austryi.

Zdolnościami i wzorowem postępowaniem zwrócił Beppo na siebie uwagę miejscowego proboszcza i dziekana ks. Fusarini, który gorliwie zajął się chłopcem, udzielając mu lekcyi prywatnie i przygotował do gimnazyum w Castelfranco. Gdy świadectwa szkolne wykazywały niepospolite zdolności i postępy, postanowiono talentu tego nie zagrzebać w małej mieścinie, ale przeznaczyć do wyższych celów. Kardynał Monico, pochodzący również z Riese, dysponował zapisem dla zdolnej młodzieży i udzielił go uzdolnionemu chłopcu na polecenie ks. Fusarini, tak, że Beppo zaledwo skończywszy 15 rok życia wstąpić mógł do seminaryum w Padwie. Na chłopca wieśniaka potężne zrobiło wrażenie miasto o tylu wspaniałych gmachach, słynne z uniwersytetu założonego już w r. 1238 zaś zdumienie wprost ogarnęło go, gdy wstąpił w progi seminaryum, mieszczącego się w dawnym klasztorze Benedyktynów. Przyjęty do trzeciej klasy, wkrótce prześcignął w nauce swych współuczniów i w liczbie 38 był pierwszym. W 18 roku

traci ojca. Odtąd matka wraz z 7 rodzeństwa Beppa skazana na własną zapobiegliwość.

Gdyby powrócił do zagrody domowej i z młodszym swym bratem Angelo podjął pracę około roli, rodzina miałaby dawne, znośne utrzymanie — inaczej grozi bieda największa! tak mówią sąsiedzi, taką była opinia wioski całej. Lecz rozumna matka nie przyjmuje takiej od syna ofiary, a uznając w nim wyższe zdolności i powołanie, odsyła go do seminaryum, sama ujmując dzielną ręką trud ciężki przy osieroconem ognisku. W sierpniu r. 1858 z końcem roku szkolnego ukończył Sarto seminaryum lecz święcenia kapłańskie odebrać miał od biskupa swojej dyecezyi w Treviso, biskupa Farino. Mając atoli dopiero lat 23, potrzebował z Rzymu zwolnienia od rygoru przepisu wiekowego, które osiągnąwszy, udzielił mu biskup święceń kapłańskich w dniu 18 września tegoż roku.

W wzruszających słowach opisuje biograf Piusa X ks. de Vaal tę chwilę uroczystą, gdy młody lewita przy pierwszej ofierze udzielał matce i rodzeństwu komunii św. a następnie błogosławieństwa swego, gdy go w skromnych progach chaty rodzinnej przyjmowali. Kilka dni później, z rozkazu swego biskupa obejmuje jako kapelan duszpasterstwo w małej mieścinie Tombolo, gdzie jego zdolności nadzwyczajne i wzorowa sumienność w pełnieniu obowiązków najwdzięczniej zapisują się w pamięci mieszkańców.

Mając lat 34 obejmuje probostwo w Salzano niedaleko Maestre i tu oddaje się znowu z całym zapałem duszpasterstwu. Kazania jego słyną na okolicę całą, a więcej jeszcze czułe serce kapłana na każdą biedę ludzką. Raz na przykład powołany do grzebania nieboszczyka z krańca swej rozległej parafii, gdy dwóch tylko ludzi zastaje do niesienia trumny, nie namyśla się długo, lecz wraz z kopaczem ujmuje trumnę na barki własne, żeby innym ulżyć ciężaru i niesie zwłoki przez milę drogi do samego Salzano. Przychylny staremu kościelnemu, sam nieraz proboszcz rano kościół otwiera, dzwoni, aparaty przygotowuje, żeby mu snu przysporzyć. Tradycya przechowała nam bardzo wiele czynów podobnych, świadczących o niezrównanej dobroci tego prawdzi-

wego sługi Bożego; to też bolesnem i przykrem było dla gminy rozłączenie się z ukochanym pasterzem, gdy biskup Zinelli w Treviso po latach kilku powołał go na kanonika. Znamienny i rozrzewniający zachodzi tu fakt, że gmina obdarza oddalającego się kierownika sutanną i ubiorem odpowiednim nowej godności, bo Sarto, oddając skromny dochód swój biedniejszym od siebie, nie ma po części nic na potrzeby własne. Bieg czasu nie wpływa ujemnie na trwałość tego związku duchowego między dawnym proboszczem w Salzano a oddaną mu gminą, która do Mantui na konsekracyę biskupa pastorał, a jakiś czas potem piękny klęcznik nowemu patryarsze do Wenecyi przesyła.

W Treviso, przy boku biskupa, pełen zawsze pracy i poświęcenia, posuwa się Sarto na coraz wyższe szczeble dostojeństwa, lecz tem większe ciężary na barki swe przyjmuje.

Poczuciem odpowiedzialności wielkiej lecz i zadowolenia, napełnia go ofiarowany mu urząd dyrektora seminaryum dyecezyalnego. Jeżeli poprzednio z zapałem wykładał dogmatykę, moralną i liturgię w tem seminaryum, to teraz tem gorliwiej czuwa nad wychowaniem moralnem i nad askezą młodych dusz jemu powierzonych, które lgną do niego jak do prawdziwego ojca, mimo surowości pewnej i wymagań w chwilach, gdy występuje jako *examinator prosynodalis*.

Mianowany dyrektorem biskupiej kancelaryi i jeneralnym wikaryuszem, zwiedza Sarto wraz z biskupem całą dyecezyę, umie wszędzie skutecznie złemu zaradzić, gdzie zachodzi potrzeba, do naprawy stosunków zachęcić, a gdy w r. 1882 biskup Zinelli umiera, jemu powierza tymczasowo władza kościelna administracyę dyecezyi. Opatrzność jednak wyznaczyła mu posterunek ważniejszy i trudniejszy. Dyecezyą w Mantui zawiadywał biskup Piotr Rota, ponieważ jednak rząd przez lat dziesięć nie udzielał mu *exequatur*, nad wyraz smutne panowały w dyecezyi stosunki. Chcąc temu kres położyć, powołuje papież Leon XIII biskupa mantuańskiego do Rzymu, mianując Sartę jego następcą. Niełatwe miał zadanie nowy biskup, w Rzymie konsekrowany, obejmując to pole tak dawno leżące odłogiem, zachwaszczone i cierniste i to w 50 roku życia. Był to dzień 19 kwietnia 1885 r., druga nie-

dziela po Wielkanocy. Ewangelia dnia tego wspomina o pasterzu dobrym, który oddaje życie dla trzody swej. Takim zaiste ewangelicznym pasterzem był biskup nowo obrany, któremu codzienne trudy i mozoły, nieustająca walka z rządem w obronie praw Kościoła, dawały aż nadto sposobności do poświęcenia się dla swych owieczek. Najwięcej trudności miał z powodu postępowania rządu włoskiego, który od roku 1866, gdy Mantua wraz z Lombardyą i Wenecyą przeszła w jego posiadanie, czyni wszystko, by przeszkadzać prawidłowej działalności biskupa i czynności jego krępować. U dyecezyan swych nie zawsze znajdował biskup należyte uznanie i poparcie swych usiłowań, nawet duchowieństwo opuściło się w wykonywaniu obowiązków, co biskup z boleścią podnosi, przesyłając co trzy lata do Rzymu sprawozdanie ze swej działalności. Pierwsze z nich kończy się prośbą, zwróconą do kardynałów, by modły zanosili do Boga na intencyę powierzonej mu dyecezyi i zawiera słowa: *Pro me et grege meo Dominum obsecrare dignemini, ut Pastor ovibus presto sit pietate verbo et exemplo ut oves pastoris vocem audiant eumque sequi non renuant.*

W pracy gorliwej nie ustawał: wizytacye kościołów, kazania, odwiedzanie zebrań katolickich, narady z duchowieństwem, udzielanie sakramentów, osobiste słuchanie spowiedzi, wypełniały mu wszystkie dnia godziny. Wygnane zakony sprowadza do opuszczonych klasztorów, szczególną opieką młodzież otacza, zakłada nawet szkołę dla opuszczonych i zbłąkanych dziewcząt. Po dwuwiekowej przerwie zwołuje do Mantui synod, dokąd na 250 wezwanych 195 stawia się duchownych. Pracuje nad podniesieniem kleru pod względem religijnym i naukowym, wciąż go upominając, by słowem i przykładem wiernych w prawdach wiary utwierdzali. »Pouczajcie małych i wielkich, prostaczków i wykształconych, bo czego potrzeba nam przedewszystkiem, to tego, by wierni lepiej poznawali prawdy wiary, przykazania Boże i kościelne, wtenczas dopiero zmieni się na lepsze życie owieczek pieczy waszej poruczonych«. W celu zwalczania wpływów i prasy żydowskiej — a jedną trzecią mieszkańców Mantui stanowili Żydzi — zakłada biskup pismo *Il citadino,* własnym sumptem je podtrzymując. Dla przeciwdziałania rozrastającym się silnie

doktrynom socyalistycznym, powoływał do życia najrozmaitsze towarzystwa katolickie.

Był przeciwnikiem sportów rozpowszechniających się wśród duchowieństwa, a specyalnie sportu welocypedystycznego. Uznając pewne korzystne strony tej lokomocyi konkludował, że »wszystkie piękne rzeczy przez zwolenników sportu głoszone, winny ustąpić przed przyzwoitością i powagą stanu duchownego«. Wybitna indywidualność biskupa wywierała wpływ całkiem zrozumiały na otoczenie. Opowiadają, że zaprzyjaźniony bardzo z dyrektorem gimnazyum w Mantui, zniewolony był biskup zerwać z nim stosunki, gdy ten przejął się ateizmem i odpadł od wiary. Wiele lat później na wieść, że zbliża się ostatnia chwila zbłąkanego, pośpiesza biskup z zapytaniem, czy tenże nie zechce go przyjąć nie jako biskupa, lecz przyjaciela dawnego? Życzeniu stało się zadość, a ostatnie widzenie się przyjaciół zakończyło się nawróceniem zbłąkanego i zaopatrzeniem go na drogę wieczności.

Nadszedł tymczasem rok 1895 a z nim dalsza zmiana losów biskupa. Paweł Origo prekonizowany zostaje na następcę Sarta, którego zaufanie Ojca św. powołuje na patryarchat wenecki. I teraz dopiero bujnie wzrasta ziarno ręką niestrudzonego siewcy na glebę rzucane. Duch katolicki budzi się w dyecezyi Mantui, przenika, podnosi, uzdrawia wszystkie warstwy społeczne, a biskup Origo, któremu danem było zbierać plony względnie krótkiej lecz tak błogiej działalności poprzednika, nie ma słów na wyrażenie wdzięczności i hołdu dla zasług biskupa Sarto, na które powołuje się w swych sprawozdaniach.

Cóż zatem dziwnego, że po śmierci uczonego i dobroczynnego patryarchy Wenecyi, Domenico Agostini, kardynał Parocchi zwrócił uwagę papieża na biskupa Mantui jako ewentualnego następcę?

Leon XIII znał zresztą sam i cenił go wysoko — poza tem i ta okoliczność jeszcze przemawiała na korzyść przyszłego patryarchy, że tenże jako biskup Mantui mimo bardzo trudnych warunków, nie miał zatargów z rządem, co uprawniało do przypuszczeń, że zatwierdzenie jego nie dozna opozycyi ze strony tegoż. A jednak stało się inaczej, jak się zaraz przekonamy. Ażeby

ułatwić biskupowi drogę dalszej działalności, przyjął go papież do św. Kolegium, mianując kardynałem d. 12 lipca 1895 r. a trzy dni później patryarchą weneckim. W kolegium kardynałów przydzielonym został do Kongregacyi obrządków i studyów.

Nieprzewidziana nastąpiła trudność w objęciu patryarchatu, gdy rząd odmówił *exequatur* i wprowadzenia do rezydencyi biskupiej, powołując się nieprawnie na przywilej dawny dożów weneckich obsadzania patryarchatu. W rzeczywistości papież Pius IV udzielił był dożom weneckim prawa patronatu ale z wyraźnem zastrzeżeniem: *ex nostra mera liberalitate,* to znaczy »z papieskiej łaskawości«. Gdy w roku 1797 upadła Rzeczpospolita wenecka, upadło tem samem i prawo udzielone przez Piusa IV, a po przejściu Wenecyi pod panowanie austryackie, przeniósł papież Pius VII w roku 1821 patryarchat z S. Pietro di Castello do katedry św. Marka przyznając cesarzowi Franciszkowi Józefowi I prawo nazwisk — *nomina* — t. j. prawo wymienienia osób, któreby cesarzowi na tę godność były przyjemnemi. Gdy w r. 1866 Wenecya znowu do Włoch przyłączoną została, rada państwowa nowego rządu zrzekła się wszelkich zobowiązań z konkordatem związanych, a zatem i praw z niego wynikających. Gdy kwestya ta przez kanonistę weneckiego, senatora Rinaldi, naukowo została wyświetloną, zgodził się rząd ostatecznie na udzielenie *exequatur* i dnia 24 listopada 1894 r. nastąpił wjazd nowego dostojnika do Wenecyi.

Wysoka i zaszczytna godność nie zmieniła natury wrodzonej dawnego proboszcza z Salzano, lecz rozszerzając ramy bezprzykładnej jego dobroczynności, pozostawiła go równie skromnym, prostym i niewymagającym człowiekiem, jakim był na poprzednich posterunkach. Życie jakie prowadzi jako patryarcha jest tego najwymowniejszym wyrazem. Jest ono skromne bardzo; kuchnią zajmują się siostry jego. Kiedy został biskupem pisała jedna z nich »Beppo! jak mamy teraz gotować dla Ciebie?«. »Nie inaczej jak dotychczas«, brzmiała odpowiedź — »ni więcej ni mniej«. Pozostała taką nadal, gdy kardynalską przywdział purpurę. Do uroczystości tej potrzebna jest t. zw. *cappa magna.* Lokaj poprzedniego kardynała ofiarował mu ją za 100 lirów, co

z wdzięcznością przyjął purpurat, by pieniądze zaoszczędzone oddać ubogim. Szeroki pas fioletowy, jaki nosił będąc biskupem, wypadało zmienić na purpurowy. Sarto oddał go farbierzowi, lecz przemiana barw uskutecznić się nie dała... Dla siebie niewymagający, wprost skąpy, nie znał granic hojności dla bliźnich. Nie mając gotówki dawał rzeczy, nieraz garderobę własną, a siostry zniewolone były w zamknięciu chować bieliznę kardynała, przed nim samym. Ta skromność Dostojnego Jubilata stała się niemal przysłowiową i drugą jego naturą. Po wyniesieniu na stolicę apostolską zjawił się u Ojca św. opat San Bernardo, pragnąc ofiarować tabakierkę srebrną, której używał Pius IX, ale papież dziękując odmówił przyjęcia, tłumacząc się tem, że posiada cynową, która mu długie lata wiernie służyła i z którą rozstawać się nie chce. Wiele mówiono i pisano swego czasu w Wenecyi o jeździe patryarchy na górę Grappa 1487 m. wysoką, w celu poświęcenia kaplicy, wzniesionej tam ku czci Matki Boskiej. Drogę odbył kardynał na białym mule, noc spędził w szałasie wystawionym przez klub alpejski, a gdy powracał z konsekracyi, której dokonał otoczony tłumem siedmiotysięcznym, zapisał nazwisko swe w księgę turystów, którą przedłożyć sobie kazał. Było to 4 sierpnia, a w dwa lata później nastąpił wybór kardynała na papieża.

Wybór dokonany znalazł poklask wszędzie, wszystkich ucieszył. Wenecyan zapewne najwięcej, ale i Rzym był zadowolony, lubo nowego papieża znał tylko z opinii nadzwyczajnie dobrego i miłosiernego. Dzięki przyjaznym stosunkom, które Leon XIII umiał nawiązywać i podtrzymywać, naczelnicy państw nie reprezentowanych nawet w odwiecznem mieście, jak Anglii, Turcyi, Stanów Zjednocz. Ameryki objawili życzliwość swą wobec nowej Głowy katolickiego Kościoła. Nawet organa prasy partyi liberalnych, aż do żydowskich Messagero i socyalistycznego pisma *Avanti* przyjęły sympatycznie wybór papieża.

Godzi się może zastanowić nad tem, dlaczego Giuseppe Sarto jako papież przybiera imię Piusa? Jedni twierdzą, że myślą wpatrzony w postać Piusa IX, którego pontyfikat pod względem trudności i uprzykrzeń obecne czasy przypomina, inni — słuszniej

zapewne — sądzą, że upodobanie jego do Wenecyi na myśl mu przywiodło przedewszystkiem Piusa VII, wybranego w tamtejszem konklawe. Jakiekolwiek były przybrania imienia tego pobudki, nie ulega wątpliwości, że imię to godnie i harmonijnie dostraja się do usposobienia Elekta, do jego anielskiej słodyczy i ducha pobożności.

Przygotowania do koronacyi papieskiej zabierają zwykle bardzo dużo czasu i niemało wymagają zachodu, lecz dobre serce papieża liczyło się z życzeniem kardynałów zamiejscowych, pragnących wrócić do swych dyecezyi. To też uroczystość ta naznaczoną została już na dzień 9 sierpnia. Dniem i nocą pracowano nad przygotowaniami w bazylice św. Piotra.

Pół wieku przeszło minęło, kiedy ostatnia odbywała się tu koronacya, t. j. kiedy Pius IX dn. 21 czerwca, otrzymał tyarę z rąk kardynała arcydyakona. Koronacya Leona XIII z powodu przeszkód przez rząd włoski stawianych ograniczyć się musiała na kaplicy sykstyńskiej. Tem większe radosne zaciekawienie budziła ogólnie przygotowująca się teraz uroczystość koronacyjna. Świadkiem koronowania władcy serc 260 milionów katolików był tłum conajmniej 60 tysięczny. Mimo wyraźnie objawionego życzenia papieża, ogłoszonego w gazetach i na murach bazyliki, by powstrzymano się od głośnych okrzyków, nie umiał pohamować się lud w uczuciu entuzyazmu i radości, gdy ujrzał ojca św. niesionego na *sedia gestatoria.* Jak z jednej piersi rozległ się okrzyk grzmiący: *evviva Pio decimo!*

Wzruszającą była ta chwila obchodu, gdy papieża siedzącego na tronie w przedsionku bazyliki, witał przemową łacińską w imieniu duchowieństwa kardynał Rampolla, który był u św. Piotra dziekanem. Tak blizkim godności najwyższej Kościoła, umiał zapanować nad uczuciem, przystępnem zwykłym ludziom w podobnem położeniu, i porówno z innymi przystąpił w chrześcijańskiej pokorze do ucałowania nogi najwyższego kapłana, Chrystusowego Namiestnika.

Po przebrzmiałych uroczystościach cofa się ojciec święty do kilku skromnych komnat, bo przyszłe jego mieszkanie papieskie nie wykończone jeszcze. W modlitwie szuka skupienia ducha

wśród tylu wrażeń różnorodnych, z modlitwy siłę czerpie, by sprostać brzemieniu i dostojeństwu, którego nie pożądał, od którego jak mógł się wypraszał. Samo zewnętrzne dostosowanie się do ceremoniału, do wspaniałości, do świty, przekazanej tradycyą i powagą stanowiska, niemałego wymaga przezwyciężenia i siły woli. Znane nam są niektóre szczegóły, które dla charakterystyki przytoczyć sobie pozwalam. Pytany, czy dawnego kucharza dworskiego zatrzyma, zauważył papież ze zdziwieniem: czy do przygotowania potraw tak skromnych jak makaroni na prawdę kucharz potrzebny?! Podpisując przedkładane mu dokumenty, gdy pióro okazało się niedość czystem, papież dawnym zwyczajem machinalnie w rękaw sutanny je ocierał, nie pomnąc, że miał białą! Znamiennem dla usposobienia Piusa i to, że w przeciwieństwie do swego wielkiego poprzednika, nie tylko kardynała kamerlengo, lecz wszystkich innych urzędników swego dworu na dawnych stanowiskach zatwierdził.

Pius X jest wzrostu słusznego, o głowie szlachetnego pokroju; z oczu bije niezwykła energia i intelligencya, twarz przemawia wyrazem dobrotliwym i ujmującym. Biografowie zapewniają, że charakterem i usposobieniem przypomina papieża Piusa IX, z tej racyi Rzymianie zowią go nieraz: *Pio nono decimo*. Jako patryarcha wenecki utrzymywał Pius X przyjazne stosunki z domem królewskim, to też sądzono ogólnie, że jako papież spowoduje zbliżenie i pojednanie. Do ostatniego zawsze gotów, nie zapomina jednak jakie stanowisko winien zachować Watykan wobec rządu najeźdźcy. To też w akcie dyplomatycznym powiadomienia państw wszystkich o wyborze dokonanym, rząd włoski pominiętym został. W okolicznościach mniej doniosłych, nie mogąc usunąć muru dzielącego Watykan od Kwirynału, Pius X chętnie podaje rękę domowi królewskiemu ponad tym murem politycznej zapory.

Dzisiaj — po pięciu latach najwyższego Apostolstwa — zarysowują się coraz wyraźniej na kartach historyi dążenia, pragnienia i cele Ojca św., te drogi, któremi on z woli Opatrzności lud wybrany prowadzi ku wyżynom chrześcijańskiej doskonałości, ufny w niezłomną moc Kościoła wojującego, ale niezwyciężonego.

Poczynając od reorganizacyi wewnętrznej Kościoła, wiemy, że Włochy, a specyalnie stolicę chrześcijaństwa, oczyszcza z chwastów, elementów przeciwnych duchowi szczerze katolickiemu. Nie waha się nawet biskupów od władzy usuwać, gdzie dobro Kościoła tego wymaga, jak widzimy to w połudn. Włoszech, gdy tam stosunki kościelno-administracyjne pewnemu rozprzężeniu uległy. Na miejsce mniej godnych sług Kościoła zawezwał papież kapłanów wzorowych z Północy, zreformował duchowne seminarya, wzniosłe ceremonie kultu do pierwotnej doprowadza czystości i prostoty, zalecając unikać gorszących nieraz światowych domieszek i naleciałości. Organizując, wskazuje Ojciec św. ciągle na konieczność dobrego nauczania katechizmu. W encyklice *Acerbo nimis* zaznacza, że łatniej znaleźć dobrego mówcę porywającego wymową, niż prawdziwego katechetę.

W całym szeregu bul i dekretów, stara się zadość uczynić potrzebom wiernych, kodyfikuje prawo kanoniczne, a we wszystkich odezwach, które odznaczają się zarówno zwięzłością treści jak mistrzowstwem form, przebija wyższość duchowa piszącego, która mimowoli do posłuszeństwa nakłania. Te dekrety i bule to rosa ożywcza dla Kościoła, który reformuje się i udoskonala pod takim wodzem, by tem lepiej spełniać zadania swe wobec wszechświata, łaknącego moralnego podniesienia i wzmocnienia w chwilach upadku. Sam zaprawiając się od najmłodszych lat kapłaństwa do walki słowem i piórem w obronie praw Kościoła, oceniał papież należycie niebezpieczeństwo, jakie grozi Kościołowi ze strony nieprzyjaznej prasy wszelkich odcieni i wrogich Kościołowi stowarzyszeń. Ma tę świadomość, że w celu obrony trzeba szańce wznosić przeciw szańcom, i powoływać na nie wypróbowanych szermierzy w walce o prawdę, wolność i sprawiedliwość, tak z świeckich szeregów jak duchownych. W walce tej umie sobie ludzi dobierać, a jak skutecznie w tym kierunku pracuje, dowodzą słowa takiej np. żydowsko-masońkiej Trybuny, która pisze: *E un politico di primo ordine che ha saputo mirabilmente organizzare il partito clericale in Venezia e con esso dominare il municipio, la vita publica, la città.*

Pozbawiony ziemskich dzierżaw, nie przestał i nie przesta-

nie Namiestnik Chrystusowy wywierać wpływu na bieg spraw politycznych. Nie było pewnie na kuli ziemskiej państwa, gdzieby w potrzebie Stolica apostolska nie starała się interweniować na korzyść katolickich poddanych, a publiczną to tajemnicą, że tylko życzliwości i przezorności Ojca św. zawdzięczamy, że na stolicy prymasowskiej w Poznaniu nie zasiada Niemiec, a dyecezya pozostaje w administracyi męża światłego, wypróbowanego w walce kulturnej, biskupa oddanego Kościołowi i ojczyźnie.

Nie dzisiaj po temu chwila, by szczegółowo oceniać wpływ polityczny Piusa X, lecz chociaż po krótce godzi się zastanowić nad akcyą polityczną, jaką Pius zniewolony był rozwinąć na Zachodzie Europy.

Dawno partya radykalna we Francyi dążyła do rozdziału Kościoła od państwa, a gdy udało jej się ster państwa w swe ręce pochwycić, to zrazu tajemnie, potem jawnie starała się podkopać powagę Kościoła. Ostatecznym celem tej partyi przewrotu było wypowiedzenie konkordatu, a terenem dobrze do akcyi tej przygotowanym było społeczeństwo francuskie zrewolucyonizowane, pobudzone do nienawiści i namiętności politycznych sprawą Dreyfussa. I znalazła się większość w parlamencie, która umiała zerwać odwieczny związek Kościoła z Francyą, tą niewdzięczną »najstarszą córą«. Wiemy jakie wzburzenie zapanowało w całym świecie katolickim. Znamiennym był opór ludności oddanej Kościołowi wobec prawa wydanego 9 grudnia 1905, uprawniającego urzędników państwowych do spisywania inwentarza kościelnego, zamykania kościołów, grabienia majątków kościelnych. I oto podnosi się głos protestujący Piusa (*Vehementer nos,* 11 luty 1906) z potępieniem bezprawia. Walka mimo to nie ustaje, wre coraz bezwzględniej i brutalniej, a jeszcze Namiestnik Chrystusa czeka, łagodzi, do upamiętania nakłania. Wreszcie z stanowczym i silnym występuje protestem — *non licet!* — a słowa jego tyle mają powagi i siły, że świat nimi zdziwiony, a świat ściśle katolicki z dumą oczy zwraca w stronę Ojca św., który woli stracić materyalne dziedzictwo Kościoła we Francyi, niż skalać się niegodnym kompromisem, zgodzić się na związki religijne i abnegować z praw Kościołowi przysługujących.

Ale nie sama Francya jest widownią tych prądów nurtujących społeczeństwa; przykład zły znajduje chętnie naśladowców. To też i w innych krajach Watykan zniewolonym był brać w obronę swych wiernych.

Mimo tych prądów i przygnębiających i niejednokrotnie do niepłodnych zajęć zniewalających, nie można nie dopatrzyć się w naszych właśnie czasach na każdem polu rozwoju ludzkiego ducha, znacznego postępu, zwłaszcza zaś nauka i wiedza zdumiewające osiągają wyniki. Dziedzina nauk przyrodniczych coraz szersze ogarnia widnokręgi. Ojciec św., jak każdy umysł wyższy nie ignoruje dążeń swego wieku, lecz ojcowskie serce jego nieraz pewnie przejęte smutkiem i niepokojem, gdy uprzytomni sobie, że człowiek współczesny, którego hasłem analiza, który zatapia się w nieskończonych badaniach natury, materyi i tego, co zmysłom podpada, tak mało śledzi to, co mu najcenniejszem być winno, t. j. stosunek duszy swej do początku wszechrzeczy, do celu swego istnienia. Ten rys nie pocieszający, a tak charakterystyczny dla epoki naszej, znakomicie określa papież Leon XIII w jednej ze swoich encyklik z dn. 19 marca 1902 r.: »Człowiek w pochodzie swoim przez świat do rydwanu swego zaprzęga bezmyślną materyę, która jednak nie może mu dać tego, czego sama nie posiada. To też kwestya ze wszystkich najważniejsza, kwestya religijna, przez wiedzę nowoczesną nie została rozwiązaną, wrodzone człowiekowi pragnienie prawdy, cnoty, nieskończoności, nie zostało zaspokojonem: bo ziemia daje mu wprawdzie bogactwo, rozkosze, wygody, ale nie daje tego, czemby mógł serce zaspokoić«. Z braku podstaw religijnych panuje najfałszywsze zamieszanie pojęć w dziedzinie moralności i filozofii, a skrajny ateizm, bezbożność, nietolerancya, świętokradztwo występują zuchwale, strojąc się w puklerz: niezależnej, wyższej, wolnej myśli. Wobec tego oczywiście etyka milknąć musi, a brutalna zasada siły przed prawem zyskuje obywatelstwo tak w życiu jednostek, jak państw nowożytnych, które chełpią się rzekomo kulturą wyższą. Taki racyonalista-protestant Bavin przyznaje bez ogródki, że »genezę czynu widzi w instynkcie rewolucyjnym i destrukcyjnym«. Jego zdaniem, »wybija już ostatnia godzina history-

cznego chrystyanizmu«. »Dla świata myśli zawartego w Piśmie świętem, niema już miejsca w umysłowości naszej«, tak się ten filozof wyraża. »Hasła tego rodzaju, jak Bóg, dusza, nieśmiertelność« powiada znowu Meyer-Benfey są dla nas bez znaczenia. Ta anarchia pojęć, obłudna chęć reformowania katolickiego Kościoła, mieszanie się powołanych i niepowołanych czynników do roztrząsania naukowego prawd jego i dogmatów objawia się coraz dobitniej i natrętniej. Znamy ten ruch pod nazwą »modernizmu«. Ruch ten i ewentualne groźne tegoż następstwa nie uszły czujnej uwagi Piusa X, który energiczną dłonią stłumił w zarodku zarzewie, w łonie Kościoła samego powstałe.

Niejeden bowiem w dobrej wierze ze zbytku gorliwości i analizy, do mylnych przychodzi wniosków w dochodzeniu naukowem, a że tam, gdzie o prawdy wiary chodzi, granice nieraz bardzo są subtelne, zdarzało się, że umysły, skąd inąd wybitne lecz modernizmem zarażone, przekraczały granice; doktryny z nauką Kościoła niezgodne szerzyły spustoszenie w umysłach młodych, zapalnych, a niedoświadczonych. Specyalnie dzieła religijne, barwy apologetycznej, pisane w fałszywym kierunku, dużo złego sprawić musiały, dowodem chociażby dzieło ks. Loisy: *l'Évangile et Église,* to samo dzieła Hermanna Schella, artykuły Leroy, nie mówiąc o książkach lżejszej treści, tem samem popularniejszych, jak *Il Santo,* Antoniego Fogazzaro, Tyrella *Lex Orandi* i innych legion cały. Nie zwlekając i nie bagatelizując tej sprawy poważnej wypadało wystąpić przeciw niechrześcijańskiej kulturze, zataczającej coraz szersze kręgi, zedrzeć jej maskę obłudną, a któż więcej powołanym był do działania, jak Chrystusowy Namiestnik? Z wysokości urzędu swego nauczycielskiego ogarniając świat cały, wydaje Ojciec św. encyklikę: *Pascendi,* dn. 8 września 1907 r. Encyklika ta wywołała burzę prawdziwą i konsternacyę w obozie przeciwników, ale burza ta bardzo szybko minęła, oczyściła atmosferę, a wiernych utwierdziła w przekonaniu niewzruszonem, że mają w Ojcu św. obrońcę prawdy, jedności Kościoła i św. naszej wiary.

Oto krótki okres pontyfikatu Piusa X, który z porywającą skromnością oceniając własną działalność, uważa siebie tylko za

narzędzie Boże. *Nihil esse nisi Dei, cujus utimur auctoritate, administros.*

Nie podobnem mi na zakończenie tego krótkiego zarysu nie wspomnieć o stosunku Ojca św. do nas Polaków. Wielcy poprzednicy jego nie szczędzili nam życzliwości swej i opieki, o ile to było w ich mocy. Z równą wiarą mogliśmy spodziewać się tych uczuć od papieża nowego, bo jakżeby Ojciec chrześcijaństwa nie miał mieć serca dla dzieci swych tak wiernie oddanych Stolicy w dobrej i złej doli, a tak ciężko doświadczanych? Dochodziły nas już nieraz głosy z Rzymu, że nie zawiedliśmy się w nadziejach, ale tak wspaniała publiczna manifestacya uczuć nam przychylnych, jak przy ostatniej pielgrzymce polskiej, przewyższa nasze oczekiwania i nadzieje. Niechaj te dostojne wyrazy, ta cześć oddana publicznie synom i córom Polski, zacieśnią więcej jeszcze węzły łączące nas z apostolską stolicą, niechaj będą nam zaszczytnym obowiązkiem stosowania się do życzenia Ojca św. by wśród nas »stale panowała miłość, harmonia, jedność i zgoda, jako rękojmia przyszłej chwały i szczęścia Polski!«.

B. Wicherkiewicz.

PAPIEŻE XIX WIEKU A NAUKA.

I.

Użalał się niejednokrotnie Leon XIII, że zarzuca się Kościołowi, jakoby był wrogiem nauk, nienawidził światła wiedzy i postępu, a sprzyjał tylko ciemności i zacofaniu [1]. Istotnie, w. XIX odzywał się często z podobnymi zarzutami, częściej jak inne stulecia. Wywoływała te głosy zapewne po części ta okoliczność, że w wieku XIX częściej jak w innych byli zmuszeni papieże wkraczać z swą nauczycielską władzą w królestwo myśli ludzkiej, ale przedewszystkiem wywoływał je ów duch nieufności, a nawet nienawiści do Kościoła, jaki ożywiał XIX stulecie.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że jeżeli który wiek, to przedewszystkiem wiek XIX może nam rzucić najwięcej światła na tak zawsze nęcące zagadnienie stosunku Kościoła do wiedzy i nauki. Osobistości bowiem Papieży XIX wieku, począwszy od Piusa VII, aż do dzisiejszego Piusa X, uprawniają nas najzupełniej do tego, by ich głos w tej sprawie uważać za wierne odbicie wiecznych zasad Kościoła [2], a z drugiej strony wiek XIX, to czas niebywałego dotąd rozwoju nauki, to prawdziwy w i e k

[1] Cfr. List do kard. Goossens'a z d. 8 list. 1889 i Motu-proprio: *Ut mysticam sponsam Christi* z dn. 14 marca 1891, *Acta Leonis XIII,* vol. III, str. 287, vol. IV, str. 165, wyd. Desclée, De Brouwer et soc.

[2] Do szeregu papieży XIX wieku zaliczamy tu również Piusa X, bo cały ruch umysłowy z początków jego pontyfikatu jest jeszcze falowaniem ruchu, rozbudzonego w zeszłem stuleciu.

nauki. Dodajmy do tego i ten wzgląd, że nauka XIX wieku, to nie nauka, pozostająca w bezpośrednim związku z depozytem wiary, jak to było w okresach rozkwitu teologii, ale nauka z więcej samoistnej dziedziny, jak badanie przyrody, dziejów przeszłości, a sprawa stosunku Kościoła do wiedzy przedstawi się nam w ostrzejszych jeszcze rysach.

Nie możemy tu omawiać wyczerpująco poruszonego tematu, więc zadowolimy się tylko naszkicowaniem najgłówniejszych momentów, charakteryzujących stanowisko papieży XIX w. względem nauk ludzkich i świeckich, jak je oni sami nazywają w przeciwstawieniu do nauk czysto kościelnych, więc: teologii, egzegezy, prawa kanonicznego i t. d. O tych ostatnich wspomnimy czasem tylko ubocznie.

U progu XIX w., w r. 1804 ogłosił Pius VII za część programu swego pontyfikatu, nie zaniedbać niczego, coby się mogło przyczynić do możliwie największego rozwoju nauk [1]. Dziś możemy powiedzieć, że słowy temi wypowiedział Pius VII program, nie tylko dla swego pontyfikatu, ale dla papieży całego wieku XIX. Nie było papieża, któryby tego programu nie uznał, któryby zrobił w nim jakiś wyłom. Czytelnik papieskich z tego czasu bull i listów, doznaje mimowoli wielkiego zdziwienia, że troska o rozwój nauk jest tak częstym ich tematem. Toż istotnie o każdym z papieży tego stulecia można powtórzyć słowa, jakie napisał pod koniec swego życia o sobie Pius VII, że był zawsze niestrudzonym opiekunem uczonych i wiedzy [2].

Przyglądnijmy się temu szczegółowiej.

Wiek XIX rozmiłował się szczególnie w naukach przyrodniczych. Papieże również umieli ocenić pracę uczonych na tem polu; nie tylko słowem zachęty, ale także czynnym współudziałem byli gorącymi poplecznikami nauk przyrodniczych. Tak już Pius VII ustanawia w r. 1804 katedrę historyi naturalnej i mineralogii w archigimnazyum rzymskiem, urządziwszy przedtem wielkim nakładem kosztów bogaty gabinet ze zbiorami, potrze-

[1] *Uberes dum menti, Bullarii Romani continuatio,* tom VII, część I, str. 332.

[2] *Ex quo aeternae mentis,* tamże t. VII, cz. II, str. 2280.

bnymi do rozwoju tych katedr [1]. Podobnie Leon XII w oddanem napowrót Towarzystwu Jezusowemu Kolegium Rzymskiem, rozkazał otworzyć katedry fizyki i chemii, oraz polecił, by wydawano i ogłaszano drukiem różne prace astronomiczne i inne, mające na celu rozwój nauk [2]. Dokładniej przedstawia się nam stanowisko Leona XII względem nauk przyrodniczych w statutach założonej przez niego Kongregacyi Studyów, o której więcej powiemy poniżej. Na uniwersytetach państwa kościelnego, zwłaszcza rzymskim i bonońskim, polecają owe statuty wykładać fizykę, chemię, botanikę, astronomię, anatomię, fizyologlię, medycynę ze wszystkimi jej odłamami i t. d. [3]. Katedry te mieli piastować ludzie wybitni w nauce. A przepisy, obowiązujące profesorów, ileż objawiają pieczy Stolicy św. o dobro i rozwój nauk. Moderator rzymskiego obserwatoryum astronomicznego ma wydawać czasopismo astronomiczne, ma pozostawać w naukowych stosunkach ze sławnymi astronomami świata, aby się powiadamiać o wszystkich nowych, spostrzeżonych przez nich zjawiskach. Profesor botaniki ma do swego użytku ogród botaniczny; prócz tego winien urządzać naukowe wycieczki botaniczne. Profesorowie oddziałów medycznych mają prawo wybierać potrzebne do wykładów okazy z któregokolwiek szpitala miasta. W tym celu również ma być ustawicznie wzbogacane muzeum anatomiczne [4].

Nie przykładajmy do tych zjawisk dzisiejszej miary, lecz sądźmy je w świetle ówczesnych stosunków. Były to przepisy i zarządzenia bardzo postępowe, wyprzedzające stosunki wielu innych europejskich uniwersytetów, gdzie nauki przyrodnicze dopiero około połowy XIX w. znalazły większe uwzględnienie.

Tradycye Leona XII przechowują skrzętnie także jego następcy. Uroczyście zapewnia Pius IX, że Kościół nie potępia badania tajemnic przyrody [5]; stąd też sam powołuje do nowego życia

---

[1] Konstytucya *Uberes dum menti Nostrae, Bullarii Romani continuatio,* t. VII, p. I, str. 649.

[2] *Cum multa in urbe* z d. 17 maja 1824, *Bull. Rom. con.*, t. VIII, 61.

[3] Titulus XVIII, *Bull. Rom. cont.* t. VIII, 108 sq.

[4] Titulus IX, X, XXI, *Bull. rom. cont.* t. VIII, str. 102, 112.

[5] List do biskupów Austryi z dn. 17 marca 1856, *Pii IX Pontificis Maximi Acta.* Pars I, vol. II, str. 515.

akademię nauk przyrodniczych Nuovi Lincei. A cóż powiedzieć o Leonie XIII, który umiał tak odczuwać najlżejsze nawet tętno dzisiejszego ruchu naukowego, który nazwał to chlubą i chwałą wieku XIX, iż odziedziczoną po dawnych stuleciach spuściznę nauki tak wielce wzbogacił [1]. On to wygłosił do katolików ono hasło: »Nad badaniem przyrody usilnie pracujcie« [2]. On to rozszerza ramy dotychczasowej apryorystycznej przeważnie filozofii i pragnie usilnie, by w służbę filozofii wciągnąć wszelkie cenne zdobycze fizyki, chemii, słowem wszystkich nauk przyrodniczych. Owszem, nawet w seminaryach duchownych należy, stosownie do gorącej woli jego, uwzględniać wcale obszernie nauki naturalne [3]. Wszystkim też znana nadzwyczajna troskliwość Leona XIII o rozwój watykańskiego obserwatoryum astronomicznego, które chciał postawić na wyżynie podobnych europejskich instytutów. Wiedziano snać powszechnie o tych jego planach, kiedy na 50-tą rocznicę jego kapłaństwa złożono mu w darze liczne przyrządy, potrzebne do astronomicznych obserwacyi [4].

Pontyfikat Leona XIII pozostanie bezsprzecznie na długie czasy jasnym drogowskazem dla papieży następnych i na punkcie ich stosunku do nauk świeckich. Chętnie i niejednokrotnie odwołuje się i Pius X do wypowiedzianych przez niego haseł. Stąd też i w sprawie nauk przyrodniczych powtarza ono zdanie Leonowe: »Nad badaniem przyrody usilnie pracujcie« [5].

Wiele jeszcze tego rodzaju szczegółów nadmienimy poniżej; już jednak i tych kilka, wcale pobieżnych notatek, uprawnia nas do wypowiedzenia stanowczego sądu, że nauki przyrodnicze miały w papieżach XIX w. bardzo życzliwych popleczników.

Ten sam sąd musimy wydać o ich stosunku do tak rozwiniętych dziś badań historycznych i wszelkich nauk pomocniczych. Znalazły one u papieży XIX w. nader wiele poparcia i opieki.

---

[1] *Allocutio ad catholicos scientiarum cultores 7 mar. 1880, Acta Leonis XIII,* vol. I, str. 144.

[2] Tamże, str. 143.

[3] *Inter graves...* z dnia 1 maja 1894. *Acta Leonis XIII,* vol. V, 263

[4] Motu proprio *Ut mysticam sponsam, Acta,* vol. IV, 167 sq.

[5] Encyklika *Pascendi dominici gregis, Acta s. Sedis,* vol. 40, 641.

Piusowi VII bardzo wiele zawdzięcza potężnie dziś rozwinięty ruch w dziedzinie archeologii [1]. On to pierwszy rozpoczął na większą skalę organizować poszukiwania za starymi zabytkami tak chrześcijańskimi, jak pogańskimi, on też założył w galeryi Kleopatry wspaniały zbiór zabytków kamiennych, jak pomników, urn, sarkofagów, napisów i t. d., on również zakupił dla Watykanu wcale wartościowy zbiór zabytków egipskich Guidi'ego. Za jego pontyfikatu wzbogaca się także biblioteka watykańska w liczne rękopisy i w tysiące druków, wśród których wystrzela przedewszystkiem bardzo obfity zbiór biblii i komentarzy do niej. Nie możemy tu także milczeniem pominąć jeszcze jednej przysługi, oddanej naukom przez Piusa VII, mianowicie: powołania do biblioteki watykańskiej wiekopomnego odczytywacza palimpsestów, Angelo Mai. Wystarczy powiedzieć, że niestrudzony ten badacz, dzięki poparciu Piusa VII i następców, przywrócił nauce wiele takich zabytków, które już za stracone uważano, np. rozprawę Cicerona *De Republica*, listy Marka Aurelego, Antonina Piusa, fragmenty mów Aureliusza Symmacha, historyę Dyonizyusza z Halikarnasu od 12 do 20 księgi i t. d., że pominiemy już jego zdobycze na polu historyi kościelnej [2].

Z krótkiego pontyfikatu Piusa VIII mamy do zapisania urządzenie watykańskiego zbioru numizmatycznego, przedsięwzięte przez papieża, wielkiego miłośnika tej nauki. Do dziś watykański zbiór ma jedno z pierwszych miejsc wśród podobnych zbiorów europejskich, zwłaszcza przez olbrzymią kollekcyę monet z czasów republiki i cesarstwa rzymskiego, jakoteż dawnych monet papieskich [3].

Znów Grzegorz XVI oddaje wielkodusznie wielką część papieskiego skarbca na usługi archeologii [4]. Za jego staraniem odkryto lub odrestaurowano i do pierwotnej przyprowadzono formy

---

[1] Georges Goyau: *Le Vatican, les Papes et la civilisation*, str. 729. Paryż 1895; Wisemann: *Erinnerungen an die vier letzten Päpste*, str. 142 sq. 374. [1858].

[2] Cfr. Wisemann: l. c. str. 404 sqq.

[3] Goyau: *Vatican...* str. 726.

[4] Reumont: *Geschichte der Stadt Rom*, III, 2, str. 782.

wiele rzymskich zabytków budowlanych. Jego dziełem jest muzeum egipskie i bardzo cenione muzeum etruskie, powstałe skutkiem zarządzonych przez niego wykopalisk nekropoli etruskich na terenie papieskim. Jemu też zawdzięcza swe początki muzeum chrześcijańskich starożytności w Lateranie.

Te tak doniosłego znaczenia dla nauki instytucye znalazły w Piusie IX, mimo burzliwe czasy jego panowania, równie wielkiego opiekuna. Muzeum egipskie i etruskie zostało wzbogacone, a dla chrześcijańskiego rozpoczął się za jego pontyfikatu czas prawdziwego rozkwitu, trwającego do dziś dnia. Prace w katakumbach i badania nad niemi wchodzą za Piusa IX w nowy okres. Akcyę kopalnianą prowadził ten papież z całym zapałem, nie szczędząc olbrzymich wydatków pieniężnych; w tym samym celu stworzył osobną archeologiczną komisyę, ułatwił Rossi'emu naukową wycieczkę po Niemczech, Francyi i Anglii[1]. Słusznie możemy nazwać Piusa IX ojcem dzisiejszej chrześcijańskiej archeologii. Snać lubiał ów prześladowany papież chętnie zapuszczać swój wzrok w te podziemia, w których Kościół pierwotny tak ciężkie czasy przeżywał.

O zasługach Leona XIII dla historyi i jej nauk pomocniczych pisano już często i wiele; sędziwy ten papież cieszy się dotychczas we wszystkich kołach naukowych nadzwyczajnem uznaniem za swą troskliwość około rozwoju wiedzy. Nie masz żadnego zbioru, żadnego muzeum w Lateranie lub Watykanie, któreby przeoczył Leon XIII, któreby mu nie miało nic do zawdzięczenia.

Jak mu chodziło o podtrzymanie tak dziś rozwiniętych badań archeologicznych, pozostanie na zawsze dowodem jego list do kardynała Oreglii *de antiquitatum studiis promovendis*[2]. Wyraża w nim najpierw żal po zgonie tak zasłużonych na tem polu Alibrandi'ego, Ludw. Visconti'ego i Rossi'ego, a zarazem obawę, »by badanie starożytności jakiego uszczerbku nie poniosło«. By do tego nie dopuścić ustanawia, jako nagrodę za prace

[1] D. Rattinger S. J.: *Der Papst und der Kirchenstaat,* str. 64, *Stimmen aus Maria-Laach,* t. I.

[2] *Acta Leonis XIII,* wyd. Desclée, vol. VI, str. 1 sq.

archeologiczne dwa medale złote a sześć srebrnych, któreby corocznie rozdawała zasłużonym w tej dziedzinie komisya archeologiczna.

Leon XIII, to prawdziwy opiekun studyów historycznych. Każde niemal poważniejsze dzieło z dziedziny historyi wita z zapałem, badaczom przesyła gorące słowa zachęty do dalszych trudów i prac. Tak np. w osobnym liście z dn. 17 marca 1897 r chwali bardzo Franciszka Gasquet'a za jego prace i badania nad historyą Brytanii, owszem zachęca go, by sobie przybrał w tych pracach towarzyszy i pomocników, którzyby »potem mogli z korzyścią poświęcić swe siły tego rodzaju badaniom« [1]. Podobny list otrzymał ks. Vacandard za swe dzieło o św. Bernardzie i jego wieku [2], ks. Grisar T. J. za swą historyę Rzymu w wiekach średnich, zwłaszcza dlatego, że dzieło to odznacza się wybitnym krytycyzmem [3]. Podobnie mile powitał wydane przez ks. Józefa Cozza-Luzi fragmenty Strabona, ponieważ one oddadzą wielkie usługi uczonym, poszukującym z dawna reszty dzieł pierwszego geografa [4]. Tego rodzaju listy spotykamy wcale często w aktach Leona XIII. Papież ów miał zawsze słowo zachęty dla historyków, słowo uznania za każdy dorobek naukowy w dziedzinie historyi.

Ale wielki ten miłośnik nauk dzisiejszych nie mógł się ograniczyć tylko do słów zachęty, uznania; on zdobywa się na czyn jeszcze donioślejszy. Nie dość mu było, że zaraz w pierwszych miesiącach swego pontyfikatu wydał nowy statut dla biblioteki watykańskiej, by ułatwić badaczom wszystkich narodów korzystanie z jej bogatych skarbów, więc otworzył dla publicznego użytku nawet archiwum watykańskie, a otworzył je niemal zupełnie, bez ograniczeń, na co nie tak prędko jeszcze zdobędą się właściciele innych archiwów. Niezaprzeczalnie fakt ten jest epokowym dla rozwoju badań historycznych i będzie zawsze świadczył o stanowisku Rzymu względem postępu nauk.

---

[1] *Acta Leonis XIII,* vol, VI, str. 267, ed. Desclée.

[2] *Acta Leonis XIII,* vol. XVII, str. 119 wyd. rzymskie [1898].

[3] Tamże, str. 217.

[4] *Acta* wyd. rzym. vol. XVIII, str. 20.

Dziś nie zmieniają się wcale pod tym względem stosunki. »Jest to moją niezłomną wolą — powiedział kiedyś Pius X do jednego z historyków — by w sprawie korzystania z watykańskich archiwów wszystko pozostało tak, jak postanowił zmarły papież. W tym duchu wydam też polecenia prefektowi archiwum« [1].

O zabiegach papieży około podniesienia filozofii świadczy niemal każdy rok w. XIX. Rozwój zdrowej filozofii uważali papieże zawsze za tamę przeciw zalewowi najskrajniejszych i wrogich nie tylko Kościołowi, ale wszelkiej społeczności poglądów i doktryn. Ilekroć wypowiadali swe słowo o liberalizmie, racyonalizmie, tylekroć też padała z ich ust zachęta do sumiennej pracy na polu filozofii. Owszem Leon XIII nie wahał się powiedzieć, że wielką część błędów dzisiejszych trzeba włożyć na karb tego, że umysł dzisiejszy, goniąc tak chciwie za zagadnieniami z dziedziny nauk przyrodniczych, zaniedbał zagadnienia ogólniejszej natury. Głos papieży nie przebrzmiał bez echa. Od Piusa IX, a zwłaszcza od Leona XIII filozofia zdobywa sobie wśród nauk dzisiejszych coraz poczesniejsze miejsce. Podczas gdy przed encykliką *Aeterni Patris* posiadali katolicy tylko jedno czasopismo filozoficzne, dziś liczą ich już dziesiątki. Z pewnym entuzyazmem kreśli historyę filozofii ostatnich lat, zbudzonej jakby przez papieży, Mercier w swej historyi psychologii nowożytnej. Dlatego też nie rozpisujemy się szerzej o tym punkcie.

Poważnym czynnikiem w rozwoju nauk są uniwersytety i wszelkiego rodzaju instytuty naukowe. Czy i one zwracały na siebie uwagę papieży w XIX wieku? Tak jest. Owszem, troska o nie była jakby częścią ich pasterskiego obowiązku. Dlatego Pius VII tak gorąco popierał dążności Ferdynanda hiszpańskiego do podniesienia uniwersytetów hiszpańskich [2], które dość upadły skutkiem uciążliwych czasów. Nad stanem uniwersytetów w posiadłościach papieskich, miała czuwać założona przez Leona XII osobna *Congregatio Studiorum*, której obowiązkiem było stwarzać wszędzie warunki jak najpomyślniejsze dla rozwoju nauk,

[1] St. Smolka: »Wspomnienie o Leonie XIII«, str. 25.

[2] *Litterarum disciplinas*, *Bull. Rom. continuatio*, t. VII, p. II, 1418.

»aby młodzież mogła się kształcić we wszelkiej gałęzi wiedzy«. W tym celu uniwersytet rzymski i bonoński miał mieć najmniej 38 katedr, inne najmniej 17 katedr, prócz muzeów, gabinetów i t. p. środków naukowych. Każdy z tych uniwersytetów miał mieć 4 wydziały: teologiczny, prawniczy, medyczno-chirurgiczny i filozoficzny [1].

Nie potrzebujemy dodawać, że owo urządzenie uniwersytetów, choć nie odpowiada dzisiejszemu ideałowi, wiele jednak świadczy o zabiegach Leona XII około ich rozwoju, jeżeli się je ocenia miarą stosunków wszystkich europejskich uniwersytetów z pierwszych dziesiątek lat wieku XIX. Uniwersytety, pozostające pod rządami Stolicy św., ukonstytuowały się jedne z pierwszych na zasadach nowożytnych, podczas gdy np. w Anglii powstał pierwszy tego rodzaju uniwersytet dopiero w r. 1855 w Londynie.

W drugiej połowie XIX w. żywo zajmuje się tak Pius IX jak przedewszystkiem Leon XIII sprawą katolickich uniwersytetów, które też zwolna pod ich okiem poczęły powstawać ku dobru Kościoła i nauki. A i nieliczne jeszcze lata pontyfikatu Piusa X wykazały naocznie, ile on wagi przykłada do tej sprawy. Tak np. biskupom francuskim poleca, by wszelkiemi siłami starali się o utrzymanie paryskiego Instytutu katolickiego, bo »nie jest on z rzędu tych dzieł, którymby upaść wolno było pozwolić« [2]. Sam też posłał na cele Instytutu 100.000 lirów. Nadto pracuje nad zszeregowaniem wszystkich katolickich sił naukowych, pragnie stworzyć osobny międzynarodowy instytut, w celu rozwoju wszystkich gałęzi nauki i wiedzy wśród katolickich uczonych [3]. Osobno założony komitet, którego sekretarzem jest sławny historyk Pastor [4], ma za zadanie, plan ów wielki szczegółowiej obmyśleć i w czyn wprowadzić.

A jakież wysokie cele i zadania stawiali papieże tym instytutom naukowym! Leon XII żądał, by uniwersytet umożliwiał

---

[1] *Quod divina sapientia, Bull. Rom. cont.*, t. VIII, str. 95 sq.
[2] List z dn. 6 maja 1907, *Acta s. Sedis*, vol. 40, str. 390.
[3] Encykl.: *Pascendi, Acta s. Sedis*, vol. 40, 650.
[4] Cfr. *Acta s. Sedis*, vol. 41, 139 sq.

młodzieży kształcenie się we wszelkiego rodzaju gałęzi wiedzy, owszem, by budził i rozpalał w niej żądzę ustawicznej pracy naukowej, nawet po ukończonych studyach uniwersyteckich [1]. Leon XIII, w liście do biskupów Ameryki północnej o uniwersytecie w Washington, wyraża gorące swe życzenie, by młodzież mogła w tej uczelni najzupełniej zaspokoić swą »szlachetną żądzę wiedzy« [2]. Przesyłając swój list uniwersytetowi krakowskiemu w jego 500-letni jubileusz, również złożył życzenie, by uniwersytet krakowski kształcił młodzież we wszystkich gałęziach wiedzy[3]. Słowem, ma to być obowiązującem i świętem prawem — powiedział w allokucyi 30 grudnia 1889 r. — by uniwersytet katolicki nie tylko religijnie wyrabiał, ale także we wszystkich naukach wybitnie kształcił [4], bo szkoły katolickie — pisał znów w encyklice do biskupów Kanady — winny współzawodniczyć o chwałę nauki z najbardziej kwitnącymi i zasłużonymi pod tym względem zakładami [5].

Taki sam cel zakreśla dziś Pius X przyszłemu powszechnemu katolickiemu instytutowi naukowemu, tego samego żąda od paryskiego katolickiego instytutu, kiedy zachęca jego członków, by, przez wzgląd na ustawiczny postęp dzisiejszej nauki, przyswajali sobie wszystkie jej nowe zdobycze [6].

Żywo zatem i bardzo żywo zajmowali się papieże XIX w. losami dzisiejszej nauki. Spytajmy teraz, co rodziło w nich ową bezsprzecznie wielką pieczę o rozwój i postęp nauk. Nie chcemy i nie możemy przeczyć, że poważną sprężyną była tu ich osobista miłość nauki; wszak niemal wszyscy z nich oddawali się i przed pontyfikatem i w czasie pontyfikatu pracom naukowym, nawiązując w ten sposób w mniejszym lub wyższym stopniu do tradycyi papieża-pisarza, Benedykta XIV. Chętnie uznajemy, że wielką rolę odgrywała tu także czuła świadomość obowiązku zło-

---

[1] *Quod divina sapientia, Bull. Rom. cont.*, t. VIII, str. 96 sq.
[2] *Acta Leonis XIII*, vol. III, str. 221, wyd. Desclée.
[3] *Acta Leonis XIII*, vol. 20, str. 163, wyd. rzymskie.
[4] *Acta Leonis XIII*, vol. III, str. 302, wyd. Desclée.
[5] *Affari vos* z dnia 8 grudnia 1897, *Acta*... vol. 17, str. 344, wyd. rz.
[6] Cfr. *Acta s. Sedis*, vol. 37, 556.

żenia pewnych ofiar na ołtarzu dzisiejszych szlachetnych ideałów ludzkości, którym Kościół tak chętnie zawsze służył. Ale troska papieży o naukę w XIX zwłaszcza wieku pochodzi ze świętszych jeszcze pobudek. I oto na te pobudki chcemy tu przedewszystkiem zwrócić uwagę, bo one o wiele potężniej skłaniają do wiary w szczerość zachęty i dążności papieży do jak największego rozwoju i postępu nauk.

Pius X najlepiej ocenił swych poprzedników, mówiąc, że uważali oni troskę o rozwój nauk wszelkiego rodzaju za »część apostolskiego swego obowiązku« [1]. W Kościele zawsze było przekonanie, że wszelkie zdobycze rozumu ludzkiego przyczyniają się niepomiernie do większego pogłębienia w rozumieniu depozytu wiary, czyli prawd objawionych. Ale papieże XIX w. zwracali na ten moment uwagę i częściej i z większą siłą, bo tego wymagały warunki czasu. Pierwszy uczynił to Pius VII w 1802 r. w swej konstytucyi *In summo apostolatus apice* [2]. Obszernie omawia tę kwestyę Pius IX w swej sławnej konstytucyi *Dei Filius*. Jak z jednej strony wyjaśnia, ile pomocnem jest rozumowi światło wiary, tak z drugiej znów tłumaczy, ile usług może oddać wierze rozum i nauka, udowadniając podstawy czyli przesłanki wiary, i pomagając do rozwoju nauki o prawdach objawionych. Dlatego też Kościół — mówi encyklika, — nie tylko naukom nie przeszkadza, ale owszem je wspiera [3].

Dlatego to tyle znać w orędziach papieskich troski o rozwój filozofii, która na pierwszem miejscu może wiele się przysłużyć wierze, dlatego to tyle w nich uznania dla dzisiejszych studyów przyrodniczych, historycznych i filologicznych, które tak wiele usług mogą oddać żywo dziś roztrząsanej kwestyi biblijnej. Stąd też, według przepisów Leona XIII [4] i Piusa X [5], egzegecie katolickiemu nie powinny być obce zdobycze dzisiejszej wiedzy tak z dziedziny przyrody, jak historyi, filologii i innych pokrewnych.

---

[1] *Acta s. Sedis*, vol. 37, 555.
[2] *Bull. Rom. cont.*, t. VII, p. I, str. 332.
[3] *Acta Pii IX.* pars I, vol. V, str. 188 sq.
[4] *Vigilantiae studiique memores, Acta s. Sedis*, vol. 35, 235.
[5] *Quoniam in re biblica, Acta s. Sedis*, vol. 39, 79.

Poważniejszą jeszcze niemal rolę odgrywa tu inna okoliczność. Dziś, w czasach, kiedy naukę otacza nawet w najszerszych kołach niezwykła aureola powagi i majestatu, kiedy przed wynikami nauki wszyscy schylamy czoło, ludzie, Kościołowi nieprzyjaźni, mają zwyczaj wszelkie zarzuty przeciw wierze przyoblekać w szatę nauki, podawać je jako najnowsze wyniki wiedzy. Bez wątpienia taktyka ta święci dziś powszechne swe powodzenie, jest ona najskuteczniejszą ze wszystkich, dotąd używanych, bronią przeciw Kościołowi. Papieże XIX wieku zdali sobie dokładnie sprawę z tego położenia Kościoła i w imię zagrożonego depozytu wiary głosili nieustannie, częściej niż po inne czasy, hasło wielkiej miłości nauki. Jeżeli kiedy zatem, to dziś, zdaniem Leona XIII, należy katolikom pielęgnować naukę, ponieważ wrogowie prawdy nadużywają jej przeciw wierze [1], dziś przedewszystkiem potrzeba Kościołowi ludzi, którzyby mogli z chlubą na tem samem polu i tą samą bronią potykać się z wrogami Kościoła [2]; stąd wielka nauka wśród katolików — twierdzi tenże sam papież z okazyi kongresu uczonych w Paryżu w 1891 — to jedna z najpiękniejszych przysług, jaką w naszym czasie można wyświadczyć Kościołowi [3].

Wreszcie wielka nauka wśród katolików, to, zdaniem papieży, najlepsze oczyszczenie Kościoła z zarzutu, że jest wrogiem postępu, cywilizacyi. Poruszali tę myśl niemal wszyscy papieże wieku XIX, ilekroć przemawiali w sprawie szkół i uniwersytetów katolickich, niestrudzenie przedewszystkiem nawoływał katolików do sumiennej pracy na polu nauki Leon XIII. Oby coraz bardziej rosła liczba wielkich uczonych wśród katolików — pisze w encyklice *Providentissimus Deus;* wówczas dopiero umilkną albo z mniejszą śmiałością będą podnoszone zarzuty przeciw Kościołowi, jakoby był wrogiem nauki, kiedy będzie można widzieć jak najwięcej ludzi wierzących, otoczonych wielką chwałą wykształcenia i nauki [4]. Dlatego w liście o sprawie katolickiej w Ameryce wyraża życzenie, by w tak szybkim dzisiejszym biegu i po-

[1] *Acta Leonis XIII,* vol. III. str. 287, wyd. Desclée.
[2] Tamże, vol. II, 267.
[3] Tamże, vol. IV, 170.
[4] *Acta Leonis XIII,* vol. V, 223, wyd. Desclée.

stępie nauk katolicy szli przed innymi a nie za innymi[1]. Poprzestajemy na tych nielicznych wyimkach, choćbyśmy je mogli jeszcze bardzo pomnożyć.

Nie wątpimy, że nawet ten, tak pobieżny pogląd na stosunek papieży XIX wieku do nauki przedstawia papieży w bardzo jasnem świetle. Słusznie prof. Mommsen na kongresie uczonych w St. Gallen poczuwał się do obowiązku wypowiedzenia wyrazów pełnego uznania dla Stolicy św. za nadzwyczajne poparcie, jakiem darzyła wszystkie poważne nauki.

II.

Ale czy na gruncie katolickim może rozkwitać w całej pełni nauka? Może dziwnie brzmi to pytanie, kiedy się w myśli przebiega olbrzymią listę uczonych z obozu katolickiego, a jednak, protestanci zwłaszcza, twierdzą poważnie, że postęp nauki jest w Kościele, jeżeli nie niemożliwy, to przynajmniej bardzo utrudniony. Kościół, zdaniem ich, nie daje i nie zna wolności w nauce. Czy tak jest w istocie? Papieże wypowiedzieli niejednokrotnie w ostatnim wieku swe zdanie w tej sprawie, więc bez trudności możemy dokładniej przyglądnąć się owemu zagadnieniu, tak często bezkrytycznie przesądzanemu.

Określmy zatem, możliwie najsumienniej, zapatrywanie papieży XIX wieku na sprawę wolności nauki. Potępiają istotnie papieże pewną wolność nauki, ale taką, którąby można raczej nazwać swawolą naukową. Opisuje ją Grzegorz XVI[2], jako swawolę, nieznającą żadnych granic, jako wolność błędu, grasującą powszechnie ze szkodą dla Kościoła i państw, podobną do owej apokaliptycznej studni, z której unosił się dym, zaćmiewając słońce (Obj. IX, 2). Potępia wolność, która była powodem upadku nawet najpotężniejszych państw i narodów, która zżyma się na uznaną przez wszystkie cywilizowane państwa cenzurę książek, czasopism. Podobnie Leon XIII w swej sławnej encyklice o wolności ludzkiej odmawia wszelkiej, nawet świeckiej instytucyi,

[1] Tamże, vol. VI, 15.

[2] Encykl. *Mirari vos*, wydanie łacińsko-niemieckie. Wiedeń 1832, str. 30–38.

prawa udzielania nieograniczonej wolności nauczania, pisania, którąby brała w obronę wszystkie »grzechy swywolnego umysłu« [1]. Tę również wolność nauki ma na myśli Pius X, kiedy w encyklice o modernizmie piętnuje tych, którzy nie mogą ścierpieć nad sobą żadnej powagi, nie chcą znać żadnych więzów [2].

Oto pierwszy odcień t. zw. wolności naukowej, potępionej przez papieży XIX w., stworzonej przez szerzący się na całej linii liberalizm. Nie potrzebujemy dodawać, że sama powaga nauki nie pozwala na taką wolność. Była ona ostatecznością, w jaką wpadły umysły z pierwszej połowy XIX wieku, rozkołysane falą walk o wolność w czasie rewolucyi francuskiej; niestety, nazywano ją jednak »nowożytną cywilizacyą« i żądano, jak mówił Pius IX w allokucyi 18 marca 1861 r., by się papież z nią pogodził i ułożył. Świadomość jednak pasterskiego urzędu włożyła Piusowi IX w usta to stanowcze oświadczenie, że nigdy nie pogodzi się z taką dzisiejszą cywilizacyą, która powoduje tyle nieszczęść, głosi tyle przewrotnych i skrajnych błędów, mniemań, zasad, wierze przeciwnych, zamyka katolickie szkoły, jest wrogiem katolickich zakonów i t. d. Z taką cywilizacyą — więc z najskrajniejszym i powszechnym liberalizmem — nigdy nie może się pojednać Stolica św., »opiekunka i żywicielka prawdziwej cywilizacyi« [3]. Oto autentyczne zarówno tłumaczenie 80-go artykułu Syllabusa Piusa IX, potępiającego zdanie: »Papież może i powinien pojednać się i porozumieć z postępem, z liberalizmem i nowożytną cywilizacyą« [4].

Przejdźmy do innej, potępianej również przez papieży, wolności nauki. Nie zna ona już wprawdzie owej niegodnej nauki lekkomyślności i swawoli, ale wypływa z fałszywego źródła, mianowicie z zapatrywania, że rozum jest jedynym sędzią w rozstrzyganiu wszelkich zagadnień, nawet objawionych i nadprzyrodzonych. Tak np. potępił Grzegorz XVI zdanie teologa niemiec-

---

[1] *Acta Leonis XIII,* vol. III, 110 sq.

[2] *Acta s. Sedis,* vol. 40, 595.

[3] *Acta Pii IX.* Pars I, vol. III, str. 220 sqq.

[4] Zobacz piękny ustęp o tym artykule w broszurze St. Smolki: »Wspomnienie o Leonie XIII«, str. 27 sqq.

kiego Hermesa, że rozum jest jedyną normą i jedynym środkiem, którym możemy osiągnąć poznanie prawd nadprzyrodzonych [1]. Znów Pius IX odrzuca pogląd innego teologa niemieckiego, Frohschammera, który twierdzi, że wszystkie, nawet nadprzyrodzone prawdy są przedmiotem rozumu i wiedzy przyrodzonej, że filofia, wogóle wiedza, ma taką wolność, iż nie powinna i nie może uwzględniać żadnej powagi, nawet objawienia. Stąd Kościół, zdaniem Frohschammera, nie powinien nigdy wkraczać w dziedzinę myśli filozoficznej, owszem powinien zamykać oczy na wszelkie błędy filozofii i czekać, aż ona sama z tych błędów się wyleczy [2]. Analogicznie przedstawiają się nam żądania modernistyczne w kwestyi wolności naukowej, jak je sformułowała encyklika *Pascendi*. Modernista urabia sobie ideę Boga nie na podstawie tego, co o sobie sam Bóg powiedział, ale na podstawie immanentnej ewolucyi, czyli różnych formułek, symbolów, jakie ludzkość cała w swej świadomości odczuwa. Zbiór tych licznych wyrazów świadomości ludzi o Bogu jest materyałem, z którego wiedza urabia dopiero pojęcie Boga. Stąd zatem należy zgodzić się na najzupełniejszą wolność wypowiadania onych swych, czysto podmiotowych wrażeń o Bogu [3].

Jednem słowem odrzucają tu papieże wolność nauki taką, która nie ogląda się wcale na treść objawienia Bożego.

Jak należy teraz rozumieć określenie, że prawdy wiary są normą dla badającego rozumu?

Wskazówki, podane w tym względzie przez papieży, opierają się na następującej ogólnej prawdzie. Ponieważ twórcą tak rozumu ludzkiego jak i świata prawd objawionych jest jeden i ten sam nieomylny Bóg, przeto nie może być nigdy konfliktu między sumienną pracą rozumu o objawieniem. Wygłosił tę zasadę ogólnie Pius IX w konstytucyi Soboru watykańskiego [4], przypominał ją często Leon XIII, twierdząc, że nie może być sprzeczności mię-

---

[1] Cfr. Denzinger: *Enchiridion*, nr. 1619, wyd. x, opracowane przez ks. Bannwarta T. J.

[2] List do biskupa monachijskiego, *Acta Pii IX*, vol. III, str. 553 sq.

[3] *Acta s. Sedis*, vol. 40, str. 616 sq.

[4] *Acta Pii IX*, p. I, vol. v, str. 188.

dzy filozofią a wiarą [1], że żadna zdobycz nauk przyrodniczych lub historycznych nie może sprzeciwić się Pismu św. [2].

A zatem na całym terenie prawdy nie grozi wierze żadne niebezpieczeństwo. Nie masz zatem żadnej nauki, którejby z wiarą pogodzić nie było można. Choćby specyalizacya nauk postąpiła nie wiedzieć jak daleko, uczony katolicki będzie mógł zawsze poświęcić się jakiejkolwiek z tych gałęzi nauk, bez obawy, by ona kiedyś zachwiała w nim wiarę, by obudziła wątpliwości. Kościół nie stawia żadnych granicznych słupów na szerokiem polu prawdy przyrodzonej, nie mniejsze jest pole pracy uczonego katolickiego od pola pracy uczonego poza Kościołem. Oto pierwszy wniosek z powyższej ogólnej zasady, oto pierwsza wolność, jaką stanowczo przyznają papieże katolickim uczonym.

Ale z zasady tej wynika jeszcze inna wolność, z której katolicki uczony może korzystać już w samym biegu swej pracy. Dla większej oczywistości rozróżnijmy tu dwa okresy w pracy każdego uczonego, t. j. okres badań, poszukiwań i okres, w którym uczony ze swych badań wyciąga wnioski. Mamy tu zawsze na myśli nauki świeckie, nie graniczące bezpośrednio z wiarą, z objawieniem, a więc np. filozofię, nauki przyrodnicze, historyczne i t. p.

Ponieważ istnieje odrębny teren prawdy przyrodzonej dla rozumu, ponieważ rozum na tym terenie nie może nigdy popaść w zatarg z wiarą, póki będzie pozostawał w obrębie prawdy, więc uczony katolicki w pierwszym okresie swej pracy nie potrzebuje się wcale oglądać na normę wiary, ale może śmiało opierać się na czysto rozumowych pewnikach i zasadach, które nauce jego za punkt wyjścia służą, chyba, że już sam punkt wyjścia jest z wiarą niezgodny, co jednak w zasadzie jest niemożliwe. »Nie wzbrania zaiste (Kościół) — mówi Pius IX w konstytucyi Soboru watykańskiego — by tego rodzaju nauki w swym zakresie używały sobie właściwych pewników i własnej metody« [3]. Podobnie Leon XIII: »Słusznem jest, by filozofia w tych sferach

[1] *Acta Leonis XIII*, vol. I, 143, wyd. Desclée.
[2] Encykl. *Providentissimus Deus*, tamże vol. V, 224.
[3] *Acta Pii IX*, p. I, vol. V, str. 189.

wiedzy, które rozum o swych przyrodzonych siłach zgłębić może, stosowała swoją metodę, swoje pewniki i dowody« [1]. Cóż zatem krępuje np. katolickiego uczonego, mozolącego się w laboratoryum przyrodniczem nad wytłumaczeniem jakiegoś zjawiska z zakresu fizyki, chemii, optyki i t. d? Podobnie, jak uczony niekatolicki, może w całej pełni korzystać ze wszystkich środków pomocniczych, podawanych mu przez dzisiejszą naukę. Cóż krępuje katolickiego filozofa w pracy nad rozwikłaniem najwyższych filozoficznych zagadnień. Może on swobodnie używać całej potęgi swych władz poznawczych, może się posługiwać wszystkiemi prawdziwemi zdobyczami myśli ludzkiej. Toż samo dotyczy każdego innego uczonego. Jak matematyk, mający rozwiązać jakieś bardzo trudne trygonometryczne zadanie, swobodnie może próbować najrozmaitszych formułek i wzorów, jakie zna trygonometrya, tak każdy uczony w toku swych badań może się uciekać do wszelkich środków pomocniczych, jego nauce właściwych. Jak Kościół nie zabronił jeszcze używania jakiegokolwiek przyrządu fizycznego lub astronomicznego, tak nie wzbrania i nie wzbroni nigdy filozofowi korzystać z jakiegokolwiek pewnika rozumowego lub z dalszych jego, prawidłowo wysnutych wniosków.

Osobne słowo należy się tu historyi i metodom dziś w niej używanym. Pisało się nieraz w ostatnich dziesiątkach lat, że papieże nie chcą uznać i nie mają zaufania do dzisiejszej krytyki historycznej. Niebawem atoli słyszeliśmy już, że Leon XIII podnosił dzieło ks. Grisara o Rzymie przedewszystkiem za wybitny krytycyzm jego. Nie jest to jednak fakt odosobniony. Już Pius IX polecał, by młodzież, kształcąca się w *Pium Seminarium*, przyswajała sobie zręczność w stosowaniu przepisów zdrowej krytyki [2]. W ostatnich latach i Leon XIII i Pius X czynili to samo, owszem żądali, by przedewszystkiem odznaczali się w niej egzegeci katoliccy. Pius X nawet przygania tym, którzy się boją odstąpić w czemkolwiek od dotychczasowej egzegezy skrypturystycznej i nie korzystają z pomocy, jaką przyniosła dziś egzegezie biblij-

[1] Encykl. *Aeterni Patris, Acta...* vol. 1, str. 94 wyd. Desclée.
[2] *Acta Pii IX*, p. 1. vol. 1, 536.

nej krytyka [1]. Przestroga jedyna, jaką i tu uczynili Leon XIII i Pius X, dotyczyła tego, by nie przyswajać sobie owej płochości i nieumiarkowania sądów, tak częstych towarzyszy dzisiejszej t. zw. wyższej krytyki [2], by ta krytyka nie była tylko krytyką apriorystyczną i ograniczającą się jedynie tylko do sfery dowodów wewnętrznych tekstu bez najmniejszego względu na świadectwa zewnętrzne [3]. O innych środkach pomocniczych w historyi mówiliśmy już wyżej.

Mozolne naukowe badania doprowadzają do wyników badań, czyli mniej lub więcej ogólnych wniosków. Jeżeli wynik ów nie ma żadnej styczności z wiarą, uczony katolicki ma i tu najzupełniejszą wolność. Kościół bowiem ma czuwać tylko nad nieskazitelnością i całością depozytu wiary. Nie ulega wątpliwości, że na całem obszernem polu nauk świeckich najczęściej ten wypadek ma miejsce. Dlatego też przeciętnie i w zwyczajnych warunkach ruchy uczonego katolickiego mogą mieć w całym toku pracy naukowej taką samą swobodę, jak ruchy uczonych niekatolickich.

Inaczej ma się rzecz w wynikach i wnioskach, mających styczność z objawieniem. Tu wiara jest ostatnim i bezwzględnym sędzią. Wynik badań, sprzeciwiający się jej wyrokowi, musi uważać uczony katolicki za błędny i chybiony, jak to stanowczo piętnuje Pius IX. Stąd żadnemu katolikowi nie wolno żadnego twierdzenia, niezgodnego z wiarą, uważać za prawdziwą zdobycz wiedzy [4]. Czy więc w tych wypadkach musi się katolicki uczony zaprzeć nauki? Nie! Przeciwnie, w imię nauki musi tu wstrzymać swój krok, jak staje pielgrzym, gdy spostrzeże, że schodzi na manowce. »Niechaj filozof katolicki wie — mówi Leon XIII — że zgwałci zarówno prawa wiary i rozumu, jeżeli przyjmie jakiś wniosek, niezgodny z nauką objawioną« [5]. Grzech rozumu przeciw dogmatom będzie zarazem grzechem przeciw nauce, bo rozum

---

[1] List do biskupa Le Camus, autora pracy o »Dziejach apostolskich«, *Revue biblique* z r. 1906, str. 196.

[2] Leon XIII, *Acta s. Sedis*, vol. 35, 236.

[3] Pius X w encykl. *Pascendi, Acta s. Sedis*, vol. 40, 623 sqq.

[4] Konst. *Dei Filius, Acta Pii IX*, p. 1, vol. v, str. 188.

[5] Encykl. *Aeterni Patris, Acta Leonis XIII*, vol. 1, str. 94.

sam wykazuje, jakeśmy to zaznaczyli powyżej, że objawienie Boże, jako słowo nieomylnego Boga, ma najwyższą porękę prawdy.

Tak zatem norma wiary nie tylko nie jest ciężarem dla uczonego katolickiego, ale owszem oddaje mu aż nadto pożądane usługi. Podczas gdy uczony niekatolicki, opierając dalsze swe wywody na fałszywych uprzednich wnioskach, kroczy dalej po ścieżce błędnej i dopiero gdzieś w ostatnich, oczywiście niezgodnych z prawdą konsekwencyach, łapie się na błędzie, to uczony katolicki nieraz u progu swych badań słyszy ostrzegający głos wiary, że opuszcza drogę prawdy. Historya dała nam już niejedno świadectwo, ile potężnych umysłów zmarnowało swe siły i swój czas w obronie twierdzeń lub systemów, nie uznanych od dawna przez Kościół za prawdziwe, aż je i nauka za takie osądziła. Norma wiary niezaprzeczenie jest dla biegu nauki tem, czem jest dla biegu rzeki doskonale uregulowane łożysko, niepozwalające się rzece rozlewać poza swymi brzegami.

Nakoniec obowiązani jeszcze jesteśmy powiedzieć kilka słów o wolności w filozofii; wyodrębnia się ona od innych nauk pod tym względem, że oprócz ogólnej normy wiary ma mieć jeszcze z woli papieży za normę św. Tomasza z Akwinu. Kiedy się pokazała na światło dzienne encyklika Leona XIII *Aeterni Patris*, zwracająca uwagę myślicieli katolickich na dzieła Tomasza z Akwinu, słychać było niemal powszechnie wiele głosów oburzenia, że papież zerwał z całą myślą nowoczesną, że chce przywrócić czasy wieków jałowości scholastycznej. Kiedy jednak minęła ta chwilowa burza, poczęły się zwolna odzywać głosy uznania i podziwu dla wielkiego chrześcijańskiego myśliciela; a słychać te głosy nie tylko wśród katolickich, ale i niekatolickich uczonych. Pisał np. Rudolf von Ihéring, prof. uniwersytetu w Getyndze: »Słusznie mi zarzucano i ma się prawo zarzucać współczesnym filozofom i protestanckim teologom wogóle nieznajomość męskich myśli Tomasza z Akwinu. Obecnie, gdy znam ten potężny umysł, pytam się ze zdziwieniem, w jaki sposób stać się to mogło, by prawdy przez niego głoszone popadły w tak zupełne wśród nas zapomnienie. Ileż błędów uniknęłoby się, gdyby się trzy-

mano tych doktryn«. Takie samo wyznanie złożyli z kolei profesorowie Pierson, Van der Wyck, Van der Vlugt, Huxley, Picavet i t. d.[1]. Zwolna znika już więc uprzedzenie, z jakiem wymawiało się nazwisko Tomasza z Akwinu i z jakiem patrzano na śmiały plan Leona XIII. Ale nie miało ono racyi bytu od początku, bo Leon XIII zakreślił wcale obszerne granice, w jakich pragnął dostroić myśl nowożytną do myśli Doktora szkoły. Encyklika *Aeterni Patris* dokładnie zaznacza, że nauki św. Tomasza nie należy uważać za ostatni krok pochodu myśli ludzkiej; że, owszem, należy ją zbogacać ustawicznie nowszemi zdobyczami wiedzy, skądkolwiekby one wyszły; że należy przedewszystkiem uzupełniać ją wynikami dzisiejszych badań przyrody. Przeciwnie, zapatrywania doktorów scholastycznych zbyt subtelne lub niezgodne z późniejszymi, prawdziwymi dorobkami rozumu, nie mają wcale krępować dzisiejszych myślicieli katolickich. Dokładniej wyłuszczył swą myśl Leon XIII w liście do Towarzystwa Jezusowego o nauce św. Tomasza, zatwierdzając przepisy generała Akwawiwy, dotyczące zgody nauki Towarzystwa Jezusowego z nauką św. Tomasza. Wolno zatem odstąpić od św. Tomasza w kwestyach wątpliwych lub omawianych przez niego, nie *ex professo*, ale tylko mimochodem i ubocznie. Wolno odstąpić od niego w kwestyach czysto filozoficznych, nie związanych ściśle z zagadnieniami czysto dogmatycznemi, jeżeli nie są zasadniczemi, które stanowią fundament wielu innych prawd lub wogóle całej nauki jego. Jedyne, czego tu żąda Leon XIII, jest to, by nie odstępować od św. Tomasza, jak tylko z powodów poważnych *(gravate admodum et rarissime)*, a nie dla powodów tylko prawdopodobnych, zwłaszcza w rzeczach, uważanych przez św. Tomasza za ważniejsze[2]. »Niezgodnem jest z naszą wolą — pisze znów w liście do generała Zakonu Braci Mniejszych — odstępować od św. Tomasza nierozważnie i lekkomyślnie«[3].

---

[1] Mercier: *Les origines de la psychologie contemporaine.* W przekładzie Kosiakiewicza, 1900, str. 289 sq.

[2] *Acta Leonis XIII,* vol. v, str. 139—142.

[3] *Acta Leonis XIII,* vol. 18, str. 188, wyd. rzymskie.

Oto zasady Leona XIII, określające stanowisko dzisiejszej myśli do nauki Doktora Anielskiego. Nie możemy ich bynajmniej uważać za ciasne powijaki dla dzisiejszej nauki, lecz owszem uważamy je za konieczne warunki rozwoju i postępu wszelkich nauk; wygłoszenie ich przez Leona XIII było tylko aktem obrony praw, jakie winien mieć każdy uczony z przeszłości a tem bardziej umysł tej miary, jak św. Tomasz. Każdy bowiem uczony ma prawo żądać, by wyników jego pracy nie lekceważono, by się z nimi nie załatwiano lekkomyślnie, lecz owszem, by dalsze badania do nich nawiązywano, jeżeli na to zasługują. Idealizm i pozytywizm ma wiele grzechów na sobie właśnie skutkiem nie przestrzegania tych zasad, gdyż zbyt odważnie zrywał z wielkiemi bez wątpienia i prawdziwemi tradycyami naukowemi wieków minionych. Dlatego też i Pius X w encyklice o modernizmie potwierdził raz jeszcze wszystkie przepisy Leona XIII, mające normować stosunek dzisiejszej filozofii do nauki św. Tomasza.

Nie spotykamy zatem w żadnem z pism i mów papieży XIX w. najmniejszego zamachu na wolność nauki. Owszem uznawali ją za konieczny warunek postępu nauk i dawali ją w takim stopniu, jak tego żąda rozum, wiedza. Tam, gdzie zaczyna się gwałcenie praw rozumu, tam też dopiero słychać ostrzegający głos papieży przed zbytnią wolnością nauki. Każdy katolicki uczony może powtórzyć o sobie zdanie kardynała Wisemanna, że jeżeli ma granice jego wiedza, to należy to przypisać własnemu jego umysłowi, nie zaś jakiemukolwiek krępującemu przymusowi Kościoła.

Zakończmy ten pobieżny szkic. Na medalu, wybitym w trzecim roku pontyfikatu Leona XIII, na pamiątkę wznowienia nauki św. Tomasza, czytamy napis: *Renovatum divinae humanaeque scientiae foedus.* Napis ten jest najtrafniejszem określeniem stosunku wszystkich papieży XIX w. do nauki. Kiedy skrajny racyonalizm począł na wszystkie strony ogłaszać rozbrat między nauką a wiarą, kiedy poczęła się już wcale powszechnie szerzyć opinia, że katolicyzm w zasadzie sprzeciwia się postępowi wiedzy— papieże XIX w., nie tylko przodowali w pielęgnowaniu nauk, ale

przez jasne określenie praw, normujących stosunek wiary do wiedzy, zacieśnili, bardziej jak kiedykolwiekindziej, węzły przymierza między wiarą a wiedzą. Czasy późniejsze oddadzą im bezsprzecznie to chlubne świadectwo, że przysłużyli się przez to bardzo nauce. Przymierze wiary z wiedzą, nie tylko biegu nauki nie tamuje, ale owszem przyspiesza go, powstrzymując rozum przed zboczeniami, z których nieraz nauka musi wiekami się leczyć.

Ks. K. Feliś.

25-LECIE »PRZEGLĄDU POWSZECHNEGO«.

Ćwierć wieku mija od chwili, w której pierwsi redaktorzy *Przeglądu Powszechnego* zaczęli przygotowywać do druku wstępny zeszyt pisma. Dziś już zeszyt ten zżółkł, spopielał i stał się rzadkością bibliograficzną, z tych zaś, co go układali, ani jeden już dziś nie żyje.

Ale żyje po nich wdzięczna pamięć i dostojna spuścizna ich czynów. Tacy ludzie, jak pierwsi redaktorzy, księża Morawski i Załęski, a później Badeni, jak organizator pisma ks. Jackowski, żyją nie tylko we wspomnieniu zamkniętego grona redakcyi ale i w pamięci społeczeństwa. Z działalnością tych ludzi związana jest data na niejednem polu naszego publicznego życia, jak związaną jest data naszego jubileuszu.

Byłoby ujęciem ich zasługi, gdyby tę ostatnią datę poiło się tylko materyalnie, jako zawiązek i początek pisma. Cała struktura pisma, jego duch i ton, jego pomyślny rozwój aż do ostatniej chwili, wszystko to, jak kłos w ziarnie, mieści się w mądrej organizacyi zawiązku. Wytknięte wówczas główne linie pozostały po dziś dzień niezmienne. A że te linie były po raz pierwszy kreślone, że te nowe drogi trzeba było dopiero torować, więc i doniosłość i zasługa tych początków pisma rozciąga się na pismo całe. Obecny jubileusz, jak stwierdza, że te nowe drogi były trafne, tak zarazem jest, w pierwszym rzędzie, wieńcem zasługi na grobie tych, którzy je żłobili.

Mówiąc o tych głównych liniach, nie myślimy wzmiankować tak ogólnego hasła, jakiem jest wierna służba swemu społeczeństwu. Cel taki ma każda publiczna praca na oku. Także, kiedy mowa o społeczeństwie polskiem, mimo wszystko rdzennie katolickiem, nie potrzeba przypominać tego, co stanowi istotę naszego pisma. Główna rzecz w tem, jakimi drogami ta myśl polska i katolicka w naszem piśmie szła.

Jedną z takich dróg był pewien rozumny optymizm w zajęciu stanowiska względem współczesnych dążności swego wieku. Nie bywa to zawsze rzeczą łatwą. Dziś jeszcze widzimy niejedno czasopismo, które na ten kierunek zdobyć się nie zawsze może, cóż dopiero powiedzieć o piśmie przed laty 25-ciu, i to o piśmie katolickiem? Pamiętajmy, że słońce pozytywizmu i liberalizmu stało wówczas w zenicie i rzucało swoje światło na całe życie ludzkie i wszystkie jego sprawy. Tem światłem żyli i oddychali wszyscy, w niem widzieli i oceniali wszystkie objawy i zjawiska. Tak usposobiona opinia publiczna oczywiście nie mogła być przychylną dla katolicyzmu. Wszystko, co katolickie, piętnowane było mianem zacofania, wstecznictwa, ciemnoty; katolicyzm był uważany, nawet przez ludzi najlepszej woli, za wroga wszelkiego rozwoju i postępu. Nic dziwnego, że w następstwie takich przekonań i po stronie katolickiej zaczęto oddzielać się od myśli współczesnej i piętnować ją bezwzględnie, jako zło. Czasopisma katolickie z owych czasów przepełnione też były polemiką, czem przypominały twierdze osaczone dokoła i broniące się ostatkiem sił.

Program *Przeglądu Powszechnego* był wyjściem z oblężonej twierdzy: pismo schodziło na teren dotychczasowego przeciwnika, z zamiarem rozpoczęcia pracy na tymże terenie. Powiedziało sobie, że za żadną cenę nie można pozwolić, by postęp i rozwój ludzki przyoblekały na się maskę wrogów bożych. Powiedziało, że jak siły cywilizacyjne są dziełem bożych rąk, tak też i dana cywilizacya jest tychże sił ewolucyą; mimo wypaczeń, jakie powoduje ułomność ludzka, w każdej ostoi dziejów iści się pewna myśl Stwórcy. Ją wyrozumieć, uzasadnić, w poszczególnych zastosowaniach umiejętnie zróżniczkować, to najpewniejszy zarazem sposób, by oddzielić kąkol od zboża, zło i błąd od dobra

i prawdy. Bo kłamstwo żyje tylko tą cząstką prawdy, jaką z niem zmieszano.

Taką jest podstawa owego optymizmu, w stosunku do współczesnych dążności. Optymizm ten bynajmniej nie jest jednoznaczny z małoduszną ustępliwością, z kompromisem prawdy z błędem, z przeoczaniem lub przemilczeniem tego, czego przeoczyć lub przemilczeć się nie powinno. Nie kłaniać się renomie, nazwać błąd po imieniu, było jednem z haseł programu, tylko, że ponad to hasło było wyższe inne: sumienna dążność do przedmiotowości. Polemika też wcale nie była z tego pisma wykluczoną, ujętą tylko miała być w należne jej granice. Wogóle, polemika w najlepszym razie, może tylko spełnić jedną część zadania, może zburzyć to, co jest błędnem; sama jest bezowocną, burzy lecz nie buduje. Jeżeli zaś jakiś kierunek chce być żywotnym, powinien wykazać się plonem pracy twórczej, powinien zabrać się do budowy sam lub, przynajmniej, do pomocy przy budowie innych. To też było powodem, dlaczego zasadniczym rysem *Przeglądu Powszechnego*, w myśl programu, ma być charakter tetyczny i wykładowy, a nie polemiczny.

Na tem tle już łatwo zrozumieć inne linie główne naszego pisma. Przy tak daleko sięgającym zamiarze niezbędną jest pewna uniwersalność, obejmowanie w miarę możności całokształtu ludzkich spraw i dziedzin. To też wyraża sam tytuł miesięcznika. Zagadnienia społeczne, filozoficzne, teologiczne, naukowe, literackie, o ile je bieżąca chwila wyrzuci na powierzchnię opinii, miało pismo podejmować i omawiać. A podejmować nie tyle dla czystej informacyi, jak raczej celem roztrząśnięcia, by dotrzeć do podstaw samych i odnośnych kryteryów i ich wartość okazać w świetle rzetelnej nauki, doświadczenia społecznego i życiowego, w świetle rozumu oświeconego wiarą. Wyraża to inne hasło programu: aktualność i zasadniczość.

Oto najgłówniejsze linie wytyczne *Przeglądu Powszechnego*, wyraziście nakreślone w samym zawiązku miesięcznika. Zawiązek ten przypadł na pierwsze lata panowania tak szerokiego umysłu, jak Leon XIII, co niewątpliwie wpłynęło na charakter programu pisma. Zaznaczmy jednak dla dokładności, że pewne rysy pro-

gramu wyprzedziły niejedną z późniejszych encyklik leonowych.

Takie były zadania *Przeglądu Powszechnego*, które spełnić było usilnem dążeniem redakcyi. Czy je spełniła, nie do nas sąd należy.

Trudno też orzec coś określonego o skutkach tej pracy. W życiu tak różnorodne krzyżują się wpływy, momenty psychologiczne tak wzajemnie się wyręczają i uzupełniają, że, choć jeden fakt dodatni sobie przypisać, byłoby chełpliwem zuchwalstwem. Niezależnie od naszego pisma a z punktu jego widzenia, można stwierdzić tylko, że w tem 25-leciu zmieniła się sytuacya w całym świecie. Pewne kierunki, katolicyzmowi wrogie, jak pozytywizm, jak liberalizm, które tak świetną obiecywały przyszłość sobie i ludzkości, wyczerpały się już do dna i znikają z dniem każdym z widowni. Socyalizm, który w tym 25-leciu rozrósł się niepomiernie, wszedł obecnie w stadyum kryzysu i prawdopodobnie przekroczył już swój zenit. Wyłaniający się w ostatnich czasach obóz wolnej myśli, który na swoje poparcie może przytoczyć to, co dzieje się we Francyi, jest tak krzyczącą parodyą wszelkiej wolności i wszelkiej rozumnej myśli, że może można go uważać za wystrzelający płomień dogasającego antyreligijnego ogniska. Natomiast, mimo wszelkie braki, które ukrywać wcale nie leży w naszym planie, wzmogła się nadzwyczajnie żywotność katolicyzmu. Fakty są zbyt widoczne, omawialiśmy też je dość często, żeby dziś obszerniej o nich rozpisywać się trzeba. Zainicyowany przez Leona XIII chrześcijański ruch społeczny doszedł we wielu krajach do przemożnego znaczenia a w najbliższej nam Austryi dziś prawie jest władcą państwa. W ślad za tem powodzeniem poszedł wzrost żywotności katolicyzmu we wszystkich prawie dziedzinach myśli i pracy ludzkiej. Nawet na wyżyny twórczości artystycznej padać już zaczyna jego światło. Że i Polską w tym nowym ruchu bierze pewien udział, wszystkim jest dobrze wiadomo.

W takich warunkach, sytuacyą pisma takiego jak nasze, jest pod pewnymi względami łatwiejszą od tej, jaka była w początkach. Głównie to, że uchyliło się wiele uprzedzeń i niechęci, że utarła się łatwiejsza droga dla przystępu prawdzie. Natomiast inne względy czynią sytuacyę trudniejszą. Większa żywotność nakłada większe

obowiązki i narzuca więęj spraw. Dziś, wogóle, pęd rozwojowy w całym świecie stał się tak przyspieszonym, że fizyognomia ideowa ludzkości zmienia się nieomal z rokiem każdym. Z każdą chwilą roi się forum opinii coraz to nowymi zagadnieniami, nieraz tak zawikłanymi, że lat temu kilkanaście o czemś podobnem nie miało się nawet pojęcia.

Jeżeli już na jakiś dodatni wynik pracy naszej wskazać byliśmy zmuszeni, to wskazalibyśmy na 25-letnie istnienie *Przeglądu Powszechnego* i na jego ustawiczny rozwój. Po trudnych początkach przyszły pomyślniejsze chwile, w których pismo rzucić mogło niejedną myśl nową, dać niejednej sprawie inicyatywę, wejść w bliższe zetknięcie ze społeczeństwem i stać się jednym z potrzebnych organów jego myśli. Zaczął się też okres dla pisma, w którym najpierwsze polskie pióra, najwybitniejsze nasze umysły, poczęły zasilać je swymi pracami. Samo istnienie takiego pisma jest ciągłym widomym dowodem, że między wiarą a wiedzą, między prawami religii i życia, niema najmniejszej sprzeczności.

A siła tego dowodu zwiększy się jeszcze, gdy zwrócimy uwagę na to, że w tem 25-leciu upadło niejedno z pism, przedstawiających kierunki przeciwne, w swoim czasie bardzo głośne i wzięte — i to nie z przyczyn przygodnych, ale z bankructwa programowej idei.

Te i inne myśli krzepią nas ufnością w słuszność i trwałość naszej sprawy. Mając przed oczyma tylko zasady wieczne a nie skrępowani żadną formułką ludzką, nie widzimy przed sobą przeszkody do dalszych ewolucyj, jakiekolwiek przyszłość przyniesie. Bo wiemy, że poza przypadłością ludzką będzie to tylko nowa strona odwiecznej idei Bożej, iszczącej się w losach zmiennej historyi świata.

Ks. J. Pawelski.

GŁOSY Z POWODU NASZEGO JUBILEUSZU.

Od Redakcyi.

Z głębokiem wzruszeniem zamieszczamy życzliwe słowa, dochodzące nas z powodu jubileuszu. Na życzenia Ojca Świętego odpowiedzieliśmy na innej już drodze. Za łaskawe wyrazy uznania i zachęty Najdostojniejszych naszych Arcypasterzy jak i świeckich przyjaciół naszego pisma niech nam wolno będzie w tem miejscu złożyć najgorętsze dziękczynienie. Składamy tu również dzięki za te liczne gratulacye, które wskutek prywatnego swego charakteru nie były przeznaczone do publikacyi.

Redakcya Przeglądu Powszechnego.

Wielebny Ojcze!

Ojciec święty otrzymawszy nader miłą wiadomość, że czasopismo »Przegląd Powszechny«, wydawane w Krakowie przez Ojców Towarzystwa Jezusowego, dobiega już dwudziestopięciolecia od czasu, kiedy po raz pierwszy opuściło prasę, z całego serca wydawcom jego winszuje. Wie bowiem, że wspomniane czasopismo już świetne przyniosło owoce pracy i że jeszcze większe zapowiada w przyszłości.

Z tego powodu raczyła Jego Świątobliwość wyrazić wszystkim, którzy do wydawania tego pisma pracami swemi się przyczyniają, najszczersze papieskie uznanie i pochwałę i udzielić im błogosławieństwa Apostolskiego — w tem przekonaniu, że będzie to nagrodą za ich dzielną pracę i zachętą do zbierania coraz większych z dnia na dzień zasług na tem polu.

Spełniając ten miły obowiązek zawiadomienia Ciebie o ojcowskich uczuciach życzliwości Ojca św., pozostaję z prawdziwem poważaniem

R. Kard. Merry del Val.

Tekst łaciński:

Rev. Pater!

Folium periodicum cui titulus »Przegląd Powszechny« a Patribus Societatis Iesu Cracoviae editum, properare iam ad vigesimum quintum annum celebrandum a quo primum in lucem prodiit, Beatissimus Pater nuncium iucundissimum accepit, eiusque moderatoribus tota mente gratulatur. Novit quippe laudatum folium laboris sui fructus iam cepisse egregios et maiores etiam capiendos in posterum polliceri. Omnes igitur qui in eodem condendo operam conferunt Sanctitas Sua amplissimo pontificiae laudis testimonio honestandos censuit, eosque Apostolica ditandos Benedictione, rata et eorum virtuti praemium et ad magis magisque in dies promerendum id inctamentum futurum.

Functus grato officio hos paternae Sanctissimi Domini benevolentiae sensus tibi aperiendi, ea qua par est existimatione me profiteor.

R. Card. Merry del Val.

Miesięcznik przez Czcigodnych Synów Św. Ignacego wydawany ma za sobą 25 lat pracy sumiennej, li dobro Kościoła i ojczyzny na celu mającej.

Przez ubiegłe ćwierć wieku staliście Szanowni Ojcowie nieprzerwanie na gruncie wiary-prawdy, broniąc jej przeciwko wszelkim napaściom i zaznajamialiście społeczeństwo nasze z najnowszymi wynikami wiedzy we wszelkich jej dziedzinach. Przez tenże okres czasu przyczynialiście się do wzbogacenia literatury naszej przez gruntowne prace Szanownych Członków Redakcyi jako też i przez to, że dając młodszym siłom możność ogłaszania swych prac, zachęcaliście je do zaprawienia się do pióra, co w stosunkach naszych jest wielce potrzebne. Za ten kierunek wytrwale przeprowadzanej pracy, składam dziś Szanownym Członkom Redakcyi stokrotne dzięki, ślę życzenia, by Szanowni Ojcowie szli w najdalsze lata tą drogą Bogu na chwałę a na pożytek społeczeństwa i na tę dalszą pracę udzielam z całego serca mego błogosławieństwa Arcypasterskiego.

Oddany w Chrystusie

† *J. Kard. Puzyna*
Książę Biskup Krakowski.

Kraków, 15 listopada 1908.

Słabość moich oczu trwająca od lat paru, sprawiła, iż nie mogę sam czytać, a słuchając tylko nie mogę wytworzyć sobie pewnego zdania o literaturze obecnej w kraju naszym. Z tego też powodu nie zauważyłem, że »Przegląd Powszechny« obchodzi w tym roku 25-lecie swojego istnienia, podczas którego tak pięknie się odznaczył, iż to wydawnictwo stanowi epokę całą w naszej literaturze.

Za młodych lat moich wychodziły książki pobożne, ale nie zauważyłem pisma, któreby się wyłącznie sprawami religijnemi zajmowało.

Tak było do roku 1840; jeden Watt Kosicki między rokiem 1826 a 1830 wydawał w Warszawie szereg dzieł religijnych, tłumaczonych z francuskiego i niemieckiego, bardzo dobrze dobra-

nych: katechizmowych i apologetycznych. Chociaż nie było to pismo peryodyczne, jednakże pojedyncze tomy ukazywały się w odstępach miesięcznych przez lat kilkanaście. Prócz tych, innych nie znałem, i tak trwało to do roku 1850.

Dopiero prace księży na emigracyi obudziły ducha religijnego w literaturze, lecz ta z trudnością się do kraju dostawała. Po roku 1860 ukazały się prace księdza Koźmiana w Poznańskiem, które zaciekawiły i ogół świecki, wśród którego wpływ swój zaznaczyły.

Nieco później »Przegląd Lwowski«, wydawany przez księdza Edwarda Podolskiego, który zyskał sobie takich współpracowników, jak Maurycy Dzieduszycki, ksiądz Golian i inni, zajął stanowisko odpowiednie do swoich czytelników, stając się pismem bardzo poczytnem.

Kiedy jednak dla braku funduszów »Przegląd Lwowski« przestał wychodzić, Zgromadzenie Wasze założyło w Krakowie w 1884 r. »Przegląd Powszechny«, który potrafił pobudzić wszystkie umysły wyższe, poszukujące prawdy. OO. Waszego Zgromadzenia prowadzą ten miesięcznik ze znaną sobie gorliwością i doświadczeniem. A wywarł on wpływ swój nie tylko na duchowieństwo, ale potężnie działał na świeckich, którym sprawy Kościoła naszego leżą na sercu.

Na tem podniosłem stanowisku pismo Wasze przetrwało do dziś, wpływ swój wywierając na coraz szersze warstwy naszego społeczeństwa.

Pozwólcie więc mnie staremu podziękować Zgromadzeniu, które idąc śladami Skargi, Sarbiewskiego, Młodzianowskiego i t. d. umiało dać pokarm wierzącym, a w obojętnych wiarę obudzić.

Do tylu innych zasług Waszych w Kościele i Narodzie naszym ta nowa przybywa. Dlatego ja schodząc z placu, choć nie literat, poważam się te słowa przesłać na ręce Przewielebnego Ojca, jako dowód wdzięczności dla Zgromadzenia za szerzenie prawd Bożych między oświeconymi i mniej oświeconymi.

Co niechaj Wam Pan Bóg nagrodzi.

† *Wincenty Popiel*
Arcybiskup Warszawski.

Warszawa 22 listopada 1908.

Niemałe są zasługi pisma, które odzwierciedla troskliwie myśl i działalność Kościoła katolickiego, jako też świecki ruch naukowy i społeczny, segregując czujnie prawdę i postęp rzetelny od blichtru i fałszu.

»Przegląd Powszechny« spełnia tę misyę wiernie przez 25 lat swego istnienia.

Może się też wykazać bogatym, samodzielnym dorobkiem naukowym. Wiele traktatów w nim umieszczonych zajmie na zawsze pierwszorzędne miejsce w literaturze teologicznej naszego narodu.

Tu staje mi przedewszystkiem na myśli drogi, szlachetny Ojciec Maryan Morawski, prawdziwa *anima dulcis, columba sine felle,* jak mawiali owi chrześcijanie katakumbowi, którzy go natchnęli do napisania »Obcowania Świętych«.

Powody przywiedzione wystarczają chyba aż nadto, żebym jako biskup i przyjaciel pisma dał wyraz mojej radości z powodu jego jubileuszu i złożył Czcigodnej Redakcyi życzenia dalszej najowocniejszej dla Kościoła i narodu pracy.

† *Józef Bilczewski, Arcybiskup.*

W Rzymie, w oktawie św. Stanisława Kostki.

Dowiedziawszy się, że »Przegląd Powszechny« święci w tym roku swój srebrny jubileusz, pospieszam złożyć jubilatowi życzenia: *ad multos annos,* Wam zaś, Szanowni Redaktorowie, przesłać serdeczne: Szczęść Boże do dalszej pracy. Zapewne w pokorze ducha dziękujecie Panu Bogu za wszystkie dobre myśli i dodatnie rezultaty, a przytem rzewnem sercem wspominacie o zmarłych pisarzach, śląc za nimi gorącą modlitwę: *Requiem aeternam dona eis Domine;* otóż ja łączę się z Wami w duchu, jako szczery tego pisma i Wasz przyjaciel, ale zarazem pozwalam sobie dorzucić kilka uwag, odnoszących się do przeszłości i do przyszłości.

W r. 1883 patrzyłem na kolebkę »Przeglądu Powszechnego« i pamiętam, jakie to były czasy. Pośród mężów świeckich klasy

wykształconej nie brakowało wówczas w Krakowie i w kraju dobrych katolików, a byli między nimi ludzie wybitni, jak zmarli już: Józef Szujski, Paweł Popiel, Józef Łepkowski, Julian Dunajewski, Ludwik hr. Dębicki, Włodzimierz hr. Dzieduszycki, Henryk Jordan, z żyjących zaś hr. Stanisław Tarnowski i inni. Mieliśmy także znaczny zastęp niewiast, odznaczającysh się zapałem i ofiarnością dla sprawy katolickiej; że wymienię tylko hr. Katarzynę Potocką, hr. Zofię Wodzicką, ks. Marcelinę Czartoryską, ks. Cecylię Lubomirską, hr. Zofię Szeptycką. Z tem wszystkiem w społeczeństwie świeckiem dała się uczuć potrzeba pogłębienia i spotęgowania ducha katolickiego, a przytem ściślejszego złączenia ludzi, mających tego ducha, w zwarte związki, czy to pod egidą Sodalicyi Maryańskich, czy pod formą stowarzyszeń katolickich. O organizacyi katolickiej nie było wówczas jeszcze mowy.

W piśmiennictwie prądy antyreligijne dosyć rzadko się pojawiały, wyjąwszy niektóre pisma warszawskie, kruszące kopię za darwinizmem i pozytywizmem i wysuwające Świętochowskiego jako koryfeusza filozofii polskiej i duchowego wodza narodu. Rzeczywiście część młodzieży uniwersyteckiej zapalała się do teoryi materyalistycznych; a pamiętam do dziś dnia, jak na pewnem zebraniu uczniów, na które i nas profesorów zaproszono, pewien akademik semickiego pochodzenia śmiało dowodził, że prawdziwy myśliciel nie zajmuje się tą kwestyą, czy jest Bóg, bo ona nie jest pozytywną.

Z dzienników staruszek »Czas«, który w r. 1873 obchodził swój srebrny jubileusz, stał zawsze po stronie religii i Kościoła; inne pisma, nawet liberalne, liczyły się z dominującą opinią; nie było zaś jeszcze na świecie ani »Kuryera lwowskiego« ani »Naprzodu«, ani »Monitora«. Socyalizm dopiero się wciskał do kraju, śląc z Zurychu i z krajów rosyjskich swoich emisaryuszów, by tworzyli pierwsze kadry. Przypominam sobie, jak w r. 1883, kiedy byłem rektorem Uniwersytetu, ówczesny namiestnik, hr. Alfred Potocki, przysłał mi listę 16 uczniów, którzy wpisali się do partyi socyalistycznej, złowieni przez sprytnego agitatora Zawadzkiego, i żądał ukarania ich; ale ja dałem im ojcowskie upomnienie, które rzeczywiście poskutkowało.

Na polu piśmiennictwa ludowego pracował korzystnie ksiądz Otton Hołyński; później wysunął się na czoło ks. Stan. Stojałowski i nie małe położył zasługi w tym kierunku, dopóki nie zeszedł na manowce. Wówczas to powstało w Krakowie Towarzystwo oświaty ludowej, z tendencyą nieco liberalną; wnet jednak, bo już w r. 1884, udało się nam nadać mu cechę katolicką i narodową. Niestety, nasi konserwatyści, z wyjątkiem hr. Stanisława Tarnowskiego i kilku innych, nie zrozumieli należycie doniosłości tej sprawy; a lękając się bezpodstawnie dążności demagogicznych, odmówili jej pieniężnego poparcia i czynnego udziału, czem, acz wbrew woli, przyczynili się do wzrostu późniejszego nieco Towarzystwa Szkoły ludowej i stronnictwa ludowego.

Wśród takich stosunków OO. Jezuici, za inicyatywą światłego i żarliwego wielce O. Henryka Jackowskiego, postanowili wydawać w Krakowie »Przegląd Powszechny«, jakby polską »Civiltà cattolica«, w tym głównie celu, aby zasadom katolickim zapewnić należyty wpływ w życiu umysłowem, politycznem i społecznem naszego narodu. Była to myśl szczęśliwa, za którą wdzięczność należy się Towarzystwu Jezusowemu, bo takiego właśnie pisma potrzebowało nasze społeczeństwo.

Dzięki znakomitej redakcyi, zjednało ono sobie wkrótce poczestne imię, w czem niemała zasługa O. Maryana Morawskiego. Znałem go dobrze, bo wespół z innymi kolegami Wydziału teologicznego, a za zgodą ś. p. kard. Dunajewskiego, pociągnąłem go na profesora tego Uniwersytetu, który w wieku XVII tak zaciętą toczył walkę z Jezuitami. Nie pożałowaliśmy tego; owszem rzec mogę, że ks. Morawski, który łączył niezwykłą bystrość ducha i rozległą wiedzę z charakterem szlachetnym i świetnym talentem pisarskim, stał się chlubą starej szkoły Jagiellońskiej, dla nas zaś był nader miłym kolegą. Niestety, ciężka choroba zmusiła go do ustąpienia z katedry, a wkrótce potem wtrąciła go do grobu.

Ale i pod jego następcami utrzymał się »Przegląd Powszechny« na swojej wyżynie. Przeglądając roczniki z 25 lat, znajduję w każdym z nich doborowe artykuły, czy z zakresu filozofii, apologetyki, historyi i socyologii, czy z dziedziny współczesnego piśmien-

nictwa i spraw bieżących. Na szczególną pochwałę zasługują peryodyczne sprawozdania z ruchu religijnego, naukowego i społecznego, bo ileżto w nich mieści się trafnych spostrzeżeń i zbawiennych rad, które oby powszechny zyskały posłuch. Jest to zatem obszerny śpichrz, różnem a dobrem napełniony ziarnem. Brakuje w nim rozpraw politycznych i tym pokrewnych, ale te, zostawiacie, jak słuszna, pismom codziennym i redagowanemu również znakomicie »Przeglądowi Polskiemu«. Słowem, można śmiało powiedzieć, że »Przegląd Powszechny« dobrze się zasłużył około Kościoła i społeczeństwa polskiego.

Co do przyszłości, mam skromne życzenia, które już po części bywają uwzględniane.

Pragnąłbym najprzód, aby »Przegląd Powszechny« goręcej jeszcze propagował ideę przeprowadzenia u nas organizacyi katolickiej bez czego wobec polskiej apatyi i niestałości, jako też wobec wybujałego indywidualizmu i rozbicia na stronnictwa nic wielkiego na polu religijnem i społecznem zdziałać nie możemy.

Pragnąłbym dalej, aby każdy rocznik (może w zeszycie lutowym) zawierał treściwy pogląd na stan Kościoła w całym świecie w ciągu roku ubiegłego, jak to np. robi »Linzer Quartalschrift«.

Pragnąłbym także, aby choć dwa razy w roku umieszczane były dokładne — o ile można — sprawozdania o ruchu religijnym i o akcyi społecznej nie tylko w naszym kraju, ale i w innych dzielnicach polskich, nie wyjąwszy naszego wychodźtwa.

Pragnąłbym również, aby choć co dwa lub trzy lata drukowano wykaz i krótką ocenę celniejszych dzieł, świeżo wydanych, treści filozoficznej, teologicznej, historycznej i socyologicznej, i to także w obcych językach.

Pragnąłbym wreszcie, aby w pewnych ustępach czasu omawiano belletrystykę polską i obcą i ostrzegano przed złymi utworami, a polecano dobre, bo te wiadomości przydadzą się nie tylko świeckim, dla których powieści są ulubionym pokarmem, ale i duchownym, których nieraz świeccy pytają o zdanie.

Myśl urządzania ankiety, gdy idzie o zbadanie ważniejszych kwestyi, uważam za bardzo szczęśliwą; a co do tonu pisma, radzę, by i nadal przestrzegano bezstronności i umiarkowania, nawet

w polemice, a trzymano się tych znanych zasad: *ut veritas pateat, placeat, moveat,* i znowu: *in necessariis unitas, in dubiis libertas, in omnibus charitas.*

Kończąc, polecam Waszą Wielebność i wszystkich pisarzy »Przeglądu Powszechnego« opiece Bożej i przesyłam biskupie błogosławieństwo.

Z wysokiem poważaniem

† *Józef Sebastyan Pelczar*
Biskup Przemyski.

Niepodobna mi nie złożyć Szanownym Redaktorom »Przeglądu Powszechnego« w 25-letnią rocznicę jego istnienia, jako stałemu czytelnikowi, szczerych życzeń.

Przez cały ten czas stał »Przegląd« odważnie i wytrwale na straży myśli chrześcijańskiej i katolickiej, podczas gdy z różnych stron nawet na ziemi naszej polskiej w tę myśl wyuzdane piśmiennictwo uderzało, usiłując wyrwać ją z duszy polskiej. A obronę tę prowadził »Przegląd« umiejętnie, poważnie i z tą siłą przekonywującą, którą daje przeświadczenie, że się broni prawdy. Stanowisko zaś jego naukowe jeśli nie było wyższe, to zaprawdę nie niższe od tego, jakie zajmowali stojący w obozie przeciwnym. A jeśli przyszło mu niekiedy polemizować, nigdy nie zniżał się do zaczepek osobistych; zwalczał błąd nie osobę. Dlatego wolno »Przeglądowi« pocieszać się w dniu jubileuszowym przeświadczeniem, że służył z pożytkiem dobrej sprawie.

Szczęść Boże na dalsze dwadzieścia pięć lat.

Ks. Biskup Edw. Likowski.

Poznań dnia 11 grudnia 1908.

Dwadzieścia pięć lat istnienia kończy »Przegląd Powszechny«. Pismo, które u nas przetrwało taki okres czasu, a ma wszelkie warunki dalszego bytu, dosłużyło się znamion utrwalonego czynnika w rozwoju polskiej myśli. Ten ćwierćwiekowy okres wiele zaważył w losach narodu. W warunkach podstawowych bytu narodowego zaszły liczne a różnorodne przeobrażenia: mimo piętrzącego się zła, mimo grożących, może zdwojonych, niebezpieczeństw z zewnątrz i wewnątrz, bije z tych upłynionych lat 25 silny, niczem niezagłuszony głos: *Nil desperandum!* Sił przybyło i nieustannie przybywa, sił świeżych i żywotnych; cała przyszłość nasza od tego zależy, w którą stronę skierują się te siły. Kto pamięta, co było przed laty 25, nie zaprzeczy widocznego postępu w uświadomieniu naszego społeczeństwa, w dwojakiem uświadomieniu, i narodowem i religijnem. Sam ten ferment, który w ostatnich latach tyle złowrogich wydobył na jaw znaków skażenia serc i umysłów, sam ten ferment stał się narzędziem opamiętania i rozjaśnienia zmąconych pojęć, lekarstwem dla wielu dusz. I to już wiele, że ten moment krytyczny zastał nas lepiej przygotowanych na czasy przesilenia, i uzbrojonych lepiej, niż przed laty 25, kiedy mniej wprawdzie było przerażających objawów spustoszenia, mniej jednak także owoców skutecznej pracy nad religijnem odrodzeniem narodu, mniej zdobytego gruntu pod dalszy posiew. Za Waszą pracę, za tyle trudu i dobrej woli, męstwa, rozwagi — tak w prowadzeniu Waszego pisma, jak i na całem przestronnem polu, którego jednym zagonem jest Wasz »Przegląd« — przyjmijcie w 25-tą rocznicę jego założenia, szczere serdeczne: Bóg zapłać! — a »Przeglądowi«: *Ad multos annos!*

Stanisław Smolka.

Jedna z powag teoryi polityki, Amerykanin prof. Burgess, omawiając w swej *Science of Politics* uzdolnienie polityczne różnych narodów, wielbi Rzymian, więcej jeszcze Germanów, a bardzo nizko stawia Celtów i Słowian, odmawiając im zdolności wytworzenia silnej i trwałej politycznej organizacyi.

Dzieje świata dotychczasowe nie zadały mu kłamu. Rozbiory Polski są niestety dowodem braku u nas zmysłu politycznego. Twierdzenie to nie zmniejsza winy cudzej, wskazuje tylko na własne braki. Twierdzenie to podnosili nieraz nasi historycy i statyści, poezya szła dalej, zarzuciła, żeśmy społeczeństwem, gdzie »myśl nie przetrwa nawet godziny«. A gdzie tak jest, tam niema polityki, bo ta *civilis providentia*, jak ją zwali Rzymianie, ta »sztuka wytwarzania tego, co być powinno«, jak mówił Arystoteles, domaga się pogłębienia myśli, wytrwałej służby dla myśli, wytrwałej pracy nad tą przemianą myśli w czyn, nad wprowadzeniem jej w życie.

Już z tego puuktu widzenia zasługuje w naszych warunkach każda wytrwała praca na uznanie, bo wyrywa nas z jednogodzinności myśli, jednodniowości planów i zapałów, przyucza do działania na dłuższą metę, a takie tylko działanie rozwija myśl, hartuje wolę, dodaje sił.

Tem więcej zasługuje na uznanie praca, która nie tylko była wytrwałą i świadomą, ale która wprost zwracała się do zakorzenienia i wzmocnienia religijnych i narodowych uczuć w społeczeństwie, krzewiła ideę Boga i ojczyzny.

O doniosłości wielkiej uczuć tych i idei, jako podkładu życia i czynu, pisałem już nieraz; tu więc stwierdzam tylko, że 25-cio letnie działanie »Przeglądu Powszechnego« służyło tym ideom, było trwałym ich posiewem. To też kończę uznaniem szczerem i życzeniem, aby ta praca posiewu trwała dalej, aby najbujniejsze plony przyniosła w duchowem i politycznem życiu narodu, a to będzie dla Redakcyi i Wydawców »Przeglądu Powszechnego« najlepszą nagrodą, bo prawdziwą zasługą.

Józef Milewski.

Lwów, 30 listopada 1908.

Dwadzieścia pięć lat mija od chwili, gdy ukazał się pierwszy zeszyt »Przeglądu Powszechnego«, Wydając go, zdecydowano się na krok bardzo śmiały, bo rozpoczęto u nas wydawnictwo o charakterze stanowczo katolickim, o redakcyi złożonej z samych du-

chownych — a poświęcone nie teologii lub zawodowym potrzebom kleru, lecz wszystkim sprawom bieżącym, przedewszystkiem ogólnonarodowym i ogólno-społecznym.

Cel i program były bardzo piękne, lecz poważne nasuwały się wątpliwości, czy nowy miesięcznik potrafi sprostać swemu zadaniu, czy zdoła się rzeczywiście utrzymać na wysokości poważnego organu, przeznaczonego dla wszystkich intelligentnych klas naszego społeczeństwa. Wątpliwości te płynęły nie tyle z obaw o niewłaściwy dobór artykułów, bo przynajmniej w zasadzie było to rzeczą redakcyi dążyć do wypełnienia wszystkich punktów programu i nie dopuścić, ażeby wydawnictwo zmieniło się w jednostronną tylko, fachową publikacyę, dostępną jedynie ciasnemu kołu specyalnie ukwalifikowanych czytelników. Największe niebezpieczeństwo groziło z innej strony. »Przegląd Powszechny«, jeżeli miał odpowiedzieć myśli swych założycieli, musiał się liczyć nie tylko z treścią artykułów, lecz także z doborem ich autorów, bo zasilany wyłącznie przez duchownych stałby się siłą rzeczy ich tylko organem, choćby poruszał wszystkie zagadnienia publicznego życia. Należało więc koniecznie zapewnić sobie współpracowników świeckich, co jednak napotykało na nader wielkie trudności. Pismo wydawane przez Jezuitów, uważano już z góry za klerykalne, nie dopuszczające swobodnego roztrząsania zagadnień natury ogólnej, za oceniające wszystkie wypadki życia publicznego ze swego jednostronnego i ciasnego klerykalnego stanowiska. Wobec ówczesnego nastroju ogromnej większości intelligencyi świeckiej, wobec tak popularnego hasła, że katolicyzm i prawdziwa wiedza nie mogą się pomieścić razem, można było przypuścić prawie na pewno, że pomijając nieliczne wyjątki, ogół świeckich literatów zachowa się wobec »Przeglądu Powszechnego«, odpornie, uważając go za pismo »księży dla księży«, z którem świeccy nie mają nic wspólnego.

Dziś po dwudziestu pięciu latach można już stwierdzić stanowczo, że wszystkie te obawy i wątpliwości okazały się najzupełniej płonne. »Przegląd Powszechny« uzyskał w całej pełni prawo obywatelstwa w naszej poważnej publicystyce; bez względu na przynależność partyjną i zapatrywania indywidualne, wszyscy

uważają go za pismo równorzędne z jakimkolwiek innym miesięcznikiem. A przeglądając spis prac w nim pomieszczonych, przekonamy się, może nieraz ze zdumieniem, że w liście autorów nie brak prawie żadnego głośniejszego nazwiska, że wszyscy niemal wybitniejsi poeci, literaci i uczeni pomieszczali swe artykuły w miesięczniku, redagowanym przez Jezuitów.

I ten właśnie rezultat uważam za największy dorobek ćwierćwiekowej pracy kierowników »Przeglądu Powszechnego«. Potrafili oni przekonać najwyższe sfery intelligencyi, że literatura i nauka mogą iść ręka w rękę z katolicyzmem, potrafili stwierdzić czynem, że niema tej sprzeczności, o której tyle mówiono i pisano. Zdobyli oni dla »Przeglądu Powszechnego« prawo obywatelstwa w małej rzeczypospolitej literackiej — pomimo wszystkich, tak znacznych trudności, to też z zadowoleniem mogą spoglądać na ćwierćwiekową robotę: program został spełniony, cel osiągnięty, wysiłki wydały cenniejsze owoce, niż można się było spodziewać. Dziś już wszyscy widzą w »Przeglądzie Powszechnym« prawdziwie poważny miesięcznik i nikt nie odmówiłby w nim współpracownictwa ze względu na jego »klerykalne, a niezgodne z prawdziwą wiedzą« stanowisko.

Dr. Włodzimierz Czerkawski.

Widziałem wczoraj reprodukcyę rysunku Waltera Crane słynnego angielskiego prerafaelity, p. t. »Gonitwa godzin«. Trzy kwadrygi na pierwszym planie, dwie na drugim pędzą cwałem przez przestrzeń, niedoścignione, niezwyciężone, niewstrzymane niczem.

Rysunek ten stanął mi w pamięci, gdy pomyślałem o Waszym jubileuszu. To wszystko, co w tych stu tomach »Przeglądu Powszechnego« złożone, choć dziś należy już do przeszłości, trwa jednak i działa dalej; wyprostowani w kwadrygach pędzą naprzód bojownicy... a choć niestety już nie ci sami, co dawniej, ale ducha tego samego, nieugięci, wewnętrznemu głosowi posłuszni, pędzą w przestrzeń na wiecznej prawdy zwycięstwo. Ciągłość dziejów,

duch nieśmiertelny, tryumfują w nich nad ciałem i śmiercią. Z ziarn, które oni rzucają, ziemia ojczysta urodzi kwiat poświęcenia; a po długiej nocy, wysiłkiem tych jasnych duchów zmożonej, zabłyśnie kiedyś, po wiekach, zorza szczęścia nad Polską i światem. Miło w to wierzyć, miło Was dostrzedz w gronie nielicznych siewców lepszej przyszłości.

W tym trudnym pochodzie ku ideałom prawdy i dobra tyle po drodze ścieżek zbacza ku szosie wspaniałej użycia, blichtru i fałszu, a tylko jedna, pełna grud i kamieni, wąziutka i nierówna polska droga ku stromym prowadzi szczytom. Aby ją obrać, trzeba umieć przytłumić swoje ja cielesne, pożądliwe, chciwe i próżne, a pamiętać o duchu, który zapewne jest »wiecznym rewolucyonistą«, ale w tem znaczeniu, że się buntuje przeciw wszelkiej obłudzie, przeciw wszelkiemu niskiemu oportunizmowi, przeciw korzyści jednostki okupionej szkodą ogółu.

Z pracą prawdziwie twórczą idzie w parze miłość jakby rodzicielska autora dla swego dzieła. Nie jednoznaczna ona z próżnością autorską u tych, którzy tworzą dla chwalby własnej lub zaszczytów. Im mniej te Narcyzy i karyerowicze mają do powiedzenia ludzkości, tem uprzejmiej zabiegają koło wszystkich rozdawców rozgłosu, tej rozmienianej na drobną monetę sławy, tem niżej się im kłaniają, tem wymowniej schlebiają.

Inna jest miłość do swego dzieła twórcy, który ludzkości daje cząstkę samego siebie, on je kocha jak własne dziecko, więcej, jak dziecko najdroższe a stracone; kocha tę myśl uniesioną falą wypadków, często porwaną prawdziwemu ojcu, a przytuloną przez bezczelnych ojczymów w świecie siły przed prawem. W chwili tworzenia te myśli jego, ledwo poczęte, napierają na siebie w tak szalonym pędzie, jak owe białe i czarne rumaki na rysunku Crane'a; tłuką się jak ptaki o klatkę materyi, która trzyma je na uwięzi i za każdem uderzeniem lotów rozluźniają jej pręty, aż wreszcie pryśnie skorupa ciała, a duch uskrzydlony uniesie się w przestwory niebieskie, w krainę dawnych tęsknot i przeczuć.

Prawdziwy twórca, czyli człowiek, który z bezwzględną szczerością i chęcią służenia prawdziwie oddaje się swej nauce

lub sztuce, niesie jej w ofierze życie, daje je w zamian w drobnych cząstkach za swoje dzieło. Jakżeby miał go nie kochać, skoro ono stanowi dalszy ciąg jego istnienia, skoro przez nie i po śmierci obcować będzie ze swym narodem i nań oddziaływać dzięki tej sile wewnętrznej, jaką wlał w nie z poświęceniem własnem!

Kierownicy »Przeglądu Powszechnego« w stu tomach dali nam część z siebie, a dzięki temu i ci, którzy umarli, dotąd przebywają między nami. Najznamienitsi nauczyli nas równowagi i pogody umysłu w trudnych bardzo okolicznościach, od ambicyi osobistych umieli odwieść ku czystszym i górnym szlakom i rozsiali wśród nas tyle skarbów dobra, prawdy i szczęścia, że świadomość tego mogła wynagrodzić im zaparcie całego życia i mękę tworzenia.

»Przegląd powszechny« wyruszył przed dwudziestu pięciu laty na odzyskanie Polski dla myśli katolickiej. Okres to zbyt szczupły w życiu narodów, aby można było już dziś widzieć owoce tej pracy. Ale tu i owdzie kwitną już pączki białe na polskiej jabłoni. A i to dużo w dzisiejszych czasach, kiedy na równinach polskich lśniące szyki strąconego anioła zawładnęły większą częścią umysłów.

Za mało było w Polsce wysiłku i odwagi cywilnej, za mało umiejętnego przygotowania, za mało zrozumienia chwili bieżącej i jej potrzeb, za mało solidarności w obozie katolickim.

»Przegląd Powszechny«, który dojrzał te braki, nawoływał zawsze do zgody wszystkich warstw w narodzie, miał gorące serce i śmiałe słowo w obronie słabszych i upośledzonych, a do najlepszych i najwykształceńszych umiał przemawiać ich właściwym językiem, dzieląc się z nimi wynikami prawdziwej wiedzy. Wiele rzeczy z tych, które stały się u nas na polu idei polskiej i katolickiej w ostatnich 20 latach, wyszły ze zbrojowni duchowej »Przeglądu Powszechnego«. Cześć mu za to i *ad multos annos!*

Leopold Caro.

Lat temu dwadzieścia, gdy po raz pierwszy przestąpiłem próg klasztornej celi »Przeglądu Powszechnego«. Godzina jakiejś dziwnie polotnej a szczerej, poufnej a ciepłej i serdecznej pogadanki ze schorzałym jej redaktorem ś. p. O. Morawskim, pozostawiła w mem sercu niezatarte wrażenie. Ta godzina wymiany myśli z tym niepowszedniej miary uczonym, wykuła serdeczne ogniwo przyjaźni między mną a Redakcyą. Złota nić sympatyi złączyła mnie odtąd z Redakcyą. Wśród zmiennych kolei losów, wśród smutków czy radości doznałem wiele dowodów Waszej życzliwości, niejednokrotnie daliście impuls do pracy, ożywcze wezwanie do napisania tej lub owej rzeczy z zakresu mych studyów. Dziś, kiedy nadszedł dzień 25-letniej rocznicy założenia pisma, zamknięcia okresu pracy redaktorskiej, ciężkiej i mozolnej, a tak owocnej, zwracam się ku Wam z uczuciem rzetelnej przyjaźni. Cześć Waszej pracy oddaję i życzę z duszy całej, by rzucane przez Was hojnie na zagon ojczysty ziarna posiewu zakwitły cudnym kwiatem: Wiary, Miłości, Nadziei i Wiedzy.

Leonard Lepszy.

Ćwierć wieku pracy i walki za ideały, które powinny być drogie i święte dla każdego Polaka, to zaiste nieladajaka zasługa i zaszczyt niemały. Jest też czego Redakcyi i »Przeglądu Powszechnemu« pogratulować. Powiem jednak, że nie długość i ciągłość Waszej pracy, ale jej jakość i treść, jej kierunek, oto co stanowi wartość niespożytą Waszego pisma i co mu zapewnia wybitne stanowisko w rozwoju myśli polskiej z ostatniej tej najciemniejszej dziejów naszych doby.

Przeświadczeni do głębi, że naród polski istnieć może tylko jako naród chrześcijański i katolicki, rozpoczęliście pracę w tym dwoistym kierunku. Praca ta jednak jest właściwie jedną i tą samą pracą. Obrona bowiem chrześcijańskiego poglądu na świat na gruncie umysłowości polskiej jest równocześnie także utrwalaniem podstaw naszej żywotności narodowej. Co jednak i »Przeglądowi Powszechnemu« należy za szczególną poczytać zasługę, j. jego kierunek.

Broniąc zasad Kościoła i chrześcijaństwa, nie był on nigdy zapatrzony tylko w przeszłość i tylko w jedną jakąś doktrynę, miał zawsze otwarte oczy na teraźniejszość i na przyszłość. »Przegląd Powszechny« (o ile znam jego roczniki) nie hołdował nigdy ciasnemu konserwatyzmowi zarówno w sprawach politycznych i narodowych, jak i ogólno-ludzkich, znakomicie odczuwał zawsze ducha czasu, a śledząc prądy współczesne, umiał wśród mnóstwa zawiłych i pokręconych ścieżek wskazywać dla myśli polskiej drogę w kierunku prawdziwego, rozumnego i zdrowego postępu. Nigdy nie służyliście stronniczym zawiściom, nigdy klikom. Mędrcowi greckiemu Anaxagorasowi wyryli współcześni na nagrobku napis: »służył prawdzie«, otóż o piśmie Waszem można także powiedzieć, że wedle sił i możności »służyło zawsze słuszności i prawdzie«.

Uważam również za potrzebne podkreślić Waszą metodę krytyki i polemiki. Polega ona na zasadach ścisłej przedmiotowości, odznacza się godnością i spokojem, nawet przeciwnikowi oddaje sprawiedliwość, usiłując postawić się na jego stanowisku i takowe zrozumieć. Można się z Wami w niejednem niezgadzać, ale to należy Wam przyznać, że najdrażliwsze sprawy umiecie poruszać i omawiać w sposób, o którym każdy czytelnik, posiadający choćby cokolwiek zdrowego sensu i cokolwiek dobrej woli, musi powiedzieć, że jest *sine ira et studio*.

Życzę też pismu Waszemu, aby w pełnej żywotności jak obecnie, ale w warunkach zbiorowych o wiele pomyślniejszych obchodziło kiedyś swoje złote z czytelnikami polskimi gody.

M. Straszewski.

Stać wytrwale przy zasadach, ale zarazem rozumieć, że formy życia społecznego są płynne, otwierać pole do swobodnej o niem dyskusyi i dążyć do obejmowania coraz szerszych widnokręgów — to rzetelne tytuły zasługi »Przeglądu Powszechnego«.

Stanisław Krzyżanowski.

Z prawdziwą przyjemnością pospiesza niżej podpisany, długoletni czytelnik »Przeglądu Powszechnego«, by przy końcu 25-letniego okresu Waszej działalności redakcyjnej złożyć swoje skromne życzenia.

Czasopismo, które wytrwało ćwierć wieku na poziomie rzeczywiście naukowym nie przeniewierzając się nigdy zasadom etyki i wiary katolickiej jest najwymowniejszym dowodem tego, iż jedno drugiemu nie sprzeciwia się jak się to często słyszy, gdy tak świat przewrotny celowo twierdzi.

Niechby więc »Przegląd powszechny« na chwałę Bożą, pożytek nauki a dobro ludzkości długie jeszcze lata odzwierciedlał postęp myśli ludzkiej, myśli prawdziwie wolnej ale opierającej się na sumieniu katolickiem, na etyce chrześcijańskiej.

Bolesław Wicherkiewicz.

Pamiętam doskonale pierwsze zeszyty »Przeglądu Powszechnego«, nadzieje i obawy z powodu powstawania nowego miesięcznika w Krakowie. Widzę jeszcze księdza Skrochowskiego, jak filuternie pokazuje O. Maryanowi Morawskiemu grube tomy kompletnego zbioru innego miesięcznika krakowskiego i przy tomie, który rozpoczyna seryę jego cieńszych tomów mówi z tryumfem do Redaktora: »tu się zaczął »Przegląd Powszechny!« — Istotnie; nowy Przegląd odebrał starszemu na razie niejedno współpracownictwo, niejeden artykuł. Ale konkurencya była zupełnie lojalna, a nawet poniekąd uzasadniona potrzebą. Pokazało się rychło, że zastęp nowych sił pisarskich podołał obu miesięcznikom, które bardzo prędko nabrały odmiennego typu, bez cienia jakiejkolwiek konkurencyi.

Gdyby chodziło o krótkie określenie głównej zasługi »Przeglądu Powszechnego«, powiedziałbym, że widzę ją w wielkiej odwadze cywilnej, która sprawiła, że i wydawcy zakonni i redaktorzy w sutannach nie wahali się zakasać rękawów i stanąć do żmudnej, społecznej pracy na wszystkich rozłogach współczesnej myśli polskiej i ogólno-ludzkiej. — Można się zgadzać lub nie zgadzać z tem lub owem zapatrywaniem lub kierunkiem »Prze-

glądu«, ale nikt mu nie może odmówić zasługi inicyatywy na różnych polach odradzającej się polskości. Pod tym względem mają zresztą Jezuici własną, domową tradycyę: »Monitor« ks. Bohomolca, »Zabawy przyjemne i pożyteczne« ks. Naruszewicza będą zawsze świadczyć dodatnio o duchu obywatelskim redaktorów zakonników. »Przegląd Powszechny« w ciągu 25 lat złożył liczne dowody, że ducha czasu rozumie i że strusiej polityki nie uprawia. Był powszechnym, ale był też zawsze polskim i z gościnnością iście polską otwierał karty swe dla ludzi różnych nieraz przekonań politycznych. Nikt mu nie dowiedzie ani sekciarstwa, ani ustępstw jakichkolwiek na rzecz wzajemnej adoracyi. Trzymał zawsze wysoko sztandar »Prawdy«, w myśl tej świętej, a dla nas szczególnie drogiej zapowiedzi: *et Veritas liberabit Vos!* Niechże na tej drodze ku wyżynom, ku coraz skuteczniejszemu udoskonaleniu i siebie i nas towarzyszy stale »Przeglądowi Powszechnemu« łaska Boża i życzliwość rodaków!

Józef Kallenbach.

Jubileusz Waszego zasłużonego pisma nie jest zapewne jak wogóle jubileusze sądem ostatecznym, lecz dobrem upomnieniem dla jubilata, aby zrobił rachunek sumienia. Mimo wszelkich niedomagań i grzechów opuszczenia, których jubilat bywa lub powinien być świadomym, miło mu przecież spojrzeć na szereg lat pracy rzetelnej i uczciwej. A praca to przecież rdzeń życia i zadanie, a może się stać życia szczęściem i modlitwą. W naszem społeczeństwie dostojność jej i błogość nie jest należycie ocenioną; za to w organizowaniu głupich i szalonych bezroboć rozwinęliśmy w ostatnich czasach niepomierne zdolności. W piśmiennictwie naszem hołdy dla pracy niedosyć wymownie się zaznaczają. Mamy dużo hymnów do miłości, do młodości, do spokoju nocy; brak jędrnej i gromkiej pieśni do dnia pełnego, choćby szarego, z wszystkiemi jego obowiązkami i błogosławieństwem, które z ich spełnienia płynie. Nieledwie na czoło literatury greckiej wysuwa się poemat Hezyoda, sławiący pracę i znój ludzki, ἔργα καὶ ἡμέραι, w którym czytamy:

Praca nikogo nie hańbi, hańbę przynosi lenistwo,

a Arystoteles w pięknej nadzwyczaj pieśni uwielbił cnotę, jako ideał, który się znojem i potem okupuje i osiąga. Wergiliusza Georgiki są także hymnem pochwalnym na zmaganie się człowieka z trudem życia, na boga, który troską umysł ludzki wyostrza:

Curis acuens mortalia corda.

U nas tymczasem za wiele jest wiary w przyrodzony talent, ba nawet geniusz, za mało przeświadczenia, że talent i geniusz — to praca. Dlatego też ludzie tak łatwo i prędko się wyśpiewywują do dna i do próżni, dlatego tak rzadko dosięgają — *aere perennius* — doskonałości, która jest owocem znoju i filisterskiej, jak niektórzy sądzą, lecz mimo tego szczytnej dokładności w robocie. W utworach literatury i sztuki uderza mnie często zbytnia i grzeszna ufność we własne, samorodne siły, brak podsycenia zdolności przez nabytą wiedzę i trud usilny. Rozmach osobisty jest zapewne bardzo cennym, ale na długo go nie starczy; wnet zmoże go jałowość i bezkrwistość. Powiedziano niegdyś Eckermannowi: *Als ob der Mensch etwas anderes aus sich selber hätte als Dummheit und Ungeschick*, a powiedział te słowa Goethe, który do końca życia się uczył, a »Fausta« na chwałę pracy napisał.

Dziękując Wam za dotychczasowe, szlachetne trudy, przesyłam serdeczne życzenia dalszej, owocnej pracy na pożytek Boga i ojczyzny.

Kazimierz Morawski.

W żywej chowam pamięci i wzruszonem ogarniam sercem te jędrne, ożywcze słowa, te silne, szczere pobudki i hasła, jakie płynęły z kart »Przeglądu«, szczęśliwie powszechnym nazwanego, bo w ramach swych zamykał i krytycznie roztrząsał najważniejsze kwestye życia społeczno-literackiego, słusznie też cieszył się w szerokich kołach niemałem uznaniem. Wszak i w doborze pracowników i w metodzie oświetlania poszczególnych tematów widoczna stała łącznia z prawdziwym postępem, a na całości spoczywa urocze piętno ducha obywatelskiego, rozlewają się po niej

blaski gorącej, rozumnej miłości kraju, jaśnieją całą tęczą wskazania najwyższej etyki i humanitarności. Nic dziwnego, że w tych warunkach cicha a uczona drużyna zakonników pociągnęła ku sobie liczne pióra świeckich szermierzy i przez ten sojusz uczyniła z pisma swego niezachwianą duchową strażnicę. Pomost między przeszłością i teraźniejszością rzucony pewną ręką, a w łańcuchu tradycyi widnieją takie wybitne ogniwa, jak O. Badeni, O. Załęski i autor »Obcowania świętych«, filozof-stylista O. Maryan Morawski, którego prześliczne »Wieczory nad Lemanem« budzą zajęcie także za granicą. Cóż sądzić o przyszłym losie »Przeglądu«? Okres 25-letni gorliwej, dobrze zorganizowanej działalności uprawnia do żywienia jak najlepszej nadziei pod tym względem. Przekonanie o naukowych i patryotyczno-moralnych podstawach tego organu niech mu jedna i powinno mu przysparzać coraz więcej przyjaciół, gdyż każde zacne, wzorowe piśmiennictwo spełnia wobec duszy i przyszłości narodu to samo zadanie, jakie w zachwycającym »Krajobrazie Polski« przypisuje M. Konopnicka naszemu rolnikowi: »Człowiek-Adam, człowiek-oracz wyjawił się tu w istotnem przeznaczeniu swojem; wyjawił się w błogosławieństwie i słodyczy pracy, a nie w jej klątwie prastarej. Praca jego nie była burząca; ona budowała przyszłość... Była prawa, prosta, uczciwa i uczciwość i prostotę w pierś ludzką szczepiąca. Była zapładnianiem ziemi, która chciała rodzić. Była opatrzeniem jutra i przyszłych pokoleń«.

Dr. Adam Miodoński.

Umiejętność połączenia programu organu katolickiego ze swobodą, i trzeźwością słowa na polu spraw natury ogólnej, omijania ciasnego, nienawiścią fanatyzmu dyszącego dewotyzmu, liczenia się rozumnie z potrzebami i warunkami chwili — jest najtrudniejszą sztuką redakcyi katolickich.

Tę wielką sztukę wcielił u nas »Przegląd Powszechny«. Przełamał przesąd t. z. oświeceńców, spoglądających na każde wydawnictwo katolickie z niewiernym uśmiechem francuskiej *raison.*

Dowiódł, że katolicyzm, życie i wiedza mogą iść obok siebie w zgodzie, za co należy mu się cześć i pełne uznanie.

Teodor Jeske-Choiński.

Dwadzieścia pięć lat pracy publicystycznej katolickiej, prowadzonej w kraju tak źle do poważnej pracy publicystycznej przygotowanym, w czasach tak strasznego znieprawienia się myśli, tak wielkiego obniżenia się serc, tak tryumfalnej zajadłości fałszu — jakaż zasługa olbrzymia — i ileż czci i wdzięczności należy się »Przeglądowi Powszechnemu« od narodu polskiego. A jednak te lat dwadzieścia pięć — były to dopiero lata przygotowania, ćwiczeń i potyczek. Nieprzyjacielowi należy się walna bitwa, ogromna wojna. Bo i łup tej wojny jest ogromny: to zdrowie albo cherlactwo współczesnej duszy ludzkiej, to moc żywotna albo kalectwo współczesnego społeczeństwa. O rezultacie wojny więcej zawsze decyduje roztropność i bystrość dowódców, aniżeli waleczność sama armii. Radosna to rzecz dla polskiego i katolickiego serca pomyśleć, patrząc na skupienie się tylu znakomitych piór wokoło »Przeglądu Powszechnego«, że w tym batalionie, przygotowującej się do walnej rozprawy ludzkości, jakim jest naród polski, dowódców nam nie będzie brakowało.

Wincenty Kosiakiewicz.

Ćwierć wieku prac i zasług, długi szereg tomów literacko-naukowego dorobku, jedno z najpoczestniejszych stanowisk między wydawnictwami polskiemi, liczne a coraz to rosnące koło czytelników — zaiste ma się czem dzisiaj poszczycić »Przegląd Powszechny«.

Ale może największą jego chlubą jest, że w ciągu całego dwudziestopięciolecia, wśród tak bogatej i różnorodnej działalności na wszystkich polach umysłowego życia, zawsze i statecznie pozostał wiernym sam sobie i swemu posłannictwu, którem było i jest: przez wiarę i wiedzę jednoczyć polskie społeczeństwo z Kościołem. Jak służbę tę podwójną — służbę i Bogu i narodowi —

pojmował i jak ją pełnił »Przegląd«, tego dowody są zbyt wyraźne i wymowne na każdej jego stronicy, by je dziś jeszcze było trzeba przytaczać i podkreślać. Nie wskaże nikt ani jednej sprawy żywotnej dla Kościoła czy dla narodu, których Wasze pismo nie rozpatrywało i nie roztrząsało, a niejedną samo poruszyło i wyświetliło.

Nie na darmo *Powszechnym* nazwał się ten miesięcznik, dla którego *nil humanum* nie było ani obce ani obojętne: teologia i filozofia, nauki przyrodnicze i społeczne, archeologia i historya, estetyka i literatura, poezya i sztuka; teoretyczne dociekania, zarówno jak palące zagadnienia życiowe, odwieczne problemy ludzkości, jak najnowsze prądy czasu — na wszystko w »Przeglądzie« znalazło się nie tylko miejsce, ale co więcej, dzielne i zdatne pióro. A przecie ponad całą tą różnorodnością przedmiotów i zakresów pisarskiej pracy świeciła zawsze jedna i jedyna przewodnia myśl katolicka.

To też gdy Leon XIII w szeregu wielkich encyklik wytknął światu katolickiemu nowe tory i duchowi religijnemu wskazał olbrzymi zakres działania, obejmujący wszystkie pola działania i wszystkie dziedziny myśli — wówczas Pismo Wasze nie potrzebowało w niczem dociągać się do nowożytnych haseł, rzuconych przez wielkiego papieża: ono bowiem, od początku swego istnienia szło tą właśnie drogą i tak pojmowało swoje zadanie. Można powiedzieć na jego największą pochwałę, że »Przegląd Powszechny« już dawno przed głównymi encyklikami Leonińskiemi spełniał ich program według sił swoich i swojej miary.

Takim — już od pierwszej chwili — stworzył go, postawił i prowadził nieodżałowany jego założyciel, ks. Maryan Morawski. Waszego Pisma długoletni zwolennik i współpracownik, mam dotąd przed oczyma tę wątłą, nieomal bezcielesną postać w czarnym, zakonnym habicie i tę ściągłą, śniadą twarz, którą uchudziły choroby i prace; dotąd widzę te oczy głębokie, żywe, bystre, co chwila błyskające nowemi myślami — i na ustach łagodnych ten uśmiech pełen przedziwnej dobroci. Potężna wiedza, świetność umysłu, czarujący wdzięk prostoty i szczerości i niedające się określić połączenie cichego smutku z jakimś dobrotliwym dowci-

pem — wszystko to razem sprawiało, że człowiek ten równocześnie budził podziw i przykuwał serca.

Ileż to razy — jeszcze młodym chłopcem — zachodziłem do jego zacisznej celi na poufną rozmowę, ileż to wieczorów spędziliśmy u niego, czytając w nielicznem kółku »Boską komedyę«, szczęśliwi, że nam taki znawca średniowiecznej mistyki i filozofii toruje drogę przez wszystkie głębie i wszystkie szczyty poezyi Dantejskiej. Z tych to czasów datują się pierwszę moje stosunki z »Przeglądem«, które z biegiem czasu miały się coraz bardziej zacieśniać.

Po ks. Morawskim objąć ster Pisma, nie dozwolić, by się obniżyło, to byłoby już niemałą zasługą i niełatwem zadaniem; obecna Redakcya uczyniła więcej: bo rozwinęła »Przegląd Powszechny« podniosła go i nowego dodała mu znaczenia pozyskując współpracownictwo najwybitniejszych pisarzy polskich, rozszerzając i tak już ogromny zakres działania, rozpisując konkursy literackie, otwierając ankiety o najżywotniejszych kwestyach bieżących. Nie dziw tedy, że »Przeglądowi« można wróżyć najświetniejszą przyszłość.

W tem pragnieniu i w tej nadziei, z kończącem się dwudziestopięcioleciem wierny Pisma przyjaciel Redakcyi jego na dalsze trudy i dalsze zwycięstwa przesyłam serdeczne Szczęść Boże!

Lucyan Rydel.

Tonie w grudniu 1908.

Lud tylko święty, królestwo osiągnie.
Z. Krasiński.

Na ciemnym globie naszym światło niecić, — duchy ludzkie z omdleń cucić, z upadków podnosić, po drogach dobra ku temu wiekuistemu źródlisku jego wieść, którem jest Bóg, a od stóp Jego wzbogacone i zmężniałe, na drogi cnoty i pracy prowadzić, — zadanie wielkie, trudne, szczytne.

Pozwalam sobie w ćwierćwiekową rocznicę istnienia »Przeglądu Powszechnego« złożyć życzenia serdeczne Szanownym Przewodnikom pisma tego i ich dziełu, które niech jaknajdłużej i jak-

najpomyślniej służy zbyt zaniedbanym dziś sprawom duchowym ludzkości —

I Ojczyzny naszej, Polski, która tylko w wielkości ducha, w jego sile i w jego czystości, wybawienie i odrodzenie znaleźć może.

El. Orzeszkowa.

»Przegląd Powszechny« jest stanowczo pismem przestarzałem; jeśli chce stać się naprawdę nowożytnem, musi gruntownej uledz reformie. Redakcya »Przeglądu« trzyma się bowiem starodawnej metody, wedle której ludzie myśleli najpierw, potem pisali, na końcu drukowali; a dzisiejsi autorowie zwykli najpierw rzecz wydrukować, potem napisać, a dopiero wydrukowawszy, obmyśleć, jeśli im wogóle czasu na myślenie starczy.

Wojciech Dzieduszycki.

Swobodę myśli naukowej połączyć harmonijnie z dogmatyczną ścisłością wiary religijnej — zadanie trudne bardzo, a niezmiernie żywotne zawsze i wszędzie, w naszych czasach, wśród naszego społeczeństwa żywotniejsze pono niż gdziekolwiek i kiedykolwiek.

»Przegląd Powszechny« pełnił je u nas wiernie i wytrwale w ciągu ćwierci wieku. Nie powinno być mu to zapomniane obecnie w jubileuszowym roku wydawnictwa.

Ja osobiście szczerą mu za to winien jestem wdzięczność. Zajmując się od lat wielu zagadnieniami religijnemi, a do głębi duszy przejęty zasadą swobodnej (byle nie samowolnej lub swywolnej) myśli badawczej, bardzo niewielu znajdowałem ideowych współwyznawców między krańcowościami niereligijnego postępu myślowego i bezmyślnej lub słabomyślnej zachowawczości religijnej, a w organach prasy katolickiej nieraz spotykałem się z sądem uprzedzonym i stronniczym. W »Przeglądzie Powszechnym« znajdowałem zawsze należyte rozumienie i wyrozumienie dla mych myśli i dążeń. Nieraz, posyłając doń jakąś pracę przeniknięta my-

ślą religijną, samodzielnie ze świeckiego stanowiska podejmowaną, miałem wątpliwość czy nie spotka się ona ze zbyt surową lub stronną oceną w gronie redakcyjnem z duchownych złożonem. Zawsze podobne wątpliwości bezpodstawnemi się okazywały. Nie zdarzyło się nigdy, aby duchowni redaktorowie w jakibądź sposób usiłowali krępować swobodę myśli świeckiego współpracownika.

Sądzę, że tylko przy takiej rozumnej tolerancyi praca umysłowa na gruncie religijnym pomyślnie rozwijać się może.

Oby i nadal w jaknajdłuższe lata »Przegląd Powszechny« dla dobra Kościoła i literatury ojczystej w tym duchu mógł ją uprawiać.

Walery Gostomski.

A więc ćwierć wieku pracy znojnej na zachwaszczonej glebie polskiej ma »Przegląd Powszechny« poza sobą. Z tego powodu z różnych stron płyną zapewne gratulacye przyjaciół Waszego pisma, a zwłaszcza tej chrześcijańskiej idei, którą reprezentuje »Przegląd Powszechny«. Niech więc i ja jako weteran wśród współpracowników »Przeglądu« złożę Wam serdeczne gratulacye z powodu sukcesów, jakie pismo Wasze w ciągu ćwierć wieku odniosło.

Przychodzi mi na pamięć, w jak trudnych warunkach, w jak wrogich okolicznościach »Przegląd« swój byt rozpoczął. Pomnę jak dziś te drwinki i sceptyczne uwagi, że pismo jezuickie zamierza szerzyć naukę, wiedzę, pielęgnować literaturę, uprawiać umiejętną krytykę literacko-naukową. Mam przed oczyma pierwszych redaktorów, z jakim mozołem gromadzili współpracowników; szukali ich niejednokrotnie na ławach uniwersyteckich.

Znam wypadki, że i wybitniejsze siły wtedy dawały swe artykuły za piękne słowo i brzęczącą monetę, ale nazwisko swe niekiedy wstydliwie ukrywały za parawanikiem inicyałów. Takie to były początki. A dziś po 25 latach w łamach »Przeglądu« umieszczają cenne swe prace najgłośniejsze imiona nauki i literatury polskiej składają tu swej myśli przędzę członkowie Akademii Umiejętności, taki prof. Tretiak, Smolka, Milewski, Czerkawski i t. d. a swych uczuć kwiaty Sienkiewicze, Wyspiańscy,

taka Eliza Orzeszkowa, Lucyan Rydel, Wojciech Dzieduszycki i inni. Czy to nie widomy tryumf idei chrześcijańskiej wśród wyżyn duchowych polskiego społeczeństwa?

Nie Wasza to wyłącznie zasługa; z pewnością wiele się złożyło czynników, że w sercach polskich Chrystus coraz więcej żyje i Chrystus zwycięża, ale tego Wam nikt zaprzeczyć nie może, że do odrodzenia chrześcijańskich uczuć i zasad wśród inteligencyi galicyjskiej i polskiej w piśmie Waszem stworzyliście najskuteczniejszy środek.

Ziarno idei rzuconej przez wielkie duchy takiego O. Maryana Morawskiego, O. Jana Badeniego znalazło podatne grunty i bujnie się rozkrzewiło na polskiej niwie. O niech się krzewi i dalej rozwija z łaską Bożą, a praca Wasza niech będzie jednym z najsilniejszych akordów w tej wspaniałej symfonii, jaką wygłosił światu wielki Wasz patryarcha w tak prostych a tak głębokich równocześnie słowach: *Omnia ad maiorem Dei gloriam.*

Dr. K. Krotoski.

Pragnąłbym napisać coś na upamiętnienie, na uczczenie dwudziestej piątej rocznicy założenia »Przeglądu Powszechnego«, a czasu na to zostaje mi bardzo mało. Trzeba więc ograniczyć się, skupić się do krótkiego aforyzmu.

* * *

Kosmopolityzm może być dwojaki: jeden, który ma za hasło: *ubi bene, ibi patria*, kosmopolityzm ludzi, których żaden węzeł uczuć nie wiąże do ziemi rodzinnej, do jej tradycyi, jej szczęścia, jej przyszłości, który jest zatem negacyą patryotyzmu; drugi, który wyrasta z pierwiastku patryotycznego, jest jego dalszem, wyższem rozwinięciem, taki, jakiego u nas przedstawicielami byli: Mickiewicz, Kościuszko, Lelewel.

Szowinizm, który w większej części Europy doczekał się dziś najpełniejszego rozkwitu, także może być dwojaki. Jeden jest maską najprostszych ambicyi i apetytów osobistych, o czemby szczególnie Węgrzy mogli dużo powiedzieć; drugi jest tylko spaczeniem istotnych uczuć patryotycznych, a to przez zanieczy-

szczenie ich butą i arogancyą, wskutek braku wyższej kultury umysłowej, a jeszcze więcej wskutek braku wyższej, chrześcijańskiej kultury moralnej.

Próbą patryotyzmu, jak i wogóle wszelkich uczuć, jest czyn. Szowinizm najczęściej objawia się w burdach studenckich i demonstracyach ulicznych. Prawdziwy patryotyzm objawia się na polach bitew, albo w wytrwałej, bezinteresownej pracy dla narodu.

Józef Tretiak.

W Krakowie, 15 grudnia 1908.

W imieniu redakcyi »Swiata Słowiańskiego« niech mi będzie wolno złożyć »Przeglądowi Powszechnemu« najserdeczniejsze gratulacye z powodu 25-lecia istnienia Waszego pisma, zacnie obmyślanego, a roztropnie prowadzonego.

Są to gratulacye koleżeńskie, boć »Przegląd Powszechny« ze wszystkich pism polskich najbardziej zajmował się sprawami słowiańskiemi; roczniki jego stały się od samego początku przystanią słowianoznawstwa i niejeden może z polskich słowianofilów czerpał pierwszą podnietę i zachętę z zeszytów »Przeglądu Powszechnego«. Tem skwapliwiej zaś pospieszamy z naszemi gratulacyami, że »Swiat Słowiański« — z czem nigdy się nie krył — stoi też na stanowisku katolickiem.

Redakcya »Świata Słowiańskiego«
Dr. Feliks Koneczny
redaktor.

Od siebie osobiście dodam słów kilka:

Zaczynałem rozglądać się w życiu publicznem, gdy powstawał »Przegląd Powszechny«. Pamiętam doskonale, wśród jakich to było okoliczności, mam też zaszczyt zaliczać się do starszych, a może już i najstarszych Waszych współpracowników. Rzewnie a silnie zarazem odzywają się wspomnienia młodości. A powstaje zarazem pewne zdumienie, że jednak minęło już lat tyle! Tak ten czas minął szybko — bo wśród gonitwy pracy pracą — tem szybciej, że zmiany w sobie się nie czuje, tylko się je widzi koło siebie. Te zmiany są na lepsze, stanowczo na lepsze. Ma w nich

też udział — i nie mały — ten prąd, którego wyrazem stał się »Przegląd Powszechny«. Dzięki mu za to, że stosowanie nauki katolickiej pojął lotnie i górnie, jako sprzymierzeniec wszystkiego, co jest postępem w nauce, rozwojem w sztuce, a udoskonaleniem w patryotyzmie. Pokazaliście społeczeństwu polskiemu, że katolicyzm — to nie ograniczanie życia, ale cała pełnia życia i wielki, twórczy rozpęd sił — ku przyszłości.

Kiedy wspominam marzenia młodości, zdaje mi się, że czasy do nich się zbliżyły. Społeczeństwo zaś nie tylko nie przestało być katolickiem, ale jest niem dziś bardziej, niż było przed laty 25-ciu i niema u nas rozdźwięku pomiędzy całym szeregiem najgorliwszych zwolenników postępu a najściślejszem wyznawstwem katolicyzmu. W tem zasłużył się wiele »Przegląd Powszechny« — i dlatego wymaga też interes publiczny, społeczny i narodowy, żeby to pismo było *ad multos annos.*

Dr. Feliks Koneczny.

W »Przeglądzie Powszechnym« ma polska myśl katolicka organ naukowy w nowoczesnym stylu. Zasługa to wielka, osiągnięta w niemałym trudzie. Redakcya »Przeglądu« rozwiązała nadto problem najtrudniejszy w publicystyce: ruchliwość, czujną na to, co niesie dzień, połączyła z gruntownością, która w dniu przenika to, co trwałe, istotne, zasadnicze.

Nie mogło być innem dzieło, którego założycielem ś. p. Ks. Maryan Morawski. Serce to bije wciąż w rocznikach »Przeglądu Powszechnego«.

Po dwudziestu pięciu latach pracy składam życzenia: *ad multos annos.*

W imieniu redakcyi »Czasu«
Rudolf Starzewski.

Ćwierćwiekowe istnienie poważnego miesięcznika, redagowanego śmiało i bez kompromisów w duchu ściśle katolickim, dowodzi najlepiej jak silną jest w naszem społeczeństwie potrzeba

takiego wydawnictwa, i świadczy najchlubniej o wysokim poziomie kulturalnym, jednolitej tendencyi, umiejętnym doborze treści i wogóle o doskonałej redakcyi »Przeglądu Powszechnego«. Stojąc tak blizko zasadom i ideałom, których »Przegląd Powszechny« jest od 25 lat wymownym i niestrudzonym szermierzem, przesyłamy Szanownemu wydawnictwu najszczersze życzenia stałego powodzenia i dalszego rozwoju!

Kraków, 15 grudnia 1908.

Za wydawnictwo:
Ks. Andrzej Mytkowicz.
Maryan Dąbrowski.
Dr. Antoni Beaupré.

Jan Karol Maćkowski
za Redakcyę »Głosu Narodu«.

»Przegląd Powszechny« kończy lat 25 pożytecznej i szlachetnej swej pracy.

Nasz »Dziennik Powszechny« do tej właśnie pracy z całym zapałem i gorliwością niedawno przystąpił. Ideałem jego — pójść śladami Waszemi!

Grono pisarzy katolickich, skupiających się wokoło naszego pisma, występując do boju o katolickie zasady, śle Wam wyrazy gorącego uznania i uczuć serdecznych.

W imieniu Redakcyi »Dziennika Powszechnego«
Ks. Hipolit Skimborowicz.

SPIS WSPÓŁPRACOWNIKÓW NASZEGO PISMA

W UBIEGŁEM 25-LECIU.

Stanisław Adam — ks. Stanisław Adamski T. J. — Wacław Anczyc — ks. biskup A. Andrzejewicz — W. Woysym-Antoniewicz — ks. Augustyn Arndt T. J. — ks. I. Assmann T. J.

Ks. Jan Badeni T. J. — ks. Jan Balwierczyk — N. ks. biskup dr. Władysław Bandurski — ks. Zdzisław Bartkiewicz T. J.— Kazimierz Bartoszewicz — Maryan Bartynowski — Eugeniusz Barwiński — dr. Baumgarten — L. Bąkowski — Ludomir Benedyktowicz — dr. Adam Bielecki — J. E. ks. arcybiskup J. Bilczewski — ks. Antoni Boc T. J. — Leon Bolesławski T. J. — prof. dr. Ludwik Boratyński — ks. Stanisław Dunin-Borkowski T. J. — Antoni Borzemski — Ferdynand Bostel — ks. Stefan Bratkowski T. J. — ks. Józef Braun T. J. — Achiles Breza— Kazimierz Bronikowski — Wilhelm Bruchnalski — dr. A. Brückner — prof. Jan Bryl — prof. dr. Józef Brzeziński — dr. Franciszek Bujak — ks. dr. Julian Bukowski — ks. Jan Burgiel T. J.— Jan Bystrzycki — ks. Teofil Bzowski T. J.

Dr. Leopold Caro — dr. Franciszek Chłapowski — Jenerał Chłapowski — Karol Chłapowski — Teodor Jeske-Choiński — ks. prof. dr. Władysław Chotkowski — Adolf Chybiński — Michał Chyliński — ks. Ludwik Coloma T. J. — ks. Albert Con-

damin T. J. — Franciszek Copée — ks. Konstanty Czaykowski T. J. — ks. Witold Czeczot T. J. — ks. W. Czencz T. J. — prof. dr. Włodzimierz Czerkawski — ks. Marcin Czermiński T. J. — dr. Aleksander Czuczyński.

Ks. Józef Dahlmann T. J. — dr. Przemysław Dąbkowski — Ludwik hr. Dębicki — Celina Dębicka — dr. Bronisław Dębiński — ks. Władysław Długołęcki T. J. — T. M. Dobrowolski — prof. dr. Stanisław Dobrzycki — dr. Antoni Donimirski — Michał Dorockyj — Maryan Dubiecki — ks. dr. Stanisław Dutkiewicz — Leszek M. Dziama — J. E. Wojciech hr. Dzieduszycki.

J. E. ks. arcybiskup Zygmunt Szczęsny Feliński — ks. Julian Feliński — ks. Karol Feliś T. J. — ks. Gustaw Fihauser — ks. dr. Jan Fijałek — ks. Pl. Filas Z. Ś. B. W. — dr. J. Flach — ks. M. Fulman.

Ks. prof. dr. Franciszek Gabryl — ks. Walery Gadowski — dr. Zygmunt Gargas — ks. dr. Adam Gertsmann — Józef Glinkiewicz — ks. Józef Gliwa T. J. — Jan Gnatowski — ks. Zygmunt Golian — O. Norbert Golichowski — ks. Franciszek Gołba — ks. dr. Jakób Górka — prof. Antoni Górski — dr. Konstanty Górski — Walery Gostomski — dr. Tadeusz Grabowski — ks. Aleksander Gromadzki T. J. — ks. prof. Tadeusz Gromnicki — B. Grużewski — Jan Grzegorzecki — W. J. Grzybowski — Roman Gutwiński.

Ks. Henryk Haduch T. J. — Marya Harsdorfowa — dr. Korneli Juliusz Heck — ks. Michał Hellon T. J. — ks. Eugeniusz Hełczyński T. J. — Jakób Hodur — ks. Eugeniusz Hornicki — ks. Feliks Hortyński T. J.

Dr. Zdzisław Jachimecki — ks. Henryk Jackowski T. J. — dr. Roman Jamrógiewicz — N. ks. biskup Janiszewski — Edward

Jaroszyński — Bronisław Jasieńczyk — prof. dr. Henryk Jordan — ks. dr. Alojzy Jougan.

Ks. dr. Józef Kaczmarczyk — prof. dr. Antoni Kalina — prof. dr. Józef Kallenbach — dr. Antoni Karbowiak — Adolf Karling — prof. Franciszek Karliński — A. Kawecki — Andrzej Kędzior — dr. Wojciech Kętrzycki — dr. Jerzy Kieszkowski — Adam H. Kirkor — Julian Klaczko — dr. Karol Klecki — Fryderyk Klimke T. J. — ks. Władysław Knapiński — ks. Stanisław Kobyłecki T. J. — ks. Maksymilian Kohlsdorfer T. J. — dr. Feliks Koneczny — Alfred Konopka — ks. Kazimierz Konopka T. J.— ks. Romuald Koppens T. J. — ks. dr. Adam Kopyciński — ks. Korytkowski — ks. dr. Jan Korzonkiewicz — Wincenty Kosiakiewicz — Witold Koszutski — S. Kowalski — ks. J. Kozłowski — Stanisław Kozłowski — ks. Amand Kraetzig T. J. — W. Kraiński — ks. biskup Adam St. Krasiński — Jerzy Kraskowski — Kajetan Kraszewski — prof. dr. Krček — ks. Karol Krokoszyński T. J. — dr. Kazimierz Szkaradek-Krotowski — dr. Adam Krzyżanowski — prof. dr. Stanisław Krzyżanowski — Ferdynand Kudelka — ks. Romuald Kudasiewicz T. J. — ks. Kujot — J. E. ks. biskup T. Kuliński — dr. Kazimierz Kumaniecki— prof. dr. Antoni M. Kurpiel — prof. Godefryd Kurth.

Bronisław Lasocki — ks. Józef Lassberg T. J. — dr. J. Leciejewski — ks. Władysław Ledóchowski T. J. — Leonard Lepszy— ks. Hermann Libiński T. J. — N. ks. biskup Edward Likowski— ks. Leonard Lipke T. J. — Henryk Lisicki — ks. Józef Londzin— Franciszek Lutrzykowski — dr. W. Łebiński — Bohdan Łepki — dr. Bronisław Łoziński — prof. dr. Ignacy Łyskowski — Marek Łza.

Dr. Eks. Stanisław Madeyski — Jan Fr. Magiera — Maja— dr. Juliusz Makarewicz — Jacek Malczewski — dr. Antoni Malkiewicz — Aleksander Mańkowski — Jan Mańkowski — prof. dr. Leon Mańkowski — Gustaw baron Manteuffel — ks. Adam Mar-

czewski — dr. Władysław Margasz — Modest Maryański — Włodzimierz Maślak — Szymon Matusiak — Karol Mátyás — ks. Ernest Matzel T. J. — prof. dr. Mazanowski — dr. Józef Mazurkiewicz — ks. Bogusław Mączka T. J. — J. E. ks. kard. D. Mercier — S. Michalik — dr. Jerzy Michalski — Józef Jakób Michałowski — Marek Michnowiecki — Krzysztof hr. Mieroszewski — Piotr Miklavec — dr. Józef Milewski — prof. dr. Adam Miodoński — ks. Aleksander Mohl T. J. — Franciszek Morawski— prof. dr. Kazimierz Morawski — ks. Maryan Morawski T. J. — M. Morelowski — Irena Mrozowicka.

Edmund N. Naganowski — Witołd Nawratil — ks. Eugeniusz Nourrit T. J. — ks. Jan Nuckowski T. J.

Mieczysław Offmański — dr. Bolesław Olearski — ks. Józef Olszowiecki — Eliza Orzeszkowa — Rudolf Ottman — ks. J. Overmans T. J.

M. Paciorkiewicz — Julian Pagaczewski — ks. Leon Pastor— Z. Paulisz — ks. Jan Pawelski T. J. — ks. prof. dr. Aleksander Pechnik — J. E. ks. biskup dr. Józef Sebastyan Pelczar — dr. Karol Petelenz — ks. Włodzimierz Piątkiewicz T. J. — Czesław Pieniążek — ks. Paweł Pierling T. J. — prof. Tadeusz Pilat — prof. dr. Władysław Pilat — ks. Jan Piwernetz T. J.— Cecylia Plater-Zyberkówna — dr. Edwin Płażek — ks. Ignacy Polkowski — F. E. Polzeniusz — J. E. Paweł Popiel — Jan Popiel — dr. Paweł Popiel — Józef Popowski — prof. dr. Karol Potkański — dr. Antoni Prochaska — ks. Henryk Pydynkowski T. J.

Ks. L. Radziejowski — książe Michał Radziwiłł — ks. Karol Ranoszek T. J. — K. Rawicz — ks. Paweł Rawski — ks. Jarosław Rejowicz T. J. — ks. Władysław Rejowicz T. J. — A. Rejowiczowa — H. Rodde du Vernet — ks. Antoni Rokosz — Michał Rolle — ks. Jan Rostworowski T. J. — Kazimierz hr. Rostworowski — Jadwiga Rostworowska — ks. Jan Roth T. J. —

dr. W. Rubczyński — ks. Ludwik Rudnicki T. J. — Maurycy Rudzki — ks. Oskar Rudzki T. J. — Wacław Rulikowski — N. ks. biskup K. Ruszkiewicz — ks. W. Rychlik — dr. Lucyan Rydel — W. Rylski — Józef Rystan — dr. Teodor Rzymski.

Dr. Zygmunt Samolewicz — książe Paweł Sapieha — ks. Józef Sas T. J. — ks. Józef Sawicki T. J. — Ch. Schoonjans T. J. — dr. Aleksander Semkowicz — K. hr. Siemieński — prof. dr. Józef Siemiradzki — Henryk Sienkiewicz — dr. Rudolf Sikorski — I. Skomorowski — Witołd hr. Skórzewski — ks. prof. Eustachy Skrochowski — ks. Kasper Słonimski — ks. Paweł Smolikowski — prof. dr. Stanisław Smolka — G. Smólski — T. Sobolewski — H. Sopodźko — Tytus Sopodźko — ks. prof. dr. Stanisław Spis — J. E. ks. arcybiskup Floryan Stablewski — ks. Alojzy Starker T. J. — ks. Franciszek Starowiejski — dr. Stanisław Starzyński — Ludwik Stasiak — Tadeusz Jerzy Stecki — Tadeusz Sternal — Adam Stodor — prof. dr. Maurycy Straszewski — M. Straszewska — W. J. Struszkiewicz — dr. Henryk Struve — Adolf Strzelecki — Antoni Strzelecki — dr. Cyryl Studziński — Józef Supiński — ks. dr. Józef Surzyński — H. Swarth — dr. Emanuel Świeykowski — Mieczysław Dowojna Sylwestrowicz — Jan Syrokomla — prof. Aleksander Szarłowski — Alojzy Sulima Szarłowski — Kazimierz hr. Szeptyski — B. Szulc — Stanisław Szurlej — Ludwik Szwejgier — A. Szyszkiewicz — ks. dr. Szczeklik — ks. Władysław Szczepański T. J.

J. E. ks. arcybiskup J. Teodorowicz — prof. dr. Maksymilian Thullie — Stanisław Tillingier — dr. Franciszek Tomaszewski — Stanisław Tomkowicz — prof. dr. Józef Tretiak — ks. dr. Stanisław Trzeciak — Jan Trzecieski — ks. prof. dr. A. Trznadel — ks. dr. Józef Tumpach — ks. Józef Tuszowski T. J.

Henryk Ułaszyn — ks. Jan Urban T. J.

Br. Vogelsang — Ivan Vojnowic — ks. J. Vychodil.

Ks. prof. dr. Kazimierz Wais — ks. Józef Waligóra — N. ks. biskup dr. Leon Wałęga — ks. dr. Czesław Wądolny — dr. Stanisław Weiner — O. Sadok Werberger Z. K. — Edward Wereszczyński — prof. dr. Bolesław Wicherkiewicz — ks. Wiktor Wiecki T. J. — prof. dr. Daniel Wierzbicki — Józef L. Wierzbicki — dr. Władysław Wisłocki — Stanisław Witowski — Jan Witort — Henryk hr. Wodzicki — Teresa hr. Wodzicka — ks. Władysław Wojtoń T. J. — książe A. Woroniecki — Kazimierz Woyczyński — Th. J. Wybicki — Stanisław Wyspiański.

Ks. Władysław Zaborski T. J. — Bronisław Zaleski — Krystyna Saryusz-Zaleska — ks. Stanisław Załęski T. J. — Witołd Załęski — Jan Zamorski — dr. Józef Zanietowski — ks. Jan M. Zatłokiewicz T. J. — dr. Hugo Zathey — dr. Romam Zawiliński — ks. L. Zbyszewski — dr. St. Zdziarski — prof. dr. Maryan Zdziechowski — J. E. ks. biskup St. Zdzitowiecki — A. Ziemięcki — W. Zubrzycki — J. E. ks. biskup Stefan Zwierowicz — Władysław Żeleński — dr. Michał Żmigrodzki — Ludwik Żychliński.

DO JUBILEUSZOWEGO NUMERU.

Ad maiorem Dei gloriam.

Rycerską dajmy cześć
Stojącym na wyłomie mężom duchowych boi.
Twierdza ich jest z kryształu, w nim ognie się migocą,
Bo w twierdzy mieszka słońce, i twierdza słońcem stoi.
Słońce jest twierdzy duszą i jest tej twierdzy mocą,
I czarem dyamentowym rycerskiej im jest zbroi.
Niem oni ostrza broni w ogniach ofiarnych złocą,
I jest im mocy winem, co grzeje, krzepi, poi.

Rycerską dajmy cześć
Mocy poważnej, mężnej, co z murów twierdzy strąca
Cmy wraże, jakie, z państw swych, noc wiedzie ciągle świeże.
Cześć dajmy dłoni mocnej: pewna, gniewem nie drżąca
Przyłbicę ciurom zdziera, przebranym za rycerze.
Oddajmy cześć rycerzom, którym się wzrok nie zmąca
Ślepotą nienawiści — a wiedzę z słońca bierze,
Która jest jasna, mocna, wytrawna a gorąca.

Rycerską dajmy cześć
Schodzącym z grodu słońca, gdy bój już dokonany,
Z litości pełnem sercem, na ból pobojowiska,
W milczeniu grzebać wroga, gdy zmarł wściekłością piany;

A zwyciężonym mówić, że droga w gród jest blizka,
Gdy ranni, w balsam słodki bolesne wiązać rany,
I wieść ich z sobą, — blask im swojego dać ogniska,
I ociemniałym z nędzy chleb słońca dać świetlany.

Rycerską dajmy cześć,
Że nad namiętny bój w walce się zdolni wznieść —
Wrogiem im tylko noc, co słońce żądna zgnieść.
Rycerze słońca są i słońcu mają dług!
A zaprzysięgli się do ostatniego tchu
Być tam, skąd idzie noc, — stać tam, gdzie wstaje wróg.
Sztandary nocy rwać, koncerze kruszyć złu,
I Panu wszystkich słońc powalić je do nóg:
»Nie żal Mu sił i ran, krwi naszej nie żal Mu,
Któż drugi jako On? Któż jak nasz Pan i Bóg?«

Krystyna Saryusz-Zaleska.

JUBILEUSZ CESARZA AUSTRYI A POLSKA.

Obchody urzędowe na cześć monarchów dla nas pogrobowych synów Polski zwykle są czemś nieskończenie przykrem i przygnębiającem. Na rozkaz z góry dany obchodzi Warszawa głośno uroczystości na cześć carów. Grzmią działa i dźwięki kapeli wojskowych, na domach powiewają flagi, po oknach płonie tysiące świateł, a w sercach polskich ...? Jako uczeń gimnazyalny brałem udział w uroczystościach urzędowych na cześć Hohenzollernów. Spiewać mi kazano: *Heil dir im Siegeskranz, Herrscher des Vaterlands*; czyż trzeba opisywać, jakie uczucia ożywiały duszę chłopca dla tego rządu, który dla Polaków niema nic innego, krom krzywdy i poniewierki.

Zupełnie inną cechę nosi obchód jubileuszowy w Austryi. To nie wymuszony, pod karą nakazany obchód, ale ze serca płynący wyraz wdzięczności i czci nie tylko względem Władcy Jubilata, ale względem Dobroczyńcy, Ojca i Przyjaciela Polaków.

Trzeba w duszy przejść przez to dantejskie piekło wszystkich krzywd polskich w ciągu ostatnich 60 lat, aby zrozumieć niekłamane uczucie nieszczęśliwego narodu wobec cesarza Franciszka Józefa I.

Rok 1848, ach ten rok wiosny narodów, jakie on w Polakach budził nadzieje. A przyniósł co? Prócz zniesienia poddaństwa w Galicyi, nic, krom klęsk pod Książem i Wrześnią w Poznań-

skiem i sroższego jeszcze ucisku ze strony cara Mikołaja I i jego satrapy w Królestwie, Paszkiewicza. A potem 12 ciężkich lat systemu Bacha w Austryi, coraz wyraźniejsze zapędy germanizatorskie w Prusiech. Dopiero wojna krymska, pogrom moskiewski i śmierć despoty Mikołaja I budzą znowu u nas daleko idące nadzieje. Nadzieje te podsyca Anglia, a zwłaszcza polityczny kuglarz na tronie francuskim Napoleon III, budzą te nadzieje pozory liberalizmu u nowego cara Aleksandra I. Wita go więc z zapałem ludność polska w Warszawie, spodziewając się zmian na lepsze. Odpowiedzią na serdeczne powitanie narodu był zimny strumień wody z ust nowego władcy: »Żadnych złudzeń moi panowie«.

A kiedy ludność trzymana przez 30 lat w żelaznych pętach ucisku zrywa się do swobody i wolności, bo jej tę wolność głosiła dyplomacya francuskiego awanturnika, rozpoczęła się jedna z najstraszniejszych tragedyi narodowych, tragedya, w której naprawdę krew ścina się w żyłach, od której naprawdę bieleje włos. Pastwienie się moskiewskich żołdaków nad polskimi powstańcami, pławienie się w polskiej krwi nie tylko walczących, ale niewinnych, straszne rządy Murawiewów-Wieszatieli, Bergów, Milutynów znaczone szubienicami, katorgą, Sybirem, wołają dotąd o pomstę do nieba. A to dopiero początek niedoli, przychodzą masowe konfiskaty, kontrybucye, przychodzą rządy Hurki, Maryi Andrejewnej i Apuchtinów; cały ten system okrutny, głupi i przewrotny, wydający społeczeństwo nasze na łup szajce wyrzutków społeczeństwa rosyjskiego, szajce, która się wprost tuczyła krwią, łzą i krzywdą polską. Co przechodziła młodzież polska w zakładach apuchtinowskich, kierowanych przez samych prawie łapowników, szpiegów i oprawców moskiewskich? Jakie męki odczuwała, gdy jej wychowawcy pluli i deptali wszystko, co sercu polskiemu jest święte i drogie? Jak się w tem moskiewskiem piekle szkolnem paczyły i karłowaciały z natury szlachetne dusze polskiej młodzieży? Dodajmy do tego ucisk Kościoła, prześladowanie religijne, zwłaszcza Unitów, te rzezie i dragonady kozackie na Podlasiu i w Krożach, te masowe więzienia, urządzane w ostatnich czasach przez czynowników i czarne sotnie, a bę-

dziemy mieli dantejski prawdziwie obraz piekła polskiego pod pół-azyatyckiem berłem białego cara!...

A europejskie berło w pruskiem państwie bojaźni Bożej i dobrych obyczajów czy może lżejsze dla Polaków? To samo nieubłagane hasło zniszczenia nas tylko w więcej względnej, lepiej obmyślanej i więcej systematycznej formie stosuje się tutaj względem nas z coraz to większą zaciekłością. Zaczęto od wyzyskiwania lekkomyślności polskiej i wykupywauia gruntów polskich utracyuszy, od powolnego rugowania polskości na wszystkich polach życia publicznego. Po tryumfach w r. 1871 żelazny kanclerz rozpoczyna walkę kulturną z Kościołem, prowadzoną z największą zaciętością na ziemiach polskich.

Jako student z drugiej klasy gimnazyalnej, słyszałem werdykt z ust pruskiego dyrektora, że naukę religii katolickiej znosi się w szkole, a prywatna nauka jej zakazana jest pod karą wydalenia z gimnazyum. Na własne oczy widziałem, jak żandarmi ścigali duchownych katolickich na podobieństwo złoczyńców, jak więziono ich całe setki wraz z arcybiskupem po kryminałach. Jęczał po więzieniach wierny lud polski i płacił setki tysięcy kar za to, że nie chciał słuchać przez rząd nasłanych księży sprzedawczyków. Lud się nie ugiął. Żelazny kanclerz poszedł do Kanosy i z zemsty za to rozpoczął zaciekłą walkę eksterminacyjną przeciw polskości. Wyrzucono 4000 Polaków z granic pruskich. Zawotowano 100 milionów, później 200, wreszcie $^1/_2$ miliarda marek na wykupienie polskiej ziemi przez komisyę kolonizacyjną, usunięto nas z wszystkich urzędów i stanowisk, wyrzucono język polski z całego życia publicznego, tak że dziś publicznie nawet na zgromadzeniach poufnych po polsku odezwać się nie wolno Uchwalono wreszcie haniebne wywłaszczenie. Polakowi nie wolno na własnym gruncie budować dachu nad głową, o czem mówi choćby tak głośny wóz Drzymały, a szkoła pruska stała się istną torturą dla dziatwy polskiej, o czem świadczy głośna na cały świat Września i brutalnie stłumiony strajk dzieci broniących polskiego katechizmu, polskiego pacierza. Oto dobrodziejstwa, spływające na polskie społeczeństwo z tronu pruskich Hohenzollernów.

I w Austryi przechodziliśmy po r. 1860 niezbyt różowe czasy dopóki młody niedoświadczony jeszcze władca stał pod wpływem centralistycznych doradców, podtrzymujących system józefińsko-meternichowski rządzenia ludów Austryi wedle jednego strychulca niemiecko-wiedeńskiego. Wypadki w r. 1859 i 66 wykazały, że system ten był nie tylko dla ludów Austryi ciężki, ale dla samej Austryi i domu Habsburgów niebezpieczny. Pierwszy, który na to niebezpieczeństwo zwrócił uwagę naszemu cesarzowi Franciszkowi Józefowi był największy polski mąż stanu w XIX stuleciu hr. Agenor Gołuchowski.

Pod wpływem tego męża cesarz Franciszek Józef zerwał z bezdusznym systemem germanizującego centralizmu, dał Polakom prawo swobodnego rozwoju narodowego na wszystkich polach życia i od tego to czasu Galicya tyle zniesławiony kraj zacofania i nędzy rozwija się ustawicznie coraz pomyślniej i staje się nie tylko jednym z najwpływowszych krajów Monarchii, ale równocześnie kolebką odrodzenia polskiego. Od r. 1868 na wszystkich posterunkach w naszym kraju sami Polacy lub Rusini, we wszystkich urzędach i całem życiu publicznem uszanowana mowa polska; w szkołach nie tylko mówić po polsku, ale myśleć i czuć po polsku wolno. W krakowskiej Akademii Umiejętności i obu uniwersytetach, w Akademiach sztuk pięknych i konserwatoryach krzewi się myśl, nauka i sztuka polska. Na najwyższych posterunkach w Monarchii widzimy Polaków, wiernych synów swego narodu i nie mniej wierne podpory tronu Habsburskiego. Jednem słowem trzeba tylko uprzytomnić sobie to wszystko, co my tu pod berłem naszego Monarchy posiadamy, a co cierpią nasi bracia pod zaborem pruskim i rosyjskim, aby zrozumieć wdzięczność i niekłamaną miłość narodu polskiego do naszego ukochanego Władcy Jubilata.

Tem się tłómaczy, dlaczego każdy pobyt cesarza Franciszka Józefa w naszym kraju stał się świętem radosnem dla Polaków. To nie serwilizm bizantyński, nie koszarowy, lecz potężna manifestacya uczuć takie przyjęcie, jakiego doznał Monarcha u nas w r. 1884. To nie frazes tylko i kurtuazya, gdy na zapytanie przez cesarza Franciszka Józefa dowódcy banderyi

krakusów, towarzyszącej pojazdowi cesarskiemu na błoniach krakowskich: »ile liczy ludzi banderya« — tenże odparł: »Tu obecnych jest 800, lecz na rozkaz Waszej Ces. Mości postawi Galicya na obronę tronu i Monarchii takich 100.000«. To nie pochlebstwo tylko płaszczących się dworaków oświadczenie ze strony reprezentacyi polskiej: »Przy Tobie N. Panie stoimy i stać chcemy«. To niewzruszona zasada polityki wdzięcznego narodu polskiego, którą wyznają tak samo konserwatywne żywioły, jak na wskroś narodowo-demokratyczne. Ścigany wszędzie jeleń polski znalazł pod berłem austryackiem bezpieczne schronisko, a takiej pomocy w ciężkiej chwili naród tak doświadczony, jak polski, i tak uczciwy, jak polski, nigdy nie zapomina.

W dawnej piosence niemieckiej spiera się szereg książąt, który z nich najcenniejsze posiada władztwo. Jeden szczyci się najobszerniejszym krajem, drugi największem bogactwem, trzeci największą potęgą zbrojną, czwarty najliberalniejszemi urządzeniami, piąty urokiem okolic i czarem nieba, ostatni wreszcie oświadcza: »Nie posiadam wprawdzie tych wszystkich cennych skarbów w tej mierze, co wy, ale posiadam najcenniejszy skarb: miłość moich poddanych i mogę bezpiecznie moją znużoną głowę złożyć na łono każdego z moich poddanych«. W koncercie politycznym dzisiejszych potęg głównych tylko cesarz Franciszek Józef może to o sobie powiedzieć i w pierwszej linii może powyższe słowa zastosować do swoich polskich poddanych, z którymi tak dobrze się rozumie i dla których wdzięcznych serc tak stałą okazuje życzliwość.

Kiedy przed 28 laty w Krakowie stanęła przed Franciszkiem Józefem deputacya sejmowa i przedłożyła mu najuniżeńszą prośbę, by starożytny zamek królów polskich na Wawelu do dawnej świetności przywrócił i uznał go za swą siedzibę w czasach pobytu w Galicyi, wtedy cesarz skłaniając się i chwaląc cnotę Polaków, że umieją poważne tradycye przeszłości w wysokiej czci przechowywać i godzić je z obowiązkami teraźniejszości, oświadczył, że ze szczególnem zadowoleniem chce ujrzeć starością omszony zamek królewski w odmłodzonej postaci do dawnej świetności przywrócony. Czy go ujrzy, trudno prze-

widzieć, ale jeżeli ten zamek stanie kiedyś w odmłodzonej postaci i stanie się stolicą Habsburgów w odrodzonej nie tylko cząstce Polski, ale daj Boże całej Polsce, tedy do odnowicieli tej duchowo odrodzonej Polski policzony być musi cesarz Franciszek Józef I dlatego, że on nam tę Polskę i w myśli i w słowie i w szkole i w pracy publicznej odbudowywać dał możność i swobodę.

Dr. Kazimierz Krotoski.